

# malaparte

Kaputt



.czytelnik.

# Kaputt

---

*Curzio Malaparte*

## Spis treści

Dzieje pewnego rękopisu .....	3
Część pierwsza Konie.....	4
I. Le côté de Guermantes .....	5
II. Woń ojczyzny.....	20
III. Konie wśród lodu.....	32
Część druga Szczury .....	39
IV. God shave the King.....	39
V. Zamknięte dzielnice.....	57
VI. Szczury w Jassach .....	69
VII. Krykiet w Polsce .....	98
Część trzecia Psy.....	122
VIII. Noc zimowa .....	122
IX. Czerwone psy .....	142
X. Noc letnia .....	152
XI. Zwariowana strzelba .....	161
Część czwarta Ptaki .....	170
XII. Szklane oko.....	170
XIII. Kosz ostrzeg.....	183
XIV. Of their sweet deaths.....	190
XV. Dziewczęta z Soroki.....	205
Część piąta Reny.....	214
XVI. Nadzy ludzie .....	214
XVII. Zygryd i łoś.....	233
Część szósta Muchy .....	246
XVIII. Golf handicaps.....	246

## Dzieje pewnego rękopisu

KAPUTT (vom hebräischen Kapparoth, Opfer, oder französischen Capot, Matsch) zugrunde gerichtet, entzwei.

MEYER, CONVERSATIONSLEXIKON, 1860<sup>1</sup>

Rękopis „Kaputt” ma swoją historię i wydaje mi się, że trudno byłoby znaleźć dla tej książki odpowiedniejszą przedmowę niż właśnie dzieje jej rękopisu.

Zacząłem pisać „Kaputt” w lecie 1941, w początkach wojny niemiecko-rosyjskiej, w wiosce Piesczanka na Ukrainie, w domu wieśniaka, Romana Sukienny. Co dzień rano zasiadałem w sadzie pod drzewem akacjowym i zabierałem się do pracy, podczas gdy mój gospodarz siedząc na ziemi koło chlewka ostrzył kosy albo krajał buraki pastewne i zielsko dla swoich świń.

Dom kryty strzechą, o ścianach z gliny i słomy, pomazanych krowim gnojem, był mały, ale czysty; nie było w nim innych bogactw poza radiem, gramofonem i niewielką biblioteczką zawierającą wszystkie dzieła Puszkina i Gogola. Należał do starego *muzyka*, którego trzy pięciolatki i gospodarka kolektywna wyswobodziły z niewoli nędzy, ciemnoty i brudu.. Syn Romaną Sukienny, komunista, mechanik z kołchozu im. Woroszyłowa w Pieszczance, pociągnął ze swoim traktorem za armią radziecką; w tym samym kołchozie pracowała także jego żona, małowówna, łagodna młoda kobieta, która pod wieczór, po zakończeniu roboty na niewielkim pólku i w sadzie, zasiadała pod drzewem, żeby poczytać Puszkinińskiego „Eugeniusza Oniegina” w wydaniu z 1937 roku, które ukazało się w Charkowie to setną rocznicę śmierci wielkiego poety. Widok jej nasuwał mi wspomnienie dwóch starszych córek Benedetta Croce, Meny i Aldy, które w ogrodzie ich wiejskiego domu w piemonckiej Meanie czytywały Herodota po grecku, siedząc pod obciążoną owocem jabłonią.

Pracę nad tą książką podjąłem znowu w czasie mego pobytu w Polsce i na froncie pod Smoleńskiem w roku 1942, a skończyłem ją, prócz ostatniego rozdziału, w ciągu dwóch lat spędzonych w Finlandii. Przed powrotem do Włoch podzieliłem rękopis na trzy części: jedną oddałem pod opiekę ministrowi pełnomocnemu Hiszpanii w Helsinkach, hrabiemu Agustinowi de Foxá, który opuszczał właśnie tamtejszą placówkę wezwany do Madrytu przez Ministerstwo Spraw Zagranicznych; drugą powierzyłem sekretarzowi poselstwa rumuńskiego w Helsinkach, księciu Dinu Cantemirowi, który udał się na nową placówkę w Lizbonie, trzecią - mającemu wkrótce jechać do Bukaresztu attaché

---

<sup>1</sup> Kaputt, z hebrajskiego Kapparoth, ofiara; lub z francuskiego capot, zepsuty, zrujnowany, rozbity.

prasowemu przy poselstwie rumuńskim w stolicy Finlandii, Titu Mihailescu. Po długiej wędrówce wszystkie trzy części rękopisu dotarły wreszcie do Włoch.

W lipcu 1943 znajdowałem się w Finlandii; na pierwszą wieść o upadku Mussoliniego wróciłem czym prędzej do Włoch i udałem się na Capri, by tam doczekać lądowania aliantów; tam też, na Capri, we wrześniu 1943 skończyłem ostatni rozdział mojej książki.

„Kaputt” jest książką okrutną. Jej okrucieństwo to najdziwniejsze ze wszystkich doświadczeń, jakie przyniósł mi widok Europy w latach wojny. A jednak wśród bohaterów tej książki wojna jest postacią zaledwie drugorzędną. Można by powiedzieć, że ma jedynie wartość pretekstu, gdyby nie to, że preteksty nieuniknione przynależą do sfery fatalizmu. Wojna pełni tu właśnie rolę fatum. W takim jedynie charakterze wkracza do tej książki. Powiedziałbym, że pojawia się tam nie jako postać działająca, lecz jako widz, w tym sensie, w jakim może być widzem krajobrazu. Wojna jest obiektywnym pejzażem tej książki.

Głównym jej bohaterem jest Kaputt, potwór radosny i okrutny. Żaden wyraz nie zdołałby lepiej niż to twarde i tajemnicze niemieckie słowo kaputt, dosłownie znaczące „złamany, skończony, zdruzgotany, przepadły”, wyrazić tego, czym jesteśmy, czym jest w tej chwili cała Europa: stosem gruzu i odpadków. Ja jednak - podkreślam to z naciskiem - wolę tę Europę „kaputt” od Europy wczorajszej, Europy sprzed dwudziestu, trzydziestu lat.

Wolę świat, w którym wszystko trzeba budować od nowa, niż taki, w którym trzeba przyjąć wszystko jako nieodwracalne dziedzictwo.

Miejmy nadzieję, że nowe czasy okażą się nowe naprawdę i nie będą skąpiły pisarzom szacunku i wolności; gdyż piśmiennictwu włoskiemu szacunek potrzebny jest nie mniej niż wolność. Powiedziałem „miejmy nadzieję” nie dlatego, iżbym nie wierzył w wolność i jej dobrodziejstwa (niech mi będzie wolno przypomnieć, że byłem jednym z tych, którzy za swoją wolność ducha i swój wkład w sprawę wolności zapłacili więzieniem i zesłaniem na wyspę Lipari), ale dlatego, że wiem, i zresztą jest to powszechnie wiadome, jak trudno we Włoszech i w większej części Europy być człowiekiem i jak niebezpiecznie być pisarzem.

Oby więc nowe czasy były czasami wolności i szacunku dla wszystkich, nie wyłączając pisarzy. Bo tylko wolność i poszanowanie kultury będą mogły Italię i Europę wyratować przed tą okrutną przyszłością, o jakiej mówi Montesquieu w swoim dziele „O duchu praw” (księga XXIII, rozdział XXIII): „Tak tedy, w czasach bajecznych, po powodziach i potopach wyłonili się z ziemi zbrojni ludzie i wytępiłi się wzajem”.

## Część pierwsza

### Konie

## I. Le côté de Guermantes<sup>2</sup>

Książę Eugeniusz Szwedzki przystanął na środku pokoju. „Niech pan posłucha” - powiedział.

Poprzez dęby Oakhill i sosny parku Valdemarsudde, z drugiego brzegu odnogi morskiej wrzynającej się w łąd aż po Nybroplan, w samo serce Sztokholmu, wiatr przynosił smętny, łagodny lament. Nie było to melancholijne Wycie syren parowców, które wpływają do portu, ani podniebny krzyk mew: przypominało to głos kobiecy, nabrzmiały bólem.

- To konie z Tivoli, lunaparku nie opodal Skansenu - cicho powiedział książę Eugeniusz.

Stanęliśmy przy jednym z ogromnych okien wychodzących na park, z czołem przyciśniętym do szyb zasnutych niebieskawą, płynącą od morza mgiełką. Ścieżką wzdłuż stoku wzgórza schodziły, potykając się i kulejąc, trzy białe konie, a za nimi żółto ubrana dziewczynka; minęły bramę i zeszły na wąską plażę, przy której tłoczyły się kutry, czółna i łodzie rybackie, czerwono i zielono malowane.

Był jasny dzień wrześniowy, świeży, niemal wiosenny. Jesień zaczynała już czerwienić stare drzewa na Oakhill. Odnogą morską, na której wysokim brzegu wznosi się willa Valdemarsudde, rezydencja księcia Eugeniusza, brata Gustawa V króla Szwecji, sunęły duże szare parowce z ogromnymi flagami szwedzkimi - żółty krzyż na błękitnym polu - wymalowanymi na kadłubie. Stada mew wydawały chrapliwe, żalosne krzyki, podobne do płaczu dziecka. W dole, wzdłuż nabrzeży Nybroplan i Strandvägen, kołysały się białe stateczki kursujące między Sztokholmem a wysepkami archipelagu i noszące dźwięczne nazwy szwedzkich miast i wysp. Za arsenalem wzbijał się niebieski obłok dymu, który stada przelatujących mew przecinały raz po raz białym błyskiem. Chwilami wiatr przynosił dźwięki orkiestry od strony Belmansro i Hasselbacken oraz wesoły gwar tłumu marynarzy, żołnierzy, dziewcząt i dzieciaków zgromadzonych dokoła akrobatów, żonglerów i wędrownych muzykantów, którzy od rana do nocy produkują się przed bramami Skansenu.

Książę Eugeniusz wiódł za koźmi serdecznym spojrzeniem, opuściwszy powieki naznaczone delikatnymi zielonkawymi żyłkami. Widziana tak z profilu, w łagodnym świetle zachodu, twarz ta o nieco obrzmiałych łakomych wargach, z białymi węsami nadającymi jej dobroduszny wyraz, z orlim nosem i wysokim czołem uwieńczonym siwą kędzierzawą czupryną, potarganą jak u zbudzonego przed chwilą dziecka - wyglądała niby medal z wizerunkiem Bernadotte'a. Z całej królewskiej rodziny książę Eugeniusz najbardziej przypomina tego napoleońskiego marszałka, który stał się założycielem szwedzkiej dynastii. Czysty, ostry, niemal twardy profil tworzył szczególny kontrast z łagodnością spojrzenia, z subtelnym wykwintem dykcji, z gestami pięknych rąk Bemadotte'ów, o wąskich, białych palcach. (Kilka dni przedtem oglądałem w jednym ze sztokholmskich sklepów hafty, które własnoręcznie wykonuje król Gustaw V w długie wieczory zimowe, spędzane w otoczeniu rodziny i najbliższych dostojników dworu, w pałacu królewskim projektowanym przez Tessina albo podczas białych nocy letnich na zamku Drottningholm; wdzięk tych haftów, delikatność rysunku i subtelność ścięgu przywodzą na myśl dawny kunszt wenecki, flamandzki czy francuski). Książę Eugeniusz nie haftuje: jest malarzem. Nawet styl jego ubioru ma w sobie coś z artystycznej swobody i nonszalancji Montmartre'u sprzed pięćdziesięciu lat, kiedy i Montmartre, i książę Eugeniusz byli młodzi. Ubrany

---

<sup>2</sup> Strona Guermantes. Aluzja do tytułu powieści Marcela Prousta, „Du côté de Guermantes”, który w polskim przekładzie brzmi „W stronę Guermantes”.

był w grubą marynarkę z *harris tweed* koloru tabaczkowego, staroświeckiego kroju, zapiętą do samej góry. Na tle bladoniebieskiej koszuli, w niewyraźne białe prążki, mocniejszym akcentem błękitu był szydełkowy krawat spleciony na kształt warkocza.

- Co dzień, o tej porze schodzą do morza - powiedział książę Eugeniusz cicho; W różowo-błękitnym zmierzchu widok tych trzech białych koni, z towarzyszącą im żółto ubraną dziewczynką, był smutny i bardzo piękny. Stojąc po kolana w wodzie kołysały łbami, rozwiewając grzywy na długich, w łuk wygiętych szyjach i rżęły.

Słońce zachodziło. Od wielu już miesięcy nie widziałem zachodu słońca. Po długim lecie północnym, po nie kończącym się, nieprzerwanym letnim dniu bez świtów i zmierzchów, niebo zaczynało wreszcie błędnąć ponad lasami i morzem, ponad dachami miasta; coś na kształt cienia (a może był to tylko refleks cienia, cień cienia?) zaczynało gęstnieć na wschodzie. Noc rodziła się po trochu, noc czuła i delikatna; nad lasami i nad jeziorami niebo płonęło, skręcając się w ogniu zachodu jak liść dębowy w jesiennym ognisku.

Pośród drzew parku, na bladym tle północnego pejzażu, kopie Rodinowskiego „Myśliciela” i Nike z Samotraki, wyrzeźbione w marmurze nazbyt białym, przypominały w sposób nieoczekiwany i władczy gust paryskiego fin de siècle'u, dekadencji i parnasizmu, wprowadzając w atmosferę Valdemarsudde jakiś element swawoli i fałszu. Również i w obszernym pokoju, w którym staliśmy przy wielkim oknie, dotykając czołem szyb - w tym pokoju” książę Eugeniusz studiuje i tworzy - snuło się jeszcze tęskne i przytłumione echo paryskiego estetyzmu owych czasów, około roku 1888, kiedy książę Eugeniusz miał swoje „studio” w Paryżu (mieszkał przy rue de Mohceau jako Monsieur Oscarson) i był uczniem Puvis de Chavannes'a i Bonnata. Na ścianach wisiało trochę jego młodzieńczych płócien - pejzaże z Ile-de-France, znad Sekwany, z Vallée-de-Chevreuse, z Normandii, portrety modelek z włosami rozpuszczonymi na nagich ramionach, poza tym obrazy Zorna i Josephsona. Dębowe gałęzie o purpurowych, złoto żyłkowanych liściach wyłaniały się z porcelanowych amfor z Mariebergu i Rörstrandu malowanych przez Isaaka Grünewalda stylem Matisse'a. Ogromny piec z białej majoliki ozdobiony z frontu wypukłorzeźbą - dwie skrzyżowane strzały, a nad nimi korona szlachecka - zajmował jeden kąt pokoju. W kryształowej wazie z Orrefors kwitł prześliczny krzew mimozy, który książę Eugeniusz przywiózł z jakiegoś ogrodu na południu Francji. Przymknąłem na chwilę oczy: „tak, to był zapach Prowansji, zapach Awinionu, Nimes, Arles; wdychałem woń Morza Śródziemnego, Włoch, Capri.

- Chciałbym i ja mieszkać na Capri jak Axel Munthe - odezwał się książę Eugeniusz. - Podobno żyje tam w otoczeniu kwiatów i ptaków. Zastanawiam się czasem - dodał z uśmiechem - czy on naprawdę tak lubi kwiaty i ptaki.

- Kwiaty lubią go bardzo - powiedziałem.

- A ptaki lubią go także?

- Biorą go za stare drzewo - wyjaśniłem - za stare, uschnięte drzewo.

Książę Eugeniusz uśmiechał się, przymykając oczy. Jak zawsze, tak i tego roku Axel Munthe spędził lato na zamku Drottingholm, jako gość króla, i właśnie dopiero przed kilku dniami wyruszył w powrotną drogę do Włoch. Żałowałem, że się z nim rozminąłem w Sztokholmie. Pięć czy sześć miesięcy przedtem, na Capri, w przeddzień mego wyjazdu do Finlandii, poszedłem do wieży Materita

pożegnać się z Munthem, który chciał dać mi kilka listów - do Svenna Hedina, Ernsta Mankera i innych swoich sztokholmskich przyjaciół. Axel Munthe czekał na mnie pod piniami i cyprysami Materity: stał sztywno wyprostowany, chmurny, w zielonym płaszczu narzuconym na ramiona, w kapeluszu krzywo wciśniętym na rozczochraną głowę. Jego żywe, złośliwe oczy ukryte były za czarnymi okularami, które nadawały mu ów wygląd na poły tajemniczy, na poły groźny, jaki miewają niewidomi. Munthe trzymał na smyczy wilczura i choć pies wydawał się zupełnie łagodny, jego pan, zaledwie zobaczył mnie nadchodzącego, zaczął wołać, żebym się zanadto nie przybliżał. „Z daleka!” - krzyczał wymachując ręką i zaklinając psa, żeby się na mnie nie rzucił i nie rozszarpał; udawał, że go z wielkim trudem powstrzymuje, że po prostu nie może sobie dać rady z tą swoją dziką bestią; pies tymczasem przyglądał mi się merdając wesoło i przyjaźnie ogonem, ja zaś zbliżałem się powoli i udawałem strach, chętnie włączając się w tę nieszkodliwą komedię.

Axel Munthe, kiedy jest w dobrym humorze, lubi improwizować takie scenki i zabawiać się kosztem swoich gości. Możliwe, że był to właśnie jego pierwszy pogodny dzień po wielomiesięcznej zacieklej samotności. Miał za sobą smutną jesień, którą przeżył pod terrorem własnych ponurych kaprysów, dręczony melancholią, całe dni spędzając w zamknięciu w tej swojej posępnej wieży, ponadgryzanej, niby stary gnat, ostrymi zębami libeccio, wiatru wiejącego od Ischii, i tramontany przynoszącej od Wezuwiusza aż na Capri ostrą woń siarki; zamknięty na klucz w swoim fałszywym więzieniu przesiąkniętym morską wilgocią, pośród fałszywych starych obrazów, fałszywych rzeźb greckich, rzekomo piętnastowiecznych madonn wyrzeźbionych w drzewie z resztek jakiegoś mebla w stylu Ludwika XV.

Tego dnia Munthe wydawał się pogodny. Zaczął mi nagle opowiadać o ptakach z Capri. Mówił, że każdego wieczora, przed zachodem słońca, wychodzi ze swojej wieży i powoli, ostrożnie stawiając kroki, zapuszcza się pomiędzy drzewa parku w zielonym płaszczu na ramionach, w starym kapeluszu krzywo wciśniętym na rozczochraną głowę, z oczyma ukrytymi za ciemnym szkłem okularów. Idzie tak aż do miejsca, gdzie drzewa rosną rzadziej, rozstępują się, ukazując trawie kawał błękitnego nieba, niby zwierciadło. Tam się zatrzymuje i stoi prosto, sztywny, chudy, podobny do starego pnia wysuszonego słońcem, stwardniałego wskutek zimna i burz, ze szczęśliwym uśmiechem czającym się w kosmykach jego bródki starego fauna. Czeką. I ptaki zlatują się do niego całymi chmurami, swiergoczą serdecznie, siadają mu na ramionach, na rękach, na kapeluszu, dziobią go w nos, w usta, w uszy. Munthe stoi tak, nieruchomo, gawędząc ze swoimi małymi przyjaciółmi wdzięcznym capryjskim dialektem, dopóki słońce nie zatoni w błękitnozielonym morzu. Wtedy ptaki odlatują do swoich gniazd, wszystkie naraz, z głośnym pożegnaniem trelem.

- Ah, cette canaille de Munthe! - powiedział książę Eugeniusz serdecznie, a jego głos drżał lekko.

Przechadzaliśmy się czas jakiś po parku, pod wzdymanym wiatrem piniami, potem Axel Munthe zaprowadził mnie do najwyższej położonego pokoju swojej wieży. Dawniej musiało to być coś w rodzaju spichrza, teraz urządził tam sobie pokój sypialny, przeznaczony na owe dni czarnej melancholii, kiedy zamyka się tam niby w celi więziennej, zatykając uszy watą, żeby nie słyszeć żadnego ludzkiego głosu. Usiadł na zydłu, umieszczając grubą laskę między kolanami, ze smyczą wilczura omotaną dokoła przegubu ręki. Leżący u jego stóp pies wpatrywał się we mnie jasnymi, smutnymi oczyma. Axel Munthe uniósł w górę twarz, nagle spochmurniał. Powiedział, że nie może sypiać, że wojna odebrała mu sen; całe noce spędza na niespokojnym czuwaniu, słuchając szumu wiatru w drzewach i dalekiego odgłosu morza.

- Mam nadzieję - powiedział - że nie przyszedł pan tutaj mówić mi o wojnie.
- Nie będę nic mówił o wojnie - zapewniłem.
- Dziękuję - rzekł Munthe. I nagle zapytał, czy to prawda, że Niemcy są tak niesłychanie okrutni.
- Ich okrucieństwo wynika ze strachu - odpowiedziałem - są wprost chorzy ze strachu. To chory naród, ein krankes Volk
- Tak, ein krankes Volk - powtórzył Munthe uderzając końcem laski w podłogę. A po chwili milczenia zapytał znowu, czy to prawda, że Niemcy tak łakną krwi i zniszczenia.
- Boją się - odpowiedziałem - boją się wszystkiego i wszystkich, zabijają i niszczą ze strachu. Nie znaczy to, żeby się bali śmierci: żaden Niemiec, mężczyzna ani kobieta, starzec ani dziecko, nie boi się śmierci. Ani też nie boją się cierpienia. W pewnym sensie można powiedzieć, że oni lubią cierpienie. Ale boją się wszystkiego, co jest żywe, wszystkiego, co żyje wokół nich, a także wszystkiego, co się od nich różni. Choroba, na którą cierpią, jest bardzo tajemnicza. Najwięcej boją się istot słabych, bezbronnych, chorych, kobiet, dzieci. Boją się też starców. Ich lęk budził zawsze we mnie głęboką litość. Gdyby Europa miała dla nich litość, może Niemcy ozdrowieliby ze swojej okropnej choroby.
- A więc są okrutni, a więc to prawda, że masakrują ludzi bez żadnego miłosierdzia? - przerwał mi Munthe, niecierpliwie stukając laską o podłogę.
- Tak, to prawda - odpowiedziałem. - Mordują bezbronnych, wieszają Żydów na drzewach pośrodku wsi, palą ich żywcem w domach jak szczury, rozstrzelują chłopów i robotników na podwórzach kotłowni i fabryk. Widziałem ich, jak śmieli się, jedli i spali w cieniu trupów kotłujących się na gałęziach drzew,
- Tak, ein krankes Volk - powiedział Munthe zdejmując okulary, żeby starannie przetrzeć ich szkła chustką. Powieki miał opuszczone, nie mogłem dojrzeć jego oczu. Po chwili zapytał, czy to prawda, że Niemcy zabijają ptaki.
- Nie, to nieprawda - odpowiedziałem - nie mają czasu zajmować się ptakami, ledwie im go starcza dla ludzi. Mordują Żydów, robotników, chłopów, podpalają miasta i wsie z dziką furią, ale ptaków nie zabijają. Ach, ileż prześlicznych ptaków żyje w Rosji. Są może jeszcze piękniejsze od tych na Capri.
- Piękniejsze niż ptaki na Capri? - zapytał Axel Munthe zirytowanym głosem.
- Piękniejsze i szczęśliwsze - potwierdziłem. - Na Ukrainie jest niezliczona ilość gatunków prześlicznych ptaków. Fruwają całymi tysiącami, świergoczą wśród akacji, siadają leciutko na srebrzystych gałązkach brzoź, na kłosach zboża, na złotych rzęsach słoneczników, Wydziobując ziarenka z ich wielkich czarnych oczu. Śpiewają bez przerwy przy wtórze armat, przy szczęku karabinów maszynowych, w szumie samolotów nad niezmierną ukraińską równiną. Siadają na ramionach żołnierzy, na siodłach, na grzywach końskich, na jaszczach, na lufach karabinów, na wieżyczkach „pancerów”, na butach zabitych. Nie boją się umarłych. Drobne, żwawe, wesołe ptaszki, jedne szare, inne zielone, czerwone, jeszcze inne żółte. Niektóre mają czerwone czy niebieskie tylko brzuszki, inne - tylko szyjki lub ogonki. Są białe z błękitnym gardziółkiem, a widziałem też bardzo maleńkie i bardzo dumne z siebie, zupełnie białe, niepokalane. O świcie zaczynają świergotać w zbożu, a Niemcy podnoszą głowy, zbudzeni ze swoich ponurych snów, i słuchają ich radosnego



śpiewu. Tysiące tych ptaszków przelatują nad polami bitew nad Dniestrem, Dnieprem i Donem, świergocą wolne i radosne i nie boją się wojny, nie boją się Hitlera ani SS, ani gestapo, nie przysiadają na gałązkach, żeby przyglądać się rzeziom, tylko szybują wysoko po niebie, śpiewając, towarzyszą z wysoka wojskom w marszu przez bezkresną równinę. Ach, naprawdę piękne są ukraińskie ptaki!

Axel Munthe podniósł zwieszoną głowę, zdjął czarne okulary, spojrzał na mnie swoimi żywymi, złośliwymi oczyma i uśmiechnął się.

- Całe szczęście, że Niemcy nie zabijają ptaków powiedział. Jestem naprawdę szczęśliwy, że nie zabijają ptaków.

- On ma rzeczywiście czułe serce i duszę prawdziwie szlachetną, ten nasz drogi Munthe - powiedział książkę Eugeniusz.

Nagle od strony morza doleciało długie, żałosne rzenie. Książkę Eugeniusz wzdrygnął się i otulił obszernym płaszczem z szarej wełny, porzuconym na poręcz fotela.

- Chodźmy popatrzeć na drzewa - powiedział. - Drzewa są bardzo piękne o tej porze.

Wyszliśmy do parku. Zaczynało się robić chłodno, niebo na wschodzie miało barwę matowego srebra. Powolne zamieranie światła, powrót nocy i pogody. Miałem wrażenie, że wojna się skończyła, że Europa jeszcze żyje, the glory that was itd., the grandeur that was<sup>3</sup> itd. Przez całe lato byłem w Laponii, na froncie pod Petsamo i Lizą, w ogromnych lasach Inari, w martwej, księżycowej tundrze arktycznej, oświetlonej okrutnym blaskiem nigdy nie zachodzącego słońca. Teraz te pierwsze zmierzchy jesienne miały mi przywrócić poczucie ciepła, odpoczynku, pogodnego życia, nie skażonego nieustającą obecnością śmierci. Otulałem się w ten zmierzch, nareszcie odnaleziony, niby w miękkiej wełnianej kocy. Powietrze miało w sobie ciepło i zapach kobiety.

Przyjechałem do Sztokholmu przed kilkoma zaledwie dniami, po długim pobycie w szpitalu w Helsinkach; w Szwecji odnajdywałem ową słodką spokojnego życia, która dawniej stanowiła urok Europy. Po wielu miesiącach dzikiej samotności na dalekiej Północy, wśród Lapończyków - łowców niedźwiedzi, pasterzy renów, poławiaczy łososi - zapomniane już obrazy spokojnego, pracowitego życia, które ze zdumieniem oglądałem na ulicach Sztokholmu, wprawiały mnie w stan upojenia, niemal półprzytomności. Zwłaszcza kobiety; ten atletyczny a zarazem łagodny wdzięk jasnych i przejrzystych kobiet szwedzkich o oczach niebieskich, włosach barwy starego złota, czystym uśmiechem i drobnymi, stromymi piersiach, sterczącymi dumnie niby dwie honorowe odznaki za dzielność fizyczną albo dwa medale pamiątkowe osiemdziesiątej piątej rocznicy urodzin króla Gustawa V - przywracały mi poczucie urody życia. A cienie pierwszych zachodów Słońca dodawały im jeszcze jakiegoś intymnego, tajemniczego uroku.

Po ulicach skąpanych w błękitnym świetle, pod niebem z białego jedwabiu, w powietrzu rozjaśnionym białymi refleksami domów chodziły kobiety podobne do niebiesko-złotych komet. Ich uśmiech był ciepły, ich spojrzenie pełne niewinnej ekstazy. Pary splecione uściskiem na ławkach Gammla Gården, pod drzewami już wilgotnymi od wieczornej rosy, wyglądały jak żywe obrazy

---

<sup>3</sup> Sława, która była niegdyś, wielkość, która była niegdyś.

skopiowane z „Fästlig Scen” Josephsona. Niebo nad dachami, domy na wybrzeżu, żaglowce i parowce przycumowane przy Strömie i wzdłuż Strandvägen miały błękitną barwę porcelany z Mariebergu i Rörstrandu - błękit morza między wysepkami archipelagu albo jeziora Melar koło Drottningholm, albo lasów dokoła Saltsjöbaden, błękit obłoków nad ostatnimi dachami Valhalvägen; ów błękit, który daje się dostrzec w każdej bieli dalekiej Północy, w śniegach, rzekach, jeziorach i lasach północnych, w stiukach neoklasycyzmu architektury szwedzkiej, w niezdarnych biało lakierowanych meblach pseudo Ludwika XV, wypełniających chłopskie domy Norrlandu i Laponii; błękit, o którym mówił mi swoim ciepłym głosem Anders Oesterling, przechadzając się pomiędzy kolumnami z białego drzewa o złoconych doryckich żłobkowaniach w sali posiedzeń Akademii Szwedzkiej w Gammla Staden; mleczny błękit sztokholmskiego nieba przed świtem, kiedy upiory, wałęsające się przez całą noc po ulicach miasta (północ jest ojczyzną upiorów: nawet drzewa, domy i zwierzęta są upiorami wymarłych drzew, domów i zwierząt), powracając do siebie przeciągają ulicami, podobne do błękitnych cieni; śledziłem je z mego okna w Grand Hotelu albo z okien domu Strindberga domu z czerwonej cegły pod numerem 10 przy Karlaplan, gdzie mieszkał Maioli, sekretarz poselstwa włoskiego, a o piętro wyżej chilijska śpiewaczka Rosita Serrano (dziesięć jamników Rosity Serrano dreptało po schodach tam i z powrotem, poszczekując, głos Rosity ochrypli a słodki przebijał się przez akordy gitary, a ja śledziłem wzrokiem błąkające się w dole, na placu, błękitne upiory, te same, które Strindberg spotykał na schodach wracając o świcie do domu albo zastawał je siedzące w przedpokoju, śpiące na jego łóżku, lub stojące przy oknach, blade na tle bladego nieba, dające jakieś znaki niewidzialnym przechodniom. Poprzez szept fontanny na środku Karlaplan słyszeć było szelest liści chwiejących się w lekkiej bryzie wiejącej rankiem od morza).

Usiedliśmy w neoklasycyzmie świątyni w głębi parku, w miejscu, gdzie skalny brzeg spada pionowo do morza, patrzyłem, jak białe doryckie kolumny odcinają się łagodnie na błękitnym tle jesiennego pejzażu. Po trochu narastała we mnie jakaś gorycz, jakiś posępny żal. Okrutne słowa cisnęły mi się na usta, na próżno starałem się je powstrzymać. Prawie bezwiednie zacząłem mówić o jeńcach rosyjskich, którzy, oślepli i zdziczali z głodu, zjadali trupy swoich towarzyszy w obozie pod Smoleńskiem, na oczach nie poruszonych tym widokiem oficerów i żołnierzy niemieckich. Czułem grozę i wstyd za moje słowa, byłbym chciał przeprosić księcia Eugeniusza za moją brutalność; on milczał, otulony w swój szary płaszcz, z głową zwieszoną na piersi. Nagle podniósł głowę, poruszył ustami, jakby coś chciał powiedzieć, milczał jednak, tylko w jego spojrzeniu wyczytałem bolesny wyrzut.

Szukałem w jego oczach, na jego czole tego samego zimnego okrucieństwa, które malowało się na twarzy Obergruppenführera Dietricha, kiedy mu powiedziałem, jak jeńcy radzieccy w obozie pod Smoleńskiem jedli trupy swoich towarzyszy. Dietrich zaczął się wówczas śmiać. Spotkałem Obergruppenführera Dietricha, krwawego Dietricha, dowódcę gwardii przybocznej Hitlera, w willi ambasady włoskiej nad brzegiem Wannsee w pobliżu Berlina; zafascynowała mnie jego blada twarz o niewiarogodnie zimnych oczach, jego ogromne uszy i maleńkie usta podobne do pyszczka ryby. Dietrich śmiał się.

- Haben sie ihnen geschmeckt? Czy im smakowały? - I śmiał się, szeroko rozciągając swój rybi pyszczek o różowym podniebieniu, ukazując rybie zęby, gęste i spiczaste. Chciałem niemal usłyszeć teraz śmiech księcia Eugeniusza wyrażający tyleż okrucieństwa, co twarz Dietricha, czekałem, że i on mnie zapyta swoim miękkim, znużonym, jakby dalekim głosem:

- Est-ce qu'ils les mangeaient avec plaisir? Czy chętnie je jedli? - Ale księżę Eugeniusz podniósł oczy i wlepił we mnie spojrzenie pełne bolesnego wyrzutu.

Maska głębokiego cierpienia kryła jego twarz. Rozumiał, że i ja cierpię, i patrzył na mnie w milczeniu, z serdecznym współczuciem.- Czułem, że jeśli się odezwie, jeżeli powie choćby jedno słowo, jeżeli dotknie mojej ręki - rozplączę się. Ale księżę Eugeniusz milczał, a mnie cisnęły się na usta okrutne słowa. I nagle spostrzegłem się, że opowiadam o pewnym' dniu, kiedy udałem się na front pod Leningradem. Jechałem samochodem przez duży las w okolicy Oranienbaum, razem z oficerem niemieckim, lejtnantem Schultzem ze Stuttgartu. Pochodził z samej doliny Neckaru, tej „doliny poetów”, mówił Schultz i opowiadał mi o Hölderlinie, o szaleństwie Hölderlina. „Nie był wariatem, był aniołem” - mówił Schultz robiąc ręką powolny, niejasny gest, jakby rysował coś w mroźnym: powietrzu; a patrzył przy tym w górę, zdawał się śledzić, oczyma lot anioła. Las był głęboki, oślepiająca biel śniegu rzucała na pnie drzew niebieskawe refleksy, wóz z łagodnym szelestem sunął oblodzonym śladem, a Schultz mówił: „Hölderlin w Szwarzwaldzie polatywał między drzewami niby wielki ptak”, a ja milczałem patrząc na gęsty, groźny bór dokoła nas i słuchając chrzęstu kół na pokrytej lodem drodze. Schultz zaczął deklamować wiersze Hölderlina:

An Neckars Weiden, am Rheine,  
Sie alle meinen, es wäre  
Sonst nirgend besser zu wohnen,  
Ich aber will dem Kaukasos zu!<sup>4</sup>

- Hölderlin był niemieckim aniołem - odezwałem się z uśmiechem.

- Był niemieckim aniołem - przytaknął Schultz i powtórzył raz jeszcze: - Ich aber will dem Kaukasos zu!

- Hölderlin także - powiedziałem - chciał iść na Kaukaz, nicht wahr?

- Ach, so! - rzekł Schultz.

Zagłębialiśmy się w coraz gęstszy bór. W miejscu, gdzie nasza droga krzyżowała się z inną, nagle z mgły wyłonił się przed nami żołnierz, po pas zagłębiony w śniegu. Stał nieruchomo, wyciągniętym ramieniem wskazując nam kierunek. Kiedyśmy go mijali, Schultz podniósł rękę do czapki, jakby go pozdrawiał i dziękował. A potem powiedział: „Oto jeszcze jeden, który chętnie pojechałby na Kaukaz” - i wybuchnął śmiechem, odchylając głowę w tył, na oparcie.

Ujechaliśmy kawałek drogi i znów na skrzyżowaniu z daleka już spostrzegłem żołnierza, również stojącego po pas w śniegu, z prawym ramieniem wyciągniętym poziomo.

- Zamarzną na śmierć, biedaczyska - odezwałem się. Schultz obrócił się i popatrzył na mnie.

- Nie ma obawy, żeby pomarli z zimna - powiedział i roześmiał się. Więc zapytałem, dlaczego myśli, że tym nieszczęśnikom nie grozi śmierć.

---

<sup>4</sup> Nad łąkami Neckaru, nad Renem  
Wszystkie myślą, że w żadnej innej  
Stronie nie byłoby im lepiej.  
Lecz ja chcę w góry Kaukazu!  
(„Wędrownik”, przekład Mieczysława Jastruna)

- Przywykli już do zimna - odpowiedział Schultz. Śmiał się przy tym i poklepał mnie po ramieniu. Kazał zatrzymać wóz i zwrócił się do mnie z uśmiechem: - Chce pan zobaczyć z bliska? Będzie pan mógł sam spytać, czy mu zimno.

Wysiedliśmy i zbliżyliśmy się do żołnierza. Stał przed nami bez drgnienia, wyciągniętą ręką wskazując wciąż kierunek. Był martwy. Oczy miał szeroko rozwarte, usta nie domknięte. Był to martwy żołnierz rosyjski.

- To nasza policja drogowa - powiedział Schultz. - Nazywamy ich „milczącą policją”.

- Jest pan pewien, że nie przemówi?

- Że nie przemówi? Ach, so! Niech pan spróbuje go zapytać.

- Lepiej, żebym nie próbował. Pewien jestem, że odpowiedziałby.

- Ach, sehr amüsant! - wykrzyknął Schulz ze śmiechem.

- Tak, bardzo zabawne, nicht wahr? - i dodałem obojętnym tonem: - Kiedyście ich tu stawiali, byli żywi czy martwi?

- Żywi, oczywiście - odpowiedział.

- A potem umierają z zimna, oczywiście - powiedziałem.

- Nein, nein, nie umierają z zimna! Niech pan spojrzysz tutaj - i Schultz pokazał mi grudkę krwi, grudkę czerwonego lodu, na skroni trupa.

- Ach, so! Sehr amüsant.

- Sehr amüsant, nicht wahr? - powtórzył Schultz. I dodał śmiejąc się: - Trzeba przecież, żeby i z jeńców rosyjskich był jakiś pożytek.

- Niech pan zamilknie - powiedział książę Eugeniusz cicho. Tylko tyle: „Niech pan zamilknie”, a ja chciałem, żeby powiedział tym swoim miękkim, znużonym głosem, po francusku: „Ależ tak, trzeba przecież, żeby i jeńcy rosyjscy na coś się przydali”. Ale on milczał, a ja czułem grozę i wstyd. Może czekałem, żeby książę Eugeniusz wyciągnął rękę i położył mi ją na ramieniu. Czułem się upokorzony, pełen ponurej, okrutnej urazy.

Z gęstwiny dębów na Oakhill dobiegał niecierpliwy stuk kopyt o wilgotną ziemię i cichy odgłos rżenia. Książę Eugeniusz uniósł czoło, nasłuchiwał przez chwilę, potem wstał i w milczeniu ruszył ku willi. Poszedłem za nim milcząc także. Weszliśmy do gabinetu i usiedliśmy przy małym stoliku, na którym podano nam herbatę w pięknej zastawie z rosyjskiej porcelany z czasów Katarzyny, przejrzystej, o leciutko niebieskawym odcieniu. Dzbaneq do herbaty i cukiernica były ze starego szwedzkiego srebra, nie tak błyszczącego jak rosyjskie fabergerowskie srebro, ale lekko matowego, z tym ciemnym połyskiem, jaki miewa stary metal w krajach bałtyckich. Rżenie końskie dochodziło do nas przyciszone, zmieszane z szelestem wiatru wśród liści. Dzień przedtem byłem w Uppsali, gdzie oglądałem słynny ogród Linneusza i groby dawnych królów szwedzkich - wielkie kopce ziemne

podobne do grobów Horacjuszów i Kuriacjuszów przy via Appia. Zapytałem więc księcia Eugeniusza, czy to prawda, że dawni Szwedzi składali ofiarę z koni na grobach swoich królów.

- Czasem składali ofiarę z królów na grobach swoich koni - odpowiedział książę Eugeniusz. Mówiąc to śmiał się trochę złośliwie, jakby był rad, że widzi mnie znów pogodnego, bez śladu okrucieństwa w głosie i spojrzeniu. Wiatr szumiał w drzewach parku, a ja myślałem o czaszkach końskich, wiszących na konarach dębów w Uppsali przy grobach królów, i o wielkich końskich oczach, pełnych tego samego wilgotnego blasku, jakim jaśnieją oczy kobiet, kiedy rozświetli je radość albo współczucie.

- Czy nigdy nie przyszło panu na myśl - powiedziałem - że krajobraz szwedzki ma w sobie coś pokrewnego końskiej naturze?

- Czy zna pan - zapytał - rysunki koni Carla Hilla, te jego hästar? Carl Hill - dodał - był szalony. Zdawało mu się, że drzewa są zielonymi końmi.

- Carl Hill - powiedziałem - malował konie tak, jakby były pejzażami. W przyrodzie szwedzkiej jest naprawdę coś dziwnego i to samo jest w naturze koni. Ta sama łagodność, ta sama chorobliwa wrażliwość, ta sama fantazja, nie skrępowana i abstrakcyjna. I nie tylko w wielkich, uroczystych, zielonych drzewach objawia się ta końska natura, końskie szaleństwo szwedzkiego krajobrazu; wyczuwa się ją także w jedwabistym połysku dalekich wód, lasów, wysp i obłoków, w owych szerokich perspektywach, lekkich a głębokich, gdzie przejrzysta biel, ciepła czerwień, zimny błękit turkusowy, wilgotna zieleń i świetlisty błękit nieba tworzą lotną harmonię, jak gdyby te kolory nie barwiły na stałe lasów, łąk i wód, lecz ulatywały gdzieś w przestrzeń, jak motyle. (Kiedy go dotykać, krajobraz szwedzki zostawia swoją barwę na koniuszkach palców, tak właśnie jak skrzydełka motyli). Jest to krajobraz gładki w dotyku jak sierść konia: ma te same mieniące się odcienie, tę samą zwiewną lekkość i połysk co sierść końska, kiedy rumak mknie przez trawy i liście w zgiełku polowania, na zielonym tle drzew i łąk, pod różowoszarym niebem. Niech pan popatrzy na słońce - mówiłem - kiedy wschodzi nad niebieskim sosnowym lasem, nad jasnym gajem brzoźowym, nad starym srebrem wody, nad niebieskawą zielenią łąk; niech pan popatrzy na słońce, kiedy wstaje nad widnokregiem rozjaśniając krajobraz wilgotnym blaskiem wielkiego, pełnego ekstazy oka końskiego. Jest coś nierzeczywistego w szwedzkiej przyrodzie z jej fantazjami i kapryсами, z tym tkliwym lirycznym szaleństwem, jakie lśni w oczach konia. Krajobraz szwedzki to koń w galopie. Niech pan tylko posłucha rżenia wiatru w liściach i trawach.

- To konie z Tivoli wracają znad morza - powiedział książę Eugeniusz nasłuchując.

- Niedawno - mówiłem dalej - poszedłem na tor przeszkód niedaleko koszar huzarów królewskich, w sztokholmskim Fatrittklubb; był to dzień konkursów hippicznych, miały biegać najlepsze konie z najelegantszych pułków królewskich. Drzewa, konie, trawa na torze, matowa szarość murów krytych kortów tenisowych, jasne suknie kobiet i błękitne mundury huzarów układały się w srebrzystym powietrzu w obraz Degasa, delikatny i czuły, owiany leciutką mgiełką szaro-różowo-zieloną. (Właśnie w tym ostatnim dniu konkursów koń imieniem Führer, którego dosiadał porucznik Eriksson z norrlandzkiego pułku artylerii królewskiej, startując do biegu läktaren porzucił na ziemię i potratował drążki, płoty, wszelkiego rodzaju przeszkody; a publiczność milczała, żeby tamten drugi Führer, za morzem, nie mógł stąd zaczerpnąć pretekstu do inwazji na Szwecję. I tegoż dnia, z niezwykle subtelnym poczuciem neutralności, koń imieniem Mołotow - którego dosiadał oficer o angielskim nazwisku, bardzo w danej chwili nieporęcznym, kapitan Hamilton z pułku artylerii

królewskiej w Göta - w Ostatniej chwili wycofał się z zawodów, czy to przez wzgląd na stosunki między Szwecją a ZSRR, bardzo w owym czasie napięte wskutek zatopienia kilku szwedzkich parowców, czy też, aby uniknąć publicznej konfrontacji Führera z Mołotowem). Dwieście czy trzysta osób, usadowionych jak się dało na nielicznych ławkach, zastępujących trybuny, była to ta sama co zawsze najwytworniejsza publiczność Sztokholmu, skupiona dokoła następcy tronu, który siedział pośrodku długiej ławy bez oparcia, korpus dyplomatyczny tworzył gdzieś tam szara plamę wśród zielonych, czerwonych, żółtych i turkusowych sukien kobiecych i błękitnych mundurów.

W pewnej chwili Rockaway, którego dosiadał książę Gustaw Adolf, wydał niezmiernie wysokie, miękkie, łagodne, niemal miłosne rzenie, a wszystkie konie na torze odpowiedziały mu zgodnym chórem. Zdawało się, że to zew miłosny. I Bäckahästen, należący do rotmistrza Ankarcrony z pułku huzarów królewskich, i Miss Kiddy porucznika Nyholma z dragonów, norrlandzkich, i Babian porucznika Nihléna z królewskiej artylerii ze Svea zaczęły rzucać się i wierzgać na torze, pod surowym wzrokiem następcy tronu; a spoza zasłony drzew, z drugiego końca pola, ze stajen pułku huzarów królewskich po drugiej stronie ulicy - zewsząd dolatywało rzenie niewidocznych koni; nawet konie u galowych karet królewskich przyłączyły się do towarzyszy i przez czas jakiś nie było słychać nic poza końskim rzeniem. Aż wreszcie po trochu podmuchy wiatru, syreny parowców, podniebny lament mew, szum liści i szelest drobnego, ledwie widocznego, ciepłego deszczu nabrały znowu siły i śmiałości i rzenie ucichło, przytłumione. Ale przez tę niedługą chwilę wydawało mi się, że oto słyszę mowę szwedzkiej przyrody w jej najczystszej postaci: rzenie końskie, rzenie miłosne, głos do głębi kobiecy.

Książę Eugeniusz położył mi dłoń na ramieniu i powiedział z uśmiechem:

- Szczęśliwy jestem, że pan... - a potem dodał serdecznie: - Niech pan nie jedzie jeszcze do Włoch, niech pan zostanie trochę w Szwecji; z pewnością ozdrowieje pan ze wszystkiego, co pan wycierpiał.

Światło dnia przygasało, pokój wypełniał się powoli liliowym zmierzchem. Stopniowo ogarniało mnie uczucie onieśmienia. Czułem wstyd i grozę na myśl o tym wszystkim, co przeżyłem w latach wojny. Jak zawsze, ilekroć w moich podróżach do Finlandii i z powrotem zatrzymałem się na krótko w Szwecji, na tej wyspie szczęśliwej wśród Europy sponiewieranej, przeżartej głodem, nienawiścią i rozpaczą - tak i tym razem odnajdowałem tam sens pogodnego życia, poczucie ludzkiej godności. Czułem się znowu wolny; ale było to bolesne i okrutne uczucie. Za kilka dni miałem ruszyć w drogę do Włoch. Myśl, że mam opuścić Szwecję, przejechać przez całe Niemcy, znowu oglądać niemieckie twarze - naznaczone nienawiścią i strachem, mokre od niezdrowego potu - napełniała mnie uczuciem niesmaku i upokorzenia. Za kilka dni miałem znowu ujrzeć twarze włoskie, moje włoskie twarze wylęknione, wynędzniałe z głodu, miałem rozpoznać samego siebie w utajonej rozpaczach tych twarzy, w spojrzeniach ludzi stłoczonych w tramwajach i autobusach, w kawiarniach, na chodnikach ulic pod wielkimi portretami Mussoliniego, rozlepionymi na murach i na szybach wystaw sklepowych, pod tą ogromną, rozdętą jakby głową o podłych oczach i kłamiwych ustach; i coraz silniej opanowywało mnie uczucie litości i buntu zarazem.

Książę Eugeniusz przyglądał mi się w milczeniu. Rozumiał, co się we mnie dzieje, rozumiał moją udrękę; a potem zaczął mówić o Włoszech, o Rzymie i Florencji, o swoich włoskich przyjaciółach, których już od wielu lat nie widywał; w pewnej chwili - spytał, co robi książę Piemontu.

„Łysieje” - miałem ochotę powiedzieć; ale zamiast tego rzekłem z uśmiechem: - Jest w Anagni, koło Rzymu, na czele wojsk, które bronią Sycylii.

Książę uśmiechał się także, ale tak, jakby nie rozumiał mojej niewinnej ironii, i zapytał, kiedy go ostatni raz widziałem.

- W Rzymie, na krótko przed moim wyjazdem z Włoch - powiedziałem nie dodając, że ostatnie moje spotkanie z księciem Humbertem zrobiło na mnie wrażenie żałosne i gorzkie. Wystarczyło niewiele lat, żeby z młodego księcia, promiennego i pełnego dumy, uczynić smutnego, przytłoczonego, upokorzonego człowieka. Coś w jego twarzy, w jego spojrzeniu zdradzało niepokój sumienia i strach. Nawet jego serdeczność, dawniej taka ujmująca i szczerą, stała się jakaś wymuszona, uśmiech był pokorny i niepewny.

Początek tej przemiany dostrzegłem w nim jeszcze krótko przed wojną, na Capri, pewnego wieczora, kiedy siedzieliśmy przy kolacji w „Zum Kater Hiddigeigei” na wąskiej oszklonej werandzie od ulicy. W przyległej sali gromada młodzieży pod wodzą hrabiny Eddy Ciano tańczyła hałaśliwie w niedzielnym tłumie neapolitańczyków, podnieconym i zgrzanym. Książę Piemontu znużonym wzrokiem przyglądał się stolikowi, przy którym skupiał się młodzieńczy dwór hrabiny Ciano, i małej grupce przy barze otaczającej Monę Williams, Noela Cowarda i Eddiego Bismarcka. Od czasu do czasu wstawał i lekkim ukłonem zapraszał do tańca Elisabetę Moretti bądź Maritę Guglielmi, Cyprienne Charles-Roux, Eyleen Branca czy Gioię Caetani, a potem, między jednym a drugim tańcem, wracał do naszego stolika i siadał ocierając w chustką spocone czoło. Uśmiechał się, ale był to uśmiech znudzony i jakby zaleźniony. Miał na sobie białe płócienne spodnie, wąskie i przykrótkie, i niebieski wełniany trykocik według mody lansowanej w owym sezonie przez Gabrielle Robilant. Marynarkę zdjął i zawiesił na oparciu krzesła. Nigdy przedtem nie widziałem go ubranego tak niedbale. Z przykrym zdumieniem obserwowałem białą plamę widniejącą na jego ciemieniu, podobną do sporej tonsury. Wydawał się bardzo postarzały. Nawet jego głos się postarzał, zatracił jasność, stał się ochrypły, gardłowy.

Miękki bezwład i nuda dawały się odczuć w każdym jego ruchu, nawet w uśmiechu, do niedawna tak dziecięcym, w spojrzeniu dużych czarnych oczu; czułem coś na kształt litości dla tego młodego księcia o wyglądzie smutnym i upokorzonym, starzejącego się tak pokornie z łagodną rezygnacją. Myślałem sobie, że my wszyscy we Włoszech postarzeliliśmy się przedwcześnie i że taki sam bezwład, taka sama nuda odbija się w ruchach, uśmiechu i spojrzeniu każdego z nas. Że nie zostało się we Włoszech nic czystego, nic naprawdę młodego. W przedwczesnych zmarszczkach i łysinie, w martwej cerze młodego księcia dawało się wyczytać oznaki wspólnego nam wszystkim losu. Czułem, że władają nim jakieś bolesne i upokarzające myśli, że zdemoralizowała go niewola - bo i on także był przecież niewolnikiem. Ta świadomość, że i on również jest niewolnikiem, pobudzała mnie do gorzkiego śmiechu.

Nie był to już ten „błękitny książę” przejeżdżający ulicami Turynu z serdecznym uśmiechem czerwonych, dumnych ust, ten prince charmant, który pojawiał się w drzwiach zaprzyjaźnionych domów u boku księżnej Piemontu, przybywając na obiady i bale wydawane na cześć młodej pary przez turyńską arystokrację; a była to para doprawdy urocza, przyjemnie było widzieć ich razem; jemu trochę przeszkadzała zbyt ciasna ślubna obrączka, ona spoglądała na inne młode kobiety odrobinę chmurnie i nieufnie, a jej milczący wdzięk nie umiał ukryć czającej się w tym spojrzeniu zazdrosnej podejrzliwości.

Ona także, księżna Piemontu, kiedy ją ostatni raz spotkałem, wydała mi się smutna i zalękniona. Jakże inna od tej, którą zobaczyłem po raz pierwszy na balu w Turynie biało ubraną, słodką i promienną. Był to jeden z pierwszych jej balów po ślubie i po przybyciu do Włoch. Kiedy weszła, zdawało się, że przenika w głąb nas samych, niby tajemny wymarzony obraz. Tak bardzo odmienna od tej, którą spotykałem później we Florencji czy w Forte dei Marmi, czy na Capri, wśród skał i grot Piccola Marina. Bo wtedy wyczuwało się już w niej jakieś żalosne upokorzenie.

Spostrzegłem to pierwszy raz przed paru laty na Lazurowym Wybrzeżu. Siedziałem pewnego wieczoru z paroma przyjaciółmi na terenie Montecarlo Beach, nie opodal pływalni. Na scenie teatrzyku na wolnym powietrzu unosił się i opadał rytmicznie równiutki rząd nóg słynnego zespołu „Girls” z Nowego Jorku. Wieczór był ciepły, morze spało spokojnie pośród skał. Koło północy zjawiała się księżna Piemontu w towarzystwie hrabiego Gregoria Calvi di Bergolo; po chwili posłała Calviego, żeby nas zaprosił do jej stolika. Księżna milczała, przyglądała się przedstawieniu zamyślnym wzrokiem. Orkiestra grała „Stormy Weather” i „Singing in the Rain”. W pewnej chwili księżna odwróciła się w moją stronę i spytała, kiedy Wrócę do Turynu. Odpowiedziałem, że nie wrócę do Włoch, dopóki coś się nie zmieni. Popatrzyła na mnie przeciągle, milcząco, smutno.

- Pamięta pan ten wieczór w Vence? - zapytała nagle.

(Kilka dni przedtem udałem się pewnego wieczora do Vence, by dwom młodym Amerykankom, głośnym w owym czasie na całe Lazurowe Wybrzeże z racji jakichś swoich „świętych tańców”, przekazać pozdrowienia od Rogera Cornaza, francuskiego tłumacza powieści D. H. Lawrence'a. Dwie te amerykańskie dziewczyny mieszkwały razem, we dwie tylko, w małym starym domku. Były bardzo ubogie, ale wydawały się szczęśliwe. Młodsza była bardzo podobna do Renée Vivien. Oznajmiły mi, że tego właśnie wieczora oczekują u siebie księżnej Piemontu. Podczas gdy ta młodsza, ukryta za zakurzoną kotarą, przygotowywała się do tańca (jej przyjaciółka wybierała tymczasem płyty i przygotowywała gramofon), weszła księżna Piemontu z Gregoriem Calvi i paru innymi. Z początku nie zauważyłem w jej wyglądzie żadnej zmiany, ale już po chwili zacząłem zdawać sobie sprawę, że i w niej także daje się wyczuć jakieś upokorzenie, dostrzec coś przekwitłego. W marnie oświetlonym pokoju, nisko sklepionym, podobnym do grotty, na czymś w rodzaju małej estrady z desek częściowo obciążonych jakąś tkaniną, a częściowo przykrytych papierem, młoda Amerykanka podobna do Renée Vivien zaczęła tańczyć. Był to biedniutki taniec, rozczulająco démodé, do którego natchnieniem była, wedle słów przyjaciółki, któraś z pieśni Safony. Z początku tancerka zdawała się płonąć czystym ogniem, jej jasne oczy lśniły jak błękitne płomyki, ale bardzo prędko opanowało ją zmęczenie i nuda. Przyjaciółka wodziła za nią spojrzeniem czułym i władczym zarazem, nie przestając mówić coś księżnej o tańcach obrzędowych, o Platonie, o posągach Afrodyty. Tancerka poruszała się powoli na ciasnej estradzie, w czerwonym świetle dwóch lamp osłoniętych abażurami z fiołkowego ałtasu, unosząc to jedną, to drugą nogę w rytm ochryplego głosu gramofonu; to wznosiła ramiona splatając dłonie nad głową, to znów pozwalała im opaść wzdłuż boków w geście zupełnego oddania. Aż wreszcie zatrzymała się, skłoniła i powiedziała z dziecięcą szczerością: „Je suis fatiguée” - „Jestem zmęczona” - usiadła na poduszce. Przyjaciółka objęła ją ramionami, nazywała petite chérie i zwracając się do księżnej Piemontu pytała:

- N'est-ce pas qu'elle est merveilleuse, isn't she? - Cudowna jest, nieprawdaż

- Wie pian, o czym myślałam tamtego wieczora patrząc na taniec tej młodej Amerykanki? - zwróciła się do mnie księżna. - Myślałam sobie, że jej ruchy nie są czyste. Nie chcę przez to powiedzieć, że były



zmysłowe czy bezwstydne; ale była w nich pycha. Nie, nie były czyste. Zastanawiam się często, dlaczego dzisiaj tak trudno jest być czystym. Nie sądzi pan, że powinniśmy mieć więcej pokory?

- Podejrzewam - odparłem - że taniec tej Amerykanki posłużył pani tylko jako pretekst i że naprawdę ma pani coś innego na myśli.

- Tak, może i mam coś innego na myśli - przyznała. Zamilkła na chwilę, a potem powtórzyła: - Nie sądzi pan, że powinniśmy mieć więcej pokory?

- Powinniśmy mieć więcej godności - odpowiedziałem - więcej szacunku dla samych siebie. Ale może pani ma rację: tylko pokora może nas podźwignąć z tej otchłani upokorzenia, w jaką popadliśmy.

- Może właśnie to chciałam powiedzieć - rzekła księżna Piemontu nisko pochylając głowę. - Jesteśmy chorzy na pychę, a pycha nie wystarcza do podźwignięcia nas z upokorzenia. Nasze czyny ani nasze myśli nie są czyste. - I dodała, że kiedy przed kilku miesiącami na jej życzenie wystawiono w pałacu królewskim w Turynie „Orfeusza” Monteverdiego dla szczupłego grona przyjaciół i znawców, w ostatniej chwili przed rozpoczęciem opanowało ją uczucie zażenowania, jakby wstydu. Wydało jej się, że jej intencja nie jest czysta. Że może to tylko gest pychy?

- Ja także byłem tego dnia w pałacu królewskim i czułem się nieswojo, choć nie rozumiałem dlaczego. Możliwe, że dzisiaj Monteverdi brzmi we Włoszech fałszywie. Ale to doprawdy szkoda, że pani, księżno, niepotrzebnie wstydzi się rzeczy, które przynoszą tylko zaszczyt jej inteligencji i gustom. Jest tyle innych powodów, dla których wszyscy, i pani także, powinniśmy się rumienić.

Księżna Piemontu wydawała się bardzo moimi słowami zmieszana, widziałem, że się lekko zaczerwieniła. Zrobiło mi się przykro, że w taki sposób do niej przemawiałem i że ją może obraziłem. Ale po chwili odezwała się bardzo miło, że chciałaby któregoś ranka wybrać się do Vence na grób Lawrence'a („Kochanek Lady Chatterley” był w owym czasie bardzo czytany i wszechstronnie dyskutowany). Na to ja opowiedziałem jej o mojej ostatniej bytności u Lawrence'a. Przyjechałem do Vence późno wieczorem; cmentarz był zamknięty, dozorca spał już i nie zgodził się wstać z łóżka, twierdząc, że „cmentarze w nocy są do spania”. Więc tylko, przycisnąwszy głowę do sztachet bramy, usiłowałem dojrzeć w ciemnościach, lekko wysrebrzonych księżycem, prosty i skromny grób ozdobiony prymitywną mozaiką z kolorowych kamyków przedstawiającą feniksa, ptaka nieśmiertelnego, którego Lawrence życzył sobie mieć wyobrażonego na grobie.

- Uważa pan, że Lawrence był czystym człowiekiem? - zapytała księżna Piemontu.

- Był człowiekiem wolnym - odpowiedziałem.

Później, żegnając się ze mną, księżna powiedziała cicho, z akcentem smutku, który mnie zaskoczył:

- Dlaczego nie wraca pan do Włoch? Proszę nie traktować moich słów jak wyrzut; to tylko przyjacielska rada.

Dwa lata później wróciłem do Włoch: aresztowano mnie, zamknięto w więzieniu Regina Coeli, skazano bez rozprawy sądowej na pięć lat. W więzieniu rozmyślałem nad tym, że księżną Piemontu także owładnął głęboki smutek narodu włoskiego, że ona także żyje w upokorzeniu powszechnej niewoli, i wdzięczny jej byłem za ten smutny, niemal czuły akcent, jaki dosłyszałem wówczas w jej słowach.

Ostatni raz spotkałem ją niedawno w Neapolu, w hali dworcowej, wkrótce po nalocie. Ranni leżeli na ustawionych rzędami noszach w oczekiwaniu na sanitarki. Twarz księżnej była śmiertelnie blada, ale nie była to tylko bladość wywołana lękiem i niepokojem, lecz coś głębszego, bardziej tajemniczego. Wychudła, oczy miała podkrążone, na skroniach wykwitła leciuteńka biała siateczka zmarszczek. Zagasał już ten czysty blask, który bił od niej, kiedy przybyła pierwszy raz do Turynu, kilka dni po ślubie z księciem Humbertem. Poruszała się wolniej, poważnie, wydawała się dziwnie przywiędła. Spozstrzegła mnie, przystanęła, żeby się ze mną przywitać, i zapytała, z jakiego frontu wracam.

- Z Finlandii - odpowiedziałem.

Popatrzyła na mnie i rzekła:

- Wszystko się skończy dobrze, zobaczy pan, nasz naród jest nadzwyczajny.

Zacząłem się śmiać i miałem ochotę powiedzieć jej: „Przegraliśmy już wojnę, wszyscy przegraliśmy wojnę, pani także, księżno”.

Ale powstrzymałem się i powiedziałem tylko:

- Nasz naród jest bardzo nieszczęśliwy.

A ona odeszła swoim niepewnym, powolnym krokiem i zniknęła w tłumie.

Wszystko to chciałem powiedzieć księciu Eugeniuszowi, milczałem jednak i tylko uśmiechnąłem się na wspomnienie młodej pary książęcej.

- Lud włoski bardzo ich kocha, prawda? - zapytał księżę Eugeniusz. I zanim zdążyłem odpowiedzieć: „Tak, lud bardzo ich kocha” (powinien bym odpowiedzieć zupełnie inaczej, ale zabrakło mi odwagi), dodał, że ma wiele listów Umberta (powiedział właśnie tak: „Umberta”), że akurat je porządkuje i zamierza wydać drukiem; a ja nie wiedziałem, czy mówi o królu Humbercie, czy o księciu Piemontu. Na koniec zapytał, czy to imię pisze się po włosku Humberto, przez „h”.

- Bez „h” - odpowiedziałem. I śmiać mi się chciało na myśl, że księżę Piemontu jest także niewolnikiem, jak każdy z nas, nieszczęsnym niewolnikiem w koronie i z piersią okrytą krzyżami i medalami. Myślałem, że i on jest biednym niewolnikiem, i śmiałem się. Wstyd mi było tego śmiechu, ale śmiałem się mimo to.

W pewnej chwili zauważyłem, że spojrzenie księcia Eugeniusza zwraca się powoli ku jednemu z płócien rozwieszonych na ścianach. Był to ów słynny obraz „På balkong”, który namalował w Paryżu w latach swojej młodości, około roku 1888. Młoda kobieta, pani Celsing, wychyla się przez poręcz balkonu ponad jedną z ulic odchodzących promieniście od placu Étoile. Brunatna plama sukni o refleksach zieleni turkusowej, ciepła złocistość włosów przyciśniętych kapelusikiem takim samym, jakie noszą kobiety na obrazach Maneta i Renoira, odcina ją się mocno na tle przejrzystej bieli szaroróżowych odcieni fasad domów oraz wilgotnej zieleni drzew. Pod balkonem przejeżdża powóz, czarny fiakr; koń widziany z góry wygląda jak z drewna: sztywny i chudy, nadaje delikatnej, spokojnej ulicy paryskiej akcent dziecinnej zabawy. Również i konie omnibusu nadjeżdżającego od Strony Étoile wyglądają jak świeżo polakierowane, pokryte tą samą lśniąca emalią; co liście „kasztanów”. Podobne

są do koników karuzeli na prowincjonalnym kiermaszu (wszystko na tym obrazie ma delikatny kolor prowincji - drzewa, domy, niebo nad dachami; niebo jest jeszcze verlainowskie, a zarazem ma już coś z Prousta).

- Paryż był wtedy bardzo młody - rzekł książę Eugeniusz stając przed obrazem. Patrząc na panią Celsing wychyloną z balkonu, mówił cicho, jakby trochę zawstydzony, o tym swoim młodym Paryżu, o Puvis de Chavannes, o swoich przyjaciółach-malarzach, jak Born, Wehlberg, Cederström, Arsenius, Wennerberg, o swoich szczęśliwych latach. Paryż był wtedy bardzo młody. Był to Paryż madame de Morierval, madame de Saint-Euverte, duchesse de Luxembourg (a także madame de Cambremer i młodego markiza de Beausergent), owych Proustowskich bogiń, których spojrzenia rozpałały w głębokościach widowni „des feux inhumains, horizontaux et splendides”, owych „białych bóstw” odzianych w „białe kwiaty, puszyste jak skrzydła, ni to piórka, ni to płatki kwietne, jak kwiaty kwitnące w głębinach morskich”, które przemawiały „z cudownym wyrafinowaniem rozmyślnej oschłości, w stylu Meriméego czy Meilhaca, do półbogów z Jockey Clubu, w klimacie „Fedry” Racine'a. Paryż markiza de Palancy, który przemykał się w przejrzystym mroku łoży „niby ryba za szybą akwarium” I był to także Paryż placu du Tertre, pierwszych kawiarni Montparnasse'u, Paryż „Closerie des Lilas”. Toulouse-Lautreca, La Goulue i Valentina le Désossé.

Miałem chęć przerwać księciu Eugeniuszowi pytaniem, czy widział kiedy, jak książę de Guermantes wchodzi do łoży i „gestem nakazuje siadać morskim świętym potworom snującym się w głębi groty”; chciałem go poprosić, żeby mi opowiadał o kobietach „pięknych i lekkich jak Diana”, o elegantach rozprawiających w owym jargon ambigu Swanna i pana de Charlus, i już-już miałem się do niego zwrócić z pytaniem, które od dłuższej chwili cisnęło mi się na usta: „Zapewne znał pan, książę, panią de Guermantes”, kiedy książę Eugeniusz odszedł od swego obrazu i odwrócony twarzą ku gasnącemu światłu zachodu zdawał się wyłaniać z ciepłego i wonnego cienia „strony Guermantes” (który obejmował i jego także), przechodzić na drugą stronę szyby akwarium, sam także podobny do jednego z owych monstres marins et sacrés. Zasiadłszy w fotelu w głębi pokoju, możliwie najbliżej balkonu pani Celsing, zaczął mówić o Paryżu w taki sposób, jakby ów Paryż był w jego oczach malarza jedynie barwą, wspomnieniem i tęsknotą za barwą (te różowości, te szarości, te zieleń, te przymglone błękity). Może Paryż był dla niego tylko snem? Może jego wspomnienia wzrokowe, obrazy jego paryskiej młodości, odarte z wszelkich elementów dźwiękowych, żyły w jego pamięci same przez się, poruszały się, rozjaśniały, od fruwały w dal, comme les monstres ailés de la préhistoire<sup>5</sup>. Nieme obrazy owego młodzieńczego, dalekiego Paryża waliły się w gruzy przed jego oczyma i ta ruina szczęśliwego świata jego młodości „nie zakłócała czystości ciszy żadnym wulgarnym dźwiękiem”.

Kiedy, chcąc strząsnąć z siebie smętny czar tego głosu i obrazów przezeń wywołanych, podniosłem oczy i ponad drzewami parku spojrzałem na domy Sztokholmu, szare jak popiół w gasnących blaskach zachodu, zobaczyłem daleko, nad pałacem królewskim, nad kościołami Gammla Staden szeroko rozciągnięte turkusowe niebo, powoli mroczniejące, podobne do nieba Paryża; niebo proustowskie z papier gros bleu, które z okien mojego paryskiego mieszkania przy placu Dauphine widziałem nad dachami rive gauche, nad iglicą Sainte-Chapelle, nad mostami na Sekwanie, nad Luwrem; przygaszoną czerwień, ciepłą różowość, szary błękit chmur, subtelnie powiązane z przydymioną czernią łupkowych dachów. Poczułem lekkie ściśnięcie serca i pomyślałem, że może książę Eugeniusz

---

<sup>5</sup> Jak skrzydlate potwory czasów przedhistorycznych.

to także jedna z postaci Du côté de Guermantes, kto wie, może jedna z osób, które kojarzą się z nazwiskiem „Elstir”? I już miałem wypowiedzieć to, co od dłuższej chwili cisnęło mi się na usta, już miałem poprosić drżącym głosem, żeby mi opowiedział o niej, o madame de Guermantes, kiedy książe Eugeniusz umilkł. Po długiej chwili ciszy, kiedy zdawał się zbierać troskliwie obrazy swojej młodości, za zasłoną przymkniętych powiek, nagle zapytał, czy byłem w Paryżu podczas wojny.

Nie miałem ochoty mu opowiadać; czułem coś w rodzaju bolesnego zażenowania, nie chciałem mu nic mówić o Paryżu, o moim młodym Paryżu. Potrząsnąłem głową powolnym ruchem, patrząc mu w oczy. A potem powiedziałem:

- Nie, nie byłem w Paryżu od początku wojny i nie chcę tam wracać, dopóki trwa wojna.

Obrazy dawnego Paryża pani Guermantes i księcia Eugeniusza zaczęły zasnuwać po trochu przed moimi oczyma obrazy inne; bolesne i drogie obrazy Paryża młodszego, bardziej zmęczonego, niespokojnego, smutniejszego może. Jak twarze przechodniów wyłaniające się z mgły za szybami kawiarni, pojawiły się w mojej pamięci twarze Albertyny, Odetty, Roberta de Saint-Loup, młodzieńców przemokniętych się za plecami Swanna i pana de Charlus, nacechowane zmysłowością, piętnem alkoholu i bezsennych nocy, twarze postaci Apollinaire'a, Matisse'a, Picassa, Hemingwaya, błękitne i szare zjawy Paula Éluarda.

- Widziałem niemieckich żołnierzy we wszystkich miastach Europy - powiedziałem - ale w Paryżu widzieć ich nie chcę.

Książę Eugeniusz zwiesił głowę na pierś i szepnął cicho:

-- Paris, hélas!

Nagle uniósł twarz, przeszedł powoli przez pokój, zbliżył się do portretu pani Celsing. Wychylona z balkonu młoda kobieta patrzy na bruk uliczny, wilgotny od jesiennego deszczu, patrzy na konia u fiakra i konie omnibusu kołyszające głowami pod zielonym listowiem drzew, lekko już przychwyconych przez pierwszy płomień jesieni. Książę Eugeniusz podniósł rękę, przesunął długimi białymi palcami po fasadach domów, po niebie nad dachami i po drzewach; pieścił powietrze Paryża i barwy Paryża, owe łagodnie przyćmione odcienie różowe, szare, zielone i niebieskie, światło Paryża, czyste i przejrzyste. Potem odwrócił się i spojrzał na mnie z uśmiechem. Zauważyłem, że jego oczy są wilgotne, a wzdłuż policzka spływa powoli łza. Książę Eugeniusz otarł łzę zniecierpliwionym ruchem i powiedział z uśmiechem:

- Niech pan nic nie mówi Axelowi Munthe, bardzo o to proszę. To złośliwa bestia. Opowiadałby wszystkim, że mnie widział płaczącego.

## II. Woń ojczyzny

Po widmowo przejrzystym, nie kończącym się letnim dniu bez świtów i zmierzchów światło zaczynało po trochu tracić swoją młodzieńczość, na twarzy dnia pojawiły się zmarszczki, pierwsze lekkie cienie wieczorne gęstniały powoli. Zarysy drzew, kamieni, domów, obłoków roztapiały się w łagodnym

pejzażu jesiennym, podobnym do pejzaży Eliasza Martina, mających w sobie egzaltację i łagodne przecucia nocy.

Nagle rozległo się znowu rżenie koni z Tivoli.

- To jest głos zabitej klaczy z Aleksandrowkina Ukrainie -- powiedziałem do księcia Eugeniusza. - To głos tej zabitej klaczy.

Zapadał wieczór, odgłosy strzelaniny partyzantów dziurawiły ogromny czerwony sztandar zachodniego nieba, powiewający nad widnokregiem w przesyconych pyłem podmuchach wiatru. Przybyłem dopiero co do tej wioski odległej o parę mil od Niemirowskoje koło Balcy, na Ukrainie. Było to lato 1941. Chciałem dotrzeć jeszcze tego dnia do Niemirowskoje, żeby tam przespać spokojnie noc. Ale robiło się już ciemno, postanowiłem więc zatrzymać się w opuszczonej wiosce w głębi jednego z tych jarów, które przecinają od północy ku południowi niezmierną równinę pomiędzy Dniestrem a Dnieprem.

Wieś nazywała się Aleksandrowka. W Rosji wszystkie wsie są do siebie podobne, nawet z nazwy. W rejonie Balcy wiele wsi nazywa się Aleksandrowka. Jedna leży na zachód od Gederimowej, na linii kolei elektrycznej do Odessy; inna - o jakieś dziewięć mil na północ od tejże Gederimowej. Ta, w której ja zatrzymałem się na noc, była w pobliżu Niemirowskoje, nad rzeką Kodymą.

Zostawiłem samochód, starego forda, na skraju drogi, pod płotem otaczającym sad, w którego głębi widać było porządnie wyglądający dom. Koło drewnianej furtki w tym płocie leżały zwłoki konia. Przystanąłem i przyglądałem im się przez chwilę. Była to wspaniała klacz ciemnorudej maści, z długą białą grzywą. Leżała na boku, tylne nogi zanurzone miała w kałuży. Pchnąłem furtkę, przeszedłem sad i nacisnąłem ręką drzwi, które otwały się skrzypiąc. Dom był opuszczony. Podłogi izb zarzucone były papierami, słomą, gazetami, odzieżą. Szufłady powyciągane, szafy rozwarłe, pościel na łóżkach rozrzucona. Nie był to z pewnością dom chłopca; może raczej Żyda. Na łóżku w pokoju, który wybrałem, żeby w nim przenocować, leżał rozpruty i splądrowany materac. Za to szyby w oknie były całe. Było ciepło. „Burza idzie” - pomyślałem zamykając okno.

W niepewnej poświacie zmierzchu lśniły w sadzie wielkie oczy słoneczników o długich złocistych rzęsach. Patrzyły na mnie zdumione, chwiejąc głowami na wietrze, wilgotnym już od zbliżającego się deszczu. Drogą przechodzili rumuńscy żołnierze, kawalerzyści; wracali od wodopoju, prowadząc za uzdy jasnogrzywe konie o pełnych brzuchach. Mundury piaskowej barwy tworzyły w ciemności żółtawe plamy podobne do wielkich owadów niezdarnie poruszających się w gęstym, lepkim powietrzu przedburzowym. Żółte konie szły za nimi wzbijając obłoki kurzu.

Miałem jeszcze trochę chleba i sera w plecaku, zabrałem się więc do jedzenia, chodząc tam i na powrót po pokoju. Zdjąłem buty i chodziłem boso po podłodze ubitej z gliny, po której wędrowały kolumny dużych czarnych mrówek. Czułem, jak mrówki wpełzają na moje stopy, wślazą pomiędzy palce, robią wyprawy badawcze aż w okolice kostek. Byłem śmiertelnie znużony, nie miałem siły nawet rozgryźć jedzenia, szczęki i zęby miałem obolałe zmęczeniem. Rzuciłem się w końcu na łóżko i zamknąłem oczy, ale sen nie przychodził. Raz po raz odzywały się w ciemnościach dalekie odgłosy strzałów; to strzelali partyzanci ukryci w zbożu albo w słonecznikach, których plantacje pokrywają całą ogromną równinę ukraińską, w jedną stronę po Kijów, w drugą po Odessę. W miarę jak gęstniała

ciemność nocy, z zapachem ziół i słoneczników mieszał się coraz silniejszy i przenikliwszy odór końskiego ściernia. Nie mogłem spać. Leżałem na łóżku i oczy miałem zamknięte, ale nie mogłem zasnąć, tak mocno tkwiło mi w kościach zmęczenie.

Nagle woń zabitej klaczy weszła do pokoju, stanęła w progu. Czuję, jak ta woń na mnie patrzy. „To ta zabita klacz” - myślałem w półśnie. Powietrze było tak ciężkie jak wetniana kołdra, naładowane burzą zdawało się przytłaczać słomiane dachy wioski, drzewa, zboże, pokryte kurzem drogi. Chwilami słychać było szum rzeki niby szelest bosych stóp na trawie. Noc była czarna, gęsta i lepka jak ciemny miód. „To ta zabita klacz” - myślałem.

Z oddali, ponad polami, dochodził skrzyp wozów, owych rumuńskich caruzze na czterech kołach, zaprzężonych w chude, kosmate koniki i ciągnących za wojskiem z zapasami amunicji, odzieży i broni po długich, bez końca traktach Ukrainy. Słyszając daleki skrzyp wozów myślałem sobie, że oto ta martwa klacz przywlokła się aż na próg pokoju i teraz od progu na mnie patrzy. Nie wiem, nie umiałbym powiedzieć, skąd mi się wzięła ta myśl, że zabita klacz przyszła na próg mego pokoju. Byłem śmiertelnie zmęczony, pogrążony w półśnie, nie potrafiłem rozplątać własnych myśli, było tak, jakby ciemność, gorąco i woń padliny napełniły pokój czarnym, lepkiem błotem, w które zagłębiam się coraz bardziej, coraz słabiej się broniąc. I nie wiem też, skąd mi się wzięła myśl, że może klacz nie jest zupełnie martwa, tylko ranna, że w tej ranionej części już gnije, już się rozkłada, a jednak jeszcze żyje, podobnie jak ci jeńcy, których Tatarzy wiążą żywcem z trupami, brzuchem do brzucha, twarzą do twarzy, dopóki martwy nie pożre żywego. Woń padliny stała najwyraźniej w drzwiach i patrzyła na mnie.

Nagle poczułem, że się przybliżyła, że staje przy moim łóżku. „Precz! Precz!” - krzychałem najpierw po rumuńsku – „Merge! Merge!” A potem pomyślałem, że może ta martwa klacz nie była rumuńska, tylko rosyjska, i krzychałem: „Paszo! Paszo!” Woń zatrzymała się. Ale po chwili znowu zaczęła się powoli do mojego łóżka przybliżać. Prerażony chwyciłem pistolet, który miałem przy sobie wsunięty pod materac, poderwałem się na łóżku i nacisnąłem guziczek elektrycznej latarki-

Pokój był pusty, na progu nie było nikogo. Wstałem z łóżka, bosy podszedłem do drzwi i wyjrzałem za próg. Za drzwiami była tylko noc. Wyszedłem do sadu. Słoneczniki szeleściły cicho na wietrze. Burza czaiła się nad widnokretem, podobna do olbrzymiego czarnego płuca, oddychającego z wysiłkiem. Wzdęte, puste, olbrzymie płuco. Widziałem, jak niebo rozdyma się i kurczy, widziałem, jak niebo oddycha, żółte jak siarka błyski przecinały to gigantyczne płuco, rozjaśniając na króciutką chwilę rozgałęzienia jego naczyń i pęcherzyków. Pchnąłem drewnianą furtkę i wyszedłem na drogę. Martwa klacz leżała nadal nogami zanurzona w wodzie, z głową na skraju pyłnej drogi Brzuch miała wzdęty, spękany, oko szeroko rozwarte, wilgotne i wypukłe. Jasna grzywa zakurzona, polepiona zakrzepłą krwią i błotem, sterczała sztywno jak końskie grzywy na hełmach antycznych wojowników. Usiadłem na brzegu drogi, plecami oparty o płot. Jakiś czarny ptak odfrunął powolnym, bezgłośnym lotem. Deszcz był tuż-tuż. Po niebie przelatywały niewidzialne podmuchy, obłoki kurzu unosiły się nad drogą z przeciągłym, cichym poświstem, ziarenka piasku biły mnie po twarzy, po ustach, pełzały mi we włosach jak mrówki. Tak, deszcz był tuż-tuż. Wszedłem do domu i rzuciłem się na łóżko. Bolały mnie ramiona i nogi, byłem cały mokry od potu. I nagle zasnąłem.

Tymczasem odór padliny przybliżył się znowu i zatrzymał się u drzwi. Nie byłem zupełnie rozbudzony, oczy miałem jeszcze zamknięte, ale czuję, że ten odór patrzy na mnie. Był to tłusty, mdły fetor, lepki, grząski, żółty, z plamami zieleni. Otworzyłem oczy, świeciło właśnie. Pokój spowity był

w pajęczynę niewyraźnych białawych przebłysków, przedmioty wyłaniały się z mroku powoli, jakieś zniekształcone i wydłużone, jak gdyby wyciągane przez wąską szyjkę z butelki. Między drzwiami a oknem stała szafa; kołysały się w niej puste wieszaki. Wiatr poruszał firankę w oknie. Na podłodze z ubitej gliny walały się podarte papiery, szmaty, niedopałki papierosów. W papierach szeleścił wiatr.

Nagle odór padliny wtargnął znów do pokoju i w drzwiach ukazał się żrebaczek. Był chudy i sierść miał zmierzwioną. Bił od niego fetor rozkładu końskiej padliny. Wpatrywał się we mnie sapiąc cicho. Podszedł do łóżka, wyciągnął szyję, obwąchał mnie. Cuchnął okropnie. Kiedy poruszyłem się, żeby spuścić nogi z łóżka, odwrócił się gwałtownie, uderzył bokiem o szafę i uciekł rżąc żałośnie. Wciągnąłem buty i wyszedłem na drogę. Żrebaczek leżał na ziemi obole martwej klaczy. Nie spuszczał ze mnie wzroku.

- Asculta! Słuchaj! - zawołałem rumuńskiego żołnierza przechodzącego z kubłem wody. Powiedziałem mu, żeby się zaopiekował żrebaczkim.

- To syn tej zabitej klaczy - powiedział żołnierz.

- Tak - powtórzyłem - to syn tej zabitej klaczy.

Żrebaczek patrzył wciąż na mnie ocierając się grzbietem o padlinę. Żołnierz zbliżył się do niego i pogłodził po szyi.

- Trzeba go zabrać od matki, zgnije razem z nią, jeżeli tu zostanie; będzie wam służył za maskotkę w szwadronie - powiedziałem.

- Tak - przywodził żołnierz - tak, biedne zwierzę. Będzie przynosił szczęście szwadronowi. - Mówiąc to zdjął pasek od spodni i założył na szyję żrebaka, który najpierw nie chciał wstać, a potem zerwał się gwałtownie i zaparł nogami z żalnym rżeniem, wykręcając głowę w stronę martwej matki. Żołnierz pociągnął żrebię za sobą i ruszył ku obozowi w lesie. Stałem chwilę patrząc za nimi, potem otworzyłem drzwiczki wozu i włączyłem motor. Ale przypomniało mi się, że zostawiłem plecak. Wszedłem więc jeszcze raz do domu, wziąłem plecak, kopnięciem zamknąłem drzwi, wsiadłem do wozu i ruszyłem w stronę Niemirowskoje.

Rzeka lśniła dziwnie w białawym brzasku. Niebo, jeszcze ciemne, wyglądało jakoś zimowo. Woda marszczyła się w podmuchach wiatru, tumany kurzu mknęły nisko nad horyzontem, gęste i czerwone, niby obłoki, które uciekły z pożaru. Ptactwo wodne w przybrzeżnych trzcinach krzyczało ochrypłymi głosami, stada dzikich kaczek zrywały się do lotu, opadały i żeglowały powoli w gęstwinie trzcin wstrząsanych ostrym dreszczem poranku. I wszędzie unosił się odór zgnilizny, odór rozkładu.

Raz po raz napotykałem długie szeregi rumuńskich wozów wojskowych. Żołnierze szli przy głowach swoich koni gawędząc głośno i śmiejąc się, inni znów spali skuleni na workach z chlebem, na skrzynkach z amunicją, na stosach łąpat i kilofów. I wszędzie czułem ten odór rozkładu. Wzdłuż brzegów rzeki i na piaszczystych wysepkach widniejących pośrodku nurtu trzciny falowały miejscami gwałtownie, jakby zwierz dziki skrył się tam w pośpiechu, czując zbliżających się ludzi.

- Szczury! Szczury! - wołali żołnierze, chwyтали karabiny z wozów albo zsuwali je z ramion i strzelali w gęstwinę oczeretów. Wtedy tu i ówdzie spośród trzciny wybiegała, kulejąc, padając i podnosząc się, jakaś rozczochrana dziewczyna, to znów mężczyzna w długiej czarnej kapocie albo dziecko. Byli to Żydzi z pobliskich wsi, którzy uciekli i ukrywali się w nadrzecznych trzcinach.

Gdzieś na bagnistym terenie między drogą a rzeką zobaczyłem przewrócony czołg radziecki. Lufa działka sterczała z wieżyczki, kłapa była otwarta, wszystko dziwnie skrzywione wskutek wybuchu pocisku. Widać było ramię ludzkie wystające z mułu, który dostał się do wnętrza czołgu. Padlina czołgu. Czuć ją było olejem i benzyną, przypieczonym lakierem i żelazem, spaloną skórą. Dziwny zapach. Nowa woń nowej wojny. Ten padły czołg budził we mnie litość, ale zupełnie innego rodzaju niż ta, jaką czułem na widok padłego konia. To była martwa maszyna, maszyna w stanie rozkładu. Zaczynała już cuchnąć. Żelazne ścierwo unurzane w błocie.

Zatrzymałem wóz, zszedłem na brzeg bagniska i zbliżyłem się do czołgu. Ująłem ramię czołgisty, próbowałem wyciągnąć go na zewnątrz. Ale muł trzymał go mocno i nie puszczał. Trudno mi było wydobyć go własnymi siłami, w końcu jednak poczułem, że opór zelżał i zobaczyłem, jak z błota wyłania się po trochu głowa. Przesunąłem ręką po tej twarzy, ściągnąłem maskę mułu, spod której ukazała się twarz drobna i szara, o czarnych brwiach i czarnych oczach. Był to Tatar, tatarski czołgista. Próbowałem wydobyć go zupełnie, ale rychło musiałem zrezygnować, muł był ode mnie silniejszy. Odszedłem więc, wsiałem do wozu i ruszyłem dalej, w kierunku wielkich chmur dymu unoszących się w głębi równiny, nad błękitną linią lasu.

Tymczasem słońce wznosiło się coraz wyżej nad zielonym widnokregiem, ochryple głosy ptaków brzmiały coraz ostrzej, coraz żywiej. Słońce biło w bagienną płaszczyznę jak młot w płytę lanego żelaza. Po wodzie przebiegało drżenie i długi dźwięk, rodzaj metalicznej wibracji, rozchodził się po powierzchni stawów, tak jak dźwięk skrzypiec przebiega drżeniem po skórze wzdłuż ramienia skrzypka. Po obu stronach drogi, na polach, widać było gdzieś tam poprzewracane maszyny, porzucone czołgi poskręcane przez wybuchy. Ale ani jednego człowieka, nic żywego; nie było nawet trupa ludzkiego czy końskiego. Na przestrzeni wielu mil wokoło widać było tylko martwe żelastwo. Padlina maszyn, setki żałosnych stalowych ścierw. Woń zapleśniałego żelastwa biła z pól i zalewisk. Gdzieś pośrodku stawu sterczał z mułu kadłub samolotu. Widać było wyraźnie swastykę, to był Messerschmitt. Woń rozkładającej się stali wzięła górę nad wonią człowieka i konia, tą wonią dawnych wojen; nawet zapach zboża i słodki, ostrawy zapach słoneczników tonęły w tamtym złowrogim fetorze przepalonego żelaza i stali, martwych maszyn. Tumany pyłu, które wiatr przywiewał z najdalszych kresów niezmiętej równiny, nie niosły z sobą zapachów substancji organicznych, tylko wciąż woń opiłków żelaznych, a w miarę jak zagłębiałem się w tę równinę i przybliżałem do Niemirowskoje, odór żelastwa i benzyny nasilał się w przesyconym kurzem powietrzu; zdawało się, że nawet trawa wydaje ten silny i odurzający zapach benzyny, jak gdyby wonie ludzkie, zwierzęce i roślinne, zapachy traw i bagna, zostały pokonane przez ów fetor benzyny i przepalonego żelastwa.

Niedaleko Niemirowskoje musiałem się zatrzymać. Niemiecki Feldgendarm, z błyszczącą mosiężną blachą, zawieszoną na łańcuszku na piersi i podobną do ogromnego orderu, dał mi znak, żebym stanął. Verboten. Dalej jechać nie można. Nein, nein, nein. Skręciłem więc w poprzeczną drogę, zwykłą polną, chcąc dotrzeć jak najbliżej celu, chciałem zobaczyć ten rosyjski „worek”, na który Niemcy natknęli się w swoim marszu i teraz okrążali go ze wszystkich stron. Pola, rowy, wie



i kołchozy pełne były wojsk niemieckich. Wszędzie verboten. Wszędzie zurück. Pod wieczór zdecydowałem się zawrócić. Szkoda było tracić czas; na bezowocne próby przedostania się. Lepiej zawrócić do Balcy, próbować posunąć się na północ, w stronę Kijowa.

Ruszyłem więc znowu w drogę i po długiej jeździe zatrzymałem się w opuszczonej wsi, żeby przegryźć trochę mojego suchego chleba i sera. Ogień strawił większość domów. Działa huczały za moimi plecami, gdzieś w południowo-zachodniej stronie. Dokładnie z tyłu. Na ścianie jednego z domów widniał wymalowany wielki szylc z sierpem i młotem. Wszedłem, był to jakiś radziecki urząd. Duży plakat z wizerunkiem Stalina wisiał na ścianie. Jakiś żołnierz rumuński napisał pod nim ołówkiem „Aiurea!”, co znaczy „A jakże!” Stalin na plakacie stał na pagórku, w głębi widniały czołgi i kominy fabryczne, pod niebem upstrzonym całymi stadami samolotów. Po prawej stronie z czerwonego obłoku wyrastał olbrzymi kombinat metalurgiczny z mnóstwem dźwigów, stalowych mostów, kominów, wielkich zębatych kół. U dołu wydrukowane było wielkimi literami: „Ciężki przemysł ZSRR wytwarza broń dla Armii Czerwonej”. Pod tym napisem widniał drugi, nagryzmolony ołówkiem po rumuńsku: „Aiurea!”, co znaczy „A jakże!”

Usiadłem na biurku zarzuconym papierami, pełno papierów leżało też na podłodze pomieszanych z odzieżą, książkami i propagandowymi broszurami. Myślałem o martwej klaczy leżącej przed domem, w którym spędziłem noc we wsi Aleksandrowka, o tej żałosnej, samotnej padlinie końskiej na skraju drogi, pośród mnóstwa martwych maszyn - stalowej padliny. Myślałem o żałosnym, samotnym odorze martwej klaczy, przytłoczonym przez odór przepalonego żelastwa i benzyny, ten nowy odór nowej wojny maszyn. Myślałem o żołnierzach z „Wojny i pokoju”, o drogach rosyjskich, usianych rosyjskimi i francuskimi trupami i padłym końmi. Myślałem o woni martwych ludzi i martwych zwierząt. O żołnierzach z „Wojny i pokoju” porzuconych żywcem na skrajach dróg, o żarłocznych dziobach kruków. Myślałem o jeździe tatarskiej, o kawalerzystach znad Amuru zbrojnych w łuki i strzały, których żołnierze Napoleona nazywali „les Amours”, o tych nieznużonych, szybkich i straszliwych jeźdźcach tatarskich, którzy wychynawszy nagle z leśnej gęstwiny szarpali tyły nieprzyjaciela, o tej starej, szlachetnej rasie jeźdźców, którzy urodzili się i żyli wśród koni, żywiąc się końskim mięsem i kobyliim mlekiem, odziewając się w końskie skóry, śpiąc pod namiotami z końskiej skóry, a na koniec kazali się grzebać konno, w głębokich grobach, w siodle, na grzbiecie swego konia.

Myślałem o Tatarach z Armii Czerwonej, którzy są najlepszymi w Związku Radzieckim mechanikami, przodownikami pracy, czołowymi „udarnikami” i „stachanowcami”, najlepszym elementem „brygad szturmowych” radzieckiego przemysłu ciężkiego. Myślałem o Tatarach z Czerwonej Armii, tych najlepszych kierowcach czołgów, najlepszych mechanikach w dywizjach pancernych i lotnictwie. O młodych Tatarach, których trzy kolejne pięciolatki przekształciły z jeźdźców w mechaników, z koniuchów w „udarników” zakładów metalurgicznych Stalingradu, Charkowa, Magnitogorska. „Aiurea!”, co znaczy „A jakże!”, było napisane ołówkiem po rumuńsku pod portretem Stalina.

Napisał to „Aiurea!” zapewne jakiś chłop rumuński, biedny chłop rumuński, który nigdy nie widział z bliska żadnej maszyny, nigdy nie wkręcił ani nie wykręcił śrubki, nie rozmontował silnika. Jakiś biedny chłop rumuński, którego marszałek Antonescu, „krwawy pies”, jak go nazywali jego oficerowie, pchnął przemocą do tej wojny, w której chłopci walczą przeciwko potężnej armii mechaników Związku Radzieckiego.

Zbliżyłem się do portretu Stalina i zacząłem oddzierać ten kawałek plakatu, na którym było napisane „Aiurea!”. W tej samej chwili usłyszałem odgłos kroków na podwórzu. Wyrzuciłem przez drzwi.

Przechodziło kilku rumuńskich żołnierzy; zapytali, która godzina. „Szósta”. „Multumesc” - odpowiedzieli, co znaczy „dziękuję”, i zaproponowali, żebym napił się z nimi herbaty. „Multumesc” - podziękowałem i poszedłem z nimi. Niedaleko weszliśmy do na pół zburzonego domu, gdzie innych pięciu czy sześciu żołnierzy przyjęło mnie gościnnie; prosili, żebym usiadł, i poczęstowali menażką ciorbă de pui, czyli rosółem z kury, i kubkiem herbaty. „Multumesc” - podziękowałem i zaczęliśmy rozmawiać. Żołnierze powiedzieli mi, że odkomenderowano ich do tej wioski, ale główne siły ich dywizji znajdują się dalej na prawo, o jakie dziesięć mil stąd. We wsi nie było żywego ducha. Przed Rumunami przeszli tędy Niemcy.

- Przed nami byli tu Niemcy - powtórzył któryś z żołnierzy, jakby się usprawiedliwiał. Śmieli się cichaczem, zajadając swoją ciorbă de pui.

- Aiurea! - rzekłem na to.

- To prawda - potwierdził kapral - przed nami byli tu Niemcy. To prawda!

- Aiurea! - powtórzyłem.

- Domnule capitan - mówił kapral - jeżeli mi pan nie wierzy, proszę spytać jeńca. My nie niszczymy wsi i nie robimy krzywdy chłopom. Załatwiamy tylko Żydów. To prawda. Ej, asculta - krzyknął obracając się w kąt izby - czy nieprawda, że przed nami byli tu Niemcy?

Spojrzałem w stronę ciemnego kąta i zobaczyłem siedzącego na ziemi, plecami opartego o ścianę człowieka. Ubrany był w zielonkawy drelich, na ogolonej głowie miał żółtą furażerkę, nogi bose. Tatar. Twarz drobna, chuda, szara, błyszcząca skóra mocno naciągnięta na wydatnych kościach policzkowych, oczy czarne, nieruchome, przymglone zmęczeniem i może głodem. Mierzył mnie obojętnym, nieruchomym wzrokiem, od stóp do głów, nie odpowiadając na pytanie kaprała.

- Gdzieście go wzięli? - spytałem.

- Siedział w czołgu, tym, co stoi na placu. Czołg miał defekt w motorze, nie mógł się ruszyć; ale strzelał i strzelał. Niemcom się spieszyło, poszli sobie i zostawili nas z tym czołgiem. Było ich w środku dwóch. Strzelali do ostatniego naboju. Ten drugi był już martwy. Musieliśmy wyważyć drzwiczki łomem. Nie chciał się poddać. Został bez jednego naboju, siedział cicho, zaczajony tam, w środku, nie chciał otworzyć. Ten drugi, strzelec, nie żył. Ten był kierowcą. Mamy go odstawić do rumuńskiego dowództwa, do Balcy. Ale tędy już nikt nie przejeżdża, kolumny czołgów idą główną szosą. Już trzy dni nikt nie przejeżdża.

- Czemuście mu zrabowali buty?

Żołnierze zaczęli się bezczelnie śmiać.

- Piękne buty - powiedział kapral. - Proszę spojrzeć, domnule capitan, jakie buty mają te świny, Ruski.

Wstał, pogrzebał w worku i wydobyl parę tatarskich butów z miękkiej skóry, bez obcasów.

- Są ubrani lepiej od nas - dodał kapral wskazując na swoje znoszone buty i podarte spodnie.

- Widać mają lepszą ojczyznę niż wy - powiedziałem.

- Te świnie nie mają ojczyzny - rzekł kapral. - To bestie.

- Bestie mają także ojczyznę - ja na to. - Daleko lepszą od naszej. Lepszą od ojczyzny rumuńskiej, niemieckiej i włoskiej.

Żołnierze popatrzyli na mnie, nie rozumieli, żuli w milczeniu kawałki pui pływające w ciorbã. Kapral odezwał się trochę niepewnie:

- Para takich butów, jak ta, kosztowałyby co najmniej dwa tysiące lei.

Żołnierze kiwali głowami wydymając usta. „Pewnie - mówili - takie buty, jak te, co najmniej dwa tysiące lei, lekko licząc”. I dalej kiwali głowami wydymając usta. Byli rumuńskimi chłopami, a rumuńscy chłopci nie wiedzą, co to są maszyny, nie wiedzą, że maszyny także mają ojczyznę, że nawet buty mają ojczyznę, daleko lepszą od naszej. Są chłopami, ale nie wiedzą, co to właściwie znaczy: być chłopem. Ustawa Bratianu dała ziemię chłopom rumuńskim, tak jakby dała kawałek ziemi koniowi, krowie czy owcy. Wiedzą, że są Rumunami i że są prawosławni. Krzyczą: „Niech żyje król!” Krzyczą: „Niech żyje marszałek Antonescu!” Krzyczą: „Precz z ZSRR!” Ale nie wiedzą ani co to król, ani co to marszałek Antonescu, ani co to ZSRR. Wiedzą tylko, że para takich butów, jak te, kosztuje co najmniej dwa tysiące lei. Są biednymi chłopami i nie wiedzą, że ZSRR to maszyna, z tysiącem maszyn, z milionem maszyn. Ale para takich butów, jak te, kosztuje co najmniej dwa tysiące lei, lekko licząc.

- Marszałek Antonescu - odezwałem się - ma sto par jeszcze lepszych butów.

Żołnierze patrzyli na mnie w osłupieniu.

- Sto par? - zapytał kapral.

- Sto par, tysiąc par - odpowiedziałem - i o wiele piękniejszych niż te. Nie widzieliście nigdy butów marszałka Antonescu? Są wspaniałe. Z żółtej skóry, z białej skóry; angielskiego kroju, ze złotą rozetką pod kolanem. Naprawdę przepiękne. Buty marszałka Antonescu są o wiele piękniejsze od butów Hitlera i Mussoliniego. Buty Hitlera są, owszem, ładne. Oglądałem je z bliska. Nie rozmawiałem z Hitlerem, ale jego butom przyjrzałem się dokładnie. Są bez ostróg. Hitler nigdy nie nosi ostróg, boi się koni; ale nawet bez ostróg jego buty są piękne. A i buty Mussoliniego są piękne, tylko że nie ma z nich żadnego pożytku. Nie nadają się ani do chodzenia piechotą, ani do jazdy konnej. Nadają się tylko do tego, żeby stać na trybunie honorowej podczas parady i patrzeć, jak defilują żołnierze w podartych butach i z zardzewiałymi karabinami.

Żołnierze wciąż patrzyli na mnie w osłupieniu.

- Po wojnie - zakończyłem - dobieżemy się do butów marszałka Antonescu.

- I domnule Hitlera - odezwał się jeden z żołnierzy.

- I domnule Mussoliniego - dodał inny.

- Pewnie, Mussoliniego i Hitlera także - potwierdziłem.

Wszyscy zaczęli się śmiać, a ja spytałem kaprala:

- Ile też mogą kosztować buty Hitlera?

Wszyscy znowu zaczęli się śmiać, a potem, wszyscy naraz, nie wiem dlaczego, odwrócili się i spojrzeli na jeńca. Ten zaś siedział wciśnięty w swój kąt i patrzył na mnie swoimi skośnymi, przymglonymi oczami.

- Dałeś mu jeść? - zapytałem kaprała.

- Tak, domnule capitan.

- Nieprawda. Nie dałeś mu jeść - powiedziałem.

Kaprał wziął ze stołu menażkę, napełnił ją ciorbă de pui i podał jeńcowi.

- Daj mu łyżkę. Nie może jeść zupy rękami.

Wszyscy patrzyli uważnie na kaprała, kiedy brał ze stołu łyżkę, ocierał ją ręką i w końcu podał jeńcowi.

- Oczeń șpasio, dziękuję bardzo - rzekł jeńiec.

- La dracu! - wykrzyknął kaprał, co znaczy „do diabła”.

- Co z nim zrobicie? - zapytałem.

- Mamy go odstawić do Balcy - odparł kaprał - ale tędy nikt nie przejeżdża, jesteśmy I daleko od szosy, trzeba go będzie poprowadzić pieszo. Jeżeli dziś nie trafi się jakiś samochód, jutro poprowadzimy go do Balcy na piechotę.

- Prędzej byłoby z nim skończyć, no nie? - powiedziałem patrząc kapralowi w oczy. Wszyscy spojrzeli także na kaprała i zaczęli się śmiać.

- Nie, domnule capitan - odparł kaprał czerwieniąc się lekko. - Nie mogę. Mamy go odstawić do Balcy. Jest rozkaz, żeby odstawiać do dowództwa przynajmniej po jednym, kiedy bierzemy jeńców. Nie, domnule capitan.

- Jeżeli go pognasz piechotą, to trzeba, żebyś mu oddał buty. Nie może iść boso aż do Balcy.

- O, może iść boso nawet do Bukaresztu - roześmiał się kaprał.

- Jeżeli chcesz, odwiozę go do Balcy swoim wozem. Daj mi jednego żołnierza eskorty, a zabiorę go z sobą.

Kaprał wydał się bardzo zadowolony, a i reszta żołnierzy także.

- Ty pojedziesz, Grigorescu - rzekł kaprał.

Szeregowy Grigorescu przypasał ładownicę, wziął karabin oparty o ścianę (ładownice mieli francuskie, szerokie i płaskie, karabin był także francuski, Lebel, z długim trójkątnym bagnetem), zdjął chlebak z tkwiącego w ścianie gwoźdźca, przewiesił go przez ramię, splunął na ziemię i powiedział: „Idziemy”.

Jeniec siedział nieruchomo w swoim kącie patrząc na nas przymglonym wzrokiem.

- Pojdiom, idziemy - zwróciłem się do niego.

Tatar podniósł się powoli, był wysoki, mojego wzrostu, ramiona miał wąskie i cienką szyję. Ruszył za mną trochę przygarbiony, żołnierz Grigorescu szedł z tyłu z karabinem przewieszonym przez ramię.

Zerwał się silny wiatr, niebo wydawało się sztywne i ciężkie jak płyta surowego żelaza. Szum zboża to wzmagał się z wiatrem, to przycichał, podobny do szumu rzeki. Chwilami słychać było suchy, chrypliwy szelest słoneczników, o które biły tumany ostrego kurzu.

- La revedere, do widzenia - powiedziałem ściskając rękę kaprała. Żołnierze podeszli także, kolejno ściskając moją dłoń.

- La revedere, domnule capitan, la revedere.

Ruszyłem, wyjechaliśmy ze wsi i posuwali się drogą pełną dziur i porżniętą koleinami (gąsienice czołgów wycisnęły w miękkim podłożu głębokie ślady). Żołnierz Grigorescu i jeniec siedzieli za mną, czułem, jak nieruchomy wzrok Tatara przenika mi plecy na wylot.

Burza nadciągała z głębi niezmierzonej płaszczyzny wpełzając coraz dalej na niebo, niby olbrzymia żaba. Ogromne, zielonkawe chmury, tu i ówdzie nakrapiane białą. Widać było, jak brzuch żaby wzdyma się i kurczy, ciężko dysząc. Od krańca widnokregu dochodziły pomruki grzmotów, chrapliwy głos tej żaby. Pola po obu stronach drogi zalegały setki popalonych maszyn, szkieletów czołgów, stalowe ścierwa zwalone na bok z rozkraczonymi nogami, nędzne i sprośne. Nagle wydało mi się, że poznaję tę drogę, na pewno musiałem już tędy przejeżdżać, może przed kilku dniami, może nawet tego ranka; otóż i rzeka, i nadbrzeżne bagniska porośnięte sitowiem. W sieniej tafli wody odbijał się białawy brzuch olbrzymiej żaby, sunącej po niebie z ochrypłym pomrukiem. Pojedyncze krople, ciężkie i ciepłe, zaczęły wybijać otworki w grubej warstwie kurzu na drodze, sycząc jak zanurzone w wodzie rozpalone żelazo. Z mroku zaczęły się wyłaniać jakieś budynki - poznałem domy Aleksandrowki, opuszczonej wioski, w której spędziłem noc.

- Lepiej tu się zatrzymać - powiedziałem do żołnierza Grigorescu - za późno, żeby jechać dalej, do Balcy jeszcze kawał drogi.

Zatrzymałem wóz przed tym samym domem, w którym nocowałem. Deszcz padał już teraz gwałtownie, z przytłumionym szumem, wzbijając gęsty tuman żółtego pyłu. Martwa klacz leżała wciąż na brzegu drogi obok drewnianej furtki. Oko miała szeroko rozwarte, białe lśniąco. Weszliśmy do domu. Wszystko wyglądało tak samo jak rano, kiedy stamtąd wyszedłem, panował ten sam nieruchomy, upiorny nieład. Usiadłem na łóżku i patrzyłem, jak żołnierz Grigorescu zdejmuje ładownicę i wiesza chlebak na klamce szafy. Jeniec stał oparty o ścianę, ze zwieszonymi wzdłuż boków ramionami, i wpatrywał się we mnie małymi skośnymi oczyma.

Stałem w drzwiach. Noc była czarna jak węgiel. Wyszedłem do sadu, pchnąłem furtkę i usiadłem na skraju drogi, obok zabitej klaczy. Deszcz omywał mi twarz i spływał wzdłuż grzbietu. Wdychałem chciwie zapach mokrego ziela, a z tym zapachem świeżym i upajającym mieszał się grząski i tłusty fetor padliny przewyciężając woń butwiejącej stali, żelastwa w rozkładzie. Wydawało mi się, że odwieczne ludzkie i zwierzęce prawo wojny bierze znowu górę nad nowym prawem wojny mechanicznej. W woni zabitej klaczy odnajdywałem niejako starą ojczyznę, a w tej odzyskanej ojczyźnie odnajdywałem siebie.

Po pewnym czasie wszedłem znowu do domu i wyciągnąłem się na łóżku. Byłem półżywy ze zmęczenia, bolały mnie wszystkie kości, senność pulsowała mi w głowie jak nabrzmiała krwιά arteria.

- Będziemy pilnowali jeńca na zmianę - powiedziałem do żołnierza Grigorescu. - Ty także musisz być zmęczony. Obudź mnie za trzy godziny.

- Nu, nu, domnule capitan. Nie jestem śpiący.

Jeniec, któremu żołnierz Grigorescu skrępował nogi i ręce węzłastym sznurkiem, siedział w kącie pod ścianą, między oknem a szafą. Gęsty, tłusty fetor padliny wypełniał pokój. Żółtawe światło olejnej lampki chwiało się na ścianach, słoneczniki w sadzie szeleściły na deszczu. Żołnierz usiadł na ziemi ze skrzyżowanymi nogami, na wprost jeńca, trzymając na kolanach karabin z nasadzonym bagnetem.

- Noapte bună - mruknąłem zamykając oczy.

- Noapte bună, domnule capitan - odpowiedział żołnierz.

Nie mogłem zasnąć. Burza rozpętała się z wściekłą gwałtownością. Niebo pękało z trzaskiem, niespodziewane potoki światła rozdierały chmury zalewając na mgnienie oka równinę, deszcz padał twardo i ciężko, jak kamienie. Ożywiony spotęgowanym deszczem odór padliny wypełniał dom coraz szczelniej, tłusty i lepki, gromadził się pod niskim sufitem. Jeniec siedział nieruchomo, karkiem oparty o ścianę, i nie przestawał wpatrywać się we mnie. Ręce i nogi miał związane. Dłonie, drobne i bladoszare jak popiół, ściśnięte w przegubach sznurkiem, zwisały mu bezwładnie między kolanami.

- Czemu go nie rozwiążesz? - powiedziałem do żołnierza. - Boisz się, że ucieknie? Powinien być przynajmniej rozwiązać mu nogi.

Żołnierz schylił się powoli i równie powoli rozwiązał stopy jeńca, który patrzył wciąż na mnie nieruchomym spojrzeniem.

Po paru godzinach obudziłem się. Żołnierz siedział, jak przedtem, na podłodze, naprzeciw jeńca, z karabinem w poprzek kolan. Tatar tkwił nieruchomo, oparty plecami o ścianę i patrzył na mnie.

- Idź spać - powiedziałem do żołnierza wstając z łóżka. - Teraz moja kolej.

- Nu, nu, domnule capitan, nie jestem śpiący.

- Idź spać, mówię ci.

Żołnierz Grigorescu wstał, przeszedł przez pokój ciągnąc karabin za sobą i rzucił się na łóżko twarzą do ściany, objąwszy karabin ramionami. Wyglądał jak trup. Włosy miał białe od kurzu, mundur podarty, buty do cna znoszone. Na twarzy sterczał szorstki, czarny zarost. Wyglądał doprawdy jak trup.

Usiadłem na ziemi na wprost jeńca, skrzyżowałem nogi, pistolet wetknąłem między kolana. Tatar wciąż patrzył przymglonymi oczyma, wąskimi i skośnymi jak oczy kota; wydawały się szklane, patrzyły tak, jak patrzą oczy zmarłych. Powieki, zasunięte pod luki brwiowe, tworzyły dwie cieniutkie, ledwo widoczne fałdki koloru sepia. Nachyliłem się ku przodowi, żeby rozwiązać jeńcowi ręce. Podczas gdy moje palce mocowały się z supełkami sznurka, przyjrzałem się jego rękom: były małe, gładkie, barwy popiołu, o niemal białych paznokciach. Mimo że we wszystkich kierunkach pocięte były krótkimi,

głębokimi bruzdami (skóra wyglądała, jakbym na nią patrzył przez szkło powiększające, tak bardzo była porowata), a od wewnątrz pokrywała je cienka warstwa zrogowaciała, były to jednak dłonie delikatne, przyjemne w dotknięciu. Zwieszały się bezwładnie, jak martwe, w moich rękach, czułem jednak, że są silne, zręczne i wytrwałe, a przy tym lekkie i delikatne jak ręce chirurga, zegarmistrza czy mechanika precyzyjnego.

Były to ręce młodego rekruta piatiletki, „udarnika” trzeciego planu pięcioletniego, młodego Tatarą, który został mechanikiem, kierowcą czołgu; ręce wydelikaczone dawnym, tysiącletnim kontaktem z jedwabistą sierścią końską, z grzywami, ścięgnami, i pęciami, z muskulaturą koni, z uzdami, z miękką skórą siodła i uprzęży, ręce, które w ciągu niewielu lat zamieniły konia na maszynę, skórę na stal, ścięgna żywe na ścięgna metalowe, uzdę na drążek sterowy. Tych niewiele lat wystarczyło, żeby przekształcić młodych Tatarów znad Donu i Wołgi, ze stepów kirgiskich, wybrzeży Morza Kaspijskiego i Aralskiego - z pasterzy koni w wykwalifikowanych robotników przemysłu metalurgicznego ZSRR, z jeźdźców w „stachanowców” brygad szturmowych pracy, i koczowniczej ludności stepowej w „udarników” i speców piatiletki. Rozwiązałem ostatni supeł sznurka i podałem jeńcowi papierosa z paczki. Wsunąłem mu papierosa w usta i zapaliłem - a on się do mnie uśmiechnął. „Błagodariu. Dziękuję” - powiedział z uśmiechem. Ja uśmiechnąłem się także i siedzieliśmy tak długą chwilę, paląc w milczeniu. Odór padliny wypełniał pokój, tłusty, gęsty, słodkawy. Wdychałem tę woń zabitej klaczy z dziwną przyjemnością. I zdawało mi się, że jeńca również wdychanie tej woni napawa jakimś subtelnym, smętnym, ale miłym uczuciem, bo jego nozdrza drgały i rozdymały się lekko. Przyszło mi na myśl, że w tej bladej twarzy o barwie popiołu, której skośne oczy miały szkliste, nieruchome spojrzenie trupa, całe życie skupiło się w nozdrzach. Ów odór martwej klaczy był ojczyzną tego człowieka, jego ojczyzną odwieczną i odzyskaną. Patrzyliśmy sobie w oczy w milczeniu, wdychając tłustą, słodką woń z jakąś smutną, subtelną przyjemnością. Była to jego ojczyzna, odwieczna a żywa. Nic nas już teraz nie dzieliło, byliśmy obaj żywi i zbratani wśród prastarej woni zabitej klaczy.

Książę Eugeniusz podniósł głowę, obrócił oczy w stronę drzwi; jego nozdrza drgały, jak gdyby woń zabitej klaczy stanęła w progu pokoju i patrzyła na nas. Ale czuło się tylko zapach trawy i liści, morza i lasu. Noc już zapadła, tylko niepewny poblask snuł się jeszcze po niebie. W tej martwej poświacie dalekie domy Nybroplan, parowce i żaglowce przycumowane wzdłuż nabrzeży Strandvägen, drzewa w parku i upiorne zjawy Rodinowskiego „Myśliciela” i Nike z Samotraki odbijały się zniekształcone w nocnym krajobrazie, jak na rysunkach Ernsta Josephsona i Carla Hilla, którzy w swoim melancholijnym szaleństwie widzieli zwierzęta, drzewa, domy i okręty odbite w pejzażu jak w krzywym zwierciadle.

Miał ręce podobne do pańskich - powiedziałem.

Książę Eugeniusz spojrział na swoje ręce z pewnym zmieszaniem. Były to piękne, białe ręce Bernadotte'ów, o długich, cienkich palcach.

- Ręce mechanika - powiedziałem mu - kierowcy czołgu, „udarnika” trzeciej piatiletki są nie mniej piękne niż ręce księcia. To są ręce Mozarta, Stradivariusa, Picassa, Sauerbrucha.

Książę Eugeniusz uśmiechnął się i powiedział rumieniąc się lekko:

- Jestem tym bardziej dumny z moich rąk.

Świst wiatru wzmagął się, zaostrzał, podobny do przeciągłego, żałosnego rżenia. Był to wiatr północny i jego głos przejął mnie dreszczem. Wspomnienie okropnej zimy, przebytej na froncie w Karelii, między przedmieściami Leningradu a brzegiem Ładogi, nasunęło mi przed oczy obraz białych, milczących, niezmiernych lasów Karelii i drżałem, jak gdyby ten wiatr, w którego podmuchach dzwoniły cichutko szyby ogromnych okien, był tamtym okrutnym, lodowatym wiatrem karelskim.

- To wiatr północny - powiedział ksiązę Eugeniusz.

- Tak, to wiatr z Karelii - potwierdziłem - poznaję jego głos.

I zacząłem opowieść o lesie Raikkola i o koniach w Ładodze.

### III. Konie wśród lodu

Owego ranka poszedłem ze Svartströmem zobaczyć uwalnianie koni z lodowego więzienia.

Zielonkawe słońce na bladym błękitnie nieba wyglądało jak niedojrzałe jabłko. Odkąd zaczęła się odwilż, zamrznięta powierzchnia jeziora Ładoga skrzypiała, jęczała, wydawała raz po raz ostre krzyki bólu. W pełni nocy, z głębi korsu - sztaśasu zagrzebanego w śniegu w leśnej gęstwinie - słyszeliśmy te nagłe krzyki i żałosne jęki, nie cichnące przez długie godziny, aż do świtu. Była już wiosna i jezioro ziało nam prosto w twarz swoim zgniłym oddechem, w którym była woń zbutwiałego drewna, mokrych trocin, jednym słowem woń odwilży. Przeciwległy brzeg Ładogi wyglądał jak kreska lekko narysowana ołówkiem na bibule. Niebo było teraz bezchmurne, barwy spłowiałego błękitu, jak zrobione z bibułki. W głębi, w stronie Leningradu (szary obłok dymu stał wciąż nad oblężonym miastem) niebo było trochę przybrudzone, zmięte. Zielona żyła przecinała horyzont; często wydawało się, że pulsuje, jakby pełna była ciepłej krwi.

A więc, tego ranka poszliśmy zobaczyć, jak będą uwalniać konie uwięzione w lodzie. Poprzedniego wieczora pułkownik Merikallio powiedział wciągając wiatr w nozdrza:

- Trzeba będzie pogrzebać konie. Idzie wiosna.

Schodziłem do jeziora przez gęsty las brzozy usiany ogromnymi głazami czerwonego granitu. Nagle przed nami otworzył się widok na niezmierzone, ciemne zwierciadło Ładogi.

Brzeg radziecki majaczył niewyraźnie, daleko na horyzoncie w srebrzystej mgiełce żółkowanej błękitno i różowo. Z głębi lasu Raikkola słychać było raz po raz monotonne nawoływanie kukułki, świętego ptaka Karelii. Jakiś zwierz leśny wył w gęstwinie, różne tajemnicze głosy wołały, odpowiadały, znów wołały - natarczywe, żałosne, pełne błagania wabiącego i okrutnego zarazem.

Zanim opuściłem korsu dowództwa fińskiego, żeby zejść na brzeg jeziora, udałem się na poszukiwanie porucznika Svartströma. Na próżno stukałem do drzwi jego izdebki w korsu za stajniami. Las dokoła dowództwa wydawał się pusty. I wciąż unosił się w powietrzu ten zgniły zapach, dziwnie ciepły w zimnym powietrzu. Poszedłem w stronę korsu. Dziewczyna w mundurze lotty - markietanki - mieszała w wiadrze miążgę drzewną dla konia pułkownika.



- Hyvää päivää, dzień dobry - powiedziałem.

- Hyvää päivää.

Była to córka pułkownika Merikallio, wysoka, jasnowłosa dziewczyna, Finka z Oulu w Ostrobotni. Wyruszyła z ojcem na front jako lotta jeszcze podczas pierwszych walk w Finlandii, w zimie 1939 roku. Prowadziła kuchnię dowództwa i podawała do stołu, pod okiem ojca, o paręset zaledwie metrów od zasięgu rosyjskich karabinów.

Zsinalymi z zimna rękami w kubie pełnym ciepłej wody rozkruszała grudy miazgi drzewnej. Koń, uwiązany do drzewa, obracał głowę w jej stronę, wężąc paszę. Zima była okropnie ciężka tego roku. Straszne mrozy, głód, wszelkiego rodzaju trudności i wysiłki sprawiły, że twarze ludu fińskiego wychudły i pobladły, przybierając twarde, kościste zarysy twarzy bohaterów „Kalevali”, takich, jak ich malował Gallen-Kallela. Żołnierze, dzieci, kobiety, starcy, zwierzęta - wszyscy cierpieli głód. Nie było już ani źdźbła siana i słomy, ani ziarenka owsa dla koni. Psy pozabijano, rękawice żołnierzy były przeważnie z psiego futra. Ludzie żywili się chlebem z miazgi drzewnej, a koniom nawet smakowała słodka papka z celulozy o smaku rozgotowanego papieru.

Dziewczyna odwiązała konia, ujęła go przy pysku i dźwigając w lewej ręce kubek podeszła do drewnianego szaflika stojącego na skrzyni. Wlała papkę do szaflika i koń zabrał się powoli do jedzenia rozglądając się raz po raz dokoła. Najczęściej patrzył w stronę jeziora połyskującego ciemną taflą między drzewami. Z szaflika unosił się obłoczek pary, koń zanurzał weń pysk, ale zaraz znów podnosił głowę spoglądając w stronę jeziora i rżał.

- Co mu jest? - spytałem. - Wydaje się niespokojny.

Córka pułkownika Merikallio zwróciła się także twarzą ku jezioru.

- Czuje zapach koni - powiedziała.

Ja także czułem zapach koni: tłusty, ciepły odór złagodzony żywiczną wonią sosen i delikatnym zapachem brzoź. Kukułka powtarzała swoje wołanie z głębi lasu, wiewiórka z sztywno uniesioną kitką biegła w górę po pniu drzewa. Dziewczyna zabrała pusty kubek i weszła do korsu koni. Słyszałem, jak przemawia do nich powolnym, łagodnym rytmem fińskiej mowy, słyszałem głuche postukiwania kopyt, brzęk żelaznych pierścieni i krótkie, niecierpliwe rżenia.

Poszedłem w stronę jeziora. Svartström czekał na mnie na zakręcie ścieżki, oparty o pień drzewa; wysoką czapę baranią zsunął na kark, nogi tkwiły do pół uda w lapońskich butach z reniferowej skóry, z nosami zadartymi w górę jak u perskich papuci. Stał pochylony nieco, o parę kroków ode mnie, postukując pustą fajką o dłoń. Kiedy stanąłem przy nim, uniósł głowę, spojrzał na mnie i powiedział z uśmiechem:

- Hyvää päivää.

- Hyvää päivää, Svartström.

Był blady, czoło miał zroszone potem ze zmęczenia i niewyspania. Powiedział, jakby na usprawiedliwienie, że przez całą noc chodził po lesie z patrolem sissit, fińskich partyzantów.

- Gdzie jest pułkownik Merikallio? - zapytałem.

- Poszedł na linię.

Svartström przyglądał mi się spod oka, wciąż uderzając pustą fajką o dłoń i raz po raz odwracał się w stronę jeziora. Widziałem, jak drgają mu nozdrza. Oddychał nosem, zwyczajem mieszkańców lasu, tak jak to robią sissit: oddech lekki, ostrożny, nieufny, wciągający w płuca zaledwie odrobinę powietrza.

- Naprawdę chcesz je zobaczyć? - zapytał. - Lepiej byś zrobił idąc z pułkownikiem na linię. Poszedł do okopów umyślnie, żeby nie widzieć, jak je będą wieźli.

Wiatr przyniósł woń końską, tłustą i słodkawą.

- Chciałbym je zobaczyć jeszcze ostatni raz, Svartström, zanim je zabiorą.

Ruszyliśmy ku jezioru. Śnieg był mokry, wiosenny już, nie biały, tylko jak stara kość słoniowa. Miejscami, tam, gdzie przeglądało podłoże z czerwonego granitu, śnieg miał kolor wina. A tam, gdzie drzewa rosły nie tak gęsto, okryty był przejrzystą zasłoną lodu, podobną do lśniącej tafli kryształu z Orrefors; przeglądały przez nią igły sosnowe, liście, kolorowe kamyczki, żółta trawa i strzępki białej skórki odziewającej pnie brzoź. Skręcone korzenie drzew wystawały nad tę tafel kryształową, podobne do zamrożonych węży, i wydawało się, że drzewa rodzą się z lodu, że młode listeczki o jasnej, delikatnej zieleni czerpią swe siły żywotne z tej martwej, szklistej materii. Powietrzem przelatywały dziwne dźwięki: nie był to odgłos uderzanego młotem żelaza ani przeciągły, drżący jęk, jaki wydają dzwony na wietrze, ani cichy brzęk szkła, kiedy się w nie stuka palcem; nie był to również wysoki, krągły szum roju dzikich pszczół uganiającego się po lesie - ale coś jak żałosny lament, jęk zranionego zwierzęcia, samotny, beznadziejny głos konania, wznoszący się ku niebu niby niewidzialne stado żałosnego ptactwa.

Zima, ta straszliwa zima roku 1941, która stała się dla fińskiego narodu wielką plagą, istną great plague; ta biała dżuma, która zapełniła szpitale i cmentarze całej Finlandii, leżała teraz, niby olbrzymi nagi trup, na lasach i jeziorach. Jej ciało w rozkładzie zatruwało powietrze wonią zbutwiałego drewna i już właśnie pierwsze podmuchy wiosennego wiatru niosły te schorzałe wyziewy, jakiś psi oddech, intymny i zwierzęcy; nawet śnieg wydawał się ciepły.

Od kilku dni żołnierze byli mniej smutni, żwawszy, mówili głośniejszy, a w pewnych porach dnia szczególnie jakiś niepokój nawiedzał linie okopów, korsu, lottala i schrony żłobione w gęstwinach lasów Raikkola. Ludzie Północy, dla których wiosna jest świętą porą roku, dla uczczenia jej powrotu rozpalają wielkie ogniska na górach, śpiewają, piją i tańczą całą noc. Ale wiosna jest też podstępny chorobą Północy, niszczy zdradziecko to, czego zima strzegła i co chroniła zazdrośnie w lodowym więzieniu. Rozrzuca swoje niebezpieczne dary - miłość, radość życia, porywy lekkomyślności, wesołość, upodobanie do próżniactwa, kłótni i snu, żar zmysłów, złudę pojednania z przyrodą. Jest to pora roku, która w oczach mieszkańca Północy rozpala mętny płomień; jego czoło, czyste i wolne pod działaniem zimy, przystania dumny cieniem śmierci.

- Zmyliliśmy drogę, Svartström.

Nie poznawałem już ścieżki, którą tylekroć przebywałem w ciągu zimy idąc do jeziora, żeby popatrzeć na konie. Stała się jakaś węższa, bardziej kręta, a las dookoła niej wyraźnie zgęstniał; w miarę jak śnieg topnieje, zmienia barwę, a z lśniącego kokonu lodu wyłania się poczwarka wiosny,

pozostawiając za sobą nagą, martwą powłokę zimową, las bierze znowu górę nad śniegiem i mrozem, staje się gęsty, splątany, pełen sekretów - zielony, tajemniczy, niedostępny świat.

Svartström szedł powoli i ostrożnie, raz po raz przystawał, nasłuchując, wyławiając z ciszy leśnej, tej muzycznej ciszy przyrody, to drobne kroczyki wiewiórki biegnącej po pniu sosny, to szelest biegu zajęcia, to podejrzliwe węszenie lisa, śpiew ptaka, szmer suchego liścia i dalekie, zniekształcone, chore głosy ludzkie. Cisza dokoła nas nie była już martwą ciszą zimową, mroźną i przejrzystą jak blok kryształu: była to cisza żywa, przebiegały przez nią ciepłe prądy barw, dźwięków, zapachów. Była to cisza podobna do rzeki: czułem, jak opływa mnie dokoła, miałem wrażenie, że zanurzyłem się w najgłębszy nurt tej niewidzialnej rzeki, pomiędzy jej brzegami wilgotnymi i ciepłymi jak wargi. Las zaczynało przenikać ciepło rodzącego się słońca. W miarę jak słońce podnosiło się nad łukiem widokowego wzniesienia nad srebrzystym zwierciadłem jeziora lekką różową mgiełką, wiatr przynosił coraz wyraźniej daleki grzechot karabinu maszynowego, pojedyncze strzały karabinowe, zagubiony zew kukułki. A w głębi tego pejzażu dźwięków, barw i zapachów, w przecince leśnej połyskiwało coś ciemno lśniącego, drgającego niby jakieś nierzeczywiste morze: ładoga, olbrzymia lodowa przestrzeń ładogi.

Wreszcie wyszliśmy z lasu na brzeg jeziora i ujrzeliśmy konie.

Było to ubiegłego roku, w grudniu. Przednie strażnice fińskie, przebywszy lasy Vuoksi, pojawiły się na skraju dzikiej, bezbrzeżnej puszczy Raikkola. Bory pełne wojsk rosyjskich. Prawie cała artyleria radziecka z północnego odcinka Przesmyku Karelskiego, ustępując pod naporem wojsk fińskich, ściągnęła na brzeg Ładogi w nadziei, że uda się zaokrętować działa i konie i przeprowadzić je bezpiecznie na drugą stronę jeziora. Ale barki i holowniki radzieckie spóźniły się, każda zaś godzina opóźnienia mogła się okazać fatalna, gdyż mróz wzrastał się zaciekle i lada chwila jezioro mogło zamarznąć. Już też i wojska fińskie, złożone przeważnie z oddziałów sissit, zapuszczały się w kręte leśne drogi, naciskały Rosjan ze wszystkich stron, szarpały od boków i z tyłu.

Trzeciego dnia ogromny pożar wybuchnął w puszczy Raikkola. Ludzie, konie i drzewa - wszystko, co żyło, zamknięte w kręgu ognia, wydawało przeraźliwe głosy. Oddziały sissit oblegały pożar, strzelając w ściany płomieni i dymu, odcinając wszelkie drogi ucieczki. Oszalałe z przerażenia konie artylerii radzieckiej, a było ich około tysiąca, rzucały się w to piekło, przedzierały się przez płomienie i ogień karabinów maszynowych. Wiele ich zginęło w ogniu, ale znaczna część wydostała się na brzeg jeziora i popędziła wprost do wody.

Jezioro w tym miejscu nie jest głębokie, ma najwyżej dwa metry. Ale o jakie sto kroków od brzegu dno opada gwałtownie, pionowo. Ściśnięte na ciasnej przestrzeni (linia brzegu na tym odcinku wygina się łagodnym łukiem), między głębią a ścianą ognia, konie tłoczyły się, drżące z zimna i trwogi, wyciągając głowy nad powierzchnię wody. Te, które były bliżej brzegu, atakowane z tyłu przez ogień, stawały dęba, wspaniały się na grzbiety towarzyszy, usiłując torować sobie drogę zębami i kopytami. W tej zacieklej walce zaskoczył je mróz.

W nocy przyszedł wiatr północny. (Wiatr północny przychodzi z Murmańskiego Wybrzeża, niby anioł, na którego wołanie ziemia nagle zamiera). Zimno stało się nie do zniesienia. Woda ścięła się gwałtownie z charakterystycznym wibrującym dźwiękiem pękającego szkła. Morza, jeziora i rzeki

zamarzają tak niespodzianie wskutek załamania, jakie ni stąd, ni zowąd następuje w równowadze termicznej. Nawet fala morska zatrzymuje się w pół skoku, zmienia się w zakrzywioną falę lodu, zawisłą w powietrzu.

Nazajutrz, kiedy pierwsze patrole sissit z opalonymi włosami, twarzami czarnymi od dymu, ostrożnie stąpając po gorących jeszcze popiołach zwęglonego lasu, dotarli do brzegu jeziora, oczom ich ukazał się widok pełen grozy i wspaniały zarazem. Jezioro wyglądało jak ogromna płyta białego marmuru, w której tkwiły setki łbów końskich. Wydawały się wszystkie ścięte wprawnym, precyzyjnym ciosem katowskiego topora. Same tylko łby wystawały ponad lodową skorupę. I wszystkie zwrócone były ku brzegowi. W szeroko rozwartych oczach płonął jeszcze biały płomień trwogi. Tuż przy brzegu kłębowisko zaciekle walczących koni zdawało się wyrwać z lodowego więzienia.

Potem przyszła zima, wiatr północny ze świstem zmiatał śnieg., powierzchnia jeziora była zawsze czysta i gładka, jakby przygotowana do rozgrywki hokeja na lodzie. W mroczne dni nie kończącej się zimy, koło południa, kiedy z nieba spływa odrobina światła, żołnierze pułkownika Merikallio schodzili do jeziora i siadali na głowach koni. Wyglądały jak drewniane konie karuzeli. Tournez, tournez, bons chevaux de bois. Scena jak namalowana przez Boscha. Wiatr szumiący w czarnych szkieletach drzew tworzył łagodną, smutną dziecięcą muzykę, płyta lodowa zaczynała się kręcić, konie makabrycznej karuzeli galopowały w smętnym rytmie muzyki, jeżąc grzywy. Hop-la! - pokrzykiwali żołnierze.

W niedzielne ranki sissit gromadzili się w raikkolskiej lottala, wypijali po kubku herbaty i ruszali w stronę jeziora. (Sissit to fińscy szperacze, wilki leśnej wojny. Są na ogół młodzi, czasem bardzo młodzi, nieomal dzieci. Przynależą do samotniczej i milczącej rasy bohaterów Sillanpää. Całe życie spędzają w głębi lasów, żyją jak drzewo, kamień czy zwierz leśny.) Schodzili na jezioro, zasiadali na głowach końskich, ktoś zaczynał grać na harmonii jakąś laulu, najczęściej była to „Vartiossa”, pieśń wartowników. Otuleni w baranie kozuski, w wysokich futrzanych czapach nasuniętych na czoło, sissit śpiewali chórem smętne laulu. Potem harmonista, siedząc na zlodowaciałej grzywie, przebiegał palcami po klawiszach instrumentu i sissit intonowali „Reppurin laulu”, karelską pieśń o kukułce, świętym ptaku Karelii:

Siell mie paimelauluin laulutin  
min muamo mieroon suori  
Karjalan maill kulakäköset guk-kuup.

Głos kukułki, guk-kuup, dźwięczał głośno i smętnie w leśnej ciszy. Na drugim brzegu ładogi grzmiąły działa. Huk eksplozji szedł od drzewa do drzewa jak szum skrzydeł, jak szelest liści. Ponad tę pełną utajonego życia ciszę, którą rozlegające się od czasu do czasu samotne echa strzałów karabinowych czyniły jeszcze głębszą i bardziej tajemniczą, wzbijało się natarczywe, monotonne, czyste w tonie wołanie kukułki, wołanie prawie ludzkie: „guk-kuup, guk-kuup”.

Czasem i my także chodziliśmy do jeziora, Svartström i ja, siadaliśmy na głowach koni. Wsparty łokciem o twardą lodową grzywę Svartström uderzał pustą fajką o dłoń, wpatrzony przed siebie, daleko, poprzez srebrzystą lodową przestrzeń jeziora. Svartström pochodzi z Viipuri, karelskiego miasta na brzegu Zatoki Fińskiej naprzeciw Leningradu. Ożenił się z młodą Rosjanką z Leningradu, Rosjanką francuskiego pochodzenia, i sam ma w sobie jakiś delikatny wdzięk, którego na ogół mężczyźni Północy nie mają, coś francuskiego, co może udzieliło mu się przez żonę, jego baby kulta (kulta znaczy po fińsku „złota”). Zna parę słów francuskich, mówi oui, mówi charmant, mówi pauvre

petite. Mówi także naturlement zamiast naturellement. I mówi jeszcze amour, mówi to nawet często. I jeszcze très beaucoup. Jest malarzem plakatów reklamowych i długie godziny spędza rysując czerwone i niebieskie kwadraty czerwono-niebieskim ołówkiem albo wycinając imię swojej baby kulta na białej korze pni brzoźowych, często też pisze słowo amour końcem okutej laski na śniegu.

Svartström nie miewał nigdy ani szczypty tytoniu, od miesiąca już stukał tylko pustą fajką o dłoń i czasem pytałem go:

- Przyznaj się Svartström, pewien jestem, że zapaliłbyś nawet kawałek ludzkiego mięsa. - A on bladł i mówił: - Jeżeli ta wojna potrwa... - Jeżeli ta wojna potrwa - ja na to - zmienimy się wszyscy w zwierzęta, i ty także, no nie? - A on odpowiadał: - Ja także, naturlement.

Lubiłem go, polubiłem Svartströma tego dnia, kiedy zobaczyłem, jak pobladł (byliśmy wtedy w Kannas, niemal na przedmieściu Leningradu) z powodu kawałka ludzkiego mięsa, znalezionego przez sissit w chlebaka rosyjskiego spadochroniarza, który przez dwa miesiące ukrywał się w jamie wygrzebanej w lesie, razem ze zwłokami swego towarzysza. Wieczorem, w korsu, Svartström zaczął wymiotować i płakać.

- Rozstrzelali go - mówił - ale czy on był temu winien? Wszyscy zmienimy się w dzikie bestie, będziemy się w końcu nawzajem zjadać.

Nie był wcale pijany, nie pił prawie nigdy. Nie alkohol przyprawił go o wymioty, tylko ten kawałek ludzkiego mięsa. Od tej chwili stał mi się bliski, ale czasem widząc, jak postukuje pustą fajkę kawałkiem ludzkiego mięsa?

- No co, Svartström, prawda, że byłbyś zdolny napchać swoją fajkę kawałkiem ludzkiego mięsa?

Pewnego wieczora, podczas obiadu w poselstwie hiszpańskim w Helsinkach, minister pełnomocny Hiszpanii, hrabia Agustín de Foxá, opowiedział o tym kawałku ludzkiego mięsa, które sissit znaleźli w chlebaka rosyjskiego spadochroniarza. Obiad był znakomity, stare wina hiszpańskie przydawały słonecznego ciepła i wykwintnego smaku łososiowi z Oulu i wędzonemu ozorowi rena. Wszyscy zaczęli protestować, twierdzili, że ów rosyjski spadochroniarz nie był człowiekiem, ale zwierzem, nikt jednak nie wymiotował - ani hrabia Mannerheim, ani Demeter Slörn, ani księżę Cantemir, ani pułkownik Slörn, adiutant Prezydenta Republiki, ani baron Bengt von Törne, ani nawet Titu Mihailescu; nie, nikomu nie zebrało się na wymioty.

- Chrześcijanin - powiedziała Anita Bengenström - umarłby raczej z głodu, niż zjadł ludzkie mięso.

Hrabia de Foxá roześmiał się:

- Cha, cha, cha! Katolik nie, katolik na pewno nie: katolicy chętnie jedzą ludzkie mięso.

A kiedy wszyscy zaprotestowali z oburzenia (biały refleks śniegu w tę pogodną noc przełamywał się w szybach okien; był to jakby refleks niezmierzonego zwierciadła, rozniecający błyski w ciemnej powierzchni masywnych orzechowych mebli, w lśniącym werniksie olejnych portretów hiszpańskich, w złotym krucyfiksie na ścianie obitej grubym czerwonym brokatem), hrabia de Foxá powiedział, że wszyscy katolicy jedzą ludzkie mięso, ciało Jezusa Chrystusa, najświętsze ciało Jezusa, hostię, to najbardziej ludzkie i najbardziej boskie ciało na świecie. I zaczął recytować z powagą wiersz Federika Garcii Lorki, hiszpańskiego poety rozstrzelanego w 1936 roku przez ludzi Franco, słynną „Oda al

Santisimo Sacramento de Altar”, która zaczyna się jak pieśń miłosna: Cantaban las mujeres. Kiedy doszedł do fragmentu o żabie, de Foxá podniósł lekko głos:

Vivo estabas, Dios mio, dentro del ostensorio  
punzado por tu Padre con agujas de lumbre.  
Latiendo como el pobre corazoñ de la rana  
que los médicos ponen en el frasco de vidrio.<sup>6</sup>

- Ależ to okropne! - powiedziała hrabina Mannerheim. - Boskie ciało Jezusa pulsujące w monstrancji jak serce żaby! Ach, wy, katolicy, jesteście potworami.

- Nie ma na świecie mięsa lepszego - powiedział hrabia de Foxá z namaszczeniem.

- No co, Svartström - mówiłem - prawda, że byłbyś zdolny palić w fajce ludzkie mięso?

Svartström uśmiechał się znużonym, smutnym uśmiechem. Patrzył na łby końskie sterczące z lodowatej tafli, na martwe łby o grzywach zlodowaciałych, twardych jak drewno, na szeroko rozwarte oczy pełne przerażenia. Lekko głaskał ręką wysunięte naprzód pyski, bezkrwiste nozdrza, wargi ściągnięte w rozpaczliwym rzeniu (w rzeniu zdławionym w pyskach pełnych zamarłej piany). A potem odchodziliśmy w milczeniu, w przejściu gładząc białe oszronione grzywy. Wiatr gwizdał cicho na olbrzymiej płycie białego marmuru.

Tego więc ranka poszliśmy zobaczyć uwalnianie koni z ich lodowego więzienia.

Tłusty, słodkawy odór snuł się w ciepłym powietrzu. Było pod koniec kwietnia, słońce mocno już przygrzewało. Odkąd nastała odwilż, konie uwięzione w lodowej skorupie zaczęły cuchnąć.

W niektórych zwłaszcza porach dnia ów odór padliny stawał się bardzo dokuczliwy. Toteż pułkownik Merikallio kazał wydobyć konie z jeziora i zakopać je w głębi lasu. Ekipy żołnierzy uzbrojone w piły, siekiery, łomy żelazne, kilofy i liny wyruszyły na ładogę z setką sań.

Kiedy doszliśmy do brzegu jeziora, żołnierze byli od dawna przy pracy. Koło pięćdziesięciu koni załadowano już, kładąc je w poprzek na samach. Nie były sztywne, ale miękkie i wzdęte; długie, jasne grzywy rozmarzły i zwiotczały. Powieki opadły na wodniste, wilgotne oczy. Żołnierze rąbali lodową skorupę kilofami i siekierami, konie przewracały się i wyływały na powierzchnię brudnej, białej wody pełnej pęcherzyków powietrza i kawałków gąbczastego śniegu. Żołnierze obwiązywali konie sznurami i wyciągali na brzeg. Konie z rozmieszczonych po lesie baterii rżały wężąc tłustą, słodkawą woń, konie u dyszli sań odpowiadały im przeciągle i żałośnie.

- Pois, pois! Wio, wio! - pokrzykiwali żołnierze wymachując batami. Sanie sunęły po rozmiękłym śniegu z głuchym szelestem Dzwonki uprząży dźwięczały w ciepłym powietrzu, dziwnie wesoło jak na pieśń pogrzebową.

---

<sup>6</sup> Żywy byłeś, Boże mój, wewnątrz monstrancji,  
przebity przez ojca świetlistymi igłami.  
Pulsujący jak biedne serce żaby,  
którą lekarze zamykają w szklanym słoju.

W pokoju jest już prawie ciemno. Wiatr szumi posępnie w starych dębach Oakhill; to bolesne rżenie północnego wiatru przejmuje mnie dreszczem.

- Pan jest okrutny - odzywa się książę Eugeniusz - żal mi pana.

- Jestem panu niezmiernie wdzięczny - odpowiadam i zaczynam się śmiać, ale zaraz robi mi się wstyd tego śmiechu i czerwienię się. - Mnie samemu żal siebie; i wstydzę się tego, że mi żal.

- Och, pan jest okrutny - powtarza książę Eugeniusz - chciałbym umieć panu dopomóc.

- Proszę mi pozwolić - mówię - opowiedzieć sobie pewien dziwny sen. Jest to sen, który często zakłóca moje noce. Wychodzę na plac pełen ludzi, wszyscy patrzą w górę, ja także podnoszę oczy i widzę wznoszącą się tuż nad placem wysoką, stromą górę. Na samym jej szczycie stoi wielki krzyż. Z jego ramion zwisa ukrzyżowany koń. Kaci na drabinach kończą wbijać gwoździe. Słychać uderzenia młotków. Ukrzyżowany koń kołysze łbem na boki i cicho rży. Tłum płacze bezgłośnie. Ofiara Chrystusa-konia, tragedia zwierzęcej Golgoty. Chciałbym, żeby mi pan pomógł zrozumieć sens tego snu. Czy ta śmierć Chrystusa-konia nie może być wyrazem śmierci wszystkiego, co jest w człowieku czyste i szlachetne? Czy nie myśli pan, że ten sen ma związek z wojną?

- Wojna sama jest tylko snem - mówi książę Eugeniusz przesuwając dłonią po oczach i czole.

- Umiera wszystko, co Europa ma szlachetnego, miłego, czystego. Naszą ojczyzną jest koń. Nie wiem, czy pan rozumie, co chcę powiedzieć. Nasza ojczyzna, nasza stara ojczyzna umiera. A wszystkie te obsesyjne widziadła, ta nieustanna obsesja rżenia końskiego, okropnej, żalostnej woni końskiej padliny, martwych koni porzuconych na drogach wojny - czy nie myśli pan, że to odpowiednik obrazów wojny, naszego głosu, naszego zapachu, woni umarłej Europy? Czy nie wydaje się panu, że ten sen także oznacza coś w tym rodzaju? Ale może lepiej nie tłumaczyć sobie snów.

- Niech pan zamilknie - mówi książę Eugeniusz. A potem nachyla się ku mnie i dodaje cicho: - Ach, gdybym umiał cierpieć tak, jak pan!

## Część druga

### Szczury

#### IV. God shave the King

Jestem królem: der König - rzekł Reichsminister Frank, Generalgouverneur Polski, rozkładając szeroko ramiona i wodząc po współbiedniakach wzrokiem pełnym pychy i zadowolenia.

- Niemiecki król Polski, der deutsche König von Polen - powtórzył Frank.

Przyglądałem mu się z uśmiechem.

- Czemu się pan uśmiecha? Nie widział pan nigdy króla? - zapytał mnie.

- Rozmawiałem z wieloma królami i z wieloma jadłem obiad w ich zamkach i pałacach - odparłem - ale żaden z nich nie mówił mi nigdy: jestem królem.

- Sie sind ein enfant gâté - odezwała się mile Frau Brigitte Frank, die deutsche Königin von Polen.

- Ma pan rację - rzekł Frank. - Prawdziwy król nie mówi nigdy „jestem królem”. Ale ja nie jestem prawdziwym królem, chociaż moi przyjaciele w Berlinie nazywają Polskę Frankreich. Mam prawo życia i śmierci nad polskim narodem, ale królem Polski nie jestem. Odnoszę się do Polaków z wielkodusznością i dobrotliwością króla, a jednak nie jestem prawdziwym królem. Polacy nie zasługują na takiego króla jak ja. To niewdzięczny naród.

- Nie są bynajmniej niewdzięczni - powiedziałem.

- Byłbym najszcześniejszym człowiekiem na ziemi, byłbym doprawdy Gott in Frankreich - Bogiem w królestwie Franka - gdyby Polacy byli należycie wdzięczni za wszystko, co dla nich robię... Ale im bardziej się staram ulżyć ich doli i postępować z nimi sprawiedliwie, tym bardziej oni gardzą dobrodziejstwami, jakie wyświadczam ich ojczyźnie. To niewdzięczny naród.

Cichy szmer aprobaty przebiegi dokoła biesiadnego stołu.

- Są narodem dumnym i pełnym godności - powiedziałem uśmiechając się uprzejmie - a pan jest ich władcą. Ich obcym władcą.

- Ich niemieckim władcą. A oni nie są godni zaszczytu posiadania niemieckiego władcy.

- Istotnie, na to nie zasługują. Szkoda, że pan nie jest Polakiem.

- Ja, schade! - wykrzyknął Frank wybuchając radosnym śmiechem, któremu biesiadnicy hucznie zawtórowali. Nagle Frank przestał się śmiać i przyłożył dłoń do piersi. - Polak! - powiedział. - Ależ spójrzcie na mnie! Jakże mógłbym być Polakiem? Czy wyglądam na Polaka?

- Pan jest katolikiem, prawda?

- Tak - rzekł Frank zaskoczony nieco pytaniem. - Jestem Niemcem z Frankonii.

- A zatem katolikiem.

- Tak, ale katolikiem niemieckim - odparł.

- Ma pan więc coś wspólnego z Polakami. Katolicy są wszyscy sobie równi. Jako dobry katolik, powinien by pan uważać się za równego Polakom.

- Jestem katolikiem - mówił Frank - i to dobrym katolikiem. Ale wydaje się panu, że to dosyć? Moi współpracownicy są również katolikami, wszyscy pochodzą z dawnej Austrii. Ale myśli pan, że wystarczy być katolikiem, żeby móc rządzić Polakami? Nie ma pan nawet pojęcia, jak trudno jest rządzić narodem katolickim.

- Nigdy nie próbowałem - powiedziałem z uśmiechem.



- I niech pan się tego strzeże! Tym bardziej - dodał pochylając się nad stołem i zniżając tajemniczo głos - tym bardziej, że w Polsce trzeba na każdym kroku liczyć się z Watykanem. Wie pan, kto stoi za plecami każdego Polaka?

- Polski ksiądz - powiedziałem.

- Nie - rzekł Frank - papież. Ojciec Święty we własnej osobie.

- Musi to być rzecz dosyć kłopotliwa - zauważyłem.

- Co prawda, za mną stoi Hitler, ale to nie to samo.

- Rzeczywiście, nie to samo - potwierdziłem.

- Czy za plecami każdego Wiocha także stoi Ojciec Święty? - zapytał Frank.

- Włosi - odpowiedziałem - wolą nie mieć za plecami nikogo.

- Ach, so! - roześmiał się Frank - ach, so!

- Sie sind ein enfant terrible - po raz wtóry powiedziała wdzięcznie „niemiecka królowa Polski”.

- Zastanawiam się - podjął Frank - jak Mussolini sobie radzi, żeby być w zgodzie z papieżem.

- Między Mussolinim a papieżem - powiedziałem - początkowo powstawały także poważne trudności. Obaj mieszkają w tym samym mieście i obaj roszczą sobie pretensje do nieomyślności: starcie między nimi było rzeczą nieuniknioną. Potem ułożyli się między sobą i dalej wszystko się już dzieje ku obopólnemu zadowoleniu. Kiedy mały Włoch przychodzi na świat, Mussolini bierze go pod swoją opiekę: powierza go najpierw przedszkolu, potem posyła do szkoły, następnie wyucza go zawodu, wpisuje w szeregi partii faszystowskiej, wyznacza mu pracę - do dwudziestego roku życia. W wieku lat dwudziestu powołuje go pod broń, dwa lata trzyma w koszarach, potem go zwalnia, zasadza znowu do pracy, z chwilą osiągnięcia pełnoletności daje mu żonę; jeżeli urodzą mu się dzieci, powtarza w stosunku do synów to samo, co przedtem robił z ich ojcem. Kiedy ojciec jest już stary, nie może pracować i nie ma z niego żadnego pożytku, odsyła go do domu, wyznacza mu rentę i czeka, aż umrze. A na koniec, kiedy jest już nieboszczykiem, Mussolini odstępkuje go papieżowi, żeby z nim zrobił, co chce.

„Niemiecki król Polski” podniósł w górę ramiona, poczerwieniał, spurpurowiał, jakby się dusił; na co wszyscy biesiadnicy również wyrzucili w górę ramiona, wykrzykując: „Ach! Wunderbar! Wunderbar!” Wreszcie Frank wypił duży łyk wina i powiedział głosem drżącym jeszcze z przejęcia: - Ach, ci Włosi! Ci Włosi! Co za geniusz polityczny! Co za poczucie prawa! Szkoda - dodał ocierając spoconą twarz - że nie wszyscy Niemcy są katolikami. Problem religijny w Niemczech byłby wtedy o wiele prostszy: katolików zaraz po śmierci odstępowalibyśmy papieżowi. Ale komu moglibyśmy przekazywać protestantów?

- Jest to problem - powiedziałem - który Hitler powinien był już dawno rozstrzygnąć.

- Czy pan zna Hitlera osobiście? - zapytał Frank.

- Nie, nigdy nie dostąpiłem tego zaszczytu - odparłem - widziałem go tylko raz jeden w Berlinie, podczas pogrzebu Todta. Byłem na ulicy, w tłumie.

- Jakie zrobił na panu wrażenie? - zapytał Frank z widoczną ciekawością.

- Miałem wrażenie, że nie wie, komu powinien przekazać zwłoki Todta.

Nowy wybuch śmiechu powitał moje słowa.

- Mogę pana zapewnić - rzekł Frank - że Hitler rozstrzygnął problem już dawno, nicht wahr? - i spojrział, śmiejąc się, na współbiesiadników.

- Ja, ja, natürlich! - wykrzyknęli chórem.

- Hitler jest człowiekiem wyższego rzędu. Chyba i pan uważa Hitlera za człowieka wyższego rzędu? - A kiedy się zawahałem, spojrział na mnie bystro i dodał z uprzejmym uśmiechem: - Rad byłbym usłyszeć pana zdanie o Hitlerze.

- Jest niemal człowiekiem - odpowiedziałem.

- Co takiego?

- Niemal człowiekiem. Chcę przez to powiedzieć, że nie jest człowiekiem w ścisłym sensie tego słowa.

- Ach, so! - rzekł Frank. - Chce pan powiedzieć, że to Übermensch? Tak, Hitler nie jest człowiekiem w zwykłym sensie tego słowa. To nadczłowiek.

- Herr Malaparte - wtrącił w tym miejscu milczący dotąd gość, siedzący u końca stołu - napisał w jednej ze swoich książek, że Hitler jest kobietą.

Był to szef gestapo na Generalgouvernement Polski, człowiek Himmlera. Jego głos był zimny, łagodny, smutny, daleki. Podniosłem oczy, ale zabrakło mi odwagi, żeby na niego spojrzeć. Ten jego zimny, łagodny, smutny, daleki głos sprawił, że serce we mnie zadrżało.

- Istotnie - odezwałem się po chwili ogólnej ciszy - Hitler jest kobietą.

- Kobietą?! - wykrzyknął Frank wbijając we mnie niespokojny i zdumiony wzrok.

Wszyscy patrzyli na mnie milcząc.

- Jeżeli nie jest człowiekiem w ścisłym sensie - powiedziałem - czemuż nie mógłby być kobietą? Cóż byłoby w tym złego? Kobiety w pełni zasługują na nasz szacunek, naszą miłość, nasz podziw. Pan mówi, że Hitler jest ojcem narodu niemieckiego, nicht wahr? Czemuż nie miałby być jego matką?

- Matką?! - wykrzyknął Frank. - Die Mutter?

- Matką - powtórzyłem. - To przecież matki poczynają synów w swym łonie, rodzą ich w bólach, karmią własną krwią i własnym mlekiem Hitler jest matką nowego narodu niemieckiego, on go począł w swym łonie, porodził w bólach, wykarmił własną krwią i własnym...

- Hitler nie jest matką niemieckiego narodu, ale jego ojcem - przerwał mi Frank surowo.

- W każdym razie - powiedziałem - naród niemiecki jest jego synem, to nie ulega wątpliwości.
- Tak - rzekł Frank. - To nie ulega wątpliwości. Wszystkie ludy nowej Europy, a w pierwszym rzędzie naród polski, powinny czuć się dumne mając w Hitlerze ojca sprawiedliwego i surowego. A czy wie pan, co Polacy o nas myślą? Że jesteśmy narodem barbarzyńców.
- A pana to obraża? - zapytałem z uśmiechem.
- Jesteśmy narodem panów, a nie barbarzyńców: Herrenvolk.
- Ach, niech pan tak nie mówi!
- Dlaczego? - zapytał Frank głęboko zdumiony.
- Bo panowie i barbarzyńcy to jedno i to samo.
- Nie zgadzam się z panem - rzekł Frank - My jesteśmy Herrenvolk, nie jesteśmy barbarzyńcami. Czy ma pan może wrażenie, dziś wieczór, że znajduje się pan wśród barbarzyńców?
- Nie. Ale wśród panów - odpowiedziałem i dodałem z uśmiechem: - Muszę przyznać, że kiedy dziś wieczór wchodziłem na Wawel, wydawało mi się, że wstępuję na któryś z renesansowych dworów włoskich.

Tryumfalny uśmiech rozjaśnił twarz „niemieckiego króla Polski”. Powiódł po biesiadnikach spojrzeniem pełnym pychy i zadowolenia. Był szczęśliwy. A ja wiedziałem z góry, że go moje słowa uszczęśliwią.

W Berlinie, przed moim wyjazdem do Polski, Scheffer w swoim biurze przy Wilhelm Platz udzielił mi ze śmiechem takiej rady:

- Niech pan się stara unikać ironii w stosunkach z Frankiem. To porządny facet, ale na ironii się nie zna. A jeżeli już pan nie może się od tego powstrzymać, to przynajmniej niech pan nie omieszka mu powiedzieć, że jest włoskim signore z epoki renesansu. Odpuści panu za to wszystkie grzechy!

Przypomniałem sobie radę Scheffera w najważniejszym momencie.

Siedziałem oto przy stole Franka, „niemieckiego króla Polski”, na Wawelu, starym zamku królów polskich w Krakowie. Frank siedział naprzeciw mnie w krześle o wysokim, sztywnym oparciu, jak gdyby to był tron Jagiellonów i Sobieskich i wydawał się szczerze przekonany, że jest wcieleniem królewskich i rycerskich tradycji Polski. Naiwna duma jaśniała na jego twarzy o białych, nalanych policzkach, w której orli nos stanowił akcent woli pełnej próżności, a niepewnej siebie. Czarne lśniące włosy, zaczesane do tyłu, odstaniały wysokie czoło, białe z odcieniem kości słoniowej. Coś dziecinnego i starczego zarazem było w jego mięsistych wargach, wysuniętych w przód jak u nadąsanego dziecka, w oczach nieco podpuchniętych, o grubych, ciężkich powiekach, trochę może dla tych oczu za wielkich, w sposobie przymrużania oczu, sprawiającym, że jego skronie przecięte były dwiema prostymi, głębokimi bruzdami. Skórę twarzy pokrywał lekki nalot potu; w świetle wielkich holenderskich żyrandoli i srebrnych kandelabrow ustawionych rzędem na stole, których płomyki odbijały się w kryształach czeskich i saskiej porcelanie, wilgotna twarz Franka lśniła jakby osłonięta maską z celofanu.

- Moją jedyną ambicją - mówił Frank opierając dłonie o krawędź stołu i odchylając się do tyłu - jest wznieść naród polski na zaszczytne miejsce w cywilizacji europejskiej, uczynić z tego narodu bez kultury...

Urwał nagle, jakby nasunęło mu się na myśl jakieś podejrzenie, spojrzął na mnie bystro i dodał po niemiecku:

- Ale... pan jest przyjacielem Polaków, czyż nie?

- Oh, nein! - odparłem.

- Jak to? - powtórzył Frank, tym razem po włosku - może nie jest pan przyjacielem Polaków?

- Nigdy się z tym nie kryłem - odpowiedziałem - że jestem szczerym przyjacielem narodu polskiego.

Frank wpatrywał się we mnie, głęboko zaskoczony. Po chwili milczenia spytał z wolna:

- Więc dlaczego przed chwilą powiedział pan, że nie?

- Odpowiedziałem „nie” - wyjaśniłem z uprzejmym uśmiechem - z tego samego mniej więcej powodu, z jakiego pewien rosyjski robotnik na Ukrainie odpowiedział „nie” oficerowi niemieckiemu. Byłem wtedy, latem 1941, w ukraińskiej wsi Piesczance i któregoś ranka wybrałem się obejrzeć duży kołchoz w pobliżu tej wsi, kołchoz imienia Woroszyłowa. Rosjanie opuścili Piesczankę zaledwie dwa dni przedtem. Po raz pierwszy widziałem tak wielki i bogaty kołchoz. Wszystko pozostawione we wzorowym porządku, ale obory i stajnie były puste. W spichrzach nie zostało ani ziarenka zboża, w stodołach ani źdźbła siana. Po podwórzu wałęsał się, kulejąc, jeden jedyny koń. Stary koń, oślepy i kulawy.

W głębi podwórza, pod długą szopą, stały porządnie ustawione setki maszyn rolniczych, większość ich była produkcji radzieckiej, sporo węgierskich, trochę włoskich, poza tym niemieckie, szwedzkie, amerykańskie. Wycofując się, Rosjanie nie niszczyli kołchozów, nie podpalali dojrzałych zbóż na polach ani plantacji słoneczników, nie rozbijali maszyn rolniczych. Zabierali tylko traktory, konie, bydło, paszę, worki zboża i ziarna słonecznikowego. Maszyny rolnicze, nie wyłączając młockarni, zostawiali nietknięte, zabierali wyłącznie traktory. Jakiś robotnik w niebieskim kombinezonie oliwił dużą młockarnię, schylony nad kółkami i trybami. Przystanąłem pośrodku podwórza i przyglądałem się z daleka jego pracy. Oliwił swoje maszyny, robił nadal swoją robotę, jak gdyby wojna toczyła się gdzieś daleko, jakby wcale nie zawadziła o wioskę Piesczankę. Po paru dniach deszczowych wyjrzało słońce, było ciepło, w błotnistych kałużach odbijało się bladoniebieskie niebo z sunącymi po nim białymi obłokami.

Nagle do kołchozu wszedł niemiecki oficer SS w asyście kilku żołnierzy. Oficer stanął na środku podwórza, szeroko rozstawiwszy nogi, i rozglądał się dokoła. Raz po raz odwracał się do swoich ludzi i coś im mówił; w różowych ustach połyskiwały mu złote zęby. Nagle spostrzegł robotnika zajętego smarowaniem maszyny i zawołał go.

- Du, komm hier!

Robotnik zbliżył się utykając. On także był kulawy, dlatego właśnie zostawiono go na miejscu. W prawej ręce trzymał duży klucz francuski, w lewej mosiężną oliwiarkę. Przechodząc koło konia,

powiedział coś do niego po cichu, a ślepy koń potarł pyskiem o jego ramię i poszedł za nim, utykając, parę kroków. Robotnik stanął przed oficerem, zdjął czapkę. Włosy miał czarne i kędzierzawe, twarz szarą i chudą, oczy ciemne. Był niewątpliwie Żydem.

- Du bist Jude, nicht wahr? - zapytał go oficer.

- Nein, ich bin kein Jude - odparł robotnik potrząsając głową.

- Czto? Ty nie jewrej? Ty jewrej! Jesteś Żyd! - powtórzył oficer po rosyjsku.

- Da, ja jewrej, tak jestem Żydem - odpowiedział robotnik po rosyjsku.

Oficer przyglądał mu się chwilę w milczeniu, a potem zapytał powoli:

- Więc dlaczego przed chwilą powiedziałeś mi, że nie?

- Boś mnie o to spytał po niemiecku - odparł robotnik.

- Rozstrzelać go! - rzekł oficer.

Frank otworzył usta i wybuchnął głośnym, serdecznym śmiechem. Wszyscy zawtórowali mu hałaśliwie, odchylając się do tyłu na oparcia krzesel.

- Ten oficer - przemówił Frank, kiedy wesołość biesiadników przycichła - odpowiedział w sposób jak najbardziej właściwy i mógłby dać znacznie gorszą odpowiedź. Ale nie miał poczucia humoru. Gdyby je miał, wzięłby może tę rzecz od śmiesznej strony. Lubię ludzi z polotem - dodał skłaniając uprzejmie głowę - a pan ma dużo polotu. Dowcip, inteligencja, sztuka, kultura mają poczesne miejsce w niemieckim Burgu w Krakowie. Pragnę wskrzesić na Wawelu włoski dwór renesansowy, uczynić z Wawelu wyspę kultury i dwornych obyczajów w samym sercu słowiańskiego barbarzyństwa. Czy wie pan, że udało mi się stworzyć w Krakowie nawet polską Filharmonię? Wszyscy członkowie orkiestry są, oczywiście, Polakami. Na wiosnę przyjadą do Krakowa Furtwängler i Karajan, będą dyrygowali cyklem koncertów. Ach, Chopin! - wykrzyknął nagle wznosząc oczy ku niebu i przebiegając palcami po obrusie jak po klawiaturze fortepianu. - Ach, Chopin, anioł o białych skrzydłach! Cóż to szkodzi, że jest polskim aniołem?. W niebie muzycznym znajdzie się miejsce także i dla polskich aniołów. Choć, co prawda, Polacy nie lubią Chopina.

- Nie lubią Chopina? - powtórzyłem, niemile zaskoczony.

- Niedawno - ciągnął Frank smutno - podczas koncertu poświęconego Chopinowi krakowska publiczność wcale nie klaskała. Ani jednego oklasku, żadnego odruchu serca wobec tego białego anioła muzyki. Patrzyłem na tę tłumnie zgromadzoną publiczność, milczącą i nieruchomą, i usiłowałem zrozumieć przyczynę tego milczenia. Widziałem tysiąc błyszczących oczu, blade czoła ciepłe jeszcze od płomiennej pieśnicy skrzydeł Chopina, usta jeszcze bezkrwiste po smętnym i jakże słodkim pocałunku białego anioła i starałem się usprawiedliwić we własnym sercu tę milczącą, kamienną, upiorną nieruchomość słuchaczy. Ach, ale ja zdobędę ten naród sztuką, poezją, muzyką! Będę polskim Orfeuszem Cha, cha, cha! Polskim Orfeuszem - i wybuchnął dziwnym jakimś śmiechem, z zamkniętymi oczyma i głową odrzuconą na oparcie krzesła. Był blady, oddychał z wysiłkiem, pot perlił mu się na czole.

W tej chwili Frau Brigitte Frank, die deutsche Königin von Polen, uniosła brew, zwracając się twarzą ku drzwiom. Na ten znak drzwi rozwarły się i na olbrzymiej srebrnej tacy wniesiono groźnego, nastroszonego dzika, czającego się w aromatycznym gąszczu czarnych jagód leśnych.

Był to dzik, którego Keith, szef protokołu Generalgouvernement Polski, własnoręcznie zastrzelił w lasach lubelskich. Groźna bestia wyglądała na podściółce z jagodowych gałązek tak, jakby czaiła się w ciernistych chaszczach leśnych, gotowa rzucić się na nieostrożnych myśliwych i ich zajadłą sforę. Z paszczy sterczały dwie białe i wygięte „szable”. Na grzbiecie lśniącym od tłuszczu, na chrupkiej skórcie, spękanej pod działaniem żywego ognia, jeżyła się twarda, ostra szczecina. Poczułem, że w sercu budzi mi się tajemna sympatia dla tego szlachetnego polskiego zwierza, tego mężnego „partyzanta” lasów Lubelszczyzny. W głębi mrocznych orbit lśniło coś srebrzyście i krwawo: zimne, purpurowe błyski, coś żywego a utajonego, niby spojrzenie płonące wewnętrznym ogniem. Był to ten sam błysk srebrzysty i purpurowy, który widywałem w oczach chłopów, drwali i robotników rolnych po wsiach wzdłuż brzegu Wisły, w tatrzańskich lasach koło Zakopanego, w fabrykach Radomia i Częstochowy, w kopalni soli w Wieliczce.

- Achtung! - wykrzyknął Frank i wzniosłszy wysoko ramię wbił szeroki nóż w grzbiet dzika.

Może był to skutek ognia płonącego na rozległym palenisku kominka, może obfitości jedzenia, może znakomitych win francuskich i węgierskich - dość, że poczułem, iż czerwienię się aż po nasadę włosów. Siedziałem przy biesiadnym stole „niemieckiego króla Polski”, w wielkiej sali wawelskiej, w starożytnym, szlachetnym, bogatym, uczonym, królewskim mieście Krakowie, pośród dworaków tego naiwnego, okrutnego, nadętego próżnością niemieckiego modelu włoskiego signore z epoki Odrodzenia, i czoło płonęło mi żalonym uczuciem wstydu. Od samego początku biesiady Frank jął rozprawiać o Platonie, o Marsyliu Ficino, o florenckich ogrodach (Frank studiował na uniwersytecie rzymskim, mówi po włosku doskonale, z leciutkim akcentem przejętym od Goethego i Gregoroviusa, wiele dni spędził w muzeach Florencji, Wenecji i Sieny, zna Perugię, Lukkę, Ferrarę, Mantuę; rozmiłowany jest w Schumannie, Chopinie, Brahmsie i cudownie gra na fortepianie); mówił o Donatellu, Polizianie, Botticellim, a mówiąc przymykał oczy, oczarowany muzyką własnych słów.

Uśmiechał się do Frau Brigitte Frank z tym samym wdziękiem, z jakim Celso u Agnola Firenzuoli uśmiecha się do pięknej Amorriskii. Rozprawiając, muskał Frau Wächter i Frau Gassner takim samym czułym spojrzeniem, jakim Borso d'Este pieścił nagie ramiona i różane czoła kwitnących dam ferraryjskich w pałacu Schifanoia. Zwracał się do gubernatora Krakowa, młodego i wytwornego Wächtera, wiedeńczyka, jednego z zabójców Dollfussa, z tą uprzejmą powagą, z jaką Wawrzyniec Wspaniały pośród wesolej kompanii zgromadzonej w jego wiejskiej siedzibie „villa del' Ambra” zwracał się do młodego Poliziana. A Keith, Wolsegger, Emil Gassner, Stahl odpowiadali na jego uprzejme słowa z godnością i dwornością, jakie Baltazar Castiglione zaleca doskonałym dworzanom na doskonałych dworach. Tylko „człowiek Himmlera”, siedzący na końcu stołu, trwał w milczeniu, nasłuchując, być może, odgłosu ciężkich kroków z przyległych pokoi, gdzie czekali na swego wspaniałego władcę nie sokolnicy, trzymający na osłoniętej skórzaną rękawicą pięści sokoła z przewiązanymi oczyma, ale SS-mani zbrojni w karabiny maszynowe.

Czułem ten sam palący rumieniec, który zalewał mi czoło, ilekroć (po długiej jeździe samochodem przez puste, śnieżne równiny między Krakowem a Warszawą, Łodzią a Radomiem, czy między

Lwowem a Lublinem, przez smutne miasta i nędzne wsie, których mieszkańcy bladzi i wychudli nosili na twarzy wyraźne oznaki głodu, niepokoju, niewoli i rozpacz, ale spojrzenie ich jasnych czy ciemnych oczu było czyste, charakterystyczne spojrzenie narodu polskiego w przeciwnościach losu) - ilekroć zdarzyło mi się wejść do „Deutsches Haus” w którymś z tych miast, żeby tam przenocować, i kiedy witały mnie ochryple głosy, obleśne śmiechy, ciepłe wonie jedzenia i picia; wydawało mi się wtedy, że znalazłem się, za pomocą czarów, w którymś z tych ekspresjonistycznych dworów niemieckich, zrodzonych w twórczej wyobraźni Grosza. Widziałem dokoła stołów, obficie zastawionych, karki, brzuchy, usta i uszy, jakby żywcem przeniesione z jego rysunków; i te oczy niemieckie, zimne i nieruchome, podobne do rybich. Teraz ten sam żalony wstyd rumienił mi czoło, kiedy wodziłem spojrzeniem po biesiadnikach, którzy obsiedli stół „niemieckiego króla Polski” w wielkiej wawelskiej sali. Przed oczyma stawały mi wynędzniałe tłumy na ulicach Warszawy, Krakowa, Częstochowy czy Łodzi, tłumy o twarzach spotniałych z głodu i lęku, brnące w mokrym, brudnym śniegu zalegającym chodniki; smutne domy i dumne pałace, z których dzień po dniu wywędrowały po cichu dywany, srebra, kryształy i porcelana - szczątki dawnego bogactwa, próżności i chwały.

- Co to pan porabiał dzisiaj na ulicy Batorego? - zagadnął mnie nagle Frank ze złośliwym uśmiechem.

- Na ulicy Batorego? - spytałem.

- No tak; zdaje się, że tak się nazywa: Batorego, nieprawdaż? - powtórzył! Frank zwracając się do Emila Gassnera.

- Ja, Bathoristrasse - przytaknął Gassner.

- No więc cóż pan tam robił, u tych pań... jak to się one nazywają?

- Fräulein Urbański - przypomniał Gassner.

- Fräulein Urbański. Ale to dwie stare panny, jeśli się nie mylę! Po co pan chodził do tych panien Urbańskich?

- Pan wie wszystko - odpowiedziałem - a nie wie pan, po co chodziłem na ulicę Batorego? Poszedłem zanieść pannom Urbańskim chleba.

- Chleba?

- Tak, włoskiego chleba.

- Włoskiego chleba? Przywiózł go pan aż z Włoch?

- Owszem, przywiózłem go z Włoch. Byłbym wolał przywieźć pannom Urbańskim pęk róż z Florencji. Ale droga z Florencji do Krakowa jest długa, a róże prędko więdną. Więc przywiózłem im chleb.

- Chleb! - wykrzyknął Frank. - Czy pan myśli, że w Polsce brakuje chleba? - I szerokim gestem wskazał srebrne tace, na których piętrzyły się białe kromeczki miękkiego polskiego chleba o skórce chrupiącej i gładkiej jak jedwab. Uśmiech naiwnego zdumienia jaśniał na jego bladej, nalanej twarzy.

- Polski chleb jest smutny - powiedziałem.

- No tak, pewnie, włoskie róże są weselsze. Powinien pan być przywieźć pannom Urbańskim bukiet z Florencji. Byłaby to miła pamiątka z Włoch. Zwłaszcza że w tym domu spotkał pan zapewne kogoś więcej prócz tych dwóch starszych pań, nicht wahr?

- Oh! vous êtes méchant - wtrąciła się Frau Wächter, wdzięcznie grożąc Frankowi paluszkami Frau Wächter była wiedenką i lubiła mówić po francusku.

- Księżnę Lubomirską, nieprawdaż? - ciągnął Frank ze śmiechem. - Lili Lubomirską. Lili, ach so, Lili!

Wszyscy się roześmieli, tylko ja milczałem.

- Czy i Lili również smakuje włoski chleb? - zapytał Frank, a jego słowa powitał ogólny śmiech.

Wtedy i ja z uśmiechem zwróciłem się do Frau Wächter:

- Brak mi polotu, me potrafię odpowiedzieć. Czy nie zechciałaby pani zrobić tego za mnie?

- O, wiem, że pan nie jest un homme d'esprit - odrzekła Frau Wächter - ale przecież tak łatwo było odpowiedzieć, że Polacy i Włosi to narody zaprzyjaźnione. A chleb przyjaźni jest przecież najlepszy, n'est-ce pas?

- Dziękuję - powiedziałem.

- Ach, so! - wykrzyknął Frank. I po chwili milczenia dodał: - Zapomniałem na chwilę, że pan jest wielkim przyjacielem narodu polskiego, a raczej, chciałbym rzec, polskiej szlachty.

- Polacy są szlachetną rasą - zauważyłem.

- Istotnie - zgodził się Frank - co do mnie, nie robię żadnej różnicy między księciem Radziwiłłem a dorożkarzem.

- I nie ma pan racji - powiedziałem. Wszyscy spojrzeli na mnie ze zdumieniem, a Frank uśmiechnął się.

Ale w tej właśnie chwili drzwi otworzyły się i na srebrnej tacy wjechała pieczona gęś. Ułożona była na grzbiecie i otoczona wieńcem opiekanych w tłuszczu ziemniaków. Była to okrągłutka, dobrze utuczona polska gęś o bujnej piersi, pełnych bokach i mięsistej szyi. Nie wiem, skąd mi przyszło na myśl, że nie została zarżnięta nożem, zgodnie z odwiecznym dobrym obyczajem, ale rozstrzelana pod murem przez pluton SS. Wydawało mi się, że słyszę krótką, suchą komendę: Feuer! i grzechot salwy karabinowej. Gęś padła na pewno z podniesionym czołem, patrząc prosto w twarz okrutnym ciemnościom Polski.

- Feuer! - krzyknąłem nagle, jakbym chciał naprawdę wypróbować, co znaczy taki okrzyk, taki ochrypty, suchy rozkaz, i jakbym spodziewał się, że zaraz po nim rozlegnie się w wielkiej sali wawelskiej grzechot salwy karabinowej. Wszyscy wybuchnęli śmiechem, śmieli się odrzuciwszy głowy do tyłu, a Frau Brigitte Frank, zarumieniona i lekko spocona, wpatrywała się we mnie oczyma lśniącymi zmysłową uciechą.

- Feuer! - krzyknął z kolei Frank i wszyscy zaczęli się śmiać jeszcze głośniejsze, przechylając głowę na prawe ramię i patrząc na gęś z przymrużeniem lewego oka, jakby naprawdę brali ją na cel. Wtedy i ja zacząłem się śmiać, a jednocześnie ogarniało mnie coraz silniej uczucie wstydu, czułem się w pewnym



sensie znieważony, byłem „po stronie gęsi”. O, tak, stanowczo byłem po jej stronie, nie zaś po stronie tych, którzy celowali z karabinów, ani tych, co wołali Feuer!, ani tych wszystkich, co mówili: Gans kaputt! „Już po gęsi!”

Czułem się „po stronie gęsi”; a kiedy na nią patrzyłem, naszło mnie nagle wspomnienie starej księżnej Radziwiłłowej, starej kochanej Bichette, stojącej na deszczu wśród gruzów warszawskiego dworca w oczekiwaniu na pociąg, który miał ją zabrać w bezpieczne miejsce, do Włoch. Padało, a Bichette stała tam już dwie godziny pośród zwęglonych belek dachu, na peronie podziurawionym pociskami artyleryjskimi i bombami Stukasów.

- Niech się pan o mnie nie martwi, mon cher, twarde ze mnie ptaszysko - mówiła do Soro, młodego sekretarza poselstwa włoskiego, i potrząsała od czasu do czasu głową, żeby strzepnąć wodę deszczową zbierającą się w załamaniu jej filcowego kapelusza.

- Gdybym tylko wiedział, gdzie można znaleźć parasol - kłopotał się Soro.

- Parasol, voyons, w moim wieku, toż to śmieszne - i ze śmiechem, mrugając oczyma, opowiadała małej grupce krewnych i przyjaciół, którym udało się uzyskać z gestapo pozwolenie na to, by jej towarzyszyć na dworzec, mnóstwo zabawnych anegdotek i drobnych incydentów, wszystkie małe niedole swojej wędrówki przez tereny okupowane. Jak gdyby duma nie pozwalała jej sięgać wzrokiem w głąb niezmiętej tragedii Polski. Deszcz spływał po jej twarzy zmywając róż z policzków. Białe, miejscami żółtawe włosy wystawały spod fioletowego kapelusza w postaci tłustych, brudnych, nasiąkniętych wodą kosmyków. Czekala tam już dwie godziny, stojąc na deszczu, grzęznąc nogami w papce z błota i węgla pokrywającej peron; i wciąż była wesoła, żywa, dowcipna, rozpytywała się o tych czy owych, krewnych czy przyjaciół - jedni zmarli, inni uciekli, jeszcze innych internowano - a kiedy ktoś z obcych mówił: „Nic o nim nie wiadomo”, Bichette wykrzykiwała: „Pas possible! Niemożliwe!” - takim tonem jakby czuła się obrabowana z jakiejś anegdotki czy sensacyjnej ploteczki.

- Ah! que c'est amusant! Jakie zabawne! - mówiła, kiedy usłyszała odpowiedź, że ten czy ów żyje. A jeżeli powiedziano jej o kimś, że umarł albo został internowany, Bichette przybierała wyraz twarzy oburzony i mówiła: - Est-ce possible? Czy to możliwe? - jakby chciała powiedzieć: „Czy kpicie sobie ze mnie?” słysząc coś zupełnie nieprawdopodobnego. Kazała powtórzyć sobie ostatnie ploteczki warszawskie i spoglądając na żołnierzy i oficerów niemieckich kręcących się po peronie mówiła: - Ces pauvres gens, biedaczyska - z nieopisanym akcentem, jakby przykro jej było onieśmielać ich swoją obecnością, jakby jej było ich żal, jakby zniszczenie Polski było okrutnym nieszczęściem, które się przytrafiło tym biednym Niemcom.

W pewnej chwili zbliżył się oficer niemiecki niosąc krzesło; skłonił się przed Bichettą i w milczeniu jej to krzesło zaofiarował. Bichette wyprostowała się i ze swoim najbardziej czarującym Uśmiechem, tonem, w którym nie było ani cienia pogardy, powiedziała po francusku:

- Merci, uprzejmości przyjmuję wyłącznie od przyjaciół.

Oficer zmieszał się, w pierwszej chwili nie śmiał okazać, że zrozumiał, potem zaczerwienił się, postawił krzesło na peronie, skłonił się i odszedł bez słowa.

- Voyons - rzekła Bichette - krzesło! Też pomysł!

Patrzyła na samotne krzesło moknące na deszczu i mówiła:

- To nie do wiary, jak oni się tu czują u siebie, ces pauvres gens.

Myślałem o starej polskiej damie stojącej na deszczu, o samotnym, wzgardzonym, również mokącym na deszczu krześle i czułem, że solidaryzuję się z gęsią, ze starą księżną Bichettą Radziwiłłową i z samotnym krzesłem. Feuer! - powtarzał Frank i gęś padała od salwy karabinowej pod resztką murów warszawskiego dworca, z uśmiechem patrząc w twarze plutonu egzekucyjnego. Ces pauvres gens! Byłem stanowczo po stronie gęsi, Bichetty i krzesła porzuconego na deszczu, na zabłoconym peronie zrujnowanego dworca w Warszawie.

Wszyscy się śmieli, nie śmiała się tylko „królowa” siedząca w sztywnej, uroczystej pozie, jak na tronie. Ubrana była w obszerną, niczym nie przepasaną suknię z zielonego aksamitu, w kształcie dzwonu, obrzeżoną u dołu purpurowym szlakiem. Szerokie, długie rękawy skrojone według dawnej niemieckiej mody tworzyły na ramionach półkoliste fałdy, wypukłe, jakby nadmuchane, wznoszące się nad barkami szlachetnym łukiem i opadające ku dołowi, tym obfitsze, im bliżej przegubów rąk. Na ten zielony dzwon narzucone było coś w rodzaju koronkowej peleryny tej samej purpurowej barwy, co szlak obrzeżający suknię. Uczesanie „królowej” było raczej skromne, włosy zebrane w węzeł na czubku głowy. Czoło otaczał na kształt diademu podwójny sznur pereł. Pulchna, przysadzista, z przegubami rąk lśnącymi od złotych bransolet, z palcami opancerzonymi mnóstwem pierścieni, nieco ciasnych, jak na to wskazywały obrzmiące końce palców, siedziała sztywna jak gotycka figura, skrzepowana swoim aksamitnym dzwonem i koronkową kapą jak ciężką rycerską zbroją.

Natomiast jej czerwona, błyszcząca twarz przypominała maskę wyzywającej zmysłowości. A jednocześnie było w jej spojrzeniu coś abstrakcyjnego, melancholijnego, coś czystego. Całą twarzą podana była ku potrawom obficie nałożonym na cenne miśnieńskie talerze, ku aromatycznym winom potyskującym w czeskich kryształach, z wyrazem nienasyconego łakomstwa, żarłoczności wprawiającej w drżenie jej nozdrza i wydęte wargi, rysującej na policzkach siatkę drobniutkich zmarszczek, która w rytmie ciężkiego oddechu to ściągała się, to rozszerzała wokół nosa i ust. Czułem na jej widok mieszanię wstrętu i litości. Może była rzeczywiście głodna? Korciło mnie, żeby jej pomóc: wstać, przechylić się przez stół, wetknąć jej palcami do ust duży kęs gęsiny, na pchać ją ziemniakami. Bałem się, że lada chwila, zmorzona głodem, osunie się w dół wewnątrz swego zielonego dzwonu, opadnie twarzą na talerz pełen tłustego jądła. Wpatrywałem się zafascynowany w jej czerwoną twarz, w obfity biust ciasno wypełniający ciężką aksamitną zbroję. Ale wszelkie odruchy z mojej strony powstrzymywało to coś czystego i abstrakcyjnego, to jakieś przejrzyste światełko, które jaśniało w jej wilgotnych oczach.

Zauważyłem, że i pozostali biesiadnicy, jedząc i pijąc dość zachłannie, nie spuszczaają jednak czujnego wzroku z twarzy swojej „królowej”, jakby i oni obawiali się, że lada chwila głowa jej opadnie, zwyciężona głodem, na talerz pełen gęsiny i opiekanych ziemniaków. Patrzyli na nią w jakimś trwożnym zapamiętaniu, nieruchomiejąc na chwilę z otwartymi ustami, z końcem widelca przytkniętym do warg, z kielichem na pół wzniesionym w górę. Nawet sam „król” śledził uważnym spojrzeniem najmniejszy ruch małżonki, gotów uprzedzić każde jej życzenie, odgadnąć każdy ukryty impuls, uchwycić na jej twarzy najprzelotniejszy bodaj jego ślad.

Ale „niemiecka królowa Polski” siedziała nieruchoma i niewzruszona, czasem tylko muskając kogoś z obecnych swoim abstrakcyjnym spojrzeniem Częściej niż na innych spojrzenie to padało na gubernatora Krakowa, Wächtera, szczupłego wykwintnego młodzieńca o niewinnym czole i białych dłoniach, których nawet krew Dollfussa nie zdołała splamić. Czasem znów na księżą twarz Emila Gassnera, również wiedeńczyka, o fałszywym ironicznym uśmiechu i pierzchającym spojrzeniu, które przestaniał nieśmiało i niemal trwożnie rżęsami, ilekroć zauważył, że „królowa” zwraca ku niemu swoje dziewicze oczy. A wreszcie, może najczęściej, spoglądała na przywódcę niemieckiej partii narodowosocjalistycznej na obszarze Generalgouvernement, Stahla. Ten atletycznej budowy mężczyzna o zimnym, ostrym, gotyckim profilu siedział zwrócony twarzą, której czoło wydawało się okolone niewidzialnym wieńcem dębowym, ku nieruchomemu posągowi z ciała, jaki przedstawiała postać „królowej”, zamknięta w ciężkiej zbroi z zielonego aksamitu; ona zaś słuchała go z roztargnieniem, ściskając w tłustej dłoni smukły kryształowy kielich, pogrążona we wzniosłej zadumie.

Co do mnie, to odrywając się chwilami od kontemplacji tłustej monarchini, zaczynałem błędzić spojrzeniem po współbiedniakach, zatrzymując je to na uśmiechniętej twarzy Frau Wächter, to na białych ramionach Frau Gassner, to na czerwonym, spoconym czole szefa protokołu Keitha, który rozprawiał o polowaniach na dziki w lasach lubelskich, o sforach krwiożerczych psów na Wołyniu, o łowach z nagonką w lasach Radziwiłłowa. Albo patrzyłem na dwóch Staatssekretäre, Boepplego i Bühlera, w obcisłych mundurach z szarego sukna z czerwoną opaską i czarną swastyką na rękawie, którzy słuchali ze spotniałymi skrótami, rozpalonymi twarzami i błyszczącymi oczyma, wykrzykując Ja! Ja! w odpowiedzi na każde nicht wahr? swojego władcy. Albo przyglądałem się baronowi Wolseggerowi - staremu Tyrolczykowi o siwej czuprynie, siwej, spiczastej, muszkieterskiej bródce i jasnych oczach w zaczerwienionej twarzy - i usiłowałem sobie przypomnieć, gdzie i kiedy widziałem już tę marsową, arystokratyczną głowę. Wędrując wstecz drogami pamięci, rok po roku, z kraju do kraju, dotarłem do Donaueschingen, w Wirtembergii, gdzie w parku otaczającym zamek książąt Fürstenbergów, w marmurowym basenie, pośród białych posągów Diany i nimf, tryska źródło Dunaju. Pochyliłem się nad kolebką młodzietkiej rzeki i długo wpatrywałem się w migoczącą pod taflą wody żyłą źródła, a potem zapukałem do drzwi zamkowych, minąłem rozległą sień, wszedłem po marmurowych schodach do ogromnej sali o ścianach zawieszonych płótnami „Szarej Męki Pańskiej” Holbeina; i tam, na tle jasnej ściany, ujrzałem portret kondotiera Wallensteina. Uśmiechnąłem się do tego odległego wspomnienia, uśmiechnąłem się do barona Wolseggera. I nagle wzrok mój padł na „człowieka Himmlera”.

Wydało mi się, że dopiero w tej chwili widzę go po raz pierwszy, i zadrzałem. On także patrzył na mnie, nasze spojrzenia skrzyżowały się. Ten człowiek o zakazanym nazwisku, nazwisku, którego niepodobna wymówić, był mężczyzną w średnim wieku, najwyżej czterdziestoletnim, o ciemnych włosach, na skroniach lekko już siwiejących, o ostro zarysowanym nosie, wąskich, bladych wargach i niebywale jasnych oczach. Były to oczy szare, a może niebieskie, a może białe, podobne do oczu ryby. Podłużna blizna przecinała głęboką bruzdą jego lewy policzek. Ale było w jego powierzchowności coś, co mnie dziwnie zaskoczyło: jego uszy, przedziwnie małe, bezkrwiste, wyglądały jak z wosku. Koniuszki miały przezroczyste - była to przezroczystość wosku czy mleka. Przypomniał mi się na ich widok ów Ambroży z opowieści Apulejusza, któremu lemury ponadgryzały uszy, kiedy czuwał nad zmarłym, i później dosztukowano mu je woskiem. Twarz tego człowieka miała w sobie coś mięczakowatego, jakąś szczególną nagość. Chociaż czaszka była wymodelowana w surowych liniach, a kości jej wydawały się twarde i mocno związane, to jednak miało się wrażenie,

że pod naciskiem palców ugięłaby się jak czaszka noworodka; przypominała czaszkę jagnięcia. Jagnięce były także wąskie kości policzkowe, wydłużony owal twarzy, skośne oczy - coś zwierzęcego i dziecinnego zarazem. Czoło miał białe i wilgotne, jak ludzie chorzy, i nawet pot wydzielany przez tę miękką, woskową skórę przywodził na myśl gorączkowe, bezsenne, zroszone potem noce gruźlików, którzy leżąc na wznak czekają świtu.

„Człowiek Himmlera” nic nie mówił. Patrzył na mnie w milczeniu i naraz dostrzegłem na jego wąskich, bladych wargach dziwny uśmiech, nieśmiały i bardzo łagodny. Patrzył na mnie z uśmiechem i w pierwszej chwili zdawało mi się, że naprawdę do mnie się uśmiecha. Ale raptem zdałem sobie sprawę, że jego oczy są puste, że nie słucha tego, co mówią obecni, że dźwięk głosów i śmiechu, brzęk sztućców i kielichów nawet do niego nie dociera, gdyż oto porwany został w najwyższe regiony, przebywa w najczystszy niebie okrucieństwa (owego specyficznie niemieckiego „cierpiącego okrucieństwa”), trwogi i samotności. W jego twarzy nie było ani cienia brutalności, była tylko nieśmiałość, zmieszanie, zdumiewająca, wzruszająca samotność. Lewą brew miał uniesioną nieco w górę, ku skroni. Zimna pogarda i szalona pycha tkwiły w tej wzniesionej wysoko brwi. Ale tym, co stapiało w jedną całość rysy jego twarzy i każde jej poruszenie, było owo „okrucieństwo cierpiące”, owa zadziwiająca, posępna samotność.

W pewnej chwili odniosłem wrażenie, że coś się w nim wyzwala, coś żywego i ludzkiego, jakieś światło, barwa, może spojrzenie - dziecinne spojrzenie rodzące się w jego pustych oczach. Wydało mi się, że zstępuje powoli, niby anioł, ze swojego wysokiego, dalekiego, przeczystego nieba: spuszczał się z niego jak pająk, anioł-pająk, po niezmiernie wysokim białym murze. Jak więzień, który rzuca się w dół z wysokiego muru swego więzienia.

Uczucie głębokiego upokorzenia ogarniało stopniowo jego bladą twarz. Wypływał z głębi swojej samotności, jak ryba z podwodnego legowiska. Płynął ku mnie patrząc nieruchomym wzrokiem I oto z poczuciem grozy, jaką budziła we mnie naga twarz i białe spojrzenie, zaczęła się mieszać jakaś podświadoma litość - aż przytapałem się na tym, że patrzę na niego z czymś w rodzaju współczucia, a zarazem chorobliwego zadowolenia z tej dziwnej sympatii, jaką ten żaloszny potwór we mnie obudził.

Nagle „człowiek Himmlera” przechylił się przez stół i odezwał się do mnie przyciszonym głosem, nieśmiało uśmiechnięty:

- Ja też jestem przyjacielem Polaków; bardzo ich lubię.

Zaskoczony tymi słowami, a także przedziwnie łagodnym i smutnym tonem głosu „człowieka Himmlera”, nie od razu zauważyłem, że „król”, „królowa” i reszta biesiadników wstali już z miejsc i wszyscy na mnie patrzą. Podniosłem się także i ruszyliśmy za „królową”. Na stojąco wydawała się jeszcze bardziej otyła, wyglądała teraz na pocziwą mieszkankę niemiecką, nawet zieleń jej aksamitnej szaty jakby przybladła. Kroczyła powoli, z dobrotliwą godnością i w drzwiach każdej następnej sali przystawała na chwilę, jakby chciała nasycić oczy zimną, zuchwałą i głupią wspaniałością umeblowania i dekoracji inspirowanych stylem „Drittes Reich”, którego najczystszy okaz stanowi Pałac Kanclerski w Berlinie. Potem przekraczała próg i po przejściu paru kroków zatrzymywała się znowu, by gestem ręki wskazywać mi poszczególne meble, obrazy, dywany, żyrandole, posągi bohaterów dłuta Breckera, popiersia Führera, arraszy zdobne w gotyckie orły i swastyki, pytając z wdzięcznym uśmiechem:

- Schön, nicht wahr?

Cały potężny masyw Wawelu, który przed dwudziestu laty oglądałem w jego królewskiej, majestatycznej nagości, teraz przeładowany był od podziemi aż po szczyt najwyższej wieży meblami zrabowanymi w pałacach polskich panów bądź też stanowiącymi owoc kradzieży naukowo dokonywanych we Francji, Belgii i Holandii przez komisje antykwariuszy i ekspertów z Monachium, Berlina i Wiednia, ciągnące poprzez Europę w ślad za niemiecką armią. Ostre światło wielkich, zawieszonych wysoko pod sufitem żyrandoli odbijało się od ścian pokrytych paneau z błyszczącej skóry, od portretów Hitlera, Göringa, Goebbelsa, Himmlera i innych hitlerowskich przywódców, od marmurowych i brązowych popiersi (było ich mnóstwo wszędzie - na korytarzach, podestach schodów, w kątach pokoi, na wszelakich meblach, na marmurowych kolumnkach, w niszach i wnękach ścian), przedstawiających „niemieckiego króla Polski” w najróżniejszych pozach inspirowanych przez dekadencją estetykę Burckhardtów, Nietzsche'ów, Stefanów George, przez heroiczną estetykę Trzeciej Symfonii Beethovema i „Horst-Wessel-Lied”, oraz przez estetykę dekoracyjną antykwariuszy-humanistów z Florencji i Monachium. Zastała, ciężka woń świeżego werniksu, nowej skóry i świeżo wywoskowanego drzewa wypełnia szczelnie pozamykane sale.

Na koniec weszliśmy do rozległej sali, zbyt kownie urządzonej meblami w stylu „Drittes Reich”, udekorowanej francuskimi dywanami i wytłaczaną skórą. Był to gabinet Franka. Przestrzeń między dwójgim oszklonych drzwi wychodzących na zewnętrzną loggię Wawelu (loggia wewnętrzna biegnie dokoła przepięknego renesansowego dziedzińca, dzieła włoskich architektów) wypełniał olbrzymi stół mahoniowy, w którego lśniącej powierzchni odbijały się płomyki świec dwóch ciężkich kandelabrow z pozłacanego brązu. Ogromny ten stół był całkowicie pusty i nagi.

- Tutaj rozmyślałem nad przyszłością Polski - powiedział mi Frank rozkładając szeroko ramiona. Uśmiechnąłem się myśląc o przyszłości Niemiec.

Na znak dany przez Franka otwarto dwoje wysokich oszklonych drzwi i weszliśmy do loggii.

- Oto niemiecki Burg - powiedział Frank wskazując szerokim ruchem ramienia potężną sylwetkę Wawelu odcinającą się ostro na oślepiająco białym tle śniegu. Dokoła starożytnego zamku królów Polski leżało uśpione miasto, spowite w całun śniegowy pod niebem rozjaśnionym wąskim sierpem księżyca. Niebieskawa mgiełka unosiła się nad Wisłą. Daleko, na widnokręgu rysował się delikatną, przejrzystą linią łańcuch Tatr. Psy SS-manów, pełniących straż przy krypcie Piłsudskiego, przerywały raz po raz ciszę nocną głośnym ujadaniem. Mróz był tak silny, że aż oczy łzały. Przymknąłem je też na chwilę.

- Wygląda to jak sen, nieprawdaż? - odezwał się Frank.

Kiedy wróciliśmy do gabinetu, Frau Brigitte Frank podeszła do mnie i kładąc mi poufale rękę na ramieniu powiedziała cicho:

- Proszę pójść ze mną, odkryję panu jego sekret.

Przez małe drzwiczki ukryte w ścianie gabinetu weszliśmy do pokoiku o zupełnie nagich, bielonych wapnem ścianach. Ani jednego mebla, dywanu, obrazu, ani książki czy kwiatu; nic tylko wspaniały Pleyel i przy nim drewniany taboret. Frau Brigitte Frank uniosła wieko fortepianu i oparłszy się kolanem o taboret przesunęła tłustymi palcami po klawiaturze.

- Kiedy ma podjąć jakąś doniosłą decyzję albo kiedy jest bardzo zmęczony czy przygnębiony, czasem nawet w trakcie ważnego zebrania - mówiła Frau Brigitte Frank - przychodzi tutaj, zamyka się w tej celi, siada przy fortepianie i szuka bądź ukojenia, bądź natchnienia u Schumanna, u Brahmsa, Chopina, Beethovena. Wie pan, jak ja tę jego celę nazywam? Nazywam ją gniazdem orła.

Skłoniłem się w milczeniu.

- To niezwykły człowiek - dodała patrząc na mnie wzrokiem pełnym dumy i czułości - to artysta, wielki artysta o duszy czystej i subtelnej. Tylko taki artysta, jak on, może rządzić Polską.

- Tak, wielki artysta - powiedziałem. - I przy pomocy tego fortepianu rządzi polskim narodem.

- Oh! vous comprenez si bien les choses! Jak pan to dobrze rozumie - rzekła Frau Brigitte Frank głosem drżącym ze wzruszenia.

W milczeniu opuściliśmy „orle gniazdo”; sam nie wiem, dlaczego byłem zmieszany i smutny. Przeszliśmy wszyscy do prywatnego apartamentu Franka rozsiadając się na głębokich wiedeńskich sofach i w obszernych fotelach krytych miękkim zamszem, paląc i gawędząc. Dwóch lokai w błękitnej liberii - krótko strzyżone pruską modą włosy sterczały na ich czaszkach jak twarda szczotka - roznosiło kawę, likiery i słodycze, poruszając się bezszelestnie po miękkim francuskim dywanie, wyścielającym cały pokój. Na małych weneckich stoliczkach z zielono-złotej laki stały butelki starego francuskiego koniaku znakomitej marki, szkatułki z hawańskimi cygarami, srebrne tace pełne kandyzowanych owoców i słynnych polskich czekoladek Wedla.

Może sprawiało to domowe ciepło tego wnętrza i łagodne trzaskanie ognia na kominku, dość, że ton rozmów stawał się coraz serdeczniejszy i niemal poufny. I jak to zwykle bywa, ilekroć w Polsce zbierze się kilku Niemców, wkrótce mówiło się wyłącznie o Polakach. Mówili o nich, jak zawsze, ze złośliwą pogardą, ale dziwnie pomieszaną z jakimś niezdrowym poczuciem urazy, gorzkości, zawiedzionej miłości, podświadomej zawiści i zazdrości. Znów przypomniała mi się stara, miła Bichette Radziwiłł, stojąca na deszczu w ruinach dworca warszawskiego i nieopisany ton, jakim mówiła: Ces pauvres gens!

- Robotnicy polscy - mówił Frank - nie są najlepsi w Europie, ale też i nie najgorsi. Jeżeli chcą, umieją bardzo dobrze pracować. Myślę, że możemy na nich liczyć, w szczególności na ich zdyscyplinowanie.

- Ale mają jeden poważny defekt - wtrącił Wächter - mieszają patriotyzm do technicznych problemów pracy i produkcji.

- To są problemy nie tylko techniczne, ale także moralne - powiedział baron Wolsegger.

- Technika nowoczesna - zaproponował Wächter - nie znosi wdzierania się do niej elementów obcych problemom pracy i produkcji. A patriotyzm robotniczy jest z tych wszystkich obcych elementów najbardziej niebezpieczny.

- Ojczyznę robotnika jest maszyna, fabryka - odezwał się cichym głosem „człowieka Himmlera”.

- To jest idea komunistyczna - rzekł Frank - sformułowana w ten sposób bodajże przez Lenina. Ale w gruncie rzeczy wyraża pewną prawdę. Robotnik polski jest dobrym patriotą, kocha swój kraj, ale

wie, że najlepszym sposobem zbawienia Polski jest praca dla nas. Wie, że gdyby nie chciał dla nas pracować - dodał spoglądając na „człowieka Himmlera” - gdyby stawiał opór...

- My wiemy różne rzeczy - przemówił znów „człowiek Himmlera” - ale polski robotnik nic o nich nie wie, albo nie chce wiedzieć. I ja także wolałbym o nich nie wiedzieć - zakończył z rozbijającym uśmiechem.

- Jeżeli chcecie wygrać wojnę - powiedziałem - nie możecie zniszczyć ojczyzny robotnika. Nie możecie zniszczyć maszyn, fabryk, przemysłu. To problem nie tylko polski, ale europejski. Tak samo we wszystkich innych krajach Europy, przez was okupowanych, możecie zniszczyć ojczyznę mieszczaństwa, ale ojczyznę robotników zniszczyć nie możecie. Wydaje mi się, że w tym właśnie tkwi cały sens obecnej wojny, a przynajmniej znaczna jego część.

- Chłopi - powiedział „człowiek Himmlera”.

- Jeżeli będzie trzeba - rzekł Frank - zgnieciemy robotników pod ciężarem chłopów.

- I przegracie wojnę - dodałem.

- Herr Malaparte ma rację - rzekł „człowiek Himmlera” - przegralibyśmy wojnę. Trzeba, żeby polscy robotnicy nas kochali. Musimy zdobyć miłość narodu polskiego. - Mówiąc to spoglądał na mnie z uśmiechem. Potem umilkł i wpatrzył się w ogień.

- W końcu na pewno Polacy nas pokochają - rzekł Frank.

- To naród romantyków. Nową formą polskiego romantyzmu jutra będzie miłość do Niemców.

- Na razie - odezwał się baron Wolsegger - romantyzm polski... Jest takie wiedeńskie powiedzonko, które dobrze oddaje naszą sytuację w stosunku do narodu polskiego: Ich liebe dich und du schläfst, ja cię kocham, a ty śpisz.

- Oh, oui! - wykrzyknęła Frau Wächter - je t'aime et tu dors. Tres amusant, n'est-ce pas?

- Ja, so amüsant - przytaknęła Frau Brigitte Frank.

- Naród polski z pewnością w końcu nas pokocha - rzekł Wächter - ale na razie śpi.

- Myślę, że raczej udaje sen - poprawił Frank - w gruncie rzeczy nic mu nie szkodzi pozwolić się kochać. Każdy naród łatwo osądzić według jego kobiet.

- Polskie kobiety - rzekła Frau Brigitte Frank - słyną z urody i elegancji. Czy pan także uważa, że są takie ładne?

- Uważam, że są godne podziwu, i to nie tylko z powodu elegancji i urody.

- Mnie się nie wydają wcale takie piękne, jak się o nich zwykło mówić - rzekła Frau Brigitte Frank. - Niemiecka uroda kobieca jest surowsza, bardziej autentyczna, bardziej klasyczna.

- Są jednak wśród nich bardzo ładne i bardzo eleganckie - wtrąciła Frau Wächter.

- W Wiedniu, za dawnych dobrych czasów - rzekł baron Wolsegger - uchodziły za elegantsze nawet od paryżanek.

- Ah! Les Parisiennes! - westchnął Frank.

- Czy w ogóle są jeszcze paryżanki? - zapytała Frau Wächter, wdzięcznie przechylając główkę na ramię.

- Ja uważam, że elegancja Polek jest strasznie prowincjonalna i démodée - rzekła Frau Brigitte Frank - i z pewnością nie jest to wyłącznie wina wojny. Niemcy także prowadzą wojnę od dwóch i pół lat, a jednak Niemki są dzisiaj najelegantszymi kobietami Europy.

- Zdaje się - odezwała się Frau Gassner - że kobiety w Polsce zbyt mało się myją.

- Och, są okropnie brudne - potwierdziła z przekonaniem Frau Brigitte Frank potrząsając swoim aksamitnym dzwonem, aż jego przeciągły zielony dźwięk przemknął przez pokój.

- To nie ich wina - rzekł baron Wolsegger. - Nie mają mydła.

- Wkrótce - oznajmił Frank - nie będą już miały czym się tłumaczyć. W Niemczech wynaleziono sposób wyrobienia mydła z surowca, który nic nie kosztuje, a znajduje się wszędzie w obfitości. Zamówiłem już większą ilość tego mydła do rozdawania polskim damom, żeby mogły się myć. Jest to mydło wyrobiane z kału.

- Z kału? - wykrzyknąłem.

- Tak, oczywiście; z kału ludzkiego - odparł Frank spokojnie.

- I to jest dobre mydło?

- Znakomite - rzekł Frank. - Wypróbowałem je przy goleniu i byłem zachwycony.

- Pieni się ładnie?

- Cudownie. Ogolić się można doskonale. Mydło godne króla.

- God shave the King!<sup>7</sup> - wykrzyknąłem.

- Tylko... - dodał „niemiecki król Polski”.

- Tylko?... - powtórzyłem pytająco, wstrzymując oddech.

- Ma jedną wadę: zapach i kolor zostały, jakie były.

Ogólny wybuch śmiechu powitał jego słowa.

- Ach, so! Ach, so! Wunderbar! - wykrzykiwali wszyscy. Zobaczyłem nawet łzę wielkiej uciechy staczającą się po policzku Frau Brigitte Frank, deutsche Königin von Polen.

---

<sup>7</sup> „Boże, ogol króla”, trawestacja początkowych słów brytyjskiego hymnu narodowego „God save the King” („Boże, strzeż króla”).



## V. Zamknięte dzielnice

Przyjechałem do Warszawy z Radomia, przemierzywszy samochodem rozległą, okrytą śniegiem równinę polską. Nędzne przedmieścia Warszawy zniszczone przez bomby, Marszałkowska pomiędzy dwoma rzędami poczerniałych, wypalonych szkieletów kamienic, ruiny dworca kolejowego, puste, czarne mury domów, którym sinawe przedwieczne oświetlenie przydawało jeszcze surowego, brutalnego wyglądu, wydały mi się nieomal schronieniem, odpoczynkiem dla oczu zmęczonych oślepiającym blaskiem śniegu.

Ulice były puste, rzadcy przechodnie przemykali się chyłkiem wzdłuż murów, na skrzyżowaniach widać było patrole żołnierzy z erkaemami przewieszonymi przez ramię. Ukazał się plac Saski, olbrzymi, widmowy. Podniosłem oczy ku pierwszemu piętru hotelu Europejskiego szukając wzrokiem okna pokoju, w którym mieszkałem w ciągu dwóch lat, 1919 i 1920, jako młody attaché dyplomatyczny przy Królewskim Poselstwie Włoch. W oknie świeciło się. Wjechałem na dziedziniec pałacu Brühlowskiego, wszedłem do hallu i postawiłem nogę na pierwszym stopniu paradnych schodów.

Niemiecki gubernator Warszawy, Fischer, zaprosił mnie tego wieczora na uroczysty obiad z okazji wizyty Generalgouverneura Franka z małżonką, Frau Brigitte Frank, i niektórymi spośród jego współpracowników. Pałac Brühlowski, dawniej siedziba Ministerstwa Spraw Zagranicznych Rzeczypospolitej Polskiej, a teraz - niemieckiego gubernatora Warszawy, wznosił się, nietknięty, w odległości paru kroków od ruin zabytkowego hotelu Angielskiego, w którym zatrzymał się niegdyś, podczas swego pobytu w Warszawie, Napoleon. W pałac Brühlowski trafiła jedna tylko bomba, która przedziurawiła sufit sali recepcyjnej i uszkodziła wewnętrzny krużganek wiodący do luksusowych prywatnych apartamentów dawnego ministra Spraw Zagranicznych, pułkownika Becka, obecnie zajmowanych przez Fischera. Postawiłem nogę na pierwszym stopniu i spojrzałem w górę.

U szczytu schodów, pomiędzy dwoma szeregami smukłych białych kolumn stiukowych, bez kapiteli i baz, w oszczędnym i surowym stylu neoklasycznym, ujrzałem w ostrym, padającym od dołu ku górze świetle lamp umieszczonych na przemian z kolumnami wzdłuż schodów - dwa potężne, masywne żywe posągi, groźnie stojące nade mną, kiedy powoli wstępowałem po stopniach z różowego marmuru. W sukni ze złotej lamy, której sztywne głębokie fałdy przypominały żłobkowanie kolumn doryckich, postać Frau Fischer wznosiła się uroczyście; czoło jej wieńczyła wysoka budowla z blond włosów o miedzianych refleksach, tak kunsztowna, że wyglądała jak bogaty koryncki kapitel umieszczony na doryckim trzonie. Spod sukni wystawały dwie ogromne stopy i okrągło toczące nogi o mięsistych łydkach, na których szary błyszczący jedwab pończoch wywoływał stalowe refleksy. Ramiona miała nie tyle opuszczone wzdłuż boków, co sztywno do nich przylegające, jakby przytłoczone wielkim ciężarem. Obok niej wznosiła się imponująca, potężna bryła gubernatora Fischera: otyły, atletyczny, wciśnięty był w czarny strój wieczorowy berlińskiego kroju, o przykrótkich rękawach. Głowę miał małą i okrągłą, twarz różową i pełną, oczy wyłupiaste i zaczerwienione powieki. Od czasu do czasu - może był to jego sposób maskowania własnej nieśmiałości - wodził językiem po wargach powolnym, wystudiowanym ruchem. Stał na szeroko rozstawionych nogach, z ramionami sztywno opuszczonymi i nieco odstającymi od boków, mocno zaciskając ogromne pięści, niby posąg boksera. W dodatku, dzięki grze perspektywy, idąc powoli po schodach widziałem te dwie masywne postacie, jak gdyby odchyłone ku tyłowi, jak posągi fotografowane z dołu. Dłonie, stopy,

nogi wydawały mi się wyolbrzymione, tak właśnie, jak to bywa na fotografii - nieproporcjonalne do reszty postaci, dziwacznie wydęte, zniekształcone. Toteż z każdym krokiem, w miarę jak wstępowałem na schody, rosnę we mnie niejasne poczucie lęku, to samo, które zawsze mnie ogarnia, ilekroć siedząc w teatrze w jednym z pierwszych rzędów zobaczę, że śpiewak staje na przodzie sceny, wznosi nade mną rękę i otwiera usta. A właśnie oba masywne posągi z ciała uniosły zgodnym gestem prawe ramię i powiedziały mocnym głosem jednocześnie:

- Heil Hitler!

(Ale w tej samej chwili gubernator Fischer i Frau Fischer znikli mi z oczu, rozplynęli się w zimnym niebieskawym świetle lamp, a na ich miejscu pojawiły się dwa wysokie szczupłe cienie pułkownika Becka i pani Beckowej. Pani Beckowa uśmiechała się, lekko pochylona do przodu z wyciągniętą ku mnie ręką, jakby chciała mi pomóc w przejściu ostatnich stopni, a pułkownik Beck, długi, chudy, z małą ptasią głową, kłaniał się z powściągliwą angielską elegancją, uginając ledwo dostrzegalnie lewe kolano. Wydawali się bladymi zjawami odległych czasów, a przecież byli zaledwie z dnia wczorajszego; poruszali się z widmowym wdziękiem na tle ruin Warszawy, wśród których snuły się wychudłe, blade z gniewu i rozpaczony tłumy, wznosząc ramiona i krzycząc. Pani Beckowa zdawała się wcale nie dostrzegać tych tłumów przesuających się za jej plecami i z uśmiechem wyciągała ku mnie rękę. Ale pułkownik Beck, z twarzą pobladłą i przerażoną, raz po raz robił taki ruch, jakby się chciał obejrzeć, obracał swoją małą ptasią głowę na cienkiej szyi (niebieskie światło lamp odbijało się w jego lśniącej czaszce i wydatnym nosie) i napierał plecami na całą tę scenerię ruin Warszawy, jakby usiłował odepchnąć od siebie widok wynędzniałych tłumów na ulicach, ludzi opatulonych w zniszczone, wytarte futra, wyblakłe i postrzępione nieprzemakalne płaszcze, bądź z gołymi głowami, bądź w wyszarzanych i spłowiałych od słoty i śnieżyc kapeluszach. Padał śnieg i raz po raz z tłumy snującego się po chodnikach jakieś spojrzenie żywe pośród tysiąca innych, przygaśniętych, spojrzenie rozplamiane nienawiścią i rozpaczą biegło za niemieckim żołnierzem, tupiącym podkutymi butami o bruk. Przed Bristolem i Europejskim, przed kinem na Nowym Świecie, przed kościołem Świętego Krzyża, gdzie w urnie spoczywa serce Chopina, pośród gruzów Marszałkowskiej i Krakowskiego Przedmieścia, przed zrujnowanymi witrynami Wedla i Fuchsa grupki kobiet wymieniały między sobą zmęczone spojrzenia i potrząsały głowami z wyrazem beznadziejności. Gromady małych uliczników, uganiające się po ulicach i ślizgające się na oblodzonych brzegach jezdni, przystawały przed bramą pałacu Potockich, siedziby Komendatury, i przyglądały się kręcącym się po dziedzińcu oficerom i żołnierzom niemieckim. Dokoła ognisk rozpalonych na placach milczące gromadki mężczyzn i kobiet, przykucniętych na śniegu, grzały przy ogniu zmarznięte ręce. Wszyscy odwracali głowy, wpatrując się w dwa blade cienie, które poruszały się z wdziękiem u szczytu marmurowych schodów pałacu Brühlowskiego, raz po, raz ktoś krzyczał coś, unosząc ręce w górę. Przechodziły grupki mężczyzn z rękami w kajdanach, eskortowane przez uzbrojonych SS-manów i wszyscy zwracali twarze w stronę pani Beckowej wyciągającej do mnie rękę z uśmiechem i pułkownika Becka, który niespokojnie poruszał swą ptasią głową osadzoną na cienkiej szyi i starał się odepchnąć precz od siebie tragiczny obraz ruin Warszawy, ten szary, brudny obraz podobny do muru spryskanego krwią, zrytego kulami plutonów egzekucyjnych.

Dokoła stołu gubernatora Fischera zastałem, obok Generalgouverneura Franka i Frau Brigitte Frank, wawelski dwór z Krakowa nieomal w komplecie; byli tam: Frau Wächter, Keith, Emil Gassner, baron

Wolsegger, nawet „człowiek Himmlera”. Ponadto trzech czy czterech współpracowników Fischera, szarych jakichś i niepozornych.

- Otóż i spotkaliśmy się znowu wszyscy razem - zwrócił się do mnie Frank z kordialnym uśmiechem. I dodał, powtarzając słynne powiedzenie Lutra - Hier stehe ich, kann nicht anders...<sup>8</sup>

- Aber ich kann stets anders, Gott helfe mir<sup>9</sup> - odparłem.

Głośny wybuch śmiechu powitał moje słowa, a Frau Fischer, onieśmielona taką niezwykłą dla niej „uwerturą biesiadnej konwersacji” (jak się wyraził Frank tym kwiecistym stylem, jakim miał zwyczaj rozpoczynać rozmowy przy stole), uśmiechała się do mnie, otworzyła usta, jakby chciała coś powiedzieć, zarumieniła się, powiodła wzrokiem po swoich gościach i wypowiedziała tylko dwa słowa:

- Guten Appetit.

Frau Fischer była młodą, kwitnącą kobietą o zdziwionym, łagodnym wyrazie twarzy. Sądząc po sposobie, w jaki spoglądali na nią mężczyźni, musiała być chyba piękna; i jeżeli pominąć pewną wulgarność, dostrzegalną tylko dla nieniemieckich oczu, robiła nawet wrażenie dość subtelnej. Włosy złociste i lśniące, o miedzianych refleksach, zdradzające kontakt z gorącym żelazkiem, zwinięte miała w długie loki spiętrzone nad czołem niby koafiura Meduzy uwita z węży; loki te, dla usztywnienia, fryzjerka wypychała materacykami z ludzkich włosów, odrobinę ciemniejszych niż własne włosy Frau Fischer.

Siedziała nieśmiało uśmiechnięta, po dziecinnemu opierając pulchne białe ręce o krawędź stołu i milczała, odpowiadając tylko cichym ja, ilekroć ktoś się do niej odezwał. Frau Brigitte Frank i Frau Wächter, które na początku obiadu obserwowały ją natrętnie, ze złośliwą ironią, po pewnym czasie odwróciły od niej spojrzenie, koncentrując uwagę na jedzeniu i konwersacji, w której prym wiódł oczywiście Generalgouverneur Frank z właściwą sobie pyszałkowatą elokwencją. Frau Fischer przysłuchiwała się w milczeniu, wlepiwszy w niego zachwycone spojrzenie swoich wielkich oczu lalki i ocknęła się z ekstazy, dopiero kiedy na stole pojawiło się pieczone z daniela. Gubernator Fischer nie omieszkał przy tym opowiedzieć, jak to osobiście zastrzelił tego daniela posyłając mu kulę między oczy, a Frau Fischer dodała z westchnieniem:

- So ist das Leben, takie jest życie.

Była to uczta poświęcona Dianie łowczyni, jak się wyraził Frank, uśmiechając się do Frau Fischer z pełnym galanterii ukłonem. Najpierw podano bażanty, potem zające, na koniec owego daniela. Rozmowa, która z początku obracała się dokoła Diany i jej dzikich nieco amorów, zatrącając również o opisy łowów u Homera i Wergiliusza, obrazy o tematyce myśliwskiej w średniowiecznym malarstwie niemieckim i myśliwskie poematy włoskich poetów renesansu, przeszła następnie na polowania w Polsce, na rezerwy łowieckie polskich magnatów, na sfory psów na Wołyniu; rozważano, które psiarnie są najlepsze - niemieckie, polskie czy węgierskie. A wreszcie, jak zawsze, wyłonił się niewyczerpany temat Polski i Polaków, a stąd - również jak zawsze - rozmowa przeszła na Żydów.

---

<sup>8</sup> Tu staję i nie potrafią inaczej.

<sup>9</sup> Ja za to, z pomocą Boską, zawsze potrafią inaczej.

W żadnym kraju Europy Niemiec nie objawił się nigdy w tak absolutnej nagości, bez obłonek, jak w Polsce. W toku moich różnorodnych doświadczeń wojennych ugruntowało się we mnie przekonanie, że Niemiec nie odczuwa strachu przed człowiekiem silnym, człowiekiem uzbrojonym, który go atakuje śmiało i dotrzymuje mu placu. Niemiec boi się natomiast bezbronnych, słabych, chorych. Problem strachu, problem okrucieństwa niemieckiego jako efektu strachu, stał się głównym tematem moich dociekań. Jeżeli dobrze mu się przyjrzeć, z nowoczesnego i chrześcijańskiego zarazem punktu widzenia, strach ów budzi litość i grozę; a nigdy nie wzbudził we mnie większej litości i większej grozy niż wówczas, kiedy byłem w Polsce, gdzie w całej swej złożoności objawił mi się chorobliwy, niemęski charakter tego lęku. Strach jest tym, co skłania Niemca do okrucieństwa, do czynów zimno, metodycznie i naukowo okrutnych. Strach przed uciskanymi, bezbronnymi, chorymi, strach przed starcami, kobietami, dziećmi, strach przed Żydami. I choćby Niemiec nie wiem jak starał się ukryć ten tajemniczy lęk, zawsze coś zmusi go do mówienia o tym, i to zawsze w najmniej odpowiednich momentach, najczęściej przy stole: czy płynie to stąd, że rozgrzało go wino i jedzenie, czy z pewności siebie, jaką mu daje poczucie, że nie jest sam, czy z podświadomej potrzeby przekonania samego siebie, że się nie boi - dość, że Niemiec odstawia się, pozwala sobie mówić o głodzie, o egzekucjach i masakrach z jakąś niezdrową satysfakcją, przez którą przebija nie tylko uraza, zazdrość, odtrącona miłość, nienawiść, ale i żalony, zdumiewający pęd do upodlenia. W tych uciśnionych, chorych, słabych, bezdomnych, w starcach, kobietach i dzieciach Niemcy wyczuwają jakieś utajone dostojeństwo, którego się boją i zazdroszczą, jak żaden może inny naród Europy. I biorą za to odwet. W arogancji i brutalności Niemca jest jakieś pragnienie upokorzenia, w jego okrucieństwie - głęboko tkwiąca potrzeba samooczerzniania, w jego niepojętym strachu - furia upodlenia.

Słuchałem więc rozmów współbiesiadników z litością i grozą, na próżno starając się je ukryć. I nagle Frank, który widocznie zauważył mój nastrój, a może chcąc, żeby to niezdrowe poczucie upokorzenia i mnie się udzieliło, zwrócił się do mnie z ironicznym uśmiechem i zapytał:

- Czy zwiedził pan getto, mein lieber Malaparte?

Owszem, byłem w getcie warszawskim kilka dni przedtem. Przekroczyłem bramę „zamkniętej dzielnicy”, otoczonej wysokim murem z czerwonej cegły, który Niemcy wzniesli, żeby zamknąć w getcie, jak w klatce, te nieszczęsne, bezbronne „dzikie bestie”. Na bramie, strzeżonej przez wartownika SS z karabinem maszynowym, wisiło obwieszczenie podpisane przez gubernatora Fischera i grożące karą śmierci każdemu Żydowi, który by usiłował wydostać się z getta. Wszedłem i natychmiast, podobnie jak w „dzielnicach zamkniętych” Krakowa, Lublina i Częstochowy, grozą przejęła mnie martwa cisza panująca na ulicach zatłoczonych wynędzniałą rzeszą, obdartą i strwożoną. Miałem nadzieję, że będę mógł udać się do getta sam, bez eskorty w postaci agenta gestapo, który towarzyszył mi wszędzie, nieodstępny jak cień. Ale zarządzenia gubernatora Fischera były surowe i musiałem pogodzić się z tym, że pójdzie ze mną „czarny”. Ten, którego mi przydzielono, był wysokim młodym blondynem o szczupłej twarzy i jasnych, zimno patrzących oczach. Piękna twarz o czystym, wyniosłym czole, na które stalowy hełm rzucał tajemniczy cień. Kroczył pośród tłumu Żydów niczym anioł Boga Izraela.

Cisza była lekka i przejrzysta, zdawała się unosić w powietrzu; a w głębi tej ciszy słychać było skrzyp śniegu pod tysiącami stóp, dźwięk podobny do zgrzytania zębami. Zaciekawiony moim mundurem włoskiego oficera, milczący tłum unosił brodatą twarz i wpatrywał się we mnie zaczerwienionymi z zimna, gorączki i głodu oczyma. Łzy błyszczały na rzeszach, spływały w dół i wsiąkały w brudny

zarost. Raz po raz zdarzało mi się potrącić kogoś w tłoku, przeproszałem, mówiłem: „proszę pana”, a tamten podnosił twarz i spoglądał na mnie zdumiony, nie wierząc uszom. Uśmiechałem się do niego i mówiłem znowu: „proszę pana”, wiedząc, że moja uprzejmość jest dla nich czymś niezwykłym; że po dwóch i pół latach poniewierki i niewolnictwa pierwszy raz oficer nieprzyjacielski (nie byłem oficerem niemieckim, lecz włoskim; ale to nie dosyć, że nie byłem oficerem niemieckim; nie, z pewnością nie było to dosyć) odzywał się grzecznie „proszę pana” do biednego Żyda z warszawskiego getta.

Raz po raz też wypadało mi przestępować przez zwłoki ludzkie. Szedłem przez tłum nie widząc, gdzie stawiam stopy, i co chwila potykałem się o trupy leżące na chodniku pomiędzy rytualnymi żydowskimi świecznikami. Leżeli tak ci zmarli porzuceni na śniegu, czekając, aż ich zabiorą grabarze. Ale śmiertelność była wielka, a wozów mało, nie można było nadążyć z wywożeniem zwłok, leżały tak więc całymi dniami na śniegu obok świeczników, w których nie płonęły świece. Wielu zmarłych leżało też po bramach, na korytarzach, na podestach schodów albo na łózkach w pokojach przepełnionych bladymi, milczącymi ludźmi. Zmarli mieli namokłe od śniegu i zabłocone brody, otwarte oczy zdawały się patrzeć na mrowiący się tłum i wodzić za nami białym spojrzeniem. Byli sztywni, podobni do drewnianych posągów i do umarłych Żydów malowanych przez Chagalla. Brody wydawały się granatowe na tle sinych, wychudłych twarzy ściętych mrozem i śmiercią. Czysty, głęboki granat pewnych odmian alg morskich. Tajemniczy granat nasuwający wspomnienie morza, takiego, jakim bywa w pewnych tajemniczych godzinach dnia.

Milczenie ulic zamkniętej dzielnicy, martwe milczenie, któremu niby dreszcz zimna towarzyszył ów odgłos podobny do zgrzytania zębami, przytłaczało mnie do tego stopnia, że ni stąd, ni zowąd zacząłem głośno mówić do siebie. Wszyscy odwracali się i patrzyli na mnie wzrokiem wyrażającym głębokie zdumienie i przerażenie. Opanowałem się i zacząłem obserwować oczy tych ludzi. Prawie wszystkie twarze były brodate, a te nieliczne wygolone wyglądały przerażająco - głód i rozpacz widniały na nich, niczym nie zamaskowane. Twarze młodych chłopców porastało kędzierzawe runo, czarne lub rude, przez które przeglądała skóra jak z wosku. Twarze kobiet i dzieci wyglądały jak papierowe; na wszystkich kładł się już siny cień śmierci. Oczy w tych twarzach, szarych szarością papieru albo białych martwą bielą gipsu, przypominały dziwaczne jakieś owady usiłujące dostać się w głąb orbit przy pomocy mnóstwa kosmatych łapek, aby wyssać tę odrobinę światła, jaka błyszczała jeszcze w oczodołach. Kiedy się zbliżałem, te odrażające insekty drgały niespokojnie, porzucały na chwilę zdobycz i wysuwały się z głębi orbit, jak z nor, patrząc na mnie z lękiem. Oczy te były albo nienormalnie żywe, płonące gorączką, albo też wilgotne, melancholijne. Niektóre połyskiwały zielonkawym reflekssem jak skarabeusze. Oczy czerwone, czarne, białe, przygasłe i mroczne, czasem zasnuwane cienką błonką katarakty. Oczy kobiet patrzyły nieugięcie i odważnie, wytrzymywały mój wzrok z zuchwałą pogardą. Ale kiedy spojrzenie ich padło na mojego „czarnego” towarzysza, przysłaniał je cień lęku i odrazy. Najstraszniejsze były oczy dzieci, nie mogłem na nie patrzeć. Nad tym czarnym tłumem ludzi odzianych w długie czarne chałaty, z czołem przykrytym czarną mycką, wisiało ciężkie niebo podobne do brudnej waty.

Na skrzyżowaniach stali, po dwóch, żydowscy policjanci, z czerwoną gwiazdą Dawida na żółtej opasce, nieruchomi i niewzruszeni pośród nieustannego ruchu sanek, które ciągnęli mali chłopcy, wózków dziecinnych i ręcznych wózków z dyszlem, naładowanych sprzętami domowymi, tobołkami szmat, żelastwem, wszelkiego rodzaju nędznym dobytkiem.

Ludzie zbierali się na rogach ulic, zbici w ciasne gromadki po dziesięć, dwadzieścia, trzydzieści osób, tupiąc nogami po zlodowaciałym śniegu, klepiąc się otwartymi dłońmi po plecach, obejmując się ramionami, żeby się choć trochę ogrzać jedni przy drugich. W nędznych małych kawiarenkach na Nalewkach, Przyryнку, Zakroczymskiej tłoczyli się brodaci starcy, stali ciasno jeden przy drugim, milczący - może po to, żeby się ogrzać, a może dodając sobie wzajem otuchy samą bliskością, jak to czynią zwierzęta. Widząc nas w progu ci, którzy stali bliżej drzwi, usiłowali, strwożeni, wśliznąć się bardziej w głąb; rozlegał się jakiś okrzyk, jakiś jęk, potem zapadała cisza, mącona tylko zdyszonym oddechem - milczenie zwierząt zrezygnowanych już, gotowych na śmierć. Wszystkie oczy wpatrywały się w „czarnego”, który mi towarzyszył. Wszyscy patrzyli na tę twarz anioła, twarz dobrze im znaną, po stokroć oglądaną wśród gajów oliwnych u bram Jerycha, Sodomy, Jeruzalem. Była to twarz anioła zwiastującego gniew Boży. Wtedy ja uśmiechałem się, mówiłem: „proszę pana” i widziałem, jak dokoła mnie na tych twarzach z brudnego papieru rodzi się jakiś żalosny uśmiech zdumienia, ulgi, wdzięczności. Więc wciąż mówiłem: „proszę pana” i uśmiechałem się.

Ekipy młodych mężczyzn krążyły po ulicach zbierając trupy, obchodząc bramy, klatki schodowe, mieszkania. Ci młodzi grabarze byli to przeważnie studenci z Berlina, Monachium, Wiednia, albo deportowani z Belgii, Francji, Holandii, Rumunii. Wielu z nich żyło niegdyś dostatnio i szczęśliwie, mieszkało w pięknych domach pełnych luksusowych mebli, starych obrazów, książek, instrumentów muzycznych, cennych sreber i porcelany; teraz wlekli się mozolnie przez ulicę w łachmanach, z nogami owiniętymi w szmaty. Mówili po francusku, czesku, rumuńsku albo po niemiecku miękkim dialektem wiedeńskim; byli to młodzi intelektualiści, wychowankowie najlepszych uniwersytetów Europy - obdarci, zgłodniaли, zżerani przez robactwo, obolali jeszcze od razów, zniewag i wszystkiego, co wycierpieli, najpierw w obozach koncentracyjnych, a potem w tragicznych podróżach z Wiednia, Berlina, Monachium, Paryża, Pragi, Bukaresztu do warszawskiego getta; było jednak w ich twarzach coś dziwnie jasnego, w ich oczach młodzieńcza wola pomagania innym, ulżenia straszliwej niedoli ich ludu, w ruchach i spojrzeniach zdecydowane, szlachetne wyzwanie. Przystawałem, żeby popatrzeć na ich zbożny trud, i mówiłem cicho po francusku:

- Un jour vous serez libres; vous serez heureux, un jour, et libres; będziecie kiedyś jeszcze wolni i szczęśliwi - i młodzi grabarze podnosili głowy, i spoglądali na mnie z uśmiechem. Potem powoli obracali wzrok na „czarnego”, który szedł za mną jak cień, i patrzyli w oczy anioła o pięknej i okrutnej twarzy, tego anioła z Pisma, który oznajmia śmierć, a potem pochylali się nad leżącymi na chodniku zwłokami, przybliżając twarze rozjaśnione szczęśliwym uśmiechem do sinych twarzy zmarłych.

Unosili zwłoki ostrożnie, jakby to były kruche drewniane posągi, i układali na wozach ciągnionych przez innych zmizerowanych, obdartych młodych ludzi. Na śniegu zostawał tylko odcisnięty ślad zwłok i te żółtawe plamy, tajemnicze i budzące grozę, jakie ciała zmarłych pozostawiają na wszystkim, z czym się zetknęły. Stada wychudłych psów węsząc wlokły się za konduktami, a gromady obdartych dzieci, noszących na twarzy ślady głodu, bezsenności i lęku, zbierały z ziemi porzucone strzępy odzieży, kawałki papieru, puste puszki, obierzyny z ziemniaków i inne cenne jeszcze odpadki, które nędza, głód i śmierć zawsze zostawiają na swej drodze.

Z wnętrza domów dochodził chwilami nikły śpiew, monotony lament, który milkł natychmiast, skoro tylko ukazałem się w progu. Zmieszany odór brudu, mokrej odzieży i trupów wypełniał nędzne pomieszczenia, w których starcy, kobiety i dzieci żyli stłoczeni jak w celach więziennych; jedni siedzieli na ziemi, inni stali pod ścianami, opierając się o nie, jeszcze inni leżeli na bartogach ze słomy

i papierów. Chorzy, konający i zmarli na łózkach. Wszyscy milczeli, wpatrzeni w towarzyszącego mi anioła zagłady. Niektórzy nie przestawali przy tym żuć jakiegoś nędznego pożywienia. Inni, przeważnie młodzi chłopcy o białych oczach, powiększonych przez soczewki okularów, skupieni w pobliżu okien, czytali stojąc. To także był jeden z wielu sposobów zabijania czasu, będącego już tylko upokarzającym czekaniem na śmierć. Zdarzało się, że na nasz widok ktoś podnosił się z ziemi, odrywał od ściany albo wysuwał z gromadki towarzyszy i szedł powoli naprzeciw nas, mówiąc cichym głosem po niemiecku: „idziemy”.

(Tak samo w getcie częstochowskim, kilka dni przedtem, kiedy stanąłem w drzwiach, jakiś młody człowiek, siedzący na podłodze przy oknie, wstał i zbliżył się do mnie z wyrazem jakiejś dziwnej, wewnętrznej radości, jak gdyby, żyjąc do tej pory w niespokojnym wyczekiwaniu, ujrzał nareszcie przed sobą tę chwilę, której się lękał, i oto witał ją jak wyzwolenie. Wszyscy patrzyli na niego w zupełnym milczeniu; ani jedno słowo, ani jęk, ani okrzyk nie wyrwał się z niczyich ust nawet wówczas, kiedy odsunąłem chłopca łagodnie, mówiąc z uśmiechem, że nie, że nie po to przychodzę, że nie jestem agentem gestapo, nie jestem w ogóle Niemcem. A kiedy tak uśmiechałem się i odpychałem go łagodnie, na jego twarzy odmalowało się uczucie zawodu i powrócił niepokój, od którego moje pojawienie się na chwilę go uwolniło. W Krakowie także, kiedy pewnego dnia udałem się do getta i stanąłem w drzwiach jednego z domów, młody człowiek o wychudłej, spoconej twarzy, szczelnie owinięty w zniszczony szal, siedzący w kącie pokoju nad książką, podniósł się na mój widok. Na moje zapytanie, co czyta, pokazał mi okładkę książki: były to listy Engelsa. I zaraz zaczął gotować się do drogi. Zasznurował buty, poprawił brudne szmaty zastępujące mu skarpetki, wyciągnął na wierzch postrzępiony kołnierzyk koszuli i wyłożył porządnie na kołnierz marynarki. Kaszłał przy tym zasłaniając usta chudą dłonią. Odwrócił się, ruchem ręki żegnając zgromadzonych w pokoju ludzi, którzy wpatrywali się w niego w milczeniu. Nagle, już w drzwiach, odwinął swój szal, zawrócił i położył go delikatnie na ramionach siedzącej na barłogu staruszki. Potem szybko wyszedł za mną na schody. Nie chciał zrozumieć, nie wierzył, kiedy tłumaczyłem mu z uśmiechem, żeby wrócił do mieszkania. Kiedy zobaczyłem, jak zdejmuje z siebie szal, przypomniał mi się widok, na jaki natrafiłem któregoś ranka idąc przez getto: dwóch Żydów kompletnie nagich szło pomiędzy dwoma SS-manami. Jeden z Żydów był brodatym starcem, drugi chłopcem jeszcze, mógł mieć jakie szesnaście lat, nie więcej. Kiedy opowiedziałem o tym spotkaniu gubernatorowi Krakowa, Wächterowi, objaśnił mi uprzejmie, że bardzo często Żydzi, kiedy gestapo po nich przychodzi, rozbierają się i rozdzielają swoją odzież pomiędzy krewnych i znajomych: im już przecież nie jest potrzebna. Szli nago po śniegu, w mroźny ranek zimowy, przy trzydziestopięciostopniowym mrozie, tnącym jak brzytwa.)

Zwracałem się do mego „czarnego” mówiąc: „chodźmy” i ruszałem dalej ulicą, wciąż mając przy sobie tego nieodstępного towarzysza o pięknej twarzy, jasnym i okrutnym spojrzeniu, z czołem na pół ukrytym pod stalowym hełmem. Wydawało mi się, że kroczę tak u boku izraelskiego anioła, i w każdej chwili oczekiwałem, że on zatrzyma się i powie: „oto jesteście”. Myślałem o Jakubie i jego walce z aniołem. Wiał lodowaty wiatr, miał barwę twarzyczki martwego dziecka. Zbliżał się wieczór, dzień konał powoli pod murami, jak chory pies.

Idąc Nalewkami w kierunku wyjścia z „zamkniętej dzielnicy” natknęliśmy się gdzieś na gromadkę ludzi, przyglądającą się czemuś bez słowa. Pośrodku zwartego koła widzów były dwie dziewczyny. Szarpały się nawzajem za włosy i drapały po twarzach, a wszystko w milczeniu. Na nasz niespodziewany widok tłum rozproszył się momentalnie, walczące dziewczyny oderwały się od siebie, jedna podniosła coś z ziemi - był to surowy ziemniak - i odeszła ocierając wierzchem dłoni ściekającą

jej po twarzy krew. Druga nie ruszyła się z miejsca i przyglądała się nam przyglądając potargane włosy i doprowadzając do jakiegoś takiego ładu swoje łachmany. Było to blade, chude, nieszczęsne stworzenie o zapadniętym brzuchu i oczach, z których przeglądał głód, wstyd, poniewierka. Nagle uśmiechnęła się do mnie.

Zaczerwieniłem się. Nie miałem nic takiego, co mógłbym jej dać, a chciałem jej jakoś pomóc, czymś ją obdarować; w kieszeni miałem jednak tylko trochę pieniędzy, a na samą myśl o tym, żeby jej dać pieniądze, ogarniał mnie wstyd. Nie wiedziałem, co zrobić, i stałem tak bezradnie przed nią i jej uśmiechem, nie mogąc się zdecydować na żaden gest czy słowo. Wreszcie przemogłem się i wyciągnąłem do niej rękę z kilkoma dziesięciozłotowymi banknotami, ale dziewczyna powstrzymała mój ruch mówiąc z uśmiechem: „dziękuję bardzo”. Łagodnie odsunęła moją rękę patrząc mi w oczy uśmiechnięta, a potem odwróciła się i odeszła przyglądając sobie włosy.

Nagle przypomniało mi się, że mam w kieszeni cygaro, piękne hawańskie cygaro, którym mnie poczęstował wicegubernator Radomia, doktor Egen; pobiegłem za dziewczyną, dogoniłem ją i podałem jej cygaro. Spojrzała na mnie zmieszana, zarumieniła się, wzięła cygaro, ale widziałem, że przyjęła je tylko dlatego, żeby mi zrobić przyjemność. Nie powiedziała nic, nawet „dziękuję”, i odeszła powoli, nie odwracając się, z cygarem w ręku. Widziałem jeszcze, jak podnosi cygaro do twarzy i wdycha jego zapach, jak gdybym podarował jej nie cygaro, lecz kwiat.

- Czy oglądał pan getto, mein lieber Malaparte? - zapytał Frank uśmiechając się ironicznie.

- Tak - odparłem zimno.

- Bardzo interesujące, nicht wahr?

- O, tak, bardzo interesujące.

- Nie lubię oglądać getta - rzekła Frau Wächter - jest bardzo smutne.

- Bardzo smutne? Dlaczego? - zapytał gubernator Fischer.

- So schmutzig, takie brudne - zauważyła Frau Brigitte Frank.

- Ja, so schmutzig - przytaknęła Frau Fischer.

- Getto warszawskie jest bez wątpienia najlepsze ze wszystkich w Polsce, najlepiej zorganizowane - powiedział Frank.

- Prawdziwie wzorowe. Gubernator Fischer ma szczęśliwą rękę do tych rzeczy.

Gubernator Warszawy zaczerwienił się z zadowolenia.

- Szkoda - odezwał się skromnie - że mam za mało miejsca. Gdybym dysponował większą przestrzenią, mógłbym urządzić to wszystko znacznie lepiej.

- Rzeczywiście, szkoda - powiedziałem.



- Proszę tylko pomyśleć - ciągnął Fischer - że na przestrzeni, zamieszkałej przed wojną przez trzysta tysięcy osób, teraz mieści się przeszło półtora miliona Żydów. Nie moja wina, jeżeli jest im trochę ciasno.

- Żydzi lubią żyć w ciasnocie - rzucił Emil Gassner pogodnie.

- Z drugiej strony - dodał Frank - nie możemy ich zmuszać, żeby żyli inaczej.

- Byłoby to sprzeczne z prawem narodów - zauważyłem.

Frank spojrział na mnie ironicznie.

- A jednak - powiedział - Żydzi się żalą. Oskarżają nas o brak poszanowania dla ich wolnej woli.

- Przypuszczam, że panowie nie biorą tych protestów poważnie - powiedziałem.

- Pan się myli - rzekł Frank. - Robimy wszystko możliwe, żeby nie protestowali.

- Ja, natürlich - przytaknął Fischer.

- Co się tyczy brudu - ciągnął Frank - niepodobna zaprzeczyć, że oni żyją w ubolewaniu godnych warunkach. Żaden Niemiec nigdy by się nie zgodził tak żyć; nawet dla żartu!

- Byłby to żart bardzo zabawny - powiedziałem.

- Niemiec nie byłby w ogóle zdolny do życia w takich warunkach - dodał Wächter.

- Naród niemiecki jest kulturalny - rzekłem.

- Ja, natürlich - potwierdził Fischer.

- Musimy zresztą przyznać, że Żydzi nie ponoszą tu winy - ciągnął Frank. - Przestrzeń, na której są skupieni, jest nieco zbyt szczupła dla tak licznej ludności. Ale w gruncie rzeczy Żydzi lubią żyć w brudzie. Brud jest ich naturalnym żywiołem. Może dlatego, że oni wszyscy są chorzy, a chorzy, w braku czegoś lepszego, chronią się w brud. Z przykrością stwierdzić trzeba, że wymierają jak szczury.

- Wydaje mi się, że nie cenią sobie zbyt przywileju życia? - zauważyłem - to znaczy przywileju życia na sposób szczurów.

- Musimy zdać sobie sprawę, że w warunkach, w jakich żyją, bardzo jest trudno zapobiec ich wymieraniu - stwierdził Emil Gassner.

- Niemało się zrobiło - zauważył ostrożnie baron Wolsegger - w celu zmniejszenia śmiertelności w gettach; a jednak...

- W getcie krakowskim - wtrącił Wächter - zarządziłem, że rodzina zmarłego ma pokrywać koszty pogrzebu. Osiągnąłem bardzo dobre wyniki.

- Pewien jestem - zauważyłem cierpko - że śmiertelność zmniejszyła się z dnia na dzień.

- Zgadł pan; zmniejszyła się - roześmiał się Wächter.

Wszyscy zawtórowali mu, patrząc na mnie.

- Należałoby ich potraktować jak szczury – powiedziałem - dać im trutki jak szczurom; byłoby prędzej.

- Nie warto ich truć - rzekł Fischer - wymierają sami w niewiarygodnym tempie. W ubiegłym miesiącu, w samym tylko getcie warszawskim, zmarło czterdzieści dwa tysiące.

- To niemały procent - zauważyłem. - Jeżeli tak dalej pójdzie, za parę lat getto opustoszeje.

- Jeżeli chodzi o Żydów, żadne obliczenia na nic się nie zdadzą - rzekł Frank. - Wszelkie przewidywania naszych rzeczoznawców okazały się w praktyce błędne. Im więcej ich wymiera, tym bardziej się mnożą.

- Żydzi upierają się płodzić dzieci - powiedziałem. - Wszystkiemu winne są dzieci.

- Ach, die Kinder! - westchnęła Frau Brigitte Frank.

- Ja, so schmutzig! - dodała Frau Fischer.

- Ach, tak, czy przyjrzał się pan dzieciom w getcie? - zwrócił się do mnie Frank. - Okropne są, nicht wahr? So schmutzig! I wszystkie chore, obsypane krostami, zżerane przez insekty. Gdyby nie wzbudzały litości, byłyby odrażające. Istne szkielety! Śmiertelność dzieci jest w gettach bardzo wysoka. Jaki jest procent śmiertelności dzieci w getcie warszawskim?

- Pięćdziesiąt cztery na sto - poinformował Fischer.

- Żydzi są chorą rasą, okropnie podupadłą - mówił Frank.

- Są całkowicie zdegenerowani. Nie umieją chować dzieci i troszczyć się o nie, jak się to robi w Niemczech.

- Niemcy są krajem o wysokiej kulturze - zauważyłem.

- Ja, natürlich, pod względem higieny dziecka Niemcy zajmują pierwsze miejsce na świecie - rzekł Frank z dumą. - Czy zwrócił pan uwagę na kolosalną różnicę między dziećmi niemieckimi a żydowskimi?

- Dzieci w gettach nie są dziećmi - odparłem.

(Dzieci żydowskie nie są dziećmi, myślałem chodząc po ulicach gett Warszawy, Krakowa i Częstochowy. Dzieci niemieckie są czyste. Dzieci żydowskie są schmutzig. Dzieci niemieckie są dobrze odżywione, dobrze obute, dobrze ubrane. Dzieci żydowskie są zagłodzone, półnagie, chodzą boso po śniegu. Dzieci niemieckie mają zęby, żydowskie zębów nie mają. Dzieci niemieckie żyją w domach czystych i ogrzanych, śpią w białych łóżeczkach. Dzieci żydowskie - w niechlujnych domach, w zimnych izbach zatłoczonych ludźmi, śpią na bartogach ze szmat i papierów obok łóżek, na których leżą zmarli i konający. Niemieckie dzieci bawią się, mają lalki, gumowe piłki, drewniane koniki, ołowiane żołnierzyki, karabinki strzelające sprężonym powietrzem, trąbki, bąki - mają wszystko, co potrzebne dzieciom do zabawy. Dzieci żydowskie nie bawią się: nie mają czym się bawić, żadnych zabawek. Zresztą nie umieją się bawić! Nie! doprawdy, żydowskie dzieci w gettach nie potrafią się bawić. To rzeczywiście zwyrodniałe dzieci! Ich jedyną rozrywką jest chodzenie za wozami pełnymi

zwłok, a nawet nie umieją przy tym płakać. Albo chodzą pod Cytadelę przyglądać się egzekucjom dokonywanym na ich rodzicach i braciach. Jedyna rozrywka to popatrzeć na rozstrzelanie mamy. Takie to są zabawy żydowskich dzieci)

- Zapewne, nie jest łatwo naszym usługom technicznym uporać się z taką ilością trupów - mówił dalej Frank. - Potrzebne byłoby tu co najmniej dwieście ciężarówek, a my mamy do dyspozycji zaledwie kilkadziesiąt ręcznych wózków. Poza tym nie ma już gdzie ich grzebać. To poważny problem!

- Mam nadzieję, że jednak jakoś je pogrzebiecie - odezwał się.

- Oczywiście! Nie myśli pan chyba, że damy je do zjedzenia ich krewnym? - rzekł Frank wesoło.

Wszyscy zanosili się śmiechem: - Ach, so, ach, so, ach, so, ja, ja, ja, ach, so, wunderbar!

I ja także zacząłem się śmiać. Rzeczywiście, jakże zabawna była moja myśl, że może ich wcale nie pogrzebią. Oczy zachodziły łzami ze śmiechu na tę komiczną myśl. Frau Brigitte Frank przyciskała ręce do łona, z głową odchyloną do tyłu i szeroko rozwartymi ustami.

- Ach, so, ach, so, wunderbar!

- Ja, so amüsant! - odezwała się Frau Fischer.

Obiad zbliżał się ku końcowi. Doszliśmy już do rytualnej ceremonii, którą niemieccy myśliwi nazywają „przywilejem noża”. Zamykał ów „orszak Orfeusza”, jak się wyraził Frank cytując Apollinaire'a, młody daniel z lasów Radziwiłłowskich; wnieśli go dwaj lokaje w błękitnej liberii i złożyli na stole nadzianego na rożen, zgodnie z polską tradycją łowiecką. Pojawienie się tego daniela na rożnie, z zatkniętą w grzbiet czerwoną chorągiewką hitlerowską z czarną swastyką, oderwało na chwilę myśl biesiadników od tematu getta i Żydów. Wszyscy wstali z miejsc i urządzili uroczystą owację pani domu, która, zaczerwieniona z emocji, z uśmiechem i nieśmiałym ukłonem wręczyła nóż Frau Brigitte Frank. Ta z kolei skłoniła się wdzięcznie przyjmując z rąk Frau Fischer myśliwski kordelas o rękojeści z jeleniego rogu i podłużnej klindze tkwiącej w srebrnej pochwie. Następnie, zwróciwszy głowę najpierw w prawo, potem w lewo, gestem tym poświęcając ofiarne zwierzę gospodarzom i gościom, Frau Brigitte Frank rozpoczęła ceremonię: wyciągnęła kordelas z pochwy i zagłębiła ostrze w grzbiecie daniela.

Powoli, cierpliwie, ze zręcznością i wykwinem wywołującym okrzyki podziwu i oklaski obecnych, Frau Brigitte Frank odkrawała z grzbietu, ud i piersi daniela duże, równe płaty delikatnego, różowawego mięsa, które przeniknął do głębi gorący pocałunek ognia, i osobiście, z pomocą Keitha, rozdelała porcje między biesiadników, dokonując za każdym razem wyboru i podkreślając swój namysł czy rozterkę lekkim potrząsaniem głowy, wodzeniem oczyma po obecnych, wysuwaniem warg i tym podobną wdzięczną mimiką. Pierwszą porcję otrzymałem ja, jako cudzoziemiec, czy nawet, jak się wyraził Frank, w „zaszczytnym charakterze cudzoziemca”. Po mnie, ku memu wielkiemu zdumieniu, obsłużony został Frank. Ostatni zaś, i to zaskoczyło mnie jeszcze bardziej, był nie Fischer, lecz Emil Gassner. Koniec ceremonii powitały huczne oklaski, na które Frau Brigitte Frank odpowiedziała głębokim ukłonem, nie pozbawionym pewnego wdzięku, co było dla mnie miłą niespodzianką. Kordelas pozostał wbity w grzbiet daniela, obok czerwonej chorągiewki z czarną swastyką, i wyznaję, że widok tego kordelasa i tej chorągiewki, tkwiących zwycięsko na grzbiecie szlachetnego zwierzęcia,

sprawił mi wyraźną przykrość; zwłaszcza w połączeniu z rozmową biesiadników, która znów powróciła do tematu getta i Żydów.

Gubernator Fischer, nabierając łyżką sos i polewając nim, niby złocistym deszczem, swoją porcję pieczonego, opowiadał, w jaki sposób grzebie się Żydów z getta.

- Warstwa trupów, warstwa wapna - objaśniał takim tonem, jakby mówił: „plaster mięsa, warstwa sosu”.

- To najhigieniczny system - pochwalił Wächter.

- Go się tyczy higieny - dodał Emil Gassner - to Żydzi są bardziej zaraźliwi za życia niż po śmierci.

- Ich glaube so! Ja myślę! - wykrzyknął Fischer.

- Martwymi się nie interesuję - rzekł Frank - Wielką natomiast troską przejmują mnie dzieci. Niestety, bardzo niewiele możemy zrobić w celu zmniejszenia śmiertelności dzieci w gettach; coś jednak chciałbym uczynić dla ulżenia doli tych nieszczęśliwych maleństw. Pragnąłbym wpoić im miłość życia, nauczyć je chodzić po ulicach getta z uśmiechem na ustach.

- Z uśmiechem? - zapytałem. - Chciałby pan je nauczyć uśmiechać się? Chodzić po getcie z uśmiechem? Żydowskie dzieci nigdy nie nauczą się uśmiechać, choćbyście je tresowali przy pomocy bata. Nie nauczą się nawet chodzić, nie, nigdy się tego nie nauczą. Czyżby pan nie wiedział, że żydowskie dzieci nie chodzą? Żydowskie dzieci mają skrzydła.

- Skrzydła? - wykrzyknął Frank.

Głębokie zdumienie odmalowało się na twarzach biesiadników. Wszyscy wpatrywali się we mnie bez słowa, wstrzymując oddech.

- Skrzydła? - powtórzył Frank i otworzył szeroko usta w niepohamowanym wybuchu śmiechu. Uniósł w górę ramiona i zaczął trzepotać dłońmi jak skrzydłami - Cip, cip, cip - świergotał głosem przerywanym przez śmiech. A za jego przykładem wszyscy obecni podnieśli ręce i trzepotali nimi nad głową, wykrzykując radośnie:

- Ach, so! Ach, so! Cip, cip, cip!

Obiad skończył się nareszcie, Frau Fischer wstała od stołu i poprowadziła nas do swego prywatnego salonu, który był niegdyś gabinetem pułkownika Becka. Fotel, w którym siedziałem, dotykał oparciem kolan posągu z białego marmuru, wyobrażającego greckiego atletę, posągu w tak zwanym stylu monachijskim. Oświetlenie było dyskretne, dywany grube i miękkie, na kominku płonęły z trzaskiem dębowe polana. Było ciepło, pachniało koniakiem i tytoniem. Głosy dokoła mnie brzmiały ochryple, przerywane wybuchami tubalnego niemieckiego śmiechu, którego dźwięk budzi we mnie zawsze jakieś niemiłe uczucie.

Keith mieszał w kryształowych pucharach czerwone wino burgundzkie, gęsty, ciepły Volney, z bladeżółtym szampanem Mumm. Był to tradycyjny napój niemieckich myśliwych, pije się go po powrocie z polowania, a nazywa się on Türkischblut, czyli „krew turecka”.

- A więc - odezwał się Frank zwracając ku mnie twarz z wyrazem szczerzego żalu - a więc żydowskie dzieci mają skrzydła, co? Jeżeli pan to powie we Włoszech, wszyscy Włosi skwapliwie w to uwierzą. Oto jak powstają legendy o Żydach. Gdyby dawać wiarę gazetom angielskim i amerykańskim, sądzić by można, że Niemcy w Polsce nic innego nie robią, tylko zabijają Żydów od rana do nocy. A przecież pan jest w Polsce od miesiąca z górą i nie powie pan chyba, że bodaj raz widział, by Niemiec tknął choćby włos na głowie Żyda. Pogromy są taką samą bajką jak skrzydła żydowskich dzieci. Może pan pić spokojnie - dodał wznosząc w górę puchar z czeskiego kryształu, napełniony Türkischblutem - może pan pić bez obawy, mein lieber Malaparte: to nie jest krew żydowska. Prosit!

- Prosit! - odrzekłem wznosząc puchar. I zacząłem opowiadać o tych wydarzeniach, jakich byłem świadkiem w zacnym mieście Jassy w Mołdawii, na granicy rosyjsko-rumuńskiej.

## VI. Szczury w Jassach

Pchnąłem drzwi i wszedłem. Dom był pusty, najwidoczniej opuszczony zupełnie nagle. Pozrywane zasłony z okien walały się tu i ówdzie po pokojach, podarte na strzępy. W obszernym pokoju sypialnym stał pośrodku, pod mosiężnym żyrandolem, okrągły stół otoczony krzesłami. Z rozprutego piernata wysypało się gęste pierze, i kiedy wszedłem do pokoju, z podłogi wzbijała się kupa białych piórek, które wirowały dokoła mnie i lepiły się do mojej mokrej od potu twarzy. Szuflady i szafy były pootwierane, części ubrania i papiery leżały powyrzucane na podłogę. Przekręciłem wyłącznik. Na szczęście światło elektryczne jeszcze funkcjonowało. Kuchnia zaśmiecona była słomą i skorupami. Rondle i patelnie piętrzyły się w nieładzie na płycie kuchennej. W kącie pleśniała góra wysypanych na podłogę ziemniaków. Woń brudu i zepsutego jedzenia zatruwała powietrze.

Oczywiście, nie był to pałac, ale w Jassach, w Mołdawii, w końcu czerwca 1941 (były to pierwsze dni wojny niemiecko-rosyjskiej), nie udało mi się z pewnością znaleźć nic lepszego niż ten domek w głębi rozległego opuszczonego ogrodu, tuż obok wylotu ulicy Lapusneanu, obok Jockey Clubu i Café Restaurant Corso; później dopiero zauważyłem, że nie był to opuszczony ogród, lecz stary cmentarz prawosławny.

Otworzyłem na rozcież okna i zabrałem się do porządków. Byłem śmiertelnie zmęczony, toteż na razie ograniczyłem się do uporządkowania jako tako i pozamiatania pokoju sypialnego. La dracu cała reszta, Za dracu wojna, la dracu Mołdawia, Jassy i wszystkie domy w Jassach. Rozłożyłem na łóżku moje dwa koce, na ścianie powiesiłem karabin Winchester, aparat fotograficzny, polową latarkę elektryczną i fotografię mojego psa, mojego nieodżałowanego Feba. Zrobiło się tymczasem ciemno, zapaliłem więc światło.

Dwa strzały karabinowe rozdarły nocną ciszę, kule przebiły szybę w oknie i utkwily w suficie. Zgasilem światło i podszedłem do okna. Patrol żołnierzy stał na cmentarzu, na wprost domu; nie mogłem rozpoznać, czy to Niemcy, czy Rumuni. „Lumina! Lumina! Światło!” - wołali. To byli Rumuni.

- La dracu! Do diabła! - odrzyknąłem. W odpowiedzi na to gwizdnęła mi koło ucha trzecia kula. Parę dni przedtem, w Bukareszcie, także strzelano w moje okno z Athéneé Pałace. Policja i wojsko miały rozkaz strzelać w każde okno, z którego przedostawałaby się choćby najlżejsza smużka światła. „Dobranoc!” - zawołałem „Noapte bună.” - odpowiedzieli żołnierze odchodząc.

W ciemności, po omacku, poszukałem gramofonu, który uprzednio zauważyłem w pokoju, wziąłem na chybił-trafił jedną z płyt wrzuconych w nieładzie do szuflady, wymacałem palcem igłę, pokręciłem korbką i oparłem igłę na brzegu płyty. Zabrzmiała rumuńska piosenka ludowa w wykonaniu Chivy PitzigoL Głos Chivy, łagodny i niski, zaczął śpiewać w ciemności:

Ce-ai in gusa, Marioara,  
ce-ai in gusa, Marioara.<sup>10</sup>

Rzuciłem się na łóżko i zamknąłem oczy, ale po chwili wstałem, poszedłem do kuchni, nalałem wody do wiadra i zanurzyłem butelkę cuki, rumuńskiej śliwowicy przywiezionej z Bukaresztu, żeby ją ochłodzić. Postawiłem wiadro przy łóżku, wyciągnąłem się na wypatroszonym piernacie i zamknąłem oczy. Płyta skończyła się, obracała się teraz bez dźwięku, tylko stalowa igła zgrzytała cicho. Podniosłem się jeszcze raz, nakręciłem ponownie gramofon i przestawiłem igłę na brzeg płyty. Głos Chivy Pitzigoi zabrzmiał znowu w ciemności, niski i łagodny: Ce-ai in gusa, Marioara.

Gdybym mógł zapalić światło, zabrałbym się do czytania. Miałem z sobą książkę Harolda Nicolsona, „The Hellen's Tower”, na którą natrafiłem w Bukareszcie u Azafera, znajomego żydowskiego księgarza, tego naprzeciw „Curentul”. Była to książka dość już stara, z roku 1937, opowieść o życiu Lorda Dufferina, który był wujem Harolda Nicolsona. La dracu Harold Nicolson i jego wuj Lord Dufferin, do diabła z nimi wszystkimi. Było gorąco, parna letnia pogoda, od trzech dni nad miastem wisiała burza niby ropień dojrzały do pęknięcia. Chiva Pitzigoi śpiewała swoim nieco ochrypłym, pulsującym ciepłą krwią głosem, potem śpiew urwał się nagle, stalowa igła zgrzytała cicho, a mnie się nie chciało wstać, do diabła z sercem Marioary, Noapte bună, domnișoară Chiva. Po trochu zapadłem w sen, wreszcie zaczęły mnie nachodzić senne widziadła.

W pierwszej chwili nie zauważyłem, że śpię, aż nagle zdałem sobie sprawę, że to sen. Możliwe, że spałem rzeczywiście i zacząłem śnić, a potem, zbudziwszy się raptownie, jak to się zdarza ludziom bardzo zmęczonym, przeżywałem swój sen na jawie. W pewnej chwili drzwi się otworzyły i wszedł Harold Nicolson. Miał na sobie szare ubranie i koszulę z oksfordzkiego płótna, bladoniebieską, ożywioną ciemnoniebieskim krawatem. Wszedł, rzucił na stół kapelusz - szary pilśniowy Lock - usiadł na krześle, dosyć daleko od mego łóżka i wpatrywał się we mnie z milczącym uśmiechem

Pokój zmieniał stopniowo wygląd, stał się najpierw ulicą, potem zadrzewionym placem. Poznałem niebo nad dachami: niebo Paryża. To przecież Place Dauphine, to okna mojego mieszkania na Place Dauphine. Idę pod samym murem, żeby mnie nie zauważył właściciel sklepu tytoniowego przy Pont Neuf, skręcam na rogu Quai-de-l'Horloge, zatrzymuję się przed domem numer 39, przed moją bramą. To przecież drzwi mego domu, domu Daniela Halévy. Pytam madame Martig, konsjerżkę: „Czy pan Malaparte jest w domu?” Madame Martig przygląda mi się długo, w milczeniu. Nie poznaje mnie, a ja jestem jej za to wdzięczny, wstyd mi, że tu wracam w mundurze włoskiego oficera, wstydzę się widząc Niemców na ulicach Paryża. Jakże zresztą mogłaby mnie poznać po tylu latach? „Nie - pana Malaparte nie ma w Paryżu”, odpowiada wreszcie madame Martig. „Jestem jednym z jego przyjaciół” - mówię. „Nic o nim nie wiemy - powiada madame Martig - możliwe, że monsieur Malaparte siedzi jeszcze w więzieniu we Włoszech, a może jest na wojnie, gdzieś w Rosji, w Afryce, w Finlandii, może

---

<sup>10</sup> Co masz na sercu, Marioara...

nie żyje, a może jest w niewoli, któż to wie?” Więc pytam, czy państwo Halévy są w domu. „Nie, nie ma ich, dopiero co wyjechali” - mówi madame Martig cicho. Wchodzę powoli po schodach i odwracam się jeszcze z uśmiechem ku madame Martig. Możliwe, że teraz mnie poznaje, uśmiecha się niepewnie, może poczuła zapach, który z sobą przyniosłem, odór końskiej padliny, zapach trawy porastającej groby na starym opuszczonym cmentarzu w Jassach. Staję przed drzwiami Daniela Halévy, wyciągam rękę do klamki, ale nie mam odwagi otworzyć, tak samo jak wtedy, kiedy przyszedłem się z nimi pożegnać przed powrotem do Włoch, przed odjazdem do więzienia i na zesłanie na wyspie Lipari. Daniel Halévy oczekiwał mnie wówczas w swojej pracowni, był z nim malarz Jacques Emile Blanche i pułkownik de Gaulle. Niejasne, posępne przecucie ścisnęło mnie za gardło.

- Monsieur Halévy n'est pas chez lui!<sup>11</sup> - woła za mną z głębi klatki schodowej madame Martig. Więc idę wyżej, wchodzę na drewniane schodki wiodące do mojej mansardy, pukam do moich drzwi, po chwili słyszę wewnątrz kroki, poznaję te kroki, i oto już otwiera mi Malaparte; jest młody, znacznie młodszy ode mnie, ma jasną twarz, czarne włosy i oczy trochę chmurne. Patrzy na mnie w milczeniu, uśmiecham się do niego, ale on nie odpowiada uśmiechem, przygląda mi się podejrzliwie, jak komuś nieznanemu. Wchodzę do mego mieszkania, rozglądam się. W bibliotece siedzą wszyscy moi przyjaciele, Jean Giraudoux, Luigi Pirandello, André Malraux, Bessand Massenet, Jean Guéhenno, Harold Nicolson, Glenway Wescott, Cecil Sprigge i Barbara Harrison. Wszyscy moi przyjaciele są tam, siedzą milczący, niektórzy z nich już nie żyją, twarze mają blade i zagasłe oczy. Może siedzieli tak, czekając na mnie, przez wszystkie te lata, a teraz mnie nie poznają. Może stracili już nadzieję, że kiedyś wrócę jeszcze do Paryża, po tylu latach więzienia, zesłania, wojny. Słychać żałosne syreny holowników płynących w górę Sekwany z długim konwojem barek. Podchodzę do okna i widzą mosty paryskie, od Pont Saint-Michel aż po Trocadéro, zieleń drzew na bulwarach, fasadą Luwru, drzewa na Place de la Concorde. Moi przyjaciele patrzą na mnie w milczeniu, siadam wśród nich, chciałbym znowu usłyszeć ich głosy, słuchać, co mówią, ale oni siedzą nieruchomo, zamknięci w sobie, patrzą na mnie w milczeniu, i czuję, że się nade mną litują; chciałbym im powiedzieć, że to nie moja wina, jeżeli stałem się okrutny; wszyscy staliśmy się okrutni, nawet ty, Bessand Massenet, nawet ty, Guéhenno, i ty, Jean Giraudoux, i ty, Barbaro, także, czy nie? I Barbara uśmiecha się i kiwa głową, jakby mówiła, że wie, że rozumie. Inni też zaczynają się uśmiechać i potakują głowami, że tak, że to nie nasza wina, iż wszyscy staliśmy się okrutni. Wstaję, idę do drzwi i od progu odwracam się jeszcze, żeby na nich popatrzeć i uśmiechnąć się do nich. Schodzę powoli po schodach, madame Martig mówi do mnie przyciszonym głosem: „Il ne nous a jamais écrit”. Chciałbym ją przeprosić, wytłumaczyć jej, dlaczego to nigdy do niej nie napisałem ani z więzienia Regina Coeli, ani z wyspy Lipari. „To nie przez pychę, proszę zrozumieć, to dlatego, że się wstydiłem. To ta specyficzna wstydlivość więźnia, żałosna wstydlivość człowieka ściganego, wtrąconego do ciemnicy, żartego przez robactwo, wycieńczonego bezsennością, gorączką, osamotnieniem, okrucieństwem. Tak, madame Martig, własnym okrucieństwem.” „Pewnie o nas zapomniał” - mówi madame Martig cicho i dodaje: „Może i o panu także zapomniał?” „O, nie, wcale o nas nie zapomniał. Tylko wstydzi się tego, co wszyscy cierpimy, tego, czym staliśmy się przez tę wojnę. Pani to wie, n'est-ce pas que vous le savez, madame Martig?” „Oui - mówi madame Martig cicho - nous le connaissons bien, znamy przecież dobrze pana Malaparte”.

- Dzień dobry, Childe Harold! - powiedziałem podnosząc się na łóżku. Harold Nicolson ściągnął powoli rękawiczki i krótką białą dłońią, porośniętą rudym włosom, przyglądał wąsy, długo nie odrywając

---

<sup>11</sup> Pana Halévy nie ma w domu!

palców od ust. Wąsy Harolda Nicolsona przywodziły mi zawsze na myśl nie tyle dyplomatę z młodszej ekipy Foreign Office, ile koszary w Chelsea. Wydawały mi się zawsze typowym produktem English Public School System, miały coś pokrewnego z armią. Harold Nicolson przyglądał mi się z uśmiechem jak wówczas w Paryżu, kiedy przyszedł zabrać mnie na śniadanie do Larue, przy rue Royale, gdzie mieliśmy się spotkać z Mosleyem.

Nie pamiętam już, gdzie i kiedy poznałem Nicolsona. Opowiadała mi najpierw o nim Mrs Strong podczas śniadania w pewnym zaprzyjaźnionym domu na Faubourg Saint-Honoré. Parę dni potem Mrs Strong zatelefonowała do mnie z wiadomością, że Nicolson wstąpi po mnie i urządzi mi spotkanie z Mosleyem. Siedząc u mnie w bibliotece Nicolson gładził się po wąsach krótką białą dłonią, porośniętą lśniącym rudym włosom. Od Sekwany dochodził żałosny lament syren holowników. Było październikowe południe, ciepłe i mgliste. Z Mosleyem mieliśmy się spotkać o godzinie drugiej. Poszliśmy pieszo wzdłuż Sekwany aż do ulicy Royal i kiedy weszliśmy do Larue, była za pięć druga.

Usiedliśmy przy stoliku i zamówiliśmy martini, ale upłynęło pół godziny, a Mosleya jeszcze nie było. Parę razy Harold Nicolson wstawał i szedł telefonować do Mosleya, który mieszkał, jak się dowiedziałem, w Hotel Napoleon, tuż obok Łuku Tryumfalnego. Adres jak stworzony dla przyszłego Mussoliniego Anglii. Dochodziła trzecia, a Mosley wciąż jeszcze się nie pokazał. Powziąłem podejrzenie, że po prostu nie chciało mu się wstać z łóżka; może w ogóle jeszcze śpi. Ale nie odważyłem się podzielić tym przypuszczeniem z Nicolsonem. Upłynęło jeszcze trochę czasu, było wpół do czwartej, Nicolson po raz dziesiąty zniknął w kabinie telefonicznej, po powrocie zaś oznajmił tryumfująco, że Sir Oswald Mosley zaraz przybędzie. I dodał ze śmiechem, jakby chcąc go usprawiedliwić, że Mosley ma już takie złe przyzwyczajenie: wyleguje się w łóżku przez całe ranki, nie wstaje nigdy wcześniej niż w południe, od dwunastej do drugiej uprawia szermierkę u siebie w pokoju, potem wychodzi i przez miasto idzie piechotą, tak że na umówione spotkanie zjawia się z reguły wtedy, kiedy prawie wszyscy już się rozeszli, mając dość czekania. Zapytałem Nicolsona, czy zna pewną maksymę Talleyranda. „W życiu - mawiał Talleyrand - dojść jest łatwo, trudno jest tylko wyruszyć.” „Jeśli chodzi o Mosleya - rzekł Nicolson - to niebezpieczeństwo polega na tym, że może dojść, zanim zdąży wyruszyć.”

Kiedy nareszcie Mosley zjawił się u Larue, była prawie czwarta po południu. Wypiliśmy już z Nicolsonem po pięć czy sześć kieliszków martini i zabraliśmy się do jedzenia. Nie pamiętam już, cośmy jedli ani też o czym rozmawiali, pamiętam tylko, że Mosley miał maleńką główkę, głos łagodny, że był wysoki, niezwykle wysoki, chudy, leniwy w ruchach, nieco przygarbiony, że ani trochę nie był swoim spóźnieniem zażenowany, wręcz przeciwnie, wydawał się bardzo rad z siebie.

- On n'est jamais pressé, quand il s'agit d'arriver en retard<sup>12</sup> - powiedział nie tyle po to, żeby się usprawiedliwić, ile żeby dać nam do zrozumienia, że nie jest taki głupi, by nie rozumieć, że się spóźnił. My obaj z Nicolsonem wymieniliśmy porozumiewawcze spojrzenie i przez cały czas śniadania Mosleyowi ani przez myśl nie przeszło, żeśmy się zmówili, by sobie z niego zakpić. Był, o ile mi się zdaje, obdarzony sporą dozą poczucia humoru. Ale jak wszyscy dyktatorzy (Mosley był tylko pretendentem do dyktatury, ale miał w sobie niewątpliwie materiał na doskonałego dyktatora; a wiadomo, z jakiej wełny utkany jest taki materiał), nie był zdolny do najlżejszego nawet podejrzenia, że ktoś może go nie brać na serio.

---

<sup>12</sup> Człowiek nigdy się nie spieszy, jeśli zależy mu na tym, żeby się spóźnić.



Przyniósł z sobą egzemplarz angielskiego wydania mojej książki „Technika zamachu stanu” i chciał, żebym mu napisał dedykację na stronie tytułowej. Spodziewał się może po mnie jakiegoś dytyrambu. Chcąc go w złośliwy sposób pozbawić złudzeń, napisałem na karcie tytułowej tylko dwa zdania wyjęte z tejże książki: „Hitler, jak wszyscy dyktatorzy, jest w gruncie rzeczy kobietą” i: „dyktatura jest najpełniejszą postacią zazdrości”. Mosley zmieszał się przeczytawszy te słowa i spoglądając na mnie spod przymkniętych powiek zapytał tonem lekko poirytowanym:

- Czy i Cezar także był według pana kobietą?

Nicolson tłumił śmiech i mrugał do mnie porozumiewawczo.

- Gorzej niż kobietą - odpowiedziałem - Cezar nie był dżentelmenem.

- Cezar nie był dżentelmenem? - powtórzył Mosley zdumiony.

- Cudzoziemiec - odrzekłem - który pozwala sobie na podbój Anglii, z pewnością nie jest dżentelmenem.

Wina były znakomite, „szef” od Larue, zarozumiały, drażliwy i kapryśny jak kobieta albo jak dyktator, upierał się honorować nieprzerwanym, nie kończącym się szeregiem wymyślnych dań, nacechowanych dumną fantazją i miłością własną, stolik tych ekscentrycznych cudzoziemców, samotnych w wielkiej opustoszałej sali, jedzących śniadanie o tak niezwyklej porze, kiedy u Ritza unosiła się już para nad srebrnymi imbrykami z herbatą; zarówno usposobienie „szefa”, jak bukiet win zdawały się znakomicie oddziaływać na Mosleya, który też po trochu odzyskiwał właściwą sobie ironiczną pogodę. Na ulicy Royale zaczynały już rozbłyskiwać latarnie, kwiaciarze sprzed kościoła Madeleine zjeżdżali już w kierunku placu Zgody z ręcznymi wózkami pełnymi przywędłych kwiatów, a my wciąż jeszcze rozprawialiśmy o zaletach sera Brie i najlepszych metodach osiągnięcia władzy nad Anglią.

Nicolson utrzymywał, że na Anglików nie działa ani siła, ani perswazja, są natomiast wrażliwi na tak zwane „dobre maniery”, a dyktatorzy zazwyczaj owych good manners nie mają. Mosley twierdził, że dobre maniery bardzo już podupadły i że Anglicy, a zwłaszcza ich Upper Ten Thousand<sup>13</sup>, dojrzeli do dyktatury.

- Ale w jaki sposób myśli pan dojść do władzy? - dopytywał się Nicolson.

- Najdłuższą drogą oczywiście - odpowiedział Mosley.

- Przez Trafalgar Square czy przez Saint James's Park? - naciskał Nicolson.

- Przez Saint James's Park, oczywiście - odparł Mosley. - Mój zamach stanu będzie zaledwie miłą przechadzką - i mówiąc to śmiał się wesoło.

- Ach, rozumiem, pańska rewolucja wyruszy z Mayfair. A kiedy spodziewa się pan osiągnąć władzę? - pytał Nicolson.

- Dziś już można obliczyć z absolutną ścisłością datę, kiedy w Anglii nastąpi kryzys ustroju parlamentarnego. Wyznaczam panom spotkanie przy Downing Street - odparł Mosley.

---

<sup>13</sup> Górne dziesięć tysięcy.

- Doskonale; dzień i godzina?

- A, to już mój sekret - odpowiedział Mosley ze śmiechem.

- Jeżeli rewolucja jest rodzajem spotkania, dojdzie pan do władzy na pewno spóźniony - powiedział Nicolson.

- Tym lepiej; zdobędę ją wtedy, kiedy nikt już nie będzie się tego spodziewał - odparł Mosley.

Podczas gdyśmy tak rozmawiali, wdychając z rozkoszą starodawny, daleki aromat armaniaku, sala Larue zmieniała po trochu wygląd, stawała się podobna do obszernego pokoju, w którym leżałem na rozprutym piernacie. Harold Nicolson przyglądał mi się z uśmiechem; siedział pod mosiężnym żyrandolem, oparty łokciem o stół, na którym leżał jego szary piłśniowy Lock. W pewnej chwili wskazał mi wzrokiem kąt pokoju; spojrzałem tam i zobaczyłem Sir Oswalda Mosleya siedzącego na ziemi ze skrzyżowanymi po turecku nogami. Nie mogłem w żaden sposób zrozumieć, skąd Nicolson i Mosley wzięli się w Jassach, w moim sypialnym pokoju, i z głębokim zdumieniem przyglądałem się Mosleyowi, który miał różową twarzyczkę dziecka, małe rączki, króciutkie ramiona, nogi natomiast takie długie, że po to, by je zmieścić w pokoju, zmuszony był zakładać je po turecku.

- Zastanawiam się, dlaczego pan siedzi w Jassach - odezwał się Harold Nicolson - zamiast iść się bić.

- La dracu - odpowiedziałem - Za dracu wojna, Za dracu to wszystko.

Mosley uderzał rękami o podłogę wzbijając tumany gęsiego pierza. Twarz miał całą pokrytą pierzem, które lepilo się do jego spoconej skóry. Śmiał się nie przestając klepać podłogi rękami.

Nicolson popatrzył na niego surowo.

- Powinien się pan wstydzić takiej dziecinnej zabawy. Nie jest pan już dzieckiem, Sir Oswald.

- Oh, sorry, przepraszam - powiedział Sir Oswald Mosley spuszczać oczy.

- Czemu pan nie idzie walczyć? - zwrócił się znów do mnie Nicolson. - Obowiązkiem każdego dżentelmena jest walczyć w obronie cywilizacji przeciwko barbarzyństwu - to mówiąc roześmiał się.

- La dracu - odpowiedziałem. - Do diabła i z panem, Childe Haroldzie.

- Obowiązkiem każdego dżentelmena - ciągnął Harold Nicolson - jest bić się przeciwko wojskom Stalina. Śmierć ZSRR! Cha, cha, cha! - i wybuchnął gromkim śmiechem przechylając się do tyłu, na oparcie krzesła.

- Śmierć ZSRR! - wykrzyknął Sir Oswald Mosley bijąc dłońmi w podłogę.

Nicolson zwrócił się do Mosleya:

- Niech pan nie mówi głupstw, Sir Oswald - powiedział surowo.

W tej chwili drzwi się otworzyły i stanął w nich oficer rumuński, wysoki i barczysty, w asyście trzech żołnierzy; w półmroku połyskiwały ich czerwone oczy i spocone twarze. Za oknem stał księżyc, lekki

wietrzyk zawiewał przez otwarte okno. Oficer wszedł do pokoju, stanął w nogach łóżka i puścił mi prosto w twarz snop światła elektrycznej latarki. Zobaczyłem, że ściska w ręku pistolet.

- Policja wojskowa - rzucił szorstko. - Ma pan przepustkę?

Zacząłem się śmiać i obróciłem się w stronę Nicolsona. Miałem już powiedzieć: la dracu, kiedy spostrzegłem, że Nicolson rozwiewa się w białej chmurze gęsiego pierza. Mlecznobiałe niebo wpłynęło do pokoju, w tej mglistej bieli widziałem niewyraźnie sylwetki Nicolsona i Mosleya wznoszące się powolnymi ruchami pod sufit, jak nurkowie, kiedy wyływają z głębiny na powierzchnię, otoczeni dokoła banieczkami powietrza.

Usiadłem na łóżku i stwierdziłem, że jestem zupełnie rozbudzony.

- Napije się pan? - zapytałem oficera.

Napełniłem dwa kubki cujką, unieśliśmy je w górę mówiąc:

- Noroc, na zdrowie.

Zimna cujka otrzeźwiła mnie do reszty i nadała suchy, dziarski ton memu głosowi, kiedy, poszperawszy w kieszeni kurtki przewieszanej przez poręcz łóżka, podałem oficerowi dokument, mówiąc:

- Oto przepustka; mogę się założyć, że fałszywa.

Oficer uśmiechnął się.

- Nie byłoby w tym nic dziwnego - powiedział. - W Ja ssach roi się od rosyjskich spadochroniarzy. Żle pan robi - dodał po chwili - śpiąc tutaj sam jeden w pustym domu. Nie dalej jak wczoraj znaleźliśmy człowieka zarżniętego w łóżku, w domu przy ulicy Fabrycznej.

- Dziękuję za radę - odparłem - ale z moim fałszywym dokumentem mogę chyba spać spokojnie, nie myśli pan?

- Oczywiście - rzekł oficer.

Moja przepustka opatrzona była podpisem wicepremiera Mihai Antonescu.

- Chce pan zobaczyć, czy i ten także jest fałszywy? - spytałem podając drugą przepustkę, z podpisem Lupu, komendanta wojskowego Jass.

- Dziękuję - rzekł oficer. - Jest pan całkiem w porządku.

- Jeszcze trochę cujki?

- Czemu nie? W całych Jassach nie ma już ani kropelki.

- Noroc.

- Noroc.

Oficer wyszedł, żołnierze za nim, a ja zasnąłem znowu głęboko, leżąc na wznak, z kolbą parabellum zaciśniętą w spoczonej dłoni.

Kiedy się obudziłem, słońce stało wysoko. Ptaki świergotały w gałęziach akacji i na kamiennych nagrobkach starego, opuszczonego cmentarza. Ubrałem się i wyszedłem poszukać czegoś do jedzenia. Ulice zatłoczone były długimi kolumnami ciężarówek i „pancerów” niemieckich, treny artyleryjskie stały pod pałacem Jockey Clubu, oddziały żołnierzy rumuńskich w wielkich stalowych hełmach, opadających na karki, w ochlapanych błotem mundurach piaskowego koloru, maszerowały tupiąc mocno po asfalcie. Gromadki gapiów stały przed drzwiami składu win obok cukierni „Fundatie”, fryzjerna Ionescu i pracowni zegarmistrzowskiej Goldsteina. Ciężka woń ciorbă de pui, bardzo tłustej zupy z kurczaka przyprawionej octem, wisiała w powietrzu zmieszana z silną wonią bryndzy, słonego sera z Braiły. Poszedłem ulicą Bratianu w stronę szpitala Świętego Spirydiona i zajrzałem do sklepu spożywczego Kana, żydowskiego kupca o wielkiej, przyptaszczonej głowie i uszach podobnych do uchwytów glinianego garnka.

- Dzień dobry, domnule capitan - mówił Kane. Rad jest, że mnie widzi; myślał, że wciąż jestem na linii Prutu z wojskami rumuńskimi.

- La dracu Prut - powiadam. Czuję mdłości i w głowie mi się kręci. Siadam na worku z cukrem i wsuwam palce między szyję a kołnierzyk, żeby trochę rozluźnić węzeł krawata! W sklepie czuć ciężkie, zmieszane zapachy przypraw korzennych, suszonej ryby, lakieru, nafty i mydła.

- Ta głupia wojna - mówi Kane - ta głupia rășboiul.

Ludzie w Jassach są zaniepokojeni; wszyscy spodziewają się czegoś złego, coś niedobrego wisi w powietrzu, mówi mi Kane. A mówi to przyciszonym głosem spoglądając podejrzliwie ku drzwiom. Przeciągają oddziały rumuńskich żołnierzy, kolumny ciężarówek i „pancerów” niemieckich. Czegóż to oni myślą dokonać z tą wszystką bronią, z tymi armatami i czołgami? - zdaje się myśleć Kane. Ale milczy, krząta się po sklepie powoli, ociężale.

- Domnule Kane - mówię mu - zostałem całkiem na sucho.

- Dla pana zawsze się znajdzie coś dobrego - powiada Kane. Wyciąga z jakiegoś schowka trzy flaszki cukru, dwa funtowe bochenki chleba, trochę bryndzy, parę pudełek sardynek, dwie puszki marmolady, trochę cukru i paczkę herbaty.

- To rosyjska herbata - mówi - prawdziwy „czaj” rosyjski. Ostatnia paczka. Jak pan zużyje, nie będę miał więcej.

Patrzy na mnie trzęsąc bezradnie głową.

- Jeżeli wkrótce będzie panu czegoś trzeba, proszę przyjść do mnie. Dla pana zawsze jest coś dobrego w moim sklepie.

Wygłąda smutno, mówi „proszę przyjść do mnie” takim tonem, jakby powątpiewał, czy się jeszcze kiedy zobaczymy. W powietrzu wisi jakaś niejasna groźba i ludzie są niespokojni. Raz po raz ktoś zagląda w drzwi sklepu, mówi: „dzień dobry, domnule Kane”, a Kane potrząsa głową na znak, że nie, a potem patrzy na mnie i wzdycha. Ta idiotyczna wojna, idiotyczna rășboiul. Obładowuję kieszenie prowiantami, paczkę herbaty wsuwam pod pachę, odłamuję kawałek chleba i żuję go.

- La revedere, domnule Kane.

- La revedere, domnule capitan.

Uśmiechamy się ściskając sobie ręce. Uśmiech Kana jest nieśmiały i niepewny, uśmiech strwożonego zwierzęcia. Właśnie kiedy mam już wyjść, przed sklepem zatrzymuje się powóz. Kane rzuca się do drzwi, kłania się nisko aż do ziemi, mówi:

- Moje uszanowanie, doamnã prințesă.

Jest to jeden z tych staroświeckich, wielkopańskich pojazdów, czarnych i uroczystych, jakie spotyka się jeszcze na rumuńskiej prowincji, rodzaj odkrytego landa z budą opuszczoną i ściągniętą szerokimi skórzanymi pasami. Poduszki obite są szarą tkaniną, szprychy kół pomalowane na czerwono. Lando zaprzęzone w parę wspaniałych mołdawskich koni białej maści, długogrzywych, o lśniących grzbietach. Na wysokich poduszkach siedzi kobieta niemłoda już, chuda, o przywiedłej cerze pokrytej grubą warstwą białego pudru. Siedzi sztywno wyprostowana, z wypiętą piersią, ubrana na niebiesko, w prawej ręce dzierży parasolkę z różowego jedwabiu, obrzeżoną koronkową falbaną. Skrzydło wielkiego kapelusza z florenckiej słomki rzuca smugę cienia na czoło poznaczone zmarszczkami. Oczy damy są nieco przymrużone i ta oznaka krótkowzroczności przydaje ich wyniosłemu spojrzeniu czegoś dalekiego, nieobecnego. Twarz nieruchoma, wzrok skierowany ku górze, ku niebu z błękitnego jedwabiu, po którym suną lekkie białe obłoczki, raczej cienie obłoków, jakby odbitych w tafli jeziora. To księżna Sturdza, nosząca jedno z najznakomitszych nazwisk w Mołdawii. Obok niej siedzi dumny i roztargniony książę Sturdza, mężczyzna dość jeszcze młody, wysoki, szczupły, różowy, ubrany biało; czoło ocienia mu szary pilśniowy kapelusz. Nosi sztywno wykrochmalony kołnierzyk, szary krawat, czarne fildekosowe rękawiczki, czarne trzewiki zapięte z boku na guziczki.

- Moje uszanowanie księżnej pani - mówi Kane z niskim aż do ziemi ukłonem. Widzę, jak kark i skronie nabrzmiewają mu krwią. Księżna nie odpowiada na ukłon, nie drgnie nawet jej szyja obciśnięta koronkowym kołnierzykiem usztywnionym krótkimi fiszbinami; suchym, władczym tonem rzuca rozkaz:

- Daj moją herbatę Grigoremu.

Stangret Grigori siedzi na koźle, ubrany w gruby kaftan kryty zielonym, spłowiałym nieco jedwabiem, sięgający aż po czerwone obcasy skórzanych butów. Na głowie ma żółtą jedwabną myckę tatarską, ozdobioną czerwono-zielonym haftem. Jest tłusty, blady, nalany. Należy do prawosławnej sekty skopców, kastratów; Jassy to „święte miasto” tej sekty. Skopcy żenią się w młodym wieku, a po urodzinach pierwszego syna poddają się kastracji. Kane kłania się eunuchowi Grigoremu, coś mamrocze, znika pośpiesznie w swoim sklepie, po czym ukazuje się znowu w drzwiach, kłania się jeszcze raz do ziemi i mówi drżącym głosem:

- Doamnã prințesă, proszę pokornie o wybaczenie, nie zostało mi już nic, ani listeczka herbaty, doamnã prințesă.

- Herbata, natychmiast - mówi księżna Sturdza twardym głosem.

- Proszę pokornie o wybaczenie, doamnã prințesă.

Księżna obraca powoli głowę, patrzy na kupca bez drgnienia powiek i odzywa się znużonym głosem:

- Co takiego? Grigori!

Eunuch odwraca się, podnosi bat, długi mołdawski bicz z czerwonego sznura, z rękojeścią rzeźbioną i malowaną na niebiesko, czerwono i zielono, i kołysze nim złośliwie tuż nad Kanem, muskając końcem jego kark.

- Proszę mi wybaczyć, doamnă prințesa - powtarza Kane kurcząc się i pochylając czoło.

- Grigori! - mówi księżna.

Podczas gdy eunuch wznosi powoli bat, wyciągając ramię takim gestem, jakby dzierżył w nim drzewce sztandaru, i unosi się na koźle dla lepszego rozmachu, Kane odwraca się ku mnie, wyciąga rękę, dygocącymi palcami dotyka paczki herbaty, którą trzymam pod pachą, i blady, zlany potem, mówi cicho i błagalnie: „Przepraszam, domnule capitan” - chwyta paczkę, którą mu wręczam z uśmiechem, i podaje ją Grigoremu zgięty w ukłonie. Eunuch opuszcza wzniesiony bat na grzbiety koni, które podrywają się gwałtownie i ruszają w skok, i wnet powóz niknie w tumanie kurzu, z ostrym brzękiem dzwoneczków u uprzęży. Płatek piany spod wędzideł koni kładzie się lekko na moim ramieniu.

- La dracu, doamnă, prințesa, la dracu! - krzyczę. Ale powóz jest już daleko, skręca w głąb ulicy w kierunku Jockey Clubu i cukierni „Fundatie”.

- Dziękuję, domnule capitan - mówi cicho Kane ze spuszczonej ze wstydu oczyma.

- Nie ma za co, domnule Kane, ale niech diabli porwą księżną Sturdza, niech diabli porwą całe to mołdawskie jaśniepaństwo!

Mój przyjaciel Kane podnosi oczy, twarz ma purpurową, grube krople potu perlą mu się na czole.

- Nic nie szkodzi. Do widzenia, domnule Kane.

- La revedere, domnule capitan - odpowiada Kane ocierając czoło grzbietem dłoni.

Wracając na stary cmentarz przechodzę obok apteki u zbiegu ulic Lapusneanu i Bratianu. Wstępuję tam i podchodzę do lady.

- Dzień dobry, domnișoară Mica.

- Dzień dobry, domnule capitan.

Mica uśmiecha się, gołymi łokciami oparta o marmurową ladę. Ładna z niej dziewczyna: śniada, kształtna, czarne kędzierzawe włosy ciężką masą opadają jej na czoło, ma ładny owal twarzy, usta duże i mięsiste, na policzkach leciutki lśniący puszek o niebieskawych refleksach. Przed wyjazdem z Jass na front nad Prutem próbowałem się do niej zalecać. Mój Boże, już od dwóch miesięcy nie tknąłem kobiety. W Bukareszcie też nie, było zbyt gorąco, dzisiaj nie wiem już nawet, jak wygląda kobieta.

- Jak zdrowie, domnișoară Mica?

- Dziękuję, doskonale, domnule capitan.

Ładna dziewczyna, choć kosmata jak koza. Oczy ma duże, czarne, lśniące, wąski nos w pulchnej, śniadej twarzy. Musi mieć chyba w żyłach kropelkę krwi cygańskiej. Mówi, że chętnie poszłaby ze mną na spacer, wieczorem, po godzinie policyjnej.

- Po godzinie policyjnej, domnișoară Mica?

- Da, da, domnule capitan.

Co za dziwny pomysł, Boże święty! Jakże tu spacerować z dziewczyną po godzinie policyjnej, kiedy co krok natyka się człowiek na patrole policyjne i wojskowe, które już z daleka krzyczą ci: „stój! stój!”, i strzelają, zanim zdążysz odpowiedzieć! A poza tym, co za przyjemność przechadzać się wśród ruin domów zbombardowanych i poczerniałych od pożarów? Jeden płonie jeszcze od wczoraj na placu Unirii, naprzeciw pomnika Cuza Vody. Mocno walą radzieccy lotnicy. Wczoraj latali nad Jassami przez trzy godziny. Tam i z powrotem, tam i z powrotem, spokojnie, na wysokości trzystu metrów zaledwie. Chwilami maszyny ocierały się niemal o dachy. W powrotnej drodze, w kierunku na Skuleni, jeden z bombowców rosyjskich został strącony tuż pod miastem, za Copou.

Załoga składała się z sześciu kobiet. Poszedłem je zobaczyć. Paru żołnierzy rumuńskich myszkowało w kabinie pilotów, obmacując nieszczęsne dziewczęta swoimi brudnymi od mamałygi, ciorby i bryndzy łapami.

- Zostaw ją, draniu! - ryknąłem na żołnierza, który grzebał palcami we włosach jednego z dwóch pilotów, grubej blondynki o piegowatej twarzy. Oczy miała szeroko rozwarte, usta rozchylone, jedną rękę opuściła bezradnie wzdłuż boku, głowę przechyliła na ramię towarzyszki gestem wstydu i rezygnacji. Dzielne dziewczyny, spełniły swój obowiązek i miały prawo do tego, by je uszanowano. Dwie dzielne robotnice, nieprawdaż, doamnă prințesă Sturduza? Ubrane były w szare kombinezony i skórzane kurtki. Żołnierze rozbierali je powolnymi ruchami, rozpinali skórzane kurtki, unosili bezwładnie opuszczone ramiona, żeby ściągnąć kurtki przez głowę. Jedną z dziewcząt żołnierz ujął pod brodę chcąc unieść jej głowę, ale ścisnął ją przy tym za gardło, jakby ją chciał udusić, przytrzymując grubym paluchem o czarnym, spękany paznokciu nie domknięte usta dziewczyny, jej pełne, pobladłe wargi.

- Ugryź go w palec, głupia! - wrzasnąłem. Żołnierze spojrzeli na mnie ze śmiechem. Jedna z dziewczyn wcisnęła się między klatkę z bombami i ciężki karabin maszynowy; nie sposób było w tej pozycji ściągnąć z niej kurtkę. Żołnierz rozwiązał jej skórzany hełm, chwycił ją za włosy i jednym szarpnięciem wyciągnął biedaczkę ze schronienia, aż potoczyła się na trawę obok szczątków samolotu.

- Domnule capitan, zabierze mnie pan na spacer dziś wieczór, po godzinie policyjnej? - pyta Mica oparta łokciami o ladę, z twarzą ujętą w obie dłonie.

- Czemu nie, domnișoară Mica? Miło jest iść na spacer wieczorem, po godzinie policyjnej. Nigdy nie była pani nocą w parku? Jest zupełnie pusto.

- Nie będą do nas strzelali, domnule capitan?

- Miejmy nadzieję, że owszem, że będą do nas strzelali, domnișoară, Mica.

Mica śmieje się, przechyla się przez ladę, zbliża do mojej twarzy swój kosmaty pyszczek i gryzie mnie w wargę.

- Proszę zająć po mnie o siódmej, domnule capitan. Będę na pana czekała przed apteką.

- Dobrze, Mica. O siódmej. La revedere, domnișoară Mica.

- La revedere, domnule capitan.

Przeszedłem ulicę Lopusneanu, potem cmentarz i otworzyłem drzwi swego domu. Zjadłem trochę bryndzy i rzuciłem się na łóżko. Było gorąco, muchy brzęczały natrętnie. Wysoko pod niebem dźwięczało coś miękko i słodko, nasuwając myśl o gęstym, słodkim zapachu goździków; brzęczący dźwięk rozlewał się leniwie po wilgotnym od potu niebie. Boże mój, cóż to był za sen! Cujka piekła mnie w żołądku. Koło piątej po południu zbudziłem się, wyszedłem przed dom, usiadłem na kamiennej płycie grobowej, zapadniętej w ziemię i obrosłej dokoła trawą. Ogród mojego domu był przecież cmentarzem, starym, opuszczonym cmentarzem prawosławnym, najstarszym w Jassach. Pośrodku, w miejscu, gdzie niegdyś stał mały kościółek, rozwierała się paszcza adăpostu, publicznego schronu, do którego schodziło się po starych drewnianych schodkach. Wejście do schronu wyglądało tak, jakby wiodło do jakiegoś podziemnego mauzoleum. Wewnątrz czuć było zbutwiałą ziemią, panowała tłusta woń grobu. Na dachu schronu wznosił się usypany z ziemi kopiec podobny do dużej mogiły, a na nim piętrzyły się na kształt piramidy płyty nagrobne. Z miejsca, gdzie siedziałem, mogłem odczytać napisy pochwalne na cześć domnule Grigorego Soinescu, doamny Sofii Zanfirescu, doamny MaTii Pojanescu i wiele innych, wyrytych na kamiennych nagrobkach.

Było gorąco, pragnienie paliło mi usta, wdychałem martwy zapach cmentarnej ziemi patrząc na zardzewiałe żelazne bariery dokoła niektórych grobów, nietkniętych, w cieniu akacji. W głowie mi się kręciło, od żołądka wznosiła się fala mdłości. La dracu Mica razem z jej kozią sierścią! Muchy bzykały jak szalone, wilgotny wiatr wiał od brzegów Prutu.

Z nisko położonych dzielnic, od strony fabryk, od Socol i Pacurari, od warsztatów kolejowych Nicoliny i domów rozsiadłych nad rzeką, od przedmieścia Tatarasi, gdzie była niegdyś dzielnica tatarska, dolatywał od czasu do czasu suchy trzask wystrzału.

Żołnierze i żandarmi rumuńscy są nerwowi, krzyczą „Stój! stój” i natychmiast strzelają nie dając ludziom czasu nawet na podniesienie rąk. A przecież jest jeszcze dzień, godzina policyjna jeszcze nie wybiła. Wiatr kołysze koronami drzew, od słońca bije zapach miodu. Mica czeka na mnie o siódmej przy aptece. Za pół godziny trzeba mi po nią iść, zabrać ją na spacer. La dracu domnișoară Mica, la dracu wszystkiekozy! Nieliczni przechodnie, trzymając przepustkę w prawej ręce i powiewając nią wysoko nad głową, przemykają wzdłuż murów z wyrazem niepokoju na twarzy. Coś wisi w powietrzu. Mój przyjaciel Kane ma rację. Coś się stanie. Czuje się, że coś złego nastąpi. Czuje się to w powietrzu, pod skórą, w koniuszkach palców.

Jest siódma punkt, kiedy dochodzę do apteki, a Miki nie ma. Apteka zamknięta, Mica zamknęła dziś wcześniej, dużo wcześniej niż zwykle. Założę się, że nie przyjdzie. W ostatniej chwili strach ją obleciał. Niech diabli porwą kobiety, wszystkie są takie same, każda się zawsze złąknie w ostatniej chwili. La dracu domnișoară Mica, i kozy także. Zawracam powoli w stronę cmentarza, ulicą przechodzą grupki niemieckich żołnierzy powłócząc butami po chodnikach. Właściciel lustragerii na rogu ulicy Lopusneanu, naprzeciw Café Restaurant Corso, kończy właśnie czyścić buty ostatniego na dziś klienta, rumuńskiego żołnierza dumnie siedzącego na wysokim tronie. Odblask zachodniego nieba przenika w głąb ciemnego sklepu rozbłyskując na pudełkach z pastą do butów. Raz po raz przeciąga ulicą



beżładna gromada Żydów; idą z nisko zwieszonymi głowami, pod eskortą rumuńskich żołnierzy w mundurach piaskowego koloru.

- Może oczyściłbyś tym biedaczyskom buty jeszcze ten ostatni raz? - powiada ze śmiechem żołnierz siedzący na wysokim mosiężnym tronie.

- Nie widzisz, że są boso? - odpowiada właściciel lustragerii odwracając bladą i spoconą twarz. Dyszy cicho, muskając buty szczotką z zadziwiającą lekkością i precyzją.

Z okien Jockey Clubu wyglądają nobile miasta Jassy, tłuści, brzuchaci szlachcice mołdawscy. Ich tusza nadaje im wyraz dobroduszny i łagodny, czarne, wilgotne oczy leniwie i tęsknie patrzą z nalanych twarzy bez zarostu; wyglądają jak postacie z obrazów Paszyna. Domy, drzewa, nawet powozy stojące przed pałacem Fundacji wyglądają jak namalowane przez Paszyna. Daleko w stronie Skuleni, w stronie Prutu, leniwie płynącego między zielonymi, błotnistymi, porośniętymi trzciną brzegami wykwitają na niebie białe i czerwone obłoczki pocisków niemieckiej artylerii przeciwlotniczej. Właściciel lustragerii, zajęty zamykaniem swego sklepu, podnosi oczy ku tym obłoczkom na dalekim niebie, jakby śledził oznaki nadciągającej burzy.

Dziewiętnastowieczny pałacyk Jockey Clubu, dawniejszy Hôtel d'Angleterre, u zbiegu ulicy Pacurari i ulicy Karola, jest to ładny budynek w stylu neoklasycznym, jedyna w Jassach nowoczesna budowla, zdradzająca w architekturze i motywach dekoracyjnych pewne cechy dzieła sztuki. Wzdłuż fasady pomalowanej na kolor kości słoniowej biegnie kolumnada dorycka w wypukłorzeźbie. W niszach bocznych ścian pałacyku stiukowe kupidynki cielistej barwy naciągają łuki i zakładają strzały na cięciwy. Parter zajmują witryny ciastkarni Zanfirescu i ogromne okna Café Restaurant Corso, najelegantszego lokalu w mieście. Do Jockey Clubu wchodzi się od tyłu, przez podwórze o nierównym, starym bruku. Grupki rumuńskich żołnierzy w pełnym bojowym rynsztunku, w stalowych hełmach opuszczonych nisko na czoła, śpią w pełnym słońcu, leżąc tu i ówdzie na bruku. Dwa duże piersiste sfinksy strzegą wejścia osłoniętego szklanym daszkiem. Ściany hallu wyłożone są ciemnym lśniącem drzewem, skrzydła drzwi wewnętrznych rzeźbione w stylu Ludwika Filipa, na ścianach wiszą obrazy olejne i akwaforty, widoki Paryża - Notre-Dame, wyspa Saint-Louis, Trocadéro - i portrety kobiece w guście ilustratorów francuskich żurnali z lat 1880-1900. W sali gry, przy stolikach obitych zielonym sukniem, mołdawscy notable rozgrywają skromne partyjki brydża ocierając raz po raz czoła chusteczkami z organdy, na których widnieją wielkie szlacheckie korony wyszywane angielskim haftem. Pod ścianą, naprzeciw okien wychodzących na ulicę Pacurari, wznosi się estrada otoczona balustradą rzeźbioną w neoklasyczne motywy harf i lir; służy ona podczas zabaw i koncertów urządzanych przez wytworne towarzystwo Jass.

Przystaję przy jednym ze stolików i przyglądam się grze. Brydżyści podnoszą spocone twarze i witają mnie skinieniem głowy. Stary książę Cantemir przechodzi przez salę, przygarbiony, lekko kulejąc, i wychodzi drzwiami w głębi. Roje much brzęczą natrętnie we wnękach okiennych, wirując w powietrzu na kształt wielkich róż; i naprawdę ciepły zapach róż płynie z ogrodu, mieszając się z zapachem cuki i tureckiego tytoniu. Przy oknach wychodzących na ulicę skupia się miejscowa złota młodzież, tłuści dżentelmeni mołdawscy o głęboko osadzonych czarnych oczach. Wychodząc zatrzymuję się jeszcze na chwilę, żeby przyjrzeć się ich potężnym, krągłym i miękkim zadom, wokół których krążą roje much, rysując w zadymionym powietrzu delikatne róże.

- Bună seara, domnule capitan - wita mnie Marioara, kelnerka z Café Restaurant Corso, kiedy wchodzę do sali załoczonej oficerami i żołnierzami niemieckimi. Jest to obszerna, architektonicznie ładnie rozwiązana sala parterowa pałacyku Jockey Clubu. Pod ścianami ciągną się wąskie wyściełane kanapki, przegradzane niskimi drewnianymi przepierzeniami, tworzącymi małe osobne łóże. Marioara to jeszcze niemal dziecko, chuda, niedojrzała, ale miła dziewczuszka. Uśmiecha się do mnie przechylając na bok głowę, rękami oparta o marmurową płytę stolika.

- Dasz mi szklankę piwa, Marioara?

Marioara jęczy, jakby ją coś bolało:

- Oj, oj, oj, domnule capitan, oj, oj, oj!

- Pić mi się chce, Marioara!

- Oj, oj, oj, nie ma piwa, domnule capitan.

- Niedobra z ciebie dziewczynka, Marioara.

- Nu, nu, domnule capitan, nie ma piwa - powtarza Marioara, potrząsa głową i uśmiecha się.

- Idę sobie i nie wrócę już nigdy, Marioara.

- La revedere, domnule capitan - mówi Marioara ze złośliwym uśmiechem.

- La revedere - odpowiadam idąc ku drzwiom.

- Domnule capitan?

- La revedere - powtarzam nie odwracając się.

Stojąc w progu Corso, Marioara woła za mną swoim dziecinnym głosem:

- Domnule capitan! Domnule capitan!

Od Corso do starego cmentarza jest zupełnie blisko, nie więcej niż pięćdziesiąt kroków. Idąc ścieżką pomiędzy grobami słyszałem jeszcze nawołujący mnie głos Marioary, ale nie chciałem wrócić tak zaraz, lepiej było dać jej trochę poczekać; niech myśli, że jestem na nią wściekły o tę szklankę piwa, której mi nie dała. Wiedziałem oczywiście, że to nie jej wina, bo w całym Jassach nie było już ani kropli piwa.

Byłem już przy drzwiach mojego domu i właśnie miałem je otworzyć, kiedy poczułem, że czyjaś ręka dotyka lekko mego ramienia, i tuż obok jakiś głos powiedział:

- Bună seara, domnule capitan. - Był to głos kupca Kane.

- O co chodzi, domnule Kane?

Za jego plecami majaczyły w wieczornym mroku trzy brodate, czarno ubrane postacie.

- Można zajść do pana, domnule capitan?

- Wejdźcie, proszę.

Po stromych schodkach weszliśmy do domu, przekręciłem wyłącznik światła i zakląłem.

- Zamknęli prąd - powiedział Kane.

Zapaliłem świecę, zamknąłem i zasłoniłem okno, żeby z zewnątrz nie było widać światła, i przyjrzałem się trzem towarzyszom Kana. Byli to starzy Żydzi, twarze ich okrywał rudawy zarost, czoła zaś były tak blade, że aż lśniły srebrzyście.

- Siadajcie - powiedziałem wskazując stojące tu i ówdzie krzesła.

Zasiedliśmy dokoła stołu i spojrzałem na Kana pytająco.

- Domnule capitan - zaczął Kane - przyszliśmy do pana zapytać, czy pan mógłby...

- ...czy pan zechce nam pomóc - wtrącił przerywając mu jeden z jego towarzyszy, starzec nieopisanie chudy i mizerny, z długą, rudawą brodą. W jego oczach, osłoniętych okularami w złotej oprawie, błyskało jakieś czerwone, migotliwe światełko. Oparł o stół płasko rozpostarte dłonie, chude i obciążone woskowej barwy skórą.

- Pan może nam pomóc, domnule capitan - powiedział Kane. I dodał po długiej chwili milczenia: - Myślimy, że pan mógłby nam doradzić, co powinniśmy zrobić...

- ...aby oddalić od naszych głów wielkie niebezpieczeństwo, jakie nam grozi - przerwał mu znowu ten sam co przedtem starzec.

- Jakie niebezpieczeństwo? - zapytałem.

Głębokie milczenie zapadło po tych moich słowach. Po chwili inny z towarzyszy Kana (twarz jego nie wydawała mi się obca; musiałem ją już widzieć, ale gdzie i kiedy, nie mogłem sobie przypomnieć) podniósł się powolnym ruchem z krzesła. Był to także starzec, wysoki i kościsty, o płowych włosach i brodzie przetykanej gdzieś siwizną. Białe powieki były jak przyklejone do szkieł okularów, oczy nieruchome i białe jak oczy ślepeca. Patrzył na mnie długo w milczeniu, a w końcu przemówił cichym głosem:

- Domnule capitan, straszliwe niebezpieczeństwo zawisło nad naszymi głowami. Czyż pan nie wie, co nam zagraża? Władze rumuńskie przygotowują okrutny pogrom. Masakra może się rozpętać w każdej chwili. Czemu pan nie chce nam pomóc? Co mamy czynić? Dlaczego pan nic nie robi, nie przychodzi nam z pomocą?

- Ależ ja nic nie mogę - powiedziałem. - Jestem cudzoziemcem, jedynym oficerem włoskim na całym terenie Mołdawii, cóż ja mógłbym dla was zrobić? Kto zechce mnie wysłuchać?

- Niech pan ostrzeże generała von Schoberta, niech pan mu powie, co się tu szykuje przeciwko nam. On może, jeżeli zechce, zapobiec rzezi. Czemuż nie miałby pan pójść do generała von Schoberta? On pana wysłucha.

- Generał von Schobert - powiedziałem - to dżentelmen, stary żołnierz i dobry chrześcijanin; ale jest Niemcem i los Żydów nic go nie obchodzi.

- Jeżeli jest dobrym chrześcijaninem, to pana wysłucha.

- Powie mi, że nie zajmuje się wewnętrznymi sprawami Rumunii. Mógłbym raczej pójść do pułkownika Lupu, komendanta wojskowego Jass.

- Do pułkownika Lupu? - rzekł Kane. - Właśnie pułkownik Lupu przygotowuje masakrę.

- Niechże pan coś zdziała, niech się pan ruszy! - powiedział starzec przyciszonym głosem, z ledwie tłumioną gwałtownością.

- Odwykłem od działania - rzekłem. - Jestem Włochem. My już, po dwudziestu latach niewoli, nie potrafimy działać, nie umiemy brać na siebie odpowiedzialności. Ja także, jak wszyscy Włosi, mam przetrącony kręgosłup. W ciągu tych dwudziestu lat całą swoją energię zużywaliśmy tylko na to, żeby przetrwać. Do niczego nie jesteśmy już zdolni. Umiemy tylko przyjmować wszystko okłaskami. Chcecie, żebym poszedł przyklasnąć poczynaniom generała von Schoberta i pułkownika Lupu? Jeżeli chcecie, mogę jechać nawet do Bukaresztu klaskać marszałkowi Antonescu, „krwawemu psu”, o ile może wam to w czymś pomóc. Nic więcej nie mogę uczynić. Chcielibyście, żebym się za was bezużytecznie poświęcił? Żebym pozwolił się zamordować na placu Unirii, w obronie Żydów z Jass? Gdybym był do tego zdolny, dawno dałbym się zabić na którymś z placów miast włoskich, broniąc Włochów. Nie śmiemy i nie umiemy już działać, oto prawda - zakończyłem odwracając twarz, żeby ukryć rumieniec wstydu.

- Wszystko to bardzo smutne - wyszeptał starzec. Potem nachylił się nad stołem wysuwając twarz w moją stronę i zapytał dziwnie pokornym, łagodnym, dalekim głosem: - Czy pan mnie nie poznaje?

Przyjrzałem mu się uważnie. Długa, ruda broda przetykana srebrnymi nitkami, oczy białe i nieruchome, blade czoło i łagodny, smutny, daleki głos - wszystko, to przywodziło mi na pamięć naczelnika jednego z oddziałów Regina Coeli w Rzymie, doktora Alesiego. Zwłaszcza ten głos wskrzeszał jego obraz przed moimi oczyma w drżącym świetle świecy. Doktor Alesi był naczelnikiem oddziału dla kobiet, „Le Mantellate”, ale w okresie kiedy siedziałem w Regina Coeli, zastępował naczelnika więzienia miejskiego, który od kilku miesięcy chorował. Długoletnie przebywanie wśród więźniarek nadało jego głosowi dziwnie łagodną, kobiecą niemal barwę. U tego brodatego starca o dostojnym wyglądzie patriarchy ów głos łagodny i smutny, przywodzący na myśl pogodne zatoki morskie, faliste wzgórza, zielonkawe i różowawe półcienie, był jak gdyby oknem otwartym na wiosenne pola. I w tej chwili także roztoczył się przed moimi oczyma ten sam krajobraz drzew, wód i obłoków, który jawił mi się w mojej celi, ilekroć usłyszałem dolatujący z korytarza więziennego ten smutny i łagodny, daleki głos. Oko gubiło się w swobodnej dali gór, dolin, lasów i rzek i oto miotające mną gwałtowne uczucia - dręczący niepokój i rozpacz, które sprawiały, że albo leżałem w stanie ostatecznej prostracji na moim sienniku, bądź też rzucałem się z zaciśniętymi pięściami na ściany celi - uspokajały się, jakby znajdując przeciwwagę upokorzeń i cierpień niewoli w widoku spokoju i wolności panujących w przyrodzie. Głos Alesiego przynosił więźniom w darze ów cudowny krajobraz, za którym wszyscy oni tęsknili, który usiłowali dostrzec przez kraty; wprowadzał ukradkiem nierealny krajobraz do ciasnej celi, pomiędzy cztery białe ściany - oślepiające, nagie, bez wyjścia, nieprzebyte ściany celi. Na dźwięk głosu Alesiego więźniowie bledli, otwierał się przed nimi rozległy, wolny horyzont, rozjaśniony pogodnym, równym, nieskończone miłym światłem, kładącym przejrzyste cienie na doliny, przenikającym w tajemniczą głąb lasów, ukazującym srebrzyste lśnienie rzek i jezior na równinach i leciutkie chlupotanie fali morskiej o brzeg. Każdy z więźniów na chwilę, na

krótką chwilę tylko, doznawał złudzenia, że jest wolny. Jak gdyby drzwi celi uchyliły się bezszelestnie i po chwili równie cicho się zamknęły, kiedy głos Alesiego zamilkł i powróciła upokarzająca cisza korytarzy Regina Coeli.

- Czy pan mnie nie poznaje? - zapytał stary Żyd z Jass głosem przedziwnie łagodnym, smutnym, dalekim głosem Alesiego.

Wpatrzyłem się w niego drżąc i czując, że na czoło występuje mi pot rozpacz i trwogi. Podniosłem się i chciałem uciekać. Alesi wyciągnął rękę przez stół i zatrzymał mnie.

- Pamięta pan ten dzień, kiedy próbował pan przeciąć sobie żyły w celi? Była to cela numer czterysta sześćdziesiąt jeden, w czwartym bloku, pamięta pan? Zdążyliśmy akurat na czas, żeby panu przeszkodzić. Myślał pan, żeśmy nie spostrzegli, że brakuje kawałka szkła z rozbitej szklanki? - i zaczął się śmiać uderzając palcami w stół w urywanym rytmie swego śmiechu.

- Po co to wspominać? Był pan dla mnie wtedy bardzo dobry. Ale nie wiem, czy powinienem być panu za to wdzięczny. Uratował mi pan życie.

- Czy źle zrobiłem? - zapytał Alesi; i po długiej chwili milczenia dodał cichym głosem: - Dlaczego chciał się pan zabić?

- Bałem się.

- A pamięta pan ten dzień, kiedy zaczął pan krzyczeć i walić pięściami w drzwi celi?

- Bałem się.

Starzec śmiał się cicho, przymykając oczy.

- Ja także się bałem - powiedział - dozorczy więzienni także mogą się bać. Nieprawdaż, Picci, nieprawdaż, Corda? - dodał odwracając głowę - że i dozorczy więzienni mogą się bać?

Podniosłem wzrok i dostrzegłem w mroku, za plecami starca, twarze Picciego i Cordy, moich strażników z Regina Coeli. Uśmiechali się nieśmiało i dobrotliwie. Ja również uśmiechnąłem się do nich smutno i serdecznie.

- Myśmy się także bali - powiedzieli Picci i Corda.

Picci i Corda byli Sardyńczykami. Drobni i chudzi, typowi synowie ubogiej wyspy, mieli włosy bardzo czarne, oczy leciutko skośne, cerę oliwkową, twarze wymizerowane wskutek wieczystego niedojadania i malarii; w obramowaniu czarnych włosów, opadających na skroniach aż po brwi, twarze te przypominały wizerunki bizantyjskich świętych w poczerńniętych srebrnych ramach.

- Baliśmy się - powtórzyli Picci i Corda, znów pogrążając się po trochu w ciemność.

- Jesteśmy wszyscy tchórzami, oto w czym rzecz - powiedział stary Żyd. - Wszyscy krzyczeliśmy: „niech żyje!”, wszyscy klaskaliśmy. Ale może tamci też się boją. Chcą nas wymordować, bo się nas boją. Boją się, gdyż jesteśmy słabi i bezbronni. Chcą nas wymordować, bo wiedzą, że się ich boimy. Chi! Chi! Chi! - zachichotał przymykając oczy, chwiejąc głowę i zaciskając na krawędzi stołu wychudłe, woskowe ręce. My wszyscy milczeliśmy ogarnięci niepojętym lękiem. - Pan może nam pomóc - rzekł starzec

podnosząc nagle głowę. - Generał von Schobert i pułkownik Lupu wystuchają pana. Pan nie jest Żydem, biednym Żydem z Jass. Pan jest włoskim oficerem...

Zacząłem się cicho śmiać. Wstydzilem się, wstydzilem się w owej chwili, że jestem Włochem.

- ...pan jest włoskim oficerem, pana muszą wystuchać. Może zdoła pan jeszcze zapobiec rzezi.

To rzekłszy starzec wstał i skłonił się nisko. Tamci dwaj starzy Żydzi i mój przyjaciel Kane wstali również i skłonili się w milczeniu.

- Mam bardzo słabą nadzieję - powiedziałem odprowadzając ich do drzwi.

Ściskali mi kolejno rękę bez słowa, wyszli za próg i zaczęli zstępować w dół po stromych schodach. Znikali mi z oczu stopniowo, najpierw nogi, potem plecy, ramiona, wreszcie głowy. Jak gdyby zstępowali do grobu.

Wtedy dopiero zdałem sobie sprawę, że leżę na łóżku. W półmroku pokoju, w słabym świetle dopalającej się świecy, zobaczyłem czterech Żydów siedzących dokoła stołu. Odzież mieli w strzępach, twarze zakrwawione. Z poranionych czoł krew spływała powoli, wsiąkając w rude brody. Kane także był ranny, czoło miał rozcięte, oczodoły pełne zakrzepłej krwi. Krzyk grozy wydarł mi się z ust. Usiadłem na łóżku, nie byłem w stanie się poruszyć, zimny pot ściekał mi po twarzy, długo nie mogłem odpędzić od siebie przerażającej wizji czterech krwawych upiórów siedzących dokoła stołu. Aż wreszcie mglisty świt koloru brudnej wody zaczął sączyć się powoli do pokoju i zapadłem w głęboki sen.

Zbudziłem się bardzo późno, było już chyba koło drugiej po południu. Lustrageria na rogu ulicy Lapusneanu była zamknięta, pozamykane też były okna Jockey Clubu, chroniąc uświęcony rytuał sjiesty. Na cmentarzu gromadka robotników, zmiataczy ulic i dorożkarzy, wyczekujących od rana do wieczora przed Fundacją, pożywiała się w milczeniu, siedząc na grobach i na schodach wiodących do schronu. Tłusta woń bryndzy dolatywała aż do moich okien, jakby przynosiły ją krążące w powietrzu roje much.

- Dzień dobry, domnule capitan - mówili dorożkarze i zmiatacze spoglądając w górę i witając mnie skinieniem głowy. Wszyscy już znali mnie w Jassach. Robotnicy także podnosili głowy i wskazywali na chleb i ser zapraszającym gestem.

- Multumesc, dziękuję - odpowiadałem pokazując mój własny chleb i ser.

Ale coś wisało w powietrzu, tak, z pewnością coś w powietrzu było. Niebo zaciągało się powoli czarnymi chmurami i pomrukiwało jak bagno pełne żab. Żandarmi i żołnierze rumuńscy rozlepiali na murach wielkie plakaty z proklamacją pułkownika Lupu: „Wszyscy mieszkańcy domów, z których strzelano by do wojska, a także mieszkańcy domów sąsiednich, będą na miejscu rozstrzeliwani, mężczyźni i kobiety, afara copii”. Afara copii - z wyjątkiem dzieci. Pułkownik Lupu, pomyślałem, zawczasu przygotował sobie alibi: na szczęście lubi dzieci. Jak to miło pomyśleć, że jest w Jassach jedna przynajmniej osoba z sercem, jedna przynajmniej osoba, która lubi dzieci. Żandarmi czaili się w bramach domów i ogrodach. Patrole wojskowe krążyły po ulicach, głośno tupiąc butami po asfalcie. „Dzień dobry, domnule capitan” - mówili uśmiechając się robotnicy, dorożkarze i zmiatacze

ulic siedzący na płytach cementarnych; liście drzew, których zieleń wydawała się żywsza, jakby fosforyzująca na tle ciemnoszarego nieba, szeleściły w podmuchach ciepłego, wilgotnego wiatru, wiejącego od Prutu. Pomiędzy grobami i starymi kamiennymi krzyżami biegały dzieci: twarde, ciężkie ołowiane niebo nadawało tej pogodnej, pełnej życia scenie sens jakiejś ostatniej, beznadziejnej i próżnej radości.

Dziwny, niezwykle nastrój ciążył nad miastem. Czuło się jakieś olbrzymie, potworne nieszczęście, które czeka naoliwione, wypolerowane, gotowe do działania, niby gigantyczna stalowa maszyna, i lada chwila miażdżyć zacznie w swoich trybach domy, drzewa, ulice i ludność miasta, afara copii. Gdybym mógł cośkolwiek uczynić dla zapobieżenia pogromowi! Ale kwatery generała von Schoberta znajdowała się w Copou: nie czułem się na siłach iść aż tam. Zresztą generała nic nie obchodzili Żydzi: stary żołnierz, bawarski szlachcic, dobry chrześcijanin nie miesza się w tego rodzaju sprawy; cóż tu miał do powiedzenia? A ja, cóż ja miałem do powiedzenia? A jednak trzeba iść do generała - powiedziałem sobie; muszę przynajmniej spróbować, nigdy nic nie wiadomo.

Wyruszyłem piechotą do Copou. Ale kiedy doszedłem do Uniwersytetu, przystanąłem, żeby się przyjrzeć pomnikowi poety Eminescu. Drzewa alei pełne były ptaków, a pod drzewami panował miły chłód. Jeden ptaszek przysiadł na ramieniu Eminescu. Przypomniałem sobie, że mam w kieszeni list polecający do senatora Sadoveanu. To człowiek wyższej kultury, ten senator Sadoveanu, szczęśliwy kochanek Muz. Poczęstuje mnie może szklanką mrożonego piwa, pewnie też zadeklamuje mi coś z liryk Eminescu. La dracu generał von Schobert, la dracu i on także! Zawróciłem, przeszedłem przez dziedziniec Jockey Clubu, zacząłem wchodzić na schody: może lepiej byłoby udać się do pułkownika Lupu? Ale on roześmieje mi się w twarz. „Domnule capitan, czego pan chce ode mnie? Co ja mogę wiedzieć o tym jakimś pańskim pogromie? Nie jestem jasnowidzem.” A jednak, jeżeli rzeczywiście przygotowuje się pogrom, pułkownik Lupu niewątpliwie macza w tym palce. W Europie wschodniej pogromy bywają z reguły przygotowywane i dokonywane w porozumieniu z władzami. Po tamtej stronie Dunaju i Karpat przypadek nie jest nigdy decydującym motorem wydarzeń, nie ma nigdy większego znaczenia. Pułkownik Lupu roześmiałyby mi się w twarz. Afara copii. La dracu pułkownik Lupu, la dracu i ten także!

Zszedłem ze schodów, minąłem nie obejrząwszy się nawet Café Restaurant Corso, wszedłem na cmentarz i wyciągnąłem się na wznak na jednym z grobów, w cieniu akacji o przejrzyście zielonych liściach, patrząc na gęstniejące wciąż nade mną czarne chmury.

Było gorąco, muchy spacerowały mi po twarzy, mrówka wdrapywała się wysoko na ramię. Cóż ja ostatecznie miałem z tym wszystkim wspólnego? Zrobiłem wszystko, co w ludzkiej mocy, żeby przeszkodzić masakrze, nie moja wina, że nie dało się zrobić nic więcej.

- La dracu Mussolini - powiedziałem na głos, ziewając szeroko. - La dracu on i jego naród bohaterów. „My, naród bohaterów” - zanuciłem. Nędzny tłum bękartów, oto co z nas zrobił. Ze mnie też bohater, nie ma co mówić. Niebo wciąż wydawało-pomruki jak bagno pełne żab.

Przed zachodem słońca obudziło mnie wycie syren; nie chciało mi się wstać, ziewając słuchałem szumu motorów, klekotu przeciwlotniczych cekaemów, huku bomb i długiego, głuchego, ponurego rumoru walących się domów. Ta idiotyczna wojna, idiotyczna răsboiul. Dzielne dziewczęta w skórzanych kurtkach ciskają bomby na domy i ogrody Jass. Lepiej siedziałyby w domu i robiły pończochy na drutach, pomyślałem i zacząłem się śmiać. A jakże, mają to czas i chęć siedzieć w domu

i robić pończochy. Tętent nieokiełzanego galopu poderwał mnie, usiadłem na grobie. Wóz ciągniony przez oszalałego konia pędził od strony Fundacji, przemknął obok cmentarza i roztrzaskał się o mur naprzeciwko, obok lustragerii. Zobaczyłem, jak koń rąbnął głową o mur i odskoczył wierzgając. Dworzec kolejowy stał w płomieniach. Gęste chmury dymu unosiły się nad dzielnicą Nicolina. Rumuńscy i niemieccy żołnierze przebiegali pędem z karabinami gotowymi do strzału. Ranna kobieta czołgała się po chodniku. Położyłem się z powrotem na grobie i zamknąłem oczy.

Nagle powrócił spokój. Jakiś chłopak przeszedł wzdłuż muru cmentarnego pogwizdując. W przesyconym pyłem powietrzu rozległy się wesołe głosy. Ale po pewnym czasie znowu zawyły syreny. Daleki jeszcze warkot rosyjskich samolotów płynął smugą w ciepłym powietrzu wieczoru, jak zapach. Baterie przeciwlotnicze na lotnisku Copou strzelały zaciekle. Musiałem mieć trochę gorączki, wstrząsały mną dreszcze, czułem je aż w obolałych kościach. Gdzie też mogła być w tej chwili Mica? Kosmata jak koza. „Stój, stój!” - krzyczały patrole w gęstym już mroku. Gdzieniedzie, pośród domów i ogrodów, rozległy się pojedyncze strzały. Ochryple głosy niemieckich żołnierzy przekrzykiwały warkot ciężarówek. Z Jockey Clubu słychać było śmiechy, strzępki francuskich słów, szczęk nakryć. Boże święty, jakże bardzo mi się podobała Marioara!

Nagle spostrzegłem się, że już zapadła noc. Baterie z Copou strzelały do księżyca. Księżyc był żółty i śliski, ogromny, okrągły letni księżyc; sunął coraz wyżej pomiędzy chmurami. Działa przeciwlotnicze szczekały zajadle na niego. Drzewa drżały w wilgotnych podmuchach wiejących od rzeki. Księżyc zahaczył włosami o gałęzie drzew, przez chwilę kołysał się na konarze niby głowa wisielca, potem zanurzył się raptownie w czarną otchłań burzowych chmur. Błękitne i zielone błyskawice przecinały niebo, w pęknięciach pojawiały się, niby w szczątkach rozbitego zwierciadła, głębokie perspektywy nocnych pejzaży w sinozielonej oślepiającej tonacji.

Właśnie kiedy wychodziłem z cmentarza, zaczęło padać. Ciepłe krople padały powoli, jak z przeciętej żyły. W Café Restaurant Corso wszystko już było zamknięte. Zacząłem walić pięścią w drzwi wołając Marioarę. Po chwili drzwi się uchyliły, głos Marioary lamentował przez szparę:

- Oj, oj, oj, domnule capitan, nie mogę otworzyć, już po godzinie policyjnej, domnule capitan, oj, oj, oj...

Wsunąłem rękę w szparę i uchwyciłem ramię Marioary mocno, ale łagodnie jak w piesszocie.

- Marioara, o, Marioara, otwórz mi, głodny jestem, Marioara.

- Oj, oj, oj, domnule capitan, nie mogę, domnule capitan, oj, oj, oj.

Miała głos tęskny i dziecinny zarazem, ścisnąłem jej szczupłe ramię o drobnych kościach i czułem, że cała drży, od stóp aż po czoło; może sprawiał to mój uścisk, może zapach zmoczonej deszczem trawy, może po prostu nastrój ciepłego letniego wieczora. A może to księżyc, ten zdradziecki księżyc. (Kto wie, czy Marioara nie myślała w tej chwili o pewnym wieczorze, kiedy to poszła ze mną na stary opuszczony cmentarz patrzeć, jak sierp młodego księżyca przebłyskuje poprzez liście akacji; siedzieliśmy na jakimś grobie, obejmowałem ją mocno ramionami, czułem cierpki zapach jej skóry i czarnych kędzierzawych włosów, ten silny i miły zapach Bizancjum, jaki mają kobiety rumuńskie, greckie i rosyjskie - ten silny, odwieczny zapach Bizancjum, zapach róż i białej skóry kobiecej, uderzał mi do głowy, dawał mi uczucie dziwnego upojenia. Marioara dyszała lekko, tuląc się do mojej piersi,



a ja mówiłem: „Marioara”, nic tylko: „Marioara”, mówiłem to cicho, a Marioara spoglądała na mnie poprzez długie czarne rzęsy, rzęsy z czarnej wełny).

- Oj, oj, oj, domnule capitan, nie mogę otworzyć, domnule capitan, oj, oj, oj - i patrzyła na mnie jednym okiem przez szparę uchylonych drzwi. - Proszę chwilę zaczekać, domnule capitan - powiedziała nagle i zamknęła delikatnie drzwi. Słyszałem, jak odchodzi, słyszałem stąpanie jej bosych stóp. Po chwili wróciła niosąc mi trochę chleba i mięsa.

- O, dzięki, Marioara - powiedziałem wsuwając jej za dekolt parę banknotów po sto lei. Marioara patrzyła na mnie jednym okiem przez szparę, czułem, jak ciężkie, ciepłe krople deszczu padają mi na kark i spływają wzdłuż grzbietu. - O, Marioara mówiłem głaszcząc jej ramię, a ona pochyliła głowę, przytulając policzek do mojej ręki. Naciskałem drzwi kolanem, a ona z tamtej strony opierała się o nie całym ciężarem ciała. - Oj, oj, oj, domnule capitan, oj, oj, oj - mówiła i uśmiechała się do mnie patrząc przez długie rzęsy z czarnej wełny.

- Dziękuję, Marioara - powiedziałem i pogłaskałem ją po twarzy.

- La revedere, domnule capitan - odrzekła Marioara cicho i dalej patrzyła na mnie jednym okiem przez szparę, kiedy odchodziłem w potokach deszczu.

Siedząc w progu mego domu i żując powolutku chleb słuchałem, jak deszcz szepcze w delikatnych liściach akacji. Za żywopłotem oddzielającym cmentarz od sadu skomlał niespokojnie pies.

Marioara to jeszcze dziecko, ma zaledwie szesnaście lat. Patrzyłem na czarne niebo i żółte refleksy księżycy na ciemnej powłoce chmur. Tak, Marioara jest jeszcze dzieckiem. Słuchałem ciężkiego kroku patroli i warkotu ciężarówek jadących w stronę Copou, w stronę Prutu. Nagle w ciepłej pajęczynie deszczu rozbrzmiało znowu żałosne wycie syren.

Z początku było to tylko ciche brzęczenie, wysoko pod niebem, podobne do brzęczenia pszczoł; potem przybliżyło się, stało się tajemną mową czarnego nieba. Pszczele brzęczenie wysokie i dalekie, tajemniczy i łagodny głos, jak wspomnienie pszczoł brzęczących w lesie. I nagle usłyszałem głos Marioary, żałośnie wołający gdzieś pomiędzy grobów:

- Domnule capitan, oj, oj, oj, domnule capitan!

Uciekła z Corso, bała się być tam sama, chciała wrócić do domu, a mieszkała daleko, w stronie elektrowni. Nie miała odwagi iść przez całe miasto, patrole strzelały do przechodniów, krzyczały: „stój, stój!” i strzelały nie zostawiając nawet czasu na podniesienie rąk. „Oj, oj, oj, niech mnie pan odprowadzi do domu, domnule capitan.” Widziałem, jak jej czarne oczy błyszczą w ciemności, to zapalają się, to przygasają w ciepłym mroku, jakby na granicy dalekiej, dawno minionej, czarnej, tajemniczej nocy.

Pomiędzy mogiłami i krzyżami przemykały grupki ludzi, zdążających do schronu wykopanego pośrodku cmentarza. Wyglądał jak starożytny grobowiec, kamienne płyty spiętrzone na kształt olbrzymich dachówek tworzyły nad nim sklepienie. Strome drewniane schodki wiodły w wilgotną głąb ziemi, do czegoś w rodzaju krypty, gdzie pod ścianami stały ławki z desek. Ciemne sylwetki mężczyzn, kobiet i półnagich dzieci zstępowały pod ziemię w milczeniu, podobne do upiórów powracających do swego ciemnego piekła. Znałem już prawie wszystkich tych ludzi, byli to zawsze ci sami, pod wieczór

przeciągali tędy, zdążając do adäpostu: właściciel lustragerii z przeciwka, dwaj starszycy, których zawsze widywałem siedzących na stopniach pomnika Jedności, pomiędzy Jockey Clubem a Fundacją, dorożkarz, który trzymał swego konia w stajni za murem cmentarza, kobieta sprzedająca gazety przed Fundacją, tragarz ze składu win z żoną i pięciorgiem dzieci, sprzedawca tytoniu w kiosku przy poczcie.

- Bună seara, domnule capitan - mówili przechodząc.

- Bună seara - odpowiadałem.

Marioara nie chciała zejść do schronu, chciała wrócić do domu, bała się, bardzo się bała, chciała koniecznie do domu. Zwykle sypiała na kanapce w sali restauracyjnej Corso, ale tego wieczora chciała iść do domu, trzęsała się cała, chciała do domu, do domu.

- Będą do nas strzelali, Marioara - perswaduję.

- Nu, nu, żołnierzom nie wolno strzelać do oficera.

- Kto wie? Ciemno jest, będą do nas strzelali, Marioara.

- Nu, nu - mówi Marioara - rumuńscy żołnierze nie strzelają do włoskiego oficera, prawda?

- No dobrze, nie strzela ją do włoskiego oficera, boją się. Chodź, Marioara. Nawet pułkownik Lupu boi się włoskich oficerów.

Ruszamy przytuleni mocno do siebie, pod murami, w drobnym ciepłym deszczu. Wyczuwam ramieniem bicie serca Marioary, leciutkie, dziecięce. Idziemy w dół ulicy Fabrycznej, pomiędzy upiorami zburzonych domów; z lepierek sklepionych z drzewa, słomy i błota słychać głosy, śmiechy, płacz dziecięcy, ochryple, tryumfalne wrzaski gramofonów. Czasem suchy odgłos strzału przebija ciemność, gdzieś daleko za dworcem kolejowym. Z tuby starego gramofonu, stojącego na parapecie ciemnego okna, wydobywa się smutny ochryply śpiew:

Voi, voi, voi, mandrelor voi...<sup>14</sup>

Raz po raz musimy się chować za pień drzewa czy murek ogrodowy, czekając z zapartym oddechem, aż uciną w oddali kroki przechodzącego patrolu.

- Otóż i mój dom - mówi Marioara. Masywny budynek elektrowni, z czerwonej cegły, wznosi się przed nami w ciemności na kształt wieży silosu. Na torach przy dworcu gwizdzą żałośnie lokomotywy.

- Nu, nu, domnule capitan, nu, nu - mówi Marioara.

Ale ja ściskam ją mocno w ramionach, całuję jej kędzierzawe włosy, gęste brwi, drobną, chudą twarzyczkę.

- Nu, domnule capitan, nu, nu - powtarza Marioara i odpycha mnie rękami mocno wpartymi w moją pierś.

Burza wybucha nagle jak mina, rozpętuje się nad dachami miasta. Czarne strzępy chmur, drzew, domów, ulic, ludzi i koni wzbijają się w górę, wirują w podmuchach wiatru. Strumień ciepłej krwi

---

<sup>14</sup> Ty, ty, ty najmilsza...

z chmur rozdartych czerwonymi, zielonymi i błękitnymi blaskami. Przebiegają grupki rumuńskich żołnierzy krzycząc: „Parașutiști! Spadochroniarze!”, i strzelając w powietrze. Z dolnego miasta, pod wysokim, dalekim szumem rosyjskich samolotów, dolatuje jakiś niewyraźny, niezwykły zgiełk.

Stajemy przy parkanie otaczającym dom Marioary. W tej samej chwili dwóch żołnierzy przebiega pędem ulicę i strzela do nas nawet się nie zatrzymując, wyraźnie słyszymy kłaśnięcie kul o deski parkanu. Spoza spiczastych sztachet wychyla ku nam ciężką głowę słonecznik, patrzy na nas swoim okrągłym, wielkim, zadumanym jedynym okiem, długie, żółte rzęsy na pół przesłaniają jego czarną źrenicę. Trzymam Marioarę w ramionach, a ona miękko przechyla się w tył, z oczyma wzniesionymi ku niebu.

- O, frumos, frumos! - mówi nagle cicho - o, jak pięknie! - Więc i ja podnoszę wzrok ku niebu i okrzyk zdumienia wyrывa mi się z ust.

Tam, w górze, byli ludzie, poruszali się jak gdyby po dachu burzy. Mali, niezdarni, brzuchaci, sunęli po krawędziach chmur, każdy trzymał w ręku ogromny biały parasol, kołyszający się w podmuchach wichury. Może to wracali do domu sędziwi profesorowie Uniwersytetu w Jassach, w szarych cylindrach i surdutach zielonych jak groszek, może to oni szli szeroką aleją w stronę Fundacji. Kroczyli powoli w strugach deszczu, w sinym świetle błyskawic, rozmawiając. Śmiesznie było patrzeć, jak dziwacznie poruszają nogami, jak gdyby otwierali i zamykali nożyczki krojąc nimi chmury, aby utorować sobie przejście przez pajęczynę deszczu rozwieszoną nad dachami miasta. „Noapte bună, domnule profesor - mówili jeden do drugiego skłaniając głowę i uchylając dwoma palcami szarego cylindra - Noapte bună”. A może to miejscowe damy, piękne i dumne, wracały z przechadzki po parku ocieniając delikatne twarze parasolkami z błękitnego i różowego jedwabiu, obrzeżonymi białą koronką; a za nimi, w pewnej odległości, sunęły ich stare karety, czarne i uroczyście, ze stangretem-eunuchem na koźle, z długim czerwonym biczem, który kołysze się nad lśniącoymi zadami pięknych jasnogrzywych koni. Może, wreszcie, byli to starsi panowie z Jockey Clubu, tłuści szlachcice mołdawscy z faworytami przyciętymi po parysku, w garniturach z Saville Row, z małymi krawatkami sterzczącymi w wąskiej szparze wysokich, sztywnych kołnierzyków, takich samych, jakie nosili bohaterowie Paula de Kocka: wracali do domu pieszo, aby odetchnąć świeżym powietrzem po nieskończenie długiej partii brydża w zadymionej sali Jockey Clubu, pachnącej różami i tytoniem. Kołysali się w biodrach, poruszali nożycowato nogami, w prawej wyciągniętej ręce dzierżąc długą rączkę ogromnego białego parasola; szare cylindry mieli lekko przesunięte na ucho, jak niektórzy vieux beaux Daumiera; ach, nie, myślę się: raczej Caran d'Ache'a.

- To jaśnie panowie uciekają. Boją się wojny - powiedziałem - jadą do Bukaresztu schronić się w Athenee Pałace.

- Ależ nie, nie uciekają. W tamtej stronie mieszkają Cyganki, chcą się zabawić z Cygankami - mówi Marioara patrząc na skrzydlatych ludzi.

Chmury wyglądały jak wielkie, zielone korony drzew, a panowie w szarych cylindrach i damy z jedwabnymi parasolkami obszytymi koronką zdawali się krążyć pomiędzy stolikami Pavillon d'Ermenonville na tle zielono-błękitno-różowych drzew przy Porte Dauphine na obrazie Maneta. Tak,

zupełnie Manetowskie były owe zielenie, róże, błękity i szarości, jakie pojawiały się i znikwały w szczelinach chmur, ilekroć piorun uderzał w purpurowe zamczyska burzy.

- Istna zabawa ogrodowa - powiedziałem - wytworna zabawa wiosenna w parku.

Marioara, wpatrując się w demi-dieux, półbogów z Jockey Clubu, w blanches déités, białe boginie Jassy (Jassy mają także swoją „stronę Guermantés”, prowincjonalną „stronę Guermantés”, z tej prowincji idealnej, która jest rzeczywistą paryską ojczyzną Prousta. W Mołdawii wszyscy znają Prousta na pamięć), przygląda się wysokim cylindrom, monoklom, białym goździkom w butonierce szarych i brązowych żakietów, jedwabnym parasolkom z koronką, rękami obciążonymi aż do łokcia ażurowymi rękawiczkami, kapelusikiem przybranym ptaszkami i kwiatami, drobnym stopom w spiczastych pantofelkach, nieśmiało wyzierającym spod fałdzistych spódnic.

- Ach, jak ja bym chciała iść także na taką zabawę w pięknej jedwabnej sukni! - wzdycha Marioara dotykając cienkimi paluszkami swojej spłowiałej bawełnianej sukieneczki, poplamionej ciorbă de pui.

- Popatrz, popatrz, jak uciekają! Popatrz, jak ich deszcz pędzi, Marioara! Koniec zabawy, Marioara.

- La revedere, domnule capitan - mówi Marioara otwierając furtkę. Dom Marioary to chałupa sklecona z desek, parterowa, kryta czerwoną dachówką. Okna są zamknięte, ani odrobina światła nie przenika między deseczkami żaluzji.

- Marioara! - woła z wnętrza domu kobiecy głos.

- Oj, oj, oj - mówi Marioara - la revedere, domnule capitan.

- La revedere, Marioara - mówię tuląc ją do siebie.

Marioara poddaje się moim ramionom, patrzy, jak pociski rysują świetliste smugi na czarnej szybie nocnego nieba. Wyglądają jak naszyjniki z koralami na niewidzialnych szyjach kobiecych, jak kwiaty rzucone na czarny aksamit, jak fosforyzujące ryby, kiedy nocą snują się w głębinie morskiej. Zwidują się czerwone usta ocienione jedwabnymi parasolkami, róże rozkwitające w ogrodzie bezksiężycową nocą, na krótko przed świtem. Vieux beaux z Jockey Clubu i sędziwi profesorowie uniwersytetu wracają do domu z zabawy przy świetle ostatnich błysków sztucznych ogni, chroniąc się od deszczu pod ogromnymi białymi parasolami.

Światła na niebie przygasły stopniowo, deszcz ustał i w rozdarciu chmur ukazał się nagle księżyc: zupełnie Chagallowski pejzaż. Żydowskie niebo Chagalla, pełne żydowskich aniołów, żydowskich chmur, żydowskich psów i koni, bujających w powietrzu nad miastem. Żydowskie skrzydłowe siedzą na dachach domów albo unoszą się pod bladym niebem nad ulicami, gdzie starzy Żydzi leżą martwi na chodnikach wśród poustawianych dokoła rytualnych świeczników. Pary żydowskich kochanków leżą na zielonych obłokach jak na łące.

A pod tym żydowskim niebem Chagalla, w tym Chagallowskim pejzażu rozjaśnionym przejrzystym księżycem, z dolnego miasta, z dzielnic Nicolina, Sokola, Pacurari dolatywał szczególny zgiełk, ujadanie karabinów maszynowych, głucho detonacje granatów ręcznych.

- Oj, oj, oj, Żydów mordują - szepnęła Marioara wstrzymując oddech.

Podobny zgiełk słyhać było także od strony śródmieścia, z okolic placu Unirii i kościoła Trei-Ierarhi. Brzmiało to jak krzyki i lamenty uciekających, ściganych ludzi, zagłuszane ochrypłymi wrzaskami niemieckimi i wołaniem: „stój, stój” żandarmów i żołnierzy rumuńskich.

Kula karabinowa gwizdnęła nam nagle koło uszu. Zgiełk niemieckich, rumuńskich i żydowskich głosów przybliżał się, w głębi ulicy ukazał się tłum uciekający w popłochu - kobiety, mężczyźni, dzieci - a za nimi pędziła grupka żandarmów strzelając w biegu. Na końcu włókł się, kulejąc, żołnierz z twarzą we krwi, krzyczał: „Parașutiști! Spadochroniarze!” i mierzył z karabinu w niebo. O parę kroków od nas zwałił się na kolana uderzając głową o parkan i tak już pozostał, twarzą do ziemi, pod deszczem radzieckich spadochroniarzy, którzy spływali powoli z nieba uczepili ogromnych białych parasoli i lekko osiadali na dachach domów.

- Oj, oj, oj! - krzyknęła Marioara; uniosłem ją z ziemi, przeszedłem ogródek przy domu i łokciem pchnąłem drzwi.

- La revedere, Marioara - powiedziałem rozluźniając uścisk, tak że osunęła się powoli w moich ramionach i dotknęła stopami progu.

- Nu, nu, domnule capitan, nu, nu! - krzyczy Marioara chwytając się mnie kurczowo - nu, nu, domnule capitan, oj, oj, oj!

Wbija mi zęby w rękę, kąsa z dziką furją, warcząc jak pies.

- Och, Marioara - mówię cicho, muskając jej włosy wargami, a jednocześnie wolną ręką uderzam ją w twarz, żeby przestała mnie gryźć. - Och, Marioara - powtarzam i wodzę ustami po jej uchu. Popycham ją łagodnie do ciemnego wnętrza domu, zamykam drzwi, mijam ogródek i odchodzę pustą, wznoszącą się ku górze ulicą, oglądając się raz po raz, żeby spojrzeć na płot, wyzierający spoza spiczastych sztachet słonecznik i na mały domek kryty czerwoną dachówką, na którą księżyc rzuca jasne plamy.

Doszedłszy do szczytu wzniesienia zatrzymałem się i odwróciłem. Miasto stało w płomieniach. Gęste chmury dymu zalegały nisko położone dzielnice nad rzeką. Domy i drzewa w sąsiedztwie objętych pożarem budynków rysowały się ostrym konturem i wydawały się większe niż naprawdę, jak powiększona fotografia. Mogłem odróżnić wzrokiem nawet pęknięcia na tynku, gałęzie i liście. Widok miał w sobie coś martwego i zbyt wyraźnego zarazem - właśnie jak fotografia. Mogłoby się wydawać, że mam przed sobą zimne, widmowe zdjęcie fotograficzne, gdyby nie owe zmieszane hałasy, zrywające się tu i ówdzie z nagłą siłą, to przeraźliwe wycie syren, przeciągły gwizd lokomotyw i terkot karabinów maszynowych, które nadawały tej makabrycznej wizji cechy żywej i namacalnej rzeczywistości.

Biegając krętymi uliczkami, które pną się stromo ku centrum miasta, słyszałem dokoła krzyki rozpacz, trzaskanie drzwiami, brzęk tłuczonego szkła, zdławione szlochy, rozpaczliwe wołanie: „mamo, mamo!” i błagalne „nu, nu, nu!”, a czasem gdzieś za płotem, w głębi ogrodu czy wewnątrz domu za opuszczonymi żaluzjami pojawiał się błysk i rozlegał suchy trzask wystrzału, gwizd kuli i przeraźliwe, ochryple głosy niemieckie. Na placu Unirii, pod pomnikiem Cuza Vody, grupka SS-manów strzelała z karabinów maszynowych w stronę placu, na którym stoi posąg księcia Ghika w mołdawskim stroju, w grubej burce i wysokiej futrzanej czapie opadającej na czoło. W czerwonym blasku pożarów widać tam było tłum czarnych, gwałtownie gestykulujących postaci, przeważnie kobiet, skupionych

dokoła pomnika. Raz po raz ktoś wyrwał się z tego tłumu, rzucał się do ucieczki, miotał beładnie po placu i płakał pod kulami SS-manów. Gromady Żydów pierzchały w boczne uliczki, a w ślad za nimi biegli żołnierze i rozjuszeni cywile uzbrojeni w noże czy w łomy żelazne; żandarmi rozbijali kolbami drzwi domów, w rozwartych nagle oknach pojawiały się kobiety w koszulach, z rozwianym włosom, krzycząc i wymachując rękami. Niektóre rzucały się z okien i padały twarzą na asfalt chodnika z głuchym plaśnięciem. Przez małe okienka otwarte na poziomie ulicy żołnierze rzucali ręczne granaty do piwnic, gdzie mnóstwo ludzi szukało zwodniczego schronienia. Niektórzy z żołnierzy kładli się na ziemi, brzuchem do chodnika, i zaglądali do środka, a potem odwracali się do towarzyszy i ze śmiechem opowiadali o efektach swoich wyczynów. Tam, gdzie rzeź najsrożej szalała, stopy ślizgały się we krwi; wszędzie rozpasana furia pogromu napęłniała ulice i domy strzelaniną, płaczem, wrzaskiem grozy i okrutnym śmiechem.

Kiedy dotarłem wreszcie do konsulatu włoskiego w zacisznej zielonej uliczce za starym cmentarzem, konsul Sartori siedział na krześle przed drzwiami domu, paląc papierosa. Palił spokojnie, z ścią neapolitańską beztroską. Ale ja znam dobrze neapolitańczyków, wiedziałem więc, że cierpi. Z wnętrza domu słycać było ciche łkanie.

- Diabli nadali te awantury - powiedział Sartori. - Przygarnąłem ich tu z dziesięcioro, tych nieboraków, niektórzy są ranni. Pomoże mi pan, Malaparte? Ja nie nadaję się na sanitariusza.

Wszedłem do biur konsulatu. Na kanapach, krzesłach, podłodze, w każdym kącie (jedna mała dziewczynka ukryła się pod biurkiem Sartoriego) ktoś leżał lub siedział - kobiety, brodaci starcy, pięcioro czy sześcioro dzieci i trzech młodych ludzi, którzy wyglądali na studentów. Jedna z kobiet miała czoło rozbite kolbą, jeden ze studentów jęczał przyciskając przestrelone ramię. Poleciałem nagrażać wody i zabrałem się z pomocą Sartoriego do przemywania ran i bandażowania ich podartym na pasy prześcieradłem. „Co za nieprzyjemność! - mówił Sartori. - Tego nam tylko brakowało! I to właśnie dziś, kiedy mnie głowa boli”.

Kobieta, której bandażowałem zranione czoło, zwróciła się do Sartoriego dziękując mu po« francusku za ocalenie życia, przy czym tytułowała go monsieur le marquis. Sartori popatrzył na nią z wyrazem przykrości.

- Dlaczego nazywa mnie pani markizem? - powiedział. - Jestem po prostu signor Sartori.

Podobał mi się ten otyły, flegmatyczny człowiek, raptem wyrzekający się tytułu, do którego nie miał prawa, ale którego chętnie pozwalał w stosunku do siebie używać. W chwilach niebezpieczeństwa neapolitańczycy zdolni są do najcięższych nawet ofiar.

- Czy może mi pan podać jeszcze jeden bandaż, drogi markizie? - powiedziałem chcąc mu tę ofiarę wynagrodzić.

Wyszliśmy i usiedli przed drzwiami, Sartori na krześle, ja na schodkach. W ogrodzie otaczającym willę konsulatu rośnie dużo akacji i sosen. Zbudzone blaskiem pożarów ptaki poruszały się niespokojnie, trzepotały skrzydełkami w milczeniu.

- Boją się. Nie śpiewają - odezwał się Sartori podnosząc oczy ku gęstym koronom drzew. I dodał wskazując ciemną plamę na ścianie willi: - Niech pan spojrzy, to plama krwi. Jeden z tych biedaków

schronił się tutaj, wpadli za nim żandarmi i zatłukli go pod tym murem kolbami karabinów, prawie na śmierć. Potem go zabrali. To był właściciel tej willi, porządny człowiek

Zapałił jeszcze jednego papierosa, obrócił się powoli i popatrzył na mnie.

- Byłem sam - powiedział. - Cóż mogłem zrobić? Protestowałam, powiedziałem, że napiszę do Mussoliniego. Roześmiali mi się prosto w nos.

- Śmieli się prosto w nos Mussoliniemu, nie panu.

- Niech pan sobie ze mnie nie kpi, Malaparte; nakrzyczałem na nich także, a jak ja wpadnę w złość... - powiedział swoim łagodnym głosem. Przez chwilę palił w milczeniu, a potem dodał: - Wczoraj prosiłem pułkownika Lupu, żeby mi tu dał wartownika dla ochrony konsulatu. Odpowiedział mi, że to niepotrzebne.

- Niech pan Bogu dziękuje! Z ludźmi pułkownika Lupu lepiej nie mieć nic do czynienia. Pułkownik Lupu to bandyta.

- O tak, to prawda. A szkoda, taki przystojny mężczyzna.

Śmiałem się bezgłośnie, odwracając głowę, żeby Sartori nie widział, że się śmieję. W tej chwili usłyszeliśmy z ulicy przeraźliwe krzyki, strzały pistoletowe i okropne, nie do zniesienia, głuchoe odgłosy walenia kolbami w głowy.

- Teraz to już za wiele - powiedział Sartori; podniósł się z właściwą sobie neapolitańską flegmą, przeszedł spokojnie przez ogród i otworzył furtkę mówiąc: - Wchodźcie tutaj, wchodźcie.

Wyszedłem na ulicę i zacząłem popychać do furtki tłum ogłupiałych z przerażenia ludzi. Żandarm chwycił mnie za ramię, ale wymierzyłem mu z całej siły kopniaka w brzuch.

- Dobrze pan zrobił - powiedział spokojnie Sartori. - Ten łajdak na to zasłużył.

Musiał być naprawdę bardzo rozgniewany, skoro pozwolił sobie na takie słowo jak „łajdak”. W jego pojęciu było to niewątpliwie bardzo „grube” słowo.

Całą noc przesiedzieliśmy tak przed domem, pałac. Od czasu do czasu wychodziliśmy na ulicę i wciągaliśmy grupki półprzytomnych, okrwawionych ludzi w podartej odzieży za furtkę, na teren konsulatu. Zgromadziliśmy tak około stu osób.

- Trzeba by dać coś jeść i pić tym biedakom - powiedziałem do Sartoriego, kiedy po jakim takim opatrzeniu rannych usiedliśmy znów przed domem.

Sartori spojrział na mnie żałośnie.

- Miałem trochę zapasów, ale żandarmi podczas tego najścia na konsulat wszystko mi rozkradli. Nic nie poradzę.

- 'O vero? - powiedziałem neapolitańskim akcentem. - Naprawdę?

- 'O vero - odparł Sartori wzdychając.

Przyjemnie było być razem z Sartorim w takich chwilach. Czułem się jakiś pewniejszy w towarzystwie tego spokojnego neapolitańczyka, który mógł dygotać z przerażenia, grozy i litości, ale nigdy tego nie okazywał.

- Sartori - powiedziałem mu - walczymy w obronie cywilizacji przeciwko barbarzyństwu.

- 'O vero? - zapytał Sartori.

- 'O vero - odpowiedziałem.

Na niebie oczyszczonym z chmur zaczynało już świtać. Dymy pożarów trzymały się w liściach drzew, kładły na dachach. Było chłodno.

-- Sartori - mówiłem - kiedy Mussolini się dowie, że w Jassach pogwałcono nietykalność konsulatu, wścieknie się.

- Malaparte, niech mi pan nie dokucza; Mussolini szczeka, ale nie gryzie. Przepędzi mnie za to, że dałem schronienie tym nieszczęsnym Żydom.

- 'O vero?

- 'O vero, Malaparte.

Po jakimś czasie Sartori podniósł się i prosił, żebym poszedł odpocząć.

- Zmęczony pan, Malaparte. Teraz już po wszystkim. Kto umarł, ten umarł: nic się już na to nie poradzi.

- Nie jestem zmęczony, Sartori. Niech pan idzie do łóżka, ja tu zostanę na straży.

- Niech pan odpocznie chociaż godzinę, żeby mi zrobić przyjemność - prosił Sartori siadając znowu.

Przechodząc przez cmentarz, w niepewnym jeszcze świetle zobaczyłem dwóch rumuńskich żołnierzy siedzących na grobie. W rękę trzymali kromki chleba i jedli je powoli, w milczeniu.

- Dzień dobry, domnule capitan - pozdrowili mnie.

- Dzień dobry - odpowiedziałem.

W poprzek na dwóch grobach leżała martwa kobieta. Za żywołotem ujadał pies. Rzuciłem się na łóżko i zamknąłem oczy. Czułem się upokorzony. Nic nie można było zrobić. La dracu, pomyślałem. Okropna była ta kompletna bezsilność.

Po trochu ogarniał mnie sen, przez otwarte okno widziałem niebo rozjaśnione już brzaskiem, gdzieś gdzieś kładł się na nim odbłask pożarów. A przez sam środek nieba sunął człowiek z olbrzymim białym parasolem w wyciągniętej ręce i patrzył w dół.

- Miłego wypoczynku - powiedział mi kiwając przyjaźnie głową.

- Dziękuję, i miłej przechadzki - odpowiedziałem.



Obudziłem się po paru godzinach. Ranek był pogodny, w czystym powietrzu, wymyłym deszczem i odświeżonym burzą, każda rzecz lśniła jak powleczona przezroczystym werniksem. Wyrząłem przez okno. Ulica Lapusneanu była cała usiana ludzkimi ciałami w dziwnych, bezładnych pozach. Chodniki znikły zupełnie pod zwłokami spiętrzonymi jedne na drugich. Setki trupów ściągnięto na cmentarz i zrzucono na jeden wielki stos. Gromady psów obwąchiwały trupy; miały przy tym zalękniony i pokorny wygląd, jaki miewa pies, który szuka swego pana. Pełne były szacunku i litości, snuły się pośród żałosnych zwłok delikatnie, jakby się bały nadepnąć na którąś z tych skrwawionych twarzy czy kurczowo zaciśniętych rąk. Ekipy Żydów, pod strażą żandarmów i żołnierzy uzbrojonych w erkaemy, ściągali zwłoki z jezdni i układały wzdłuż murów, by oczyścić drogę dla pojazdów. Ulicami jechały ciężarówki niemieckie i rumuńskie naładowane trupami. Na chodniku koło lustragerii siedziało nieżywe dziecko oparte plecami o mur, z główką przechyloną na ramię.

Cofnąłem się, zamknąłem okno i usiadłszy na łóżku zacząłem się powoli ubierać. Raz po raz musiałem kłaść się na chwilę, żeby powstrzymać napad torsji. Nagle wydało mi się, że słyszę jakieś wesole głosy, śmiechy, nawoływania. Zmusiłem się, żeby podejść do okna. Ulica pełna była ludzi. Żołnierze i żandarmi, grupki ludności cywilnej, mężczyzn i kobiet, a także bandy Cyganów o długich kędzierzawych włosach - wszyscy obdzierali trupy, podnosili je, rzucali, obracali z boku na bok, zdejmując marynarki, spodnie, bieliznę, wpierając nogę w brzuchy trupów, by ściągnąć buty; jedni nadbiegali w pośpiechu, żeby nie ominął ich udział w rabunku, inni oddalali się z ogromnymi naręczami łupów. Była to wesoła krzątanka, radosny trud, jarmark i zabawa ludowa jednocześnie. Nagie trupy leżały brutalnie porzucone.

Zbiegłem na dół, pędem minąłem cmentarz przeskakując przez groby, żeby nie deptać leżących wszędzie zwłok, i zderzyłem się z grupką żandarmów metodycznie obdzierających trupy. Rzuciłem się na nich z krzykiem, roztrącając ich i waląc. „Podlece! Łajdaki!” - wrzeszczałem. Jeden z żandarmów spojrzał na mnie zdumiony, potem wyjął ze stosu odzieży kilka sztuk ubrania i dwie czy trzy pary butów i podał mi je mówiąc:

- Proszę się nie złościć, domnule capitan, starczy tego dla wszystkich.

Właśnie od strony placu Unirii, na ulicy Lapusneanu, ukazało się z wesołym pobrzękiwaniem dzwoneczków lando księżnej Sturdza. Siedzący godnie na koźle eunuch Grigori w swojej zielonej liberii kołysał batem nad grzbietami pięknych mołdawskich siwków, które kłusowały z podniesionym łbem, potrząsając długimi grzywami. Na wysokich, miękkich poduszkach sztywno wyprostowana, majestatyczna księżna patrzyła wyniośle, trzymając w prawej ręce czerwoną jedwabną parasolkę ozdobioną koronkową falbaną. U jej boku siedział dumny i roztargniony książę Sturdza, ubrany biało, z czołem ocienionym rondem szarego pilśniowego kapelusza, lewą ręką przyciskając do piersi niedużą książeczkę oprawną w czerwoną skórę.

- Dzień dobry, doamnă, prințesă - mówili obdzieracze trupów przerywając na chwilę swój radosny trud i kłaniając się nisko.

Księżna Sturdza w błękitnej sukni, w wielkim kapeluszu z florenckiej słomki, włożonym nieco na bok, obracała twarz odrobinę w prawo lub w lewo z suchym skinieniem głowy, książę zaś uchylał szarego kapelusza z uśmiechem.

- Dzień dobry, doamnă prințesă, - rozbrzmiewało dokoła. Wesóło pobrzękując dzwoneczkami powóz toczył się pomiędzy stosami nagich trupów, szpalerem kornie pochylonych ludzi, ściskających w ramionach swoje ohydne łupy. Przejechał, unoszony różnym kłusem pięknych białych koni, które eunuch Grigori, tłusty i dostojny na swym koźle, podniecał do szybkiego biegu lekkimi muśnięciami czerwonego bata.

## VII. Krykiet w Polsce

Ilu Żydów zginęło tamtej nocy w Jassach? - zagadnął ironicznym tonem Frank wyciągając wygodnie nogi w kierunku kominka. I roześmiał się przy tym dobrodusznie.

Inni także się śmieli, patrząc na mnie z politowaniem. Ogień trzaskał na kominku, mróz i śnieg stukały białymi palcami w szyby okien. Raz po raz zrywały się gwałtowne podmuchy wiatru, lodowatego wiatru z północy, wichura wyła w pobliskich ruinach hotelu Angielskiego, wzniecała wirujące trąby śnieżne na rozległej przestrzeni placu Saskiego. Wstałem, podszedłem do okna i przez zasnutę śniegiem szyby wyrzałem na plac w poświęcie księżycy. Niewyraźne cienie żołnierzy chodziły tam i na powrót po chodniku przed hotelem Europejskim. Tam, gdzie przed dwudziestu laty wznosił się Sobór, prawosławna katedra, zburzona przez Polaków dla uczynienia zadość mętnemu prorocत्वu jakiegoś mnicha, teraz rozciągał się niepokalany całun śniegu. Odwróciłem się, spojrzałem na Franka i także zacząłem się śmiać.

- Oficjalny komunikat wicepremiera rządu rumuńskiego, Mihai Antonescu - powiedziałem - mówi o pięćuset zabitych. Natomiast liczba urzędowo ustalona przez pułkownika Lupu wynosi siedem tysięcy wymordowanych Żydów.

- Cyfry nie byle jakie - rzekł Frank. - Ale metoda nie była właściwa. Tak się nie robi.

- Nie, tak się nie robi - potwierdził gubernator Warszawy, Fischer, potrząsając głową z dezaprobatą.

- To barbarzyńskie metody - rzekł z akcentem niesmaku gubernator Krakowa Wächter, jeden z zabójców Dollfussa.

- Rumuni to naród bez kultury - powiedział Frank wzgardliwie.

- Ja, es hat keine Kultur - powtórzył Fischer trzęsąc głową.

- Jakkolwiek nie posiadam tak tkliwego serca, jak pan - zwrócił się Frank do mnie - rozumiem i podzielam uczucie grozy, jakie w panu budzi masakra w Jassach. Potępiam pogromy jako człowiek, jako Niemiec, jako Generalgouverneur Polski.

- Very kind of you<sup>15</sup> - rzekłem z ukłonem.

- Niemcy to naród o wyższej kulturze, żywiący odrazę do pewnych barbarzyńskich metod - mówił Frank wodząc dokoła wzrokiem pełnym szczerego oburzenia.

---

<sup>15</sup> Bardzo uprzejmie z pana strony.

- Natürlich - przytaknęli wszyscy chórem.
  - Niemcy - rzekł Wächter - mają wielką misję cywilizacyjną do spełnienia na Wschodzie.
  - „Pogrom” nie jest słowem niemieckim - ciągnął Frank.
  - To hebrajskie słowo, oczywiście - powiedziałem z uśmiechem.
  - Nie wiem, czy hebrajskie - rzekł Frank - ale wiem jedno: termin ten do słownictwa niemieckiego nigdy nie wejdzie.
  - Pogromy są specjalnością słowiańską - dodał Wächter.
  - My, Niemcy, kierujemy się w każdej rzeczy rozumem i metodą, a nie zwierzęcymi odruchami; zawsze i we wszystkim postępujemy naukowo. Kiedy to konieczne, ale tylko wówczas, kiedy rzeczywiście i bezwzględnie konieczne - powtórzył Frank z naciskiem, patrząc na mnie tak, jakby chciał mi swoje słowa trwale wyryć na czole - naśladujemy sztukę chirurga, ale nie rzemiosło rzeźnika. Czy zdarzyło się panu kiedy widzieć masakrę Żydów na ulicach miast niemieckich? Nie, prawda? Co najwyżej jakąś demonstrację studencką, jakieś dziecinne awantury. A mimo to wkrótce nie będzie w Niemczech ani jednego Żyda.
  - To wszystko kwestia metody i organizacji - wtrącił Fischer.
  - Mordować Żydów - ciągnął Frank - nie, to nie jest w niemieckim stylu. To idiotyczna robota, niepotrzebna strata czasu i sił. My deportujemy Żydów do Polski i zamykamy ich w gettach. W ich obrębie mogą robić, co chcą. W gettach polskich miast Żydzi żyją jak w wolnej republice.
  - Niech żyje wolna republika gett w Polsce - powiedziałem wznosząc kielich szampana, który podała mi właśnie z uśmiechem Frau Fischer. W głowie trochę mi się kręciło, czułem się życzliwie usposobiony w stosunku do świata.
  - Wiwat! - zakrzyczeli wszyscy chórem, wznosząc kielichy szampana. Wypili patrząc na mnie wesoło.
  - Mein lieber Malaparte - ciągnął Frank kładąc mi dłoń na ramieniu z kordialną poufałością - naród niemiecki jest ofiarą ohydnych kalumnii. Nie jesteśmy narodem morderców. Po powrocie do Włoch opowie pan, mam nadzieję, o wszystkim, co pan widział w Polsce. Jako człowiek uczciwy i bezstronny ma pan obowiązek mówić prawdę. No i może pan powiedzieć z czystym sumieniem, że Niemcy w Polsce tworzą jedną wielką, pokojowo usposobioną, pracowitą rodzinę. Niech się pan rozejrzy dokoła: znajduje się pan w schludnym, prostym, uczciwym niemieckim domu. Taka właśnie jest Polska: uczciwy niemiecki dom. Proszę tylko spojrzeć - rzekł z okrągłym zachęcającym gestem ręki.
- Obróciłem się ogarniając pokój spojrzeniem. Właśnie Frau Fischer wyjęła z szuflady kartonowe pudełko, z pudełka zaś duży kłębek wełny, druty, rozpoczętą pończochę i trochę surowej wełny w luźnych motkach. Z lekkim ukłonem w stronę Frau Brigitte Frank, jakby prosząc ją o pozwolenie, pani domu nałożyła na nos okulary w metalowej oprawie i zabrała się spokojnie do roboty. Frau Brigitte Frank wsunęła dłonie w motek wełny, rozciągnęła go, zawiesiła na uszku nadstawionych rękach Frau Wächter i zaczęła zwijać kłębek poruszając rękami szybko i zwinnie. Frau Wächter siedziała ze ściśniętymi kolanami, wyprostowana, trzymając ręce na wysokości piersi i lekkimi poruszeniami przegubów pomagała snuć nitkę bez zaczepień i rwania. Wszystkie trzy panie

uśmiechały się, tworząc obraz mieszczańskiej pogody i poczciwości. Generalgouverneur Frank ogarniał ten wdzięczny obrazek wzrokiem wyrażającym dumę i tkliwość. Keith i Emil Gassner tymczasem krajali torty i nalewali kawę do dużych porcelanowych filiżanek.

Poprzez lekkie podniecenie winem, z tej mieszczańskiej sceny, z tego prowincjonalnego niemieckiego wnętrza przy cichym akompaniamencie domowych dźwięków (podzwanianie szybko migających drutów, trzask ognia na kominku, chrupanie tortów, lekki stuk porcelanowych filiżanek) zaczęło jakby sączyć się we mnie uczucie przygnębienia i niepewności. Dłoń Franka, spoczywająca na moim ramieniu, nie ciążyła mi fizycznie, ale duchowo przytłaczała. Próbowałem uświadomić sobie i systematycznie rozważyć uczucia, jakie Frank we mnie budził, starałem się zrozumieć motywy, preteksty i właściwe znaczenie każdego wypowiedzanego przezeń słowa, aby z poszczególnych zebranych w ciągu niewielu dni elementów stworzyć sobie jakiś moralny obraz jego osoby; ale zamiast tego utwierdzałem się coraz bardziej w przekonaniu, że nie jest to człowiek, którego można by załatwić pospiesznym, powierzchownym sądem.

Uczucie niepewności, jakie mnie zawsze ogarniało w obecności Franka, płynęło właśnie stąd, że jego natura była niesłychanie złożona, stanowiła przedziwną mieszaninę inteligencji i okrucieństwa, finezji i wulgarności, brutalnego cynizmu i wyrafinowanej wrażliwości. Musiał istnieć w nim bez wątpienia jakiś pokład ciemny i głęboki, do którego nie umiałem się dostać; jakieś ponure królestwo, niedostępne inferno, piekło, skąd wydobywał się raz po raz przelotny błysk, rzucając nagle światło na zamkniętą twarz Franka, na to jego niepokojące i fascynujące utajone oblicze.

Sąd, który dawno już sobie na temat Franka wyrobiłem, był niewątpliwie negatywny. To, co o nim wiedziałem wystarczyło, żebym doznawał w stosunku do niego odrazy. Czułem jednak, że nie mam prawa na tym sądzie poprzestać. Wśród elementów, jakie zdołałem zgromadzić bądź z doświadczeń innych ludzi, bądź z moich własnych, czegoś mi brakowało, ale czego - nie umiałem zdać sobie sprawy. Nie miałem nawet pojęcia, jakiej natury miał być ten brakujący element; ale liczyłem na to, że w końcu jakoś mi się on ni stąd, ni zowąd objawi.

Miałem wciąż nadzieję, że uda mi się podchwycić u Franka jakiś gest, jakieś słowo, jakiś niezamierzony czyn, które mi odkryją jego prawdziwą twarz, jego utajone oblicze. Ów gest, słowo czy czyn miały wybuchnąć niespodziewanie z tej właśnie ciemnej, głębokiej strefy jego ducha, w której, czułem to instynktownie, tkwiły korzenie jego okrutnej inteligencji, jego wyrafinowanej muzykalności, sięgając chorobliwego i w pewnym sensie zbrodniczego dna jego natury.

- To właśnie jest Polska: uczciwy dom niemiecki - powtórzył Frank obejmując spojrzeniem tę intymną, mieszczańską scenę rodzinną.

- Dlaczego - zapytałem - nie zajmuje się pan także jakąś kobiecą robotką? Pańska godność generalnego gubernatora wcale by na tym nie ucierpiała. Król Szwecji, Gustaw V, przepada za kobiecymi robotkami. Wieczorami, w otoczeniu swoich najbliższych, król Gustaw V haftuje.

- Ach, so? - wykrzyknęły chórem panie z niedowierzaniem i rozbawionym zdumieniem.

- Czymże innym mógłby się zajmować neutralny król? - roześmiał się Frank. - Gdyby król Szwecji był generalnym gubernatorem Polski, czy sądzicie państwo, że znajdowałby czas na haftowanie?

- Naród polski byłby z pewnością szczęśliwszy – odparłem - gdyby miał generalnego gubernatora zajmującego się haftem.

- Ha! ha! ha! Ależ to istna idee fixe! - rzekł Frank z uśmiechem. - Niedawno próbował pan we mnie wmówić, że Hitler jest kobietą, dziś znowu chciałby mnie pan nakłonić do zajmowania się kobiecymi robótkami. Czy naprawdę wydaje się panu, że można rządzić Polską przy pomocy drutów pończosznicznych czy igły do haftu? Znadto pan sprytny, mój drogi Malaparte - zakończył po francusku.

- W pewnym sensie - zauważyłem - pan także haftuje. Pańska robota polityczna to istny haft.

- Nie jestem królem Szwecji, który spędza czas jak pensjonarka - powiedział Frank z akcentem pychy. - Ja haftuję na kanwie nowej Europy.

Powolnym, majestatycznym krokiem przeszedł przez pokój, otworzył drzwi i zniknął.

Usiadłem w fotelu przy oknie, skąd mogłem, trochę tylko obracając głowę, ogarnąć spojrzeniem cały ogromny plac Saski, pozbawione dachów domy za hotelem Europejskim i ruiny kamienicy obok hotelu Bristol, na rogu stromej uliczki schodzącej ku Wiśle.

Spośród krajobrazów będących tłem moich młodzieńczych doświadczeń ten był może memu sercu najbliższy; oglądając go w takiej chwili, z tego pokoju w pałacu Brühlowskim i w takim towarzystwie, czułem się dziwnie zmieszany, jakiś żałośnie upokorzony. Ów widok, tak dobrze mi znany, zmartwychwstał przed moimi oczyma po dwudziestu z górą latami, z bezpośredniością starej, wyblakłej fotografii; z dalekiego widnokręgu lat 1919 i 1920 warszawskie dni i noce powracały mi na pamięć w takiej samej jak wówczas postaci i z tym samym zabarwieniem uczuciowym.

(Z cichych, pachnących kadzidłem, woskiem i domową nalewką pokoi małego domu w uliczce odchodzącej od placu Teatralnego, gdzie mieszkała ze swymi siostrzenicami kanoniczka Walewska, słychać było rozbrzmiewające w czystym mroźnym powietrzu zimowej nocy głosy dzwonów ze stu kościołów Starego Miasta. Uśmiech wykwitał na czerwonych wargach dziewcząt, podczas gdy stare damy siedzące wokół kominka chanoinesse'y gawędziły przyciszonymi głosami, tajemniczo i trochę złośliwie. W Sali Malinowej Bristolu młodzi oficerowie ułanów wybijali nogami rytm mazura, ruszając do szturm na barwny zastęp panien w jasnych sukniach, o oczach lśniących ogniem młodości. Stara księżna Czartoryska z pomarszczoną szyją, siedemkroć owiniętą ogromnym sznurem peret zwisającym aż na łono, siedziała milcząc naprzeciw starej margrabiny Wielopolskiej w pałacyku w Alejach Ujazdowskich, przy oknie, w którego szybach odbijały się drzewa alei. Zielony refleks lip przenikał do przytulnego pokoju kładąc lekkie plamy zieleni na delikatnych barwach perskich dywanów, na meblach Ludwik XV, na portretach i pejzażach francuskiej i włoskiej szkoły, malowanych w guście Trianon i Schönbrunnu, na starych szwedzkich srebrach i rosyjskich emaliach z czasów Katarzyny Wielkiej).

Kiedy tak siedziałem przy oknie, patrząc na krajobraz moich lat młodzieńczych, z dna pamięci jawiły się miłe cienie z tamtych dawno minionych czasów, miłe cienie łagodne, uśmiechnięte. Kiedy przymknąwszy oczy wpatrywałem się w te przybladłe obrazy i słuchałem drogich mi głosów, które czas trochę tylko przytłumił, uszu moich dobiegła łagodna, urzekająca muzyka. Były to pierwsze tony jednego z preludii Chopina. W sąsiednim pokoju, widocznym przez uchylone drzwi, Frank siedział przy fortepianie pani Beckowej, z głową schyloną na piersi. Blade jego czoło lśniło od potu, na pełnej

pychy twarzy malowało się głębokie cierpienie i jakby upokorzenie. Oddychał z wysiłkiem, przygryzając dolną wargę. Oczy miał zamknięte i widziałem drżenie jego powiek. „To chory człowiek” - pomyślałem. Ale zaraz odrzuciłem od siebie tę myśl.

Dokoła mnie wszyscy słuchali w milczeniu, wstrzymując oddech. Tony preludium, czyste i lekkie, unosiły się w powietrzu niby propagandowe ulotki rzucane z samolotu. Każda nuta miała na sobie wybity dużymi czerwonymi literami napis: „Niech żyje Polska!” Patrzyłem na płatki śniegu miękko opadające za oknem na ogromną białą płaszczyznę placu Saskiego, pustą w księżycowej poświacie, i na każdym płatku widziałem te same wypisane czerwonymi literami słowa: „Niech żyje Polska!”, tak jak czytałem je, przeszło dwadzieścia lat temu w październiku 1919, w każdej nucie Chopina, czystej i lekkiej, wzlatającej spod białych, szczyptłych, bezcennych dłoni Prezesa Rady Ministrów, Ignacego Paderewskiego, kiedy siedział przy fortepianie w wielkiej karmazynowej sali warszawskiego Zamku. Było to wkrótce po wskrzeszeniu Państwa Polskiego. Wyższe towarzystwo warszawskie i członkowie korpusu dyplomatycznego zbierali się często wieczorami na Zamku Królewskim dokoła fortepianu premiera. Zjawa Chopina snuła się pośród nas z melancholijnym uśmiechem i chwilami dreszcz przebiegał po nagich ramionach młodych kobiet. Nieśmiertelny, anielski głos Chopina, podobny do dalekich odgłosów wiosennej burzy, głużył inne, przeraźliwe dźwięki - okrzyki buntu i echa krwawych represji. Czyste, lekkie tony unosiły się w powietrzu nad głowami zmizerowanych, wychudłych tłumów niby propagandowe ulotki rzucane z samolotu, dopóki nie umilkły ostatnie akordy. Paderewski unosił powolnym ruchem pochyloną nad klawiaturą głowę o białych rozwianych włosach, zwracając ku słuchaczom twarz mokrą od łez.

A oto teraz w pałacu Brühlowskim, tak niedaleko od ruin Zamku Królewskiego, w ciepłym, lekko zadymionym powietrzu mieszczańskiego niemieckiego wnętrza, czyste, urzekające tony Chopina wlatywały spod białych, miękkich palców Franka, spod niemieckich rąk Generalgouverneura Polski; uczucie wstydu i buntu ogarniało mi twarz płomieniem.

- Och, gra jak anioł! - wyszeptła Frau Brigitte Frank. W tej właśnie chwili muzyka umilkła i Frank ukazał się w progu. Frau Brigitte zerwała się gwałtownie, odrzucając kłębek wełny, podbiegła do męża i ucałowała jego ręce. Frank, poddając łaskawie ręce pod te korne, pełne religijnej żarliwości pocałunki, ustroił twarz w surowy wyraz kapłańskiego dostojeństwa, jak gdyby zstępował w tej chwili po stopniach ołtarza po odprawieniu mistycznej ofiary; tylko czekałem, by Frau Brigitte padła na kolana w ekstazie adoracji. Ale ona ujęła ręce Franka, uniosła je w górę i zwracając się ku nam powiedziała z nutą tryumfu w głosie:

- Spójrzcie, takie są ręce aniołów!

Spojrzałem na ręce Franka: były drobne, delikatne, bardzo białe. Byłem mile zaskoczony nie dostrzegając na nich ani plamki krwi.

Przez kilka następnych dni nie miałem okazji spotkać ani Generalgouverneura Franka, ani gubernatora Warszawy Fischera; obaj zajęci byli roztrząsaniem wraz z Himmlerem, który niespodziewanie zjechał z Berlina, trudnej sytuacji, jaka ostatnio wytworzyła się w Polsce (był to początek lutego 1942) w związku z niepowodzeniami Niemców na froncie rosyjskim. Osobiste stosunki między Himmlerem a Frankiem były notorycznie jak najgorsze: Himmler żywił pogardę dla

„teatralności” i „intelektualnego wyrafinowania” Franka, ten zaś oskarżał Himmlera o „mistyczne okrucieństwo”. Mówiło się o dużych przesunięciach na wysokich stanowiskach władz okupacyjnych w Polsce, wyglądało na to, że nawet sam Frank jest w niebezpieczeństwie. Ale kiedy Himmler wyjechał z Warszawy i wrócił do Berlina, wszystko wskazywało, że Frank w tej rozgrywce zwyciężył: wielkie zmiany ograniczyły się do zastąpienia Wächtera, jako gubernatora Krakowa, dotychczasowym Stadthauptmannem Częstochowy, bliskim krewnym Himmlera, z równoczesnym przeniesieniem Wächtera na stanowisko gubernatora do Lwowa.

Na razie Wächter wrócił do Krakowa razem z Gassnerem i baronem Wolseggerem. Frau Wächter została, aby dotrzymać towarzystwa Frau Brigitte Frank przez resztę pobytu Generalgouverneura w Warszawie. Ja zaś, czekając, kiedy będę mógł wyruszyć na front pod Smoleńskiem, wykorzystywałem wizytę Himmlera (gestapo było w tym czasie wytracone z normalnego trybu swoich zajęć, pochłonięte bez reszty odpowiedzialnym zadaniem ochrony cennego życia Himmlera), aby poroznosić dyskretnie listy, paczki i pieniądze, które polscy uchodźcy we Włoszech powierzali mi z prośbą o przekazanie swoim krewnym i przyjaciołom w Warszawie. Doręczenie obywatelom polskim potajemnej korespondencji z zagranicy, choćby to był tylko jeden jedyny list, karane było śmiercią. Musiałem więc zachować daleko idącą ostrożność, aby ujść czujności gestapo i nie narażać ani cudzego, ani własnego życia; ale dzięki wielkiej przezorności i nieocenionej pomocy pewnego niemieckiego oficera (był to młody człowiek niezwyklej kultury i szlachetności, którego poznałem przed kilku laty we Florencji i z którym łączyła mnie serdeczna przyjaźń) udało mi się wywiązać z delikatnej misji. Gra była niebezpieczna; przystąpiłem do niej w duchu sportowym i z absolutną lojalnością (nigdy, w żadnej okazji, nawet w stosunku do Niemców, nie łamałem reguł obowiązujących w krykiocie), krzepiony z jednej strony świadomością, że spełniam nakaz ludzkiej solidarności i chrześcijańskiej miłości bliźniego, z drugiej - chęcią zdrwienia sobie z Himmlera, Franka i całej ich maszyny policyjnej. Pasjonowałem się tą grą i w rezultacie wygrałem; gdybym przegrał, lojalnie uiściłbym przegraną. Ale zwyciężyć mogłem tylko dzięki temu, że Niemcom, zawsze pogardzającym swymi przeciwnikami, nawet przez myśl by nie przeszło, że ja w każdym wypadku respektowałbym prawa gry.

Zobaczyłem ponownie Franka dwa dni po odjeździe Himmlera, na śniadaniu, które wydawał na cześć boksera Maxa Schmelinga w swojej oficjalnej rezydencji, Belwederze, niegdyś siedzibie marszałka Piłsudskiego, aż do jego śmierci. Tego ranka, kiedy szedłem aleją wiodącą przez piękny osiemnastowieczny park (zaprojektowany z melancholijnym, nieco jesiennym wdziękiem przez jednego z późniejszych uczniów Le Nôtre'a) na dziedzińcu pałacu Belwederskiego, doznałem wrażenia, że niemieckie flagi, niemieccy wartownicy, niemieckie kroki, gesty i głosy wyciskają zimne, twarde, martwe piętno na pięknych starych drzewach parku, na muzycznej harmonii architektury stworzonej dla zbytkowych rozrywek Stanisława Augusta, nawet na milczeniu fontann i stawów zamkniętych w lodowatym więzieniu.

Kiedy przeszło dwadzieścia lat temu, przechadzając się pod lipami Alei Ujazdowskich czy po alejkach Łazienek, widziałem z daleka przebłyskujące przez liście białe mury Belwederu, miałem wrażenie, że te marmurowe schody, posągi Apollina i Diany i białe stiuki fasady zrobione są z tworzywa delikatnego i żywego, nieomal z różowego ciała. Teraz natomiast wszystko to wydawało mi się zimne, twarde, martwe. Przechodząc przez obszerne sale tonące w jasnym, zimnym świetle, sale, gdzie rozbrzmiewały niegdyś skrzypce i klawesyn Lulliego i Rameau i gdzie snuła się wzniosła, czysta melancholia Chopina, z daleka już usłyszałem donośne niemieckie głosy i śmiechy - i zatrzymałem się

w progu niepewnie. Ale wnet okrzyknął mnie głos Franka i on sam wyszedł naprzeciw mnie, otwierając szeroko ramiona z tą pełną pychy kordialnością, która zawsze na nowo mnie zaskakiwała i napełniała głębokim zmieszaniem.

- Znokautuję go w pierwszej rundzie; sędzią pan będzie, Schmeling - powiedział Frank ujmując w garść kordelas myśliwski.

Tego dnia przy stole generalnego gubernatora Polski, w pałacu Belwederskim w Warszawie, gościem honorowym nie byłem ja, lecz słynny pięściarz Max Schmeling. Rad byłem z jego obecności, która odwracała uwagę biesiadników od mojej osoby i pozwalała mi się pogrążyć w łagodnym smutku wspomnień, przywołać na pamięć ów dzień pierwszego stycznia 1920 roku, kiedy po raz pierwszy wszedłem do tej sali, aby wziąć udział w rytualnym hołdzie składanym przez korpus dyplomatyczny Głowie Państwa, marszałkowi Piłsudskiemu. Stary marszałek stał nieruchomo pośrodku sali, obiema rękami wsparty na rękojeści szabli, starej szabli zakrzywionej jak turecka karabela i tkwiącej w skórzanej pochwie ze srebrnymi okuciami; blada jego twarz poznaczona była grubym żyłami podobnymi do blizn, długie wąsy zwisały ku dołowi jak u Sobieskiego, nad rozległym czołem sterczały włosy krótkie i twarde. Minęło z górą dwadzieścia lat, a wciąż jeszcze widziałem go przed sobą, dokładnie w tym samym miejscu, gdzie teraz dymił pośrodku stołu koziołek dopiero co zdjęty z różną; na nim to właśnie i jego smakowitym mięsie Frank wypróbowywał ze śmiechem swoją zręczność manipulując szerokim ostrzem myśliwskiego noża.

Max Schmeling siedział po prawej ręce Frau Brigitte Frank, skupiony, z głową nieco pochyloną, przesuując po współbiesiadnikach spojrzenie spode łba, nieśmiałe i twarde zarazem. Był trochę więcej niż średniego wzrostu, harmonijnych kształtów, ramiona miał nieco zaokrąglone, sposób bycia niemal wykwinłny. Trudno byłoby się domyślić, że pod tym garniturem z szarej flaneli, doskonale skrojonym, pochodzącym zapewne z któregoś z zakładów krawieckich Wiednia albo Nowego Jorku, czai się tak niepospolita siła. Głos miał powabny, melodyjny, mówił powoli, uśmiechał się - nie wiadomo, czy przez nieśmiałość, czy w podświadomym poczuciu właściwego atletom zaufania do samego siebie. Spojrzenie jego czarnych oczu było głębokie i pogodne, twarz poważna i sympatyczna. Siedział lekko pochylony, przeguby rąk trzymał oparte o krawędź stołu, patrzył uważnie, jakby wewnątrz gotów do obrony, jakby znajdował się na ringu. Rozmowie przysłuchiwał się pilnie, odrobinę podejrzliwie, i raz po raz spoglądał na Franka, który uśmiechał się lekko w właściwy sobie sposób, z ironicznym nieco respektem.

Frank odgrywał przed nim rolę dotychczas mi nie znaną: rolę intelektualisty, który, gdy przypadek zetknął go z atletą, puszy się przed nim i popisuje swymi najefektowniejnymi myślami; udaje, że ze złości chyli czoło przed tą podobizną Herkulesa, wychwalając potężny, muskularny tors, wzdęte bicepsy, ogromne silne pięści, a naprawdę spala kadzidło przed ołtarzem Minerwy, potwierdzając - przesadną kurtuazją, obfitością pochwał, którymi łaskawie obsypuje zalety ciała, zręcznym słowem rzuconym od czasu do czasu z wysokości - niewątpliwą wyższość inteligencji i kultury nad brutalną siłą. Jak najdalszy od tego, by okazać przykrość czy znudzenie, Max Schmeling nie ukrywał jednak rozbawionego zdumienia, a zarazem odrobiny naiwnej nieufności, jak gdyby znalazł się w obliczu jakiegoś ludzkiego gatunku zupełnie mu nie znanego: nieufność ta dawała się dostrzec w jego uważnym spojrzeniu, ironicznym uśmieszku, w ostrożności, z jaką dobierał słowa odpowiadając na



pytania Franka, wreszcie w gniewnej niemal żarliwości, z jaką starał się umniejszać to wszystko, co w otaczającej go sławie wykraczało poza walory czysto atletyczne.

Frank wypytywał go o Kretę, o ciężką ranę odniesioną w tej awanturycznej imprezie, w której Max Schmeling brał udział jako spadochroniarz. I dodał zwracając się do mnie, że jeńcy angielscy, kiedy Schmelinga niesiono na noszach, potrzęsali uniesionymi w górę rękami i wołali: „Hello Max!”

- Leżałem na noszach, ale wcale nie byłem ranny - powiedział Schmeling. - Wiadomość, jakobym został ciężko raniony w kolano, była fałszywa, lansował ją Goebbels w celach propagandowych. Mówili nawet, że nie żyję. Prawda jest znacznie skromniejsza: dostałem okropnych kurczów żołądka. Powiem szczerze - dodał po chwili - cierpiałem na biegunkę.

- Nie ma nic hańbiącego, nawet dla bohaterskiego żołnierza, w fakcie, iż cierpi na biegunkę - powiedział Frank.

- Nigdy nie myślałem, żeby było w tym coś hańbiącego - powiedział Schmeling uśmiechając się ironicznie. - Przemarzłem po prostu, nie było to z pewnością wywołane strachem. Ale kiedy, mówiąc o żołnierzu, wypowiada się słowo „biegunka”, każdy myśli o strachu.

- Mówiąc o panu, nikt nie może mieć na myśli strachu - oświadczył Frank; potem spojrzał na mnie i wyjaśnił: - Schmeling na Krecie zachował się po bohatersku. Nie lubi o tym mówić, ale to autentyczny bohater.

- Nie jestem żadnym bohaterem - zaprotestował Schmeling. Uśmiechał się wciąż, ale miałem wrażenie, że jest trochę zły. - Nie zdążyłem wziąć udziału w walce. Wskoczyłem z samolotu o pięćdziesiąt metrów nad ziemią i wylądowałem w krzakach z okropnymi bólami brzucha. Kiedy przeczytałem, że zostałem ranny w boju, natychmiast sprostowałem tę wiadomość w wywiadzie z jednym neutralnym dziennikarzem. Powiedziałem, że po prostu miałem kurcze żołądka. Goebbels nigdy mi tego nie przebaczył. Zagroził mi nawet, że stanę przed sądem wojennym za defetyzm. Gdyby Niemcy przegrały wojnę, Goebbels kazałby mnie rozstrzelać.

- Niemcy nie przegrają wojny - rzekł Frank surowo.

- Natürlich - potwierdził Schmeling - niemiecka Kultura nie ma przecież biegunki.

Wszyscy zaczęliśmy się dyskretnie śmiać, a i sam Frank ułożył wargi w pobłażliwy uśmiech.

- W tej wojnie - powiedział surowo - kultura niemiecka złożyła w ofierze wielu spośród swoich czołowych przedstawicieli.

- Wojna to najszlachetniejszy ze wszystkich sportów - rzekł Schmeling.

Zapytałem go, czy przyjechał do Warszawy w związku z jakimś spotkaniem bokserskim.

- Jestem tu po to - wyjaśnił Schmeling - żeby zorganizować i poprowadzić całą serię spotkań między pięściami Wehrmachtu i SS. Będzie to pierwsza wielka impreza sportowa w Polsce.

- W zawodach sportowych między Wehrmachtem a SS - powiedziałem - stawiam na szampionów Wehrmachtu. - I dodałem, że będzie to wydarzenie nieomal polityczne.

- Nieomal - przytaknął Schmeling z uśmiechem.

Frank zrozumiał aluzję i wyraz głębokiej satysfakcji rozlał się na jego twarzy. On sam dopiero co wyszedł zwycięsko z meczu z szefem SS i nie mógł się powstrzymać od napomknienia o przyczynach swoich nieporozumień z Himmlerem.

- Nie jestem zwolennikiem gwałtów - powiedział. - I na pewno Himmler nie zdoła mnie przekonać, że politykę ładu i sprawiedliwości da się w Polsce utrzymać tylko przy metodycznym stosowaniu przemocy.

- Himmlerowi brak poczucia humoru - zauważyłem.

- Niemcy - rzekł Frank- to jedyny na świecie kraj, gdzie poczucie humoru nie jest mężowi stanu koniecznie potrzebne. Ale zupełnie inaczej rzecz się ma w Polsce.

- Naród polski - powiedziałem - musi być panu wdzięczny za pański sense of humour.

- Byłby mi wdzięczny z pewnością, gdyby Himmler nie wspierał gwałtami mojej polityki ładu i sprawiedliwości - i zaczął mówić o obiegających Warszawę pogłoskach w związku z rozstrzelaniem stu pięćdziesięciu intelektualistów polskich; Himmler przed wyjazdem z Polski zarządził tę egzekucję bez wiedzy Franka i na przekór jego obiekcjom. Jasne było, że Frank usiłuje wobec mnie zrzucić z siebie odpowiedzialność za tę masakrę. Twierdził, że dowiedział się o tym, już po fakcie, od samego Himmlera, w chwili kiedy tamten wsiadał do samolotu mającego zawieźć go do Berlina. - Oczywiście - zakończył Frank - zaprotestowałem jak najenergiczniej. Ale już się stało.

- Himmler - powiedziałem - musiał się uśmieć z pana protestów. Zresztą i pan, żegnając Himmlera na lotnisku, śmiał się; wesoło. Widocznie więc ta wiadomość wprawiła pana w dobry humor.

Frank popatrzył na mnie ze zdumieniem i niepokojem.

- Skąd pan wie, że się śmiałem? - zapytał. - Rzeczywiście, śmiałem się, to prawda.

- Cała Warszawa o tym wie - odparłem - i wszyscy o tym mówią.

- Ach, so! - wykrzyknął Frank wznosząc oczy ku niebu.

Ja także śmiejąc się wzniosłem oczy ku górze i nie mogłem powstrzymać odruchu zdumienia i grozy. Na suficie, gdzie dawniej widniał osiemnastowieczny fresk „Tryumf Wenery”, dzieło któregoś z włoskich malarzy, niewątpliwie ucznia wielkich mistrzów weneckich, teraz rozciągała się pergola opleciona fioletowymi glicyniami, wykonanymi z precyzją i realizmem owego kwiecistego stylu, który wziął początek z secesji roku 1900 i poprzez szkołę dekoracyjną Wiednia i Monachium znalazł swój: krańcowy wyraz w oficjalnym stylu Drittes Reich.

Ta glicyniowa pergola, przykro powiedzieć, była jak żywa. Cienkie pnie pięły się na kształt węzów po ścianach sali, pochylając się i splatając nad naszymi głowami długie, pokrętne gałęzie, z których zwisały liście i kwiaty; wśród kwiatów polatywały maleńkie ptaszki, tłuste, różnokolorowe motyle i wielkie kosmate muchy - wszystko na tle błękitnego nieba, czystego, i gładziutkiego jak atlas.

Wzrok mój powoli sunął ku dołowi wzdłuż pni glicynii, z gałęzi na gałąź, aż wylądował na bogatych meblach ustawionych z bezduszną symetrią pod ścianami. Były to ciemne i masywne meble

holenderskie; na ścianach, nad nimi, podziwiałem kompozycje z błękitnych talerzy z Delft, zdobnych w pejzaże i talerzy szkarłatnych, pochodzących z holenderskiej Kompanii Indyjskiej, malowanych w pagody i ptactwo wodne. Nad wysokim, uroczystym kredensem w stylu starobawarskim wisało kilka martwych natur szkoły flamandzkiej; widniały na nich ogromne tace pełne ryb i owoców, stoły uginające się pod zdumiewającą różnorodnością zwierzyny, obwąchiwanej łakomie i czujnie przez setery, pointery i ogary. U wielkich okien sali wisały zasłony z brzydkiej jasnej tkaniny w deseń z ptaków i kwiatów, w guście saksońskiej prowincji.

Moje wędrujące spojrzenie spotkało się ze spojrzeniem Schmelinga i Schmeling uśmiechnął się. Zdumiało mnie, że ten bokser o niskim, twardo sklepionym czole, ten łagodny siłacz wyczuwa groteskowość i okropność glicyniowej pergoli, tych mebli, tych obrazów, tych zasłon, całej tej sali, w której nic a nic nie pozostało z tego, co niegdyś stanowiło chlubę Belwederu - nic z jej wiedeńskich stiuków, włoskich fresków, francuskich mebli, ogromnych weneckich żyrandoli, tak że już tylko w kształcie drzwi i okien i w proporcjach architektonicznych przetrwał ślad pierwotnej harmonii i wdzięku.

Frau Brigitte Frank, która od dłuższej już chwili śledziła niepewną wędrowkę mojego zdumionego wzroku, sądząc niewątpliwie, że jestem olśniony takim wykwittem sztuki, nachyliła się ku mnie i oznajmiła z dumą, że to ona sama kierowała pracą niemieckich dekoratorów (nie powiedziała zresztą „dekoratorów”, tylko „artystów”), którym mamy do zawdzięczenia tę cudowną przemianę starego Belwederu. Glicyniowa pergola, przedmiot jej szczególnej dumy, była dziełem wybitnej malarki berlińskiej, ale, jak mi Frau Brigitte dała do zrozumienia, sam pomysł wyszedł od niej. Z początku zamierzała ze względów politycznych powierzyć tę pracę któremuś z polskich malarzy, ale potem zamiar zmieniła. „Trzeba sobie powiedzieć - rzekła - że Polacy pozbawieni są tego religijnego poczucia sztuki, jakie jest przywilejem narodu niemieckiego”.

Wzmianka o „religijnym poczuciu sztuki” dostarczyła Frankowi okazji do długiego wywodu o sztuce polskiej, o poczuciu religijnym tego narodu i o tym, co określał jako „polskie bałwochwalstwo”.

- Możliwe, że są bałwochwalcami - powiedział Schmeling - ale zauważyłem, że Polacy z ludu mają bardzo dziecinny i naiwny sposób pojmowania Boga. - I opowiedział, że poprzedniego wieczoru, kiedy doglądał treningu kilku pięściarzy z Wehrmachtu, starszerek Polak, który posypywał trocinami deski ringu, powiedział mu: „Gdyby Pan nasz, Jezus Chrystus, miał takie pięści jak pan, nie umarłby na krzyżu”.

Frank rzucił ze śmiechem uwagę, że gdyby Chrystus miał parę pięści podobnych do pięści Schmelinga, takie dwie prawdziwe niemieckie pięści, wszystko na świecie lepiej by się ułożyło.

- W pewnym sensie - powiedziałem - Chrystus obdarzony parą prawdziwych niemieckich pięści niewiele by się różnił od Himmlera.

- Ach! Wunderbar! - wykrzyknął Frank i wszyscy roześmiali się za jego przykładem. - Nie tylko o pięści tu chodzi -- dodał, kiedy wesołość przycichła. - Gdyby Chrystus był Niemcem, światem rządziłby honor.

- Wolę - odparłem - żeby rządziło nim miłosierdzie.

Frank roześmiał się serdecznie.

- Ależ to istna idee fixe! Teraz znów chciałby pan w nas wmówić, że i Chrystus także był kobietą?

- Les femmes en seraient très flattées<sup>16</sup> - odezwała się Frau Wächter z wdzięcznym uśmiechem.

- Polacy - powiedział gubernator Fischer - są przekonani, że Chrystus zawsze, nawet w kwestiach politycznych, stoi po ich stronie i że woli ich od jakiegokolwiek innego narodu, nawet od niemieckiego. Ich religia i patriotyzm wywodzą się, w ogromnej mierze, z tego dziecinnego wyobrażenia.

- Ich szczęście - Frank roześmiał się jowialnie - że Chrystus ma zbyt dobrego nosa, żeby zajmować się bliżej ich polnische Wirtschaft. Ściągnąłby sobie na głowę niemało kłopotów.

- N'avez-vous pas honte de blasphémer ainsi<sup>17</sup>? - odezwała się swoim łagodnym wiedeńskim akcentem Frau Wächter, grożąc Frankowi paluszkami.

- Obiecuję pani, że więcej nie będę - odpowiedział Frank z miną skarconego dziecka. I dodał ze śmiechem: - Gdybym był pewien, że Chrystus ma pięści takie jak Schmeling, wyrażałbym się o nim na pewno oględniej.

- Gdyby Chrystus był bokserem - rzekła mu Frau Wächter - już by pana dawno znokoutował.

Wszyscy roześmiali się, a Frank, kłaniając się z galanterią, zapytał, jakim ciosem, zdaniem Frau Wächter, Chrystus by go powalił.

- Herr Schmeling - odparła - mógłby panu na to odpowiedzieć lepiej ode mnie.

- Odpowiedź wcale nietrudna - rzekł Schmeling przyglądając się uważnie twarzy Franka, jakby szukał właściwego miejsca na ulokowanie tarcza swej pięści. - Jakikolwiek cios mógłby pana znokoutować. Pan ma słabą głowę.

- Słabą głowę? - wykrzyknął Frank, mocno się czerwieniąc. Przesunął ręką po twarzy z wymuszoną swobodą, ale widać było, że jest zmieszany i zirytowany. Wszyscy śmieliśmy się wesoło, Frau Wächter ocierała oczy zażawione ze śmiechu. Ale Frau Brigitte uchwyciła sprzyjający moment, żeby przyjąć Frankowi z pomocą, i zwracając się do mnie powiedziała:

- Generalgouverneur jest wielkim przyjacielem polskiego kleru. Jest tu, w Polsce, prawdziwym opiekunem religii katolickiej.

- O, naprawdę? - wykrzyknąłem udając głębokie i radosne zdumienie.

- Kler polski - rzekł Frank, chętnie wykorzystując okazję do zmiany tematu - z początku nie lubił mnie. A ja miałem wiele poważnych przyczyn, żeby nie być z księży zadowolony. Ale po ostatnich wydarzeniach na francie rosyjskim kler bardzo zbliżył się do mnie. A wie pan dlaczego? Boi się, żeby Rosja nie pokonała Niemiec. Cha, cha, cha! Sehr amüsant, nicht wahr?

- Ja, sehr amüsant - potwierdziłem.

---

<sup>16</sup> Kobiety czułyby się bardzo zaszczycone.

<sup>17</sup> Nie wstyd panu tak bluźnić?

- Obecnie między klerem polskim a mną - ciągnął Frank - panuje doskonała harmonia. Mimo to nie zmienię i nie zamierzam ani trochę zmienić podstawowej linii mojej polityki religijnej w Polsce. W takim kraju jak ten dla zapewnienia sobie szacunku konieczna jest słabość i konsekwencja. Jestem i pozostanę nadal konsekwentny i wierny samemu sobie. Arystokracja polska? Ignoruję ją. Nie bywam u niej. Nigdy nie przekraczam progów polskich nobilów i nikt z nich nie ma wstępu do mojego domu. Pozwoliłem im bawić się i tańczyć do woli w ich pałacach. I bawią się, brnąc coraz głębiej w długi. Tańczą nie dostrzegając ruiny, do której się nieuchronnie zbliżają. Od czasu do czasu zdarza im się otworzyć oczy, widzą wtedy, że sami się zrujnowali, i zaczynają płakać nad nieszczęściami ojczyzny, oskarżając mnie po francusku, że jestem okrutnym tyranem i wrogiem narodu polskiego. Potem znowu zaczynają się śmiać, grać w karty i tańczyć. A mieszczaństwo? Większa część bogatej burżuazji uciekła za granicę w 1939 roku, w ślad za rządem Rzeczypospolitej. Majątkiem jej administrują niemieccy urzędnicy. Ta część mieszczaństwa, która została w Polsce i której zadano śmiertelny cios uniemożliwiający uprawianie wolnych zawodów, usiłuje przetrwać paląc za sobą mosty, zasklepiona w pryncypialnej opozycji, opartej na śmiesznej gadaninie i bezsensownych spiskach, które ja zawiązuję lub niszczę za jej plecami, wedle własnego uznania. Wszyscy Polacy, a inteligencja przede wszystkim, to urodzeni konspiratorzy. Ich dominującą namiętnością jest konspiracja. Jedną jedyną rzeczą pociesza ich po upadku Polski: możliwość wyładowania, nareszcie, tej dominującej namiętności. Ale ja mam długie ręce i umiem się nimi posługiwać. Himmler, który ma ręce krótkie, marzy tylko o rozstrzelaniu i obozach koncentracyjnych. Czyż on nie wie, że Polacy nie boją się ani śmierci, ani więzienia? Szkoły średnie i uniwersytety były ogniskami intryg patriotycznych. Zamknąłem je. Na cóż potrzebne szkoły średnie i uniwersytety w kraju bez kultury? A weźmy teraz proletariata. Chłopi bogacą się na czarnym rynku, a ja pozwalam im się bogacić. Dlaczego? Dlatego, że czarny rynek wysysa krew z mieszczaństwa i przyczynia się do ogłodzenia proletariatu przemysłowego, przez co utrudnia powstanie wspólnego frontu robotników i chłopów. Robotnicy pracują spokojnie pod kierunkiem swoich techników. Kiedy Rzeczpospolita się zawałiła, technicy polscy nie uciekli za granicę, nie porzucili maszyn i swoich brygad roboczych. Zostali na swoich placówkach. Technicy i robotnicy są również naszymi wrogami, ale wrogami zasługującymi na szacunek. Oni nie konspirują: pracują. Możliwe, że ich postawa stanowi część ogólnego planu walki przeciwko nam.

A teraz przejdźmy do Żydów. W obrębie gett korzystają oni z absolutnej swobody. Ja nikogo nie prześladowuję. Pozwalam arystokracji rujnować się grą w karty i zabawiać tańcami, mieszczaństwu - konspirować, chłopom - bogacić się, technikom i robotnikom pracować. I w wielu wypadkach przymykam jedno oko.

- Oko przymyka się również przed strzałem, mierząc do celu - wtrąciłem.

- Możliwe. Ale proszę mi nie przerywać - podjął Frank po krótkiej chwili wahania. - Prawdziwą ojczyznę narodu polskiego, jego prawdziwą Rzeczpospolitą Polską, jest religia katolicka. To jedyna ojczyzna, jaka temu nieszczęsnemu narodowi została. Szanuję ją i ochraniaję. Z początku między klerem a mną istniało wiele powodów do niezgody. Teraz się to zmieniło. Po ostatnich wydarzeniach na froncie rosyjskim kler polski z gruntu odmienił swoją postawę wobec polityki niemieckiej w Polsce. Nie pomaga mi, ale mnie nie zwalcza. Armia niemiecka została pod murami Moskwy pobita, Hitlerowi nie udało się - mówiąc ściślej: jeszcze się nie udało - pokonać Rosji. Polski kler boi się bardziej Rosjan niż Niemców, komunistów bardziej niż nazistów. Możliwe, że ma rację. Jak pan widzi, jestem z panem szczerzy. I szczerzy będę również, kiedy panu powiem, że chylę głowę przed polskim Chrystusem.

Mógłby pan na to odpowiedzieć, że chylę przed nim głowę, ponieważ wiem, że jest bezbronny. Ale ja oddawałbym mu cześć, nawet gdyby był uzbrojony w karabin maszynowy. Tego bowiem wymaga interes Niemiec i moje sumienie niemieckiego katolika. Z jednego tylko oskarżenia winienem się tłumaczyć przed polskim klerem: że zabroniłem pielgrzymek do cudownego obrazu Matki Boskiej w Częstochowie. Ale to konieczność. Byłoby rzeczą nader niebezpieczną dla okupacji niemieckiej w Polsce pozwolić na gromadzenie się raz po raz dokoła tego sanktuarium tłumów złożonych z setek tysięcy fanatyków. Klasztor częstochowski odwiedzało przeciętnie w ciągu roku około dwóch milionów wiernych. Zabroniłem pielgrzymek, zabroniłem wystawiania obrazu Czarnej Madonny na widok publiczny. Z wszystkich innych zarzutów winienem zdać rachunek jedynie mojemu Führerowi i własnemu sumieniu.

Umilkł nagle i rozejrzał się dokoła. Wypowiedział to wszystko jednym tchem, a przez tę elokwencję przebijają uraza i żal. Wszyscy patrzyli na niego w milczeniu. Frau Brigitte płakała cicho, uśmiechając się przez łzy. Frau Wächter i Frau Fischer były wzruszone; nie odrywały spojrzenia od złanej potem twarzy Generalgouverneura. Frank otarł czoło chustką. Zwrócił twarz ku mnie, przyjrzał mi się uważnie, w końcu uśmiechnął się i zapytał:

- Pan był w Częstochowie, nicht wahr?

Owszem, byłem w Częstochowie kilka dni przedtem, zwiedziłem słynne sanktuarium i byłem gościem braciszków należących do rzymskiego zakonu paulinów. Ojciec Mendera zaprowadził mnie do podziemnej krypty, w której przechowują wizerunek Czarnej Madonny, otaczany największą czcią w całej Polsce. Jest to obraz w stylu bizantyjskim, ujęty w srebrną ramę. Nazwa pochodzi od barwy twarzy, poczerniałej w dymie pożaru, który wznieśli oblegający klasztor Szwedzi. Stadthauptmann Częstochowy, który, jako bliski krewny Himmlera, był przedmiotem szczególnego lęku, nienawiści - i uprzejmości - zakonników, zezwolił w drodze wyjątku na pokazanie mi wizerunku Czarnej Madonny. Po raz pierwszy od początku okupacji niemieckiej w Polsce obraz miał być ukazany oczom wiernych i zakonnicy przyjęli tę niespodziewaną łaskawość z radosnym zdumieniem.

Przeszliśmy przez kościół i zeszli w dół do podziemia, a w ślad za nami zeszła gromadka chłopów, którzy byli właśnie w kościele i widzieli nas przechodzących. Dwaj inspektorzy Stadthauptmanna Częstochowy, Günter Laxy i Fritz Griehshammer, oraz dwaj towarzyszący SS-mani zatrzymali się w progu i Günter Laxy dał jakiś znak ojcu Menderze, który spojrzał na mnie zmieszany, mówiąc po włosku: - Wieśniacy.

Odpowiedziałem na cały głos po niemiecku:

- Wieśniacy tu zostaną.

W tej chwili nadszedł przeor klasztoru: drobny, chudy staruszek o pełnej zmarszczek twarzy; płakał i uśmiechał się przez łzy, od czasu do czasu wycierając nos wielką zieloną chustką. Złoto, srebro i cenne marmury lśniły łagodnie w półmroku kaplicy. Gromadka chłopów pokłękła przed ołtarzem z wzrokiem wlepionym w srebrną kratę, która kryje i chroni starożytny obraz Matki Boskiej Częstochowskiej. W ciszy podzwaniały tylko czasem karabiny dwóch SS-manów stojących nieruchomo w progu.

Nagle głęboki odgłos bębnow zatrząsł murami podziemia i przy akompaniamencie srebrnych trąb, dźwięczących tryumfalnymi tonami muzyki Palestriny, krata zaczęła się powolutku unosić i ukazała się

Czarna Madonna z Dzieciątkiem w ramionach, strojna w perły i drogie kamienie iskrzące się w czerwonym blasku świec. Wieśniacy płakali, przypadłszy twarzami do ziemi. Słyszałem zduszone łkania, stuk czoł o marmurową posadzkę. Wzywali Madonnę po imieniu, przyciszonymi głosami: „Maryjo, Maryjo”, jak gdyby wołali kogoś ze swoich najbliższych - matkę, córkę, siostrę, żonę. Nie, nie tak jak matkę. Nie mówiliby w takim razie „Maryjo”, lecz „matko”. Madonna była matką Chrystusa, tylko Chrystusa. Dla nich była siostrą, żoną, córką, wzywali ją po imieniu, cichymi głosami: „Maryjo, Maryjo”, jakby bali się, że ich usłyszą dwaj SS-mani stojący nieruchomo w progu. Głęboki groźny głos bębnow i przeraźliwe jęki długich srebrnych trąb wprawiały w drżenie fundamenty klasztoru, wydawało się, że lada chwila runie na nas marmurowe sklepienie. Wieśniacy wciąż wołali: „Maryjo, Maryjo!”, jakby chcieli obudzić zmarłą, jakby chcieli wyrwać ze snu śmierci siostrę, żonę czy córkę. W pewnej chwili przeor i ojciec Mendera obrócili się powoli, wieśniacy nagle umilkli i także odwrócili się i wszyscy spojrzeli na Güntera Laxy, na Fritza Griehshammera i dwóch uzbrojonych SS-manów nieruchomo stojących u progu, w stalowych hełmach kryjących im czoła. Patrzeli na nich i płakali w głębokim milczeniu. Potem huk bębnow zabrzmiał jeszcze głośniejsz, odbity od kamiennych murów, srebrne trąby zajęczały pod marmurowym sklepieniem, krata opadała powoli; Czarna Madonna zniknęła w oślepiającym blasku klejnotów i złota. Wieśniacy zwrócili ku mnie twarze zalane łzami. Uśmiechali się do mnie.

Był to ten sam uśmiech, który wykwił niespodzianie na ustach górników w głębi kopalni soli w Wieliczce pod Krakowem. W ciemnych pieczarach, wyżłobionych w blokach soli kamiennej, tłum bladych twarzy, wychudłych wskutek głodu i udręki, ukazał mi się w dymnym świetle pochodni niby tłum widm. Stałem przed kościołkiem wykutym w soli: mała kaplica barokowa wykuta kilofem i dłutem pod koniec siedemnastego wieku przez wielickich górników. Posągi Chrystusa, Dziewicy i świętych - wszystko wyrzeźbione było w soli. Jak posągi z soli wyglądali też i górnicy, klęczący przed ołtarzem z bloków solnych bądź też stojący w progu ze skórzanymi czapkami w ręku. Patrzeli na mnie w milczeniu i uśmiechali się przez łzy.

- W klasztorze częstochowskim - podjął Frank nie dając mi czasu na odpowiedź - słyszał pan huczenie bębnow i dźwięki srebrnych trąb i z pewnością wydawało się panu także, że to głos Polski. Ale nie, Polska jest niema, bezwładna i niema jak trup. Niezmierzona, lodowata cisza Polski silniejsza jest od naszych głosów, naszych krzyków, wystrzałów naszych karabinów. Na nic się nie zda walczyć z polskim narodem. To tak, jakby się walczyło z trupem. A jednak czujesz, że krew pulsuje w jego żyłach, że ukryta myśl nurtuje jego mózg, że w piersi tłucze mu się nienawiść, że on jest od ciebie silniejszy, silniejszy. Jest to walka z żywym trupem. Tak, z żywym trupem. Cha, cha, cha, mein lieber Schmeling, czy walczył pan kiedyś z trupem?

- Nie, nigdy - powiedział Schmeling zaskoczony, przyglądając się uważnie Frankowi.

- A pan, Herr Malaparte?

Nie, nigdy nie walczyłem z trupem - odparłem - ale byłem świadkiem walki między ludźmi żywymi a umarłymi.

- Niemożliwe! - wykrzyknął Frank. - Gdzież to było? Wszyscy spojrzeli na mnie zaintrygowani.

- W Podul-Iloaei - odpowiedziałem.

- Podul-Iloaei? Gdzież to jest?

Podul-Iloaei znajduje się w Rumunii, na granicy Besarabii. Miasteczko odległe o jakie dwadzieścia mil od Jass, w Mołdawii. Ilekroć usłyszę gwizd lokomotywy w biały dzień, muszę pomyśleć o Podul-Iloaei. Zakurzone miasteczko w pełnej kurzu dolinie, pod błękitnym niebem, przesłoniętym białymi obłokami pyłu. Dolina jest wąska, zamknięta pomiędzy jasnymi, niskimi, pozbawionymi drzew wzgórzami. Gdzeniegdzie tylko kępa akacji, parę krzaków winorośli, chude poletko zboża.

Wiał ciepły wiatr, szorstki jak język kota. Zboże było już zżęte, ścierniska lśniły żółto w lepkim, ocieżałym słońcu. Obłoki kurzu wzbijały się nad doliną. Był koniec czerwca 1941, kilka dni po pogromie w Jassach. Jechałem do Podul-Iloaei razem z konsulem włoskim w Jassach, Sartorim, którego powszechnie zwano markizem, i z Linem Pellegrinim, dzielnym młodzieńcem, „durnym faszystą”, który przyjechał z Włoch do Jass z młodą żoną na miodowy miesiąc i wysyłał do gazet Mussoliniego artykuły pełne entuzjazmu dla marszałka Antonescu, „krwawego psa”, dla Mihai Antonescu i wszystkich ich krwawych pachotków wiodących naród rumuński do ruiny. Był to najprzystojniejszy chłopak pod mołdawskim słońcem od Alp Transylwańskich po ujście Dunaju. Kobiety wariowały na jego punkcie, wychylały się z okien, wybiegały przed drzwi sklepów, kiedy przechodził i wzdychały mówiąc:

- Ach, frumos! Frumos! Piękny! piękny!

Ale był „durnym faszystą”, a poza tym, rozumie się, byłem odrobinę o niego zazdrosny, wolałbym, żeby był choć trochę brzydszy i nie aż taki faszysta, i pogardałem nim w głębi duszy aż do dnia, kiedy zobaczyłem, jak stanął przed szefem policji w Jassach i nazwał go prosto w oczy podłym mordercą. Przyjechał spędzić miodowy miesiąc w Jassach pod bombami radzieckich samolotów i całe noce siedział razem z żoną w schronie wykopanym pomiędzy grobami starego opuszczonego cmentarza. Markiz Sartori był flegmatycznym neapolitańczykiem, człowiekiem łagodnym i leniwym, ale w noc wielkiego pogromu w Jassach po stokroć narażał życie, by wyrzeć setkę nieszczęsnych Żydów z żandarmskich łap. Otóż teraz jechaliśmy wszyscy trzej do Podul-Iloaei w poszukiwaniu właściciela willi, w której mieścił się konsul w Jassach: był to Żyd adwokat, porządny człowiek, którego żandarmi ciężko poranili tłukąc kolbami karabinów w ogrodzie konsulatu, a potem zabrali na pół żywego, prawdopodobnie po to, by go wykończyć gdzie indziej i nie zostawić dowodu rzeczowego zbrodni popełnionej na terenie włoskiego konsulatu.

Było gorąco, wóz posuwał się powoli drogą pełną głębokich wybojów. Cierpiałem na katar sienny i nieustannie kichałem. Chmary much towarzyszyły nam w drodze brzęcząc jak wściekłe. Sartori oganiał się od nich chustką, twarz miał mokrą od potu.

- Co za głupota! - mówił. - W taki upał zabierać się do szukania trupa, kiedy tysiące trupów zalegają Mołdawię! Toż to szukanie igły w stogu siana!

- Sartori, na miły Bóg, niech pan nic nie mówi o sianie! - prosiłem kichając.

- O Jezu, Jezu! - biadał Sartori - wciąż zapominam o pańskim katarze. - I przyglądał się ze współczuciem mojej obrzmiałej twarzy, purpurowemu nosowi, czerwonym, opuchniętym powiekom

- Pan przecież to lubi, wędrować w poszukiwaniu trupów - droczyłem się z nim - niech pan przyzna, że pan to lubi, drogi Sartori. Pan jest neapolitańczykiem, a neapolitańczycy pasjami lubią trupy,



pogrzeby, żałoby, cmentarze. Lubicie grzebać zmarłych. Nieprawdaż, Sartori, ma pan słabość do trupów?

- Proszę sobie ze mnie nie drwić, Malaparte. Chętnie zrezygnowałbym z szukania zwłok przy tym upale. Ale obiecałem żonie i córce tego nieszczęśnika i muszę obietnicy dotrzymać. Biedaczki mają jeszcze nadzieję, że on żyje. A pan jak sądzi, Malaparte, czy on żyje?

- Jakże miałyby żyć, skoro pozwolił go pan zatłuc, nawet nie protestując? Teraz rozumiem, dlaczego pan jest taki spasiony jak rzeźnik. Ech, piękne rzeczy dzieją się w Królewskim Konsulacie Italii w Jassach!

- Malaparte, gdyby Mussolini był człowiekiem sprawiedliwym, po całej tej historii powinien by mianować mnie ambasadorem.

- Zrobi pana ministrem Spraw Zagranicznych. Mógłbym się założyć, że tego trupa ukrył pan u siebie pod łóżkiem. Niech się pan przyzna, Sartori, lubi pan spać z trupem pod łóżkiem?

- O, Jezu, Jezu! - wzdychał Sartori ocierając twarz chustką.

Już od trzech dni szukaliśmy wciąż zwłok tego nieszczęśnika.

Poprzedniego wieczoru udaliśmy się do samego szefa policji, by wy badać, czy przypadkiem mordercy nie oszczędzili swojej ofiary, w ostatnim momencie wtrącając ją do więzienia. Szef policji przyjął nas uprzejmie. Miał obwisłą, żółtą twarz i czarne kosmate oczy o zielonych refleksach w cieniu krzaczastych brwi. Zauważyłem ze zdumieniem, że włoski rosnęły mu nawet na wewnętrznej krawędzi powiek; nie były to już rzęsy, ale wręcz futerko miękkie i gęste, szarej barwy.

- Byli panowie w szpitalu Świętego Spirydiona? Może on jest tam - rzekł w pewnej chwili szef policji przymykając oczy.

- Nie, w szpitalu go nie ma - odpowiedział Sartori swoim spokojnym głosem.

- A czy jest pan pewien - mówił szef policji patrząc na Sartoriego kąciakiem oka, które łyskało czarno i zielono poprzez frędzle szarego futerka - czy jest pan pewien, że stało się to na terenie konsulatu? I że to byli moi - żandarmi?

- Czy zechce mi pan pomóc odnaleźć przynajmniej zwłoki? - zapytał Sartori z uśmiechem.

- Podobno - powiedział szef policji zapalając papierosa - z okien konsulatu włoskiego oddano kilka strzałów do patrolu żandarmerii przechodzącego ulicą.

- Z pańską pomocą odszukam zwłoki bez trudu - mówił Sartori nie przestając się uśmiechać.

- Nie mam doprawdy czasu zajmować się zwłokami - powiedział szef policji z przeproszającym uśmiechem - mam aż za dużo roboty z żywymi.

- Na szczęście - rzekł Sartori - liczba żywych szybko się zmniejsza i wkrótce będzie pan już mógł trochę odpocząć.

- Bardzo by mi się to przydało - westchnął szef policji wznosząc oczy ku niebu.

- Czemuż nie mielibyśmy ułożyć się między sobą i podzielić robotą? - zaproponował Sartori łagodnie. - Podczas gdy pan będzie się zajmował tropieniem i aresztowaniem morderców, którzy niewątpliwie są jeszcze przy życiu, ja zajmę się odszukaniem zwłok ofiary. Co pan na to?

- Jeśli pan nie dostarczy mi tu zwłok tego pana i nie udowodni, że został zamordowany, jakże mam szukać morderców?

- Bez wątpienia ma pan rację - zgodził się z uśmiechem Sartori. - Dostarczę panu zwłoki. Dostarczę panu trupa tu, do pańskiego gabinetu, razem z pozostałymi siedmioma tysiącami trupów; a potem pomoże mi go pan wyszukać w tym stosie. Zgoda?

Mówił powoli, z uśmiechem, ze swoją niewzruszoną flegmą. Ale ja znam neapolitańczyków, wiem, jacy oni są, i wiedziałem, że Sartori trzęsie się wewnątrznie z gniewu i oburzenia.

- Zgoda - odpowiedział szef policji.

Wówczas Pellegrini, „durny faszysta”, wstał i zaciskając pięści powiedział do szefa policji:

- Pan jest pospolitym mordercą i łajdakiem.

Spojrzałem zdumiony, po raz pierwszy patrzyłem na niego bez zazdrości. Był naprawdę bardzo piękny: wysoki, atletycznej budowy, z bladą twarzą o drgających nozdrzach i płomiennych oczach. Potrząsnął gniewnie głową i czarne falujące włosy opadły mu na czoło. Patrzyłem na niego z uczuciem głębokiego szacunku. Był „durnym faszystą”, ale w noc pogromu w Jassach wielokroć ryzykował własną skórą, żeby ocalić życie biednych Żydów, a teraz (wystarczyłoby przecież jedno skinienie szefa policji, żeby sprzątnąć go tego jeszcze wieczoru na pierwszym lepszym rogu ulicy) ryzykował życie raz jeszcze, i to dla jednego martwego Żyda.

Szef policji podniósł się także i patrzył na niego swoimi kosmatymi oczyma. Najchętniej strzeliłby mu w brzuch, chętnie zastrzeliłby nas wszystkich kolejno, Sartoriego, Pellegriniego i mnie, ale nie śmiał, nie byliśmy przecież Rumunami, nie byliśmy trzema biednymi Żydami z Jass. Bał się zemsty Mussoliniego. Nie wiedział, że gdyby nas pozabijał, Mussolini nawet by nie zaprotestował. Mussolini nie życzył sobie kłopotów. Czyżby szef policji nie wiedział, że Mussolini bał się wszystkich, że nawet jego się boi? (I roześmiałem się na myśl, że szef policji w Jassach boi się Mussoliniego.)

- Z czego się pan śmieje? - zapytał nagle szef policji obracając się ku mnie gwałtownym ruchem.

- Czego chce ode mnie ten pan? - zwróciłem się do Pellegriniego. - Chce wiedzieć, z czego się śmieję?

- Tak - odparł Pellegrini - chce wiedzieć, z czego się śmiejesz.

- Z niego. Nie wolno mi może śmiać się z niego?

- Nie jest to z pewnością zabronione - rzekł Pellegrini - ale rozumiem, że mu to nie sprawia przyjemności

- Z pewnością mu jej nie sprawia - zgodziłem się.

- Naprawdę śmieje się pan z niego? - zapytał Sartori łagodnie. - Proszę mi wybaczyć, Malaparte, ale wydaje mi się, że pan nie ma racji. Ten pan jest wzorem dżentelmena i należy go traktować, jak na to zasługuje.

Wstaliśmy spokojnie z krzesel i wyszli. Ale zaraz za progiem Sartori zatrzymał się, mówiąc:

- Zapomnieliśmy się z nim pożegnać. Może wrócimy?

- E, nie - powiedziałem. - Idźmy lepiej do komendanta żandarmerii.

Komendant żandarmerii poczęstował nas papierosami, wysłuchał uprzejmie i powiedział:

- Pojechał pewnie do Podul-Iloaei.

- Do Podul-Iloaei? - rzekł Sartori. - A po co?

W dwa dni po masakrze pociąg pełen Żydów wyruszył do Podul-Iloaei, miasteczka odległego od Jass o jakie dwadzieścia mil, gdzie szef policji postanowił założyć obóz koncentracyjny. Pociąg wyruszył przed trzema dniami, od dawna musiał już przybyć na miejsce.

- Jedziemy do Podul-Iloaei - zdecydował Sartori.

Nazajutrz rano wyruszyliśmy samochodem w kierunku Podul-Iloaei. Zatrzymaliśmy się przy małej stacyjce, zagubionej wśród piaszczystych pól, żeby zapytać o pociąg. Kilku żołnierzy, siedzących w cieniu wagonu porzuconego na ślepy torze, powiedziało nam, że pociąg złożony z około dziesięciu bydłowych wagonów przeszedł tamtędy przed dwoma dniami i przez całą noc stał na tej stacyjce. Zamknięci w zaplombowanych wagonach nieszczęśnicy krzyčeli i jęčzeli, prosili żołnierzy z eskorty, żeby usunęli deski, którymi zabite były okienka. W każdym wagonie stłoczonych było około dwustu Żydów. Wąskie okienka, zabezpieczone metalową siatką i umieszczone wysoko pod sufitem bydłowych wagonów, zabito na dodatek drewnianymi deskami, tak że nieszczęśliwe ofiary nie miały czym, oddychać. O świcie pociąg ruszył dalej do Podul-Iloaei.

- Może go dogonicie jeszcze, zanim tam dojedzie - mówili żołnierze.

Tor kolejowy biegnie dnem doliny, równoległe do szosy. Byliśmy już w pobliżu Podul-Iloaei, kiedy z daleka, nad piaszczystymi polami, doszedł nas przeciągły gwizd. Popatrzyliśmy na siebie pobladli, jak gdybyśmy wiedzieli już, co ten gwizd oznacza.

- Co za upał! - westchnął Sartori ocierając twarz chustką. Ale zaraz, widziałem to, pożałował i zawstydził się swego westchnienia na myśl o tamtych nieszczęśliwych, stłoczonych w bydłowych wagonach: dwieście osób w każdym wagonie, bez powietrza, bez wody. Ten daleki gwizd zabrzmiał jakoś upiornie w zapyłonej, pustej przestrzeni, w palącym blasku słońca. Niebawem zobaczyliśmy pociąg. Stał pod sygnałem i gwizdał. Potem ruszył powoli, a my posuwaliśmy się szosą jednocześnie z nim. Patrzyliśmy na bydłowe wagony, na zabite deskami okienka. Pociąg zużył na przebycie dwudziestu mil trzy dni: musiał dawać pierwszeństwo konwojom wojskowym, a zresztą nie było po co się spieszyć. Choćby nawet stanął w Podul-Iloaei po trzymiesięcznej podróży, byłby zawsze jeszcze na czas.

Wreszcie dojechaliśmy do Podul-Iloaei. Pociąg zatrzymał się na ślepych torze, tuż za stacją. Upał był obezwładniający, zbliżało się południe, personel stacji poszedł na śniadanie. Maszynista, palacz i żołnierze z eskorty wyszli z pociągu i pokładli się obok toru w cieniu wagonów.

- Otwórzcie natychmiast wagony - rozkazałem żołnierzom.

- Nie możemy, domnule capitan.

- Otwórzcie natychmiast wagony! - krzyknąłem ostro.

- Nie możemy, wagony są zaplombowane - powiedział maszynista. - Trzeba by sprowadzić naczelnika stacji.

Naczelnika zastaliśmy przy stole. Z początku nie chciał przerwać sobie śniadania, ale dowiedziawszy się, że Sartori jest konsulem włoskim, a ja włoskim domnule capitan, wstał od stołu i podreptał za nami z parą wielkich szczypców w ręku. Żołnierze wzięli się zaraz do roboty usiłując otworzyć drzwi pierwszego wagonu. Ale drzwi z drzewa i żelaza stawiały opór, zdawało się, że dziesięć, a może i sto ramion przytrzymuje je od środka, że więźniowie starają się przeszkodzić otwarciu drzwi.

- Hej, wy tam w środku, popchnijcie także! - zawołał naczelnik. Nikt nie odpowiadał. Spróbowaliśmy wszyscy razem. Sartori stał obok wagonu ocierając spoconą twarz. Nagle drzwi ustąpiły, wagon się otworzył.

Wagon się otworzył i tłum więźniów rzucił się na Sartoriego, przewrócił na ziemię i przywalił całą górą ciał. To zmarli uciekali z wagonu. Padali ciężko, zbici w ciasne grupki, z głuchym stukiem, jak cementowe figury. Pogrzebany pod trupami, przygnieciony ich zimnym, ogromnym ciężarem, Sartori miotał się, wił, usiłował się uwolnić spod okropnego, martwego, zimnem przejmującego balastu; ale zniknął zupełnie pod nawałą trupów, jak pod kamienną lawiną. Umarli są źli, uparci, okrutni. Umarli są głupi. Kapryśni, próżni jak dzieci albo jak kobiety. Umarli są szaleni. Biada żywemu, którego nienawidzi umarli. Biada mu, jeżeli się w nim zakocha. Biada żywemu, który umarłego znieważy, zrani jego miłość własną, obrazi jego honor. Umarli są zazdrośni i mściwi. Nie boją się nikogo i niczego, razów ani ran, ani przeważającej liczby wrogów. Nie boją się nawet śmierci. Walczą zębami i pazurami, w milczeniu, nie cofają się ani o krok, nie puszczają zdobyczy, nie uciekają nigdy. Walczą aż do końca, z zimną, upartą odwagą. Roześmiani albo skrzywieni drwiąco, bladzi i niemi, z wytrzeszczonymi, przewróconymi oczyma, tymi swoimi oczyma szaleńców. A kiedy leżą pokonani, pogodzeni z klęską i upokorzeniem, kiedy uznają się za zwyciężonych, zaczynają wydawać słodkawą, tłustą woń i powoli poddają się rozkładowi.

Jedni rzucali się na Sartoriego całym ciężarem, chcąc go zmiażdżyć, inni padali bezwładni, sztywni i zimni, jeszcze inni uderzali go głową w pierś, poszturchiwali łokciami i kolanami. Sartori chwycił ich za włosy, za ubranie, ścisnął za ramiona, odpychał chwytając za gardło, walił w twarze zaciśniętymi pięściami. Była to dzika, milcząca walka. Wszyscy rzuciliśmy się Sartoriemu na pomoc, daremnie starając się go uwolnić spod straszliwej lawiny trupów; wreszcie po wielu wysiłkach udało nam się wyciągnąć go spod stosu. Sartori podźwignął się, stanął, ubranie miał w strzępach, oczy nabrzmiałe, z policzka ciekła mu krew. Był bardzo blady, ale spokojny. Powiedział tylko: „Zobaczcie, czy jest tam jeszcze ktoś żywy. Ktoś mnie ugryzł w policzek”.

Żołnierze weszli do wagonu i zaczęli wyrzucać trupy, jednego po drugim. Było ich sto siedemdziesiąt dziewięć, udużonych. Wszyscy zmarli mieli obrzmiałe głowy, sinoniebieskie twarze. Nadszedł oddział niemieckich żołnierzy, za nimi nieduża gromadka miejscowej ludności. Pomogli otworzyć resztę wagonów, wyrzucać zwłoki i układać je równym rzędem wzdłuż kolejowego nasypu. Przyszła również grupka miejscowych Żydów z rabinem na czele; dowiedzieli się o obecności konsula włoskiego i dodało im to odwagi. Byli bladzi, ale spokojni, nie płakali, mówili pewnym głosem. Wszyscy mieli w Jassach krewnych albo przyjaciół, każdy lękał się o życie kogoś bliskiego. Ubrani byli czarno, na głowach mieli dziwaczne sztywne pilśniowe kapelusze. Rabin i pięciu czy sześciu innych, należących do rady administracyjnej Banku Rolnego w Podul-Iloaei, skłonili się głęboko przed Sartorim.

- Gorąco - powiedział rabin ocierając spoconą twarz wierzchem dłoni.

- O, tak, bardzo gorąco - powtórzył Sartori przyciskając chustkę do czoła.

Muchy brzęczały natrętnie. Trupów ułożonych wzdłuż kolejowego nasypu było koło dwóch tysięcy. Dwa tysiące trupów leżących rzędem w słońcu, to dużo. Zbyt dużo. Znalaziono ściśnięte między kolanami matki paromiesięczne dziecko, jeszcze żywe. Było zemdlone, ale oddychało. Miało złamaną rączkę. Matce udało się utrzymać je przez całe trzy dni z buzią przyciśniętą do szpary w drzwiach. Broniła się dziko przed tłumem konających, którzy chcieli ją stamtąd odepchnąć. Umarła zaduszona w strasliwym ścisku. Dziecko zostało jak pogrzebane pod martwym ciałem matki, ściśnięte między jej kolanami, wsysając wargami nikłą strużkę powietrza.

- Żywe - mówił Sartori dziwnym, nieswoim głosem - żywe, żywe...

Patrzyłem ze wzruszeniem na tego pocziwego, tłustego i łagodnego neapolitańczyka, który w końcu zatracił swoją flegmę, a sprawiły to nie tyle owe setki trupów, ile jedno żywe dziecko, jedno dziecko jeszcze żywe.

Po paru godzinach, już pod wieczór, żołnierze wyciągnęli z głębi bydłowego wagonu i zrzucili w dół na nasyp trupa z głową owiniętą w skrwawioną chustkę. Był to właściciel willi, gdzie mieścił się konsulat włoski w Jassach. Sartori patrzył na niego długo w milczeniu, dotknął ręką jego czoła, potem odwrócił się do rabina:

- To był szlachetny człowiek - powiedział.

Nagle usłyszeliśmy odgłosy kłótni i bójki. Zbiegła się gromada chłopów i Cyganów i zaczęła obdzierać trupy. Sartori zachnął się, ale rabin położył mu dłoń na ramieniu.

- To na nic - powiedział. - Taki jest zwyczaj.

I dodał cicho, ze smutnym uśmiechem:

- Jutro przyjdą do nas sprzedawać odzież zrabowaną zmarłym, a my będziemy musieli wszystko kupować. Cóż innego moglibyśmy zrobić?

Sartori milczał patrząc, jak obdziera się zwłoki nieszczęśliwych ofiar. Wydawało się, że zmarli bronią się ze wszystkich sił przed zadawanym przez rabusiów gwałtem. Ci zaś, ociekający potem, wrzeszczący i klnący, tarbosili odporne ramiona, siłą zginali sztywne łokcie i twarde kolana, ściągali marynarki, spodnie i bieliznę. Najwytrwalsze w tym beznadziejnym oporze były kobiety. Nigdy bym

nie uwierzył, że tak trudno jest zderzyć koszulę z martwej dziewczyny. Jak gdyby w tych umarłych ciałach przetrwała jeszcze dziewczęca wstydlivość dając im siły do obrony. Niektóre unosiły się na łokciach przysuwając białe twarze do ponurych, spoconych twarzy profanatorów i wpatrywały się w nie nieruchomym spojrzeniem szeroko rozwartych oczu. A potem opadały nagle na ziemię z głuchym łoskotem.

- Musimy jechać, już późno - odezwał się Sartori spokojnym już głosem i zwracając się do rabina poprosił o sporządzenie mu aktu zgonu „szlachetnego człowieka”. Rabin skłonił się i wszyscy ruszyliśmy pieszo do miasteczka. W biurze dyrektora Banku Rolnego upaść był trudny do zniesienia. Rabin kazał przynieść rejestry synagogi, wypisał akt zgonu i wręczył dokument Sartoriemu, który złożył go starannie i schował do portfela. Gdzieś daleko Rozległ się gwizd lokomotywy. Duża niebieska mucha brzęczała wokół kałamarza.

- Przykro mi bardzo, że muszę już jechać - powiedział Sartori. - Ale powinienem koniecznie być z powrotem w Jassach przed wieczorem.

- Bardzo proszę zaczekać chwileczkę - odezwał się po włosku jeden z członków rady administracyjnej Banku Rolnego. Był to nieduży, otyły Żyd z bródką à la Napoleon III. Otworzył szafkę, wyjął butelkę wermutu i nalał do kieliszków. Zaznaczył przy tym, że wermut jest z Turynu, prawdziwy cinzano, po czym zaczął opowiadać po włosku, że był wiele razy w Wenecji, Florencji i Rzymie, a jego dwaj synowie studiowali medycynę we Włoszech, na uniwersytecie w Padwie.

- Miło by mi było poznać - rzekł Sartori uprzejmie.

- Nie żyją - odpowiedział Żyd. - Zginęli w Jassach, tamtej nocy. - Westchnął i dodał: - Tak bym chciał wrócić jeszcze kiedyś do Padwy i choć popatrzeć na uniwersytet, w którym uczyli się moi chłopcy.

Siedzieliśmy długą chwilę milcząc, w pokoju pełnym much. Wreszcie Sartori wstał i wyszliśmy wszyscy nie przerywając milczenia. Kiedy wsiadaliśmy do samochodu, ten z bródką à la Napoleon III dotknął ręką ramienia Sartoriego i powiedział pokornym, cichym głosem:

- I pomyśleć, że ja umiem na pamięć całą „Boską Komedie”! - a potem zaczął deklamować:

Nel mezzo del cammin di nostra vita...

Samochód ruszył i grupka czarno ubranych Żydów znikła w obłoku kurzu.

- Ja, es ist ein Volk ohne Kultur - odezwał się Fischer potrząsając głową.

- Myli się pan - powiedziałem - Rumuni są wielkodusznym i sympatycznym narodem. Bardzo lubię Rumunów, są odważni, dali dowody szlachetnego poczucia obowiązku i szczerze przelewali krew za swojego Chrystusa i swojego króla. To prosty naród, naród chłopów może szorstkich, ale dobrodusznym. Nie ich to wina, że klasy społeczne, rodziny i jednostki, które powinny by im świecić przykładem, mają zmurszałe dusze, zmurszałe umysły i zmurszałe kości. Lud rumuński nie jest odpowiedzialny za masakry Żydów. Pogromy, w Rumunii, jak i gdzie indziej, organizowane są i rozpętywane na rozkaz, a przynajmniej za zgodą władz państwowych. Nie lud jest winien, że zwłoki

Żydów, poćwiartowane i wbite na haki jak ćwiartki cielęciny, przez wiele dni wisały u bukareszteńskich rzeźników wzbudzając wesołość członków Żelaznej Gwardii.

- Rozumiem i podzielam pańskie uczucie buntu - powiedział Frank. - W Polsce, Bogu dzięki, a trochę także dzięki mnie, nie miał pan i nigdy nie będzie miał pan okazji oglądania podobnych okropności. Nie, mein lieber Malaparte, w Polsce, w Polsce niemieckiej, nie będzie pan miał z pewnością okazji ani pretekstu do manifestacji szlachetnych uczuć oburzenia i litości

- No, nie poszedłbym na pewno ze skargą do pana. Byłaby to wielka nierozwaga. W najlepszym razie kazałby mnie pan zamknąć w obozie koncentracyjnym.

- A Mussolini nawet by nie protestował.

- Nie. Nawet by nie protestował. Mussolini nie lubi kłopotów.

- Pan wie - rzekł Frank z emfazą - że jestem sprawiedliwy i lojalny i nie brak mi też poczucia humoru. Niech pan przychodzi do mnie bez obawy, ilekroć będzie pan miał coś słusznego i lojalnego do zakomunikowania. Tu jest Warszawa, a nie Jassy, i ja nie jestem szefem policji w Jassach. Czyżby pan zapomniał o naszym układzie? Pamięta pan, co panu powiedziałem, kiedy pan przyjechał do Polski?

- Uprzedził mnie pan, że będę pozostawał pod ścisłym nadzorem gestapo, ale że będę miał prawo myśleć i postępować jak człowiek wolny. Zapewnił mnie pan, że będę mógł swobodnie wypowiadać wobec pana swoje myśli, a pan będzie tak samo postępować w stosunku do mnie. I że z absolutną lojalnością będzie pan przestrzegał reguł krykieta.

- Nasz pakt istnieje nadal - rzekł Frank. - Czyż nie przestrzegałem zawsze ściśle reguł gry? Aby dać panu nowy dowód mojej lojalności, powiem panu, że Himmler panu nie ufa. Wystąpiłem w pana obronie. Powiedziałem mu, że jest pan nie tylko człowiekiem lojalnym, ale również człowiekiem wolnym; że we Włoszech cierpiał pan więzienie i prześladowania z powodu swoich książek, swojej wolności ducha i nierozwagi istnego enfant terrible, bynajmniej zaś nie dlatego, aby był pan człowiekiem nielojalnym. Powiedziałem mu też, na dowód słuszności mojego sądu o panu, że w przejeździe przez Szwecję, za każdym razem, kiedy się pan udaje na front w Finlandii, mógłby pan bardzo łatwo pozostać w tym neutralnym kraju jako emigrant polityczny i nikt by panu w tym nie przeszkodził; pan jednak tego nie robi, gdyż jest korespondentem wojennym, nosi mundur włoskiego oficera i honor nie pozwala panu zdezerterować. Dodałem jeszcze, że pańskie książki wydaje się w Anglii, Francji i Ameryce, że jest pan zatem pisarzem zasługującym na względy i powinniśmy w tym wypadku okazać, że niemiecka Polska jest krajem równie wolnym, jak Szwecja. A chcąc być z panem już zupełnie szczerym, powiem panu i to, że na wszelki wypadek poradziłem Himmlerowi, aby kazał pana zrewidować, kiedy pan będzie opuszczał terytorium Polski. Powinienem być może przestrzec pana, że zamierzam udzielić Himmlerowi takiej rady, zamiast rzeczywiście mu jej udzielić. W każdym razie teraz panu o tym mówię. Lepiej późno niż wcale. To także krykieta, nicht wahr?

- Prawie krykieta - odpowiedziałem z uśmiechem - ale należało raczej doradzić Himmlerowi wcześniej; powinien był nakazać tę rewizję przy moim wjeździe na terytorium Polski. Pragnąc się panu zrewanżować jeszcze jednym dowodem lojalności, powiem, jak spędziłem czas pobytu Himmlera w Warszawie. - I opowiadałem wszystko o listach, paczkach żywnościowych i pieniądzech, które polscy

uchodźcy we Włoszech przesłali za moim pośrednictwem swoim krewnym i przyjaciołom w Warszawie.

- Ach, so! Ach, so! - wykrzyknął Frank zanosząc się od śmiechu. - Pod samym nosem Himmlera! Ach, wunderbar! Pod samym nosem Himmlera!

- Wunderbar! Ach, wunderbar! - wtórowali mu wszyscy śmiejąc się hałaśliwie.

- Myśle - powiedziałem - że to piękna partia krykieta.

- O, tak, to prawdziwy krykiet! - wykrzyknął Frank. - Brawo, Malaparte! - I wznosząc kielich, rzekł: - Prosit!

- Prosit - odpowiedziałem unosząc także kielich.

I wypiliśmy po niemiecku, jednym haustem.

Na koniec wstaliśmy od stołu i Frau Brigitte Frank poprowadziła nas do sąsiedniego pokoju (okrągły pokój z dwójgiem dużych oszklonych drzwi wychodzących na park), który niegdyś był sypialnią marszałka Piłsudskiego. Za oknami po nagich gałęziach drzew uwijały się małe szare ptaszki; posągi Apollina i Diany na skrzyżowaniu alejek otulone były śniegiem, tu i ówdzie w parku chodziły warty z karabinem przez ramię; odbłask śniegu kładł się łagodnie na ściany, meble i grube dywany.

- W tym pokoju - powiedział Frank - w tym samym fotelu, gdzie siedzi w tej chwili Schmeling, umarł marszałek Piłsudski. Zarządziłem, żeby niczego tu nie ruszano, żeby wszystko zostało tak, jak było, na swoim miejscu. Kazałem tylko wynieść łóżko. - I dodał: - Pamięć marszałka Piłsudskiego zasługuje na nasz pełny szacunek.

Umarł na tym fotelu pomiędzy dwójgiem oszklonych drzwi, patrząc na drzewa parku. Szeroką wnękę w ścianie naprzeciw szklanych drzwi wypełniała teraz kanapa, na której siedzieli Frau Fischer i Generalgouverneur. Łóżko marszałka Piłsudskiego stało niegdyś w tej niszy, na miejscu kanapy. Stojąc obok fotela, na którym umarł, a gdzie teraz siedział bokser Max Schmeling, stary marszałek o bladej twarzy poznaczonej niebieskimi żyłami, o zwisających ku dołowi wąsach à la Sobieski, o wyniosłym czole z jeżącą się nad nim krótką, ostrą szczotką włosów, czekał, aż Max Schmeling wstanie i ustąpi mu miejsca.

Frank głośno rozprawiał z Maxem Schmelingiem o sporcie i jego czempionach.

Było gorąco, pachniało tytoniem i koniakiem.

Czułem, że ogarnia mnie odrętwienie; słyszałem głosy Franka i Frau Wächter, widziałem, jak Schmeling i gubernator Fischer podnoszą do ust czareczki z koniakiem, a Frau Fischer mówi coś z uśmiechem do Frau Brigitte, ale powoli pogrążałem się w jakąś ciepłą mgłę, tłumiącą głosy i przesłaniającą twarze. Zmęczyły mnie już te głosy i te twarze, dość miałem pobytu w Polsce, za kilka dni musiałem wyruszyć na front pod Smoleńskiem - to także był krykiet, ach, to także był krykiet.

W pewnej chwili wydało mi się, że Frank zwraca się do mnie proponując spędzenie kilku dni w górach, w Zakopanem, słynnym polskim uzdrowisku zimowym u podnóża Tatr.



- Nawet Lenin na krótko przed wojną, w czternastym roku, przebywał przez kilka miesięcy w Zakopanem - mówił Frank ze śmiechem. Odpowiedziałem, a raczej zdawało mi się, że odpowiadam, iż niestety nie mogę, bo muszę jechać na front pod Smoleńskiem, nagle jednak usłyszałem własny głos mówiący: - Czemu nie? Pięć czy sześć dni w Zakopanem spędziłbym bardzo chętnie. - Po chwili Frank wstał, wszyscy więc wstaliśmy także, i Frank zaproponował przejażdżkę do getta.

Wyszliśmy z Belwederu. Wsiadłem do pierwszego wozu razem z Frau Fischer, Frau Wächter i Generalgouverneurem Frankiem; do drugiego wsiadła Frau Brigitte Frank, gubernator Fischer i Max Schmeling. Reszta gości jechała za nami w dwóch dalszych samochodach. Przejechaliśmy Aleje Ujazdowskie i Nowy Świat, skręciliśmy w Świętokrzyską, potem w Marszałkowską. U wejścia do „dzielnicy zamkniętej”, przed bramą o wysokim murze z czerwonej cegły, który Niemcy zbudowali dokoła getta, zatrzymaliśmy się i wysiedli.

- Niech pan popatrzy na ten mur - zwrócił się Frank do mnie. - Czy to rzeczywiście te groźne mury betonowe najeżone karabinami maszynowymi, o których tyle się pisze w angielskich i amerykańskich gazetach? - I dodał ze śmiechem: - Żydzi, biedaczyska, są wszyscy chorzy na płuca; ten mur osłania ich przynajmniej przed wiatrem.

W aroganckim tonie Franka dosłyszałem coś, co mi się wydało znajome: coś mętnego i ponurego, jakieś żałosne, upokorzone okrucieństwo.

- Okrutna niemoralność tego muru - odpowiedziałem - nie polega tylko na tym, że nie pozwala Żydom wychodzić z getta, ale i na tym, że nie przeszkadza im do niego wchodzić.

- A jednak - odparł ze śmiechem Frank - mimo że złamanie zakazu opuszczenia getta karane jest śmiercią, Żydzi wychodzą i wchodzą, kiedy im się podoba.

- Przełazą przez mur?

- O, nie. Wydostają się przez otwory podobne do szczurzych nor, które wygrzebują nocami, podkopując się pod mury, a na dzień maskują ziemią i śmieciem. Wślizgują się w te nory i wychodzą do miasta kupować żywność i odzież. Czarnorynkowy handel w getcie odbywa się w dużej mierze tą drogą. Od czasu do czasu któryś z tych szczurów wpada w pułapkę. Są to dzieci po osiem, dziesięć lat, nie więcej. Ryzykują życie w duchu prawdziwie sportowym. To także swego rodzaju krykiet, nicht wahr?

- Ryzykują życie? - wykrzyknąłem.

- W gruncie rzeczy - odparł Frank - nie mają nic więcej do stracenia.

- I pan to nazywa krykietem?

- Oczywiście. Każda gra ma swoje zasady.

- W Krakowie - rzekła Frau Wächter - mój mąż wzniósł dokoła getta mury w stylu orientalnym, z pięknymi łukami i blankami. Krakowscy Żydzi doprawdy nie mogą się skarżyć. Prawdziwie elegancki mur w guście hebrajskim.

Wszyscy roześmieli się przytupując na zmarzniętym śniegu.

- Ruhe, cisza - odezwał się szeptem żołnierz zaczajony z karabinem o parę kroków od nas, za kupą zgarniętego śniegu.

Mierzył uważnie w otwór wygrzebany pod samym murem. Drugi żołnierz, przykucnięty za nim, śledził cel ponad ramieniem kolegi, który nagle dał ognia. Kula uderzyła o mur na samej krawędzi otworu.

- Pudło! - wykrzyknął żołnierz pogodnie, repetując.

Frank zbliżył się do żołnierzy i spytał, do czego strzelają.

- Do szczura! - odpowiedzieli, głośno rechocząc.

- Do szczura? Ach, so! - rzekł Frank i przyklęknął patrząc przez ramię żołnierza.

My też podeszliśmy bliżej, panie śmiały się i piszczały unosząc spódnice, jak zwykły robić kobiety, kiedy mowa o szczurach czy myszach.

- Gdzie ten szczur? - zapytała Frau Brigitte Frank.

- Achtung! - rzekł żołnierz mierząc. Z nory wykopanej pod murem wyjrzała czarna zmierzwiona czupryna, potem wysunęły się dwie małe ręce i oparły o zaśnieżony brzeg dziury. Dziecko.

Padł strzał, ale i tym razem był chybiony. Dziecięca głowa znikła.

- Dawaj - rzekł Frank zniecierpliwionym głosem. - Nie potrafisz nawet trzymać karabinu w ręku. - Odebrał żołnierzowi broń i wycelował.

Cichymi płatkami padał śnieg.

## Część trzecia

### Psy

#### VIII. Noc zimowa

W witrynie kuśnierza-Tatara, pośród skórek nurków, gronostai, wiewiórek, lisów srebrnych, niebieskich i platynowych, leżała rozciągnięta skóra psa, dziwnie żalosna. Był to seter angielski, czarno-biały, o delikatnym, długim włosie. Oczy miał puste, uszy rozłożone szeroko, pyszczek rozplaszczony. Do ucha przyczepiony był kartonik i napisem: „Skórka setera angielskiego czystej rasy, marek fińskich 600”. Stanęliśmy przed witryną. Patrzyłem z uczuciem grozy.

- Nie widziałeś nigdy rękawic z psiego futra? Miał takie pułkownik Lukander, ten fiński pułkownik, którego spotkaliśmy na froncie pod Leningradem - powiedział hrabia Agustin de Foxá, minister pełnomocny Hiszpanii w Helsinkach. - Chętnie kupiłbym sobie takie rękawice i zabrał do Madrytu. Mówiłbym wszystkim, że to z psiego futra. Rękawiczki ze spaniela są gładkie i miękkie, z wyżła twardsze. Na dni słotne przydałyby się rękawiczki z ruff-terriera. Tutaj nawet kobiety noszą torebki

i mufki z psa. - De Foxá śmiał się patrząc na mnie spod oka. - Psie futro - powiedział - harmonizuje z kobiecą urodą.

- Psy to szlachetne zwierzęta - odezwałem się.

Było to w ostatnich dniach marca 1942 roku. Szliśmy jedną z przecznic Esplanady, potem przecięliśmy Esplanadę koło Savoyu i skierowaliśmy się w stronę placu Targowego koło portu, tam, gdzie wznoszą się, jeden obok drugiego, neoklasycyzy pałacyk poselstwa Szwecji i pałac Prezydenta Republiki Fińskiej. Mróz był straszliwy, szło się jak po ostrzach brzytwy. Niedaleko za sklepem tatarskiego kuśnierza był skład trumien. Trumny, jedne białe lakierowane, inne lśniące czarne, z ogromnymi srebrnymi okuciami, jeszcze inne zrobione na mahoń, poustawiane były w sklepie w sposób jak najbardziej zachęcający. W oknie wystawowym błyszczała samotna, srebrna, mała trumienka dziecinna.

- J'adore ça<sup>18</sup> - powiedział de Foxá przystając, by się przypatrzeć trumnom.

De Foxá jest okrutny i makabryczny jak każdy prawdziwy Hiszpan. Respekt żywi wyłącznie dla duszy: ciało, krew, wszelakie cierpienia nędznej i doczesnej powłoki, jej choroby czy rany - wszystko to jest mu zupełnie obojętne. Lubi mówić o śmierci, widok konduktu pogrzebowego cieszy go jak pochód karnawałowy, staje przed każdym sklepem z trumnami, delectuje się rozmową o kalectwach, potwornościach i wszelkich wybrykach natury. Boi się za to upiórów. Jest człowiekiem inteligentnym, kulturalnym i subtelnym - może nawet trochę zbyt subtelnym na to, żeby być prawdziwie inteligentnym. Dobrze zna Włochy, zna większość moich florenckich i rzymskich przyjaciół, podejrzewam nawet, że kiedyś kochaliśmy się obaj jednocześnie w tej samej kobiecie, nie wiedząc jeden o drugim. Spędził kilka lat w Rzymie jako sekretarz ambasady hiszpańskiej przy Kwirynale, dopóki nie wydalono go z Włoch za dowcipy, jakie lansował w klubie golfowym Acquasanta i w niektórych raportach przesyłanych Serranowi Suñer, na temat hrabiny Eddy Ciano. „Pomyśl tylko - powiedział mi kiedyś - mieszkałem w Rzymie od trzech lat i wcale nie wiedziałem, że hrabina Edda Ciano jest córką Mussoliniego”.

Szliśmy Esplanadą i Agustin de Foxá opowiadał mi, jak to pewnego wieczora wybrał się z kilkoma przyjaciółmi zobaczyć otwieranie grobów na starym cmentarzu Świętego Sebastiana w Madrycie. Był to rok 1933, Hiszpania była wówczas republiką. W związku z nowymi planami urbanistycznymi rząd republikański zarządził likwidację starego madryckiego cmentarza. Kiedy de Foxá i jego przyjaciele, młodzi pisarze madryccy, César Gonzales Ruano, Carlos Miralles, Agustin Vignola i Luis Escobar, przybyli na cmentarz, była już prawie noc, wiele grobów było już otwartych i opróżnionych. W odsłoniętych trumnach widać było szkielety - toreadorów w paradnych strojach, generałów w galowych mundurach, księży, bogatych mieszczan, młodych chłopaków i dziewczątka, damy i małe dzieci. Jednej młodej kobiecie, pochowanej z flakonikiem perfum zaciśniętym w dłoniach, poeta Luis Escobar poświęcił później liryczny wiersz. „Przepięknej damie, która zwała się Maria Concepción Elola” - brzmiała dedykacja. Agustin Vignola również napisał potem wiersz do marynarza, który umarł w Madrycie i został pogrzebany daleko od swoich mórz, na tym posępnym cmentarzu. De Foxá i jego kompani, cokolwiek podpici, poklękali przy trumnie marynarza odmawiając modlitwy za umarłych. Carlos Miralles położył na piersi szkieletu kartkę papieru, na której narysował ołówkiem łódź, rybę i fale morskie, po czym wszyscy się przeżegnali mówiąc: „W imię północy, południa, wschodu

---

<sup>18</sup> Uwielbiam to.

i zachodu”. Na grobie studenta nazwiskiem Novillo odczytali napis, na pół zatarty ze starości: „Bóg przerwał jego studia, by ukazać mu prawdę”. W trumnie bogato ozdobionej srebrem leżały zabalsamowane zwłoki młodego szlachcica francuskiego, hrabiego de la Martinière, który w roku 1830, po upadku Karola X, wyemigrował do Hiszpanii wraz z grupą francuskich legitymistów. César Gonzales Ruano skłonił się przed hrabią de la Martinière ze słowami: „Pozdrawiam cię, mężny francuski panie, wierny i oddany swemu prawowitemu królowi, i wznoszę w twoim imieniu okrzyk, którego już twoje wargi wydać nie mogą, okrzyk, od którego twoje kości zadrzą zapałem: «Niech żyje Król!»». Słyszac to, republikański milicjant, który znajdował się właśnie na cmentarzu, ujął Césara Gonzalesa Ruano za ramię i zaprowadził go do więzienia.

De Foxá opowiadał głośno, swoim zwyczajem zamaszycie gestykulując.

- Agustín - powiedziałem - mów ciszej, upiory mogą cię słyszeć.

- Upiory? - wyszeptał de Foxá blednac i rozejrzał się niespokojnie dokoła.

Domy, drzewa, posągi i ławki Esplanady zdawały się drzeć w zimnym, widmowym świetle, jakim odbłask śniegu przepaja wieczory na Północy. Kilku pijanych żołnierzy przekomarzało się z jakąś dziewczyną na rogu Mikonkatu. Żandarm przechadzał się tam i z powrotem po chodniku przed hotelem Kämp. Nad dachami wzdłuż ulicy Mannerheima rozciągało się białe niebo, gładkie, bez jednej fałdki czy zmarszczki, jak niebo na starej wyblakłej fotografii. Ogromne żelazne litery reklamy papierosów Klubbi na dachu budynku Uosisuoma odcinały się czarno na białym tle nieba niby szkielet olbrzymiego owada. Szklane wieże Stockmanna i drapacz hotelu Tori zdawały się chwiać w sinobladym powietrzu.

Nagle wzrok mój padł na duży szyld umieszczony na jakimś balkonie; przeczytałem na nim dwa słowa: Linguaphone Institute.

Nic nie wywołuje we mnie tak żywo wspomnienia zimy w Finlandii, jak płyty Linguaphone. Ilekroć napotkam w gazecie ogłoszenie: „Uczcie się języków obcych metodą Linguaphone Institute”, natychmiast stają mi przed oczyma widmowe lasy i skute lodem jeziora Finlandii.

Niech tylko wspomni ktoś przy mnie o płytach Linguaphone, a wystarczy mi przymknąć oczy, żeby ujrzeć mego przyjaciela Jaakko Leppo, przysadzistego i otyłego, ciasno opiętego w mundur fińskiego kapitana, jego okrągłą bladą twarz z wydatnymi kośćmi policzkowymi i małe podejrzliwe oczka, te skośne oczka połyskujące szarym, zimnym światłem. Widzę wtedy mego druha Jaakko Leppo siedzącego z kieliszkiem w ręku przy gramofonie w bibliotece swego domu w Helsinkach, a dokoła niego Liisi Leppo, panią P., ministra P., hrabiego Agustina de Foxę, Titu Mihailescu, Maria Orano, wszystkich z kieliszkami w ręku, uważnie słuchających ochryplego głosu gramofonu; Jaakko Leppo raz po raz podnosi w górę kieliszek koniaku, mówiąc: „Malianne”, na zdrowie - i wszyscy za jego przykładem również podnoszą pełne kieliszki, mówiąc: „Malianne”, na zdrowie. Ilekroć zobaczę gdzieś napis „Linguaphone Institute”, będę musiał pomyśleć o zimie w Finlandii i o tamtej odległej nocy, którą spędziliśmy z kieliszkami w ręku w domu Jaakko Leppo, słuchając ochryplego głosu gramofonu i mówiąc sobie nawzajem: „Malianne”.

Była już druga po północy, skończyliśmy właśnie drugą czy trzecią z rzędu kolację i siedząc w bibliotece przed ogromnym oknem patrzeliśmy na tonące w śniegu Helsinki i wystającą z tej białej topieli, niby maszty okrętu, kolumnadę Parlamentu; dalej widać było gładką, srebrzystą fasadę gmachu poczty i wreszcie, na tle drzew Esplanady i Brunnsparken, wieżę Stookmanna ze szkła i cementu oraz drapacz nieba Tornii.

Termometr za oknem wskazywał czterdzieści pięć stopni poniżej zera. „Czterdzieści pięć stopni poniżej zera: oto Akropol Finlandii” - mówił de Foxá. Raz po raz Jaakko Leppo podnosił w górę kieliszek po brzegi nalany koniakiem, mówiąc: „Malianne!” Wróciłem właśnie wtedy z frontu pod Leningradem, przez dwa tygodnie nic innego nie robiłem, tylko mówiłem: „Malianne” - wszędzie, w głębi lasów Karelii, w korsu wyżłobionym w zlodowaciałym śniegu, w okopach, w lottala i na leśnych drogach Kannas, ilekroć moje sanki spotykały się z innymi sankami; wszędzie, przez całe dwa tygodnie, nic, tylko podnosiłem kubek czy kieliszek i mówiłem „Malianne”.

W pociągu do Viipuri przez całą noc wymieniałem „Malianne” z naczelnikiem stacji w Viipuri, który przyszedł do naszego przedziału w odwiedziny do Jaakko Leppo. Był to barczysty, atletycznej budowy mężczyzna o bladej i jakby opuchniętej twarzy. Zdjąwszy ciężkie futro z baranów ukazał się w stroju wieczorowym. Poniżej niepokalanie białej muszki sterczała szyjka butelki wsuniętej pomiędzy nakrochmaloną koszulę a białą kamizelkę. Był właśnie na ślubie syna, wesele trwało trzy dni, i wracał teraz do Viipuri do swoich lokomotyw, swoich pociągów, swojej kancelarii w ruinach dworca wysadzonego przez radzieckie miny.

- Dziwne - mówił - piłem strasznie dużo, jeszcze i dziś, a nie czuję się ani trochę pod gazem. – (Mnie co prawda wydawało się, że jest w sztok pijany). Zaraz na wstępie wyciągnął butelkę zza pazuchy, dwa kieliszki z kieszeni, napełnił je koniakiem po brzegi i podał mi jeden, mówiąc: „Malianne”. Ja także powiedziałem „Malianne” i tak już przez całą noc mówiliśmy co chwila „Malianne” patrząc sobie w oczy i nie mówiąc nic poza tym. Od czasu do czasu, co prawda, mówił parę słów, ale po łacinie, w jedynym języku, którym mogliśmy się jako tako porozumieć; na przykład wskazując na ciemny, ponury, widmowy las, ciągnący się bez końca po obu stronach linii kolejowej, mówił: „Semper domestica silva” - i zaraz dodawał: „Malianne”. Potem budził Jaakko Leppo „somno vinoque sepultum” na swojej kuszetce i wkładał mu kieliszek do ręki mówiąc: „Malianne”. Jaakko Leppo odpowiadał: „Malianne”, wypijał duszkiem nie otwierając oczu i zapadał na powrót w sen. Wreszcie dojechaliśmy do Viipuri i wśród gruzów zburzonego dworca powiedzieliśmy sobie: „Vale!”

Tak więc od dwóch tygodni nie robiłem nic innego, tylko powtarzałem: „Malianne!” we wszystkich korsu i wszystkich lottala Kannas i wschodniej Karelii. W Viipuri wymieniłem malianne z porucznikiem Svartströmem i innymi oficerami z jego kompani; w Teriokach, Aleksandrowce i Raikkoli nad Ładogą - z oficerami i sissit pułkownika Merikallio. Mówiłem „Malianne” w okopach pod Leningradem z oficerami artylerii pułkownika Lukandera; w tepidarium, fińskiej łaźni, kiedy już po wybiegnięciu z calidarium, gdzie temperatura dosięgała sześćdziesięciu stopni powyżej zera, wytarzałem się nago w śniegu, ma skraju lasu, na czterdziestodwustopniowym mrozie; i mówiłem też „Malianne” w domu malarza Riepina, na przedmieściu Leningradu, patrząc poprzez drzewa ogrodu na grób, w którym Riepin spoczywa, i trochę dalej, na pierwsze domy Leningradu, sine pod olbrzymią chmurą dymu ciężko wiszącą nad miastem.

Od czasu do czasu Jaakko Leppo podnosił kieliszek i mówił: „Malianne”. W ślad za nim mówił „Malianne” wiceminister P., filar Ministerstwa Spraw Zagranicznych, i pani P., i Liisi Leppo, i de Foxá, i

Titu Mihailescu, i Mario Orano - wszyscy mówili: „Malianne”. Siedzieliśmy w bibliotece patrząc przez ogromne okno na miasto coraz głębiej pogrążające się w śnieżną otchłań i na okręty daleko na widnokręgu, uwięzione w lodach koło wyspy Suomenlinna.

Zbliżała się właśnie ta niebezpieczna godzina, kiedy Finów ogarnia smutek. Patrzą sobie nawzajem w twarz wzrokiem nieufnym, wyzywającym, przygryzają dolną wargę i piją w milczeniu, bez malianne, jak gdyby z wysiłkiem hamowali czający się w duszy gniew. Chciałem wynieść się ukradkiem i de Foxá również miał na to ochotę, ale minister P. przytrzymał go mocno za ramię mówiąc z naciskiem:

- Mon cher ministre, pan zna pana Ivalo, nieprawdaż

(Ivalo był wyższym urzędnikiem Ministerstwa Spraw Zagranicznych.)

- To jeden z moich najlepszych przyjaciół - zapewniał de Foxá uprzejmie. - Człowiek wybitnego umysłu, a madame Ivalo jest czarującą kobietą.

- Nie pytałem, czy pan zna madame Ivalo - mówił minister P. wpatrując się podejrzliwie w de Foxę swymi małymi oczkami. - Chciałbym wiedzieć, czy pan zna pana Ivalo.

- Ależ tak, znam go doskonale - odpowiedział de Foxá błagając mnie wzrokiem, żebym go nie opuszczał.

- A wie pan, co on mi powiedział à propos Hiszpanii i Finlandii? Spotkałem go dziś wieczorem w barze hotelu Kämp. Był razem z ministrem Hakkarainenem. Pan zna ministra Hakkarainena, n'est-ce pas?

- O tak, minister Hakkarainen to wspaniały człowiek - odpowiadał skwapliwie de Foxá szukając niespokojnie oczyma Titu Mihailescu.

- Monsieur Ivalo zapytał mnie, czy wiem, jaka jest różnica między Hiszpanią a Finlandią. No, jaka?

- Jest widoczna na termometrze - odpowiedział ostrożnie de Foxá.

- Dlaczego na termometrze? Nie, wcale nie o to chodzi - mówił minister P. z irytacją w głosie - różnica jest taka, że Hiszpania to kraj sympatyzujący, ale nie walczący, a Finlandia to kraj walczący, ale nie sympatyzujący.

- Cha, cha, cha! Bardzo zabawne - śmiał się uprzejmie de Foxá.

- Z czego się pan śmieje? - dopytywał się minister P. podejrzliwie.

Jaakko Leppo siedział nieruchomo na taborecie przy fortepianie, w pozycji Tatara na koniu, wpatrując się w de Foxę wąskimi, skośnymi oczyma, płonącymi ponurą zawiścią. Wściekły był, że minister P. nie powiedział i jemu także tego, co opowiadał hiszpańskiemu postowi.

Teraz już naprawdę wybiła ta niebezpieczna godzina, kiedy Finowie siedzą z ponuro zwieszonymi głowami, pijąc każdy na własną rękę i nie mówiąc „Malianne”, jakby każdy z nich był sam w pokoju albo jakby kryli się ze swoim piciem jeden przed drugim, a od czasu do czasu zaczynają coś mówić głośno po fińsku, ale tak, jakby mówili do siebie. Mario Orano zniknął już, wymknął się cichutko i nikt tego nie zauważył, nawet ja, choć cały czas miałem go na oku, śledziłem uważnie każdy jego gest. Ale Orano przebywał już w Finlandii od dwóch czy trzech lat i zdążył opanować w sposób doskonały

trudną sztukę znikania z fińskiego domu dokładnie z chwilą wybicia owej niebezpiecznej godziny. Ja także byłbym wolał wymknąć się dyskretnie zawczasu, ale ilekroć udało mi się zbliżyć do drzwi, coś zimnego przebiegało mi po grzbiecie; odwracałem się szybko i spotykałem posępny wzrok Jaakko Leppo siedzącego na taborecie okrakiem jak Tatar na koniu.

- Chodźmy stąd - szepnąłem w pewnej chwili do de Foxy ściskając go za ramię. Ale właśnie minister P. stanął przed nim i jakimś dziwnym głosem go zapytał:

- Est-ce vrai, mon cher ministre, że pan powiedział Mrs McClintock, że ma pióra, nie pamiętam już w jakim miejscu?

De Foxá wykręcał się, mówił, że to wcale nieprawda, ale minister P., blady i groźny, nie ustępował. - Comment! Vous niez? Zaprzecza pan?

- Nie zaprzeczaj, na miłość boską, nie zaprzeczaj - zaklinałem cicho de Foxę. A minister P. nalegał, błędąc coraz bardziej:

- A więc pan przeczy? Niech pan przyzna, że nie ma pan odwagi powtórzyć przede mną tego, co pan powiedział Mrs McClintock.

- Powtórz mu, na miłość boską, to, coś powiedział Elenie McClintock - zaklinałem de Foxę. „W końcu więc opowiedział, jak to pewnego wieczora był u ministra pełnomocnego Stanów Zjednoczonych, Mr Arthura Schoenfelda, razem z Eleną McClintock i Robertem Millsem McClintockiem, sekretarzem poselstwa Stanów Zjednoczonych. Później przybył tam jeszcze M. Hubert Guérin, poseł francuskiego rządu w Vichy, i żonę. W pewnej chwili Madame Guérin spytała Elenę McClintock, czy jest rzeczywiście pochodzenia hiszpańskiego, jak na to wskazuje jej powierzchowność i jej akcent. Elena McClintock, która jest Hiszpanką z Chile, odpowiedziała, nie bacząc na obecność posła Hiszpanii:

- Niestety tak,

- Cha! cha! Bardzo zabawne, nieprawdaż? - wykrzyknął minister P. poklepując de Foxę po ramieniu.

- Niech pan zaczeka, to nie koniec historyjki - przerwałem mu zniecierpliwiony.

I de Foxá powtórzył, jaką odprawę dał pani McClintock. - Ma chère Hélène - powiedział jej - jeśli ktoś jest z Ameryki Południowej, a nie jest pochodzenia hiszpańskiego, to znaczy, że nosi pióra na głowie.

- Cha, cha, cha! Très amusant! Bardzo zabawne! - wykrzykiwał minister P., a potem powiedział zwracając się do swojej żony: - Zrozumiałaś, chérie? Hiszpanie w Ameryce Południowej noszą pióra na głowie!

A ja tymczasem mówiłem cicho do de Foxy: - Chodźmy stąd, na miły Bóg.

Ale właśnie wybiła z kolei inna godzina, kiedy Finowie zaczynają się rozrzewniać i wzdychają nad pustymi kieliszkami spoglądając na siebie wzajem oczyma wilgotnymi od łez. Właśnie kiedyśmy obaj z de Foxą podeszli do Liisi Leppo, siedzącej w fotelu z tęsknym, smętnym wyrazem twarzy, prosząc ją, żeby nam pozwoliła iść do domu, Jaakko Leppo wstał ze swego taboretu mówiąc głośno:

- Teraz dam wam posłuchać pięknej płyty - i dodał z akcentem dumy: - Mam gramofon.

Podszedł do gramofonu, wyjął płytę ze skózanego futerału, pokręcił korbką, przytknął igłę do brzegu płyty i powiódł dokoła surowym wzrokiem. Wszyscy milczeli, pełni oczekiwania.

- To chińska płyta - powiedział.

Była to płyta Linguaphone. Jakiś nosowy głos udzielił nam lekcji chińskiej wymowy, której wysłuchaliśmy w nabożnym milczeniu.

Potem Jaakko Leppo zmienił płytę, pokręcił korbką i oznajmił:

- A teraz płyta hinduska.

I znowu w głębokim milczeniu wysłuchaliśmy lekcji języka hinduskiego.

Następnie przyszła kolej na parę lekcji gramatyki tureckiej, potem na serię lekcji wymowy języka arabskiego, a wreszcie pięć lekcji gramatyki i wymowy japońskiej. Wszyscy słuchaliśmy w milczeniu.

- Na zakończenie - oznajmił Jaakko Leppo kręcąc korbką gramofonu - usłyszymy płytę po prostu cudowną.

Była to lekcja dykcji francuskiej. Któryś z profesorów Linguaphone Institute deklamował nosowym głosem „Le lac” Lamartine'a. Wysłuchaliśmy go w nabożnym skupieniu. Kiedy nosowy głos umilkł, Jaakko Leppo spojrzął na nas głęboko wzruszony i powiedział:

- Moja żona nauczyła się tej płyty na pamięć. Veux-tu, chérie?

Liisi Leppo wstała, przeszła powolnym krokiem przez pokój, stanęła koło gramofonu, odrzuciła głowę w tył, uniosła ramiona i patrząc w sufit wyrecytowała „Le lac” Lamartine'a, całutki poemat, z tą samą intonacją, tym samym nosowym głosem, co profesor Linguaphone Institute.

- C'est merveilleux, n'est-ce pas? - odezwał się Jaakko Leppo wzruszony.

Była piąta rano. Nie pamiętam, co się dalej działo aż do chwili, kiedy obaj z de Foxą znaleźliśmy się wreszcie na ulicy. Mróz był siarczysty, noc jasna, śnieg lśnił łagodnie, srebrzyście. Przed drzwiami mego hotelu de Foxá uścisnął mi rękę mówiąc: „Malianne”.

- Malianne - odpowiedziałem.

Minister pełnomocny Szwecji, Westmann, czekał na nas siedząc przy oknie w bibliotece. Srebrzysty refleks śniegu przenikał łagodnie półmrok barwy skóry, któremu grzbiety książek przydawały lekkich złotych akcentów. Światło rozbłysło niespodziewanie, oświetlając wysoką, szczupłą postać ministra Westmansna, rysującą się czysto i precyzyjnie, jak niektóre sylwetki ryte na starych szwedzkich srebrach. Jego gesty, jakby zamrożone na moment w tym nagle rozbłysłym świetle, z wolna rozpuły się, stopniały, a mała głowa i szczupłe, proste ramiona wydały mi się zimne i nieruchome jak marmurowe popiersia królów Szwecji stojące szeregiem na dębowej półce biegnącej wysoko wzdłuż ścian. Srebrzyste włosy rzucały na rozległe czoło marmurowe refleksy, po surowej, ale miłej twarzy błąkał się ironiczny uśmiech, a raczej niespokojny cień uśmiechu.



W ciepłej sali jadalnej łagodne światło dwóch dużych srebrnych kandelabrow, ustawionych pośrodku stołu, przygasło w białym odbłasku zamrażonego morza i ośnieżonego placu, załamującym się w przymglonych szybach okien. I chociaż czerwone płomyki świec zabarwiały na kolor cielisty białe płótno flamandzkie obrusa, łagodziły zimną nagość porcelany z Mariebergu i Rörstrandu, lodowe błyski kryształów z Orrefors i zimne, czyste kontury starych sreber kopenhaskich, coś upiornego było w powietrzu, upiornego i ironicznego zarazem, jeśli ironia da się pogodzić z upiorami i z tym, co do nich przynależy. I jak gdyby subtelna magia nocy arktycznych, przenikająca do pokoju razem z bladym refleksem nocnych śniegów, trzymała nas w niewoli swoich czarów, coś widmowego było także w bladości naszych twarzy, w niespokojnym błędzeniu naszych spojrzeń, w naszych słowach nawet.

De Foxá siedział przy oknie, w jego twarzy odbijały się jak w lustrze arabeski błękitnych żyłek występujące nocą na białym cieple śniegu. I może po to, by przewyciężyć w sobie samym magię arktycznej nocy, zaczął mówić o słońcu Hiszpanii, o hiszpańskich barwach, zapachach, dźwiękach i smaku, o pełnych słońca dniach i wygwieżdżonych nocach Andaluzji, o czystym, suchym wietrze Wyżyny Kastyljskiej, o błękitnym niebie, które ciężko jak kamień przywała konającego na arenie byka. Westmann słuchał z przymkniętymi oczyma, jak gdyby w tej śnieżnej bieli chwycił aromaty ziemi hiszpańskiej, jak gdyby soczyste odgłosy ulic i domów hiszpańskich z oddali, ponad zamrażonym morzem, docierały do jego uszu, i jakby oglądał krajobrazy, portrety i martwe natury tonące w ciepłych, głębokich barwach, sceny uliczne, rodzinne i sielskie obrazki, epizody z areny, bale, procesje, pogrzeby i trumny - to wszystko, co wyczarowywał swym dźwięcznym głosem de Foxá.

Westmann był przez kilka lat ministrem pełnomocnym Szwecji w Madrycie, a do Helsinek przeniesiono go przed paru miesiącami, specjalnie w celu przeprowadzenia jakiejś ważnej akcji dyplomatycznej; natychmiast po dopełnieniu owej misji w Finlandii miał wrócić do Madrytu na dawne stanowisko. Kochał Hiszpanię uczuciem zmysłowym i romantycznym zarazem; tego wieczora przysłuchiwał się opowieściom de Foxy z mieszaniną zazdrości i urazy, niby odtrącony kochanek, który słucha przechwałek szczęśliwego rywala na temat ukochanej przez niego kobiety. („Ja nie jestem rywalem, jestem mężem - mówił mu de Foxá - Hiszpania jest moją żoną, a pan jej kochankiem.” - „Niestety!” - odpowiadał Westmann z westchnieniem.) Ale w jego uczuciach do Hiszpanii był ów niemożliwy do zdefiniowania odcień zmysłowej namiętności i głęboko utajonej grozy, jaki u ludu Północy zawsze towarzyszy umiłowaniu krain śródziemnomorskich. Jest to ta sama zmysłowa groza, jaka się maluje na twarzach widzów w dawnych Tryumfach Śmierci, gdzie wszelkiego rodzaju makabryczne sceny, zzieleniałe, nie pogrzebane trupy, leżące nago w blasku słonecznym niby martwe jaszczurki pośród mięsistych, silnie pachnących kwiatów, wzniesają zarazem zbożną grozę i niezdrowe podniecenie, przyciągają i odpychają jednocześnie.

- Hiszpania - mówił de Foxá - to kraj zmysłowej namiętności i pogrzebowej ponurości. Ale nie jest to kraj upiorów. Ojczyzną upiorów jest Północ. Na ulicach miast hiszpańskich człowiek natyka się raz w raz na trupy, ale na upiory nie. - I mówił o tej woni śmierci, jaką przepojona jest sztuka i literatura hiszpańska, o trupich pejzażach Goyi, o żywych trupach El Greco, o dotkniętych rozkładem twarzach królów i grandów hiszpańskich malowanych przez Velazqueza wśród pełnej pychy scenerii złota, purpury i aksamitów, w zielonkawozłotym półmroku królewskich rezydencji, kościołów i klasztorów.

- W Hiszpanii również - powiedział Westmann - nierzadko spotkać można upiora. Bardzo lubię hiszpańskie upiory. Są nader uprzejme i znakomicie wychowane.

- To nie są upiory - twierdził uparcie de Foxá - to po prostu trupy. Nie są bezcielesnymi zjawami, są z ciała i krwi, jedzą, piją, kochają i śmieją się, jakby były żywe. Ale to martwe ciała. Nie wychodzą nocą, jak upiory, ale w samo południe, w pełnym słońcu. Tym, co czyni Hiszpanię krajem do głębi żywotnym, są właśnie te trupy wciąż spotykane na ulicy, przesiadujące w kawiarniach, modlące się na klęczkach w mrocznych kościołach, snujące się powoli i w milczeniu, z czarnymi oczyma płonącymi w zielonkawych twarzach, wśród wesołego zgiełku miast i wsi, w dni świąteczne i dni targowe, pośród ludzi żywych, którzy śmieją się, kochają, piją i śpiewają. Ci, których pan nazywa upiorami, to nie Hiszpanie: to obcy. Przybywają z daleka, któż wie skąd, i tylko wtedy, kiedy ich ktoś zawoła po imieniu albo wywoła przy pomocy magicznego zaklęcia.

- Pan wierzy w magiczne zaklęcia? - spytał Westmann z uśmiechem.

- Każdy prawdziwy Hiszpan w nie wierzy.

- I zna pan jakieś? - dopytywał się Westmann.

- Znam ich wiele; ale jest jedno słowo, obdarzone większą od innych nadprzyrodzoną siłą wywoływania duchów.

- Niech je pan powie, proszę, chociażby po cichu.

- Nie mam odwagi. Boję się - rzekł de Foxá blednąc. - To najstraszliwsze i najniebezpieczniejsze ze wszystkich hiszpańskich słów. Żaden prawdziwy Hiszpan nie śmie go wypowiadać. Słowo święte: na jego dźwięk duchy wychodzą z mroku i idą na twoje spotkanie. Słowo fatalne i dla tego, kto je wymówi, i dla tego, kto je usłyszy. Może mi pan tu, na stole, położyć trupa, ani okiem nie mrugnę. Ale niech pan nie przywołuje upiora, nie otwiera mu drzwi. Umarłbym z przerażenia.

- Niech mam pan powie przynajmniej, co to słowo oznacza - prosił Westmann.

- Jedną z wielu nazw oznaczających węża.

- Niektóre węże mają piękne nazwy - rzekł Westmann - w tragedii Szekspira Antoniusz nazywa Kleopatę słodkim imieniem pewnej odmiany węża.

- Ach! - wykrzyknął de Foxá blednąc nagle.

- Co panu? Czy to tej właśnie nazwy nie ma pan odwagi wymienić? A przecież w ustach Antoniusza ma ona słodczy miodu. Kleopatra nigdy nie była nazwana słodszy imieniem. Chwileczkę... - dodał Westmann z rozmyślnym okrucieństwem - zdaje się, że pamiętam dokładnie słowa, jakie Szekspir wkłada w usta Antoniusza...

- Niech pan zamilknie, błagam pana!

- O ile dobrze pamiętam - ciągnął niewzruszenie Westmann uśmiechając się okrutnie - Antoniusz nazywa Kleopatę...

- Na miłość boską, cicho! - krzyknął de Foxá. - Niech pan nie wymawia tego słowa głośno. To straszliwe słowo, można je tylko szeptać, o, tak... - I ledwie poruszając wargami szepnął: - „Culebra”.

- Aa - roześmiał się Westmann - takie głupstwo pana przeraża? Słowo, jak każde inne, nie wydaje mi się wcale, żeby miało w sobie jakiś straszliwy czy tajemny sens. Zresztą, jeśli mnie pamięć nie myli - dodał spoglądając z natężeniem w górę, jakby szukał czegoś w pamięci - Szekspir użył słowa snake, które nie brzmi wcale tak słodko, jak hiszpańska culebra.

O, mi culebra del antiguo Nilo.

- Och, niech pan tego nie powtarza - błagał de Foxá. - To słowo przynosi nieszczęście. Ktoś z nas umrze tej nocy, a już co najmniej ktoś w naszym pobliżu.

W tej chwili drzwi się otwały i na stół wniesiono wspaniałego łososia z jeziora Inari. Łosoś miał różową, delikatną a żywą barwę migoczącą głęboko w szczelinach spękanej skórki, pokrytej srebrzystą łuską, która mieniła się zielenią i turkusem jak stare jedwabne materie - zauważył de Foxá - strojące posągi Matki Boskiej w wiejskich kościołach hiszpańskich. Głowa łososia spoczywała na poduszce z cienkiej trawy, miękkiej i lśniącej jak kobiece włosy; jest to rodzaj przezroczystych alg rosnących w rzekach i jeziorach Finlandii Wyglądało to jak obraz Braque'a, martwa natura z rybą. Smak tego łososia był niby odległe wspomnienie wód, lasów i chmur; dla mnie było to wspomnienie jeziora Inari w pewną letnią noc rozjaśnioną bladym, podbiegunowym słońcem, pod delikatnym zielonkawym niebem. Różowość przebłyскуjąca pomiędzy srebrzystymi łuskami łososia była tą samą różowością, która zabarwia obłoki, kiedy nocne polarne słońce leży na samej krawędzi widnokągu jak pomarańcza na parapecie okna, a lekki wiatr wprawia w drżenie liście drzew, jasne wody i nadbrzeżne trawy, przebiegając lekko nad rzekami, jeziorami i niezmiernymi lasami Laponii; takie same różowe błyski przemykają pośród srebrzystej łuski marszczącej zwierciadło jeziora Inari, kiedy słońce w samej pełni letniej nocy wędruje po zielonkawym niebie poznaczonym cieniutkimi niebieskimi żyłkami.

Twarz de Foxy zaróżowiła się, jakby padł na nią refleks łososiowego mięsa.

- Zastanawiam się nieraz - powiedział - jaka rola mogłaby przypaść w nowym średniowieczu intelektualistom. Założę się, że skorzystaliby z okazji i podjęli jeszcze jedną próbę ocalenia cywilizacji europejskiej.

- Intelektualiści - zauważył Westmann - są niepoprawni?

- Stary opat z Monte Cassino - powiedziałem - również zadał sobie to samo pytanie. - I powtórzyłem, co mi mówił hrabia Gawroński (polski dyplomata, który poślubił Lucianę Frassati, córkę senatora Frassatiego, dawnego ambasadora Włoch w Berlinie). Na początku okupacji niemieckiej w Polsce Gawrońskiemu udało się wyjechać do Rzymu, a od czasu do czasu spędza parę tygodni w foresterii opactwa Monte Cassino. Otóż stary arcybiskup don Gregorio Diamare, przełożony opactwa, rozmawiając z Gawrońskim o grożącym Europie, w związku z wojną, nowym zalewie barbarzyństwa, przypomniał, jak to w najgłębszych mrokach średniowiecza mnisi z Monte Cassino uratowali cywilizację zachodnią przepisując ręcznie cenne stare kodeksy greckie i łacińskie. „Ale dzisiaj cóż możemy zrobić dla ocalenia kultury europejskiej?” - zakończył czcigodny opat. „Niech ojciec każe swoim mnichom przepisać to wszystko raz jeszcze, na maszynie” - odpowiedział Gawroński

Po jasnym winie mozelskim o zapachu siana w letnim deszczu (delikatna różowość łososia, przebłyскуjąca wśród srebrnych łusek, przydawała mu smaku krajobrazu jeziora Inari w świetle nocnego słońca), w kieliszkach załśnił czerwony burgund, o krwawych refleksach. Pośrodku stołu

pojawiła się na wielkim srebrnym półmisku pieczeń z karelskiego prosięcia napelniając pokój ciepłą, smakowitą wonią. Po jasnej przejrzystości wina mozelskiego i różowych błyskach łososia, przywodzących na myśl srebrzysty nurt Juutuanjoki i różowe obłoki na seledynowym niebie Laponii, ten burgund i ten prosiak karelski, świeżo wyjęty z pachnącego sosnowymi gałązkami piekarnika, ściągnęły nas z powrotem na ziemię.

Nie ma wina bardziej ziemskiego niż czerwony burgund. W łagodnym blasku świec i białym odbłasku śniegu wino miało barwę ziemi, mieniło się purpurą i złotem wzgórz Côte d'Or o zachodzie słońca. Oddech jego był głęboki, pachnący trawą i liśćmi jak oddech letniego wieczoru w Burgundii. I żadne wino nie harmonizuje w tak intymny sposób z chwilą przedwieczorną, nie jest takim wiernym druhem nocy jak wino „Nuits Saint-Georges”; nawet sama jego nazwa jest nocna, głęboka i błyskawicowa jak letni wieczór w Burgundii. Wino to łśni krwawo na granicy nocy niby czerwień zachodu cna kryształowej krawędzi widnokregu. Zapala czerwone i błękitne błyski na purpurowej ziemi, na trawie i liściach drzew ciepłych jeszcze i przesiąkniętych smakiem i aromatem zamierającego dnia.

Drobna zwierzyna leśna z nadejściem nocy wślizguje się do swoich podziemnych kryjówek. Dzik przedziera się przez gęstwinię z głośnym szelestem i traskaniem gałązek. Bażant krótkim, cichym lotem zanurza się w mrok opadający już na lasy i łąki. Chyży zając sunie po pierwszym promieniu księżycy jak po napiętej srebrnej strunie. Oto godzina win burgundzkich. W tej godzinie owej zimowej nocy, w pokoju rozjaśnionym białym refleksem śniegu głęboki aromat „Nuits Saint-Georges” nasuwał nam wspomnienie letnich wieczorów w Burgundii i tamtejszych nocy uśpionych na rozgrzanej ziemi.

De Foxá i ja spoglądaliśmy na siebie wzajem z uśmiechem, fala miłego ciepła ogarniała nasze twarze, cieszyliśmy się, jakby to niespodziane wspomnienie wyzwoliło nas spod władzy posępnej magii polarnej nocy. Zagubieni w śnieżno-lodowej pustyni, w kraju tysiąca jezior, w tej spokojnej i surowej Finlandii, gdzie zapach morza przenika w głąb najodleglejszych lasów Karelii i Laponii i gdzie lśnienie wody dostrzega się nawet w niebieskich i szarych oczach ludzi i zwierząt, w powolnych, skupionych, podobnych do ruchów pływaka gestach ludzi, chodzących po ulicach objętych białym pożarem śniegu czy po alejkach parków w letnie noce, ludzi zapatrzonych w zielono-niebieskie błyski wody, które kładą się na dachy domów w ciągu bezkresnego dnia białego lata Północy, dnia bez świtów i zmierzchów - na to niespodziane wspomnienie ziemi poczuliśmy się nagle aż do szpiku kości „ziemscy” i popatrzyliśmy na siebie z uśmiechem, jak ludzie szczęśliwie ocaleni z rozbicia okrętu.

- Skål! - powiedział de Foxá wzruszony, wznosząc kielich na przekór uświęconemu szwedzkiemu obyczajowi, zgodnie i którym tylko panu domu przysługuje prawo wzywania gości do picia tym rytualnym słowem.

- Ja nigdy nie mówię skal, kiedy wnoszę kieliszek - rzekł Westmann z odrobiną złośliwości, jakby na usprawiedliwienie bluźnierstwa de Foxy. - W komedii Arthura Reida, „People in Lowe”, jest takie zdanie: „Londyn jest pełen ludzi, którzy dopiero co powrócili ze Szwecji, piją skål i mówią snap jedni do drugich”. Ja także piję skål i mówię snap.

- Snap, zatem! - wykrzyknął de Foxá, którego burgund wprawił w dziecięco radosny nastrój.

- Jak to miło przynależać do neutralnego kraju, prawda? - zwrócił się de Foxá do Westmanna - można pić nie życząc przy tym nikomu ani zwycięstwa, ani klęski. Snap za pokój w Europie.

- Skål - powiedział Westmann.

- Jak to? Teraz mówi pan skål, na odmianę? - zdziwił się de Foxá.

- Lubię się omylić od czasu do czasu - wyjaśnił z ironicznym uśmiechem Westmann.

- Uwielbiam słowo snap - rzekł de Foxá unosząc w górę kielich. - Snap Niemcom i snap Anglii!

Ja także podniosłem kieliszek mówiąc snap dla Niemiec i skål dla Anglii.

- Nie powinieneś mówić snap dla Niemiec - powiedział de Foxá - Niemcy to sojusznik Włoch.

- Ja osobiście - odparłem - nie jestem sojusznikiem Niemiec. Wojna, w której walczą Włochy, to prywatna wojna Mussoliniego, a ja nie jestem Mussolinim. Żaden Włoch nie jest Mussolinim. Snap dla Mussoliniego i dla Hitlera.

- Snap dla Mussoliniego i dla Hitlera! - powtórzył de Foxá.

- I snap dla Franco - dodałem.

De Foxá zawahał się troszeczkę, ale powtórzył: - Snap i dla Franco! - po czym zwrócił się do Westmanna:

- Czy zna pan historię partii krykieta, którą Malaparte rozegrał w Polsce z Generalgouverneurem Frankiem?

I opowiedział o moim układzie z Frankiem i o tym, jak bezczelnie przyznałem się Frankowi, że podczas pobytu Himmlera w Warszawie podoręczałem listy i pieniądze od uchodźców polskich we Włoszech ich krewnym i przyjaciołom, którzy pozostali w Polsce.

- I Frank pana nie zdradził? - zapytał Westmann.

- Nie - odparłem - nie zdradził mnie.

- Pańska przygoda z Frankiem jest doprawdy niezwykła - rzekł Westmann - powinien być przecież wydać pana gestapo. Trzeba przyznać, że zachował się wobec pana zadziwiająco przyzwoicie.

- Byłem pewien, że mnie nie zdradzi - powiedziałem. - Ta moja szczerość, która mogła wyglądać na nierozwagę, była w gruncie rzeczy mądrą przezornością. Okazując Frankowi, że uważam go za dżentelmena, uczyniłem go moim współnikiem. Choć, co prawda, później próbował zemścić się na mnie za moją szczerość, każąc mi drogo zapłacić za to swoje przymusowe współnictwo.

I opowiedziałem, jak to w parę tygodni po moim wyjeździe z Warszawy Frank wystosował gwałtowny protest do rządu włoskiego w związku z pewnymi moimi artykułami o Polsce, oskarżając mnie, że przyjąłem w nich polski punkt widzenia. Żądał, żebym nie tylko zdementował publicznie to, co napisałem, ale także, bym napisał do niego list przeprasający. Tylko że ja wtedy byłem już bezpieczny w Finlandii i oczywiście odpowiedziałem mu: snap.

- Na twoim miejscu - rzekł de Foxá - odpowiedziałbym: merde.

- To jest słowo bardzo trudne do wymówienia, w pewnych wypadkach - zauważył z uśmiechem Westmann.

- Czyżby pan uważał mnie za niezdolnego odpowiedzieć Niemcom tak, jak Cambronne pod Waterloo odpowiedział Anglikowi? - zapytał z godnością de Foxá. I dodał zwracając się do mnie: - Czy jesteś skłonny postawić mi kolację w Royalu, jeżeli odpowiem Niemcowi merde?

- Na miły Bóg, Agustin, pomyśl, że jesteś ministrem pełnomocnym Hiszpanii - odparłem ze śmiechem - tym jednym słówkiem wciągnąłbyś naród hiszpański w wojnę z Niemcami Hitlera!

- Naród hiszpański prowadził już wojny z dużo większych powodów. Odpowiem merde w imieniu Hiszpanii.

- Niech pan przynajmniej zaczeka, aż Hitler dojdzie do Waterloo - rzekł Westmann - niestety jest dopiero pod Austerlitz.

- Nie, nie mogę czekać - odparł de Foxá i dodał uroczystym tonem:

- A więc będę Cambronne'em spod Austerlitz.

Na szczęście w tej chwili pojawił się na stole półmisek pełen owych kulek z mięciutkiego ciasta, o niezrównanym smaku, które same nawet siostrzyczki w Sacré-Coeur nazywają wolteriańskim mianem pets de nonne.

- Czy te sufleciki nic panu nie przypominają? - zwrócił się Westmann do de Foxy.

- Przypominają mi Hiszpanię - odparł de Foxi z powagą. - Hiszpania jest pełna klasztorów, pleine de couvents et de pets de nonne. Jako katolik i jako Hiszpan umiem ocenić delikatność, z jaką pan przypomina mi moją ojczyznę.

- Nie robiłem żadnej aluzji ani do Hiszpanii, ani do religii katolickiej - rzekł z uśmiechem Westmann - te klasztorne smakołyki przywodzą mi na pamięć moje dzieciństwo. A panu nie? Wszystkie dzieci przepadają za tym. W Szwecji nie ma klasztorów, ale pets de nonne są i u nas. Czy to pana nie odmładza?

- Ma pan czarujące sposoby na odmładzanie swoich gości - powiedział de Foxá. - Te świetne sufleciki nasuwają mi myśl o nieśmiertelnej młodości Hiszpanii. Jako człowiek nie jestem już niestety młodzieńcem, ale jako Hiszpan jestem młody i nieśmiertelny. Niestety można być młodym a jednocześnie zmurszałym. Ludy latyńskie są zmurszałe.

Umilkł i smutnie opuścił głowę na piersi. Nagle jednak podniósł czoło mówiąc z dumą:

- A jednak to szlachetna zmurszałość. Czy wiecie panowie, co mi kiedyś powiedział jeden z naszych przyjaciół z poselstwa Stanów Zjednoczonych? Rozmawialiśmy o wojnie, o Francji, Włoszech, Hiszpanii i wyraziłem się, że wszystkie ludy latyńskie są zgniłe. „Może i są zgniłe - odpowiedział - ale ładnie pachną.”

- Kocham Hiszpanię - rzekł Westmann.

- Jestem panu z całego serca wdzięczny za przywiązanie, jakie pan żywi do narodu hiszpańskiego - powiedział de Foxá pochylając się nad stołem i uśmiechając się do Westmanna poprzez lodowe lśnienia kryształów - ale którą Hiszpanię pan kocha? Boską czy ludzką?

- Tę ludzką, oczywiście.

Hrabia de Foxá popatrzył na Westmanna z wyrazem głębokiego zawodu.

- Pan także? - powiedział. - Ludzie Północy lubią w Hiszpanii tylko to, co ona ma w sobie ludzkiego. A przecież wszystko, co w niej jest młode i nieśmiertelne, należy do Boga. Trzeba być katolikiem na to, by rozumieć i kochać Hiszpanię, prawdziwą Hiszpanię, tę Bożą. Gdyż Bóg jest katolicki i hiszpański.

- Jestem protestantem - rzekł Westmann - i wyznaję, że bardzo bym się dziwił, gdyby Bóg był katolikiem. Nie mam natomiast nic przeciwko temu, żeby był Hiszpanem.

- Jeśli Bóg istnieje, to jest Hiszpanem. To nie bluźnierstwo, to wyznanie wiary.

- Za parę miesięcy, kiedy wrócę na stanowisko przedstawiciela Szwecji w Madrycie - mówił Westmann ze swoim nieco ironicznym wdziękiem - obiecuję panu, drogi de Foxá, zająć się trochę więcej Hiszpanią Boską, a ludzką trochę mniej.

- Mam nadzieję, że Bóg hiszpański interesuje pana trochę bardziej niż golf przy Puerta de Hierro. - I opowiedział o pewnym młodym dyplomacie angielskim, który, kiedy po zakończeniu wojny domowej ambasada brytyjska przy rządzie Franco powróciła z Burgos do Madrytu, zatroszczył się przede wszystkim o sprawdzenie, czy rzeczywiście piąty dołek terenów golfowych przy Puerta de Hierro został uszkodzony przez faszystowski granat.

- I naprawdę tak było? - zapytał Westmann z niepokojem.

- Nie, Bogu dzięki! Piąty dołek był nietknięty - uspokoił go de Foxá. - Była to tylko, na szczęście, wiadomość tendencyjnie lansowana przez propagandę antyfaszystowską.

- Całe szczęście! - wykrzyknął Westmann z westchnieniem ulgi. - Przyznam się panu, że dech mi zaparło. W cywilizacji współczesnej, mój drogi de Foxá, dołek golfowy ma nie mniejsze znaczenie aniżeli gotycka katedra.

- Prośmy więc Boga, by ocalił od wojny przynajmniej dołki golfowe - rzekł de Foxá.

W gruncie rzeczy de Foxę niewiele obchodziły zarówno dołki golfowe, jak gotyckie katedry. Był do głębi katolikiem, ale na sposób hiszpański; uważał problemy religijne za swoje osobiste sprawy i zachowywał w stosunku do Kościoła i zagadnień katolickiego sumienia swobodę ducha - specyficzną hiszpańską zuchwałość - nie mającą nic wspólnego z wolteriańskim wolnomyślicielstwem. Podobna też była jego postawa wobec wszelkich problemów politycznych, społecznych i artystycznych. Był falangistą, ale w taki sam sposób, jak Hiszpan bywa anarchistą, czyli na sposób katolicki. To właśnie w pojęciu de Foxy znaczyło „mieć mur za plecami”. Każdy Hiszpan jest wolnym człowiekiem, ale jednocześnie każdy jest przyparty plecami do muru - wysokiego, gładkiego, nieprzepartego muru katolickiego, muru teologicznego, muru dawnej Hiszpanii; tego samego muru, o który klaskają kule plutonów egzekucyjnych, tego samego, przed którym urządzi się autodafe i sakramentalne dialogi teologiczne.

Fakt, że reprezentował w Finlandii Hiszpanię frankistowską (Hubert Guérin, poseł Francji pétainowskiej, nazywał de Foxę „ministrem pełnomocnym Hiszpanii Vichy”), nie przeszkadzał mu wyśmiewać się pogardliwie z Franco i jego rewolucji. De Foxá należał do tej generacji hiszpańskiej,

która za młodu usiłowała dać marksizmowi podstawy feudalne i katolickie, dać, jak się sam de Foxá wyrażał, leninizmowi teologię, pogodzić starą Hiszpanię katolicką i tradycyjną z młodą Europą robotniczą. A teraz śmiał się z wielkodusznych złudzeń swego pokolenia i z całkowitej porażki tych tragikomicznych usiłowań.

Nieraz, kiedy mówił o hiszpańskiej wojnie domowej, myślałem sobie, że swobodne odruchy jego sumienia są w sprzeczności z jego argumentacją i raczej skłaniałyby go do uznania słuszności politycznych, moralnych i intelektualnych pozycji zajmowanych przez przeciwników Franco; tak było na przykład pewnego wieczoru, kiedy mówił o prezydencie Republiki Hiszpańskiej, Azanii, i jego „sekretnym dzienniku”, w którym Azaña notował i komentował dzień po dniu, godzina za godziną, najdrobniejsze i na pozór nic nie znaczące szczegóły rewolucji i wojny domowej: barwę nieba o jakiejś godzinie jakiegoś dnia, szmer fontanny, szelest wiatru w koronach drzew, odgłosy strzelaniny na którejś z sąsiednich ulic, bladeść, arogancję, bądź litość, strach, cynizm, obłudę czy egoizm biskupów, generałów, polityków, dworaków, przywódców syndykalistycznych, grandów Hiszpanii czy anarchistów - tych wszystkich, którzy przychodzili do niego udzielać mu rad, stawiać żądania, wysuwać propozycje, paktować, sprzedawać się, zdradzać. Oczywiście „dziennik sekretny” Azanii, który wpadł w ręce Franco, nie został opublikowany; ale go też nie zniszczono. De Foxá czytał go i mówił o nim jak o dokumencie wręcz niezwykłym, w którym Azaña objawiał się jak gdyby w całkowitym oderwaniu od wydarzeń i ludzi, samotny w czystym, abstrakcyjnym klimacie. Ale kiedy indziej znów de Foxá okazywał się dziwnie niezdecydowany w obliczu najprostszych nawet zagadnień, które, zdawałoby się, powinien był rozstrzygnąć już dawno i ostatecznie w głębi swego katolickiego sumienia; tak właśnie było pewnego dnia w Biełostrowie, na przedpolu Leningradu.

Kilka dni przedtem, w Wielki Piątek, znalazłem się razem z de Foxą w okopach pod Biełostrowem, tuż koło przedmieść Leningradu. O jakie pięćset metrów od nas, za zasiekami z drutów kolczastych, za podwójną linią okopów i kazamat radzieckich ukazało się dwóch żołnierzy radzieckich; szli po śniegu, zupełnie odsłonięci, pod skrajem lasu, niosąc na ramionach pień jodłowy. Szli rytmicznie, kołysząc wolnym ramieniem, z zuchwałą beztroską. Byli to dwaj Sybiracy, wysokiego wzrostu, w szarych barankowych czapkach na głowie, w szynelach piaskowego koloru, długich niemal do pięt, z karabinami przez ramię; w oślepiającym blasku słońca wydawali się jeszcze więksi, niemal olbrzymi. Pułkownik Lukander zwrócił się do de Foxy:

- Panie ministrze, czy życzy pan sobie, żebym kazał postać parę granatów w tych dwóch?

De Foxá, niezdarnie opatulony w biały kombinezon narciarski, spojrzął na pułkownika z głębi kaptura:

- Dziś jest Wielki Piątek - powiedział - czemu miałbym brać dwóch ludzi na swoje sumienie właśnie tego dnia? Jeżeli naprawdę chce mi pan zrobić przyjemność, to proszę nie strzelać.

Pułkownik Lukander wydawał się zaskoczony.

- Jesteśmy tu po to, żeby się bić - zauważył.

- Słusznie - odparł de Foxá - mais moi ne suis ici gu'en touriste<sup>19</sup>.

---

<sup>19</sup> Ale ja jestem tu tylko jako turysta.



W jego tonie i gestach czuło się głębokie przejęcie, aż mnie to zdumiało. Był bardzo blady, grube krople potu perliły mu się na czole. Tym, co go przerażało, nie była myśl, że dwa życia ludzkie miałyby pójść na ofiarę ku jego czci, lecz że stałoby się to w Wielki Piątek.

Ale pułkownik Lukander, bądź dlatego że niedokładnie zrozumiał z przejęciem wypowiedziane po francusku zdanie, bądź też naprawdę wydawało mu się, że uczci w ten sposób gościa, a jego odmowę potraktował jako gest rytualnej kurtuazji, dość, że kazał oddać dwa wystrzały z granatnika, po jednym dla każdego z dwóch żołnierzy. Dwaj Sybiracy przystanęli i zadartszy głowy śledzili pęd pocisków, które wybuchły o parę kroków od nich nie czyniąc im żadnej krzywdy. Widząc, jak dwaj radzieccy żołnierze ruszają dalej, nie wypuściwszy z rąk swojego jodłowego pnia i kołysząc rytmicznie ramionami, jakby nic nie zaszło, de Foxá uśmiechnął się, poczerwieniał i powiedział z zalem w głosie:

- Jaka szkoda, że dziś Wielki Piątek! Chętnie bym zobaczył, jak tych dwóch zuchów rozlatuje się w kawałeczki.

Po czym wyciągnął rękę poza krawędź okopu i wskazując ogromną kopułę Soboru Isaakijewskiego w Leningradzie, zdającą się kołysać na chmurach dymu ponad szarymi dachami oblężonego miasta, dodał:

- Popatrz na tę kopułę: jaka ona katolicka, nieprawdaż

Siedząc naprzeciw ironicznie uśmiechniętego Westmanna de Foxá, korpulentny i krwisty, przysuwał swoją pełną, rumianą twarz do chudej, jasnej twarzy Westmanna, niby diabeł katolicki, który podczas widowisk religijnych siedzi na stopniach kościoła naprzeciw anioła w srebrnej szacie. Jego pełną polotu bezbożność obciążała chwilami coś zmysłowego, może ta nieustannie wyczuwalna pycha, która u ludów łatyńskich, a u Hiszpanów w szczególności, tak bardzo krępuje pewne spontaniczne odruchy, głębokie impulsy, wolną i bezinteresowną grę inteligencji. Dostrzegałem u de Foxy pewną drażliwość, obawę ukazania się bez osłony, mimowolnego obnażenia jakichś tajemniczych zakamarków swojej istoty, bezbronnego narażania się na podstępny napaść. Przysłuchiwałem się w milczeniu. Widmowy refleks śniegu, przy którym różowe płomyki świec zdawały się przygasać, zimne błyski kryształów, porcelany i srebro przydawały słowom, uśmiechom i spojrzeniom czegoś arbitralnego i abstrakcyjnego, przywodziły na myśl jakąś nastawioną podstępnie pułapkę, jakąś groźbę wybuchu.

- Robotnicy nie są chrześcijanami - mówił de Foxá.

- Czemuż to? I w nich jest anima naturaliter Christiana - oponował Westmann.

- Definicja Tertuliana nie da się zastosować do marksistów - mówił de Foxá - robotnicy są urodzonymi marksistami; nie wierzą w piekło ani w niebo.

Westmann spojrział złośliwie na de Foxę.

- A pan w nie wierzy? - zapytał.

- Ja? Nie - odpowiedział de Foxá.

Na stole pojawił się tort czekoladowy, ogromny tort „klasztorny”, okrągły, ozdobiony kwiecistym haftem z lukru i pistacji, wyglądającym zielono i wiosennie na czekoladowej polewie barwy mnisiego

habitu. De Foxá zaczął mówić o Don Juanie, Lope de Vega, Cervantesie, Calderonie de la Barca, Goyi, Federiku Garcii Lorce. Westmann - o siostrzyczkach z Sacré-Coeur, ich łakociach, ich haftach, ich francuskich modłach odprawianych francuszczyzną dość mieszaną i bardzo staroświecką, wywodzącą się raczej z „Księżnej de Clèves” niż z Pascala (i raczej z „Niebezpiecznych związków” niż z księdza Lamennais - dodał de Foxá). De Foxá mówił dalej o młodych pokoleniach Hiszpanów, o ich katolicyzmie w duchu sportowym, o ich żarliwym kulcie Najświętszej Panny, świętych i... sportu, o ich nowym chrześcijańskim ideale (już nie święty Alojzy z lilią ani święty Ignacy z kijem, lecz młody robotnik, syndykalista lub komunista, z przedmieścia Madrytu czy Barcelony, w kolarskiej czy piłkarskiej trykotowej koszulce). Powiedział nam, że podczas wojny domowej piłkarze byli w ogromnej większości czerwonymi, a toreros - niemal wyłącznie frankistami. Publiczność na corridach była faszystowska, na meczach piłki nożnej - marksistowska.

- Jako dobry katolik i dobry Hiszpan - mówił de Foxá - gotów byłbym uznać Marksa i Lenina, gdybym, zamiast podzielać ich teorie społeczne i polityczne, mógł wielbić ich jako świętych.

- Nic nie stoi na przeszkodzie, żeby ich pan wielbił jako świętych. Nie wahałby się pan przecież klękać przed królem Hiszpanii. Czemuż nie można by zostać komunistą na zasadzie prawa boskiego?

- To jest właśnie ideał Hiszpanii frankistowskiej - odpowiedział de Foxá ze śmiechem.

Kiedy wstaliśmy od stołu, była już późna noc. Siedząc w głębokich skórzanych fotelach w bibliotece, naprzeciw ogromnych okien wychodzących na port, śledziliśmy wzrokiem lot mew krążących dokoła uwięzionych w lodzie statków. Odblask śniegu uderzał o szyby zimnym, miękkim skrzydłem morskiego ptaka. Patrzyłem na Westmanna, który poruszał się w tym widmowym świetle lekko i bezszelestnie niby zjawą. Oczy miał niebieskie, tak bardzo jasne, że przypominały oczy z białego szkła posągów antycznych, srebrzyste włosy otaczały jego czoło na kształt srebrnej ramy bizantyjskiej ikony. Nos jego był prosty i suchy, wargi wąskie i blade miały znużony wyraz, drobne ręce o długich palcach wygładzone były odwiecznym kontaktem ze skórą uzd i siodeł, sierścią koni i rasowych psów, z porcelaną i drogocennymi tkaninami, z pucharami ze starego bałtyckiego mosiądzu, i fajkami z Lillehammer i Dunhill. Ileż białych, zaśnieżonych widnokręgów, samotnych wód, bezkresnych lasów zamyka się w niebieskich oczach człowieka Północy. Ileż pogodnego spokoju w jasnym, prawie białym spojrzeniu. Jaki szlachetny, antyczny spokój wśród nowoczesnego świata, świadomego już swego końca. I jakaż samotność na tym białym czole.

Było w nim coś przejrzystego: ręce, gdy dotykały butelek porto i whisky i kieliszków z przezroczystego kryształu, zdawały się rozptywać w powietrzu, tak dalece ów widmowy refleks śniegu czynił je lekkimi i niematerialnymi. Był zjawą, domową przyjazną zjawą snującą się cicho po pokoju. Jego ruchy miały w sobie tę samą miękkość, co łagodnie wygięte kontury mebli, kieliszków i butelek i oparcia skórzanych foteli. Zapach porto i whisky mieszał się z ciepłym aromatem angielskiego tytoniu, z zapachem skóry i nikłą wonią morza.

Nagle od placu doszedł mas dziwny dźwięk, bolesny, pełen niepokoju głos. Wyszliśmy na balkon. W pierwszej chwili płac wydawał nam się pusty. Przed nami rozciągał się przestwór zamrożonego morza, w przejrzystej śnieżnej bieli rysowały się niewyraźne wyspy archipelagu, wysepka szwedzkiego Yacht Clubu, a dalej odwieczna twierdza Suomenlinna, mocno tkwiąca w lodowym obramieniu horyzontu. Z uczuciem ulgi i wytchnienia wzrok przesuwał się po wzgórzu Obserwatorium, po drzewach Brunnsparken, których nagie konary okrywała lśniąca łuska śniegu. Chrypliwy lament,

dobiegający od strony placu, brzmiał jak powstrzymany krzyk bólu, w którym ryk jelenia przechodził stopniowo w rzenie konającego konia.

- Ach, przekłeta culebra! - wykrzyknął de Foxct z zabobonną trwogą. Ale po chwili, kiedy nasz wzrok przyzwyczał się trochę do oślepiającego blasku śniegu, zaczęliśmy dostrzegać, a przynajmniej zdawało nam się, że dostrzegamy, ciemną plamę na portowym nadbrzeżu, jakiś niewyraźny kształt, który się powoli poruszał. Zeszliśmy na plac i zbliżyli do tego czegoś ciemnego, co z naszym pojawieniem się wydało donośny, przejmujący krzyk i umilkło sapiąc niespokojnie.

Był to łoś. Wspaniały okaz łośia o ogromnych rozłożystych rogach sterczących, niby nagie konary zimowego drzewa, nad rozległym zaokrąglonym czołem porośniętym krótką, gęstą, rudawą sierścią. Oczy miał duże i ciemne, wilgotne i głębokie i lśniło w nich coś jakby łzy. Był ranny, złamał nogę w udzie, wpadł pewnie w jakąś szczelinę, która otworzyła się niespodziewanie w marmurowej posadzce pokrywającej powierzchnię morza. Przywędrował chyba z Estonii, przez lodową pustynię Zatoki Fińskiej albo Wysp Alandzkich, czy może z wybrzeży Zatoki Botnickiej, czy z Karelii. Dowłókł się aż do nadbrzeża portowego znęcony zapachem domostw, ciepłym zapachem człowieka. I teraz leżał na śniegu dysząc ciężko i patrzył na nas wilgotnymi, głębokimi oczyma.

Kiedy byliśmy już przy nim, łoś spróbował podnieść się ma nogi, ale zaraz opadł na kolana, jęcząc. Był większy od największego konia, a spojrzenie miał łagodne, niemal tkliwe. Węsząc w powietrzu, jak gdyby chwycił jakąś swojską, znaną woń, poczołgał się przez zaśnieżony plac aż pod pałac Prezydenta Republiki, przez otwartą bramę dostał się na dziedziniec i legł, wyczerpany, u stóp paradnych schodów, pomiędzy dwoma wartownikami stojącymi nieruchomo po obu stronach drzwi, w stalowych hełmach nasuniętych na czoło i z karabinem przez ramię.

Prezydent Republiki Fińskiej, Ristu Ryti, niewątpliwie spał o tej porze. Ale sen prezydenta republiki jest o wiele lżejszy niż sen króla. Zbudzony żalonym rykiem rannego łośia prezydent Ristu Ryti zapytał, co oznacza ten niezwykły hałas. Po chwili w drzwiach pałacu ukazał się pierwszy adiutant prezydenta, pułkownik Slörn.

- Bonsoir, monsieur le ministre - powiedział nieco zaskoczony widokiem ministra pełnomocnego Szwecji, Westmanna. A rozpoznawszy hrabiego de Foxę, ministra pełnomocnego Hiszpanii, powtórzył: - Bonsoir, monsieur le ministre - głosem wyrażającym najgłębsze zdumienie.

Na koniec zobaczył i mnie.

- Vous aussi? Pan także? - wykrzyknął zupełnie osłupiały.

I zwracając się do Westmanna dodał: - Mam nadzieję, że nie chodzi tu o jakieś oficjalne wystąpienie?

I pobiegł powiadomić prezydenta Republiki, że ministrowie pełnomocni Szwecji i Hiszpanii znajdują się przed drzwiami pałacu waz z rannym łośiem.

- Z rannym łośiem? Czegóż oni mogą ode mnie chcieć o tej porze? - zapytał prezydent Ristu Ryti zdumiony. Była godzina pierwsza w nocy. Ale w Finlandii poszanowanie zwierząt jest nie tylko normą moralną przestrzeganą wielkodusznie przez cały naród fiński, ale i prawem. Toteż po chwili prezydent Ristu Ryti ukazał się w drzwiach otulony w grubą wilczurę, w wysokiej futrzanej czapie na głowie.

Powitał nas serdecznie, potem zbliżył się do rannego łośia, pochylił się i obejrzał złamaną nogę mówiąc coś do niego cichym głosem i głaszcząc po szyi ręką w rękawiczce.

- Założę się - szepnął de Foxá - że rękawiczki prezydenta są z psiej skóry.

- Czemuż go o to nie spytasz?

- Masz rację - rzeki de Foxá i zbliżywszy się do prezydenta zapytał z lekkim ukłonem:

- Puis-je vous demander si vos gants sont en peau de chien?<sup>20</sup>

Prezydent Ristu Ryti, który nie znał francuskiego, spojrzął zaskoczony i zmieszany, prosząc wzrokiem o pomoc swego adiutanta, ten zaś, nie mniej zaskoczony i zmieszany, przetłumaczył mu przyciszonym głosem dziwaczne pytanie posła hiszpańskiego. Prezydent wydawał się bardzo zdziwiony i udał, że nie rozumiał, a może trudno mu było uwierzyć, że rzeczywiście rozumie, co de Foxá chciał powiedzieć, i szukał w myśli prawdziwego, sensu tego szczególnego pytania, względnie aluzji politycznej, jaka się w nim kryje.

Właśnie w chwili, kiedy prezydent Ristu Ryti, klęcząc na śniegu przy łośiu, spoglądał niepewnie na przemian to na de Foxę, to na własne rękawiczki, na placu pojawił się samochód zmierzający ku Bruonsparken, dzielnicy dyplomatycznej Helsinek. Jechali nim: minister pełnomocny Brazylii, Paulo de Sou za Dantes, sekretarz poselstwa duńskiego, hrabia Adam de Moltke-Huitfeldt, i sekretarz poselstwa francuskiego, Pierre d'Huart. Wkrótce cały korpus dyplomatyczny zgromadził się dokoła rannego łośia i Prezydenta Republiki. Sznur samochodów wydłużał się z każdą chwilą, w miarę jak coraz to nowi dyplomaci, przejeżdżający przez plac w drodze do Brunnsparken, zatrzymywali się, zafrapowani niezwykłym widokiem samochodów ze znakami korpusu dyplomatycznego, stojących głęboką nocą przed pałacem prezydenta, i wysiadłszy z wozów zbliżali się do naszej grupy, pozdrawiając nas z widocznym zaciekawieniem i niepokojem.

Podczas gdy pułkownik Slörn telefonował do pułkownika-weterynarza do koszar kawalerii, nadjechali kolejno: poseł rumuński, Noti Constantinide, z jednym z sekretarzy poselstwa, Titu Mihailescu, poseł chorwacki, Ferdinand Bošnjaković, z sekretarzem poselstwa, Marijanem Andraseyiciem, wreszcie poseł niemiecki, Wipert von Blücher.

- Ach, ci Blücherzy - powiedział cicho de Foxá - przybywają zawsze w samą porę. - Po czym, zwracając się do posła niemieckiego, powiedział „dobry wieczór” wyciągając ramię w hitlerowskim pozdrowieniu, które jest również gestem pozdrowienia Falangi hiszpańskiej.

- Cóż to, pan także już podnosi łapkę? - zapytał go po cichu sekretarz poselstwa „Francji Vichy”, Pierre d'Huart.

- Nie sądzi pan, że lepiej podnosić jedną łapkę niż obie? odpowiedział z uśmiechem de Foxá.

Pierre d'Huart przyjął zręczny cios jak należy, odpowiadając z wdziękiem:

- To mnie nie dziwi; dawniej pracowało się ramieniem, a pozdrawiało kapeluszem; teraz pozdrawia się ręką, a pracuje kapeluszem - on salue du bras et on travaille du chapeau.

---

<sup>20</sup> Czy wolno mi zapytać, czy pańskie rękawiczki są z psiej skóry?

De Foxá roześmiał się i rzekł:

- Brawo, d'Huart! Składam broń! - Po czym zwracając się do mnie zapytał cicho: - Co, u diabła, może znaczyć travailler du chapeau?

- Znaczy, że ma się lekkiego bzika - odpowiedziałem.

- On n'ajamais fini d'apprendre le français<sup>21</sup> - rzekł de Foxi.

Leżąc na śniegu pomiędzy dwoma wartownikami, otoczony gromadką obcych dyplomatów - do której przyłączyło się stopniowo paru żołnierzy, dwie dziewczyny trochę pijane, grupka marynarzy, którzy nadbiegli z portu, i dwóch żandarmów z karabinami przez ramię - ranny łoś jęczał cicho, sapiąc raz po raz i obracając ogromny łeb, żeby polizać sobie złamaną nogę. Plama krwi na śniegu powiększała się stopniowo. W pewnej chwili przy tym ruchu jedno odgałęzienie potężnych rogów zaczepiło o potęg futra prezydenta, który upadłby pewnie jak długi na śnieg, gdyby poseł niemiecki, von Blücher, nie uchwycił go za ramię i nie podtrzymał.

- Ho, ho! - wykrzyknęli chórem, śmiejąc się, dyplomaci, jak gdyby niewinny gest ministra pełnomocnego Niemiec krył w sobie jakiś alegoryczny sens polityczny.

- Perkele! - wykrzyknęła jedna z dziewczyn widząc, jak prezydent Republiki zachwiał się na nogach (perkele po fińsku znaczy po prostu diabeł, ale jest to jeden z tych wyrazów, których w Finlandii nie należy głośno wypowiadać; coś tak, jak angielskie słowo bloody za czasów królowej Wiktorii). Okrzyk dziewczyny wywołał ogólny śmiech; stojący bliżej zaczęli pomagać prezydentowi Ristu Rytii w uwalnianiu futra z rogów łosia. Właśnie w tej chwili nadbiegł zdyszany Rafael Hakkarainen, szef protokołu w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, w samą porę, by dosłyszeć zakazane słowo perkele, które wyrwało się wesołej dziewczynie. Minister Hakkarainen zadrżał wewnątrz ciepłutkiej alkowy swego kosztownego kuniego futra.

Była to szczególna i pełna uroku scena. Plac okryty powłoką śniegu, sinobiałe widmowe domy, okręty uwięzione w lodowej skorupie i ta grupa ludzi w bogatych futrach i wysokich futrzanych czapkach, dokoła rannego łosia leżącego przed wejściem do pałacu pomiędzy dwoma wartownikami. Scena ta zachwycałaby niejednego spośród szwedzkich czy francuskich malarzy, jak Skjöldebrand czy wicehrabia de Beaumont, którzy pod koniec osiemnastego wieku i w początkach ubiegłego zapuszczali się aż do kraju Hiperborejów z ołówkami i szkicownikami. Pułkownik-weterynarz i sanitariusze, którzy przyjechali właśnie z ambulansem, krzatali się dokoła łosia śledzącego cierpliwie ich ruchy łagodnym, wilgotnym spojrzeniem. Po wielu wysiłkach, z pomocą wszystkich obecnych - prezydenta Republiki, dyplomatów i obu wesołych dziewcząt - łoś został umieszczony w ambulansie, który ruszył powoli i zniknął w głębi Esplanady w oślepiającej bieli śniegu.

Dyplomaci stali jeszcze chwilę rozmawiając wesoło, paląc papierosy i tupiąc dla rozgrzewki. Mróz był siarczysty, prawdziwie „wilczy”.

- Dobranoc, panowie, i bardzo dziękuję - rzekł prezydent Republiki unosząc futrzaną czapkę i kłaniając się uprzejmie.

---

<sup>21</sup> Nauka francuskiego nigdy nie jest skończona.

- Bonne nuit, monsieur le président - odpowiedzieli chórem dyplomaci zdejmując futrzane czapki i kłaniając się głęboko.

Niewielki tłum zaczął się rozchodzić, głośno wymieniając pozdrowienia, samochody oddalały się z cichym szumem motorów w kierunku Brunnsparken, żołnierze, dziewczęta, marynarze i żandarmi rozproszyli się po placu, śmiejąc się i nawołując. Westmann, de Foxá i ja ruszyliśmy ku siedzibie poselstwa szwedzkiego, ale raz po raz oglądaliśmy się na żołnierzy trzymających straż u drzwi prezydenckiego pałacu, przy wielkiej plamie krwi, niknącej po trochu pod warstwą nawiewanego przez wiatr śniegu.

Zasiedliśmy znowu w bibliotece, przed kominkiem, popijając i paląc w milczeniu. Od czasu do czasu słychać było szczekanie psa - głos ten, nabrzmiały smutkiem nieomal ludzkim, nadawał jasnej nocy i niebu pogodnemu, białemu od refleksu śniegów, jakiś wyraz gorący i krwawy. W lodowatej ciszy polarnej nocy był to jedyny głos żywy i znany; serce we mnie drżało, wiatr przynosił od morza zgrzytliwe trzeszczenie lodowej pokrywy. Płonące brzoźowe polana trzaskały wesoło na kominku, czerwone refleksy ognia przebiegały po ścianach, po złożonych grzbietach książek i po marmurowych popiersiach królów szwedzkich na długiej dębowej półce. Przypominały mi stare święte obrazy w Karelii, na których piekło wyobrażają nie żywe i dobroczynne płomienie, lecz bryły lodu z zamkniętymi wewnątrz potępieńcami. Ujadanie psa dochodziło z oddali, może z pokładu któregoś z żaglowców uwieczonych wśród lodów u brzegów wyspy Suomenlinna.

Zacząłem ni stąd, ni zowąd opowiadać o psach ukraińskich, o „czerwonych psach” znad Dniepru.

## IX. Czerwone psy

Od wielu dni padało i padało, czarne głębokie morze ukraińskiego błota wzbierało powoli aż po widnokrąg. Była to pora jesiennego przyptywu na Ukrainie: błoto wzdymało się jak zaczyn chlebowy, kiedy zaczyna się „ruszać”. Wiatr niósł poprzez bezkresną równinę tłusty odór błota, zmieszany z wonią nie zżętego zboża butwiejącego na polu i ze słodkim, ciężkim zapachem słoneczników. Z czarnych źrenic słoneczników ziarna wypadały jedno po drugim, opadały też, uwiędłe, długie, żółte rzęsy, otaczające te ich okrągłe oczy, białe i puste jak oczy ślepców.

Wracający z pierwszych linii niemieccy żołnierze, dowlókszy się do wsi, w milczeniu rzucali karabiny na ziemię. Byli od stóp do głów w czarnym błocie, mieli długie brody, zapadnięte oczy podobne do oczu słoneczników, tak samo białe i przygasłe. Oficerowie patrzeli na żołnierzy, na porzucane karabiny, i milczeli także. Teraz wojna błyskawiczna, Blitzkrieg, była skończona, zaczynała się Dreissigjahrigerblitzkrieg, „trzydziestoletnia wojna błyskawiczna”. Skończyła się wojna zwycięska, zaczynała się wojna przegrana. I w głębi przygasłych oczu niemieckich oficerów i żołnierzy dostrzegałem już białą plamkę strachu, widziałem, jak powiększa się stopniowo, jak przeżera źrenice, wypala korzonki rzęs, które wypadały jedna po drugiej, tak samo jak długie, żółte rzęsy słoneczników. Kiedy Niemiec zaczyna się bać, kiedy w szpik jego kości wślizguje się tajemniczy niemiecki strach - wtedy właśnie wzbudza on litość i grozę. Jego wygląd staje się żałosny, jego okrucieństwo - smutne,

jego odwaga milcząca i rozpaczliwa. Wtedy Niemiec staje się najgorszy; a ja żałowałem, że jestem chrześcijaninem, wstyd mi było, że nim jestem.

Jeńcy rosyjscy, odprowadzani z frontu na tyły, też nie byli już ci sami, co w pierwszych miesiącach wojny z Rosją, nie byli tymi jeńcami z czerwca, lipca czy sierpnia, których żołnierze niemieccy eskortowali pieszo na tyły pod palącym słońcem i którzy wędrowali tak przez długie, długie dni w czerwonym i czarnym pyłe dróg ukraińskiej równiny. W pierwszych miesiącach wojny kobiety po wsiach wylęgały przed domy śmiejąc się i płacząc, przybiegały do jeńców przynosząc im jeść i pić. „Oj, biedni, oj, biedni” - użalały się nad nimi. Dawały jeść i pić także i żołnierzom niemieckim, którzy siadali na placu pośrodku wsi, na ławeczkach dokoła zwałonego w błoto gipsowego pomnika Lenina czy Stalina, palili papierosy i gwarzyli wesoło między sobą, opuściwszy erkaemy pomiędzy kolana. W czasie postojów we wsi jeńcy byli tak jakby wolni, mogli chodzić swobodnie, wstępować nawet do chat i myć się nago przy studni. Na gwizdek niemieckiego kaprała wszyscy wracali biegiem na swoje miejsce, kolumna ruszała ze śpiewem i znikła powoli z oczu mieszkańców wsi, pochłonięta przez zielone i żółte morze bezkresnej równiny. Gromadki kobiet, starców i dzieci długo jeszcze towarzyszyły kolumnie, śmiejąc się a płacząc, potem zatrzymywały się i stały tak, machając jeńcom na pożegnanie rękami i przesyłając im całusy na końcach palców, a oni odchodzili w blasku słonecznym, pełnymi kurzu drogami, raz po raz odwracając głowy, żeby zawołać: „Do swidania, dorogaja! Do widzenia, kochana!” Żołnierze z eskorty, z karabinami maszynowymi przez ramię, szli gawędząc i śmiejąc się pomiędzy rzędami słoneczników. A słoneczniki wychylały się z szeregu, jakby chciały przypatrzeć się jeńcom, długo wodząc za nimi czarnymi okrągłymi oczyma, dopóki kolumna nie zniknęła w tumanach pyłu.

Tak, teraz wojna zwycięska była skończona, zaczynała się wojna przegrana, Dreissigjahrigerblitzkrieg, „błyskawiczna wojna trzydziestoletnia”, kolumny jeńców pojawiały się coraz rzadziej; niemieccy żołnierze z eskorty nie chodzili już z karabinami przewieszonymi przez ramię, z pogwarkami i śmiechem, tylko naciskali na boki kolumny wrzeszcząc ochryplymi głosami i mierząc w jeńców czarnym, błyszczącym okiem erkaemów. Błdzi i wychudli jeńcy z trudem wlekli nogi w błocie, byli głodni, niewyspani, a po wsiach kobiety, starcy i dzieci wodzili za nimi wzrokiem pełnym łez mówiąc po cichu: „Niczewo, niczewo” nie mieli już nic, ani kawałka chleba, ani kubka mleka, Niemcy zabrali wszystko, wszystko pokradli. „Niczewo, niczewo, dorogaja, nie szkodzi, wsio rawno, wsio rawno, wszystko jedno, kochana” - odpowiadali jeńcy. I kolumna przechodziła przez wieś bez zatrzymania, pod strugami deszczu, wybijając nogami beznadziejny rytm, wsio rawno, wsio rawno, wsio rawno, człapiąc w niezmiernym morzu czarnego błota.

Potem zaczęły się pierwsze „lekcje na świeżym powietrzu”, pierwsze egzaminy z umiejętności czytania, odbywane na podwórzach kołchozów. Jedna z tych lekcji, jedyna, przy której zdarzyło mi się asystować, odbywała się na podwórzu kołchozu w pobliżu Niemirowskoje. Od tamtej pory z reguły odmawiałem, ilekroć mi proponowano to widowisko.

- Warum nicht? - pytali niemieccy oficerowie, podwładni generała von Schoberta - dlaczego nie chce pan zobaczyć lekcji na świeżym powietrzu? To bardzo ciekawy eksperyment, sehr interessant.

Jeńcy stali w szeregu na kołchozowym podwórzu. Wzdłuż ogrodzenia, w obszernych otwartych szopach, piętrzyły się byłe jak rzucone na stosy setki maszyn rolniczych, żniwiarek, koparek, pługów mechanicznych, młocarni. Padał deszcz, jeńcy byli przemoknięci do szpiku kości. Stali tam już od paru godzin, milcząc i podpierając się wzajemnie. Przeważnie były to jasnowłose chłopaki o krótko

ostrzyżonych głowach, szerokich twarzach i jasnych oczach. Mieli duże, płaskie dłonie o krótkich, stwardniałych, powykrzywianych nieco palcach. Prawie sami chłopci. Robotników - przeważnie byli to mechanicy i rzemieślnicy zatrudnieni w kołchozie - można było odróżnić po wzroście i rękach: byli na ogół wyżsi, szczuplejsi, skórę mieli jaśniejszą, ręce szczupłe, o długich palcach wygładzonych w zetknięciu z młotkami, heblami, kluczami francuskimi, śrubokrętami i dźwigniami motorów. Twarze mieli też bardziej surowe, oczy posępne.

W pewnej chwili na podwórzu kołchozu wkroczył feldfebel niemiecki wraz i tłumaczem. Feldfebel był mały i tłuśny, z gatunku tych, których nazywałem żartobliwie Fettwebel; szeroko rozkraczony stanął przed jeńcami i zaczął przemawiać do nich dobrodusznym, ojcowskim tonem. Zapowiedział, że teraz odbędzie się egzamin z czytania, że każdy będzie musiał przeczytać głośno urywek z gazety: kto wyjdzie z próby zwycięsko, zostanie zatrudniony jako pisarz w kancelariach i biurach obozów jenieckich. Inni, którzy egzaminu nie zdadzą, pójdą do robót ziemnych, jako kopacze czy tragarze.

Funkcje tłumacza pełnił drobny i chudy Sonderführer, najwyżej trzydziestoletni, o bladej twarzy usianej czerwonymi pryszczami; był urodzony w Rosji, w niemieckiej osadzie Melitopol, i mówił po rosyjsku z dziwnym niemieckim akcentem. (Kiedy go pierwszy raz spotkałem, powiedziałem mu żartem, że Melitopol znaczy „miodowe miasto”. „A tak, jest dużo miodu w okolicy Melitopola - odburknął - ale ja się nie zajmuję hodowlą pszczół: jestem nauczycielem”.) Sonderführer przetłumaczył słowo po słowie dobroduszną przemowę Fettwebla i dodał od siebie, tonem karcącego swych uczniów nauczyciela, żeby pilnie zważali na wymowę, czytali starannie a płynnie, gdyż, jeśli im się próba nie powiedzie, będą mieli czego żałować.

Jeńcy słuchali w milczeniu, a kiedy Sonderführer zakończył przemowę, zaczęli mówić wszyscy naraz, między sobą. Niektórzy wydawali się bardzo zawstyżeni, rozglądali się dokoła wzrokiem zbitego psa i rzucali ukradkowe spojrzenia na swoje stwardniałe chłopięce ręce. Inni natomiast śmiali się z zadowoleniem, pewni, że chlubnie przejdą próbę i zostaną przydzieleni do biur jako pisarze.

- Hej, Piotrze, ej ty, Iwanuszka! - pokrzykiwali na towarzyszy z prostoduszną uciechą właściwą rosyjskim chłopom. Robotnicy natomiast milczeli, surowymi twarzami zwróceni ku budynkowi zarządu kołchozu, w którym mieściło się niemieckie dowództwo. Czasami któryś popatrzył na feldfebla, ale ani jednym spojrzeniem nie zaszczycał Sonderführera. Oczy ich były chmurne, posępne.

- Ruhe! Cisza! - wrzasnął ni stąd, ni zowąd feldfebel.

Nadchodziła grupka oficerów; na czele szedł stary pułkownik, wysoki i chudy, nieco przygarbiony, o krótko przyciętych szpakowatych wąsach; idąc pociągał lekko nogą. Spojrzał roztargnionym wzrokiem na jeńców i zaczął mówić szybko a monotonicznie, potykając słowa, jakby bardzo się spieszył. Przy końcu każdego zdania robił pauzę, patrząc uparcie w ziemię. Powiedział, że ci, którzy wyjdą z próby zwycięsko... itd., itd. Sonderführer przetłumaczył słowo po słowie krótkie przemówienie pułkownika, dodając od siebie, że rząd w Moskwie wydał wiele miliardów na szkolnictwo powszechne - on dobrze o tym wie, nie darmo był przed wojną nauczycielem w niemieckiej szkole w Melitopolu - i że ci wszyscy, którzy nie zdadzą egzaminu, będą skierowani do robót ziemnych; sami będą sobie winni, skoro w szkole niczego się nie nauczyli. Wydawało się, że Sonderführerowi bardzo zależy na tym, żeby wszyscy czytali poprawnie i płynnie.

- Iluż ich jest? - zapytał pułkownik feldfebla drapiąc się w podbródek ręką obciążoną rękawiczką.



- Stu osiemnastu - odparł feldfelbel.

- Po pięciu naraz, dwie minuty na każdą grupę - zadysponował pułkownik. - Powinniśmy się z tym załatwić w godzinę.

- Jawohl! - rzekł feldfelbel.

Pułkownik skinął na jednego z oficerów, który trzymał pod pachą plik gazet, i rozpoczęto egzamin.

Pięciu jeńców wystąpiło krok naprzód, każdy z nich wyciągnął rękę po gazetę, którą oficer mu podawał (były to stare numery „Izwestii” i „Prawdy” znalezione w kancelarii kołchozu), i zaczął głośno czytać. Pułkownik uniósł lewe ramię, żeby spojrzeć na zegarek, i tak już pozostał, z ręką na wysokości piersi; nie odrywając wzroku od wskazówek. Deszcz padał, gazety nasiąkały wodą i zwisały miękko w rękach jeńców. Jedni byli bladzi, inni bardzo czerwoni, złani potem, utykali, zacinali się, jękali, mylili akcent, przeskakiwali wiersze. Wszyscy umieli czytać, ale słabo, z wyjątkiem jednego, który czytał pewnie, powoli, raz po raz unosząc wzrok znad gazety. Sonderführer przysłuchiwał się z ironicznym uśmiechem, w którym dawała się dostrzec odrobina pogardy. Z tytułu swojej funkcji tłumacza był w tej sprawie sędzią. Tak, był sędzią. Patrzył uważnie na czytających, przesuwając spojrzeniem od jednego do drugiego z wystudiowaną, złośliwą powolnością.

- Halt! - powiedział pułkownik.

Pięciu jeńców uniosło oczy znad gazet i zastygło w oczekiwaniu.

A kiedy feldfelbel, na znak dany przez sędziego, zawołał: „Ci, którzy odpadli przy egzaminie, przejdą na lewo, o tam. Ci, którzy zdali, na prawo, tutaj” - i kiedy pierwsi obcięci, czterej, przeszli potulnie na lewą stronę i stanęli zbici w gromadkę, przez szeregi jeńców przebiegł młodzieńczy śmiech, wesoły i drwiący, chłopski śmiech. Pułkownik opuścił ramię i zaczął się śmiać także, za nim oficerowie i feldfelbel, nawet ponury Sonderführer.

- Oj, biedni, biedni - mówili jeńcy do zdyskwalifikowanych kolegów - poślą was na roboty drogowe, będziecie kamienie dźwigali na plecach - i śmiali się złośliwie. Ten, który zdał, sam jeden stojący po prawej stronie, śmiał się głośniejsz od innych i żartował z mniej szczęśliwych towarzyszy. Śmiali się wszyscy z wyjątkiem tych jeńców, którzy wyglądali na robotników; patrzyli oni uporczywie w twarz pułkownika i milczeli.

Przyszła kolej na następną piątkę: ci także starali się czytać jak najlepiej, bez jękania się, przekręcania słów i mylenia akcentu, ale tylko dwóch czytało naprawdę płynnie. Trzej inni, to czerwieniąc się ze wstydu, to blednąc z niepokoju, trzymali gazety w kurczowo zaciśniętych rękach i raz po raz zwilżali językiem spieczoną wargi.

- Halt! - rzekł pułkownik. Pięciu jeńców podniosło wzrok, gazetami ocierając spocone czoła.

- Wy trzej na lewo, wy dwaj na prawo! - wrzasnął feldfelbel na znak Sonderführera. I towarzysze znów zaczęli pokpiwać sobie z tych, co nie zdali egzaminu: „Oj, biedny Iwan! Oj, biedny Piotr!”, i wskazywali na barki, jakby mówili: „Przyjdzie wam dźwigać kamienie”. I wszyscy się śmiali.

Ale jeden z trzeciej piątki czytał doskonale - płynnie, wyraźnie oddzielając sylaby, i raz po raz podnosił oczy, żeby spojrzeć w twarz pułkownikowi. Dostał do czytania stary numer „Prawdy” z 2 czerwca

1941; na pierwszej stronie widniał tytuł: „Niemcy napadli na Rosję! Towarzysze żołnierze, naród radziecki zwycięży, wypędzi najeźdźców!” Słowa dźwięczały mocno w nasiąkniętym deszczem powietrzu, pułkownik śmiał się, śmiał się i Sonderführer, i feldfelbel, i oficerowie, śmiali się wszyscy nie wyłączając jeńców, patrzących z podziwem i zazdrością na towarzysza, który tak pięknie czytał jak sam nauczyciel w szkole.

- Brawo! - powiedział Sonderführer rozpromieniony; wydawał się niemal dumny i tego jeńca tak świetnie czytającego, szczęśliwy i dumny, jak gdyby to był jego własny uczeń.

- Ty tu, na prawo - rzekł feldfelbel do jeńca, popychając go po przyjacielsku otwartą dłońią. Pułkownik spojrzał na feldfelbla, zdawało się, że chce coś powiedzieć, ale się powstrzymał; zauważyłem tylko, że się lekko zaczerwienił.

Grupa po prawej stronie śmiała się z zadowoleniem. Promowani spoglądali złośliwie na tych, którym się nie powiodło, stukali się palcem w pierś mówiąc: „Pisarze!”, robili do tamtych miny i wołali z cicha: „Kamienie na grzbiet!” Tylko jeńcy o wyglądzie robotników, jeden po drugim dołączający do grupy promowanych, na prawo, milczeli nie spuszczać wzroku z pułkownika. Ten zaś, napotkawszy w pewnej chwili spojrzeniem ich uporczywy wzrok, zaczerwienił się mocno i z gestem zniecierpliwienia krzyknął:

- Schnell! Prędzej!

Egzamin ciągnął się około godziny. Kiedy wreszcie ostatnia grupa jeńców - zostało już tylko trzech - odbyła swoje dwuminutowe czytanie, pułkownik odwrócił się do feldfelbla i rozkazał: „Policzcie ich”.

Feldfelbel zaczął liczyć z daleka, wskazując wyciągniętym palcem: „Eins, zwei, drei...” Tych po lewej stronie, odrzuconych, było osiemdziesięciu siedmiu, tych promowanych, po prawej, trzydziestu jeden. Na dany przez pułkownika znak Sonderführer zaczął mówić. Robił zupełnie wrażenie nauczyciela, który nie jest ze swoich uczniów zadowolony. Powiedział, że spotkał go zawód, przykro mu, że musiał tyłu obciąć przy egzaminie, byłby bardziej rad, gdyby mógł wszystkich promować. Ale ostatecznie ci, którym się nie udało, nie mają powodu do obaw: będą dobrze traktowani, nie będą się z pewnością mieli na co skarżyć, byleby dobrze pracowali i wykazali więcej pilności w pracy niż na szkolnej ławie. Podczas tej przemowy grupa promowanych spoglądała na tamtych ze współczuciem, młodszy nawet szturchali się łokciami w boki śmiejąc się ukradkiem. Kiedy Sonderführer skończył, pułkownik rzekł zwracając się do feldfelbla:

- Alles in Ordnung. Weg! - i nie oglądając się ruszył w stronę lokalu dowództwa, a za nim poszli oficerowie; ci jednak oglądali się raz po raz i coś mówili przyciszonymi głosami.

- Do jutra zostaniecie tutaj, a jutro pójdziecie do obozu pracy - oznajmił feldfelbel grupie z lewej strony. Po czym zwracając się do grupy po prawej stronie, ostrym głosem kazał im się ustawić w szeregu. Zaledwie jeńcy stanęli jeden przy drugim, łokieć przy łokciu (wydawali się uradowani i nie przestawali podśmiewać się z towarzyszy), przeliczył ich szybko raz jeszcze, powiedział: - Trzydziestu jeden - i ręką dał znak plutonowi SS czekającemu w głębi podwórza. Następnie rzucił rozkaz: „W tył zwrot, naprzód marsz!”

Jeńcy zrobili w tył zwrot, pomaszzerowali mocno tupiąc nogami po błocie, a kiedy doszli do końca podwórza i stanęli twarzami zwrócenii do muru, feldfelbel krzyknął: „Halt!”, obrócił się do SS-manów,

którzy ustawivszy się z tyłu za jeńcami unieśli erkaemy w górę, odchrząknął, splunął na ziemię i wrzasnął: „Feuer!”

Na dźwięk salwy pułkownik, który tymczasem doszedł już prawie do budynku dowództwa, zatrzymał się i odwrócił raptownie, i to samo zrobili oficerowie. Pułkownik przesunął ręką po twarzy, jak gdyby ocierał ją z potu, i wszedł do budynku, a za nim oficerowie.

- So! - powiedział Sonderführer z Melitopola przechodząc obok mnie. - Trzeba oczyścić Rosję z całej tej uczonej hołoty. Chłopi i robotnicy, jeżeli za dobrze umieją czytać i pisać, są niebezpieczni. Wszystko to komuniści.

- Natürlich - odpowiedziałem. - Ale w Niemczech wszyscy, robotnicy i chłopi, doskonale umieją czytać i pisać.

- Naród niemiecki jest narodem o wysokiej kulturze.

- Oczywiście. O wysokiej kulturze.

- Nicht wahr? - roześmiał się Sonderführer i oddalił się w kierunku dowództwa.

Zostałem sam na środku podwórza, patrzyłem na jeńców, którzy nie umieli dobrze czytać, i drżałem.

Potem, w miarę jak rósł ich mistyczny strach i rozszerzała się w ich oczach tajemnicza biała plamka, Niemcy zaczęli zabijać jeńców, którym odparzone czy poranione nogi utrudniały marsz, puszczać z dymam wsie, jeśli nie mogły dostarczyć oddziałom rekwizycyjnym tyłu a tyłu miar ziarna czy mąki, tyłu a tyłu miar kukurydzy czy jęczmienia, tyłu a tyłu koni i sztuk bydła.

A kiedy zabrakło im Żydów, zabrali się do wieszania chłopów. Wieszali ich za szyję albo za nogi na gałęziach drzew, na placzkach pośrodku wsi, dokoła pustych cokołów, na których do niedawna wznosiły się gipsowe pomniki Lenina czy Stalina; wieszali ich obok nasiąkniętych deszczem zwłok Żydów, które kołysały się przez wiele dni i nocy pod czarnym niebem, i obok psów, należących do tychże Żydów i powieszonych na tych samych gałęziach co ich właściciele. „Żydowskie psy, die jüdischen Hunde” - mówili przechodząc niemieccy żołnierze.

Wieczorem, kiedy zatrzymywano się na nocleg we wsi (znajdowaliśmy się teraz w samym sercu dawnej kozaczyzny naddnieprzańskiej) i rozpalano ogień, żeby wysuszyć na sobie przemoczoną na deszczu odzież, żołnierze klęli przez zęby i pozdrawiali się między sobą: „Ein Liter!” Nie mówili: „Heil Hitler”, mówili „Ein Liter”, litr. I śmiali się wyciągając w stronę ognia obrzmiałe nogi pokryte białymi pęcherzami.

Były to pierwsze wsie kozackie, jakie spotykaliśmy w naszym powolnym, mozolnym, nie kończącym się marszu na wschód. Starzy brodaczy Kozacy siedzieli na przyzbach swoich chat i przyglądali się przeciągającym przez wieś kolumnom niemieckich ciężarówek, ale często też spoglądali w górę, na niebo pochylające się łagodnie nad ogromną równiną; przepiękne niebo Ukrainy, delikatne i lekkie, wsparte nad horyzontem na potężnych doryckich kolumnach niepokalanie białych obłoków wypełzających z głębi purpurowych jesiennych stepów.

- Berlin raucht Juno - mówili żołnierze i śmiali się rzucając starym, siedzącym na przyzbach Kozakom puste opakowania od papierosów Juno. Zaczynało brakować tytoniu i żołnierze klęli. - Berlin raucht

Juno! - wykrzykiwali szyderczo. Przed oczyma stawały mi berlińskie autobusy i tramwaje z wielkimi napisami reklamowymi: „Berlin raucht Juno” i schody wiodące do U-Bahn upstrzone tymi samymi słowami - „Berlin raucht Juno” - wymalowanymi czerwoną farbą na każdym stopniu. I tłum berliński, ponury, niezdarny, niedomyty, o twarzach barwy popiołu, lśniących od smarów i potu, rozczochrane kobiety z zaczerwienionymi oczyma, popuchniętymi rękami, w pończochach pozaszywanych szpagatem, starcy i dzieci o twardym i pogardliwym wyrazie twarzy. W tym tłumie ponurym i zalęknionym snuli się gdzieś gdzie żołnierze przybyli na urlop i rosyjskiego frontu, ci żołnierze milczący, chudzi, surowi, wszyscy prawie, nawet zupełnie młodzi, mniej lub bardziej wytyśiali; widziałem, jak w ich oczach rośnie owa tajemnicza biała plamka, i myślałem o Herrenvolku, o jego niepotrzebnym, okrutnym, beznadziejnym heroizmie. „Aus dem Kraftquell Milch”<sup>22</sup> - mówili szyderczo żołnierze rzucając starym Kozakom ostatnie puste puszki od mleczno-jajecznego „Milei”. Na etykietkach walających się w błocie puszek napisane było: „Aus dem Kraftquell Milch”, i dreszcz mi przebiegał po grzbiecie na myśl o Herrenvolku, o tajemniczej trwodze Herrenvolku.

Nieraz nocą odchodziłem dalej od biwaku albo wychodziłem z domu, w którym znalazłem nocleg, zabierałem z sobą koce i układałem się do snu gdzieś w zbożu w pobliżu wsi czy obozu. Leżąc pomiędzy nasiąkniętymi deszczem kłosami czekałem świtu, słuchając w półśnie hałasu przeciągających drogą trenów, oddziałów rumuńskiej kawalerii czy kolumny czołgów. Słyszałem ochryple, brutalne głosy niemieckie i wesole, ostre - rumuńskie. Gromady zgłodniałych bezpańskich psów przybiegały i obwąchiwały mnie merdając ogonami, te żółtawe małe kundły ukraińskie o czerwonych oczkach i krzywonogie. Czasem taki psiak związał się w kłębek u mego boku, lizał mnie po twarzy, a ilekroć na pobliskiej ścieżce słychać było jakieś kroki albo zboże głośniejsze zaszumiło w podmuchu wiatru, pies warczał z cicha, a ja mówiłem mu: „Leżeć, Dimitrij”, i zdawało mi się, że przemawiam do człowieka, do rosyjskiego człowieka. Mówiłem: „Cicho, cicho, Iwan”, jakbym mówił do któregoś z tych jeńców, którzy tak się starali czytać jak najlepiej i zdali egzamin, a teraz leżeli w błocie z twarzami przeżartymi wapnem, tam, pod murem kołchozowego podwórza, w owej wsi niedaleko Niemirowskoje.

Pewnej nocy położyłam się na polu słoneczników. Był to istny las, gęsty bór słonecznikowy. Przygarbione na swoich wysokich kosmatych łodygach, z przymglonymi sennie wielkimi, okrągłymi czarnymi oczyma o żółtych rzęsach, słoneczniki drzemały ze zwieszonymi głowami. Noc była pogodna, wygwieżdżone niebo lśniło zielonymi i błękitnymi refleksami, jak wewnątrz olbrzymiej muszli morskiej. Spałem głęboko, o świcie zbudził mnie cichy łagodny szelest, podobny do odgłosu bosych stóp na trawie. Nastawiłem uszu wstrzymując oddech. Od pobliskiego biwaku dolatywało kasłanie i kichanie silników, ochryple głosy nawoływały się w lesie, nad strumieniem. Gdzieś daleko czekał pies. Nisko na widnokręgu słońce wydostawało się z czarnej skorupy nocy, czerwone i gorące wstawało nad błyszczącą od rosy równiną. Szelest wzrastał z minuty na minutę, potężniał, przypominał trzeszczenie płonącego chrustu albo przyciszone kroki ogromnego wojska, przesuwanego się ostrożnie przez ścierniska. Leżałem na ziemi wstrzymując oddech i patrzyłem, jak słoneczniki z wolna unoszą żółte powieki i po trochu, coraz szerzej otwierają oczy.

Nagle zobaczyłem, że słoneczniki podnoszą zwieszane głowy i okręcając się powoli na swych wysokich łodygach z coraz głośniejszym zgrzytaniem i trzeszczeniem zwracają wielkie czarne oczy ku wschodzącemu słońcu. Był to ruch powolny, jednostajny, wszystko ogarniający. Cały las słoneczników

---

<sup>22</sup> Z mleka, które daje siłę.

odwracał się, by podziwiać młodą glorię słońca. Wówczas i ja zwróciłem twarz ku wschodowi i patrzyłem, jak słońce wyłania się powoli z czerwonych oparów świtu i przebija przez sine obłoki dymu dogasających na równinie pożarów.

Deszcze ustały i po kilku dniach zimowego, porywistego wiatru, przyszedł nagle mróz. Nie śnieg, tylko nagły i okrutny mróz jesienny. Błoto skamieniało w ciągu nocy, kałuże pokryły się lśniąco szklistą powłoką, cienką jak ludzka skóra. Powietrze stało się przejrzyste, szaroniebieskie niebo wydawało się splekane jak stare lustro.

Marsz niemiecki na wschód przybrał szybsze tempo, huk dział, grzechot karabinów maszynowych rozbrzmiewał sucho i czysto, nie obramiony echem. Ciężkie czołgi generała von Schoberta, które w ciągu długiego okresu słoty poruszały się z trudem, niezdarnie jak ropuchy w lepkim, ciężkim błocie równiny ciągnącej się od Bohu po Dniepr, zaczęły znowu głośno warczeć na ściętych mrozem traktach. Niebieskawe dymki z rur wydechowych rysowały nad koronami drzew lekkie obłoczki, które rozwiewały się szybko, pozostawiając jednak po sobie w powietrzu jakiś nieuchwytny ślad.

Był to najgroźniejszy moment w wielkim kryzysie rosyjskim jesienią 1941. Armia marszałka Budionnego, radzieckiego Murata, wycofywała się powoli nad Don, pozostawiając jako straż tylne patrole kawalerii kozackiej i baterie małych czołgów, które Niemcy nazywali Panzerpferde, konie pancerne. Panzerpferde były to małe, bardzo szybkie maszyny, pilotowane przeważnie przez młodych robotników tatarskich, „stachanowców” i „udarników” z radzieckich hut stali nad Donem i Wołgą. Ich taktyka była taka sama, jak taktyka kawalerii tatarskiej: pojawiały się niespodzianie na flankach szarpiąc nieprzyjaciela i zaraz znikwały znowu w chaszczach i lasach, przyczajały się w byle fałdce terenu, po czym wyskakiwały znów na tyłach, zataczając szerokie koła na łąkach i ścierniskach. Taktyka szwoleżerska, z której sam Murat mógłby być dumny. Tankietki uwijały się po równinie jak konie na manewrze.

Ale i Panzerpferde ukazywały się z każdym dniem rzadziej. Zadawałem sobie pytanie, gdzie jest Budionny, gdzie u licha podziewa się wąsaty Budionny ze swoją ogromną kawalerią kozacką i tatarską. W Jampolu, kiedy przeszliśmy Dniestr, chłopci mówili: „Ej, Budionny czeka na was za Bohem!” Przeszliśmy Boh i chłopci mówili: „Oho, czeka na was za Dnieprem.” A teraz mówią z miną ludzi dobrze poinformowanych: „Oho, Budionny czeka na was za Donem.” Tymczasem Niemcy zapuszczali się coraz dalej w głąb ukraińskiej równiny, wbijali się w nią jak nóż i już rana bolała, zaogniała się, stawała się trudna do uleczenia. Wieczorami po wsiach, w których zatrzymywaliśmy się na noc, słuchałem chrypliwego głosu gramofonów (gramofon i stos płyt można było znaleźć w lokalu każdego miejscowego sowietu, w kancelarii kotchozu, w każdym „uniwersytecie”). Były to przeważnie pieśni fabryczne, kotchozowe, piosenki z klubów robotniczych, i zawsze, w każdym zestawie, znalazła się też płyta z „Marszem Budionnego”); słuchałem więc „Marsza Budionnego” i myślałem sobie: „Co, u diabła, robi Budionny? Gdzie się podział ten wąsacz Budionny?”

Pewnego pięknego dnia Niemcy zaczęli polować na psy. Z początku myślałem, że chodzi tu o jakiś wypadek wściekliczny i że generał von Schobert kazał wobec tego tępić psy. Ale wkrótce zorientowałem się, że musi się w tym kryć coś innego. Natychmiast po wkroczeniu do jakiejś wsi, jeszcze przed polowaniem na Żydów, zaczynało się polowanie na psy. Grupy SS-manów i Panzerschützów uganiały po wiejskich drogach strzelając z erkaemów i rzucając granaty ręczne na

nieszczęsne żółte kundelki o czerwonych błyszczących oczach i krzywych łapkach; wyciągano je z sadów i warzywników, ścigano wytrwale i bez litości po polach. Biedne zwierzęta uciekały do lasów albo przyczajały się w rowach, norach, pod płotami sadów, albo chroniły się w domach zaszywając się cichaczem w ciemnych kątach, pod łózkami, za piecem, pod ławami. Niemieccy żołnierze wpadali do domów, wyciągali psy z ich kryjówek i tłukli na śmierć kolbami.

Najbardziej zaciekli w tych łowach byli czołgiści. Wydawało się, że mają z tymi nieszczęsnymi zwierzętami jakieś osobiste porachunki. „Dlaczego to?” - pytałem Panzerschützw. Ale oni patrzeli ponuro, mówili sucho: „Niech pan spyta psy” - i odwracali się do mnie plecami.

Ale starzy Kozacy siedzący na przyzbach swoich domów uśmiechali się pod wąsem, uderzali się rękami po kolanach. „Ach, biedne psy - mówili - ach, biedne sobaczki!” - i uśmiechali się złośliwie, jak gdyby litowali się nie tyle nad biednymi psami, ile nad biednymi Niemcami. Staruszki wyczerające przez płoty sadów, dziewczęta schodzące do rzeki z dwoma wiadrami na koromysłach, dzieci wynoszące na pole pomordowane psy, żeby je tam litościwie pochować - wszyscy mieli na ustach ten sam uśmieszek, smutny i złośliwy zarazem. Nocą na polach i w lasach rozlegało się posępne wycie, żałobne skomlenie i ujadanie, psy węszyły w pobliżu domów w poszukiwaniu pożywienia, a warty niemieckie krzyczały: „Kto idzie” dziwnym, nieswoim głosem. Czuło się, że dręczy ich lęk przed czymś okropnym i tajemniczym; że boją się tych psów.

Pewnego ranka znalazłem się na artyleryjskim punkcie obserwacyjnym, żeby z bliska obserwować atak niemieckiej dywizji pancerniej. Formacja ciężkich czołgów czekała pod osłoną lasu na rozkaz rozpoczęcia ataku. Ranek był pogodny i mroźny, pola lśniły szronem, lasy słończników wydawały się czarne i żółte w promieniach wschodzącego słońca (było ono jak słońce Ksenofonta z trzeciej księgi Anabasis; wstawało wśród różowych oparów, w głębi horyzontu, podobne do młodego antycznego boga, nagie i różowe pośród niezmiernego błękitnozielonego morza niebios, wschodziło rzucając blask na dorycki portyk piatiletki, na kolumny tego Partenonu z cementu, szkła i stali, jakim jest ciężki przemysł ZSRR), i nagle zobaczyłem kolumnę czołgów, która wyłoniła się z lasu i utworzyła na równinie szeroko rozarty wachlarz.

Na krótko przed rozpoczęciem ataku przybył na punkt obserwacyjny generał von Schobert. Badał wzrokiem pole bitwy i uśmiechał się. Czołgi i oddziały szturmowe, posuwające się ich śladem, wyglądały jak wryte ostrym narzędziem na miedzianej płycie rozległej równiny, która rozciąga się na południowy wschód od Kijowa. Było coś z Dürera w tej scenie narysowanej z suchą precyzją, w postaciach żołnierzy dziwnie okutanych w sieci maskujące, podobnych do starożytnych sieciarzy i rozmieszczonych niby figury alegoryczne na obramowaniu tego miedziorytu; Dürerowska była owa szeroka i głęboka perspektywa drzew, czołgów, armat, maszyn, ludzi i koni rozmaicie rozmieszczonych, z pierwszym planem opadającym łagodnie od punktu obserwacyjnego w dół Dniepru. I dalej, w miarę jak perspektywa rozszerzała się i pogłębiała, w sylwetkach ludzi nisko pochylonych, sunących tuż za czołgami z bronią maszynową gotową do strzału, w „pancerach” rozrzuconych tu i ówdzie w wysokich zielskach czy w kępach słończników. Było coś z Dürera w iście gotyckiej dbałości o przyciągające oko szczegóły - tu rozwarłe szczęki martwego konia, tam znów ranny, czołgający się w zaroślach, czy ów żołnierz oparty o pień drzewa, trzymający nad czołem otwartą dłoń, żeby osłonić oczy przed blaskiem słonecznym - jak gdyby igła rytownika zatrzymała się na nich dłużej i ciężar ręki wyźłobił w miedzianej płycie znak odrobinę głębszy. Nawet ochryple głosy

ludzkie, rżenie koni, rzadkie, suche odgłosy strażaków i trzask odciąganych spustów zdawały się wryte przez Dürera w przejrzystym, zimnym powietrzu jesiennego ranka.

Generał von Schobert uśmiechał się. Unosił się już nad nim cień śmierci, leciutki cień, podobny do sieci pajęczej; ale on musiał już odczuwać jego ciężar na czole, z pewnością wiedział, że w niewiele dni później polegnie na przedmieściu Kijowa i że jego śmierć będzie miała w sobie coś z tego kapryśnego wdzięku wiedeńskiego, który przebijał z frywolnego nieco wykwintu jego manier. Może wiedział, że zginie wkrótce, lądując swoim małym „bocianem” na lotnisku dopiero co zajętego Kijowa; że koła samolotu, muskając czubki traw lotniska, dotkną miny i on sam zniknie w olśniewającym bukacie czerwonych kwiatów, wykwitłych z niespodziewanej eksplozji; tylko chusteczka z niebieskiego płótna, z białą wyhaftowanymi inicjałami generała, miała opaść nietknięta na trawę lotniska. Generał von Schobert był jednym z tych bawarskich panów starej daty, dla których Wiedeń oznacza tylko żartobliwą nazwę Monachium. Coś staroświeckiego i młodzieńczego zarazem, jakiś wdzięk démodé był w jego suchym profilu, w jego ironicznym smętnym uśmiechu i jakaś marzycielska melancholia w jego głosie, kiedy w Balcach, w Besarabii, mówił mi: „Niestety! Walczymy z białą rasą” - albo kiedy w Soroce nad Dniestrem mówił: „Wir siegen unsern Tod, zwyciężymy naszą własną śmierć”. Chciał przez to powiedzieć, że ostatnim i najświetniejszym laurem zwycięstw niemieckich będzie śmierć niemieckiego narodu; że naród ten swoimi zwycięstwami zdobędzie własną śmierć. Owego ranka generał przyglądał się uśmiechnięty, jak kolumna czołgów rozwija się w wachlarz na kijowskiej równinie. Na marginesie Dürerowskiego miedziorytu wypisane było starym gotykiem: „Wir siegen unsern Tod”.

Czołgi, za którymi szły oddziały szturmowe, zapuściły się już daleko w opustoszałą równinę. Po początkowej strzelaninie głęboka cisza zapadła nad rozległą przestrzenią ściernisk ściętych pierwszym jesiennym mrozem. Wydawało się, że Rosjanie opuścili pole bitwy i wycofali się za rzekę. Roje jakichś dużych ptaków zrywały się z kęp akacji, nad łąkami unosiło się świergocząc mnóstwo małych szarych ptaszków podobnych do wróbli; ich skrzydełka lśniły w promieniach wschodzącego słońca; z bagniska poderwały się dwie dzikie kaczki i powoli powiosłowały w powietrzu skrzydłami. Nagle z odległego lasu wychynęło kilka drobnych czarnych punktów, po chwili było ich więcej i jeszcze więcej, poruszały się szybko, to znikały w zaroślach, to ukazywały się, bliżej, pędziły wprost na niemieckie „pancery”.

- Die Hunde! Die Hunde! Psy! Psy! - krzyczeli dokoła nas żołnierze głosami nabrzmiałymi przerażeniem. Wiatr niósł wesołe, dzikie ujadanie, głosy sfory goniącej lisa.

Na widok psów „pancery” zaczęły pędzić zygzakami, strzelając wściekle. Oddziały szturmowe zatrzymały się najpierw z wahaniem, a potem rozproszyły się, ludzie rzucili się do ucieczki ogarnięci widoczną paniką. Grzechot karabinów maszynowych rozlegał się czysto i lekko jak pobrzękiwanie szkła. Ujadanie sfory wgryzało się we wściekły warkot motorów, raz po raz rozlegał się słaby krzyk przyduszony wiatrem i zmieszany z szelestem traw:

- Die Hunde! Die Hunde!

Nagle dał się słyszeć głuchy huk eksplozji, po nim drugi, trzeci; dwa - trzy - pięć „pancerów” wyleciało w powietrze, stalowe płyty załśniły w wysokich fontannach ziemi.

- Ach, psy! - powiedział generał von Schobert przesuając dłonią po twarzy. (Były to „psy przeciwczołgowe”, nauczone przez Rosjan szukać pożywienia pod brzuchami czołgów. Przed

spodziewanym atakiem czołgów trzymało się je na linii frontu dwa, a nawet trzy dni o głodzie i kiedy niemieckie „pancery” wyłaniały się z lasu i formowały w wachlarz, żołnierze rosyjscy spuszczaali zgłodniałą sforę ze smyczy zagrzewając ją do biegu krzykiem: „Paszo! Paszo!” I psy, z których każdy miał na grzbiecie przytroczony ładunek silnego materiału wybuchowego, z małą sterczącą w górę anteną radiową, pędziły wprost na czołgi, pewne, że pod ich brzuchami znajdują, jak zwykle, jedzenie. Wciskały się pod czołgi i czołgi wylatywały w powietrze).

- Die Hunde! Die Hunde! - krzyтели przeraźliwie żołnierze dokoła nas. Śmiertelnie bład, z posępnym uśmiechem na bezkrwistych wargach, generał von Schobert przesunął dłonią po twarzy, potem spojrział na mnie i powiedział martwym głosem:

- O, dlaczego, dlaczego? I psy także?

Tak więc żołnierze niemieccy stawali się z każdym dniem okrutniejsi, polowanie na psy uprawiali z dziką zajadłością, a starzy Kozacy śmiali się bijąc rękami po kolanach.

- Ach, biedne sobaczki! Biedne psiny! - mówili. Nocami słychać było szczekanie na czarnych polach i niespokojne drapanie za płotami sadów. „Kto idzie?” - wołały niemieckie warty przerażonym głosem. Dzieci w chatach budziły się, zeskakiwały z łóżek, ostrożnie otwierały drzwi i po cichu nawoływały w ciemność: „Idi siuda, idi siuda, chodź tu, chodź tu, chodź!”.

Pewnego ranka powiedziałem do Sonderführera z Melitopola:

- Jak już je wszystkie wytępicie, jak już w całej Rosji nie będzie psów, to pod brzuchy waszych czołgów zaczną się wciskać rosyjskie dzieci.

- Ach, wszyscy oni jednacy - odparł - wszystko psie syny.

I odszedł splunąwszy na ziemię z głęboką pogardą.

- I like Russian dogs - powiedział Westmann - they ought to be fathers of the brave Russian boys<sup>23</sup>.

## X. Noc letnia

Po nie kończącej się nocy zimowej, po zimnej, jasnej wiośnie nadeszło wreszcie lato. Ciepłe, delikatne, deszczowe lato fińskie o zapachu i smaku niedojrzałego jabłka. Zbliżał się sezon raków; już pierwsze, słodkie raki z rzek fińskich, przysmak północnego lata, czerwieniły się na półmiskach. I wcale nie zachodziło słońce.

- Niestety, musiałem przywędrować aż do Finlandii, ja, Hiszpan, żeby odnaleźć słońce Karola VI! - mówił hrabia de Foxá patrząc na nocne słońce kwitnące na linii widnokregu jak geranium w doniczce na parapecie okna. W przejrzyste wieczory w Helsinkach dziewczęta wychodziły na spacer w zielonych, czerwonych i żółtych sukienkach, z twarzami ubielonymi pudrem, z włosami

---

<sup>23</sup> Lubię rosyjskie psy, powinny być ojcami tych dzielnych rosyjskich chłopców.



zakręconymi gorącym żelazkiem i skropionymi wodą kolońską firmy Teo, w papierowych kapeluszach z papierowymi kwiatami, kupionymi u Stockmanna; przechadzały się po Esplanadzie skrzypiąc obuwem papierowym.

Słaby zapach morza szedł z głębi Esplanady. Na gładkich, jasnych fasadach domów kładły się lekkie cienie drzew, cień leciuteńko zielonkawy, jakby drzewa były ze szkła. Młodzi żołnierze-ozdrowieńcy, ten z obandażowanym czołem, inny z ręką na temblaku, jeszcze inny z nogą w gipsie, siedzieli na ławeczkach, słuchali muzyczki z Café Royal i patrzyli w niebo jak z niebieskiej bibułki, marszczącej się trochę nad linią dachów pod dotknięciem morskiej bryzy. Szyby wystawowe sklepów odbijały w sobie zimne, metaliczne, widmowe światło białej nocy polarnej, na którą świergot ptactwa kładł jak gdyby miękki, ciepły cień. Teraz zima była daleko, stała się już tylko wspomnieniem. Ale coś z zimy pozostało jeszcze w powietrzu: może było to owo białe światło podobne do refleksu śniegu; a może wspomnienie śniegu, jak pamięć o kimś zmarłym, nie chciało się jeszcze rozpuścić w ciepłym letnim niebie.

Rozpoczęły się country parties w Krankulla, w willi ministra pełnomocnego Italii, Vincenza Cicconardiego. (Siedząc przy kominku ze starym psem Rexem skulonym u jego nóg i starym, trochę zwariowanym lokajem, sztywno stojącym z wytrzeszczonymi oczyma za oparciem fotela, Cicconardi rozmawiał dialektem neapolitańskim z silnym akcentem berlińskim - był to jego specyficzny sposób mówienia po niemiecku - z ministrem pełnomocnym Niemiec von Blücherem. Mówiąc wykrzywił usta przytłoczone ciężarem potężnego burbońskiego nosa i składał modlitewnie ręce. W Cicconardim podobał mi się właśnie ten kontrast między jego chłodem, jego neapolitańską flegmą, jego ironią a dążnością do potęgi i chwały, uwydatnioną w dziwacznym kształcie i przesadnych rozmiarach jego czaszki, czoła, szczęk i nosa. Naprzeciw niego von Blücher, wysoki, chudy, nieco przygarbiony, z króciutko obciętymi szpakowatymi włosami, z sinoblądą twarzą poznaną cieniutkimi zmarszczkami, słuchał powtarzając co chwila monotonnie: „Ja, ja, ja”. Przez szybę okna Cicconardi rzucał od czasu do czasu okiem na swoich gości, spacerujących po lesie mimo deszczu, i na fiołkowy kapelusik pani von Blücher, który na tle zieleni drzew tworzył dysonans niby Renoirowski fiolet w zielonym pejzażu Moneta.) Zaczęła się też seria kolacji u Fiskatorpa, nad jeziorem, z udziałem ministra pełnomocnego Rumunii, Noti Constantinide, pani Colette Constantinide, hrabiego de Foxá, Dinu Cantemira i Titu Mihailescu, a także wieczory w poselstwach Hiszpanii, Chorwacji i Węgier. I długie popołudnia przy stolikach kawiarni na świeżym powietrzu, urządzonej w głębi Esplanady, albo w barze hotelu Kämp z ministrem Rafaelem Hakkarainenem i muzykiem Bengtem von Törne. I spaceru po chodnikach Esplanady pod zielonymi drzewami pełnymi ptaków, długie godziny, jakie spędzaliśmy na werandzie Yacht Clubu szwedzkiego na sztucznej wysepce zakotwiczonej pośrodku portu, patrząc, jak białe jaszczurki fal przemykają po zielonej powierzchni wody. I rozkoszne weekend nad jeziorami albo na plażach Barösundu, albo w willach, które Francuzi nazwaliby z właściwą sobie pychą châteaux, a Finowie, jak zawsze skromni, mówią o nich po prostu châteaux. Są to stare domy wiejskie z drzewa i stiuku, w stylu neoklasycyżnym inspirowanym przez architekta Engela; ich doryckie fasady okrywa zielony nalot pleśni. I radosne dni w willi, którą architekt Sirén, twórca gmachu Parlamentu w Helsinkach, zbudował sobie na wysepce Bockholm, na środku Barösundu; o świcie chodziliśmy na grzyby do lasu srebrzystych brzoź i rudych sosen albo na połów ryb między wyspą Svartö a wyspą Strömsö, a nocami słyhać było we mgle żałosne wycie syren okrętowych i krzyki mew, tak podobne do ochrypłego płaczu dziecka.

Zaczęły się jasne dni i białe noce fińskiego lata i czas dłużył się nieskończenie w okopach i schronach frontu pod Leningradem. Ogromne szare miasto na zielonym tle lasów, łąk i moczarów rzucało w świetle nocnego słońca dziwne metaliczne refleksy. Czasem wyglądało jak z aluminium, taki matowy, przygaszony był ów odblask, czasem jak ze stali, lśniącej zimno i okrutnie, czasem znów było srebrne o głębokim, żywym połysku. W pewne noce, kiedy patrzyłem na Leningrad z niskich pagórków Biełostrowa albo spod lasu w Teriokach, wydawał mi się naprawdę miastem ze srebra, wyczarowanym na horyzoncie delikatnym rylcem Fabergera, ostatniego ze słynnych złotników petersburskiego dworu. Godziny wydawały się nieskończenie długie w okopach i schronach ciągnących się wzdłuż wybrzeża morskiego, naprzeciw twierdzy Kronsztad, wyłaniającej się z wód Zatoki Fińskiej pośrodku wieńca Totlebenów, sztucznych wysepek ze stali i cementu, zbudowanych dokoła Kronsztadu.

Nocami nie mogłem sypiać i chodziłem ze Svartströmem po okopach, przystając raz po raz, żeby przez strzelnicę spojrzeć na park w Leningradzie, na drzewa Wyspy Wasilewskiej, tak drogie sercu Eugeniusza Oniegina i bohaterów Dostojewskiego, na kopuły kronsztadzkiej cerkwi, na czerwone, zielone i niebieskie światełka anten radiowych, szare dachy arsenału i drgające błyski radzieckiej floty wojennej zakotwiczonej na redzie, na wprost nas, nieomal pod ręką. Doprawdy miałem wrażenie, że wystarczyłoby wyciągnąć rękę nad parapetem okopu w Biełostrowie czy Teriokach, żeby dotknąć Leningradu, kopuły Issakijewskiego Soboru i bastionów kronsztadzkiej twierdzy, tak przezroczyście było powietrze w owe białe letnie noce. W lesie Raikkola nad Ładogą spędzałem długie godziny w korsu pierwszych linii, słuchając opowiadań fińskich oficerów o śmierci pułkownika Merikallio, mojego przyjaciela Merikallio, który przed śmiercią polecił córce przekazać swoje ostatnie pozdrowienie de Foxie, Mihailescu i mnie. Albo szedłem do którejś lottala w głębi lasu i popijałem sok z jeżyn razem z milczącymi, bladymi sissit z ostrymi puukko zawieszonymi u pasa, pod uważnym chłodnym spojrzeniem młodych lota w szarych płóciennych mundurkach, z bladymi twarzami wyłaniającymi się z białych kołnierzyków. A pod wieczór schodziłem ze Svartströmem nad Ładogę i przesiadywaliśmy długie godziny tam, gdzie brzeg zatacza mały łuk i gdzie w zimie sterczały głowy uwięzionych w lodzie koni; jakiś ślad ich żałosnej woni trwał jeszcze w powietrzu.

Kiedy wracałem z frontu do Helsinek, de Foxá mówił mi:

- Dziś wieczór pójdziemy napić się na cmentarzu.

I późną nocą, wyszedłszy z domu Titu Mihailescu, chodziliśmy na stary szwedzki cmentarz, który zachował się nietknięty w samym sercu Helsinek, między Boulevardi a Geargatu, i siadaliśmy na ławeczce przy grobie niejakiego Sierka. Piliśmy spierając się o to, która z fińskich wódek jest najlepsza - bordbrännvin, pommeransbrännvin, erikoisbrännvin czy rajamäribrännvin. Na tym romantycznym cmentarzu płyty grobowe wystają z bujnej trawy jak oparcie foteli i wyglądają naprawdę jak staroświeckie fotele rozstawione na scenie teatru (scena przedstawiała las). Na ławeczkach pod wielkimi drzewami siedzieli żołnierze niby nieruchome, żałosne mary. Wysokie drzewa o jasnozielonych liściach, w których drżał błękitny refleks morza, szumiały cicho.

Kiedy zbliżał się świt, de Foxá zaczynał rozglądać się podejrzliwie i mówić przyciszonym głosem.

- Czy słyszałeś o duchu z ulicy Kalevala? - zapytał. Bał się zjaw i upiorów, a lato jest w Finlandii, jak twierdził, sezonem duchów. - Chciałbym raz zobaczyć ducha, prawdziwego ducha - mówił cicho i drżał przy tym ze strachu, rozglądając się nieufnie dokoła. A kiedy po wyjściu z cmentarza

przechodziliśmy koło pomnika „Kalevali”, de Foxá przymykał oczy i odwracał głowę, żeby spojrzeć na widmowe posągi bohaterów tego eposu.

Pewnego wieczora poszliśmy zobaczyć na własne oczy ducha, który co noc, punktualnie o północy, ukazywał się w progu pewnego domu w głębi ulicy Kalevala. Mego przyjaciela de Foxę ciągnął na tę ponurą ulicę nie tyle dziecinny strach przed zjawami, ile chorobliwa ciekawość, jak też wygląda taki duch ukazujący się nie w nocnych ciemnościach, zgodnie z tradycją duchów, ale w pełnym świetle słonecznym, w oślepiającym blasku letniej nocy w Finlandii. Od kilku dni wszystkie gazety w Helsinkach pisały o duchu z ulicy Kalevala: każdego wieczora, tuż przed północą, winda w jednym z domów położonych w głębi ulicy, od strony portu, sama wprawiała się w ruch nagłym zrywem, wznosiła się na ostatnie piętro, zatrzymywała się i po krótkiej chwili zjeżdżała szybko i cicho w dół. Słychać było lekki trzask otwieranych drzwi windy, potem uchylały się drzwi wejściowe domu, w progu ukazywała się kobieta milcząca i blada. Przez długą chwilę wpatrywała się w tłum ludzi zgromadzonych na przeciwległym chodniku, potem cofała się powoli i równie powoli przymykały się drzwi. Po chwili słychać było trzaśnięcie drzwi windy i odgłos szarpnięcia, po czym winda sunęła cicho w górę, zamknięta w klatce ze stali.

De Foxá szedł ostrożnie, czujnie, raz po raz ściskając mnie lekko za ramię. Po drodze rzucaliśmy okiem na szyby wystaw sklepowych i na odbity w nich widmowy obraz postaci: twarze miały martwy blask białego wosku. Stanęliśmy przed domem ducha parę minut przed północą, w powodzi nocnego słońca. Dom był nowy, o ultranowoczesnej linii, cały lśnił jasnymi werniksami, szkłem i chromowaną stalą. Dach jeżył się radiowymi antenami. We wnęce drzwi wejściowych (były to drzwi otwierane i wnętrza poszczególnych mieszkań za pociśnięciem elektrycznego guziczka) widniała podłożona płytka aluminiowa z pionowym rzędem czarnych guziczków i wypisanymi obok nich nazwiskami lokatorów. Poniżej płytki wystawała ze ściany niklowana paszcza głośnika, przez który mieszkańcy mogli rozmawiać z przybyszem nie otwierając mu drzwi. Na prawo od wejścia był sklep Elanto z puszkami konserw rybnych w oknie wystawowym: dwie mocno zielone rybki na różowych etykietkach budziły skojarzenia z abstrakcyjnym światem widmowych symboli i znaków; na lewo znajdowała się fryzjerna z napisem „Parturi kampaamo”, wykonanym żółtymi literami na niebieskim tle, z woskową główką kobiecą, paru pustymi flakonikami i celuloidowymi grzebieniami na wystawie.

Ulica Kalevala jest wąska i fasada domu, widziana tak od dołu, zdawała się chylić grożąc runięciem na gromadkę ludzi stłoczoną na przeciwległym chodniku. Ta nowoczesna fasada, biała i połyskliwa, obfitująca w szkło i chromowaną stal, z dachem najeżonym antenami i z niezliczoną ilością szklanych oczu okien odbijających z zimną precyzją jasne nocne niebo, stanowiła idealną scenerię dla zjawy, która nie należała do gatunku ponurych nocnych upiorów, budzących litość i grozę, z sinymi kościstymi twarzami, spowitych w całuny i rozsnuwających trupi odór po starych uliczkach Europy, ale była zjawą ultranowoczesną, taką, jakie kojarzą się z architekturą Le Corbusiera, malarstwem Braque'a i Salvadora Dali, muzyką Hindemitha i Honeggera; dla takiego niklowanego, streamlined, ducha, jakie pojawiają się czasem u żałobnie posępnego wejścia Empire State Building, na szczytowym gzymsie Rockefeller Center, na pokładzie transatlantyku czy też w zimnym niebieskawym świetle centrali elektrycznej.

Spora grupa ludzi stała w milczeniu przed „domem ducha”; prości ludzie i zamożni mieszkańcy, kilku marynarzy, dwóch żołnierzy, grupka dziewcząt w mundurkach Lottasvärd. Sąsiednią ulicą raz po raz przejeżdżał tramwaj wywołując drżenie murów i podzwanianie szyb w oknach. Zza rogu ukazał się

rowerzysta, przemknął obok nas szybko, szelest opon po wilgotnym asfalcie zdawał się jeszcze wisieć przez chwilę w powietrzu, czuliśmy, że coś niewidzialnego przesuwają się przed naszymi oczyma. De Foxá, bardzo blady, wpatrywał się chciwie w drzwi domu nie przestając ścisnąć mego ramienia. Czułem, że drży z lęku i niecierpliwości.

Nagle usłyszeliśmy, że winda rusza z miejsca, przez chwilę słychać było jednostajny szum, potem trzask drzwiczek - otwarcie - i drugi trzask - zamknięcie, tam wysoko, na ostatnim piętrze; następnie szum windy zjeżdżającej w dół, i oto drzwi otworzyły się i na progu ukazała się postać kobieca. Taka, ot, kobietka w średnim wieku, ubrana szaro, w kapeluszu z czarnego filcu, a może z czarnego papieru, włożonym równo na jasne włosy przebłyskujące gdzieś siwizną. Oczy, choć bardzo jasne, tworzyły dwie plamy cienia na bladej, chudej twarzy o wydatnych kościach policzkowych. Ręce ukryte były w zielonych rękawiczkach, ramiona trzymała luźno zwieszona wzdłuż boków i te zielone dłonie na szarym tle spódnicy wyglądały jak dwa przywiedłe liście. Stała w progu i powiodła oczyma po tłumie ciekawych, zgromadzonych po drugiej stronie ulicy. Powieki jej były bardzo białe, spojrzenie przygasłe. Spojrzała w niebo, powolnym ruchem uniosła rękę i przytknęła ją do czoła, ostaniając wzrok przed ostrym blaskiem słońca. Przez chwilę zdawała się śledzić niebo badawczo, potem opuściła wzrok i rękę i zatrzymała spojrzenie na tłumie ciekawych. A tłum przyglądał się jej w milczeniu, uważnie i zimno, niemal wrogo. Potem kobieta cofnęła się w głąb, zamknęła drzwi, dało się słyszeć trzaśnięcie drzwi windy i długi jednostajny szum, z jakim sunęła w górę. Wszyscy wyjęliśmy słuch, wstrzymując oddech, czekając na trzaśnięcie drzwi tam, wysoko, na ostatnim piętrze. Szum wznosił się, oddalał, wreszcie ucichł. Jak gdyby winda rozplynęła się w powietrzu albo przebiwszy dach uniosła się w niebo. Wszyscy zgodnym odruchem podnieśli oczy w górę, badając wzrokiem niebo. De Foxá wciąż ścisnął moje ramię; czułem, jak drży.

- Chodźmy - powiedziałem. I odeszliśmy po cichu, na palcach, prześlizgując się wśród przejętego ekstazą tłumu, zapatrzonego w biały obłok zawieszony wysoko, wprost nad dachami. Przeszliśmy całą ulicę Kalewala, skręcili na stary cmentarz szwedzki i usiedli na ławeczce przy grobie Sierka.

- To nie był duch - odezwał się de Foxá po długim milczeniu. - Raczej my byliśmy dla niej zjawami. Widziałeś, jak ona na nas patrzyła? Bała się nas.

- To taki nowoczesny duch - odpowiedziałem. - Duch północnych krain.

- Tak, tak - roześmiał się de Foxá. - Nowoczesne duchy posługują się windą.

Śmiał się nerwowo, chcąc ukryć swój dziecinny lęk. Wyszliśmy z cmentarza, ruszyliśmy w dół przez Boulevardi i przecięli ulicę Mannerheima za Teatrem Szwedzkim. Mnóstwo mężczyzn i kobiet leżało na trawie pod drzewami Esplanady wystawiając twarze na białe światło nocy. Szczególny jakiś niepokój, rodzaj zimnej febry, ogarnia ludzi Północy w letnie białe noce. Spędzają je bądź wążając się nad morzem, bądź leżąc na trawnikach parków publicznych, czy wreszcie siedząc na ławkach w porcie. Potem wracają do domu sunąc pod murami, z oczyma wzniesionymi ku niebu. Śpią po parę godzin zaledwie, leżąc nago na łóżkach, skąpani w zimnym oślepiającym świetle, płynącym przez szeroko otwarte okna. Leżą tak nago pod tym nocnym słońcem jak pod lampą kwarcową. Przez otwarte okna patrzą na poruszające się w szklistym powietrzu widma domów, drzew i żaglowców kołyszących się na wodach portu.

Siedzieliśmy w jadalni poselstwa hiszpańskiego dokoła masywnego mahoniowego stołu, wspartego na czterech potężnych nogach podobnych do nóg słonia, stołu przeładowanego kryształami i starymi hiszpańskimi srebrami. Ściany obite czerwonym brokatem, ciemne, ciężkie meble rzeźbione w tańczące putti, w girlandy owoców, zwierzęta i kariatydy o wydatnych piersiach - cała ta specyficznie hiszpańska sceneria, zmysłowa i żałobna, tworzyła zaskakujący kontrast z białym oślepiającym światłem nocy, wdzierającym się do pokoju przez otwarte okna. Mężczyźni w wieczorowych strojach, damy wydekoltowane i okryte klejnotami, dokoła tego masywnego stołu na słoniowych nogach widocznych spomiędzy jedwabnych spódnic i czarnych spodni, w posępnym purpurowym odbłasku brokatów i matowych błyskach sreber, pod nieruchomym, ciężkim spojrzeniem królów i grandów hiszpańskich z portretów rozwieszonych na ścianach na grubych sznurach skręconych z jedwabiu (nad kredensem wisiał złoty krucyfiks, stopy Chrystusa muskały niemal szyjki butelek szampana, wystających z kubeków z lodem) - wszyscy mieli jakiś żałobny wygląd, jakby namalował ich Łukasz Cranach. Twarze ich wydawały się blade i zwiędłe, oczy sino podkrążone, skronie operlone potem; na wszystko kładł się zielonkawy trupi cień. Biesiadnicy patrzyli przed siebie nieruchomo, szeroko rozwartymi oczyma. Oddech nocnego światła mącił przejrzystość kryształów.

Było koło północy, zorza zachodnia czerwieniła już czuby drzew Brunnsparken. Zimno było. Patrzyłem na obnażone ramiona Anity Bengenström, córki ministra pełnomocnego Finlandii w Paryżu, i myślałem o tym, że nazajutrz wyjadę z de Foxą i Mihailescu do Laponii, za arktyczny krąg polarny. Lato było w pełni, na najlepszą porę połowu łososi w Laponii byliśmy już trochę spóźnieni. Minister pełnomocny Turcji, Agah Aksel, zauważył żartobliwie, że spóźnianie się to jedna z wielu przyjemności kariery dyplomatycznej. I opowiedział, że kiedy Paul Morand został mianowany sekretarzem ambasady francuskiej w Londynie, ambasador Cambon wiedząc, że Morand ma opinię wielkiego lenia, powiedział mu zaraz na wstępie:

- Mon cher, niech pan przychodzi do biura, kiedy pan chce, ale nie później.

Agah Aksel siedział twarzą zwrócony do okna. Twarz ta miała barwę miedzi, siwe włosy tworzyły dokoła niej srebrną ramę, upodabniając ją do ikony. Był niewielkiego wzrostu, barczysty, poruszał się ostrożnie, robił takie wrażenie, jakby zawsze rozglądał się podejrzliwie dookoła. (C'est un jeune Turc qui adore le Koniak" - mówił o nim de Foxá, mający upodobanie do gry słów. „Ach, więc pan jest Młodoturkiem?" - pytała go Anita Bengenström. „Byłem znacznie bardziej Turkiem, kiedy byłem młody, niestety!" - odpowiadał Agah Aksel.)

Minister pełnomocny Rumunii, Noti Constantinide, który swoje najlepsze lata spędził w Italii i rad byłby tam właśnie, przy via Panama w Rzymie, dożywać dni swojej starości, zaczął mówić o lecie rzymskim, o plusku fontann na opustoszałych placach, o upalnych godzinach południowych; mówiąc patrzył na swoją białą rękę leżącą bezwładnie, niby workowy odlew, na niebieskim aksamitnym obrusie, zimne oślepiające światło podbiegunowej nocy przejmowało go dreszczem. Constantinide wrócił właśnie poprzedniego dnia z Mikeli, z Kwatery Głównej marszałka Mannerheima, dokąd udał się, żeby wręczyć marszałkowi jakieś wysokie odznaczenie przyznane mu przez młodego króla rumuńskiego Michała. „Od czasu kiedy pana ostatni raz widziałem, ubyło panu dwadzieścia lat, panie marszałku - powiedział mu Constantinide - lato przywróciło panu młodość". „Lato? - odpowiedział Mannerheim. - W Finlandii jest dziesięć miesięcy zimy i dwa miesiące nie wiadomo czego".

Przez dłuższą chwilę rozmowa toczyła się dokoła osoby marszałka Mannerheima, kontrastu między jego dekadencjami upodobaniami a jego wyglądem i sposobem bycia iście królewskim, o olbrzymim prestiżu, jakim cieszył się w armii i w całym kraju, o ofiarach, jakie wojna narzucała narodowi fińskiemu, o tej straszliwej pierwszej zimie wojennej. Hrabina Mannerheim rzuciła uwagę, że w Finlandii zimno przychodzi nie z północy, ale ze wschodu. „W Laponii - dodała - mimo że leży za kręgiem polarnym, jest znacznie mniej zimno niż w rejonie Wołgi.”

- Oto zupełnie nowy aspekt odwiecznej kwestii wschodniej - powiedział de Foxá.

- Sądzi pan, że dla Europy istnieje jeszcze w ogóle jakaś kwestia wschodnia? - rzekł minister pełnomocny Turcji. - Co do mnie, to myślę tak, jak Philip Guedalla: dla ludzi zachodu kwestia wschodnia sprowadza się obecnie do zrozumienia, co Turcy sądzą o kwestii zachodniej.

De Foxá opowiedział, że tego właśnie ranka spotkał ministra pełnomocnego Stanów Zjednoczonych, Arthura Schoenfelda; nie ukrywał on swojej irytacji z powodu ostatniej książki Philipa Guedalli, „Men of War”, na której egzemplarz natrafił w księgarni Stockmanna. W rozdziale poświęconym Turcji angielski pisarz wyraził pogląd, że jeśli najazdy barbarzyńców na Europę w zamierzchłych stuleciach przychodziły zawsze ze wschodu, to tylko z tej prostej przyczyny, że przed odkryciem Ameryki nie mogły one nawiedzić Europy z żadnej innej strony.

- Jeśli chodzi o Turcję - rzekł Agah Aksel - najazdy barbarzyńskie zawsze, jeszcze za czasów Homera, przychodziły z zachodu.

- To za czasów Homera byli już Turcy? - zapytała Colette Constantinide.

- Niektóre tureckie dywany - odparł Agah Aksel - są dużo starsze od Iliady.

(Kilka dni przedtem wybraliśmy się do Dinu Cantemira, który mieszkał w Brunnsparcken, naprzeciwko poselstwa angielskiego, w pięknym domu Linderów, aby obejrzeć kolekcję porcelany i wschodnich dywanów. Podczas gdy Dinu rysował mi ręką w powietrzu drzewo genealogiczne swoich najpiękniejszych okazów saskiej porcelany, a Bengt von Törne, stojąc przed portretem pewnej słynnej z piękności damy z rodu Linderów, rozprawiał z Mircea Berindeyem i Titu Mihailescu o malarstwie Gallena-Kalleli, ministrowie pełnomocni Turcji i Rumunii, klęcząc na środku pokoju, spierali się o zalety dwóch rytualnych dywaników tureckich z XVI wieku, które Cantemir rozłożył na posadzce.

Na jednym widniały romby na przemian z prostokątami, różowe, lila i zielone, na drugim - cztery prostokąty w kolorach różowym, niebieskim i złotym, o niewątpliwych wpływach perskich. Minister pełnomocny Turcji wychwalał niezwykle subtelną harmonię barw pierwszego, najszcześniejszą, jaką kiedykolwiek widział harmonię tych tak trudnych kolorów, natomiast minister pełnomocny Rumunii podkreślał miękki, kobiecy urok drugiego dywanika, utrzymanego w tonie starej perskiej miniatury.

- Ależ nic podobnego, mon cher - mówił Constantinide coraz bardziej podnosząc głos.

- Zapewniam pana, daję panu słowo honoru, że się pan myli - odpowiadał zniecierpliwionym głosem Agah Aksel. Obaj klęczeli gestykułując żywo i wznosząc w górę ramiona, jakby odprawiali tureckie modły. W końcu, nie przerywając dyskusji, usiedli każdy na swoim dywaniku, jeden naprzeciw drugiego, ze skrzyżowanymi po turecku nogami.

- Świat był zawsze niesprawiedliwy wobec Turków - mówił Agah Aksel z goryczą.

- Z całej wspaniałej cywilizacji tureckiej - powiedział Agah Aksel - nie pozostanie wkrótce nic prócz kilku antycznych dywanów. Jesteśmy heroicznym i nieszczęśliwym narodem. Wszystkie nasze nieszczęścia mają źródło w naszej odwiecznej tolerancji. Gdybyśmy byli mniej tolerancyjni, być może ujarzmiłobyśmy cały świat chrześcijański.

Zapytałem go, co właściwie znaczy po turecku słowo „tolerancja”.

- Byliśmy zawsze bardzo liberalni w stosunku do podbitych narodów.

- Nie mogę zrozumieć - wtrącił de Foxá - dlaczego Turcy nie nawrócili się na chrystianizm. W ten sposób wszystko znacznie by się uprościło.

- Ma pan rację - rzekł Agah Aksel - gdybyśmy przyjęli chrześcijaństwo, siedzielibyśmy po dziś dzień w Budapeszcie, a może nawet w Wiedniu.

- Cóż, teraz w Wiedniu siedzą naziści - powiedział Constantinide.

- No i gdyby stali się chrześcijanami, zostaliby tam na zawsze - dodał Agah Aksel.

- Największym problemem współczesnym jest jednak wciąż jeszcze problem religijny - rzekł Bangt von Törne. - On ne peut pas tuer Dieu, Boga nie da się zabić.

- Cały świat współczesny usiłuje zabić Boga - odezwał się Agah Aksel. - Dla nowoczesnego sumienia żywy Bóg jest niebezpieczny.

- Czy i dla muzułmańskiego sumienia także? - zapytał Cantemir.

- Dla muzułmańskiego także, niestety - odparł Agah Aksel. - I wcale nie jest to sprawa sąsiedztwa z komunistyczną Rosją; zabijanie Boga jest w powietrzu, stanowi jeden z elementów nowoczesnej cywilizacji.

- Państwo nowoczesne - rzekł Constantinide - łudzi się, że potrafi chronić życie Boga po prostu drogą zarządzeń policyjnych.

- Te złudzenia dotyczą nie tylko życia Boga, ale również i egzystencji państwa - rzekł de Foxá. - Weźmy chociażby Hiszpanię. Jedynym sposobem obalenia Franco jest uśmiercenie Boga: toteż zamachów na Boga, dokonywanych na ulicach Madrytu i Barcelony, już i zliczyć się nie da. Nie ma dnia bez jednego co najmniej rewolwerowego wystrzału.

I opowiedział, że właśnie wczoraj znalazł w księgarni Stockmanna książkę hiszpańską, dopiero co wydaną. Otworzył ją i zaraz na pierwszej stronie, w pierwszym wierszu, przeczytał: „Bóg, ten genialny szaleniec...”

- Musimy zdobyć się na odwagę przyznania, że świat dzisiejszy łatwiej przyjmuje „Kapitał” niż Ewangelię - rzekł Constantinide.

- To samo dotyczy Koranu - zauważył Agah Aksel. - Łatwość, z jaką młodzi mahometanie przyjmują komunizm, jest wręcz zdumiewająca. Młodzież muzułmańska we wschodnich republikach ZSRR porzuca bez oporu Mahometa dla Marksa. A czymże byłby islam bez Koranu?

- Kościół katolicki - rzekł de Foxá - pokazał, że potrafi się obejść bez Ewangelii.

- Kiedyś nastanie także komunizm bez Marksa; taki jest przynajmniej ideał wielu Anglików - zauważył Cantemir.

- Ideałem wielu Anglików - uzupełnił Constantinide - jest „Kapitał” Marksa w wydaniu Blue Book<sup>24</sup>

- Anglicy nie mają się czego obawiać ze strony komunizmu. Dla nich problem komunizmu to sprawa zwycięstwa w walce klas na tym samym terenie, na którym zwyciężyli w bitwie pod Waterloo: na boiskach Eton - rzekł de Foxá. - Anglicy mają jedną wielką zaletę: umieją odzierać problemy z wszelkich zbędnych elementów, umieją nawet najtrudniejsze i najbardziej skomplikowane problemy ukazywać w całej ich nagości. Ujrzymy jeszcze kiedyś - dodał po chwili z uśmiechem de Foxá - jak komunizm będzie paradował nago po ulicach Anglii niczym Lady Godiva po ulicach Coventry.

Było już koło drugiej w nocy. Robiło się coraz zimniej; metaliczne światło, płynące przez otwarte okna, kładło się na twarze obecnych taką siną bladością, że poprosiłem de Foxę, by kazał zamknąć okno i zapalić światła. Wszyscy wyglądaliśmy jak trupy; bo nic tak nie kojarzy się z obrazem śmierci, jak widok mężczyzny w stroju wieczorowym w pełnym świetle dnia albo kobiety uszminkowanej i strojonej w klejnoty iskrzące się w blasku słońca. Siedzieliśmy dokoła bogato zastawionego stołu, jak zmarli odprawiający ucztę pogrzebową w Hadesie. Metaliczne światło dziennej nocy nadawało naszym ciałom uroczystą bladość śmierci. Służący zamknął okno i pozapalał światła; do pokoju weszło jakieś intymne, sekretne ciepło. Wino zalsniło w kryształowych kieliszkach, do naszych twarzy powróciła żywa krew, oczy rozbłysły wesoło i głosy nabrały ciepła i głębi, stały się na powrót głosami żywych ludzi.

Nagle zabrzmiał przeciągły lament syren alarmowych, a zaraz potem rozpoczął się ogień zaporowy artylerii przeciwlotniczej. Od morza dolatywało ciche pszczele brzęczenie radzieckich samolotów.

- Może to się wydawać śmieszne - odezwał się Constantinide - ale ja się boję.

- Ja też się boję - rzekł de Foxá - i wcale to nie jest śmieszne.

Nikt z nas się nie ruszał. Odgłosy eksplozji brzmiały głucho i ponuro, mury drżały, kieliszek stojący przed Colette Constantinide pękł z cichutkim brzękiem.

Na znak de Foxy służący otworzył z powrotem okno. Ujrzeliśmy radzieckie samoloty - było ich chyba ze sto - lecące nisko nad dachami, podobne do olbrzymich owadów o przezroczystych skrzydłach.

- Najdziwniejsze w tych jasnych nocach polarnych jest to - powiedział Mircea Berindey swoim leniwym rumuńskim akcentem - że można w pełnym świetle dziennym dostrzegać nocne odruchy i nocne myśli, pewne uczucia i rzeczy rodzące się zazwyczaj pod osłoną ciemności i których noc strzeże zazdrośnie w swoim ciemnym łonie. - I dodał spojrzawszy na panią Slörn: - Popatrzcie państwo: oto twarz prawdziwie nocna.

Pani Slörn uśmiechała się z pochyloną nieco głową, była blada, wargi jej drżały leciutko, białe powieki trzepotały. Demeter Slörn jest Greczynką, twarz ma przejrzystą, czarne oczy, czoło wysokie i czyste,

---

<sup>24</sup> Blue Book (Niebieska Księga) - nazwą tą, pochodzącą od koloru okładki, oznacza się każdą publikację wydaną przez parlament brytyjski.



antyczną łagodność w gestach i spojrzeniu. Ma sowe oczy Ateny, o delikatnych, czujnych, białych powiekach.

- Lubię się bać - powiedziała.

Chwilami wśród huku dział, detonacji wybuchających bomb i warkotu silników zapadała nagle głęboka cisza, w której słychać było tylko świergot ptaków.

- Dworzec stoi w płomieniach - rzekł Agah Aksel siedzący na wprost okna.

Płonęły także magazyny Elanto. Było zimno, panie otuliły się w futra, zimne nocne słońce jaśniało poprzez drzewa parku. Gdzieś daleko, w stronie Suomenlinna, szczekał pies.

Przypomniał mi się Spin, pies ministra pełnomocnego Italii, Mamelego, i zacząłem opowiadać o nim i o tym, co się z nim działo podczas bombardowania Belgradu.

## **XI. Zwariowana strzelba**

Kiedy zaczęło się bombardowanie Belgradu, Mameli, minister pełnomocny Italii, zawołał swego psa, Spina, trzyletniego teriera angielskiego niezwyklej urody.

- Spin, idziemy, prędko!

Spin leżał skulony w kącie gabinetu, dokładnie pod portretami papieża, króla i Mussoliniego, jak gdyby schronił się pod ich opiekę. Nie miał odwagi ruszyć się i podejść do swego pana, który wołał go od progu.

- Spin, idziemy, trzeba zejść do schronu!

Z innego niż zwykle tonu pana Spin zrozumiał, że to jest właściwy moment, żeby się bać. I zaczął skomleć, moczyć dywan, rozglądać się dokoła przerażonymi oczyma.

Spin był pięknym psem szlachetnej rasy i miał jedną wielką namiętność: polowanie. Mameli zabierał go często z sobą na wzgórze i w lasy otaczające Belgrad albo nad brzegi Dunaju, albo na wysepki rzeczne naprzeciw Belgradu, między Panćevem a Zemunem. Zdejmował strzelbę ze ściany, zakładał ją sobie na ramię i mówił: „Idziemy, Spin”. Pies zaczynał wtedy skakać z radości i szczekać wesoło. A ilekroć przechodził przez korytarz, gdzie Mameli trzymał zawieszoną na ścianie swoją broń myśliwską, ładownicę i piękne torby myśliwskie z angielskiej skóry, Spin podnosił łeb w górę i przyglądał się merdając przyjaźnie ogonem.

Ale tego ranka, zaledwie zaczęło się bombardowanie, Spin poczuł strach. Detonacje bomb były straszliwe. Dom, w którym mieściło się poselstwo włoskie, położony w pobliżu starego pałacu królewskiego, trząsł się aż do fundamentów, tynk odpadał z murów, w ścianach i sufitach otwierały się groźne szczeliny. „Idziemy, Spin, prędko!” - I Spin podreptał do schronu z podwiniętym ogonem, skomląc i skrapiając każdy stopień schodów.

Schron był zwykłą piwnicą, niezbyt głęboką. Nie było nawet czasu, żeby ją podstemplować belkami, umocnić sklepienie drewnianym oszalowaniem i cementowymi słupami. Przez małe okienko na poziomie ulicy przenikało trochę mętnego, zakurzonego światła. Wzdłuż ścian, na prostych półkach stały rzędami oplatane gąsiorki chianti, butelki win francuskich, whisky, koniaku, ginu. U sufitu wisiały friulańskie szynki z San Daniele i lombardzkie kielbasy. Zwykła piwnica, istna pułapka na myszy. Wystarczyłaby najmniejsza bomba, żeby pogrzebać w niej pod gruzami wszystkich funkcjonariuszy poselstwa łącznie z psem Spinem.

Była godzina 7.20 rano, niedziela, 6 kwietnia 1941. Spin schodził do schronu skomląc ze strachu. Dopiero co przeszedł przez korytarz i jak zwykle spojrzął w górę na ścianę: wszystkie strzelby wisiały na swoich miejscach. A zatem te okropne huki nie są odgłosem strzałów, ale czymś anormalnym, czymś pozaludzkim i pozanaturalnym. Wszystko chwiało się jak podczas trzęsienia ziemi, domy zderzały się z sobą, słychać było okropny rumor walących się murów, trzaski szyb okiennych rozpryskujących się na chodnikach, okrzyki grozy, płacz, wzywanie pomocy, przekleństwa, zwierzęce wycie oszalałych z przerażenia ludzi, uciekających w popłochu. Ostry odór siarki zaczynał przenikać do piwnicy razem z dymem eksplozji i pożarów. Bomby padały na Terazije, na Pozorišni trg, na stary pałac królewski. Ulicami pędziły z największą szybkością kolumny samochodów, załadowanych generałami, ministrami, dygnitarzami wszelkiego rodzaju. Strach ogarnął władze cywilne i wojskowe; w panicznej ucieczce opuszczały stolicę. Około dziesiątej rano miasto było już pozostawione własnemu losowi. Wtedy zaczął się rabunek.

Motłoch miejski razem z bandami Cyganów, które zdążyły już nadbiec z Zemunu i Pančeva, rozbijał żaluzje sklepów i zapędzał się za łupem nawet do mieszkań. Od strony Terazije słychać było strzelaninę. Mieszczanie bili się z rabusiami na ulicach, na schodach kamienic, na podestach i wewnątrz mieszkań. Teatr Królewski płonął. Ciastkarnia naprzeciwko teatru, po drugiej stronie placu, leżała w gruzach. Była to ciastkarnia turecka, słynęła na całe Bałkany ze swoich wyrobów cukierniczych o działaniu podniecającym. Tłum szperał w gruzach, z wrzaskiem i brutalnie wydzierając sobie cenną zdobycz. Rozzochrane kobiety z rozpłomienionymi twarzami śmiały się głośno i obleśnie, mlaskając i żując ciasteczka, karmelki i kandyzowane owoce o tak niezwykłych właściwościach. Wszystkie te huki, rumor walących się murów, krzyki śmiertelnej trwogi, wrzaski, śmiechy i trzaski pożarów Spin słyszał wyraźnie. Przypląszczony do ziemi pomiędzy stopami ministra Mamelego, z podkulonym ogonem i opuszczonymi uszami, jęczał cicho i ze zdenerwowania wciąż oblewał buty swego pana. Kiedy koło południa bombardowanie wreszcie ucichło, a Mameli z całym personelem poselstwa wracał na górę, Spin odmówił opuszczenia schronu. Trzeba mu było tam zanieść jedzenie, do ciemnej piwnicy pełnej dymu.

W chwilach ciszy w gabinecie Mamelego słychać było żaloszny lament Spina. Świat się zawalił, musiało się stać coś okropnego, coś nadprzyrodzonego, coś, z czego Spin nie umiał zdać sobie sprawy.

- Bombardowanie skończone - tłumaczył mu Mameli za każdym razem, kiedy zaglądał do piwnicy. - Teraz możesz już iść na górę, nic ci już nie grozi.

Ale Spin bał się, nie chciał wyjść z piwnicy. Nie tknął jedzenia, przyglądał się swojej zupie podejrzliwie, tym nieufnym błagalnym wzrokiem psa, który lęka się zdrady ze strony własnego pana. Nie istniało już żadne prawo ludzkie ani żadne prawo natury, świat się zawalił.

Koło czwartej po południu tegoż dnia, właśnie kiedy minister Mameli zamierzał znowu zejść do piwnicy i przekonywać Spina, że niebezpieczeństwo minęło, że wszystko wróciło do normy, wszystko jest tak, jak zawsze było, dał się słyszeć wysoko w górze pomruk silników, gdzieś daleko w stronie Zemu, w stronie Pančeva. Pierwsze bomby padły w okolicy Miloša Velikog, były to wielkie bomby, które Stukasy wbijały w dachy, jak się wbija gwoźdź - jednym szybkim, precyzyjnym, mocnym uderzeniem młotka. I znowu miasto dygotało aż do fundamentów, ludzie z krzykiem pędzili ulicami, a od czasu do czasu, pomiędzy jedną a drugą eksplozją zapadała wielka cisza: wszystko dokoła zamierało, nieruchomiało, przestawało oddychać. Cisza podobna do tej, jaka nastanie, kiedy ziemia będzie już martwa - bezkresne, ostateczne milczenie zimnej, umarłej ziemi, kiedy dzieło zniszczenia świata zostanie już dokonane. I nagle nowy potworny wybuch wyrwał z korzeniami drzewa i domy, niebo zwała się na miasto z hukiem gromu.

Minister Mameli z całym personelem poselstwa zszedł do schronu, siedzieli wszyscy, pobladli, na krzesłach ustawionych dokoła stołu pośrodku piwnicy. Między jedną a drugą eksplozją słychać było tylko skomlenie Spina przytulonego do nóg swego pana.

- Koniec świata - odezwał się drugi sekretarz poselstwa, księżę Ruffo.

- Istne piekło - dodał minister Mameli zapalając papierosa.

- Wszystkie siły natury rozpętały się przeciwko nam - rzekł pierwszy sekretarz Guidotti. - Sama natura oszalała.

- Jesteśmy zupełnie bezradni - mruknął hrabia Fabrizio Franco.

- Jedno, co nam pozostaje, to robić tak, jak Rumuni - rzekł Mameli - tutun și rabdare, palić tytoń i czekać.

Spin słuchał tych rozmów i sam wiedział też doskonale, że nic innego nie pozostaje. Tutun și rabdare. Ale czekać na co? Jego pan i ci inni panowie z poselstwa z pewnością wiedzieli, na co czekają siedząc tak dokoła z pobladłymi twarzami i paląc papierosa za papierosem. Gdybyż wyrwało im się z ust chociaż jedno takie słowo, które wyjaśniłoby Spinowi tajemnicę tego niepokojącego czekania. Całkowita nieświadomość, w jakiej był pogrążony, zwiększała jeszcze strach Spina i budziła w nim niepokój, gorszy od najgorszej pewności. Nie znaczy to, żeby Spin był psem bojaźliwym. Był dzielnym angielskim myśliwym czystej rasy, psem aryjskim w najlepszym sensie tego słowa: nie miał w sobie ani kropli krwi „kolorowej”, był dzielnym psem angielskim, wychowanym w najlepszej psiarni hrabstwa Sussex. Nie bał się niczego, nawet wojny; był przecież psem myśliwskim, a wojna jest, jak wiadomo, wielkim polowaniem, w którym ludzie są jednocześnie myśliwymi i zwierzyną; jest to gra, w której ludzie, uzbrojeni w strzelby, polują jedni na drugich. Spin nie bał się strzałów; gotów byłby rzucić się mężnie na cały pułk. Strzały wprawiały go w radość: stanowiły jakiś element naturalnego porządku rzeczy, element tradycyjny świata, przynajmniej jego, psiego, świata. Czymże byłoby życie bez strzelania? Czym byłoby ono bez uganiania się po łąkach i chaszczach, po wzgórzach między Sawą a Dunajem, po tropie ciągnącym się przez pola i lasy na kształt stalowej liny, po której czujnie stąpa akrobata? Kiedy odgłos strzału myśliwskiego rozlega się sucho w jasnym, czystym powietrzu ranka albo odbija się wesoło jak piłka od zaśnieżonej równiny - ład natury objawia się w całej swej doskonałości. Jakby tylko tego wystrzału brakowało, jakby on właśnie miał postawić ostatnią kropkę na doskonałym obrazie natury, świata, życia.

W długie zimowe wieczory, kiedy Mameli siadywał w bibliotece przy kominku z krótką fajeczką w zębach, pochylony nad książką (ogień na kominku trząsał wesoło, a za oknami gwizdał wiatr i szumił deszcz), Spin, skulony na dywanie u nóg swego pana, marzył o tych suchych odgłosach strzałów, dźwięczących w czystym powietrzu poranka. Od czasu do czasu podnosił wzrok na starą turecką strzelbę, wiszącą na ścianie przy drzwiach, i poruszał przyjaźnie ogonem. Była to turecka fuzja-skałkówka inkrustowana masą perłową (Mameli kupił ją za parę dinarów od handlarza starzyzną w Manastirze), z której w swoim czasie niewątpliwie strzelano do chrześcijańskich żołnierzy księcia Eugeniusza Sabaudzkiego, do jeźdźców węgierskich i chorwackich galopujących po łąkach Zemenu. Stara, wierna broń, która dawno już zakończyła dobrze odbytą służbę, spełniła, co do niej należało, przyczyniła się do utrzymania starego tradycyjnego porządku świata; ona także pewnego dnia w czasach swej młodości postawiła tę ostatnią kropkę na obrazie doskonałego świata, kiedy suchym trzaskiem wystrzału rozbiła szklaną ciszę poranka, a z konia zwałił się młody ułan, gdzieś w Zemunie, Nowym Sadzie czy Vukovarze.

Spin nie był psem specjalnie wojowniczym, nie umiał jednakże wyobrazić sobie świata bez strzelb. Tak długo, dopóki strzelba i jej głos panowałyby nad światem, nic nie zakłóciłoby jego ładu, harmonii i doskonałości.

Ale ów okropny rumor, który tego ranka sprawił, że świat Spina zawałił się, nie był, nie mógł być, przyjaznym głosem strzelby. Takiego głosu nie słyszał nigdy dotychczas, był to nowy, przerażający głos. Jakiś straszliwy potwór, jakiś okrutny obcy bóg obalił na zawsze panowanie strzelby, tego swojskiego bóstwa, które aż po ów ranek rządziło światem w duchu ładu i harmonii. Głos strzelby umilkł na zawsze, zagłuszony tamtym dzikim łoskotem. I obraz Mamelego, jaki w tych okrutnych momentach jawił się oczom Spina na tle pogwałconej przyrody i świata leżącego w gruzach, był obrazem małego, przygarbionego człeczyny, poszarzałego, który kulejąc wędruje przez nagie pola i zwęglone lasy z pustą torbą myśliwską przewieszoną przez ramię i niemą, bezużyteczną, pokonaną strzelbą na plecach.

Ale raptem okropna myśl uderzyła jak obuchem w głowę Spina. A jeżeli ten straszliwy, dziki głos jest właśnie głosem strzelby? Jeżeli to strzelba, ogarnięta nagłym szaleństwem, ugania po ulicach, polach, lasach, strasząc świat swoim nowym, ohydny, szaleńczym głosem? Na tę myśl Spin poczuł, że krew ścina mu się w żyłach. Stał mu przed oczyma groźny obraz Mamelego uzbrojonego w tę straszną, dotkniętą szaleństwem strzelbę. Oto Mameli wsuwa nabój w lufę, podnosi broń do góry, opiera kolbę na ramieniu, naciska spust. I z paszczy strzelby wybucha okropny huk, wszystkie domy w mieście chwieją się aż do fundamentów, ziemia pęka, otwierają się w niej przepastne szczeliny, domy uderzają jedne o drugie, walą się z piekielnym rumorem, wznosząc olbrzymie tumany pyłu.

W piwnicy wszyscy milczeli, bladzi, złani zimnym potem. Ktoś modlił się. Spin zamknął oczy i polecił duszę Bogu.

Tego dnia znajdowałem się w Pančevie, tuż pod Belgradem. Ogromna czarna chmura, unosząca się nad miastem, z daleka podobna była do skrzydła gigantycznego sępa. Skrzydło to trzepotało ogarniając coraz większą część nieba. Zachodzące słońce przeszywało je swymi promieniami, krzesząc z niego krwawoczerwone błyski. Było to skrzydło sępa śmiertelnie ранego, który usiłuje się poderwać i miota się, rozdzierając niebo twardymi piórami. Nad miastem, skulonym na lesistym

wzniesieniu w głębi zielonej równiny, poprzecinanej żółtymi, leniwo toczącymi się rzekami, krążyły niezmordowanie stada Stukasów, ze straszliwym świstem rozdzierały dziobami i pazurami białe domy, wysokie, połyskujące szkłem gmachy, ulice rozchodzące się promieniście z przedmieść daleko po równinie. Wysokie fontanny ziemi wystrzelały w górę nad brzegami Dunaju i Sawy. Nad głową miało się nieustający szum i gwizd metalowych skrzydeł połyskujących w ostatnich promieniach słońca. Głuche echo jak gdyby dzikich tam-tamów odbijało się od horyzontu. Tu i ówdzie na równinie pojawiły się błyski dalekich pożarów. Po wsiach wałęsali się żołnierze serbscy, niemieckie patrole przemykały się chyłkiem rowami okrążając i przetrząsając zarośla trzciny i sitowia bagnistych stawów wzdłuż rzeki Temesz. Był ciepły, blady wieczór; przymglony księżyc wschodził powoli nad wzgórzami rozpalając iskry na wodach Dunaju. Podczas gdy z jakiegoś na pół zburzonego domostwa patrzyłem na księżyc sunący powoli po niebie (niebo lśniło różowo jak paznokcie małego dziecka), dokoła rozlegał się żałosny chór wyjąjących psów. Żaden ludzki głos nie potrafi wyrazić powszechnej żałoby z taką ekspresją, jak głos psi. Żadna najczystsza muzyka nie odda cierpień świata w sposób tak przejmujący, jak wycie psów. Były to głosy przedziwnie modulowane, przeciągłe tremola wydobyte z długiego, równego oddechu i załamujące się nagle w wysokim, jasnym łkaniu. Przejmujący zew zagubiony w bezkresnych przestrzeniach bagien, zarośli, lasów trzciny i sitowia, po których wiatr przebiegał szepczącym coś dreszczem. Na powierzchni stawów kołysały się ciała topielców. Chmury kruków, lśniących srebrzyście w świetle księżyca, milcząco bijąc skrzydłami unosiły się ciężkim lotem nad ścierwem końskim porzuconym na drogach. Gromady zgłodniałych psów krążyły po wsiach, w których gdzieś domy dymiły jeszcze jak zgasłe pochodnie. Pędziły galopem po wiejskich drogach, tym ciężkim, krótkim galopem psa, który czuje niebezpieczeństwo, obracając to w jedną, to w drugą stronę głowy o szeroko rozwartych paszczach i krwawo błyszczących oczach. A potem zatrzymywały się nagle i wyły żałośnie do księżyca, który, żółty, tłusty i spotniały, wypełzał powoli na czyste niebo, to niebo różowe jak paznokcie niemowlęcia, rzucając przejrzyste, łagodne światło na zrujnowane, opuszczone wsie, na drogi i pola usiane ludzkimi zwłokami, i na białe miasto pod nawisłym czarnym skrzydłem dymu.

Całe trzy dni musiałem tkwić w Pančevie. Wreszcie ruszyliśmy dalej, przebyliśmy rzekę Temesz, potem półwysp utworzony przez ujście Temeszu do Dunaju, i znów trzy dni czekaliśmy we wsi Rita na samym brzegu Dunaju, naprzeciwko Belgradu, obok poskręcane żelaznego szkieletu zniszczonego mostu, nazwanego imieniem króla Piotra II. Rwący nurt żółtych wód Dunaju unosił popalone belki, materace, ścierwa koni, owiec i wołów. Przed nami, na przeciwległym brzegu, konało miasto w tłustej woni pożarów zmieszanej z zapachem wiosny. Kłęby dymu unosiły się nad Dworcem Rumuńskim i dzielnicą Dušanovac. Wreszcie pewnego dnia, pod zachód słońca, kapitan Klinberg z czterema żołnierzami przepłynął się łódką przez Dunaj i zajął Belgrad. Wówczas i my przepłynęliśmy się przez ogromną rzekę, mając jako jedyną osłonę pełen namaszczenia gest feldfebla z Großdeutschland-Division, regulującego ruch na rzece (samotny, czysty, zasadniczy i abstrakcyjny, na podobieństwo doryckiej kolumny, feldfebel ów stał na grobli nad Dunajem, sam jeden rządząc gigantyczną przeprawą maszyn i ludzi), i weszliśmy do miasta przy Dworcu Rumuńskim, w głębi alei Kneza Pavla.

Świeży wiatr poruszał liśćmi drzew. Było już pod zachód, resztki światła dziennego, szare i mgliste, przypominały wygaste popioły. Idąc mijałem stojące tramwaje i samochody pełne trupów. Duże koty, przyczajone na poduszkach samochodów obok wzdętych już i zsiniałych zwłok, wpatrywały się we mnie fosforyzującymi, skośnymi oczyma. Jeden żółty kot długo siedział za mną chodnikiem, miaucząc. Stąpałem po warstwie zbitych szyb, moje buty zgrzytały niezdolnie na odłamkach szkła. Od czasu do

czasu jakiś przechodzień przemykał się ostrożnie pod murami rozglądając się podejrzliwie dokoła. Nikt nie odpowiadał na moje zapytania, wszyscy patrzeli na mnie dziwnie białymi oczyma i uciekali, nawet się nie odwracając. Na brudnych twarzach malował się nie tyle strach, ile jakieś niezmierne osłupienie.

Zbliżała się godzina policyjna. Terazije była zupełnie opustoszała. Przed hotelem Balkan, na krawędzi wielkiego leja od bomby stał autobus pełen trupów. Teatr Królewski płonął jeszcze. Wszystko dokoła widać było jak przez matowe szkło, mleczone światło kładło się na zburzonych domach, bezludnych ulicach, porzuconych samochodach, tramwajach stojących martwo na szynach. Tu i ówdzie w tym umarłym mieście rozlegały się pojedyncze strzały karabinowe, suche i podstępne. Było już ciemno, kiedy dotarłem wreszcie do poselstwa włoskiego. Na pierwszy rzut oka budynek wydawał się nietknięty, ale stopniowo oko dostrzegało pobite szyby, powyrywane żaluzje, pęknięcia murów, dach poderwany w górę podmuchem jakiejś szczególnie silnej eksplozji.

Wchodzę, idę po schodach na górę. Wnętrze oświetlają porozstawiane tu i tam oliwne kaganki, podobne do świeatełek zapalanych przed świętymi obrazami. Po ścianach snują się chwiejne cienie. Minister pełnomocny Italii, Mameli, jest w swoim gabinecie, siedzi pochylony nad jakimiś papierami, bladą, chudą twarz oświetla, niby aureola, żółtawe światło dwóch świec. Wpatruje się we mnie trzęsąc głową, jak gdyby nie wierzył własny moczom.

- Skąd wracasz? - pyta wreszcie. - Z Bukaresztu? Z Timișoary przez Dunaj? Jak tego dokazałeś?

Opowiada o strasliwym bombardowaniu, o potwornej masakrze. To hańba, mówi mi, być w sojuszu z Niemcami. Przeżyli okropne dni, zabarykadowani w siedzibie poselstwa, czekając, aż wojska niemieckie zajmą miasto wydane na łup rabusiów. Jedna tysięczkilowa bomba padła tuż za murem ogrodu. Ale dzięki Bogu, mówi Mameli, wszyscy ocaleli, nikt nie jest nawet ranny. Przyglądałem mu się, kiedy mówił. Ma sine kręgi dokoła oczu, twarz szaroblada, powieki zaczerwienione z niespania. Jest drobny, chudy, trochę przygarbiony. Przez wiele lat chodził opierając się na lasce, utykając lekko na skutek dawnej wojennej rany, i teraz jeszcze pociąga trochę nogą. Od jak dawna go znam? Och, co najmniej od dwudziestu lat. To porządny i dobry człowiek, ten Mameli, lubię go bardzo. Wojnę odczuwa jako zniewagę zadaną jego honorowi, jego chrześcijańskim uczuciom Nagle milknie, przesuwa ręką po twarzy. „Chodźmy na kolację” - mówi po chwili.

Dokoła stołu widzę twarze blade, wilgotne od potu, zarośnięte. Przez wiele dni Mameli i urzędnicy poselstwa żyli jak załoga oblężonego fortu. Teraz oblężenie skończyło się, brak jednak wody, światła, gazu. Służba w liberii wygląda nienagannie, zaledwie jakiś ślad przebytych lęków widnieje na zmęczonych twarzach tych ludzi. Płomyki świec odbijają się migotliwie w kryształach, srebrach i bieli obrusa. Zjadamy po talerzu zupy, trochę sera, pomarańcze. Po kolacji przechodzimy we dwóch z Mamelim do jego gabinetu. W trakcie rozmowy pytam:

- A gdzie to Spin?

Mameli spogląda na mnie smutno, coś jakby cień zawstydzienia pojawia się w jego oczach.

- Jest chory - mówi.

- O, biedny Spin! Co mu jest?

Mameli czerwieni się i odpowiada jakiś zażenowany, unikając mojego wzroku:

- Nie wiem, co mu jest. Jest chory.

- Chyba nic poważnego?

- Tak, z pewnością - mówi skwapliwie. - Na pewno nic poważnego.

- Chcesz, żebym go obejrzał?

- Ach, nie, nie trzeba, dziękuję - odpowiada czerwieniąc się jeszcze mocniej. - Lepiej zostawić go w spokoju.

- Dobrze mu zrobi, gdy zobaczy starego przyjaciela - nalegam wstając. - Gdzie on jest? Chodźmy powiedzieć mu dobranoc.

- Wiesz przecież, jaki jest Spin - powiada Mameli nie ruszając się z fotela. - Nie lubi, żeby się nim zajmować, kiedy jest chory. Nie życzy sobie doktorów ani pielęgniarzy. Chce się sam kurować.

Ujmuje butelkę Johny Walker proponując z uśmiechem: „Jeszcze trochę whisky?”

- Spin nie jest wcale chory - oświadczam z przekonaniem. - Jest tylko wściekły na ciebie, że nie chodzisz z nim na polowanie. Lenisz się od pewnego czasu. Lubisz wygody, nie ruszasz się z domu. To zły znak. Starzejesz się. Może nie mam racji, że leń się z ciebie zrobił?

- To nieprawda - protestuje Mameli czerwieniąc się. - Nieprawda. Zabieram go na polowanie każdego tygodnia. Robiliśmy piękne wyprawy ostatnimi czasy, byliśmy nawet w Fruskiej Górze na trzydniowej wycieczce, równo miesiąc temu, przed wyjazdem mojej żony. Spin nie jest zły na mnie, mówię ci, że jest chory.

- Więc tym bardziej chodźmy go zobaczyć - mówię stanowczo, kierując się ku drzwiom. - Gdzie on jest?

- Jest w piwnicy - mówi cicho Mameli spuszczać oczy.

- W piwnicy?

- Tak, w piwnicy, to znaczy, chciałem powiedzieć, w schronie.

- W schronie? - powtarzam zdumiony.

- Próbowałem na wszystkie sposoby. Nie chce wrócić na górę - mówi Mameli nie podnosząc oczu. - Już mija dziesięć dni, odkąd siedzi w schronie.

- Nie chce iść na górę? W takim razie pójdziemy do niego na dół.

Schodzimy do piwnicy świecąc sobie naftową lampką. W najciemniejszym, najstronniejszym kącie, na pościeli z kanapowych poduszek, leży skulony Spin. Najpierw dostrzegam trwożliwe tąpnięcie jego jasnych oczu, następnie słyszę uderzenie ogonem o poduszki. Przystaję na ostatnim stopniu schodów i pytam po cichu Mamelego:

- Co z nim jest, u diabła?

- Jest chory.

- No dobrze, ale co mu jest?

- Boi się - szepcze Mameli czerwieniąc się ze wstydu.

Rzeczywiście, Spin miał wygląd psa opanowanego wielkim, przemożnym strachem. A z tym uczuciem strachu łączył się wstyd. Kiedy mnie zobaczył i rozpoznał węchem i po głosie, opuścił uszy, ukrył mordkę w łapach i spoglądał na mnie ukradkiem, powolutku poruszając ogonem, tak właśnie, jak zwykły robić psy, jeśli się wstydzą. Wychudł, żebra sterczały mu przez skórę, boki miał zapadnięte, oczy zażawione.

- Och, Spin! - wykrzyknąłem z akcentem litości i nagany. A Spin popatrzył na mnie błagalnie, potem na Mamelego z głębokim zawodem. Zrozumiałem, jakie kłębowisko różnorodnych uczuć musiało szarpać jego duszą - strach, rozczarowanie, gorycz, a także trochę litości, tak, na pewno i trochę politowania.

- To nie tylko strach - powiedziałem - w tym jest coś jeszcze innego.

- Coś innego? - podchwycił Mameli żywo, niemal radośnie.

- To nie tylko strach - powtórzyłem. - Jest w nim jeszcze jakieś inne, głębsze i nie takie proste uczucie. Podejrzewam, a raczej mam nadzieję, że to nie tylko strach. Strach to niegodne uczucie. Nie, nie, to nie tylko strach - mówiłem, a Spin słuchał, czujnie nastawiając uszu.

- Zdejmujesz mi wielki ciężar z serca - rzekł Mameli. - Nie było nigdy tchórzów u mnie w domu. Byłby to w mojej rodzinie pierwszy wypadek tchórzostwa. Byliśmy zawsze odważni, my, ród Mamelich. I byłoby to dla mnie nad wyraz bolesne, gdyby Spin okazał się niegodny nazwiska, jakie nosi, nazwiska Mameli.

- Ach, jestem pewien, że Spin jest godnym dziedzicem tradycji twojej rodziny. Nieprawdaż, Spin? You are a brave dog, aren't you? - przemówiłem w jego ojczystym języku, głaszcząc go po głowie. Spin patrzył na mnie machając ogonem. Potem spojrział na Mamelego tymi swoimi oczyma pełnymi zawodu, litości, żalu; spojrzeniem wyrażającym czuły wyrzut.

- Dobranoc, Spin - powiedziałem i Obaj z Mamelim wróciliśmy do gabinetu i zasiedli w fotelach przy kominku, na którym nie palił się ogień. Długo siedzieliśmy w milczeniu, pijąc i paląc, Mameli tylko raz po raz spoglądał na mnie i wzdychał.

- Zobaczysz - powiedziałem mu - jutro rano Spin będzie zdrow. Mam dla niego wspaniałe lekarstwo.

Wstałem, Mameli odprowadził mnie do łóżka i smutno powiedział mi dobranoc. Słyszałem, jak oddala się swoim lekkim, trochę niepewnym krokiem, i miałem wrażenie, że kuleje bardziej niż zwykle.

Za łóżko miała mi służyć kanapa w salonie przyległym do jadalni. Zdjąłem buty i wyciągnąłem się na poduszkach, ale zasnąć jakoś nie mogłem. Przez szyby szerokich oszklonych drzwi, oddzielających salon od jadalni, widziałem połyskujące w mroku kieliszki i kryształowe karafki, porcelanę i srebra. Kanapa stała w kącie pokoju, pod dużym obrazem przedstawiającym biblijny epizod z żoną Putyfara. Sławetny płaszcz niewinnego Józefa był pięknym płaszczem z czerwonej wełny, miękkim i ciepłym. A ja miałem do przykrycia jedynie mój nieprzemakalny płaszcz, mokry od deszczu i zachlapany błotem. Toteż chętnie dopatrywałem się w tym geście rozpustnej żony Putyfara macierzyńskiej



troskliwości, jak gdyby grzesznica kierowała się nie lubieżną żądzą, tylko miłosierdziem zabierając płaszcz Józefowi, po to, by nim otulić moje zziębnięte plecy. Kroki patroli niemieckich głucho rozbrzmiewały na pustej ulicy. Koło godziny pierwszej w nocy ktoś zaczął głośno stukać do bramy poselstwa bułgarskiego, mieszczącego się naprzeciw naszego. „Cicho, nie róbcie hałasu - powiedziałem przez sen - nie budźcie biednego Spina”. Spin musiał spać o tej porze, you are a brave dog, aren't you? I nagle zmoгло mnie zmęczenie i zapadłem w sen.

Nazajutrz rano powiedziałem do Mamelego: „Weź fuzję myśliwską”.

Mameli wyszedł ma korytarz, zdjął fuzję ze ściany, otworzył ją i przedmuchał lufy.

- Teraz idziemy do Spina - rzekłem. Zeszliśmy na dół i stanęli w progu piwnicy. Na widok Mamelego z fuzją w ręku Spin opuścił wzrok, ukrył mordkę w łapach i zaczął Skomleć cichutkim, dziecięcym głosikiem. - Idziemy, Spin - powiedziałem.

Spin wpatrywał się w fuzję szeroko otwartymi oczyma i drżał.

- No, dalej, Spin, idziemy - powtórzyłem tonem czulej wymówki. Ale Spin nie ruszył się, wpatrywał się w fuzję szeroko otwartymi oczyma, drżąc ze strachu. Więc wziąłem go na ręce (dygotał jak przestraszone dziecko zaciskając mocno powieki, żeby nie widzieć fuzji, którą Mameli zarzucił sobie na ramię) i wyszliśmy powoli na schody, a stamtąd do hallu.

W hallu zastaliśmy, czekających na nas, nuncjusza papieskiego, monsignora Felicio, i ministra pełnomocnego Stanów Zjednoczonych, Mr Bliss Lane'a. Dowiedziawszy się o moim przybyciu i o tym, że tegoż jeszcze dnia mam wyruszyć do Budapesztu, pospieszyli do poselstwa, żeby prosić mnie o zabranie jakichś ważnych papierów. Bliss Lane trzymał w ręku dużą żółtą kopertę, którą miałem doręczyć w poselstwie Stanów Zjednoczonych w Budapeszcie. Poza tym podał mi tekst depechy prosząc o przesłanie jej ze stolicy Węgier do Mrs Bliss Lane przebywającej w tym czasie we Florencji, w gościnie u przyjaciółki. Monsignor Felici również prosił o doręczenie pliku papierów nuncjaturze apostolskiej w Budapeszcie.

- Przede wszystkim muszę się zająć Spinem, który jest bardzo chory - powiedziałem. - O tamtych rzeczach pomówimy później.

- Słusznie - rzekł monsignor Felici - przede wszystkim trzeba pomyśleć o Spinie.

- Kto to jest Spin? - zapytał Bliss Lane obracając w rękach swoją żółtą kopertę.

- Kto to jest Spin? Pan nie zna Spina? - zdziwił się monsignor Felici.

- Spin jest chory i trzeba mu pomóc - powiedziałem.

- Mam nadzieję, że nie zamierzacie go zabić - rzekł Bliss Lane wskazując na strzelbę, którą Mameli kurczowo zaciskał w ręku.

- Wystarczy jeden nabój - powiedziałem.

- Ależ to okropne! - wykrzyknął Bliss Lane oburzony.

Wyszedłem do ogrodu i postawiłem Spina na zwirowanej ścieżce, trzymając go na smyczy. W pierwszej chwili chciał uciekać, szarpnął smyczą i skomlał cicho swoim dziecinnym głosem. Ale kiedy zobaczył, że Mameli otwiera broń i wsuwa nabój do lufy, drżąc przycisnął się do ziemi i zamknął oczy. Monsignor Felici odwrócił się, przeszedł parę kroków, ale potem stanął z głową pochyloną na piersi.

- Gotów? - spytał Mamelego.

Wszyscy usunęli się na stronę - Guidotti, książe Ruffo, hrabia Fabrizio Franco, Bavai, Costa, Corrado Sofia - i wszyscy milczeli nie spuszczać wzroku z fuzji, którą Mameli ścisnął w drżących rękach.

- To okropne, co panowie robicie - rzekł Bliss Lane zdławionym głosem - to straszne!

- Strzelaj! - rzuciłem ostro Mamelemu.

Powolnym ruchem podniósł broń. Wszyscy wstrzymali oddech. Spin przypłaszczony na ścieżce żalił się cichutko. Mameli przyłożył do ramienia, wymierzył, strzelił.

Huk wystrzału zabrzmiał krótko i czysto w otoczonej murem przestrzeni ogrodu (Mameli wziął na cel wysokie drzewo, chmara wróbli zerwała się z głośnym, wystraszonej ćwierkaniem, kilka liści oderwało się od gałęzi i miękko spływało ku ziemi w szarym powietrzu); Spin nadstawił czujnie uszu, otworzył oczy, rozejrzał się dokoła. To był swojski, znajomy głos, przyjazny głos strzelby, który mile uderzył jego ucho. A więc wszystko wróciło do dawnego ładu, dawnej harmonii. Nie będzie już więcej wstrząsał światem ogłuszający, ohydny, wrogi głos zwariowanej strzelby; uspokojona przyroda znowu zacznie pogodnie się uśmiechać. W chwili, kiedy Mameli wsunął nabój w lufę, Spin czuł, że krew ścina mu się w żyłach, czekał, kiedy z paszczy szalonej fuzji wyrwie się ów straszliwy grom, kiedy rozlegnie się ten okropny hałas, który już przedtem wstrząsnął światem, obrócił go w ruinę, pokrył ziemię gruzem i żałobą. Drżący, zamknął oczy w pełnym napięcia oczekiwaniu. I oto strzelba, uzdrowiona nareszcie ze swego okropnego szaleństwa, wydała stary, dobrze znany, przyjazny głos rozpogodzonej przyrody. Spin podniósł się, zamerdał ogonem, rozejrzał się dokoła zdumiony i trochę jeszcze niedowierzający, potem otrząsnął się i popędził w ogród z wysokim, radosnym szczekaniem. Obiegłszy cwałem ogród dopadł Mamelego i oparł przednie łapy na jego piersi, wesoło obszczekując fuzję.

- Idziemy, Spin - rzekł Mameli, blady jeszcze i przejęty. I ruszył z psem ku domowi, by zawiesić fuzję na ścianie w korytarzu.

## Część czwarta

### Ptaki

## XII. Szklane oko

Księżniczka Luiza Pruska, wnuczka cesarza Wilhelma II (jej ojciec, książę Joachim von Hohenzollern, zmarły przed kilku laty, był młodszym bratem Kronprinza), miała wieczorem oczekiwać mnie razem z Ilsa na dworcu w Poczdamie.

- Przyjedziemy z Litzensee na rowerach - zatelefonowała do mnie Ilse.

Był wiosenny wieczór, wilgotny i ciepły. Kiedy wysiadłem z berlińskiego pociągu, drobny deszczyk wisiał w zielonkawym powietrzu niby srebrzysty pył. Domy w głębi placu wyglądały jak z aluminium. Na chodnikach przed dworcem stały grupki oficerów i żołnierzy.

Podczas gdy przyglądałem się propagandowemu plakatowi Leibstandarte Adolfa Hitlera, wiszącemu w hallu dworcowym (plakat przedstawiał dwóch SS-manów uzbrojonych w pistolety maszynowe; mieli ostro zarysowane, gładko wygolone twarze, czoła osłaniały im wielkie stalowe hełmy, szare oczy błyszcząły zimno i okrutnie; sylwetki ich odcinały się mocno na tle płonących domów, szkieletów drzew, armat zagłęzionych w błocie aż po osie kół), poczułem, że jakaś ręka dotyka mego ramienia.

- Dobry wieczór - odezwała się Ilse. Policzki miała zaczerwienione po długiej, męczącej jeździe na rowerze, jasne włosy potargane przez wiatr.

- Luiza czeka przed dworcem - mówiła Ilse. - Pilnuje rowerów.

Uśmiechnęła się i dodała: - She is very sad, poor child, be nice to her<sup>25</sup>.

Luiza stała przy rowerach opartych o słup latarni, jedną rękę trzymając na kierownicy.

- Comment allez-vous? - zapytała tą specyficzną francuszczyzną poczdamską, brzmiącą twardo i nieśmiało zarazem. Przyglądała mi się z uśmiechem, z głową lekko przechyloną na ramię. Zapytała, czy nie mam przy sobie szpilki. Nie miałem niestety.

- W całych Niemczech niepodobna dostać ani jednej szpilki - wyjaśniła mi ze śmiechem. A jej właśnie oberwał się obrąbek u spódnicy i wydawała się bardzo zakłopotana tym drobnym wypadkiem. Była w tyrolskim kapelusiku z zielonego filcu zsuniętym na tył głowy, w tweedowej spódnicy tabaczkowej barwy, w obcisłej skórzanej kurtce uwydatniającej wąską talię i łagodną wypukłość bioder. Na nogach miała króciutkie skarpetki, wyżej nogi były gołe. Wydawała się rada, że mnie widzi. Czemu nie miałbym pojechać z nimi do Litzensee? Bez trudu udałoby jej się pożyczyć gdzieś dla mnie rower. Mógłbym przenocować w zamku. Ale ja nie mogłem, musiałem nazajutrz rano wyruszyć do Rygi i Helsinek. Czy nie mogę odłożyć tego wyjazdu? W Litzensee jest tak pięknie, to nie jest właściwie zamek, tylko stary dwór wiejski otoczony cudownymi lasami. Żyją w nich całe rodziny danieli i jeleni, przyroda w Litzensee jest bardzo piękna i taka młoda!

Ruszyliśmy w kierunku centrum miasta, szedłem obok Luizy, która prowadziła swój rower opierając się na nim. Deszcz przestał padać, wieczór był ciepły i jasny, choć bez księżyca. Wydało mi się, że idę tak u boku dziewczyny przez któreś z przedmieść mojego rodzinnego miasta. Że jestem znowu młodym chłopcem, w Prato, i wieczorem, kiedy robotnice wychodzą z fabryk, czekam na Biankę na ulicy Fabbricone, za Porta del Serraglio, żeby odprowadzić ją do domu idąc tak właśnie obok swego roweru. Na chodniku było trochę błota, ale Luiza szła nie zwracając na nie uwagi, wchodziła w kałuże tak samo, jak to czynią młode robotnice fabryczne w moim mieście, tak właśnie, jak to robiła Bianca.

---

<sup>25</sup> Jest bardzo smutna, biedne dziecko. Niech pan będzie dla niej miły.

Na niebie, trochę jeszcze przymglonym, ukazały się pierwsze gwiazdy, blade i dalekie, w gałęziach drzew świergotały cicho i pogodnie ptaki, rzeka w głębi ulicy szumiała głosem rozkołysanym jak poruszana wiatrem firanka. Na moście przystanęliśmy, i przechyleni przez poręcz patrzyliśmy na wodę. Łódka z dwoma żołnierzami sunęła właśnie pod arkadami mostu, dając się unosić prądowi. Luiza, oparta o marmurowy parapet, przyglądała się, jak spokojnie woda przepływa wzdłuż porośniętych trawą, spadzistych brzegów. Stojąc na palcach wychylała się za parapet - zupełnie tak samo, jak to robiła Bianca na moście Mercatale, patrząc, jak wody Bisenzio obmywają wysoki czerwony mur otaczający miasto. Kupowałem torebkę słodkiego łubinu albo pestek z dyni i Bianca zabawiała się wypluwaniem łupinek do rzeki.

- Gdybyśmy byli we Włoszech - powiedziałem - kupiłbym pani za dwa soldy pestek z dyni albo słodkiego łubinu. Ale w Niemczech nie ma nawet pestek z dyni. Lubi pani słodki łubin, Luizo, i solone pestki?

- Kiedy byłam we Florencji, co dzień kupowałam torebkę pestek na rogu ulicy Tornabuoni. Ale wszystko to teraz wydaje się bajką.

- Czemuż by pani nie miała przyjechać na miodowy miesiąc do Italii?

- O, pan już wie, że wychodzę za mąż? Kto panu powiedział?

- Powiedziała mi przedwczoraj Agatha Ratibor. Niech pani przyjedzie na Capri, do mojego domu, Luizo. Ja będę daleko, w Finlandii, będzie pani miała dom do dyspozycji. Księżyc na Capri jest naprawdę słodki jak miód.

- Nie mogę. Odebrano mi paszport. Nie możemy wyjeżdżać z Niemiec. W Litzensee żyjemy jak na wygnaniu.

Istotnie, życie członków rodziny cesarskiej nie było łatwe. Nie mogli oddalać się od swego miejsca zamieszkania na odległość większą niż parę mil. Mówiąc o tym Luiza śmiała się, z głową lekko przechyloną na ramię. Po to, żeby pojechać do Berlina, trzeba było uzyskać specjalną przepustkę.

Drzewa odbijały się w rzece, powietrze było łagodne, rozświetlone lekką srebrzystą mgiełką. Byliśmy już daleko za mostem, kiedy jakiś młody oficer zatrzymał się na nasz widok i zasalutował.

- O, Hans - powiedziała rumieniąc się Luiza.

Był to Hans Reinhold. Stojąc na baczność przed Luizą, z ramionami sztywno przylegającymi do boków, patrzył na nią z uśmiechem. Ale zaraz jego twarz zaczęła się z wolna, jakby pod nakazem jakiejś siły magicznej, niezależnie od jego woli, obracać w stronę plutonu żołnierzy, który zbliżał się miarowym krokiem, głośno stukając obcasami o asfalt. Byli to jego żołnierze: zeszedli właśnie z warty i powracali do koszar.

- Nie pójdziesz z nami, Hans? - zapytała cicho Luiza.

- Nie skończyłem jeszcze bawić się w żołnierzy. Mam służbę dziś wieczór - odparł Hans. Jego wzrok ześliznął się z twarzy Luizy i pomknął w ślad za żołnierzami, którzy oddalali się, wciąż równie mocno waląc burtami o asfalt ulicy.

- Do widzenia, Hans! - powiedziała Luiza.

- Do widzenia, Luizo! - Hans podniósł rękę do daszka czapki, pożegnał Luizę w sztywnym stylu poczdamskim, po czym zwracając się do Ilse i do mnie powiedział: - Do widzenia, Ilse - mnie skłonił się lekko, biegiem dogonił swój oddział i zniknął w głębi ulicy.

Luiza szła w milczeniu, słychać było tylko szelest opon roweru po wilgotnym asfalcie, warczenie motoru na którejś z pobliskich ulic i kroki przechodniów na chodnikach. Ilse milczała również, raz po raz potrząsając swoją małą jasną główką. Od czasu do czasu jakiś głos ludzki tu i ówdzie przerywał ciszę, a raczej te nieprzerwane akordy cichych dźwięków, czy ułamków dźwięków, jakie tworzą ciszę ulicy w prowincjonalnym mieście, wieczorem. Był to jednak zawsze głos zestrojony z tymi akordami dźwięków, po prostu ludzki głos, nic innego tylko ludzki głos, czysty i samotny.

- Hans ma iść na front w przyszłym miesiącu - odezwała się wreszcie Luiza - ledwie zdążymy się pobrać. - Po króciutkim wahaniu dodała: - Ta wojna... - ale nie dokończyła zdania.

- Ta wojna panią przeraża - powiedziałem.

- Nie, to nie to. Nie to, co pan mówi. Jest w tej wojnie coś...

- Co mianowicie?

- Nic. Chciałam powiedzieć... ale lepiej nie mówić.

Byliśmy właśnie przy restauracji, niezbyt daleko od mostu. Weszliśmy do środka. Sala była pełna. Przeszliśmy w głąb, do małej ustronnej salki, gdzie przy jednym stoliku siedziało w milczeniu kilku żołnierzy, przy drugim dwie młodziutkie dziewczyny, prawie dzieci, jadły kolację w towarzystwie starej damy, zapewne nauczycielki. Miały długie jasne włosy zaplecione w warkocze, białe nakrochmalone kołnierzyki, wyłożone na szare szkolne mundurki. Luiza wydawała się jakaś skrępowana, rozglądała się dokoła, jakby kogoś szukała, a od czasu do czasu podnosiła na mnie wzrok uśmiechając się smutno.

- Je n'en peux plus - powiedziała nagle.

W jej pełnej wdzięku prostocie był cień chłodnej surowości, tej samej chłodnej surowości, jaka cechuje cały Poczdam z jego architekturą, jego neoklasycznymi pretensjami, z jasnymi stiukami jego kościołów i pałaców, jego koszarami, zakładami naukowymi, rezydencjami pełnymi pompy i mieszczańskimi zarazem, otoczonymi wilgotną, gęstą zielenią drzew.

W towarzystwie Luizy czułem się równie swobodny i prosty jak wobec jakiegokolwiek dziewczęcia z ludu, robotnicy. Urok Luizy leżał właśnie w jej prostocie młodej dziewczyny z ludu, w jej smutku trochę nieśmiałym, takim samym, jaki rodzi się z życia bez radości, pędzonego w jednostajnym, codziennym trudzie, z mrocznej, bladej, twardej egzystencji. Nie było w niej ani śladu upokorzonej pychy, goryczy wyrzeczeń, fałszywej pokory, wstydlivej próżności i nagłych wybuchów urazy - tych wszystkich rzeczy, w których prości ludzie zwykli dopatrywać się oznak upadłej wielkości; nic, tylko smutna prostota, delikatna, nieświadoma cierpliwość, blask lekko przymglony, szlachetna niewinność, tajemna siła tkwiąca na dnie dumy. W obcowaniu z nią czułem się ludzki i prosty jak wobec młodych robotnic, które spotyka się wieczorem w wagonach U-Bahn czy wśród czarniawych uliczek berlińskich przedmieść, w pobliżu fabryk, w porze, kiedy niemieckie robotnice wychodzą stamtąd grupami, upokorzone i smutne, a w pewnej za nimi odległości sunie milcząca, posępny tłum

bosych, półnagich, rozczochranych kobiet, które Niemcy zagarnęli w łapankach, w tych łowach na białe niewolnice, jakie urządzają w Polsce, na Ukrainie i Białorusi

Ręce Luizy były smukłe i delikatne, o bladych przezroczystych paznokciach. Na cienkich przegubach rysowała się siatka niebieskich żyłek, przechodząc z przegubu na dłoń. Jedną rękę oparła na stole i przyglądała się wizerunkom koni zdobiącym ściany sali. Były to najstłynniejsze folbluty z wiedeńskiej Hohe Schule rysowane przez Vernetta i Adama - jedne idące paradnym „hiszpańskim krokiem”, inne galopujące w krajobrazie błękitnych drzew i zielonych wód. Ja natomiast przyglądałem się ręce Luizy, księżniczki Hohenzollern. (Ręce Hohenzollernów znane były z krótkości, miękkości palców, były pulchne, wielki palec miały zakrzywiony, a mały - w zaniku, środkowy zaś niewiele dłuższy od sąsiednich). Ale dłoń Luizy była zaczerwieniona i spierzchnięta od prania, pokryta drobnymi zmarszczkami i spękana, podobnie jak ręce polskich i ukraińskich robotnic, które widziałem na przedmieściu Ruhleben siedzące na ziemi pod murem fabrycznym i żujące kromki czarnego chleba; jak u „białych niewolnic” ze Wschodu, rosyjskich robotnic z zakładów metalurgicznych, kobiet, które wieczorami zapełniają chodniki dzielnic przemysłowych Pankow i Spandau.

- Czy mógłby mi pan przywieźć z Włoch albo Szwecji trochę mydła? - zapytała Luiza chowając rękę. - Muszę sama prać pończochy, bieliznę. Więc trochę zwykłego mydła do prania. - I dodała po chwili milczenia: - Wolalabym pracować w fabryce jako robotnica. Je n'en peut plus de cette existence de petite bourgeoise<sup>26</sup>.

- Przyjdzie wkrótce kolej i na to - odpowiedziałem. - Panią także poślą do roboty w fabryce amunicji.

- O, nie, nie chcę mieć do czynienia z kimś z rodziny Hohenzollern. Jesteśmy w dzisiejszych Niemczech pariasami. Nie wiedzą, co z nami począć - dodała z lekką nutą pogardy - nie mają co począć z Cesarskimi Wysokościami.

W pewnej chwili weszło do sali dwóch żołnierzy z oczyma zasłoniętymi ciemną opaską. Towarzyszyła im pielęgniarka prowadząc ich za ręce. Usiedli przy stoliku niedaleko od nas i trwali tam nieruchomo, w milczeniu. Pielęgniarka odwracała się raz po raz, żeby na nas spojrzeć. W pewnej chwili powiedziała coś cicho do niewidomych żołnierzy, a oni zwrócili ku nam twarze.

- Jacy młodzi! - rzekła cicho Luiza. - Wyglądają, jak mali chłopcy.

- Mieli szczęście - powiedziałem. - Wojna ich nie pożarła.

Wojna nie zjada trupów, połyka tylko żywych żołnierzy. Pożera nogi, ręce i oczy żywych żołnierzy, prawie zawsze podczas snu, podobnie jak to robią szczury. Ludzie natomiast są bardziej cywilizowani: nie jedzą nigdy żywych ludzi. Wolą, ktoś wie dlaczego, jeść trupy. Może dlatego, że chyba niełatwo jest jeść żywego człowieka, nawet jeżeli śpi. W Smoleńsku widziałem kiedyś, jak jeńcy rosyjscy jedli trupy swoich towarzyszy zmarłych z głodu i zimna. Niemieccy żołnierze przyglądali się temu w milczeniu, z najdobroduszniejnymi w świecie minami. Niemcy są przepiętni uczuciem ludzkości, prawda? Ale to nie była ich wina, nie mieli czym żywić jeńców, więc stali tylko, przyglądali się i kiwali głowami mówiąc: „Arme Leute, biedni ludzie”. Niemcy są narodem sentymentalnym, najbardziej sentymentalnym i najbardziej cywilizowanym narodem na świecie. Naród niemiecki nie jada trupów. Zjada tylko żywych ludzi.

---

<sup>26</sup> Nie mogę już znieść tej drobnomieszczkańskiej egzystencji.

- Och, proszę, niech pan nie będzie okrutny, nie opowiada takich okropności - rzekła Luiza kładąc mi rękę na ramieniu. Drżała silnie i nagle doznałem uczucia jakiejś gniewnej litości.

- Zimno było straszliwe - ciągnąłem - a ja dostałem torsji. Wstydzilem się przed Niemcami mojej słabości. Oficerowie i żołnierze przyglądali mi się wzgardliwie, jak komuś do cna zniewieściałemu. A ja czerwieniłem się i byłbym chciał usprawiedliwić się z tej chwili słabości, ale z powodu torsji nie mogłem tego uczynić.

Luiza milczała. Czułem drżenie jej ręki spoczywającej na moim ramieniu. Zamknęła oczy, zdawało się, że wcale nie oddycha. Po chwili powiedziała, wciąż z zamkniętymi oczyma i nie przestając drżeć:

- Czasem zadaję sobie pytanie, czy moja rodzina jest częściowo odpowiedzialna za to, co się teraz dzieje. Jak pan sądzi, czy my, Hohenzollernowie, mamy w tym swój udział odpowiedzialności?

- A któż go nie ma? Ja nie jestem Hohenzollernem, a także czuję nieraz swoją część odpowiedzialności za to, co się dziś dzieje w Europie.

- Zastanawiam się często, czy jako Niemka mam obowiązek kochać naród niemiecki. Księżniczka Hohenzollern *powinna* kochać naród niemiecki, prawda?

- Nie jest pani obowiązkiem ich kochać. Ale przecież Niemcy są bardzo mili.

- Oh, oui, ils sont très gentils - roześmiała się Ilse.

- Czy chce pani, żebym opowiedział historyjkę o szklanym oku?

- Nie chcę słyszeć żadnych okrutnych historii - rzekła Luiza.

- Wcale nie jest okrutna. To historyjka iście niemiecka, sentymentalna.

- Niech pan mówi cicho - szepnęła Luiza. - Ci dwaj niewidomi mogą nas słyszeć.

- Czy sądzi pani, że istnieje na świecie coś miłszego niż ludzie niewidomi? Chyba tylko jedno: ludzie mający jedno oko szklane. Choć, co prawda, ubiegłej zimy, w Polsce, widziałem coś jeszcze miłszego niż ludzie ślepi i ludzie z jednym okiem szklanym. To było w Warszawie, w kawiarni Europejskiej. Wróciłem właśnie z frontu pod Smoleńskiem, byłem straszliwie zmęczony, ciągłe mdłości nie dawały mi spać. Budziłem się w nocy z ostrym bólem żołądka, czułem się tak, jakbym połknął jakieś zwierzę, które gryzie mi wnętrzności. Albo tak, jakbym zjadł kawał żywego człowieka. Długie godziny leżałem bezsennie, wpatrzony w ciemność szeroko otwartymi oczyma.

No więc byłem w Warszawie, w kawiarni Europejskiej. Orkiestra grała stare pieśni polskie i wiedeńskie Lieder. Przy sąsiednim stoliku siedziało kilku niemieckich żołnierzy z dwiema pielęgniarkami. Publiczność zapełniająca kawiarnię była ta sama, co zwykle - wspaniała i nędzna, pełna godności i szlachetnej melancholii - taka, jaką widzi się w publicznych lokalach miast polskich w obecnych latach nędzy i niewoli. Kobiety i mężczyźni o zmęczonym wyglądzie siedzieli przy stolikach słuchając w milczeniu muzyki albo rozmawiając przyciszonym głosem. Wszyscy mieli zniszczoną odzież, obcasy mocno zbite, zdarte. Ich sposób bycia cechowała miła delikatność, to coś, co sprawia, że Polacy są jak przymglone lustro, w którym najwyczałniejsze gesty znajdują odbicie pełne antycznego, szlachetnego wdzięku.

Nadzwyczajne były zwłaszcza kobiety w swojej dumnej prostocie, w tej swojej dumie, która przesłaniała głodową bladość ich twarzy. Uśmiechały się ze znużeniem, ale w uśmiechu tym nie było ani śladu rezygnacji, żałości, ani śladu jakiegokolwiek upokorzenia. Spojrzenie miały głębokie i jasne, a jednocześnie było w nim wspomnienie burzy. Podobne były do ptaków zranionych czy uwięzionych w klatce, do mew, których znużony, ciężki lot zwiastuje burzę; mew rysujących się biało na czarnym tle burzowych chmur i których krzyk miesza się z wyciem wichry i rykiem morza. Żołnierze przy sąsiednim stoliku siedzieli z szeroko otwartymi oczyma, z nieruchomymi twarzami. Widziałem, jak dziwnie rozszerzają się i kurczą ich źrenice. Nie mogłem dostrzec u nich najlżejszego nawet drgania powiek. Nie byli jednak ślepi: jedni czytali gazety, inni przypatrywali się uważnie orkiestrze, ludziom wchodzącym i wychodzącym, kelnerom krzątającym się około stolików albo przez zamglone szyby wielkich okien patrzyli na ogromny plac Saski, pusty i okryty śniegiem.

Nagle spostrzegłem z uczuciem grozy, że oni nie mają powiek. Widziałem już kilku żołnierzy bez powiek na peronie dworca w Mińsku, parę dni przedtem, w drodze powrotnej do Smoleńska. Straszliwe mrozy tamtej zimy dały się ludziom we znaki na różne najdziwniejsze sposoby. Wiele tysięcy żołnierzy potraciło kończyny, tysiące ich mróz pozbawił uszu, nosów, palców, genitaliów. Wielu potraciło też włosy. Niektórzy wyłysieli w ciągu jednej nocy, innym włosy wypadały kępkami, jak u chorych na świerzb. Jeszcze innym poodpadały powieki. Odmrożona powieka odpada jak kawałek spalonej skóry. Pełen grozy przyglądałem się oczom tych nieszczęsnych żołnierzy w kawiarni Europejskiej w Warszawie, wpatrywałem się w te źrenice, które to rozszerzały się, to kurczyły pośrodku wytrzeszczonej, nieruchomej tęczówki daremnie szukając schronienia przed światłem. Myślałem o tym, jak to ci nieszczęśnicy śpią z szeroko otwartymi oczyma, i że jedyną powiekę stanowi dla nich ciemność nocy; że kroczą przez jasny dzień z bezbronnymi oczyma na spotkanie nocy, siedzą na słońcu czekając, aż cień nocy, jak powieka, zejdzie na ich oczy. Myślałem też, że losem, jaki ich czeka, jest szaleństwo i że tylko szaleństwo użyczyć może cienia tym oczom bez powiek.

- Och, dość! - przerwała mi Luiza krzyżąc niemal. Wlepiła we mnie szeroko otwarte oczy, dziwnie zbiegłe.

- Nie uważa pani, że to wszystko jest bardzo miłe, très gentil?

- Taisez-vous - wyszeptła. Zamknęła oczy, oddychała z wysiłkiem.

- Niech pani mi pozwoli opowiedzieć teraz historię o szklanym oku.

- Pan nie ma prawa tak mnie dręczyć.

- To tylko chrześcijańska historyjka, Luizo. Czyż nie jest pani księżniczką z niemieckiej rodziny cesarskiej, córką Hohenzollernów, tym, co się zwykło nazywać panią z dobrego domu? Czemuż nie miałbym pani opowiedzieć prawdziwie chrześcijańskiej historii?

- Pan nie ma prawa - powtórzyła Luiza stanowczo.

- Niechże więc przynajmniej posłucha pani pewnej historyjki o dzieciach.

- Och, niech pan nic nie mówi, błagam pana - szepnęła. - Czyż pan nie widzi, że drzę cała? Pan mnie przeraża.



- To historia o neapolitańskich dzieciach i angielskich lotnikach - powiedziałem - bardzo ładna historyjka. Nawet w wojnie bywa czasem coś ładnego.

- To właśnie jest najokropniejsze - rzekła Ilse - że i w wojnie jest coś ładnego. Nie lubię patrzeć, jak się uśmiechają potwory.

W początkach wojny znajdowałem się w Neapolu; był to okres pierwszych nalotów. Pewnego wieczora byłem na kolacji u mego przyjaciela mieszkającego w Vomero. Vomero jest to wysokie wzniesienie nad miastem, skąd schodzi ku morzu wzgórze Posillippo. Urocze miejsce, jeszcze przed niewielu laty był to zupełnie wiejski pejzaż, trochę małych domków zagubionych w zieleni. Przy każdym domu był ogród - winnica, parę oliwek, tarasowate warzywniki, gdzie rosły bakłażany, pomidory, kapusta i groszek, pachniały bazylią, różę i rozmaryn. Różę i pomidory z Vomero nie ustępują antycznym różom z Paestum i pomidorom z Pompei i są nie mniej od tamtych sławne. Dzisiaj miejsce sadów i warzywników zajęły ozdobne ogrody. Ale pośród ogromnych bloków z cementu i szkła przetrwały jeszcze gdzieś tam stare wille i zagrody chłopskie i zieleń starego sadu kładzie się łagodnie na ogromnym błękitnie zatoki. Na wprost widać wyłaniającą się z morza w srebrzystej mgielce sylwetkę Capri, na prawo Ischię z wyniosłym szczytem Epomeo, na lewo wybrzeże Sorrento - wszystko jak przez błękitną szybę morza i nieba - i najdalej w lewo Wezuwiusz, to dobrotliwe bóstwo, rodzaj olbrzymiego Buddy, który siedzi zapatrzony w zatokę. Wałęsając się po uliczkach Vomero tam, gdzie zmienia ono nazwę i przechodzi we wzgórze Posillipo, dojrzeć można pomiędzy domami i drzewami dostojną, prastarą pinę, oceniającą grobowiec Wergiliusza. Tam właśnie mój przyjaciel miał mały wiejski domek otoczony sadem.

W oczekiwaniu na kolację usiedliśmy w ogrodzie, pod pergolą z winorośli, pałac i rozmawiając leniwie. Słońce już zaszło, był to właśnie ten krajobraz, ta sama pora dnia i roku, jakie opiewał Sannazzaro. I tę samą, co u Sannazzara, woń morza zmieszana z zapachem ogrodów warzywnych przynosił do nas lekki wiatr od wschodu. Kiedy od morza zaczął nadciągać wieczór niosąc wielkie pęki fiołków wilgotnych od rosy (morze układa wieczorem na oknach bukiety fiołków, które pachną całą noc, napełniając pokoje miłym oddechem morza), mój przyjaciel powiedział:

- Dziś będzie pogodna noc. Na pewno przylecą. Trzeba poukładać w ogrodzie podarunki od angielskich lotników.

Nie zrozumiałem i ze zdumieniem patrzyłem na mojego przyjaciela, który wszedł do domu, wrócił po chwili niosąc lalkę, drewnianego konika, trąbkę i dwie torebki słodyczy i bez słowa (pewnie ciesząc się złośliwie z mojego zdumienia) zaczął starannie rozmieszczać to wszystko w krzakach róż, pomiędzy kępkami sałaty, na wąskiej żwirowatej ścieżce i na brzegu basenu, gdzie w wodzie miękko snuła się rodzina czerwonych rybek.

- Co ty robisz? - zapytałem.

Spojrzał na mnie z powagą, ale zaraz się uśmiechnął. I opowiedział mi, że jego dzieci (o tej porze dzieci już spały) podczas pierwszych nalotów były do tego stopnia przerażone, że młodsze z nich nawet się rozchorowało. Wpadł więc na pomysł przekształcenia straszliwych bombardowań Neapolu w radosną niespodziankę dla dzieci. Odtąd, ilekroć w nocy rozległo się wycie syren alarmowych, mój przyjaciel i jego żona zrywali się z łóżek, chwyтали malców na ręce i wołając wesoło: „Ach, co za radość! Co za radość! Lecą angielskie samoloty z podarunkami dla was!”, schodzili do piwnicy, swego

jedynego i bardzo marnego schronu. Wciśnięci w jej najzacieśniej kącik przeczekiwali tam godziny trwogi i śmierci, śmiejąc się i wykrzykując: „Ach, co za radość!”, aż wreszcie dzieci zasypiały uszczęśliwione, śniąc o podarunkach od angielskich lotników. Ilekroć detonacje i huk walących się domów stawały się bliższe i malcy budzili się, ojciec mówił: „O, o, słyszycie! Rzucają dla was zabawki!” A dzieci klaskały w ręczki z uciechy i wołały: „Ja chcę lalkę! A ja szabelkę! Tatusiu, jak myślisz, czy Anglicy przyniosą mi łódkę?” O świcie, kiedy szum silników oddalał się i ucichał w jasnym już powietrzu, rodzice brali dzieci za ręczki i prowadzili do ogrodu. „Szukajcie, szukajcie - mówili - może upadły gdzieś w trawę.” Malcy szperali w krzakach róż wilgotnych od rosy, na grządkach sałaty i pomidorów i znajdowali tu lalkę, tam drewnianego konika, jeszcze gdzie indziej torebkę cukierków. Teraz dzieci nie bały się już nalotów, wyczekiwały ich z upragnieniem i witały radośnie. Czasami, szukając w trawie, znajdowały też mały samolotik sprężynowy. Z pewnością był to biedny angielski samolot, który źli Niemcy stracili swoimi armatami, kiedy przyleciał do Neapolu, żeby ucieszyć neapolitańskie dzieci.

- Oh, how lovely! - wykrzyknęła Luiza klaszcząc w ręce.

- A teraz opowiem pani historyjkę o Zygfrydzie i kocie. Tym dwojgu neapolitańskim dzieciom historia o Zygfrydzie i kocie pewnie by się nie podobała, ale pani powinna się spodobać. To niemiecka historyjka, a Niemcy lubią niemieckie historyjki.

- Niemcy lubią wszystko, co niemieckie - powiedziała Luiza - a Zygfyrd to symbol niemieckiego narodu.

- A kot, Luizo? Co z kotem? Czy to także rodzaj Zygfryda?

- Zygfyrd jest jeden jedyny - rzekła Luiza.

- Ma pani rację. Zygfyrd jest jeden jedyny, a wszystkie inne narody to koty. Niech więc pani posłucha historii o Zygfrydzie i kocie. Byłem we wsi Rita koło Belgradu i czekałem na przeprawę przez Dunaj. Od czasu do czasu odgłos wystrzału przebijał powietrze w ten biały kwietniowy ranek, rozciągający jak gdyby przejrzystą zasłonę pomiędzy nami a miastem stojącym w płomieniach. Oddział SS czekał na rozkaz sforsowania rzeki: składał się z samych bardzo młodych chłopców, wszyscy mieli gotyckie trójkątne twarze o wąskim podbródku i ostrym profilu, a spojrzenie ich jasnych oczu było czyste i okrutne, spojrzenie Zygfryda. Siedzieli w milczeniu na brzegu Dunaju, twarzami zwróceni ku płonącemu Belgradowi, z erkaemami na kolanach. Jeden z nich siedział trochę na uboczu, nie opodał mnie. Chłopak wyglądał na jakie osiemnaście lat, był jasnowłosy, niebieskooki, jego czerwone usta uśmiechały się zimno i niewinnie, błękit oczu był zadziwiająco czysty. Zaczęliśmy rozmawiać, mówiliśmy o okrucieństwie wojny, o ruinach, żałobach, o gigantycznej rzezi, jaką jest ta wojna. Powiedział mi, że żołnierze Leibstandarte SS zaprawieni są do tego, by bez mrugnięcia okiem znosić cudze cierpienia. Powtarzam, że jego błękitne oczy były zdumiewająco czyste. Dodał, że kandydatów uznaje się za godnych wcielenia w szeregi Leibstandarte, dopiero kiedy odbędą pomyślnie próbę kota. Rekrut musi mianowicie ująć żywego kota lewą ręką za skórę na karku, zostawiając łapy wolne, żeby kot mógł się bronić, i prawą, uzbrojoną w mały nożyk, wydlubać mu oczy. Oto jak się zdobywa umiejętność zabijania Żydów.

Luiza chwyciła mnie za ramię, paznokcie jej wbiły mi się w ciało przez tkaninę rękawa. Czuję, jak ręka jej drży.

- Pan nie ma prawa... - powiedziała cicho, zwracając pobladłą twarz w stronę dwóch niewidomych żołnierzy, którzy jedli milcząco, z głowami lekko odchyłonymi do tyłu. Pielęgniarka pomagała im powolnymi, ostrożnymi ruchami, korygowała niepewne gesty ich rąk dotykając końcami palców grzbietów ich dłoni, ilekroć nóż albo widelec zabłąkał się gdzieś na kraniec talerza.

- Proszę mi nie mieć za złe, Luizo - powiedziałem. - Ja również nie cierpię okrutnych historii. Ale są rzeczy, o których pani koniecznie powinna wiedzieć. Powinna pani wiedzieć, na przykład, że i koty przynależą w pewnym sensie do gatunku Zygryda. Czy nigdy nie przyszło pani na myśl, że i Chrystus jest czymś w rodzaju Zygryda? Że Chrystus to taki kot ukrzyżowany? Pani nie powinna wierzyć, tak jak się to podaje do wierzenia wszystkim Niemcom, że Zygryd jest jeden jedyny, a wszystkie inne narody są kotami. Nie, Luizo, Zygryd przynależy także do rasy kotów. Czy wie pani, jakie jest pochodzenie słowa kaputt? Słowo to wywodzi się z hebrajskiego kapparoth, co znaczy ofiara. Kot to kapparoth, to ofiara, przeciwieństwo Zygryda: to Zygryd złożony w ofierze. Jest taka chwila - i chwila ta zawsze powraca - kiedy nawet Zygryd, ten jeden jedyny, zmienia się w kota, staje się ofiarą, kapparoth, kaputt. Jest to chwila, kiedy Zygryd najbliższy jest śmierci, kiedy Hagen-Himmler gotuje się do wydarcia mu oczu, jak kotu. Przeznaczeniem narodu niemieckiego jest przekształcić się w kapparoth, w ofiarę, w kaputt. Głęboki sens jego dziejów tkwi w tej jego metamorfozie z Zygryda w kota. Pani powinna znać tę prawdę, Luizo. Powinna pani wiedzieć, że wszyscy jesteśmy Zygrydami, wszyscy jesteśmy przeznaczeni do stania się kiedyś kapparoth, ofiarą, do tego, by być kaputt. Dlatego jesteśmy chrześcijanami, dlatego nawet Zygryd jest chrześcijaninem, i nawet Zygryd jest kotem. Cesarze, ich dzieci i wnuki powinni również znać tę prawdę. Pani otrzymała bardzo niewłaściwe wychowanie, Luizo;

- Nie jestem już na pewno Zygrydem - rzekła Luiza. - Jestem o wiele bliższa kota niż księżniczki krwi.

- Tak, Luizo, jest pani z pewnością bliższa robotnicy niż księżniczki Hohenzollern.

- Tak pan uważa? - zapytała Luiza nieśmiało.

- Robotnica z pewnością czułaby do pani sympatię, gdyby miała panią za towarzyszkę w fabryce.

- Chętnie pracowałabym w fabryce. Zmieniłabym nazwisko i pracowałabym jako zwykła robotnica.

- A po cóż zmieniać nazwisko?

- Hohenzollern... czy myśli pan, że inne robotnice szanowałyby mnie, gdyby znały moje prawdziwe nazwisko?

- Niewiele ono dziś znaczy, nazwisko Hohenzollern!

- Niech mi pan opowie o szklanym oku - powiedziała nagle Luiza cicho.

- Historia jakich wiele, Luizo. Nie warto jej opowiadać. Zwykła chrześcijańska przypowieść. Zna pani przecież różne chrześcijańskie przypowieści, prawda? Wszystkie są do siebie podobne.

- Co pan rozumie przez chrześcijańską przypowieść?

- Czytała pani „Kontrapunkt” Aldousa Huxleya? No więc, śmierć dziecka, małego Filipa, w ostatnim rozdziale, to właśnie jest chrześcijańska przypowieść. Aldous Huxley mógłby sobie doprawdy oszczędzić zbędnego okrucieństwa, z jakim uśmiercił to dziecko. Otóż kiedyś Huxley został zaproszony

do Buckingham Pałace. Królowa Maria i król Jerzy V życzyli sobie go poznać. Był to moment ogromnego powodzenia tej jego książki. Para królewska przyjęła Huxleya bardzo łaskawie. Wypytywali go o jego książki, podróże, plany na przyszłość, o ducha współczesnej literatury angielskiej. Po skończonej audiencji, kiedy Huxley już odchodził, Jego Królewska Mość zatrzymał go jeszcze na chwilę. Król wydawał się jakiś skrępowany, czuło się, że chce coś powiedzieć i nie ma odwagi. Wreszcie powiedział niepewnym tonem:

- Mister Huxley, królowa i ja musimy panu zrobić pewną wymówkę. Naprawdę nie było potrzeby, żeby to dziecko umarło.

- Oh, what a lovely story! - wykrzyknęła Luiza.

- To właśnie jest opowieść chrześcijańska, Luizo.

- Niech mi pan teraz opowie o szklanym oku - rzekła Luiza czerwieniąc się.

W jesieni 1941 byłem na Ukrainie, w pobliżu Połtawy. W całym rejonie grasowali partyzanci. Zdawać by się mogło, że wróciły czasy buntów kozackich Chmielnickiego, Pugaczowa, Stieńki Razina. Oddziały partyzanckie krążyły po lasach i bagnach naddnieprzańskich, pojedyncze strzały i serie karabinów padały niespodzianie z leżących w gruzach domów wiejskich, z rowów i zarośli. Potem wracała cisza, płaska, głucha, jednostajna cisza ogromnej rosyjskiej równiny.

Pewnego dnia niemiecki oficer jechał na czele kolumny artylerii przez wieś. Nie było tam ani żywej duszy, domy wydawały się od dawna opuszczone. W stajniach kołchozu około stu martwych koni leżało na ziemi przy pustych żłobach: padły wszystkie z głodu. Wieś miała ten ponury wygląd wsi rosyjskiej, na której wyładowała się mściwa furia represji. Oficer przyglądał się melancholijnie, z niejasnym uczuciem niepewności, prawie lęku, tym opuszczonym domom, progom zaśmieconym słomą, oknom szeroko otwartym, pustym i niemych wnętrzom. Z sadów wychylały się przez sztachety czarne, okrągłe, nieruchome oczy słończników w okoli długich żółtych rzęs, śledzących przechodzącą kolumnę przygasłym spojrzeniem.

Oficer jechał konno pochylony do przodu, obiema rękami oparty o łęk siodła. Był to mężczyzna koło czterdziestki, o szpakowatych już włosach. Od czasu do czasu podnosił oczy ku pochmurnemu niebu, potem prostował się w strzemionach, odwracał głowę i lustrował wzrokiem kolumnę. Żołnierze szli w małych grupkach za trenami, kopyta koni klaskały o błotnistą drogę, w wilgotnym powietrzu rozlegał się świst batów, żołnierze pokrzykiwali: „Ja, ja!”, chcąc nakłonić konie do większego wysiłku. Dzień był pochmurny i wieś miała w tym szarym jesiennym świetle upiorny wygląd. Zerwał się wiatr kołyszając ciałami Żydów, wiszącymi tu i ówdzie na gałęziach drzew. Od domu do domu przebiegały dziwne szelesty, jakby gromada dzieci biegała boso po zaśmiecanych izbach albo jakby opuszczonymi domami zawładnęła armia szczurów.

Kolumna zatrzymała się we wsi i żołnierze już się zaczęli rozpraszać, zapuszczając w wąskie uliczki pomiędzy ogrodami w poszukiwaniu wody do napojenia koni, kiedy wyciągniętym kłusem nadjechał oficer, okropnie błady, krzycząc: „Weg, weg, Leute!” W pędzie trącał wyciągniętą szpicrutą tych żołnierzy, którzy zdążyli już usadowić się na progach domów, i krzyczał: „Weg, weg, Leute!” Natychmiast wśród żołnierzy zaczęło krążyć groźne, przerażające słowo Flecktyphus - tyfus plamisty;

przebiegło wzdłuż kolumny aż do ostatnich dział, stojących za wsią; żołnierze w pośpiechu wrócili na swoje miejsca i kolumna ruszyła dalej. - „Ja, ja!” - krzyčeli żołnierze, w szarym powietrzu świszczały baty, artylerzyści rzucali w przejściu wystraszone spojrzenia przez otwarte okna do wnętrza domów, gdzie na słomie leżały trupy - sine, wychudłe, upiorne, z wytrzeszczonymi oczyma. Oficer zatrzymał konie na placyku pośrodku wsi; obok zwałonego w błoto pomnika Stalina; patrzył na przechodzącą kolumnę, raz po raz podnosząc dłoń do czoła i gładząc powoli lewe oko delikatnym, znużonym ruchem.

Do zachodu było jeszcze daleko, ale już pierwsze cienie wieczoru gęstniały w liściach drzew. Las stawał się z każdą chwilą ciemniejszy, gęstszy, nabierał głębokiego błękitu. Koń oficera niecierpliwiał się, bił kopytami o błotnistą ziemię, wspinał się na tylne nogi, podrywał się do kłusa w ślad za kolumną, która już wychodziła poza wieś. Oficer ruszył stępą za ostatnią skrzynką amunicji, na samym końcu kolumny, a kiedy mijał ostatnie domy, podniósł się w strzemionach i obejrzał za siebie. Ulica, plac puste, domy ponure i opuszczone. Ale ów szelest wzniecany przez wiatr, który swym szorstkim językiem lizał ściany z ubitej słomy i gliny, ów szept i szelest bosych dzieci i zgłodniałych szcurek, towarzyszył z daleka kolumnie. Oficer podniósł dłoń do czoła i smutnym, znużonym ruchem przycisnął nią oko. W tej chwili od strony wsi padł strzał, kula gwizdnęła mu koło ucha.

- Halt! - krzyknął oficer. Kolumna stanęła, karabin maszynowy z ostatniej baterii zaczął ostrzeliwać domy. Po pierwszym strzale nastąpiły dalsze, ogień partyzantów przybierał na sile, stawał się uporczywy i zajadły. Dwóch trafionych artylerzystów padło. Oficer spiął konia i ruszył galopem na czoło kolumny, wykrzykując rozkazy. Grupki żołnierzy, gęsto strzelając, puściły się pędem przez pola, aby okrążyć wieś.

- Do dział! - krzyczał oficer. - Rozwalcie wszystko!

Ogień partyzantów nie ustawał, jeszcze jeden artylerzysta dostał kulę. Wówczas oficer wpadł w straszną furję. Galopował na przełaj przez pola podniecając żołnierzy do boju, wyznaczał pozycje dla dział, tak żeby ostrzelać wieś ze wszystkich stron. Kilka domów stanęło w płomieniach. Nawałnica pocisków zapadających zwała się na wieś roztrzaskując mury, zrywając dachy, łamiąc drzewa, wznosząc chmury dymu i pyłu. Partyzanci nieustraszenie strzelają dalej. Ale po pewnym czasie ogień artyleryjski staje się tak gwałtowny, że wieś zmienia się w jeden płonący stos. I oto z dymu i płomieni wynurza się grupa partyzantów i biegnie z podniesionymi w górę rękami. Niektórzy są starzy, ale większość to młodzież, jest wśród nich także jedna kobieta. Oficer pochyla się w siodle, przypatruje każdemu po kolei. Pot spływa mu z czoła, zalewa twarz.

- Rozstrzelać ich - mówi ochryple, przyciskając ręką oko. Głos ma jakby znudzony, gest przyciskania ręką oka jest może także gestem nudy. „Feuer!” - wrzeszczy feldfebel. Po serii z broni maszynowej oficer odwraca się, patrzy na ciała rozstrzelanych, daje znak szpicrutą („Jawohl!” - odpowiada feldfebel i opróżnia cały magazynek pistoletu mierząc w stos ciał), potem podnosi rękę, artylerzyści doprowadzają do porządku zaprzęgi, kolumna ustawia się w szyku marszowym i rusza naprzód.

Oficer, pochylony nad końską grzywą, obiema rękami oparty o łęk siodła, jedzie z tyłu za kolumną, w odległości jakich pięćdziesięciu kroków od ostatniego działu. A kiedy tętent koni oddala się i cichnie już na błotnistej miękkiej drodze, nagle koło ucha oficera przelatuje ze świstem kula.

- Halt! - krzyczy oficer. Kolumna staje, ostatnia bateria znowu otwiera ogień w kierunku wsi. Wszystkie karabiny maszynowe ostrzeliwują płonące domy. Ale wystrzały z tamtej strony nadal powoli i regularnie rozdierają czarną zastonę dymu.

- Cztery, pięć, sześć - liczy głośno oficer. Strzela tylko jeden karabin, jeden człowiek. Nagle z chmury dymu wybiega drobna postać z podniesionymi w górę rękami.

Żołnierze chwytają partyzanta, popychają go przed oblicze oficera, który, pochylony w siodle, przygląda mu się uważnie.

- Ein Kind! - mówi cicho. Chłopak ma nie więcej niż dziesięć lat, jest chudy, wynędzniały, w łachmanach, twarz ma czarną od dymu, włosy spalone i poparzone ręce. - Ein Kind!

Chłopiec patrzy na oficera spokojnie, mruga tylko powiekami i co chwila podnosi rękę, żeby palcami wysiąkać nos. Oficer zsiada z konia, owija uzdę dokoła ręki i staje naprzeciw chłopca. Minę ma zmęczoną i znudzoną. Ein Kind! On także ma w domu, w Berlinie, przy Witzlebenplatz, syna mniej więcej w tym samym wieku, chociaż nie, Rudolf jest chyba o rok starszy, ten tu to przecież dziecko, ein Kind! Oficer uderza się szpicrutą po butach, koń obok niego niecierpliwie bije w twardą ziemię kopytem i pyskiem trąca oficera w ramię. W odległości dwóch kroków tłumacz, kapral, Volksdeutsch z Balcy, czeka w podstawie na baczność, wydaje się jednak czymś zirytowany. Ale to przecież dziecko, ein Kind, a oficer nie po to jest w Rosji, żeby wojować z dziećmi. Nagle oficer nachyla się i pyta chłopca, czy zostali we wsi inni partyzanci? Mówi tonem znużonym, i twardy, zirytowany głos, jakim tłumacz powtarza pytanie po rosyjsku, zdaje się przynosić mu ulgę.

- Niet - odpowiedział chłopiec.

- Dlaczego strzelałeś do moich żołnierzy?

Chłopiec patrzy na oficera ze zdziwieniem. Tłumacz powtarza pytanie dwa razy.

- Sam wiesz, po co pytasz? - odpowiada chłopiec spokojnym, jasnym głosem, bez cienia strachu, ale wcale nie obojętnie. Patrzy prosto w twarz oficera i mówiąc staje na baczność jak żołnierz.

- Czy wiesz, kto to są Niemcy? - pyta oficer cicho?

- Przecież ty też jesteś Niemcem, towarzyszu oficer - odpowiada chłopiec.

Na to oficer daje znak i feldfebel ujmuje chłopca mocno za ramię i wyciąga pistolet z kabury.

- Nie tu, gdzieś indziej - mówi oficer i odwraca się plecami.

Chłopiec odchodzi u boku feldfebla, idzie szybko, żeby dotrzymać Niemcowi kroku. Nagle oficer odwraca się, podnosi szpicrutę, woła „Ein Moment!” - i feldfebel zatrzymuje się, patrzy niespokojnie na oficera i zawraca, wyciągniętą ręką popychając przed sobą chłopca.

- Która to godzina? - pyta oficer. Ale nie słucha odpowiedzi, tylko zaczyna chodzić tam i na powrót przed chłopcem, uderzając się szpicrutą po butach. Koń idzie za nim, na naprężonej uździe, z głową nisko pochyloną i sapiąc głośno. W pewnym momencie oficer przystaje przed chłopcem, przygląda mu się długo w milczeniu, wreszcie mówi powoli, zmęczonym, znudzonym głosem:

- Posłuchaj, nie chcę ci zrobić nic złego. Jesteś dzieckiem, a ja z dziećmi nie wojuję. Strzelałeś do moich żołnierzy, ale ja z dziećmi nie wojuję. Lieber Gott, nie ja wymyśliłem wojnę.

Oficer urywa, a potem zwraca się do chłopca bardzo łagodnym głosem:

- Posłuchaj, mam jedno oko szklane. Trudno je odróżnić od prawdziwego. Jeżeli zgadniesz, nie namyślając się, które oko jest szklane, pozwolę ci odejść, puszcze cię wolno.

- Lewe oko - odpowiada szybko chłopiec.

- Po czym poznałeś?

- Z dwojga oczu tylko to ma w sobie coś ludzkiego.

Luiza dyszała ciężko, mocno ściskając mnie za ramię.

- A chłopiec? Co się stało z chłopcem? - zapytała cicho.

- No cóż, oficer ucałował go w oba policzki, wystroił w złoto i srebro, sprowadził królewską karocę zaprzęzoną w osiem białych koni z orszakiem stu rycerzy w błyszczących zbrojach i wysłał chłopca do Berlina, gdzie Hitler powitał go jak królewicza i wśród radosnych okrzyków ludu dał mu swoją córkę za żonę.

- Oh, oui, je sais - rzekła Luiza. - Nie mogło się skończyć inaczej.

- Wkrótce potem spotkałem tego oficera w Soroce nad Dniestrem: Poważny człowiek, dobry ojciec rodziny. Ale Prusak do szpiku kości, prawdziwy „Piffke”, jak mówią wiedeńscy. Opowiadał mi o swojej rodzinie, o swojej pracy. Był inżynierem elektrykiem. Mówił też o swoim dziesięcioletnim synu Rudolfie. Było naprawdę trudno odróżnić jego szklane oko od prawdziwego. Powiedział mi, że w Niemczech wyrabiają najlepsze na świecie szklane oczy.

- Och, niech pan zamilknie - rzekła Luiza.

- Każdy Niemiec ma jedno oko szklane - zakończyłem.

### **XIII. Kosz ostryg**

Zostaliśmy sami, dwaj niewidomi żołnierze odeszli, prowadzeni przez pielęgniarkę. Ilse, która do tej chwili nie odezwała się ani słowem, spojrzała na mnie z uśmiechem.

- Szklane oczy - powiedziała - są jak szklane ptaszki. Nie mogą fruwać.

- Och, Ilse, ty wciąż jeszcze wierzysz, że oczy fruwać? Jakież z ciebie dziecko, Ilse - rzekła Luiza.

- Oczy to ptaki w klatce - odparła Ilse. - Oczy tych dwóch ślepych żołnierzy to puste klatki.

- Oczy niewidomych to martwe ptaki - powiedziała Luiza.

- Niewidomi nie mogą wyglądać na świat - rzekła Ilse.

- Ale przeglądają się w sobie jak w lustrze - dodała Luiza.

- Oczy Hitlera - powiedziała Ilse - są pełne tych umarłych oczu. Kryją w sobie setki, tysiące umarłych oczu.

Ilse wyglądała jak mała dziewczynka; dziewczynka pełna dziwacznych fantazji i kaprysów. Może dlatego, że jej matka była Angielką; myślałem sobie, że Ilse to „Niewinność” namalowana przez Gainsborough. Ale nie, myliłem się; Gainsborough malował kobiety podobne do krajobrazów, z tą naiwnością, dumną melancholią, miękką godnością, jaka cechuje krajobraz angielski. A w Ilse było coś, czego brak zarówno angielskiemu krajobrazowi, jak malarstwu Gainsborough: jakaś kapryśna pobudliwość, granicząca i szaleństwem. Taki obraz Niewinności mógł wyjść raczej spod pędzla Goi. Te jasne, krótkie, kędzierzawe włosy, ta biała cera, niby skąpane w mleku róże jutrzeńki (jakby powiedział Góngora), te oczy żywe i błękitne usiane szarymi plamkami dokoła źrenicy, ten pełen wdzięku sposób pochylania na ramię głowy, nie wiadomo, czy bardziej ufny, czy drwiący - wszystko to upodobniało ją do wizerunku Niewinności, takiego, jaki namalowałby twórca „Caprichos”, na tle szaroróżowego kastylijskiego pejzażu, pustynnego, spragnionego, chłostanego niewidzialnym podniebnym wichrem, ożywionego gdzieniegdzie krwawym refleksem.

Ilse była od trzech lat mężatką, a wciąż jeszcze wyglądała jak mała dziewczynka. Jej mąż przed dwoma miesiącami wyruszył na front i teraz leżał, z odłamkiem w ramieniu, w szpitalu polowym koło Woroneża. Ilse napisała mu: „I'm going to have a baby<sup>27</sup>, heil Hitler!” Cięża była jedynym sposobem wykręcenia się od robót przymusowych. A Ilse nie miała najmniejszej chęci pracować w fabryce, nie chciała być robotnicą, wolała urodzić dziecko. „Jedyny sposób przyprawienia Hitlerowi rogów, mówiła, to spodziewać się dziecka”. Luiza zaczerwieniła się i upomniała nieśmiało: „Ilse!” „Nie bądź taką poczdamską panienką, Luizo” - odpowiedziała Ilse.

- Oczy są zrobione z obrzydliwej substancji - powiedziałem - z czegoś lepkiego, śliskiego, martwego. Nie da się ich ścisnąć w palcach, wyślizgują się jak ślimaki. W kwietniu 1941 roku wypadło mi pojechać z Belgradu do Zagrzebia. Wojna z Jugosławią była dopiero co skończona, właśnie utworzono NDH<sup>28</sup>, w Zagrzebiu rządził Ante Pavelić ze swoimi bandami ustaszów. W każdej wsi widniały nalepione na murach ogromne portrety Ante Pavelicia, poglawnika Chorwacji, odezwy, proklamacje i nakazy nowego rządu. Były to pierwsze dni wiosny, przejrzyste srebrne mgiełki unosiły się nad Dunajem i Drawą. Stoki Fruškej góry, ich winnice i pola zbóż wyglądały jak lekkie zielone fale; jasna zieleń winnic i - nasyciona - zbóż przeplatały się i mieszały w grze światła i cieni pod jedwabistym błękitem nieba. Pierwsze dni pogodne po wielu tygodniach słyty. Drogi wyglądały jak rzeki błota. Musiałem się zatrzymać na nocleg w Iloku, na pół drogi między Nowym Sadem a Vukovarem. W jedynej gospodzie tej wsi kolację podano na dużym ogólnym stole; dokoła stołu siedzieli uzbrojeni chłopcy, żandarmi w serbskich mundurach, z kokardami w barwach Chorwacji na piersi, i paru uchodźców, którzy przeprawili się przez rzekę między Polanką a Ilokiem.

Po kolacji wyszliśmy wszyscy na taras. Dunaj lśnił w księżycowej poświacie, między drzewami ukazywały się i znikwały światła holowników i barek. Ogromny, srebrzysty spokój spływał na zielone zbocza Fruškej góry. Nadeszła godzina policyjna, chłopskie zbrojne patrole w wieczornym obchodzie kontrolnym pukały do drzwi domów żydowskich, monotonnym głosem wywołując mieszkańców po

---

<sup>27</sup> Będę miała dziecko.

<sup>28</sup> NDH (Nezavisna Država Hrvatska) - faszystowskie państwo chorwackie.



nazwisku. Domy te naznaczone były gwiazdą Dawidową, wymalowaną czerwoną farbą na drzwiach. Żydzi pokazywali się w oknach, mówili: „Jesteśmy w domu”, a chłopci z patrolu odkrzykiwali: „Dobro, dobro!” w odpowiedzi, stukając kolbami karabinów o ziemię. Wielkie trójkolorowe plakaty z proklamacją nowego rządu w Zagrzebiu, porozlepiane na murach domów, tworzyły w świetle księżycy żywe plamy czerwono-biało-niebieskie. Byłem śmiertelnie zmęczony i koło północy poszedłem się położyć. Leżałem na plecach patrząc przez otwarte okno na księżyc sunący powoli ponad drzewami i dachami. Na frontowej ścianie domu naprzeciwko, gdzie mieściła się siedziba ustaszów w Iloku, widniała olbrzymia podobizna Ante Pavelicia, głowy nowego Państwa Chorwackiego. Portret odbity był czarno na papierze lekko zielonkawym. Poglawnik patrzył na mnie wielkimi czarnymi oczyma, głęboko osadzonymi pod twardym, upartym, niskim czołem. Usta miał duże, o grubych wargach, nos prosty i mięsisty, wielkie uszy. Nigdy bym nie uwierzył, że człowiek może mieć uszy takie ogromne i takie długie. Zwisły aż do połowy policzków, śmieszne i poczarwane. Pomyślałem, że to z pewnością efekt błędnej perspektywy, po prostu błąd rysownika, autora portretu.

Tuż przed świtem pod moim oknem przemaszerowała kompania węgierskich honwedów. Szli w swoich obcisłych żółtych mundurach, śpiewając. Żołnierze węgierscy mają jakiś swoisty sposób śpiewania, urywkowy, nierówny, na pozór całkowicie abstrakcyjny. Od czasu do czasu podnosił się jakiś pojedynczy głos, intonował pieśń milknąc zaraz potem. Dwadzieścia, trzydzieści głosów odpowiadało coś i zaraz milkło także. Przez chwilę słychać było tylko miarowy krok, pobrzękiwanie karabinów i ładownic. Później znów inny głos podejmował śpiew, urywał; dwadzieścia, trzydzieści głosów rzucało mu odpowiedź i milkło nagle. I znowu tylko twardy rytm ciężkich kroków, podzwanianie karabinów i ładownic. Był to śpiew posępny i okrutny, jakaś dziwna samotność brzmiała w tych głosach, w tym podejmowanym i zaraz porzucanym śpiewie. Były to nabrzmiałe gorzką krwią posępne, dzikie, dalekie głosy węgierskie, płynące z najdalszej głębi smutnej i okrutnej ludzkiej natury.

Rankiem następnego dnia na ulicach Vukovaru (patrole węgierskich żandarmów z karabinami krążyły po mieście, plac przy moście pełen był ludzi, grupki dziewcząt przechadzały się po chodnikach przeglądając się w szybach wystawowych; jedna zwłaszcza dziewczyna w zielonej sukience snuła się tu i ówdzie, powolnymi, lekkimi ruchami, jak liść niesiony wiatrem) portrety Ante Pavelicia wpatrywały się we mnie z każdego niemal muru, oczyma głęboko osadzonymi pod niskim, upartym czołem. Znad Dunaju i Drawy niósł się w porannym powietrzu zapach wilgotnych ziół. Od Vukovaru aż po Zagrzeb, skroś całą Sławonię bogatą w zboża, zieleniejącą się lasami, zraszaną licznymi strumieniami i rzekami, w każdej wsi portret poglawnika witał mnie swoim czarnym spojrzeniem. Była to już teraz dla mnie twarz dobrze znana, niemal twarz przyjaciela, miałem wrażenie, że Ante Pavelicia znam od Bóg wie jak dawna. Porozlepiane na murach odezwy głosiły, że Ante Pavelić jest opiekunem ludu chorwackiego, ojcem chłopów chorwackich, bratem wszystkich, którzy walczyli o wolność i niepodległość chorwackiego narodu. Chłopci czytali odezwy, kiwali głowami i zwracali ku mnie twarze o grubych, twardych, wydatnych kościach, patrząc na mnie tymi samymi głębokimi czarnymi oczyma poglawnika.

Toteż kiedy ujrzałem Ante Pavelicia po raz pierwszy, siedzącego przy biurku w jednym ze staromiejskich pałaców Zagrzebia, wydało mi się, że oto spotykam starego przyjaciela, kogoś dobrze od niepamiętnych czasów znanego. Przyglądałem się jego szerokiej twarzy o twardych, z grubą wyciosanych rysach. W tej bladej twarzy o lekko ziemistym odcieniu oczy płonęły ciemnym głębokim

ogniem. Był w tej twarzy jakiś trudny do określenia rys głupkowatości - może sprawiały to owe ogromne uszy, które w naturze wydawały się jeszcze większe, jeszcze śmieszniejsze, jeszcze bardziej monstrualne niż na portrecie.

Ale po chwili przyszło mi na myśl, że może ten głupkowaty i wyraz oznacza po prostu nieśmiałość. Pewien rys zmysłowości, jaki nadawały tej twarzy mięsiste wargi, przekreślony był całkowicie przez ów dziwaczny kształt i niezwykłą wielkość uszu. W zestawieniu ze zmysłowością warg uszy te wydawały się czymś wręcz abstrakcyjnym, niby dwie surrealistyczne muszle, narysowane przez Salvadora Dali, dwa metafizyczne przedmioty, wywołujące wrażenie deformacji, wrażenie, jakiego doznaje się przy słuchaniu pewnych utworów muzycznych Dariusza Milhauda U i Eryka Satie: może przez skojarzenie wrażeń muzycznych z uchem. Ilekroć Ante Pavelić odwracał głowę, ukazując mi się m z profilu, te olbrzymie uszy zdawały się unosić jego głowę niby para skrzydeł, siłaca się poderwać do lotu potężne ciało. Z profilu twarz Ante Pavelicia nabierała jakichś subtelniejszych cech, delikatnej smukłości przypominającej niektóre portrety Modiglianiego, a chwilami przestaniała ją jak gdyby maska cierpienia. Osądziłem, że to dobry człowiek, że podstawowym elementem jego charakteru jest ludzkość, prosta i wielkoduszna zarazem, połączenie nieśmiałej skromności z chrześcijańskim miłosierdziem. Ante Pavelić wydał mi się człowiekiem zdolnym do znoszenia bez mrugnięcia okiem najsroźszych cierpień fizycznych, trudów i mąk, absolutnie natomiast nieodpornym na jakiegokolwiek cierpienia moralne. Wydał mi się dobrym człowiekiem, a jego głupkowaty wyraz uznałem za przejaw nieśmiałości, dobroci, prostoduszności, jego czysto chłopskiego sposobu podchodzenia do osób i rzeczy jako do elementów fizycznych, konkretnych, nie zaś moralnych; do elementów, jednym słowem, świata fizycznego, nie duchowego.

Dłonie miał szerokie, grube, włochate, na palcach sękowate zgrubienia, i widać było, że te ręce jakoś mu zawadzają i że nie wie, co z nimi robić: to kładł je na stole, to unosił w górę i gładził swoje gigantyczne uszy, to wsuwał je w kieszenie spodni. Ale najczęściej opierał przeguby rąk o krawędź biurka i splótny grube, kosmate palce pocierał jedne o drugie nieokrzesanym, nieśmiałym gestem. Głos jego był poważny, harmonijny, niezmiernie łagodny. Mówił po włosku powoli, z lekkim akcentem tokańskim. Mówił mi o Florencji i o Sienie, gdzie przeżył w długie lata na wygnaniu. Słuchając go myślałem sobie, że oto jest ów terrorysta, sprawca zamachu na króla Jugosławii Aleksandra, człowiek, który jest winien śmierci Barthou. A jednak, chociaż w obronie wolności swego narodu nie cofa się przed najbardziej krańcowymi posunięciami, łatwo uwierzyć, że człowiek ten nienawidzi rozlewu krwi. To dobry człowiek, myślałem, prosty i wielkoduszny. Tymczasem Ante Pavelić patrzył na mnie swymi głębokimi czarnymi oczyma i poruszając monstrualnymi uszami mówił: „Będę rządził moim narodem kierując się dobrocią i sprawiedliwością”. W jego ustach słowa te brzmiały wzruszająco.

Pewnego ranka zaprosił mnie na szybką przejażdżkę przez całą Chorwację aż do Karlovazu na granicy Słowenii. Ranek był świeży i pogodny, prawdziwie majowy. Noc nie zdążyła jeszcze unieść swojej ciemnozielonej zastony z zarośli nad brzegami Sawy; zielona, majowa noc okrywała lasy, osiedla, zamki, pola i mgliste brzegi rzeki. Słońce nie wyjrzało jeszcze na obrzeżoną światłem linię widnokręgu, rysującą się wyraźnie, jak pęknięcie na szkle. Korony drzew pełne były ptaków. Aż nagle, zupełnie nagle, słońce oświetliło szeroką, łagodną dolinę, różowa mgła podniosła się z pól i lasów; Ante Pavelić kazał zatrzymać wóz, wysiadł i stanąwszy na szosie, szerokim gestem ramienia objął dookolny krajobraz.

- Oto moja ojczyzna - powiedział.

Gest wielkich kosmatych rąk o sękatych palcach był może nazbyt brutalny w zestawieniu z tym delikatnym, zwiewnym pejzażem. I ten wysoki, masywny, atletycznej budowy mężczyzna stojący na brzegu szosy na tle zielonej doliny i szarego błękitu nieba, z tą swoją dużą głową i monstrualnymi uszami, odcinał się od delikatnego krajobrazu równie mocno jak posągi Meštrovia na tle jasnych placów miast nad Dunajem i Drawą. Po chwili wsiedliśmy znów do samochodu i cały dzień jechaliśmy przez piękne okolice między Zagrzebiem a Lubianą, wspięliśmy się na lesiste zbocza Zagrebačkiej góry wznoszącej się nad Zagrzebiem, i raz po raz poglawnik wysiadał z wozu, zatrzymywał się, żeby pogawędzić z chłopami o pogodzie, o zasiewach, o zbiorach, które tego roku zapowiadały się pomyślnie, o bydli i o czasach spokojnej pracy, jakie miała przynieść ludowi Chorwacji wolność ojczyzny. Podobał mi się jego bezpośredni sposób bycia, dobroć bijąca z jego słów, umiejętność obcowania z prostymi ludźmi i z przyjemnością słuchałem jego poważnego, harmonijnego, łagodnego głosu. Wróciliśmy wieczorem, w przesyconym wilgocią powietrzu snuły się liliowe smugi jak rzeki, nad nimi piętrzyły się mosty z purpurowych obłoków, lśniły zielone jeziora i niebieskie lasy. Łagodny głos, czarne głębokie oczy i monstrualne uszy wyrzeźbione na tle delikatnego chorwackiego pejzażu na długo utkwily mi w pamięci.

Kilka miesięcy później, pod koniec lata 1941, wracałem z Rosji zmęczony i chory, po wielu miesiącach spędzonych w kurzu i błocie bezkresnej równiny rozciągającej się między Dniestrem a Dnieprem. Mój mundur był wymięty, splowiały od słońca i deszczu, przesiąknięty zapachem miodu i krwi, tym specyficznym zapachem wojny na Ukrainie. Zatrzymałem się w Bukareszcie, żeby odpocząć przez parę dni po męczącej podróży przez Ukrainę, Besarabię i Mołdawię, ale zaraz pierwszego wieczoru sekretarz z Prezydium Rady Ministrów zatelefonował do Athénée Pałace z wiadomością, że wiceminister Mihai Antonescu życzy sobie mnie widzieć. Mihai Antonescu przywitał mnie serdecznie, poczęstował herbatą w swoim obszernym, jasnym gabinecie i zaczął mówić o sobie, po francusku i w tym pyszałkowatym tonie, który zawsze mi przypominał hrabiego Galeazza Ciano. Miał na sobie obcisły garnitur, sztywny kołnierzyk i szary jedwabny krawat. Wyglądał jak dyrektor wielkiego domu mody. Jego okrągła tłusta twarz robiła takie wrażenie, jakby na niej namalował ktoś różową twarz kobiety qui lui ressemblait comme une soeur<sup>29</sup>. Powiedziałem mu, że znajduję go en beaute. Podziękował uśmiechem wyrażającym głębokie zadowolenie. Mówiąc wpatrywał się we mnie swymi małymi oczkami gada, czarnymi i błyszczącymi. Nie spotkałem na świecie oczu, które bardziej niż oczy Mihai Antonescu przypominały oczy węża. Na jego biurku stał w kryształowym wazonie pęk róż. „J'aime beaucoup les roses - powiedział mi - je les préfère aux lauriers<sup>30</sup>”. Odpowiedziałem mu na to, że jego polityce grozi, że pożyje tylko tyle, ile żyją róże, l'espace d'un matin<sup>31</sup>. „L'espace d'un matin? - wykrzyknął - ależ to cała wieczność!” A potem, patrząc na mnie wiele mówiącym wzrokiem, poradził mi, żebym natychmiast wracał do Włoch.

- Jest pan bardzo nieostrożny - powiedział. - Pana korespondencje wojenne z frontu rosyjskiego wywołały ostrą krytykę. Nie jest pan osiemnastolatkiem; w pańskim wieku nie powinien pan już robić z siebie enfant terrible. Ile czasu przesiedział się pan w więzieniu we Włoszech?

- Pięć lat.

---

<sup>29</sup> Podobnej do niego jak siostra (trawestacja wiersza Musseta).

<sup>30</sup> Bardzo lubię róże, wolę je od laurów.

<sup>31</sup> Czas jednego poranka (cytat z Malherbe'a).

- Jeszcze panu mało? Na przyszłość radzę być ostrożniejszym. Ja osobiście bardzo pana cenię, w Bukareszcie wszyscy znają pańską „Technikę zamachu stanu” i wszyscy mają dla pana wiele sympatii. Niech mi pan jednak pozwoli sobie powiedzieć, że nie miał pan prawa prorokować zwycięstwa Rosji w tej wojnie. Zresztą pan się myli. Prędzej czy później Rosja upadnie.

- A tak, i to na wasze karki - odpowiedziałem.

Popatrzył na mnie swoimi oczkami gada, uśmiechnął się, ofiarował mi różę i odprowadził aż do drzwi. „Bonne chance” - powiedział na pożegnanie.

Opuściłem Bukareszt nazajutrz rano, nie zdążywszy nawet odwiedzić mojej wielkiej przyjaciółki z paryskich czasów, księżnej Marty Bibescu, która żyła samotnie na wygnaniu, w swojej posiadłości wiejskiej w Mogosoëa. W Budapeszcie zatrzymałem się tylko na parę godzin i zaraz ruszyłem dalej, do Zagrzebia, gdzie zamierzałem odpocząć kilka dni. Wieczorem w dzień przyjazdu znalazłem się na tarasie kawiarni Esplanade z moim przyjacielem Plivericiem i jego córką Nedą. Obszerny taras pełen był ludzi siedzących - wydawało się, że klęczą - dokoła niskich żelaznych stoliczków. Przyglądałem się pięknym, o wschodnim typie urody, kobietom, ubranym z ową prowincjonalną elegancją, w której zachowało się coś z wiedeńskiego wdzięku lat 1910-14, i myślałem o chorwackich wieśniaczkach, nagich pod szerokimi spódnicami z nakrochmalonego lnianego płatna, sztywnymi jak pancerz skorupiaka albo skrzydełka konika polnego. Pod tą twardą, szeleszczącą lnianą skorupą człowiek wyobraża sobie ciepłą, gładką różowość nagiego ciała. Orkiestra Esplanady grała stare wiedeńskie walce; siwowłosi skrzypkowicze byli może tymi samymi, którzy oglądali przejazd arcyksięcia Ferdynanda w karecie zaprzężonej w czwórkę białych koni i na tych samych skrzypkach grali na weselu cesarzowej Zyty, ostatniej cesarzowej Austrii; a kobiety i młode dziewczęta jak Neda Pliverić stanowiły żywe kopie wyblakłych portretów, one także miały w sobie coś z alte Wien, z Austria felix, z „Marsza Radetzky'ego”. Drzewa połyskiwały w ciepłej ciemności nocy, różowe, zielone i niebieskie lody roztopiały się powoli w pucharkach, w rytmie walca kołysały się wachlarze - z piór czy z jedwabiu naszywanego szklanymi perełkami i pajetkami z masy perłowej; omdlewające spojrzenia tysięcy oczu, jasnych, czarnych czy fiołkowatych, przelatywały jak ptaki po tarasie Esplanady, ponad drzewami alei, nad dachami, pod niebem z seledynowego jedwabiu, lekko zmiętym nad krawędzią horyzontu.

W pewnej chwili do naszego stolika zbliżył się oficer; był to pułkownik hrabia Machiedo, niegdyś kapitan cesarskiej armii austriackiej, obecnie zaś adiutant Ante Pavelicia, poglawnika Chorwacji. Szedł kołysząc się w biodrach i zręcznie lawirując pomiędzy żelaznymi stolikami i krzesłkami, i raz po raz podnosił dłoń do kepi, z wdziękiem rozdzielając na prawo i lewo ukłony. Omdlewające spojrzenia kobiecych oczu krążyły lotem ptaka dokoła wysokiego sztywnego kepi starego fasonu z czasów Habsburgów. Pułkownik z uśmiechem podeszedł do naszego stolika, a uśmiech ten, rozjaśniający tłustą twarz i małe usta ocienione krótko przyciętym, ciemnoblond wąsikiem, był również jak kepi staroświecki i wyblakły. Takim samym uśmiechem witał cudzoziemskich dyplomatów, wyższych dygnitarzy państwowych i przywódców ustaszów w poczekalni przy gabinecie Ante Pavelicia, gdzie przesiadywał przy maszynie do pisania, pochylony nad czarnymi klawiszami, w niepokalanie białych rękawiczkach ze skórki glacée, takich, jakie nosili niegdyś oficerowie austriackiej gwardii cesarskiej, i przygryzając wargi uderzał w klawisze jednym palcem prawej ręki, powolutku, z napiętą uwagą, z lewą ręką na biodrze jak w figurze kadryla. Hrabia Machiedo ukłonił się Nedzie, przykładając do lśniącego daszka kepi dłoń w białej rękawiczkach, i tak już pozostał zgięty w ukłonie, z milczącym uśmiechem na ustach. Po dłuższej chwili wyprostował się raptownie, nagłym podrywem, i zwracając

się do mnie najpierw dał wyraz swojej radości, że widzi mnie w Zagrzebiu, a następnie tonem uprzejmego wyrzutu, skandując słowa jak gdyby w rytmie wiedeńskiego walca, którego właśnie grała orkiestra, zapytał, dlaczego nie dałem mu znać zaraz po przyjeździe, że jestem w Zagrzebiu? „Proszę przyjść do mnie jutro o jedenastej, dopiszę pańskie nazwisko do listy jutrzejszych audiencji. Poglawnik zobaczy pana z przyjemnością. - I nachylając się ku mnie dodał cicho, jakby chodziło o miłosne zwierzenie: - Z wielką przyjemnością.”

Następnego ranka, o jedenastej, siedziałem w poczekalni Ante Pavelicia. Pułkownik Machiedo, schylony nad maszyną do pisania, uderzał pomalutku w czarne klawisze jednym palcem prawej ręki obciśniętej niepokalanie białą rękawiczką. Upłynęło już kilka miesięcy, odkąd ostatni raz widziałem Ante Pavelicia; wszedłszy do gabinetu zauważyłem zmianę w rozmieszczeniu mebli. Kiedy byłem tam poprzednim razem, biurko stało w głębi pokoju, w kącie najbardziej oddalonym od okna; teraz stało tuż za drzwiami, w takiej zaledwie odległości, jaka była konieczna, żeby mogła tamtędy przejść jedna osoba. Wchodząc omal nie stuknąłem kolanami w biurko.

- Ta zmiana jest mojego pomysłu - rzekł Ante Pavelić ze śmiechem, ściskając mi rękę. - Gdyby ktoś tu wszedł w jakimś zbrodniczym zamiarze, to natknąwszy się tak z punktu na biurko i widząc mnie tuż przed sobą z pewnością straciłby zimną krew i zdemaskował się w ten sposób.

Było to przeciwieństwo metody Hitlera i Mussoliniego, którzy pomiędzy sobą a wchodzącym wolą mieć całą pustą przestrzeń ogromnej sali. Podczas gdy Pavelić mówił, przyglądałem mu się uważnie. Wydał mi się do głębi zmieniony. Zmęczony, ze śladami trudów i trosk wyrytymi na twarzy, z oczyma zaczerwienionymi od niewyspania. Tylko jego głos pozostał ten co dawniej: poważny, melodyjny, łagodny. Głos prostego, dobrego, wielkodusznego człowieka. Olbrzymie uszy, zdumiewająco wychudłe, stały się niemal przezroczyste. Przez prawe ucho, to od strony okna, przeświecała różowość dachów, zieleń drzew, błękit nieba. Drugie ucho, zwrócone do ściany, było w cieniu i wydawało się zrobione z wosku czy z jakiejś białej substancji, miękkiej i kruchej. Obserwowałem Ante Pavelicia, jego grube włochate ręce, twardo sklepione czoło, niskie i uparte, monstrialne uszy. I czułem coś w rodzaju litości dla tego prostego, dobrego, wielkodusznego człowieka, obdarzonego tak subtelnym humanitaryzmem. Sytuacja polityczna bardzo się w ciągu tych kilku miesięcy zaostrzyła. Rewolta partyzancka szerzyła się w całej Chorwacji, od Zemunu do Zagrzebia. Głęboki, szczerzy ból wycisnął swoje piętno na ziemistoszarej twarzy poglawnika. Jakże musi cierpieć, myślałem, to szlachetne serce!

W pewnej chwili wszedł major P. oznajmiając wizytę ministra pełnomocnego Włoch, Raffaella Casertano.

- Niech wejdzie - rzekł Ante Pavelić - poseł Italii nie powinien antyszambrować.

Casertano wszedł i długo omawialiśmy wspólnie, w nastroju szczerości i prostoty, rozmaite problemy obecnej sytuacji. Oddziały partyzanckie zapuszczały się nocami aż na przedmieścia Zagrzebia, ale wierni ustasze Pavelicia dzielnie walczyli z tą szkodliwą guerrillą.

- Naród chorwacki - mówił Ante Pavelić - pragnie być pod rządami dobroci i sprawiedliwości. A ja tu jestem po to, by im tę dobroć i sprawiedliwość zapewnić.

W czasie rozmowy zauważyłem wiklinowy kosz stojący na biurku, po lewej ręce poglawnika. Pokrywa była uniesiona i widać było, że kosz jest pełen czegoś, co przypominało frutti di mare - może ostrzygi,

ale już wyjęte ze skorupki, takie, jakie widuje się ułożone na tacach w witrynach Fortnum and Mason, na Piccadilly w Londynie. Casertano spojrzał na mnie i przymrużył oko: „Miałbyś chętkę, co, na dobrą zupę z ostryg?”

- Czy to dalmatyńskie ostrygi? - spytałem poglawnika.

Ante Pavelić zdjął pokrywę z kosza i ukazując owe frutti di mare, tę śliską, żelatynową masę ostryg, powiedział z uśmiechem, i tym swoim dobrym, znużonym uśmiechem:

- To podarunek od moich wiernych ustaszów: dwadzieścia kilo ludzkich oczu.

#### XIV. Of their sweet deaths

Luiza wpatrzyła się we mnie rozszerzonymi oczyma z wyrazem wstrętu i cierpienia na pobladłej twarzy.

-- Wstydzę się za siebie - powiedziała cicho, z pokornym uśmiechem. - Wszyscy powinniśmy się wstydzić.

- Dlaczego miałabym się wstydzić? - zaproponowała Ilse. - Ja się nie wstydzę. Czuję się czysta, niewinna i dziewicza jak sama Matka Boska. Wojna mnie nie dotyczy, nic mi nie może zrobić. Noszę dziecko w łonie, jestem nietykalna. Moje Dzieciątko! Czy nie przychodzi wam na myśl, że moje dziecko mogłoby być małym Jezuskiem?

- Nie potrzeba nam nowego małego Jezuska - powiedziałem. - Każdy z nas może zbawić świat. Każda kobieta może urodzić nowego Jezusa, każdy z nas może pogwizdując udać się na Golgotę i dać się przybić do krzyża, nie przestając podśpiewywać. W dzisiejszych czasach wcale nie jest trudno być Chrystusem.

- To tylko od nas zależy - rzekła Ilse - czy mamy się czuć czyste i niewinne jak Matka Boska. Wojna nie może mnie zbrukać, nie może zbrukać dziecka w moim łonie.

- To wcale nie wojna nas brudzi - powiedziała Luiza. - My sami brudzimy każdą naszą myśl, każde uczucie. Jesteśmy brudni. Brukamy nawet dzieci w naszych łonach.

- Gwiżdżę na wojnę. Je m'en fous de la guerre - wykrzyknęła Ilse.

- Och, Ilse! - westchnęła Luiza z wyrzutem.

- Nie bądź panienką z Poczdamu, Luizo. Mówię ci, gwiżdżę na wojnę.

- Niech pani mi pozwoli opowiedzieć o dzieciach Tatiany Colony - powiedziałem. - To jest także chrześcijańska opowieść, Luizo.

- Boję się parna chrześcijańskich opowieści.

- Ale tę niech mi pani pozwoli opowiedzieć. W lecie 1940 roku, kiedy Mussolini wypowiedział wojnę Anglii, personel Królewskiego Poselstwa Italii w Kairze opuścił Egipt i wrócił do Włoch. Sekretarz tego

poselstwa, książkę Guido Colonna, zostawił Tatianę z dwojgiem dzieci w Neapolu, w domu jej matki, a sam udał się do Rzymu, gdzie w Ministerstwie Spraw Zagranicznych czekał dłuższy czas na nowy przydział. Pewnej nocy w początkach jesieni Tatiannę obudziły syreny alarmowe. Wielka eskadra angielskich bombowców nadciągnęła znad morza i leciała nisko nad dachami miasta. Ofiar było mnóstwo i szkody były bardzo poważne, a byłoby pewnie jeszcze gorzej, gdyby Neapolu nie chroniła krew świętego Januarego, jedyna obrona przeciwlotnicza, na jaką mogli liczyć nieszczęśliwi neapolitańczycy. Dzieci Tatiany okropnie się przestraszyły. Młodsze rozchorowało się nawet i przez parę tygodni gorączkowało, czasem tak silnie, że traciło przytomność. Skoro tylko malec wyzdrowiał, Tatiana pojechała z dziećmi do Guida, który tymczasem dostał nominację na sekretarza poselstwa w Sztokholmie.

Kiedy Tatiana przybyła do Sztokholmu, zima miała się już ku końcowi, chmury wróbli zwiastowały bliski powrót wiosny. Pewnego ranka, gdy dzieci jeszcze spały, wróbel wpadł do pokoju przez otwarte okno. Dzieci obudziły się i zaczęły krzyczeć, okropnie przerażone: „Mamo! Mamo! Ratunku!” - Tatiana przybiegła, dzieci były blade z przerażenia i trzęsły się konwulsyjnie, krzyczały, że angielski samolot dostał się przez okno i lata po pokoju.

Biedny wróbel przelatywał z mebla na mebel z głośnym ćwierkaniem, wystraszony krzykiem dzieci i gwałtownym pojawieniem się Tatiany. Byłby dawno sobie poleciał, gdyby nie wprowadziło go w błąd lustro w drzwiach szafy, o które wciąż się boleśnie obijał. W końcu jednak trafił do okna i wyleciał.

Dzieci pochorowały się znowu, leżały w łóżeczkach blade i zmizerowane, wpatrując się w niebo i drżąc ze strachu, czy jakiś angielski samolot nie wpadnie znowu przez okno. Żadni lekarze i żadne leki nie mogły ich wyleczyć z tego dziwaczного lęku. Wiosna się skończyła, na czystym sztokholmskim niebie płonęło już letnie słońce. Drzewa Karlaplanu rozbrzmiewały świergotem wróbli, a dzieci w swoich łóżeczkach chowały głowy pod prześcieradła i drżały ze strachu słysząc ten świergot.

Pewnego dnia Tatiana weszła do pokoju dzieci z pudłem pełnym zabawek. Były tam małe samolociki na sprężynkach i szmaciane ptaszki wypchane pakułami, i książki z obrazkami przedstawiającymi samoloty i ptaszki. Dzieci siedząc w łóżeczkach zabrały się do zabawy szmacianymi ptaszkami i blaszanymi samolocikami, obracały paluszkami śmigła, oglądały obrazki w książkach. Tatiana wyjaśniała im różnicę między samolotem a ptakiem, opowiadała o życiu wróbli, czarnogłówek i gilów, i o wyczynach sławnych lotników. Przynosiła i ustawiała w pokoju coraz nowe wypchane ptaszki, zawieszała pod sufitem małe blaszane samolociki, lakierowane na czerwono i niebiesko, przynosiła drewniane klateczki ze złocistymi, wesoło śpiewającymi kanarkami.

Kiedy dzieci zaczęły przychodzić do zdrowia, Tatiana zabierała je każdego ranka do Skansenu, gdzie bawiły się pod drzewami; siedząc na trawie nakręcały sprężyny samolocików, słuchały warczenia ich śmigieł, patrzyły, jak toczą się, podskakując, po trawie. Potem Tatiana sypała okruszki chleba na płaskie kamienie i ptaszki zlatywały się zewsząd z ćwierkaniem dziobiąc okruszynki. Wreszcie pewnego pięknego dnia zawiozła dzieci na lotnisko Bromma, żeby z bliska przyjrzały się wielkim trójmotorowym aparatom odlatującym co rano do Finlandii, Niemiec, Anglii. Na trawie lotniska podskakiwały żwawe wróbelki świergotząc coś w swoim języku; nie bały się ani trochę gigantycznych ptaków z aluminium, które z ogłuszającym szumem sunęły po łące, zanim poderwały się do lotu, albo przybywały z wysokiego, dalekiego nieba i siadały lekko na trawie. I tak po trochu dzieci Tatiany

Colony wyzdrowiały i teraz nie boją się już ptaków, dobrze wiedząc, że wróble nie bombardują miast, nawet jeśli to są wróble angielskie.

- How charming! - wykrzyknęła Ilse klaszcząc w ręce.

- To bardzo ładna opowieść - rzekła Luiza. - Zupełnie jak bajka.

I dodała, że historia o dzieciach Tatiany Colony przypomina jej niektóre rysunki Leonarda da Vinci, gdzie główki kobiet i dzieci przeplatają się ze szkieletami ptaków i szkicami maszyn do latania. „A Tatiana Colonna - powiedziała - wydaje mi się istotą czystą i uroczą na podobieństwo kobiet Leonarda”.

- O, tak - przytaknęła Ilse. - Czysta i urocza, jakby ją malował Leonardo. Jest jak ptaki i dzieci: wierzy w niebo. Czy podobna wyobrazić sobie ptaka albo dziecko, które nie wierzyłyby w niebo?

- Nie ma już nieba w Europie - odezwała się Luiza.

- Tatiana jest jak motyl - powiedziałem. - Motyle wymyślają cudowne bajki, by je podszeptować kwiatom. Myślę, że dopóki Tatiana nie powiedziała swoim dzieciom, że ptaki nie bombardują miast, ptaki rzeczywiście bombardowały miasta.

- Les papillons aiment mourir - szepnęła Luiza.

- To samo powiedziała mi kiedyś pewna kobieta, która dziś już nie żyje. Mówiła, że motyle lubią umierać i że istnieją dwa rodzaje róż: nieśmiertelne, które żyją wiecznie, i takie, które lubią umierać.

- Róże bywają nieśmiertelne, nawet jeżeli umarły - rzekła Ilse.

- Szekspir - wtrąciłem - lubił zapach zwiędłych róż. „Of their sweet death are sweet odors made”. Pewnego wieczora byłem na obiedzie w willi ambasady włoskiej nad brzegiem Wannsee. Noc była pogodna, lód na jeziorze jaśniał w ostatniej zimowej pełni księżyca. Młode damy niemieckie siedzące dokoła stołu odznaczały się wyjątkową, delikatną urodą, a jednak w ich jasnych oczach, olśniewającej cerze i pięknych włosach wyczuwało się coś zepsutego, zniszczonego, niejasnego. Śmiały się zimnym, abstrakcyjnym śmiechem, spoglądając na siebie wzajem jakimś przymglonym wzrokiem. Ten śmiech i te spojrzenia rzuciły na ich piękność jakiś przykry cień współnictwa i samotności. W wazach z Nymphenburga i Meissen stojących tu i ówdzie w pokoju i w ogromnej misie szklanej z Murano, umieszczonej pośrodku stołu, kwitły istne snopy cudownych róż, białych, czerwonych i blad różowych jak cera młodej dziewczyny. Róże przybyły tego samego ranka samolotem z Wenecji, miały w sobie jeszcze wilgoć weneckiej mgiełki, echo pokrzykiwania gondolierów, które rozbrzmiewa o świcie nad wodami wyludnionych kanałów, drżało jeszcze w ich delikatnych płatkach. Światła srebrnych kandelabrow kładły na saską porcelanę refleksy sennej wody i przygasały łagodnie w głębokich błyskach rozstawionych na stole kryształów, w tym ich specyficznym połysku alpejskiego lodowca o świcie i w ogromnych szybach dzielących oszkloną werandę, na której siedzieliśmy, od drzew parku i brzegów nieruchomego w zimnej poświacie księżycowej jeziora.

Na twarzach biesiadników zapalał się chwilami przelotny ciepły błysk - może był to refleks różowego atłasu, na którym rozciągał się ogromny obrus ze starej koronki z Burano o leciutkim odcieniu kości



słoniowej, a może refleks róż; słodki zapach tych róż wypełniał pokój atmosferą weneckiej loggii, gdzie woń mułu laguny miesza się z oddechem ogrodów różanych. Na ścianach wisało kilka płócien najnowszej szkoły francuskiej, nawiązującej do manieri Watteau, których pierwotne barwy ożywiła warstwa werniksu niedawno położona niezbyt biegłą ręką konserwatora. Były to martwe natury, przeważnie róże jaśniejące na ciemnym tle posągów, czarnych drzew, srebrnych amfor, zielonych owoców. Róże te wyglądały jak cienie róż i wzrok, przenosząc się i nich na żywe kwiaty, z pychą młodości wychylające się z saskich i murańskich wazonów, odnajdywał w nich jak gdyby żywe wspomnienie innych, dalekich, umarłych róż.

Goście siedzieli jakoś dziwnie, a może tak mi się tylko zdawało, plecami sztywno przyciśnięci do oparcia krzesel, odchyleni do tyłu. Jedli, a jednocześnie jak gdyby odsuwali się instynktownie od tego, co jedzą, i patrzeli gdzie indziej, w górę. Głosy kobiet brzmiały jakoś niezwykle miękko i cicho, wydawały się dalekie, nierzeczywiste. Twarze miały wygląd znużony, oczy były niebiesko podkrążone, w wyrafinowanej elegancji sposobu bycia i stroju, uczesania i makijażu dawało się wyczuć jakieś roztargnienie, jakąś umowność. Wszystko to wydawało się rezultatem nieświadomego wysiłku, dla którego jedynym pretekstem moralnej natury było bogactwo, nieliczenie się z pieniędzmi, przywileje „urodzenia” i kondycji społecznej, a nade wszystko - pycha. Ów dar specyficznie kobiecy - umiejętność cieszenia się chwilą obecną, faustowską chwilą przelotną, wydawał się u nich przygłuszony tajemnym lękiem, że czas płynie i młodość przemija, jakąś wewnętrzną, głęboką potrzebą, która dawała znać o sobie na przekór wszystkim ponurym wydarzeniom. Złośliwa zawiść, gorzkie pretensje, pychę dyktowane niezadowolone z siebie brały u tych pań górę nad wszelkimi innymi elementami ich natury, nawet nad pewnego rodzaju zmysłową pychą kastową.

Mężczyźni natomiast mieli, jakby dla kontrastu, wygląd pogodny, wypoczęty, w pewnym sensie obojętny. Było wśród nich kilku Włochów, jeden Szwed, ambasador brazylijski; resztę stanowili Niemcy, wszyscy ze sfer dyplomatycznych, którzy dzięki nieustannym kontaktom z cudzoziemcami i długotrwałemu przebywaniu poza krajem robili wrażenie ludzi innej niż niemiecka narodowości, ludzi niemal wolnych, choć równocześnie trochę nieufnych, jak gdyby załęknionych z racji tej właśnie swojej odmienności od rodaków. W przeciwieństwie do kobiet, mężczyźni zachowywali się swobodnie, śmieli się wesoło, bez pychy i podejrzliwości, jak gdyby fakt, że znajdują się przy stole, w willi ambasady włoskiej, oddalał ich o tysiąc mil od ich ponurej, ciemnej i okrutnej ojczyzny.

- Eddi żołnierzem? Prawdziwym żołnierzem? - pytał śmiejąc się hrabia Dornberg, szef protokołu w Ministerstwie Spraw Zagranicznych Rzeszy. Olbrzymi Dornberg, mający niemal dwa metry wzrostu i spiczastą bródkę fauna, pochylał się nad stołem opierając wielkie kosmate ręce na atlasowym obrusie.

- Prawdziwym żołnierzem - odpowiedziałem.

- Chyba go to strasznie żenuje, kiedy musi się rozbierać w towarzystwie kolegów - zauważyła Veronika von Klem.

- Biedny Eddi jest taki nieśmiały - dodała księżniczka Agatha Ratibor.

Historię Eddiego Bismarcka opowiedział mi kilka dni przedtem na Capri Axel Munthe. Jak to Eddi wyjechał z Capri, chcąc spędzić parę tygodni w małej posiadłości, którą Bismarckowie mają w Szwajcarii, i jak niespodziewanie władze wojskowe wezwały go do Niemiec. I teraz Eddi znajdował się

w koszarach w Strasburgu, zrozpaczony i, jak mówiła Veronika, très gêné. Opowiadając mi historię żołnierskich przeżyć Eddiego Bismarcka, Axel Munthe śmiał się ukazując spiczaste zęby. Jak zwykle stał oparty na lasce, w płaszczu zarzuconym na chude barki. Śmiech wstrząsał jego głową i cała rozległa panorama gajów oliwnych i nadmorskich skał, o którą opierał się jak o mur, wydawała się wstrząsana suchą nawałnicą. Znajdowaliśmy się na szczycie jego wieży Materita, która niby wcielenie wzdorliwej złośliwości Axela Munthe sterczała pod błękitem capryjskiego nieba jak samotne drzewo. Nawet trawa nie rosła dokoła wieży, w jej jałowym zakurczonym cieniu. Osaczała ją ziemia spękana, poryta szczelinami, z których wyzierała tylko od czasu do czasu jakaś chuda jaszczureczka smutno-zielonej barwy. Ten człowiek, ziemia, drzewa i jaszczurki - wszystko wyglądało jak namalowane przez El Greco. Axel Munthe wyciągnął z kieszeni list od Eddiego Bismarcka i zaczął czytać głośno, specjalnie akcentując niektóre słowa i zatrzymując się na końcu każdego zdania, żeby zachichotać drwiąco w szpakowatą bródkę, podobną do stoczonego przez robaki kawałka drewna. Raz po raz zacinął się, powtarzał słowo dwa albo trzy razy, udawał, że nie może go wymówić. Krótko mówiąc dawał folgę swojej nawyczce starego aktora, lubiącego zabawić się kosztem publiczności.

- Szeregowiec Eddi Bismarck! - wykrzyknął nagle Axel Munthe wznosząc ramię i powiewając listem jak chorągwią - szeregowiec Eddi Bismarck! Naprzód marsz! Für Gott und Vaterland! Chi, chi, chi!

- Jest rzeczą słuszną i wzniosłą - przemówił ambasador Włoch, Dino Alfieri, swoim łagodnym i bezmyślnym głosem - aby Niemcy wzywały pod broń wszystkich swoich najlepszych synów. I piękne to, jeśli ktoś z rodu Bismarcków walczy jako prosty żołnierz w szeregach armii Rzeszy.

Wszyscy roześmieli się, a Dornberg przemówił z głęboką powagą:

- Dzięki Eddiemu Niemcy odniosą zwycięstwo.

Kilka dni przedtem, zanim opuściłem Capri, żeby udać się do Finlandii, zszedłem na dół, do Grande Marina, i wałęsałem się po uliczkach wciśniętych między mury pokryte białymi liszajami soli. Po drodze minąłem Fortino, willę Mony Williams, gdzie w nieobecności Mony, która została w Ameryce, Eddi Bismarck grał rolę troskliwego gospodarza. Padał deszcz, willa miała wygląd melancholijny i chory. „Pan hrabia pojechał na wojnę” - poinformował mnie ogrodnik. Obraz jasnowłosego, delikatnego Eddiego obierającego ziemniaki w strasburskich koszarach przyprawił mnie o złośliwą wesołość. „Pan hrabia pojechał na wojnę! Naprzód marsz! Für Gott und Vaterland!” - wykrzykiwał Axel Munthe trzęsąc się ze śmiechu i powiewając listem Eddiego, z gestem wzdorliwej radości.

- Na polu bitwy Eddi będzie z pewnością wspaniałym żołnierzem, godnym nazwiska, które nosi - powiedział Alfieri z namaszczeniem i wszyscy znowu wybuchnęli śmiechem.

- Eddi to miły chłopak, lubię go bardzo - rzekła Anne Marie Bismarck - bez niego ta wojna byłaby wojną samych ciurów, une guerre de goujats. - Anne Marie jest Szwedką, wyszła za brata Eddiego, księcia Ottona von Bismarcka, radcę ambasady niemieckiej w Rzymie.

- Nazwisko, które on nosi, jest za piękne na pole bitwy - rzekł hrabia Dornberg z odcieniem ironii

- Byłoby doprawdy śmieszne, gdyby któryś z Bismarcków dał się zabić w tej wojnie - powiedziała Anne Marie.

- O, tak, to byłoby rzeczywiście śmieszne - mruknęła złośliwie księżniczka Agatha Ratibor.

- N'est-ce pas? - i Anne Marie rzuciła Agacie łagodnie wzgardliwe spojrzenie.

Jakaś złośliwa małostkowość przewijała się przez tę konwersację, którą Veronika i Agatha wiodły z jałową gracją, pozbawioną prawdziwego polotu. Przysłuchując się tym pięknym młodym kobietom, myślałem o robotnicach z peryferii Berlina. O tej właśnie porze wracają do swoich domów i swoich „lagrów” po długim, ciężkim dniu pracy w fabrykach przemysłu wojennego w Neuköln, Pankow i Spandau. Nie wszystkie są robotniczego pochodzenia. Wiele jest wśród nich córek mieszczańskich domów, wiele żon urzędników państwowych i oficerów, które wciągnęła w swoje tryby machina pracy przymusowej. Wiele jest też „niewolnic” z Polski, Ukrainy, Białorusi i Czechosłowacji; na piersi noszą wyszyte „P”, albo „Ost”. Ale wszystkie te kobiety - robotnice, mieszcżanki i „niewolnice” zagarnięte na terytoriach okupowanych, szanują się nawzajem, pomagają sobie i bronią jedne drugich. Pracują dziesięć, dwanaście godzin dziennie pod okiem SS-manów uzbrojonych w broń maszynową, poruszają się na ciasnej przestrzeni ograniczonej liniami narysowanymi kredą na podłodze. Wieczorem wychodzą zmęczone, brudne, usmolone na czarno smarami, włosy mają pełne rdzawych opiłków żelaznych, skórę twarzy i rąk poprzeżeraną kwasami, oczy sino podkrążone wskutek wyczerpania, lęku, niepokoju. I ten sam niepokój, te same lęki, tylko zabarwione jeszcze arogancką zmysłowością, bezwstydną pychą, obojętnością moralną - odnajdywałem tego wieczora u młodych dam niemieckich siedzących dokoła stołu ambasadora Italii. Ich toalety pochodziły z przemytu z Paryża, Rzymu, Sztokholmu czy Madrytu, przywiezione były w walizkach kurierów dyplomatycznych razem z perfumami, pudrem, rękawiczkami, pantofelkami i bielizną. Damy te nie szczyły się, rzecz jasna, swoją uprzywilejowaną elegancją. Otrzymały przecież wykwiłtne wychowanie, nie czyniły przedmiotem swej dumy takich błahostek, które zresztą z prawa im się należały, qui leur étaient dues. Ale ich elegancja stanowiła niemają, choć może niezupełnie świadomą, część ich patriotyzmu. Były dumne z cierpień, biedy i żałoby niemieckiego ludu, dumne ze wszystkich okropności wojny, a jednocześnie uważały, że na zasadzie bądź starych, bądź nowych przywilejów mają prawo nie dzielić tych rzeczy z ludem. To właśnie był ich patriotyzm: nieczułe zadowolenie z własnych strachów i niepokoju, ze wszystkich nędz i cierpień niemieckiego ludu.

W tym ciepłym pokoju o posadzkach pokrytych puszystymi dywanami, rozjaśnionym zimnym blaskiem księżyca i różowymi płomykami świec, słowa, gesty i uśmiechy młodych kobiet wspominały z zazdrością i żalem szczęśliwy świat, świat niemoralny, radosny i służalczy, zaspokajający ich zmysłowość i próżność. Zapach zwiędłych róż i matowe błyski sreber i porcelany przywodziły na pamięć ów świat z jego pogrzebową wonią rozkładu. W tonie głosu Veroniki von Klem (Veronika, żona urzędnika ambasady niemieckiej w Rzymie, dopiero co wróciła z Włoch, przywożąc najświeższe, ciepłe jeszcze ploteczki pozbierane w barze hotelu Excelsior, na obiadach u księżnej Isabelle Colonna i w Golf Clubie w Acquasanta; tematem ich był głównie hrabia Galeazzo Ciano i jego polityczny i światowy dwór) referującej ostatnie rzymskie skandale, jak również w sposobie komentowania ich przez inne młode damy niemieckie, jak księżniczka Agatha Ratilbor, hrabina von W., baronowa von B., księżna von T., był lekki odcień pogardy; inne panie, Włoszki, i te, które były z pochodzenia Amerykankami, Szwedkami czy Węgierkami - Virginia Casardi, księżna Anne Marie von Bismarck, baronowa Edelstam, margrabina Theodoli, Angela Lanza, baronowa Giuseppina von Stum - przeciwstawiały owemu odcieniowi wzgardy pewien rodzaj ironicznego współczucia, nie pozbawionego gorczy.

- Ostatnio dużo się mówi o Filippie Anfuso - mówiła Agatha Ratilbor. - Podobno nawet piękna hrabina D. zmieniła ramiona Galeazza Ciano na ramiona Anfusa.

- Co dowodzi - wtrąciła margrabina Theodoli - że Anfuso jest w danej chwili w wielkich łaskach u Ciana.

- Nie można tego samego powiedzieć o Blasco d'Ayeta - rzekła Veronika. Odziedziczył on po Cianie małą Giorginę i to właśnie oznacza, że jest w niełasce.

- Gdzie tam, Blasco nigdy nie popadnie w niełaskę - zaproponowała Agata. - Jego ojciec, saab elan dworu, broni go przed królem; Galeazzo Ciano, zięć Mussoliniego, broni go przed Duce; a jego żona, gorąca katoliczka, przed papieżem. A na to, by się obronić przed Galeazzem, Blasco zawsze będzie miał jakąś Giorginę pod ręką.

- Politykę rzymską - powiedziała Veronika - robi czterech czy pięciu beaux garçons, zajętych głównie wymianami pomiędzy sobą trzydziestu najgłupszych kobiet Rzymu, wciąż tych samych.

- A kiedy tym trzydziestu kobietom minie czterdziestka - dodała księżna von T. - nastąpi w Italii rewolucja.

- Czy nie wtedy raczej, kiedy tych czterech czy pięciu beaux garçons przekroczy czterdziestkę? - zastanawiała się Anne Marie von Bismarck.

- Ach, to nie to samo! - rzekł Dornberg. - Polityków obala się łatwiej niż trzydzieści podstarzałych kochanek.

- Z punktu widzenia polityki - powiedziała Agatha - Rzym to po prostu garsoniera.

- Ma chère, na cóż się tu pani uskarża? - wykrzyknęła Virginia Casardi swoim amerykańskim akcentem. - Rzym to święte miasto, które Bóg wybrał sobie, żeby mieć un pied-à-terre.

- Słyszałam śliczne powiedzonko o hrabim Ciano - powiedziała Veronika - ale nie wiem, czy mogę je powtórzyć, bo to pochodzi z Watykanu.

- Może pani powtórzyć. Watykan także ma swoje kuchenne schody - uspokoiłem ją.

- Hrabia Ciano, powiadają w Watykanie, uprawia miłość, a wydaje mu się, że uprawia politykę.

- Von Ribbentrop - wtrąciła Agatha - opowiadał mi, że podczas spotkania w Mediolanie, w celu podpisania Paktu Osi hrabia Ciano przyglądał mu się w taki sposób, że Ribbentrop czuł się bardzo nieswojo.

- Słuchając pani - powiedziałem - można by sądzić, że minister von Ribbentrop był także kochanką Ciano.

- A teraz - dodała Agatha - i on również przeszedł w ramiona Filippa Anfuso.

Veronika opowiedziała, że hrabina Edda Ciano, dla której czuła zresztą szczerą sympatię, wcale się z tym nie kryjąc, w ostatnich czasach wielokrotnie przejawiała chęć unieważnienia swego małżeństwa z hrabią Ciano, by móc wyjść za młodego patrycjusza florenckiego, margrabiego Emilia Pucci.

- Czy hrabinę Eddę Ciano - zapytała księżna von T. - należy także zaliczać do owych trzydziestu kobiet?

- Jeśli chodzi o politykę, Edda jest tą spośród trzydziestu, która najmniej odnosi sukcesów - odparła Agatha.

- Lud włoski wielbi ją jak świętą. Nie należy zapominać, że jest córką Mussoliniego - odezwał się Alfieri swoim bezmyślnym, łagodnym głosem.

Wszyscy zaczęli się śmiać, a baronowa von B. powiedziała zwracając się do Alfieriego, że *le plus beau des ambassadeurs était aussi le plus chevaleresque des hommes*<sup>32</sup>. Nastąpił nowy wybuch śmiechu, Alfieri zaś, kłaniając się wdzięcznie, oświadczył, że jest „ambasadorem trzydziestu najpiękniejszych kobiet Rzymu”, co zostało przyjęte frenetycznym wręcz śmiechem wszystkich obecnych.

Ów przypisywany hrabinie Eddzie Ciano zamiar poślubienia margrabiego Pucci był na razie jedynie plotką bez znaczenia.

Ale w rewelacjach Veroniki i komentarzach innych niemieckich dam (nawet sam Alfieri, łasy zawsze na ploteczki, a na rzymskie przede wszystkim, wolał w pewnych momentach czuć się, jak sam mówił, „ambasadorem trzydziestu najpiękniejszych kobiet Rzymu” niż ambasadorem Mussoliniego) plotka urastała do rozmiarów wydarzenia państwowego, doniosłego faktu w życiu narodu włoskiego i mieściła w sobie nie wypowiedany głośno sąd o tym narodzie. Przez dłuższy czas rozmowa obracała się dokoła hrabiostwa Ciano, wywołując przed oczyma gości obraz młodego ministra spraw zagranicznych, otoczonego liczną rzeszą beauties z Palazzo Colonna i dandies z Palazzo Chigi. Żartowało się dobitnie o rywalizacji, intryg i zawiści tego wytwornego a słuźalczego dworu, do którego przynależnością szczyliła się zresztą sama Veronika. Należałoby do niego również i Agatha Ratibor, gdyby nie była tym, czego Galeazzo Ciano (sam mający w sobie coś z *vieille filie*) nie nosił bardziej niż czegokolwiek na świecie - gdyby, mianowicie, nie była *vieille filie*, starą panną. Przedefiniowała przed nami w rozmowie cała śmietanka rzymskiego towarzystwa ze swoim interesownym serwilizmem, swoją chciwością zaszczytów i rozkoszy, swoją obojętnością moralną, właściwą społeczeństwom wewnątrz zdeprawowanym. Było to nieustające dumne przeciwstawianie korupcji życia, cynicznej i beznadziejnej zarazem bierności całego włoskiego narodu w obliczu wojny - heroizmowi narodu niemieckiego. Każda z nich - Veronika, Agatha, księżna von T., hrabina von B. - zdawała się mówić: „patrzcie, jak ja cierpię, co ze mnie uczynił głód, braki, trudy i okrucieństwa wojny; patrzcie i rumieńcie się”. I rzeczywiście te spośród młodych dam, które czuły się w Niemczech obce, rumieniły się, ale w taki sposób, jakby chciały ukryć uśmiech wywołany tą światową pochwałą heroizmu życia niemieckiego, wypowiedaną przez właścicielki tych wypielęgnowanych ciał, wykwinnych strojów i kosztownej biżuterii. A może naprawdę czuły się w głębi duszy podobne do tamtych i nie mniej od nich winne.

Naprzeciw mnie, pomiędzy hrabią Dornbergiem a baronem Edelstamem, siedziała kobieta niezbyt już młoda i ze znużonym uśmiechem słuchała frywolnej i złośliwej paplaniny Veroniki i jej towarzyszek. Nie wiedziałem o niej nic poza tym, że była Włoszką, z domu nazywała się Antinori, i że poślubiła wysokiego urzędnika Ministerstwa Spraw Zagranicznych Reichu, którego nazwisko spotykało się często w niemieckich kronikach politycznych, barona Brauna von Stum. Z bolesnym współczuciem obserwowałem jej twarz zmęczoną, mizerną, a jednak chwilami jeszcze młodą, jej jasne oczy, których

---

<sup>32</sup> Najpiękniejszy z ambasadorów jest zarazem najbardziej rycerskim z mężczyzn.

spojrzenie kryło się, jak gdyby zawstydzone własną łagodnością, i drobniutkie zmarszczki na skroniach i dokoła smutnych, gorzkich ust. Włoski urok tej twarzy nie zagaś jeszcze całkowicie, nie zanikła owa marzycielskość spojrzenia, które mają włoskie kobiety i które wydaje się miłosnym spojrzeniem, zapomnianym pad przymkniętymi rzęsami. Od czasu do czasu spoglądała na mnie i z uczuciem zmieszania dostrzegłem w tym wzroku jakąś ufność, jakąś chęć zwierzenia. W pewnej chwili zdałem sobie sprawę, że stanowi ona przedmiot niezycliwej uwagi Veroniki i jej przyjaciółek, że wszystkie z nie ukrywaną ironią patrzają na jej skromną suknię, paznokcie bez lakieru, nie wyregulowane i nie przyciemnione brwi, usta bez szminki; wydawało się, że ze złośliwą przyjemnością doszukują się w twarzy i całej postaci Giuseppiny von Stum śladów odmiennych niepokojów, odmiennego strachu, innego niż niemiecki, smutku, braku owej dumy z cudzych nieszczęść, z którą to dumą one wszystkie tak jawnie się obnosiły. Po trochu zaczynałem rozumieć utajony sens jej spojrzeń: było w nich nieme błaganie, prośba o współczucie i pomoc.

Przez lekko przymglone szyby zamrażnięte Wannsee wyglądało jak ogromna tafla błyszczącego marmuru, na której ślady łyżew i sań żaglowych rysowały jakieś tajemne znaki i napisy. Wysoka ściana lasu, czarna w księżycowej poświacie, otaczała jezioro niby mur więzienny. Weronika wspominała zimowe słońce na Capri i capryjskie dni hrabiny Eddy Ciano i jej wesołego dworu.

- To wprost nie do wiary - mówił Dornberg - jakiego rodzaju ludźmi otacza się hrabia Ciano. Jak żyję, czegoś podobnego nie widziałem, nawet w Monte Carlo dokoła vieilles dames à gigolos.

- W gruncie rzeczy Edda jest starą kobietą.

- Ależ ona nie ma więcej niż trzydzieści lat! - wykrzyknęła księżna von T.

- Trzydzieści lat to dużo - rzekła Agatha - jeśli ktoś nie był nigdy młody. - I dodała, że hrabina Ciano nigdy nie była naprawdę młoda, a teraz ma usposobienie, charakter, kapryśne i despotyczne zachcianki starej kobiety. Tak jak niektóre stare damy otaczają się wyłącznie służbą o uśmiechniętych twarzach, ona również toleruje dokoła siebie, poza pewną ilością pobłażliwych przyjaciółek i łatwych amantów, tylko jakieś dwuznaczne figury, mogące ją zabawić i rozerwać. - To kobieta śmiertelnie smutna - zakończyła Agatha - a jej najgorszym wrogiem jest nuda. Spędza całe noce na grze w kości, jak Murzynka z Haarlemu. Coś w rodzaju Madame Bovary. Mogą sobie państwo wyobrazić, do czego to prowadzi: Emma Bovary, która na dodatek byłaby córką Mussoliniego

- Ona często płacze. Czasem całe dni spędza zamknięta w swoim pokoju płacząc.

- Przeciwnie, wciąż się śmieje - rzekła złym głosem Agatha. - Całymi nocami pije razem ze swoim pięknym dworem amantów, łobuzów i szpicli.

- Byłaby znacznie gorzej - zauważył Dornberg - gdyby piła sama. - I opowiedział, że znał kiedyś w Adrianopolu takiego nieszczęśnika, konsula angielskiego, który nudził się śmiertelnie, i aby nie pić całkiem samotnie, zasiadał wieczorami przed lustrem. Pił tak przez długie godziny, w milczeniu, w swoim pustym pokoju, póki wreszcie jego odbity w lustrze obraz nie zaczynał się śmiać. Wtedy wstawał i szedł do łóżka.

- Edda po pięciu minutach rąbnęła kieliszkiem w lustro - powiedziała Agatha.

- Jest ciężko chora na płuca i dobrze wie, że nie pożyje długo - rzekła Veronika. - Jej ekstrawagancje, jej kapryśne i despotyczne humory mają źródło w chorobie. Czasami żal mi jej.
  - Włosi wcale jej nie współczują - rzuciła Agatha - Włosi jej nienawidzą. Czemu właściwie mieliby jej żałować?
  - Włosi nienawidzą tych wszystkich, których są pokornymi sługami - dodała z pogardą hrabina von W.
  - Możliwe, że to po prostu nienawiść sług - rzekła Agatha - ale to fakt, że jej nienawidzą.
  - Mieszkańcy Capri - rzekł Alfieri - nie kochają jej, ale ją szanują i wybaczą jej wszelkie wybryki. „Biedna hrabina - mówią - cóż ona temu winna? Jest przecież córką wariata”. Lud na Capri ma swój szczególny sposób patrzenia na historię. Zeszłego roku, po chorobie, udałem się na Capri na parotygodniową rekonwalescencję. Rybacy z Piccola Marina, którzy uważali mnie za Niemca, dlatego że jestem ambasadorem w Berlinie, widząc mnie bladego i wychudłego, mówili mi: „Nie trzeba tak sobie tego brać do serca, cóż to panu szkodzi, że Hitler przegra wojnę? Grunt to dbać o zdrowie!”
  - Cha, cha, cha! - roześmiał się Dornberg - grunt to dbać o zdrowie! Wcale niezła zasada polityczna!
  - Mówią, że ona nie znosi swego ojca - rzekła księżna von T.
  - Ja też myślę, że ona nienawidzi ojca - przytaknęła Veronika - a ojciec ją uwielbia.
  - A Galeazzo? - zagadnęła baronowa von B. - Ludzie mówią, że ona nim pogardza.
  - Może i pogardza, ale także bardzo kocha - rzekła Veronika.
  - W każdym razie jest mu bardzo wierna - dorzuciła ironicznie księżna von T.
- Wszyscy zaczęli się śmiać; Alfieri, le plus beau des ambassadeurs et le plus chevaleresque des hommes, powiedział:
- Ach, więc pani rzuca na nią pierwszy kamień
  - Miałam osiemnaście lat, kiedy rzuciłam pierwszy kamień - odparła księżna von T.
  - Gdyby Edda otrzymała lepsze wychowanie - powiedziała Agatha - stałaby się doskonałą nihilistką.
  - Nie wiem, na czym polega jej nihilizm - powiedziałem - ale niewątpliwie jest w niej coś dzikiego. Takie w każdym razie ma o niej przekonanie Isabelle Colonna. Pewnego wieczora, podczas obiadu w jednym z wielkich domów rzymskich mówiło się coś o księżnej Piemontu. Hrabina Ciano powiedziała: „Z dynastią Mussolinich jest tak, jak z dynastią Sabaudzką: nie potrwa długo. Ja skończę tak samo, jak księżna Piemontu.” Wszyscy zdrętwieli. Księżna Piemontu siedziała przy tym samym stole. Kiedyś znów na balu w Palazzo Colonna hrabina Ciano powiedziała do Isabelle, która szła ją powitać: „Zastanawiam się, kiedy też mój ojciec zdecyduje się wymieść to wszystko.” A raz, kiedy mowa była o samobójstwie, powiedziała mi nagle: „Mojemu ojcu nigdy nie starczy odwagi, żeby się zabić”. „Chyba że pani go nauczy, jak się strzela do siebie” - odparłem. Nazajutrz rano przyszedł do mnie komisarz policji prosząc w imieniu hrabiny Ciano, żebym odtąd unikał okazji spotykania jej.
  - I nie spotkał jej pan do tej pory? I - zapytała księżna von T.

- Owszem, raz jeden, dość długo potem. Przechadzałem się po lasku za swoim domem, od strony Matromania, i nagle zobaczyłem ją tuż przed sobą na ścieżce. Powiedziałem jej, że powinna by raczej zrezygnować z przechadzek po moim lesie, jeżeli nie życzy sobie mnie spotkać. Spojrzała na mnie jakoś dziwnie, mówiąc, że chce ze mną porozmawiać. „Cóż pani ma mi do powiedzenia?” - zapytałem. Wydawała się smutna i upokorzona. „Tylko to, że mogłabym pana zniszczyć, gdybym chciała. - To mówiąc wyciągnęła do mnie rękę. - Pozostaniemy w przyjaźni, chce pan?” - zapytała. „Nigdy nie byliśmy w przyjaźni” - odparłem. Odeszła w milczeniu. Na końcu ścieżki odwróciła głowę i uśmiechnęła się. Było mi bardzo głupio. Od tej pory mam dla niej wiele współczucia. A także, muszę przyznać, jakiś zabobonny respekt. To ktoś w rodzaju Stawrogina.

- W rodzaju Stawrogina, powiedział pan? - zapytała księżna von T. - Dlaczego porównuje ją pan do Stawrogina?

- Elle aime la mort<sup>33</sup> - odpowiedziałem. - Ma niezwykłą twarz. Nie zdziwiłbym się, gdybym kiedyś usłyszał, że zabiła kogoś albo popełniła samobójstwo.

- Oui, elle aime la mort - powtórzył za mną Dornberg - na Capri często wychodzi samotnie nocą, wdrapuje się na strome ściany skalne, chodzi po samych krawędziach przepaści. Którejś nocy chłopi widzieli ją na murku przy „Salto di Tiberio” z nogami zwieszonymi nad przepaścią. Przechyliła się przez parapet Migliary, jak przez poręcz balkonu, nad otchłanią głębokości pięciuset metrów. Pewnej burzliwej nocy ja sam, własnymi oczyma widziałem, jak spacerowała po dachu klasztoru kartuzów, przeskakując z jednej kopułki na drugą niby opętany kot. Oui, elle aime la mort.

- Alboż wystarczy kochać śmierć - rzekła hrabina von W. - aby stać się zabójcą albo odebrać sobie życie

- Tak, wystarczy na to kochać śmierć - odparłem - to jest właśnie moralność Stawrogina, tajemny sens jego straszliwej spowiedzi. Mussolini wie, że jego córka ma naturę Stawrogina, i dlatego lęka się o nią, każe jej pilnować, chce znać każdy jej krok, każde słowo, każdą myśl, każdy nałóg. Posunął się aż do popchnięcia w jej ramiona pewnego szpicla policyjnego, żeby móc, chociażby cudzymi oczyma, śledzić córkę w momentach, kiedy nie ma się na baczności. Tym, co chciałby od niej uzyskać, jest właśnie spowiedź Stawrogina. Jego jedynym wrogiem, jego najprawdziwszym rywalem jest córka. Cała czarna krew Mussolinich nie w żyłach ojca płynie, ale w żyłach Eddy. Gdyby Mussolini był prawowitym królem, a Edda księciem następcą, postarałby się ją usunąć z drogi, żeby mieć pewność zachowania tronu. W głębi duszy Mussolini rad jest z nieładu w życiu swojej córki, z tego zła, które ją usidla. Może panować spokojnie. Ale czy może też spokojnie spać? Edda jest nieubłagana, dręczy go nawet we śnie. Pomiędzy tym ojcem i tą córką poleje się jeszcze kiedyś krew.

- Cóż za romantyczna historia - wykrzyknęła księżna von T. - Czyż nie jest to właściwie historia Edypa?

- Być może - odpowiedziałem - w tym sensie, że coś z Edypa jest też w Stawroginie.

- Myślę, że pan ma rację - rzekł Dornberg - wystarczy kochać śmierć. Pewien lekarz z niemieckiego szpitala wojskowego w Anacapri, kapitan Kifer, został kiedyś wezwany do hotelu Quisisana do hrabiny Ciano, cierpiącej na silną i uporczywą migrenę. Miał więc okazję przyjrzeć się Eddzie z bliska. Kapitan Kifer jest dobrym niemieckim lekarzem, który umie patrzeć głęboko i wie, jakie tajemnicze

---

<sup>33</sup> Ona kocha śmierć.



bywają choroby. Wyszedł z pokoju hrabiny Ciano bardzo zmieszany. Powiedział mi później, że zauważył na jej skroni białą plamkę wyglądającą na zabliznioną ranę od kuli. I dodał, że to z pewnością blizna po tej kuli, którą ona w przyszłości pewnego pięknego dnia wpakuje sobie w skroń.

- Jeszcze jedna romantyczna historia! - wykrzyknęła księżna von T. - Wyznaję, że ta kobieta zaczyna mnie pasjonować. Czy przypuszcza pan naprawdę, że ona się zabije mając trzydzieści lat?

- Nie ma obawy, zabije się mając lat siedemdziesiąt - odezwała się nagle Giuseppina von Stum.

Wszyscy obrócili się ku niej zdumieni. I wszyscy prócz mnie roześmiali się. Obserwowałem ją w milczeniu: była bardzo blada i uśmiechała się.

- Elle n'est pas de la race des papillons<sup>34</sup> - dodała Giuseppina von Stum pogardliwym tonem.

Nastąpiła chwila żenującej ciszy.

Ostatnim razem, kiedy wracałam z Italii - przerwała na koniec milczenie Virginia Casardi swoim amerykańskim akcentem - przywiozłam sobie włoskiego motyla.

- Motyla? Quelle idée! - wykrzyknęła Agatha Ratibor z irytacją jakby obrażona.

- Tak, rzymskiego motyla z Via Appia - rzekła Virginia. I opowiedziała, że motyl usiadł jej na włosach pewnego wieczoru, kiedy jadła z przyjaciółmi kolację w tej oberży o dziwacznej nazwie, obok grobowca Cecyli Metell.

- Jakaż jest ta dziwaczna nazwa? - zapytał Dornberg.

- „Tutaj się nie umiera” - odpowiedziała Virginia. Giuseppina von Stum zaczęła się śmiać nie spuszczać ze mnie wzroku, a potem powiedziała cicho: „Okropność”! - i zakryła usta ręką.

- Rzymski motyl to nie taki sobie motyl jak wszystkie inne - mówiła Virginia. Przywiozła motyla z Rzymu do Berlina samolotem, w kartonowym pudełku, i wypuściła na swobodę w swojej sypialni. Motyl fruwał trochę po pokoju, a potem usiadł na szybie lustra i siedział tam przez kilka dni prawie nieruchomo, czasem tylko leciutko poruszając niebieskimi czułkami. „Przeglądał się w lustrze” - mówiła Virginia. Po kilku dniach, rano, znalazła go na szybie lustra martwego.

- Utonął w zwierciadle - westchnęła baronowa Edelstam.

- To dzieje Narcyza - dodała margrabina Theodoli.

- Sądzi pani, że motyl się utopił? - zapytała Veronika.

- Les papillons aiment mourir - cicho powiedziała Giuseppina von Stum.

Wszyscy roześmiali się. Spojrzałem na Giuseppinę, zirytowany tym głupim śmiechem.

- Zabił go własny obraz, własny obraz odbity w lustrze - powiedziała hrabina Emo.

- Myślę nawet, że z nich dwóch obraz umarł pierwszy; zawsze się tak dzieje - rzekła Virginia.

---

<sup>34</sup> Ona nie jest z rasy motyli.

- Obraz pozostał w lustrze - odezwała się baronowa Edelstam. - Motyl nie umarł, on tylko odfrunął.
  - Papillon. To ładna nazwa: papillon - zauważył Alfieri swoim bezmyślnym, układnym głosem. - Czyście państwo zauważyli, że słowo motyl jest po francusku rodzaju męskiego, a po włosku, farfalla, żeńskiego? On est très galant avec les femmes, en Italie.<sup>35</sup>
  - Względem motyli, chciał pan zapewne powiedzieć - poprawiła księżna von T.
  - Po niemiecku także - rzekł Dornberg - słowo motyl jest męskiego rodzaju: der Schmetterling. My, Niemcy, mamy skłonność do wychwalania raczej męskiego rodzaju.
  - Der Krieg, wojna - poddała margrabina Theodoli.
  - Der Tod, śmierć - powiedziała Virginia Casardi
  - Po grecku także śmierć jest rodzaju męskiego: bóg Thanatos - rzekł Dornberg.
  - Za to po niemiecku - powiedziałem - słońce jest rodzaju żeńskiego: die Sonne. Niepodobna zrozumieć dziejów niemieckiego narodu, jeśli się nie pamięta, że to naród, w którego pojęciu słońce jest rodzaju żeńskiego.
  - Niestety, możliwe, że pan ma rację - westchnął Dornberg.
  - Pod jakim względem Malaparte ma rację? - zapytała ironicznym tonem Agatha. - Księżyc jest za to po niemiecku męskiego rodzaju: der Mond. To też jest bardzo ważne dla zrozumienia historii narodu niemieckiego.
  - Oczywiście - przytaknął Dornberg - to jest również bardzo ważne. Wszystko, co Niemcy mają w sobie tajemniczego, wszystko, co w nich jest chorobliwe, wypływa z tego żeńskiego rodzaju słońca: die Sonne.
  - O tak, jesteśmy na nieszczęście narodem bardzo żeńskim - powiedział Dornberg.
  - A propos motyli - rzekł zwracając się do mnie Alfieri - czy to nie ty napisałeś w jednej ze swoich książek, że Hitler jest motylem?
  - Nie. Ale napisałem, że Hitler jest kobietą.
- Wszyscy popatrzyli po sobie, zaskoczeni i trochę zażenowani.
- W istocie - powiedział Alfieri - porównanie Hitlera z motylem wydawało mi się absurdalne.
- Wśród ogólnego śmiechu Virginia powiedziała:
- Nigdy nie przyszłoby mi na myśl ususzyć Hitlera, jak motyla, między kartkami „Mein Kampf”. Byłoby to doprawdy niezwykle.
  - Pomysł zupełnie pensjonarski - rzekł Dornberg uśmiechając się w gęstwinie swojej bródki fauna.

---

<sup>35</sup> W Italii panuje wielka uprzejmość względem kobiet.

Nadeszła już pora Verdunkelung i Alfieri, nie chcąc pozbawić gości widoku tafli lodowej Wannsee, lśniącej w poświęcie księżycy, zamiast ściągnąć zasłony kazał pogasić świece. Widmowe światło księżycy wypełniło pokój ogarniając kryształ, porcelanę i srebra niby daleka muzyka. Siedzieliśmy w tym srebrzystym półmroku pełni milczącego skupienia. Służący poruszał się bezszelestnie dokoła stołu w księżycowym, proustowskim półświecie „jak w gęstym morzu niebieskawego zsiadłego mleka”. Noc była przejrzysta, bezwietrzna, drzewa stały nieruchome na tle bladego nieba, śnieg jaśniał błękitną bielą.

Trwaliśmy tak długo w milczeniu patrząc na jezioro. Milczenie to kryło w sobie ten sam pełen pychy strach, ten sam niepokój, który dostrzegłem w śmiechu i głosach tych młodych kobiet niemieckich.

- C'est trop beau - odezwała się nagle Veronika wstając gwałtownie - je naime pas être triste.<sup>36</sup>

Wszyscy przeszliśmy w ślad za nią do salonu tonącego w jasnym świetle i wieczór ciągnął się jeszcze wśród pogodnej konwersacji. Giuseppina usiadła obok innie; milczała. W pewnej chwili wydało mi się, że chce mi coś powiedzieć, popatrzyła na mnie uważnie, ale potem wstała i wyszła z salonu. Nie widziałem jej więcej tego wieczoru i myślałem, że odjechała, zdawało mi się nawet, że słyszę szelest opon na śniegu i cichnące w oddali warczenie silnika. Była już druga w nocy, kiedy opuściliśmy Alfiergo i Wannsee. Ruszając w drogę powrotną do Berlina wsiadłem do jednego samochodu z Veroniką i Agathą. Podczas gdy mknęliśmy autostradą, zapytałem Veronikę, czy dobrze zna Giuseppinę von Stum. „To Włoszka” - odpowiedziała Veronika.

- She is rather crazy - dodała Agatha swoim lekko skrzypiącym głosem. - Jest trochę zwariowana.

Pewnego wieczoru znalazłem się w wagonie U-Bahn, zatłoczonym mizernymi, spoconymi, brudnymi ludźmi o szarych jak popiół twarzach. Nagle ujrzałem siedzącą naprzeciwko Giuseppinę von Stum z dużą walizką na kolanach. Uśmiechała się do mnie i czerwieniąc się powiedziała: „Dobry wieczór”. Ubrana była nadzwyczaj skromnie, prawie ubogo, jej ręce bez rękawiczek były spierzchnięte z zimna, poznaczone drobnymi czerwonymi pęknięciami, jakie na delikatnej skórze zostawia pranie w ługu. Wydała mi się jakaś upokorzona, przytłoczona, była biada, zmizerowana, miała czerwone obwódki dokoła oczu i bezkrwiste wargi. Powiedziała, jakby się tłumacząc, że wyszła kupić coś na kolację i musiała cztery godziny stać w kolejce przed sklepem. Teraz spieszyła się do domu, zrobiło się późno, była niespokojna o swoich dwoje dzieci, które zostawiła same w domu. „Ciężkie życie” - dodała po chwili. Mówiąc uśmiechała się, ale głos jej drżał i przez twarz przemykał rumieniec.

Pytała mnie o nowiny z Włoch. Chętnie wróciłaby tam, chociażby na krótko, do Rzymu albo do Umbrii, do swojej matki. Bardzo potrzebowała odpoczynku, ale było to niestety niemożliwe. Obowiązek niemieckiej kobiety (przy tych słowach zaczerwieniła się) nakazuje jej pozostać w Berlinie i dźwigać swoją część brzemienia wojny, jak każdej innej niemieckiej kobiecie. „Bądź co bądź przyjemniej jest czuć się Włoszką, w tym wszystkim, prawda?” - powiedziałem. Cień smutku przesłonił jej twarz, jak noc zstępująca na pogodny włoski krajobraz.

- Nie jestem już Włoszką, Malaparte, jestem teraz Niemką.

---

<sup>36</sup> To zbyt piękne; nie lubię być smutna.

Na twarzy jej dostrzegłem przy tych słowach jakieś pełne rozpaczy upokorzenie. Opowiedziała mi-, że z trzech synów jej męża (kiedy go poślubiła, baron Braun von Stum był wdowcem, miał trzech synów z pierwszego małżeństwa), jeden poległ w Rosji, drugi został ciężko okaleczony, trzeci leży ranny w jednym z berlińskich szpitali. A z trojga dzieci, zrodzonych z jej małżeństwa z baronem, średnie, chłopiec dziesięcioletni, zmarło tragicznie przed paroma miesiącami - utonął w basenie pływackim jakiegoś hotelu w Tyrolu. Giuseppina musiała zajmować się domem, sprzątać, prać, gotować, wystawać w kolejkach przed sklepami, odprowadzać do szkoły córkę, karmić maleństwo. „Nie mam już pokarmu, wykończona jestem, Malaparte” - powiedziała czerwieniąc się. Tak to po trochu zeszała w samą głąb, w ciemną pustkę kobiecego świata wojujących Niemiec, świata ponurego, pełnego niepokoju, bez radości i nadziei.

(Minister baron Braun von Stum szczylił się tym, że jego żona dzieli biedę, cierpienia i trudy narzucone przez wojnę ogółowi kobiet niemieckich. Nie życzył sobie, żeby Giuseppina korzystała z przywilejów przysługujących żonom dyplomatów i wyższych urzędników Ministerstwa Spraw Zagranicznych Rzeszy. „Chcę, aby moja żona świeciła przykładem, żeby dzieliła powszechną dolę”. Kłopoty, trudy, cierpienia i milcząca rozpacz żony stanowiły godne ukoronowanie jego dni lojalnego i wiernego pruskiego urzędnika. Dumny był, że Giuseppina męczy się i kłopotczy jak każda inna niemiecka kobieta. Minister baron Braun von Stum szczylił się tym, że jego żona stoi w kolejkach przed sklepami, sama dźwiga do domu worki z miesięcznym przydziałem węgla, pierze, myje podłogi, gotuje; on sam jadał w klubie Ministerstwa Spraw Zagranicznych, o ile nie uczestniczył w którymś z częstych i obfitych bankietów oficjalnych. Kucharz Ausländer Clubu słynął na cały Berlin, ów Berlin z roku 1942. Wina klubu również cieszyły się zasłużoną sławą. Baron wolał wino czerwone od białego, Châteauneuf-du-Pape przedkładał nad każde wino mozelskie czy reńskie. Jego ulubionym koniakiem był Courvoisier. Zimą jednak wolał Hennessy. „Poznałem pana Hennessy w 1936 roku w Paryżu”. Do domu wracał późno, luksusowym wozem ministerstwa, i dumny był zastając żonę bladą, wyczerpaną, dręczoną lekiami i niepokojem. Minister baron Braun von Stum był uczciwym i lojalnym urzędnikiem Reichu, Prusakim wiernym swym obowiązkom, zdolnym do największych ofiar na rzecz niemieckiej ojczyzny. Ja, ja, heil Hitler).

W pewnej chwili Giuseppina powiedziała:

- Tu wysiadam, do widzenia. - Nie była to moja stacja, miałem wysiąść dalej, w Kaiserhofie, ale wstałem także i wziąłem jej ciężką walizkę, mówiąc: „Pani pozwoli, że ją odprowadzę”. Wyszliśmy schodami na górę ze stacji U-Bahn i ruszyliśmy ciemną już ulicą. Brudny śnieg skrzypiał pod naszymi butami. Wjechaliśmy windą na trzecie piętro. Przed drzwiami Giuseppina powiedziała: „Może pan wstąpi?” Ale wiedziałem przecież, że musi przygotować kolację dla córeczki, nakarmić niemowlę, zrobić porządek w domu, odpowiedziałem więc: „Dziękuję, muszę iść, mam ważne spotkanie. Przyjdę innym razem, jeśli pani pozwoli, i porozmawiamy...” Chciałem powiedzieć: „porozmawiamy o Italii”, ale powstrzymałem się, wydawało mi się zbyt okrutne mówić z nią o tym. Zresztą, któż wie, czy Italia gdzieś jeszcze istnieje? Może jest tylko bajką, snem, któż wie, czy istnieje jeszcze naprawdę? Teraz nic już nie ma, nic, tylko ponure, ciemne okrutne, pełne pychy, rozpaczliwe Niemcy. Nic już nie istnieje, skądże by Italia! Schodziłem ze schodów śmiejąc się ponuro, a znalazłszy się na ulicy splunąłem na błotnisty śnieg. „Italia! - powiedziałem na cały głos - a jakże, Italia!”

Kilka miesięcy później, wracając z Finlandii, zatrzymałem się na dwa dni w Berlinie. Jak zwykle, tak i tym razem miałem tylko wizę tranzytową i nie wolno mi było przebywać w Niemczech dłużej niż

dwa dni. Kiedy wieczorem, w willi nad Wannsee, ambasador Alfieri powiedział mi swoim pustym, uprzejmym głosem pod koniec obiadu, że Giuseppina von Stum rzuciła się z okna, nie byłem wcale zaskoczony ani też mnie to nie zabolowało. Był to fakt bolesny, ale od dawna mi już znany. Od szeregu miesięcy wiedziałem, że Giuseppina rzuci się z okna. Wiedziałem o tym już wtedy, kiedy schodząc ze schodów śmiałem się i mówiłem głośno do siebie: „A jakże, Italia!” Kiedy plułem na brudny śnieg i powtarzałem na cały głos: „A jakże, Italia!”

## XV. Dziewczęta z Soroki

O, jak trudno być kobietą! - westchnęła Luiza.

- A minister baron Braun von Stum - spytała Ilse - na wiadomość o samobójstwie żony...

- Ani okiem nie mrugnął. Zacerwienił się tylko lekko i powiedział: „Heil Hitler!”. Tego ranka, jak co dzień, przewodniczył na konferencji prasowej korespondentów pism zagranicznych w ministerstwie. Wydawał się niezmaczenie pogodny. W pogrzebie Giuseppiny nie wzięła udziału żadna niemiecka kobieta, ani jedna z żon kolegów ministra barona Brauna von Stum. Kondukt był bardzo szczupły, szło w nim tylko kilka Włosek, mieszkających w Berlinie, grupka włoskich robotników z organizacji Todt i paru urzędników ambasady włoskiej. Giuseppina okazała się niegodna żalu ze strony kobiet niemieckich. Żony niemieckich dyplomatów dumne są z trudów i wyrzeczeń, z jakimi boryka się naród niemiecki czasu wojny. Niemieckie żony niemieckich dyplomatów nie rzucają się z okien, nie odbierają sobie życia. Heil Hitler! Minister baron von Stum, krocząc za trumną w uniformie hitlerowskiego dyplomaty, raz po raz czerwienił się i rozglądał podejrzliwie dokoła. Wstydził się, że jego żonie (Ach! Ożenił się z Włoszką!...) nie starczyło siły, by dzielnie znosić cierpienia narodu niemieckiego.

- Czasami wstydzę się, że jestem kobietą - odezwała się cicho Luiza.

- Dlaczego, Luizo? Proszę mi pozwolić, żebym pani opowiedział o dziewczętach z Soroki - powiedziałem. - Z Soroki nad Dniestrem, w Besarabii.

Były to nieszczęsne dziewczęta żydowskie, które uciekły i kryły się po polach i lasach, żeby nie wpaść w ręce Niemców. Pola i lasy Besarabii między Balcą i Soroką pełne były młodych Żydówek kryjących się tam ze strachu przed Niemcami, przed rękami Niemców.

Nie bały się ich twarzy, ich okropnych ochrypłych głosów, niebieskich oczu, wielkich, ciężkich stóp. Bały się tylko rąk. Ilekroć kolumna niemieckich żołnierzy ukazywała się daleko na drodze, dziewczęta żydowskie ukryte w zbożu albo w zaroślach akacji i brzoź dygotały ze strachu, a jeżeli któraś z nich zaczynała płakać albo krzyczeć, towarzyszki przyciskały jej usta rękami, zapychały słomą. Ale tamta szamotała się z krzykiem, bała się rąk niemieckich, czuła już pod ubraniem te twarde, gładkie ręce, czuła żelazne palce wciskające się w sekretne miejsca jej ciała. Od wielu już, wielu dni żyły tak, kryjąc się w polach, leżąc w bruzdach między wysokimi złocistymi łądogami jak w ciepłym lesie złotych drzew, poruszając się powolutku, ostrożnie, żeby nie rozkołysać kłosów. Bo gdziekolwiek Niemcy dostrzegli kłosa chwiejące się, mimo że nie było wiatru, mówili: „Achtung! Partyzanci!” i posyłały w złoty las zboża serię z karabinu maszynowego. Ranionym dziewczętom towarzyszki napychały

słomy do ust, żeby nie mogły krzyżeć, błagały: „Cicho, cicho”, przyciskały je do ziemi kolanami, zaciskały im gardła palcami stwardniałymi z trwogi, żeby tylko nie krzyczały.

Były to dziewczęta żydowskie w wieku osiemnastu, dwudziestu lat, najmłodsze, najładniejsze. Reszta, brzydkie i niezdarne dziewczęta z gett Besarabii siedziały zamknięte w domach, uchylały zasłony na oknach, żeby zobaczyć przechodzących Niemców, i trzęsły się ze strachu. Ale może nie był to tylko strach, może coś innego przyprawiało o drżenie te żalosne dziewczyny - garbate, kulawe i pokraczne, oszpecone skrofalicznymi guzami albo śladami po ospie, z włosami wyniszczonymi egzemą. Drżały ze strachu, a jednak unosiły rożki zasłon okiennych, żeby popatrzeć na niemieckich żołnierzy, i cofały się przestraszone, ilekroć spotkały jakieś nieuważne spojrzenie, dostrzegły bezwiedny gest czy usłyszały głos któregoś z żołnierzy. Uciekały, ale śmiały się rozczewienionymi, spoconymi twarzami w mrocznych pokojach i biegly, potykając się i potrącając nawzajem, do okien z drugiej strony domu, żeby jeszcze raz zobaczyć żołnierzy, kiedy skręcają za róg ulicy.

Dziewczęta ukryte w zbożu i w lesie bladły słysząc warkot motorów, stąpanie koni i skrzyp kół na szosie, która z Balcu w Besarabii idzie do Soroki nad Dniestrem, w stronę Ukrainy. Żyły jak dzikie zwierzątka, żywiąc się tym, co udało im się wyżebrać u chłopów - kromką chleba, odrobiną mamatygi czy słonej bryndzy. Czasem, pod zachód słońca, niemieccy żołnierze urządzali łowy na żydowskie dziewczęta. Szli tyralierą jak rozczapierzone palce olbrzymiej dłoni, przeczesując zboże, i nawoływali się między sobą: „Kurt! Fritz! Karl!”. Głosy mieli młode, trochę chrapliwe, wyglądali na myśliwych, którzy przetrzysają wrzosowisko, żeby poderwać kuropatwy, przepiórki czy bażanty.

Zaskoczone i przestraszone skowronki wlatywały wysoko w zapyłone powietrze, a żołnierze, zadarłszy w górę twarze, śledzili ich lot. Dziewczęta przyczajone w zbożu z zapartym tchem wpatrywały się w ręce niemieckich żołnierzy zaciśnięte na kolbach erkaemów, to znikające, to ukazujące się poprzez las słomy; w owe ręce niemieckie, porośnięte jasnym lśniącem puchem podobnym do puchu ostów, twarde i gładkie niemieckie ręce. Myśliwi zblizali się coraz bardziej, szli pochyleni, słychać już było ich głośnie oddechy, chrapliwe sapanie. I zawsze w końcu któraś z dziewczyn nie mogła powstrzymać krzyku, w ślad za nią zaczynała krzyżeć druga, trzecia.

Dowództwo służby sanitarnej niemieckiej XI Armii postanowiło pewnego pięknego dnia otworzyć w Soroce burdel wojskowy. Ale w Soroce nie było kobiet poza zupełnie starymi i brzydulami. Miasto było bardzo zniszczone przez miny i bomby niemieckie i rosyjskie, prawie cała ludność uciekła, młodzi mężczyźni odeszli z wojskami radzieckimi za Dniepr; od bomb ocalała tylko dzielnica ogrodów publicznych i najbliższe okolice starego zamku zbudowanego niegdyś przez genueńczyków; wznosi się on na zachodnim brzegu Dniestru pośród labiryntu niskich lepianek z drzewa i gliny, zamieszkałych przez najuboższą ludność tatarską, rumuńską, bułgarską i turecką. Z wysokiego stromego brzegu rzeki widać miasto ściśnięte pomiędzy Dniestrem a wysoką lesistą skarpą. W owych dniach domy były przeważnie zburzone, poczerniałe od pożarów, gdzieś tam któryś dymił jeszcze, daleko, za dzielnicą ogrodów. Tak wyglądała Soroka nad Dniestrem, kiedy w jednym z domów pod murami genueńskiego zamku otwarty został burdel wojskowy: miasto w ruinie, ulice zatłoczone wojskiem, końmi, samochodami.

Służba sanitarna zorganizowała patrole w celu wyłapania dziewcząt żydowskich kryjących się w zbożu i pobliskich lasach. I kiedy burdel został zainaugurowany oficjalną, utrzymaną w surowym stylu wojskowym, wizytą dowódcy XI Armii, około dziesięciu bladych dziewcząt o zaczerwienionych od płaczu oczach, dygocząc ze strachu oczekiwało na generała von Schoberta i jego świtę. Były wszystkie

bardzo młode, niektóre wyglądały prawie jak dzieci. Nie nosiły tradycyjnego stroju wschodnich burdeli - długich szlafroków o szerokich rękawach, z błyszczącego jedwabiu w czerwonym, żółtym czy zielonym kolorze. Ubrane były w swoje najlepsze sukienki, skromne i nobliwe sukienki pańienek z prowincjonalnego miasteczka; wyglądały jak gromadka studentek (niektóre z nich były rzeczywiście studentkami), kiedy zbiorą się u jednej z koleżanek, żeby wspólnie przygotowywać się do egzaminu. Tylko wyraz ich twarzy był załęczony i pokorny. Zobaczyłem je na ulicy, parę dni przed otwarciem burdelu: było ich dziesięć, szły jezdnią, każda niosła zawiniątko pod pachą, skórzaną walizkę albo paczkę obwiązaną sznurkiem; za nimi kroczyło dwóch SS-manów uzbrojonych w erkaemy. Wszystkie miały włosy szare od kurzu, do ubrania uczezione tu i ówdzie źdźbła zboża czy zielsko, pończochy podarte. Jedna szła kulejąc, z jedną nogą bosą, pantofel trzymała w ręku.

Mniej więcej miesiąc później znalazłem się przejazdem w Soroce. Wieczorem Sonderführer Schenk zaproponował mi, żebym z nim razem wybrał się odwiedzić żydowskie dziewczęta w wojskowym burdelu. Odmówiłem, a Schenk roześmiał się i popatrzył na mnie drwiąco.

- To nie żadne prostytutki, to dziewczynki z dobrej rodziny - powiedział.

- Tak, wiem, że to przyzwoite dziewczęta.

- Nie ma co tak ich znów żałować - mówił Schenk - to Żydówki.

- Tak, wiem, że to Żydówki.

- No więc? Boi się pan może, że się obrażą, jak je pójdziemy odwiedzić?

- Pan nie jest w stanie zrozumieć pewnych rzeczy, Schenk?

- A cóż tu jest do zrozumienia?

- Te nieszczęsne dziewczęta nie są prostytutkami, nie sprzedają się dobrowolnie. Są do tego zmuszone. Mają prawo do szacunku. Są jeńcami wojennymi, wyzyskiwanymi przez was w niegodny sposób. Jaki procent z zarobków tych biedaczek inkasuje dowództwo?

- Miłość tych dziewczyn nic nie kosztuje. To darmowe usługi.

- Roboty przymusowe, chce pan powiedzieć?

- Nie, to bezpłatna usługa. A zresztą i tak na nic by się nie zdało im płacić.

- Na nic by się nie zdało im płacić? Dlaczegoż to?

Wówczas Sonderführer Schenk powiedział mi, że kiedy skończy się ich turnus, za dwa tygodnie, zostaną odesłane do domu i zastąpi je nowa ekipa.

- Do domu? Jest pan pewien, że je odeślą do domu?

- Tak - odpowiedział Schenk niepewnie, lekko się czerwieniąc - do domu czy do szpitala, nie wiem. Może do obozu koncentracyjnego.

- Czemu - zapytałem - zamiast tych biednych żydowskich dziewcząt nie przydzielicie do burdelu rosyjskich żołnierzy?

Schenk wybuchnął śmiechem, śmiał się i śmiał bez końca, klepał mnie ręką po ramieniu wykrzykując: „Ach, so! Ach, so!”. Ale ja byłem pewien, że wcale nie zrozumiał, co chciałem przez to powiedzieć; myślał z pewnością, że to aluzja do znanej historii pewnego domu w Balcy, gdzie Leibstandarte SS urządziło potajemny burdel dla homoseksualistów. Nie zrozumiał, co miałem na myśli, i śmiał się całą gębą, klepiąc mnie jowialnie po ramieniu.

- Gdyby na miejscu tych dziewcząt żydowskich byli rosyjscy żołnierze, byłoby jeszcze zabawniej, nicht wahr? - powiedziałem.

Tym razem Schenkowi wydało się, że zrozumiał, i zaczął rechotać jeszcze głośniej. A potem spytał, nagle poważniejąc:

- Pan sądzi, że Rosjanie to homoseksualiści?

- Przekonacie się o tym po skończonej wojnie.

- Ja, ja, natürlich, przekonamy się po skończonej wojnie! - powtórzył Schenk śmiejąc się jeszcze serdeczniej.

Pewnego wieczoru, na krótko przed północą, ruszyłem w stronę genueńskiego zamku. Zszedłem nad rzekę, zapuściłem się w uliczki tej nędznej dzielnicy, zapukałem do drzwi domu, wszedłem do środka, i w obszernym pokoju, oświetlonym wiszącą u sufitu naftową lampą, siedziały na ustawionych wzdłuż ścian kanapach trzy młode dziewczyny. Drewniane schody prowadziły z pokoju na piętro. Dolatywał stamtąd skrzyp drzwi, odgłos lekkich kroków, głosy kobiece jakies dalekie, jakby pogrzebane w ciemnościach.

Wszystkie trzy podniosły głowy i popatrzyły na mnie. Siedziały w spokojnych pozach na tych niskich kanapach, okrytych brzydkimi rumuńskimi dywanami z Cetatea Alba, w żółte, czerwone i zielone pasy. Jedna z nich czytała książkę, ale kiedy wszedłem, odłożyła ją na kolana, przyglądając mi się w milczeniu. Wydawało mi się, że patrzę na obraz Paszyna, którąś z jego scen z domu publicznego. Milczały nie spuszczać ze mnie wzroku; jedna machinalnie odgarniała palcami czarne kędzierzawe włosy, opadające jej na czoło jak u małej dziewczynki. W rogu pokoju, na stole przykrytym żółtym szalem, stało parę butelek piwa i cukry, i podwójny rząd kieliszków na wysokich nóżkach.

- Gute Nacht - przemówiła po dłuższej chwili ta, która odgarniała sobie loczki.

- Bună seara - odpowiedziałem po rumuńsku.

- Bună seara - odpowiedziała dziewczyna siląc się na żalosny uśmiech.

Nie myślałem już w tej chwili o tym, po co przyszedłem do tego domu, a przecież znalazłem się tam, w sekrecie przed Schenkiem, nie z samej ciekawości ani też przez litość, tylko po coś, przed czym teraz wzdragało się moje sumienie.

- Bardzo już późno - powiedziałem.

- Niedługo się zamyka - rzekła dziewczyna. Jedna z jej towarzyszek podniosła się leniwym ruchem i rzuciwszy mi obojętne spojrzenie podeszła do gramofonu stojącego na stoliku w kącie. Zakręciła korbką i przyłożyła igłę do brzegu płyty. Z gramofonu rozległ się kobiecy głos śpiewający melodię tanga. Szybko zbliżyłem się do gramofonu i zdjąłem igłę z płyty.



- Warum? - spytała dziewczyna, która już uniosła ramiona, żeby ze mną zatańczyć. Nie czekając na moją odpowiedź odwróciła się i usiadła z powrotem na kanapie. Była niewielkiego wzrostu, dość gruba. Na nogach miała pantofle z jasnozielonej tkaniny. Usiadłem także na kanapie. Dziewczyna zrobiła mi miejsce obok siebie, zgarniając sukienkę pod kolana i nie przestając wpatrywać się we mnie. Uśmiechała się i, sam nie wiem dlaczego, uśmiech ten mnie zirytował. W tej chwili usłyszałem skrzyp, otwieranych drzwi u szczytu schodów i głos kobiecy zawołał stamtąd: „Zuzanno!”.

Ze schodów schodziła chuda, blada dziewczyna z włosami rozpuszczonymi na ramiona. W rękę niosła zapaloną świecę, owiniętą od dołu żółtym papierem. Na nogach miała ranne pantofle, przez ramię przewieszony ręcznik, ręka przytrzymywała długi czerwony szlafrok, rodzaj płaszcza kąpielowego, przewiązany w pasie sznurem jak mnisi habit. W połowie schodów przystanęła, spojrzała na mnie uważnie, marszcząc czoło, jakby jej przeszkadzała moja obecność, i powiodła dokoła wzrokiem nie tyle zirytowanym, ile podejrzliwym, spojrzała na gramofon, którego płyta obracała się nadal w próżni, wydając cichy szmer, potem na nie tknięte kieliszki, porządnie stojące butelki; ziewnęła szeroko i powiedziała nieco ochryple, z jakąś twardą, niegrzeczną nutą w głosie:

- Idziemy spać, Zuzanno. Późno już.

Dziewczyna, którą nawo przybyła nazwała Zuzanną, zaczęła się śmiać patrząc na towarzyszkę z wyraźną drwiną. „Jesteś już zmęczona, Lublia? - powiedziała. - Cóż takiego robiła, że się już zmęczyłaś?”

Lublia nie odpowiedziała. Usiadła na kanapie naprzeciw nas i ziewając przyglądała się uważnie mojemu mundurowi. Po chwili spytała mnie nagle: „Nie jesteś Niemcem? To co ty jesteś?”

- Włoch.

- Włoch? - dziewczęta patrzyły teraz na mnie z życzliwym zaciekawieniem. Ta, która czytała, złożyła książkę i spojrzała na mnie roztargnionym, znużonym wzrokiem.

- Włochy to piękny kraj - powiedziała Zuzanna.

- Wolałbym, żeby był brzydki - odparłem. - Być tylko pięknym, to diabła warte.

- Chciałabym pojechać do Włoch - mówiła Zuzanna - do Wenecji. Lubiłabym żyć w Wenecji

- W Wenecji? - Lublia wybuchnęła śmiechem.

- A ty nie pojechałabyś do Włoch ze mną? - spytała Zuzanna. - Nigdy nie widziałam gondoli.

- Gdybym nie była zakochana - wykrzyknęła Lublia - pojechałabym, choćby zaraz!

Jej towarzyszki roześmiały się, jedna z nich rzekła: „My tu wszystkie jesteśmy zakochane.” Śmiały się wszystkie, patrząc na mnie jakimś dziwnym wzrokiem.

- Nous avons beaucoup d'amants<sup>37</sup> - odezwała się Zuzanna po francusku, charakterystycznym miękkim akcentem Żydów rumuńskich.

---

<sup>37</sup> Mamy wielu kochanków.

- Oni nie pozwoliliby nam odjechać do Włoch - mówiła Lublia zapalając papierosa. - Ils sont tellement jaloux!<sup>38</sup>

Miała podłużną, wąską twarz i małe, smutne usta o cienkich wargach, podobne do ust dziecka. Ale jej nos był kościsty, żółty jak wosk, z czerwonymi nozdrzami. Paliła, raz po raz podnosząc wzrok na sufit i wydmuchiwała dym w powietrze z wystudiowaną obojętnością. W jej spojrzeniu była ni to rezygnacja, ni to rozpacz.

Dziewczyna, która siedziała z książką na kolanach, wstała i przyciskając książkę obiema rękami do siebie, odezwała, się: „Noapte bună.”

- Noapte bună - odpowiedziałem.

- Noapte bună, domnule capitan - powtórzyła dziewczyna kłaniając mi się w nieśmiałym, trochę nieporadnym wdziękiem; odwróciła się i skierowała ku schodom.

- Chcesz świecę, Zoja? - spytała Lublia odprowadzając ją wzrokiem.

- Dziękuję, nie boję się ciemności - odpowiedziała nie odwracając się Zoja.

- Tu vas rêver de moi?<sup>39</sup> - zawołała za nią Zuzanna.

- Bien sûr! Je vais dormir a Venise<sup>40</sup> - odpowiedziała Zoja znikając na górze.

Przez chwilę milczeliśmy. Daleki warkot ciężarówki wprawiał szyby okien w lekkie drzenie.

- Czy pan lubi Niemców? - zapytała nagle po francusku Zuzanna.

- Czemuż by nie? - odpowiedziałem z odrobiną podejrzliwości, którą dziewczyna wyczuła w moim głosie.

- Są bardzo mili, nieprawdaż? - powiedziała.

- Niektórzy z nich są bardzo mili.

Zuzanna popatrzyła przeciągle i i rzekła z nieopisanym akcentem nienawiści:

- Są zwłaszcza mili w stosunku do kobiet.

-- Niech jej pan nie wierzy. - wtrąciła się Lublia. - W gruncie rzeczy ona ich lubi.

Zuzanna śmiała się patrząc na mnie jakimś dziwnym wzrokiem. Coś białego i miękkiego pojawiło się w głębi jej spojrzenia, jak gdyby jej oczy zaczynały ulegać rozkładowi.

- Może ma jakieś powody, żeby ich lubić - powiedziałem.

- Och, na pewno - rzekła Zuzanna. - To przecież moja miłość.

---

<sup>38</sup> Są tacy zazdrośni!

<sup>39</sup> Czy będziesz śniła o mnie

<sup>40</sup>Na pewno! Będę spała w Wenecji.

Spostrzegłem, że jej oczy są pełne łez. A jednocześnie uśmiechała się. Pogłaskałem delikatnie jej rękę, a wtedy Zuzanna zwiesiła głowę na piersi, pozwalając łzom swobodnie spływać po twarzy.

- Czemu płaczesz? - rzekła ochryple Lublia odrzucając papierosa. - Mamy jeszcze przed sobą dwa dni pięknego życia. Wydaje ci się to mało, dwa dni? Nie miałaś ich jeszcze dosyć? - Nagle podniosła w górę ramiona i potrząsnęła nimi nad głową, jakby wzywała pomocy, zaczęła krzyżeć głosem przepełnionym nienawiścią, odrazą, bólem, głosem śmiertelnej trwogi:

- Dwa dni, jeszcze dwa dni, a potem odeślą nas do domu. Tylko dwa dni, a ty płaczesz? Teraz właśnie płaczesz? Pójdziemy stąd precz, rozumiesz? Precz, precz!

Rzuciła się na kanapę kryjąc twarz w poduszkach, trzęsła się, zęby dzwoniły jej głośno, raz po raz powtarzała tym samym strwożonym głosem: „Dwa dni, tylko dwa dni!”. Pantofel zsunął jej się z nogi, upadł na deski podłogi, i ukazała się bosa stopa, czerwona, spierzchnięta, poznaczona białymi bliznami, mała jak stopa dziecka. Pomyślałem, że musiała wędrować piechotą wiele, wiele mil, ktoś wie, skąd przybyła, dokąd uciekała, zanim ją schwytano i przyprowadzono siłą do tego domu.

Zuzanna milczała z pochyloną głową, nie wysuwając ręki z moich rąk. Zdawało się, że nawet nie oddycha.. Nagle zapytała cicho, nie patrząc na mnie:

- Myśli pan, że nas odeślą do domu?

- Nie mogą was zmusić, żebyście tu zostały na zawsze.

- Co dwadzieścia dni zmieniają dziewczyny - powiedziała Zuzanna. - Jesteśmy tu już osiemnaście dni. Jeszcze dwa i przyślą nową zmianę. Już nas o tym uprzedzili Ale czy myśli pan, że naprawdę pozwolą nam wrócić do domu?

Czułem, że się czegoś boi, ale nie mogłem zrozumieć czego. Po chwili zaczęła mi opowiadać o sobie: że po francusku nauczyli się w szkole, w Kiszyniowie, że jej ojciec był kupcem w Balcy, że Lublia jest córką lekarza, a trzy spośród jej towarzyszek są studentkami; dodała jeszcze, że Lublia uczyła się muzyki, na fortepianie gra jak anioł, mogłaby zostać wielką artystką.

- Kiedy opuści ten dom - powiedziałem - będzie mogła podjąć swoje studia.

- Kto wie? Po tym wszystkim, cośmy przeszli... Zresztą, kto wie, co się z nami stanie.

Tymczasem Lublia uniosła się na łokciach, twarz miała skurczoną jak zaciśnięta pięść, oczy błyszczały niezwykle w tej woskowej masce. Dygotała jak w febrze.

- O, tak - powiedziała. - Na pewno zostanę wielką artystką. - Śmiała się, grzebiąc w kieszeniach szlafroka w poszukiwaniu papierosa. Wstała, podeszła do stolika, otworzyła butelkę piwa, napełniła trzy szklanki i przyniosła je na drewnianej tacy. Poruszała się lekko i bezszelestnie.

- Pić mi się chce - powiedziała pijąc chciwie, z zamkniętymi oczyma.

Panował duszny upał, przez uchylone okna wdierał się gęsty, ciężki oddech letniej nocy. Lublia chodziła po pokoju boso, z pustą szklanką w ręku, z oczyma nieruchomo wpatrzonymi przed siebie. Jej długie, chude ciało zdawało się kotłować wewnątrz obszernego dzwonu czerwonego szlafroka, bosa stopy wydawały w zetknięciu z podłogą miękki, przytłumiony odgłos. Trzecia dziewczyna, która przez

cały czas nie przemówiła ani słowa i nie dała żadnego znaku życia, jak gdyby patrząc na nas nie widziała w ogóle, co się dokoła niej dzieje, zasnęła tymczasem na kanapie. Leżała na wznak w swojej ubogiej, pocerowanej sukieneczynie, z jedną ręką złożoną na brzuchu, drugą zaciśniętą w pięść na piersiach.

Od czasu do czasu od strony ogrodów publicznych rozlegał się suchy trzask strzału. Na drugim brzegu Dniestru, nieco w górze rzeki, w stronie Jampola, słychać było huk dział, przygłuszony dusznym upałem, jak fałdami wełnianej tkaniny, Lublia przystanęła nad śpiącą towarzyszką i patrzyła na nią długo, w milczeniu. Potem zwróciła się do Zuzanny:

- Trzeba ją zanieść do łóżka, jest zmęczona.

- Pracowałyśmy cały dzień - powiedziała Zuzanna, jakby się usprawiedliwiając. - Jesteśmy śmiertelnie zmęczone. W ciągu dnia musimy obsługiwać żołnierzy, wieczorem, od ósmej do jedenastej, przychodzą oficerowie. Nie mamy ani minuty wytchnienia.

Mówiła obojętnie, jak o każdej innej pracy. Nie okazywała nawet wstrętu. Mówiąc wstała z kanapy i pomagała Lublii podnieść koleżankę. Tamta, zaledwie dotknęła nogami ziemi, zbudziła się i jęcząc jakby z bólu, bezsilnie oparta na podtrzymujących ją ramionach przyjaciółek, zaczęła wstępować na schody. Jęk jej ucichł razem z odgłosem kroków za zamkniętymi drzwiami na górze.

Zostałem sam. Naftowa lampa pod sufitem kopciła, wstałem więc, żeby zmniejszyć płomień. Światło nie przestało migać, po ścianach przemykał mój cień i cienie mebli, butelek i drobnych przedmiotów. Może byłoby lepiej, żebym wtedy odszedł. Siedziałem na kanapie i patrzyłem na drzwi. Czułem niejasno, że źle robię pozostając dłużej w tym domu. Lepiej byłoby odejść, zanim Lublia i Zuzanna wrócą.

- Bałam się, że już pana nie zastanę - odezwał się za moimi plecami głos Zuzanny. Zeszła bezszelestnie, poruszała się powoli, porządkowała butelki i szklanki. Potem usiadła koło mnie na kanapie. Przypudrowała twarz, wydawała się teraz jeszcze bledsza. Spytała, czy długo jeszcze zostanę w Soroce.

- Nie wiem, dwa albo trzy dni, nie dłużej - odpowiedziałem. - Muszę jechać na front pod Odessę. Ale wrócę niedługo.

- Myśli pan, że Niemcy zdobędą Odessę?

- Nic mnie nie obchodzi, co robią Niemcy - odparłem.

- Chciałabym móc powiedzieć to samo - rzekła.

- O, przykro mi, Zuzanno, nie chciałem... - powiedziałem zmieszany i dodałem po chwili kłopotliwego milczenia: - To wszystko, co robią Niemcy, na nic się nie zda. Czegóż więcej trzeba, żeby zwyciężyć w wojnie.

- A wie pan, kto wygra wojnę? Może pan myśli, że wygrają Niemcy albo Anglicy, albo Rosjanie? Wojnę my wygramy. Lublia, Zoja, Marica, ja i wszystkie takie jak my. Wojnę wygrają kurwy.

- Niech pani tak nie mówi?

- Wojnę wygrają kurwy! - powtórzyła Zuzanna prawie krzyżąc. Potem zaczęła się cicho śmiać, a po chwili zapytała drżącym głosem zatrwożonego dziecka: - Czy myśli pan, że nas odeślą do domu?

- Czemuż nie mieliby was odesłać do domu? - powiedziałem. - Czy może boi się pani, że was poślą do innego domu, takiego jak ten?

- O, nie, po dwudziestu dniach takiej pracy jesteśmy już do niczego. Widziałam je, te poprzednie.

Urwała, usta jej drżały. Tego dnia musiała „obsłużyć” czterdziestu trzech żołnierzy i sześciu oficerów. Mówiąc to roześmiała się. Nie była w stanie dłużej znosić takiego życia. Nie tyle z powodu odrazy, ile fizycznego zmęczenia. Nie, nie z powodu odrazy - powtórzyła z uśmiechem. Ten jej uśmiech zabołał mnie. Zdawałoby się, że chce się usprawiedliwić; a może było coś innego w tym dwuznacznym uśmiechu, coś mrocznego i ponurego. Powiedziała jeszcze, że tamte, które były przed nią, przed Lubią, Zoją i Maricą, opuszczając ten dom były w okropnym stanie. Nie wyglądały już jak kobiety, ale istne łachmany. Widziała je, jak wychodziły ze swoimi walizkami i zawiniątkami łaszków pod pachą. Dwóch SS-manów uzbrojonych w erkaem kazało im wejść na ciężarówkę i zawiozło nie wiadomo dokąd. „Chciałabym wrócić do domu - mówiła Zuzanna. - Wrócić do domu.”

Lampa znowu zaczęła kopcić, tłusty odór nafty wypełniał pokój. Łagodnie ścisnąłem w rękach dłoń Zuzanny, dłoń ta drżała jak przestraszony ptak. Za progiem domu dyszała noc, ciężko jak chora krowa. Jej gorący oddech wchodził do pokoju z szelestem liści i szumem rzeki

- Widziałam je, kiedy stąd wychodziły - powtórzyła Zuzanna z dreszczem. - Wyglądały jak upiory.

-Siedzieliśmy tak w półmroku pokoju, milcząc; przepętniał mnie gorzki smutek. Nie wierzyłem już w swoje własne słowa, były złe i fałszywe. Nawet nasze milczenie wydawało mi się złe i fałszywe.

- Do widzenia, Zuzanno - powiedziałem cicho.

- Nie chce pan pójść na górę? - zapytała.

- Późno już - odparłem idąc ku drzwiom. - Do widzenia, Zuzanno.

- Au revoir - rzekła z uśmiechem.

Ten jej żaloszny uśmiech towarzyszył mi za próg. Niebo pełne było gwiazd.

- Nic więcej nie słyszał pan o tych nieszczęśliwych dziewczętach? - zapytała po długiej chwili milczenia Luiza.

- Wiem, że je zabrano w dwa dni później. Co dwadzieścia dni Niemcy dostarczali nową zmianę. Te, które opuszczały burdel, pakowali na ciężarówkę i wieźli gdzieś w stronę rzeki. Schenk mówił mi przecież, że nie ma co tak ich znów żałować. Były już rzeczywiście do niczego. Istne szmaty. No, i były to zresztą Żydówki

- Czy wiedziały, że je rozstrzelają? - zapytała Ilse.

- Wiedziały. Bały się okropnie tego rozstrzelania. Och, wiedziały o tym. Wszyscy zresztą wiedzieli w Soroce.

Kiedy wyszliśmy, niebo było pełne gwiazd. Lśniły zimno i martwo, jak szklane oczy. Od strony dworca dolatywał ochrypty gwizd pociągów. Błady wiosenny księżyc wschodził na czyste niebo, drzewa i domy wydawały się zrobione z jakiegoś miękkiego materiału. W dole nad rzeką śpiewał w gałęziach drzewa ptak. Zeszliśmy opustoszałą ulicą aż na brzeg rzeki i usiedli na murku.

Woda szemrała cicho w ciemności, brzmiało to jak szelest bosych stóp na trawie. Po chwili odezwał się drugi ptak na drzewie rozjaśnionym już bladą poświatą księżyca. Zaczęły mu odpowiadać inne, z bliska i z oddali. Jakiś duży ptak przefrunął cichym lotem nad czubami drzew, zniżył się nad samą powierzchnię wody, powolnymi, niepewnymi ruchami minął rzekę i zniknął na drugim brzegu. Przypomniała mi się pewna letnia noc w rzymskim więzieniu Regina Coeli, kiedy to cała chmara ptaków usiadła na dachu więziennego budynku i zaczęła śpiewać. Przyleciały zapewne prosto z drzew wzgórza Gianicolo. „Mają może gniazda na dębie Tassa” - pomyślałem wtedy. Ta myśl, że gnieźdzą się wśród gałęzi dębu Tassa, wycisnęła mi łzy z oczu. Wstydzilem się, że płaczę, ale po tak długim zamknięciu w więzieniu nawet śpiew ptaka może być silniejszy od ludzkiej dumy, od ludzkiej samotności. „O, Luizo” - odezwałem się. I machinalnie ująłem dłoń Luizy i ścisnąłem ją łagodnie w obu rękach.

Luiza cofnęła dłoń patrząc na mnie bardziej ze zdumieniem niż z wyrzutem. Była zaskoczona tym nieoczekiwanym gestem, może było jej jednak przykro, że wzbronila mi tej bolesnej pieśczoży. A ja chciałem jej powiedzieć, że przypomniła mi się ręka Zuzanny, ufnie pozostawiona w moim uścisku, mała, spocona ręka Zuzanny w burdelu w Soroce. Przypomniała mi się też inna ręka - duża, chropowata, spękana od kwasów ręka rosyjskiej robotnicy, którą uścisnąłem kiedyś ukradkiem w wagonie kolei podziemnej w Berlinie. Wydawało ma się, że siedzę obok nieszczęśliwej żydowskiej dziewczyny, Zuzanny, na kanapie w burdelu w Soroce; i ogarnęła mnie niezmierna litość dla Luizy, Luizy Księżniczki Pruskiej, Jej Cesarskiej Wysokości Luizy von Hohenzollern. Ptaki śpiewały dokoła nas w bladym świetle księżyca. Obie dziewczyny milczały, wpatrzone w rzekę płynącą wzdłuż obmurowania, w matowe lśnienie tej wody w ciemności.

- J'ai pitié d'être femme - odezwała się cicho Luiza swoją poczdamską francuszczyzną.

## Część piąta

### Reny

#### XVI. Nadzy ludzie

Gubernator Laponii, Kaarlo Hillilä, uniósł w górę kieliszek i powiedział: „Malianne”. Siedzieliśmy przy obiedzie w pałacu gubernatorskim w Rovaniemi, stolicy Laponii, położonej na arktycznym kole biegunowym.

- Arktyczny krąg polarny przebiega akurat pod tym stołem, pomiędzy naszymi nogami - rzekł Kaarlo Hillilä. Hrabia Agustin de Foxá., minister pełnomocny Hiszpanii w Finlandii, schylił się i spojrzął pod

stół: wszyscy wybuchnęli śmiechem, a de Foxá mruknął cicho przez zęby: „Ces sacrés ivrognes!”<sup>41</sup> Wszyscy byli pijani, bladzi, czoła mieli mokre od potu, oczy błyszczące i nieruchome, typowe oczy fińskie, którym alkohol daje tęczowe refleksy masy perłowej. Przestrzegając de Foxę: „Agustin, pijesz za dużo.” A on odpowiadał: „Tak, masz rację, piję za dużo, ale to już ostatni kieliszek.” I kiedy Olavi Koskinen wznosił ku niemu kieliszek mówiąc: „Malianne”, de Foxá odpowiadał: „Dziękuję, nie piję.” Na to gubernator wlepił w niego nieruchome spojrzenie mówiąc: „Pan odmawia wypicia za nasze zdrowie?” Więc ja znów szeptałem de Foxie: „Na miłość boską, Agustin, bądź rozważny, musisz zawsze mówić «tak», na miłość boską, zawsze «tak».” I de Foxá mówił: „tak”, zawsze „tak”, raz po raz unosił kieliszek mówiąc: „Malianne”, robił się coraz bardziej czerwony, spocone czoło lśniło, oczy spoglądały niepewnie zza przymglonych szkieł okularów. W Bogu nadzieja - myślałem sobie patrząc na de Foxę.

Musiałoby być już blisko północy. Słońce, spowite w lekką zastłonę mgły, jaśniało na widnokręgu podobne do owiniętej w bibułkę pomarańczy. Widmowe światło Północy, z zimną gwałtownością wdzierające się przez otwarte okna, rzucało oślepiający refleks, niby reflektor w sali operacyjnej, na obszerny hall w ultranowoczesnym stylu fińskim - z niskim sufitem, malowanymi na biało ścianami i posadzką z różowego drzewa brzoźowego - gdzie od sześciu już godzin siedzieliśmy przy stole. Duże prostokątne okna, długie i wąskie, ukazywały rozległą dolinę Kemi i Ounas i daleki widnokrąg lasów Ounasvaara. Na ścianach wisiało kilka starych ryya, kilimów, które pasterze lapońscy i chłopcy fińscy tkają na prymitywnych domowych krosnach, oraz piękne sztychy dwóch szwedzkich artystów, Skjöldebranda i Aveelena, i Francuza wicehrabiego de Beaumont. Jeden z ryya był szczególnie cenny - widniały na nim drzewa, reny, łuki, strzały, utrzymany był w tonach różowo-szaro-zielono-czarnych; w drugim, również bardzo rzadkim, dominowały barwy biała, różowa, zielona i brunatna. Sztychy przedstawiały krajobrazy z Ostrobotni i Laponii, widoki Oulu, Kemi, Ounas, portu w Törne i cmentarza Tori w Rovaniemi. (W końcu osiemnastego wieku i początkach ubiegłego, kiedy Skjöldebrand, Aveelen i wicehrabia de Beaumont tworzyli te swoje piękne miedzioryty, Rovaniemi było dużą wsią zamieszkaną przez pionierów fińskich, pasterzy renów i lapońskich rybaków, zabudowaną chatami z pni drzew i otoczoną gwoździem bezpieczeństwa wysoką palisadą. Wieś skupiona była wokół Tori, cmentarza, i pięknego drewnianego, malowanego na szaro kościoła, zbudowanego przez Włocha nazwiskiem Bassi w owym specyficznym stylu neoklasycznym szwedzkiego pochodzenia, na który składają się elementy zapożyczone z Francji Ludwika XV i z Rosji carycy Katarzyny; ten sam styl przejawiają białe lakierowane meble w starych domach pionierów fińskich w północnej Ostrobotni i Laponii). Na ścianach pomiędzy jednym a drugim oknem i nad drzwiami wisiały panoplie skomponowane z antycznych puukko o ozdobnych ostrzach i rękojeściach z reniej skóry, pokrytej miękkim krótkim włosem. Wszyscy biesiadnicy nosili leż puukko u pasa.

Gubernator siedział u szczytu stołu na krześle okrytym skórą białego niedźwiedzia. Ja siedziałem, nie wiadomo dlaczego, po prawej ręce gubernatora, a minister pełnomocny Hiszpanii, hrabia Agustin de Foxá, po jego lewej ręce - też nie wiadomo dlaczego. De Foxá był wściekły. „To nie o mnie chodzi, rozumiesz - powiedział mi - chodzi o Hiszpanię.” - Titu Mihailescu, pijany, mówił do de Foxy: „A, tu chodzi o Hiszpanię, prawda? O twoje obie Hiszpanie?”

Staralem się go udobruchać:

- To nie moja wina - mówiłem.

---

<sup>41</sup> Te przeklęte pijusy!

- Ty przecież nie reprezentujesz Italii, prawda, a w takim razie dlaczego posadzono cię po prawej stronie? - złościł się de Foxá.

- On reprezentuje swoje Italie, nieprawdaż, Malaparte? Ty reprezentujesz twoje Italie - mówił z pijackim uporem Mihailescu.

- Ta gueule!<sup>42</sup> - warczał de Foxá. Co do mnie, to przepadam za rozmówkami pijaków, chętnie więc przysłuchiwałem się, jak Mihailescu i de Foxá dyskutują z hamowaną i ceremonialną wściekłością pijaków.

- Nie przejmuj się, gubernator jest mańkutem - mówił Mihailescu.

- Mylisz się, nie jest mańkutem, tylko ma zeza - odpowiadał de Foxá.

- Ach, jeżeli ma zeza, to rzecz inna, w takim razie powinienesz zaprotestować - mówił Mihailescu.

- Myślisz, że zezuje umyślnie, po to żeby mnie posadzić po lewej ręce? - pytał de Foxá.

- Jasne, że umyślnie - zapewniał Mihailescu. I hrabia Agustin de Foxá, minister pełnomocny Hiszpanii, zwrócił się do Kaarla Hillilä, gubernatora Laponii, ze słowami:

- Panie gubernatorze, siedzę po pańskiej lewej ręce, to nie jest moje miejsce.

Kaarlo Hillilä spojrział na niego zdumiony.

- Jak to? To nie jest pańskie miejsce

De Foxá skłonił się lekko.

- Czy nie sądzi pan, że powinienem raczej siedzieć na miejscu pana Malaparte?

Gubernator patrzył z coraz większym zdumieniem, potem obrócił się w moją stronę.

- Jak to? - rzekł. - Pan chce zmienić miejsce?

Wszyscy wpatrywali się we mnie w osłupieniu.

-Ależ nic podobnego, siedzę na swoim miejscu - odpowiedziałem.

- Widzi pan? - rzekł gubernator zwracając się z tryumfującą miną do ministra pełnomocnego Hiszpanii

- on siedzi na swoim miejscu.

Wówczas wtrącił się Titu Mihailescu.

- Ależ, mon cher Agustin, czy nie widzisz, że pan gubernator ma obie ręce prawe?

De Foxá zaczerwienił się, przetarł serwetką okulary i powiedział bardzo zmieszany:

- Tak, masz rację, nie zauważyłem tego.

Popatrzyłem na Agustina surowo:

---

<sup>42</sup> Zamknij gębę!



- Za dużo wypiteś - powiedziałem

- Hélas! - rzekł głęboko wzdychając.

Siedzieliśmy przy stole już od sześciu godzin i po krapuia, czerwonych rakach z Kemi, po szwedzkich zakąskach, po kawiorze, siika i wędzonym renim ozorze, po zupie z kapusty na wieprzowym boczku, po wspaniałych łososiach z Ounas o różowym odcieniu dziewczęcych warg, po pieczystym z rena i niedźwiedziej łąpach z rusztu, po sałatce z ogórków na słodko, na przymglonym horyzoncie stołu, pośród pustych butelek po wódce, winie mozelskim i Château Lafitte, pojawił się nareszcie w aureoli zorzy porannej koniak. Siedzieliśmy wszyscy nieruchomo, pogrążeni w głębokim milczeniu charakterystycznym dla fińskich obiadów w porze koniaku, tępo wpatrzeni w siebie wzajem i przerywając rytualną ciszę tylko po to, żeby powiedzieć: „Malianne”.

Choć skończyliśmy już jeść, szczęki gubernatora Kaarlo Hillilä wydawały jednostajny, głuchy, groźnie brzmiący odgłos. Kaarlo Hillilä był mężczyzną zaledwie po trzydziestce, niskiego wzrostu, o bardzo krótkiej szyi, głęboko wciśniętej w ramiona. Przyglądałem się jego grubym palcom, atletycznym barkom, krótkim muskularnym ramionom. Oczka miał małe, skośnie wykrojone pod wąskim czołem i nakryte ciężkimi czerwonymi powiekami. Włosy ciemnoblonde, kędzierzawe, krótko ostrzyżone. Wargi nabrzmiały i spękane, prawie sine. Mówiąc pochylał nisko głowę, podbródkiem dotykał piersi, raz po raz zaciskał usta, patrzył spode łba.

W spojrzeniu jego przebijała chytryść dzikusa, gwałtowność, jakiś błysk złości i okrucieństwa.

- Himmler to geniusz - oświadczył nagle gubernator waląc pięścią w stół. Tegoż ranka miał czterogodzinną rozmowę z Himmlerem i był z tego niezmiernie dumny.

- Heil Himmler! - rzekł de Foxá wznosząc kieliszek.

- Heil Himmler! - powtórzył Kaarlo Hillilä i patrząc na mnie i surowym wyrzutem dodał: - I pan chciałby, żebyśmy uwierzyli, że pan go spotkał i mówił z nim, a nie poznał go?

- Zapewniam pana: nie miałem pojęcia, że to Himmler.

Parę dni przedtem, w hallu hotelu Pohjanhovi, koło windy, zobaczyłem grupkę niemieckich oficerów. W otwartych drzwiach windy stał mężczyzna średniego wzrostu, w hitlerowskim mundurze, podobny do Strawińskiego. Dostrzegłem twarz mongolską, o wydatnych kościach policzkowych, i krótkowzroczne oczy podobne do oczu ryby, bielejące za grubymi szklami okularów jak za szybą akwarium. Była to dziwna twarz o wyrazie oderwanym i okrutnym zarazem. Mówił coś głośno i śmiał się. Nagle zamknął zasuwane drzwi windy i już miał nacisnąć guzik, kiedy ja nadbiegłem, odepchnąłem oficerów, otworzyłem drzwi, zanim zdążyli mi przeszkodzić, i wpadłem do środka. Człowiek w hitlerowskim mundurze zrobił ruch, jakby chciał mnie odepchnąć. Ale ja odepchnąłem z kolei jego rękę, zasunąłem drzwi i nacisnąłem guziczek. Tak to znalazłem się w żelaznej klatce twarzą w twarz z Himmlerem. Patrzył na mnie zaskoczony, może poirytowany. Zbladł, wydawał się niespokojny. Cofnął się w kąt windy i wyciągnął przed siebie obie ręce, jakby w obronie przed jakimś niespodzianym atakiem. Wpatrywał się we mnie swoimi rybimi oczyma, sapiąc lekko. Ja też patrzyłem na niego zaskoczony. Przez szyby windy widać było oficerów i kilku gestapowców, jak pędem bieżą po schodach na górę, potrącając się w pośpiechu na zakrętach. Zwróciłem się do Himmlera z uśmiechem, przepraszając, że nacisnąłem guzik nie spytawszy go najpierw, na którym

piętrze chce wysiąść. „Na trzecim” - rzekł również z uśmiechem i, jak mi się zdawało, poniekąd uspokojony.

- Ja także na trzecim - powiedziałem. Winda zatrzymała się na trzecim piętrze, otworzyłem drzwi i usunąłem się na bok, żeby przepuścić Himmlera, ale on skłonił się i uprzejmym gestem wskazał mi drzwi. Wyszedłem więc pierwszy pod osłupiałymi spojrzeniami oficerów i gestapowców. Zaledwie zdążyłem wsunąć się pod kołdrę, kiedy do moich drzwi zapukał SS-man i oznajmił, że Himmler zaprasza mnie do swojego apartamentu na szklaneczkę ponczu. „Himmler? Perkele!” - powiedziałem sobie w duchu. Perkele to fińskie słowo, którego się nie wymawia i które znaczy: diabeł. Himmler? Czegóż mógł chcieć ode mnie? Gdzie i kiedy mogłem się z nim zetknąć? Nawet przez myśl mi nie przeszło, że to ten człowiek z windy. Himmler? Strasznie mi się nie chciało wstawać, a zresztą to było zaproszenie, a nie rozkaz. Kazałem więc odpowiedzieć Himmlerowi, że dziękuję za zaproszenie i proszę, by nie miał mi tego za złe, ale jestem śmiertelnie zmęczony i leżę już w łóżku. Po chwili zapukano znowu. Tym razem był to agent gestapo: przyniósł mi butelkę koniaku w prezencie od Himmlera. Postawiłem na stoliku dwa kieliszki, nalałem i poczęstowałem gestapowca.

- Prosit - rzekłem podnosząc (kieliszek).

- Heil Hitler! - odpowiedział gestapowiec.

- Ein Liter - ja na to. Korytarz strzeżony był przez agentów gestapo, cały hotel otoczony SS-manami uzbrojonymi w erkaemy. „Prosit” - powiedziałem. „Heil Hitler!” „Ein Liter.” Następnego ranka dyrektor hotelu poprosił mnie grzecznie, żebym zwolnił mój pokój. Przeniósł mnie na pierwsze piętro, do dwuosobowego pokoju w głębi korytarza. Drugie łóżko zajęte było przez agenta gestapo.

- Umyślnie udałeś, że go nie poznajesz - odezwał się mój przyjaciel Jaakko Leppo patrząc na ramie wrogo.

- Nigdy go przedtem nie widziałem, jakże miałem go poznać? -- odparłem.

- Himmler jest niepospolitym człowiekiem, niezwykle interesującym - mówił dalej Jaakko Leppo. - Powinieneś być przyjął jego zaproszenie.

- Jest to osobnik, z którym nie chcę mieć nic do czynienia - powiedziałem stanowczo.

- Nie ma pan racji - rzekł gubernator. - Ja także, zanim go poznałem, wyobrażałem sobie, że Himmler to jakiś straszny człowiek, z pistoletem w prawej ręce i szpicrutą w lewej. Ale kiedy przegadałem z nim cztery godziny, doszedłem do przekonania, że Himmler jest człowiekiem wyjątkowej kultury, artysta, prawdziwym artystą; to szlachetna dusza, dostępna wszelkim ludzkim uczuciom Powiem więcej: to uczuciowiec.

Tak właśnie wyraził się gubernator: uczuciowiec. I dodał, że teraz, kiedy poznał Himmlera z bliska i dostąpił zaszczytu czterogodzinnej z nim rozmowy, gdyby miał go malować, ukazałby tego człowieka z Ewangelią w jednej ręce i modlitewnikiem w drugiej. Tak właśnie powiedział gubernator: „z Ewangelią z prawej ręce i modlitewnikiem w lewej”. I przypiecztował te słowa uderzeniem pięścią w stół.

De Foxá, Mihailescu i ja nie zdołaliśmy powściągnąć dyskretnego uśmiechu. De Foxá zwracając się do mnie zapytał:

- Kiedy go spotkałeś w windzie, co miał w rękach: pistolet i szpicrutę czy Ewangelię i modlitewnik?
- Nic nie miał w rękach.
- W takim razie to nie był Himmler, to ktoś inny - rzekł de Foxá z powagą.
- Ewangelia i modlitewnik, otóż to - powtórzył gubernator i znowu walnął pięścią w stół.
- Umyślnie udałeś, że go nie poznajesz - mówił mój przyjaciel Jaakko Leppo. - Wiedziałeś doskonale, że to Himmler.
- Naraził się pan na wielkie niebezpieczeństwo - rzekł gubernator. - Ktoś z obecnych mógł pomyśleć, że chodzi o zamach, i strzelić do pana.
- Będziesz miał na pewno jakieś przykrości - dodał Jaakko Leppo.
- Malianne - de Foxá uniósł w górę kieliszek.
- Malianne - zabrzmiało chórem w odpowiedzi.

Biesiadnicy siedzieli sztywno wyprostowani, plecami przywarci do oparcia krzesel, lekko tylko chwiejąc głowami, jakby kołysał je wiatr. Pokój wypełniony był silnym zapachem koniaku. Jaakko Leppo wpatrywał się w de Foxę, Mihailescu i we mnie z płomykiem wrogości w chmurnych oczach. „Malianne”, - mówił co chwila gubernator Kaarlo Hillilä unosząc kieliszek. „Malianne” - powtarzała chórem reszta. Przez wysokie szyby okien patrzyłem na smutny, pusty, beznadziejny krajobraz dolin Kemi i Ounas, na dziwnie przejrzyste i głębokie perspektywy lasów, wód i nieba. Bezczesny horyzont, biały w polarnym świetle, ostrym i czystym, rozciągał się daleko poza falującymi tunturit, lesistymi wzgórzami, które w swych miękkich fałdach kryją bagna, jeziora i wielkie rzeki arktyczne. Patrzyłem na puste niebo, smutną otchłań światła wiszącą nad zimnymi błyskami liści i wód. Cały tajemny sens tego widmowego pejzażu krył się w niebie, w barwie nieba nad mroźną pustynią paloną przedziwnie białym, zimnym światłem o martwym gipsowym połysku. Pod tym niebem, na którym blada tarcza nocnego słońca wyglądała jak namalowana na gładkim białym murze, drzewa, kamienie, rośliny i wody zdawały się ociekać jakąś dziwną, miękką i lepłą substancją - gipsowym, widmowym, oślepiającym światłem Północy. Twarz ludzka w tym martwym, czystym świetle podobna jest do gipsowej maski, ślepej i niemej. Twarz bez oczu, bez warg, bez nosa, jednolita, gładka maska gipsowa, niby te głowy-jajka, jakimi obdarzał swoje postacie Chirico.

W twarzach biesiadników, chłostanych z zimną zawziętością przez białe światło wdzierające się przez okno, jedyna odrobina cienia, zaledwie kropelka błękitu zachowała się pod osłoną powieki, w zagłębieniu pomiędzy powieką a łukiem brwiowym. Światło polarne spala każdy najmniejszy znak życia z wyjątkiem oczu, każdy najbliższy ślad ludzkości. Nadaje człowiekowi wygląd śmierci. Spojrzałem na gubernatora i powiedziałem z uśmiechem, że i jego twarz także, podobnie jak twarze wszystkich obecnych, przypomina mi twarze żołnierzy śpiących na cmentarzu Tori tej nocy, kiedy przybyłem do Rovaniemi. Spali na ziemi, na warstwie słomy. Mieli gipsowe twarze, bez oczu, bez ust, bez nosa, gładkie i wydłużone w kształt jaja. Zamknięte oczy śpiących stanowiły jedyne wrażliwe miejsce, na którym białe światło kładło się lekko, nieśmiało, tworząc małe ciepłe gniazdko, jedyną kropelkę cienia. Zaledwie kropelkę błękitu, jedyną rzecz żywą w tych twarzach.

- Twarz w kształcie jajka? Ja także mam twarz w kształcie jajka? - powiedział gubernator zdziwiony i zaniepokojony, dotykając palcami swoich oczu, nosa i ust.

- Tak - powtórzyłem - właśnie jak jajko.

Wszyscy patrzeli na mnie ze zdziwieniem i niepokojem, wszyscy odruchowo dotykali swoich twarzy. Opowiedziałem im pewne wspomnienie z Sodankylä. Po drodze do Petsamo wypadło mi kiedyś zatrzymać się w Sodankylä, noc była pogodna, niebo białe, drzewa, domy, wzgórza - wszystko wyglądało jak z gipsu. Nocne słońce podobne było do ślepego bezrzęsego oka.

W pewnej chwili zobaczyłem nadjeżdżający drogą do Ivalo ambulans. Zatrzymał się przed hotelikiem naprzeciw poczty, gdzie urządzony był mały szpital. Kilku biało ubranych sanitariuszy (ach, ta oślepiająca biel lnianych fartuchów!) zaczęło wysuwać z ambulansu nosze i ustawiać je rzędem na trawie. Trawa była biała, ale jakby przesłonięta niebieskawym welonem. Na noszach leżały ociężałe nieruchome, zimne figury gipsowe o głowach owalnych i gładkich, bez oczu, nosów, ust. Twarze ich miały kształt jajek.

- Figury? - rzekł gubernator. - Powiedział pan figury, gipsowe figury? I przywieźli je do szpitala ambulansem?

- Figury - powtórzyłem. - Gipsowe posągi. Aż tu nagle szara chmura wypełzła na niebo i z tego nieoczekiwanego cienia wyłoniły się dokoła mnie, ukazując swoje prawdziwe kształty, istoty i przedmioty, do tej chwili wtopione w ów nieruchomy biały blask. Gipsowe posągi na noszach w cieniu padającym od chmury zmieniły się nagle w ludzkie ciała, gipsowe maski w żywe ludzkie twarze. To byli ludzie, ranni żołnierze. Wodzili za mną wzrokiem zdumionym i niepewnym, bo i ja także zmieniłem się w ich oczach niespodziewanie z gipsowego posągu w człowieka, żywego człowieka z ciała i cienia.

- Malianne - rzekł z powagą gubernator nie spuszczać ze mnie zdumionego i wciąż niepewnego wzroku.

- Malianne - powtórzyli wszyscy chórem unosząc kieliszki nalane koniakiem po brzegi.

- Ale co robi Jaakko? Czy on oszalał? - odezwał się naraz de Foxá chwytając mnie za ramię.

Jaakko Leppo siedzi na krześle, na pozór nieruchomo, z głową lekko pochyloną ku przodowi. Mówi coś cicho, nie gestykulując, z niewzruszoną twarzą, z ciemnym płomieniem w oczach. Powoli, ostrożnie zsuwa prawą rękę wzdłuż boku, wysuwa z pochwy zawieszanej u pasa puukko o rękojeści z kości reniferowej. A potem nagle wznosi swe krótkie, grube ramię uzbrojone w sztylet, wpatrując się nieruchomym wzrokiem w Titu Mihailescu. Za jego przykładem wszyscy dobywają swych puukko.

- Nie, nie tak się robi - mówi gubernator. On także wyciąga puukko z pochwy i wykonuje gest myśliwego polującego na niedźwiedzie.

- Rozumiem, prosto w serce - mówi Titu Mihailescu, lekko poblady.

- O, tak: prosto w serce - powtarza gubernator robiąc taki gest jakby uderzał puginałem z góry ku dołowi.

- I niedźwiedź pada - kończy Mihailescu.

- Nie, nie pada od razu - prostuje Jaakko Leppo. - Robi parę kroków naprzód, potem chwieje się i wreszcie pada. To piękny moment.

- Oni wszyscy są w sztok pijani - mówi cicho de Foxá ściskając moje ramię. - Zaczynam się bać.

- Nie okazuj, że się boisz, na miłość boską - szepczę mu. - Jeżeli zauważą, że się boisz, gotowi się obrazić. Oni nie są źli; ale kiedy sobie podpiją, robią się nieobliczalni jak dzieci.

- Nie są źli, ja wiem - mówi de Foxá - wiem, są jak dzieci. Ale ja boję się dzieci.

- Jeżeli chcesz pokazać, że się nie boisz, musisz powiedzieć głośno „Malianne” i wychylić kieliszek jednym haustem, patrząc im w oczy.

- Nie mogę już więcej - mówi - Jeszcze jeden kieliszek, a koniec ze mną.

- Na miły Bóg - zaklinam go - nie upij się. Hiszpan pijany staje się niebezpieczny.

- Señor ministro - mówi po hiszpańsku jeden z fińskich oficerów, major von Hartmann, zwracając się do de Foxy - w Hiszpanii podczas wojny domowej zabawiłem się uczeniem moich kolegów z korpusu cudzoziemskiego, jak się gra w puukko. To bardzo zabawna gra. Czy chce pan, żebym i pana jej nauczył, señor ministro?

- Nie wadzę konieczności - bąka podejrzliwie de Foxá.

Major von Hartmann, który ukończył szkołę kawalerii w Pinerolo i walczył w Hiszpanii jako ochotnik w armii Franco, jest człowiekiem nader uprzejmym, ale także apodyktycznym: lubi spotykać się z ochoczym posłuszeństwem.

- Pan nie chce się nauczyć? I dlaczegoż to? Jest to gra, której pan powinien się nauczyć, señor ministro. Proszę popatrzeć: lewą dłoń kładzie; się na stole rozsuwając szeroko palce, puukko ujmuje się prawą ręką i jednym zdecydowanym ruchem wbija się ostrze w stół, pomiędzy palcami.

To mówiąc podnosi puukko i mierzy pomiędzy palce rozpostartej dłoni. Ostrze puginału wbija się w stół pomiędzy palcem wskazującym a środkowym.

- Widzi pan, jak to się robi? - mówi von Hartmann.

- Válgame Dios! Niech Bóg zachowa! - wykrzykuje de Foxá blednąc.

- Zechce pan spróbować, señor ministro - i von Hartmann podaje puukko de Foxy.

- Spróbowałbym chętnie - mówi de Foxá - ale nie mogę rozpostrzeć palców. Mam palce zrośnięte, jak kaczką.

- Dziwne! - powiada von Hartmann niedowierzająco. - Niech pan pokaże.

- Nie warto - i de Foxá chowa ręce za plecy. - Nieciekawy defekt, defekt wrodzony: nie mogę rozewrzeć palców.

- Niech pan pokaże - nalega von Hartmann.

Wszyscy pochylają się nad stołem, żeby obejrzyć palce ministra pełnomocnego Hiszpanii, zrośnięte jak łapa kaczki. Ale on chowa ręce pod stół, wciska do kieszeni, to znów zakłada ściśnięte pięści za plecy.

- A więc pan jest płetwonogiem? - mówi gubernator ujmując mocno w garść puukko. - Proszę pokazać ręce, panie ministrze.

Wszyscy chwytają za broń przechylając się nad stołem.

- Płetwonogiem? - mówi de Foxá. - Nie jestem żadnym płetwonogiem. Wcale a wcale. Mam tylko trochę skóry między palcami.

- Więc trzeba przeciąć tę skórę - mówi stanowczo gubernator wznosząc swój długi puukko - to nie jest normalne, żeby mieć gęsie łapki.

- Gęsie łapki? - podchwytuje von Hartmann. - Pan ma już gęsie łapki, w pańskim wieku, señor ministro? Proszę mi pokazać swoje oczy.

- Oczy? - dziwi się gubernator. - Dlaczego znów oczy?

- Pan także ma gęsie łapki. Niech pan pokaże oczy - nalega de Foxá.

- Oczy? - powtarza niepewnie gubernator.

Teraz wszyscy wyciągają szyje nad stołem chcąc się przyjrzeć z bliska zmarszczkomokoła oczu gubernatora.

- Malianne - mówi gubernator wznosząc w górę kieliszek.

- Malianne - powtarzają wszyscy chórem.

- Pan nie chce z nami wypić, panie ministrze? - pyta gubernator tonem wyrzutu.

- Panie gubernatorze, panowie - mówi z powagą minister pełnomocny Hiszpanii wstając - nie mogę więcej pić. Będę chory.

- Pan jest chory? - pyta Kaarlo Hillilä. - Pan jest naprawdę chory? Niech pan pije. Malianne.

- Malianne - odpowiada de Foxá nie podnosząc kieliszka.

- Niechże pan pije - nalega gubernator - kiedy człowiek jest chory, musi pić.

- Na miłość boską, Agustin, wypij - mówię cicho. - Jeżeli zrozumie ją, że nie jesteś pijany, źle będzie z tobą. Jeżeli nie chcesz dać im poznać, że nie jesteś pijany, Agustin, musisz wypić.

Kiedy się jest w towarzystwie Finów, pić trzeba: kto z nimi nie pije, kto się z nimi nie urżnie, kto pozostanie w tyle choćby o dwa czy trzy „Malianne”, o dwa czy trzy kieliszki, staje się osobnikiem podejrzanym i wszyscy patrzą na niego nieufnie: „Na miłość boską, Agustin, nie daj im się spostrzec, że nie jesteś pijany!”

- Malianne - mówi de Foxá z westchnieniem opadając na krzesło i wznosi kieliszek.

- Niechże pan pije, panie ministrze - mówi gubernator.

- Válgame Dios! - wykrzykuje de Foxá, zamyka oczy i jednym haustem opróżnia pełniutki kieliszek koniaku.

Gubernator napełnia ponownie kieliszki: - Malianne.

- Malianne - powtarza de Foxá podnosząc kieliszek.

- Na miły Bóg, Agustin, nie upij się - mówię cicho do de Foxy. - Pijany Hiszpan to straszna rzecz. Pomyśl, że jesteś ministrem pełnomocnym Hiszpanii.

- Je m'en fous - odpowiada de Foxá. - Malianne!

- Hiszpanie - mówi von Hartmann - nie umiejmy pić. Podczas oblężenia Madrytu staliśmy naprzeciw Miasta Uniwersyteckiego...

- Co takiego? - przerywa mu de Foxá. - My, Hiszpanie, nie umiemy pić

- Na miły Bóg, Agustin, pamiętaj, że jesteś ministrem pełnomocnym Hiszpanii.

- Suomelle - mówi de Foxá wznosząc kieliszek. Suomelle znaczy: za pomyślność Finlandii.

- Arriba España! - rewanżuje się von Hartmann.

- Na miły Bóg, Agustin, nie upij się!

-- Ta gueule! Suomelle! - odpowiada de Foxá.

- Niech żyje Ameryka! - mówi gubernator.

- Niech żyje Ameryka! - powtarza de Foxá.

- Niech żyje Ameryka! - wołają wszyscy chórem wznosząc kieliszki.

- Niech żyją Niemcy, niech żyje Hitler! - mówi gubernator.

- Ta gueule! - odpowiada de Foxá.

- Niech żyje Mussolini!

- Ta gueule - odpowiadam z uśmiechem wznosząc kieliszek.

- Ta gueule - powtarza gubernator.

- Ta gueule - rozbrzmiewa chór.

- Ameryka - mówi uroczyście gubernator - jest wielką przyjaciółką Finlandii. W Stanach Zjednoczonych są setki tysięcy fińskich emigrantów. Ameryka jest naszą drugą ojczyzną.

- Ameryka - dodaje de Foxá - jest rajem Finów. Kiedy Europejczyk umiera, ma nadzieję, że pójdzie do nieba. Fin umierając myśli, że jedzie do Ameryki.

- Kiedy ja umrę oświadcza gubernator - nie pójdę do Ameryki. Zostanę w Finlandii.
- Oczywiście - mówi Jaakko Leppo wpatrując się ponuro w de Foxę - żywi czy umarli, chcemy pozostać w Finlandii, kiedy pomrzemy.
- Oczywiście - powtarzają wszyscy chórem, patrząc wrogo na de Foxę - chcemy pozostać w Finlandii, kiedy pomrzemy.
- Mam ochotę na kawior - mówi naraz de Foxá.
- Pan sobie życzy kawioru? - pyta gubernator.
- Bardzo lubię kawior - wyjaśnia de Foxá.
- Dużo jest kawioru w Hiszpanii? - pyta prefekt Rovaniemi, Olavi Koskinen.
- Dawniej był kawior, rosyjski - mówi de Foxá.
- Kawior rosyjski? - gubernator marszczy czoło.
- Rosyjski kawior jest doskonały - wyjaśnia de Foxá.
- Rosyjski kawior jest okropny - oświadcza gubernator.
- Pułkownik Merikallio - mówi de Foxá - opowiadał mi kiedyś bardzo zabawną anegdotkę o rosyjskim kawiorze.
- Pułkownik Merikallio nie żyje - zauważył Jaakko Leppo.
- Byliśmy nad Ładogą - opowiada de Foxá - w lesie Raikkola. Fińscy sissit znaleźli w rosyjskim okopie puszkę czegoś, co wyglądało jak ciemnoszary smar. Pewnego dnia pułkownik Merikallio wchodzi do korsu w pierwszej linii i widzi, jak kilku sissit smaruje buty tłuszczem. Pułkownik pociąga nosem i powiada: „Co za dziwny zapach!” Był to zapach ryby. „To ten smar do butów tak czuć rybą” - mówi jeden sissit i pokazuje pułkownikowi blaszaną puszkę. Była to puszka po kawiorze.
- Rosyjski kawior nie nadaje się nawet do smarowania butów - mówi gubernator z pogardą. W tej chwili lokaj otwiera na roścież drzwi oznajmiając: „Pan generał Dietl!”.
- Panie ministrze! - mówi gubernator do de Foxy podnosząc się z krzesła.-Niemiecki generał Dietl, bohater z Narviku, głównodowodzący frontu północnego, uczynił mi ten zaszczyt i przyjął moje zaproszenie. Jestem szczęśliwy i dumny, panie ministrze, że spotka pan generała Dietla w moim domu.

Na zewnątrz rozlegał się jakiś niezwykły hałas: chór ujadania, miauczenia i chrumkania, jak gdyby gromada psów, kotów i dzikich świń pożarła się między sobą w sieni gubernatorskiego pałacu. Popatrzeliliśmy wszyscy po sobie zdumieni. Ale już rozwarły się drzwi i w progu ukazał się generał Dietl na czworakach, a za nim, jeden za drugim, na czworakach, jego oficerowie. Przedziwny korowód wtargnął ze szczekaniem, miauczeniem i chrumkaniem na środek sali i tam dopiero generał Dietl podniósł się, stanął sztywno na baczność z dłonią u daszka czapki, po czym rozpostarł ramiona



i huknął stentorowym głosem tradycyjne fińskie pozdrowienie, jakim wedle zwyczaju odpowiada się komuś, kto kichnął: „Nuha!”.

Przypatrywałem się stojącemu przed nami mężczyźnie, którego niezwykła powierzchowność zafrapowała mnie: wysoki, chudy, a właściwie - bardziej suchy niż chudy, wyglądał jak kłoc drewniany, prymitywnie ociosany przez starego bawarskiego cieślę. Twarz miał gotycką, podobną do twarzy posągów rzeźbionych w drzewie przez dawnych mistrzów niemieckich. Oczy błyszczące, dzikie i dziecięce zarazem, nozdrza zdumiewająco kosmate, czoło i policzki poznaczone mnóstwem cieniutkich zmarszczek: zupełnie jak spękane stare drzewo. Włosy ciemne i gładkie, krótko przystrzyżone, tworzyły nad czołem grzywkę jak u paziów na freskach Masaccia, nadając twarzy coś z mnicha i coś z efeba zarazem; a sposób, w jaki ten człowiek się śmiał, dziwnie wykrzywając usta, jeszcze bardziej podkreślał to coś dwuznacznego. Ruchy jego - nagłe, niespokojne, gorączkowe - wskazywały na coś chorobliwego w jego naturze; na coś dokoła niego i w nim samym, co od siebie odpychał, czując się tym w jakiś sposób zagrożony. Prawą rękę miał niewładną; i nawet niezdarne ruchy tej ręki wydawały się także przejawem tajemnego lęku przed czymś, co mu zagraża. Był to człowiek młody jeszcze, najwyżej pięćdziesięcioletni. Ale i on także, podobnie jak jego młodzi Alpenjäger z Tyrolu i Bawarii, zabłąkani w dzikich lasach Laponii, wśród moczarów i tundry arktycznej, wzdłuż całego ogromnego frontu, który od Petsamo i Przylądka Rybackiego ciągnie się wzdłuż biegu Lizy aż po Alacurti i Salla, i on także przejawiał w żółtozielonkawej barwie twarzy, w upokorzonym, żalonym spojrzeniu, oznaki powolnego rozkładu, który na kształt trądu toczy istoty ludzkie na Dalekiej Północy; oznaki przedwczesnej starości, która sprawia, że wypadają włosy i próchnieją zęby, która żłobi głębokie bruzdy na twarzy i spowija żywe jeszcze ciało w zielonkawożółty całun zgnilizny.

Nagle spojrzał na mnie. Był to wzrok ujarzmionego, zrezygnowanego zwierzęcia, dostrzegłem w nim jakąś pokorną beznadziejność, która mną wstrząsnęła. Zwierzęce i tajemnicze było spojrzenie, jakim patrzeli na mnie ci niemieccy żołnierze, ci młodzi Alpenjäger generała Dietla, bezzębni, łysi, pomarszczeni, o zbielejących nosach zaostrzonych jak u nieboszczyków, snujący się żałośnie w głębi lapońskich lasów.

- Nuha! - wykrzyknął Dietl. A potem dodał: - Gdzie Elsa?

I Elsa weszła. Drobna, szczupła, wdzięczna, ubrana jak laleczka, wydawała się krucha i delikatna jak dziecko (Elsa Hillilä, córka gubernatora, ma już osiemnaście lat, ale wygląda jak mała dziewczynka), weszła przez drzwi w głębi olbrzymiej sali niosąc w obu rękach ogromną srebrną tacę, na której ustawione były w rzędach pucharki ponczu. Szła ostrożnie, zgrabnie stawiając małe nóżki na różowawej brzozonej posadzce. Zbliżyła się i uśmiechem do generała Dietla i z wdzięcznym dygiem powiedziała:

- Hyvää päivää, dzień dobry.

- Hyvää päivää - odpowiada z ukłonem Dietl. Bierze pucharek ponczu ze srebrnej tacy i woła: Nuha! - Oficerowie z jego świty biorą kolejno poncz z tacy, wznoszą pucharki w górę i wołają także: „Nuha!”. Dietl odchyliwszy głowę do tyłu wypija duszkiem, a jego oficerowie naśladują go zgodnym, jednoczesnym ruchem. Tłusty i słodki zwierzęcy zapach ponczu napełnia salę. Jest to ta sama woń, jaką wydaje ren zmoknięty na deszczu, woń reniego mleka. Przymykam oczy, wydaje mi się, że jestem znowu w lasach Inari, nad jeziorem, przy ujściu Juutuanjoki. Pada, niebo jest jak twarz trupa. Deszcz cicho szeleści w liściach drzew i na trawie. Stara Laponka, siedząca na brzegu jeziora z fajką w zębach,

przygląda mi się obojętnie, nawet okiem nie mrugnie. Stado renów pasie się w lesie, zwierzęta podnoszą głowy, patrzą na mnie. Zapach reniego mleka rozchodzi się w nasiąkniętym deszczem powietrzu. Grupa niemieckich żołnierzy w siatkowych maskach na twarzy dla obrony przed komarami, w grubych rękawicach z reniej skóry, siedzi pod drzewami nad brzegiem jeziora. Patrzą pokornym, beznadziejnym wzrokiem; jest to pełne tajemnic spojrzenie umarłych.

Generał Dietl objął małą Elbę w pól i ciągnie ją po całej sali tańcząc walca, którego wszyscy śpiewają chórem, wybijając rytm klaskaniem w dłonie i dzwoniąc w kieliszki rękojeścią puukko i alpenjägerskich sztyletów. Grupka młodych oficerów stoi przy oknie, piją i w milczeniu przyglądają się tej scenie. Jeden z nich obraca się w moją stronę, patrzy na mnie nie widząc - i nagle poznaje go, to księżę Friedrich Windischgraetz. Uśmiecham się do niego z daleka i wołam po imieniu: „Friki!” - a on rozgląda się, szuka oczyma tego, kto go woła. Któż może wiedzieć, skąd rozlega się głos nawołujący z dawnych, zapomnianych czasów...

Ten, którego widzę przed sobą, jest starcem, nie jest to już młody Friki z Rzymu, Florencji czy z Forte dei Marmi, a jednak coś przetrwało z jego dawnego uroku. Tylko że teraz jest w tym uroku coś z rozkładu, czoło otacza upiorny cień. Widzę, jak unosi kieliszek, jak porusza wargami mówiąc: nuha, jak przechyla głowę i w tył, żeby wypić, i w geście tym kości twarzy ukazują się wyraźnie pod skórą - wyglądają dziwnie krucho - czaszka przebłyskuje białą przez rzadkie włosy, martwa skóra czoła lśni. Jemu także wypadają włosy i zęby się chwieją. Za uszami jak z wosku wygina się łagodną linią wąty kark chorego dziecka, kruchy kark starca. Ręce mu drżą, kiedy stawia kieliszek na stole. Friki ma dwadzieścia pięć lat, ale jego spojrzenie jest tajemniczym spojrzeniem umarłych.

Zbliżam się do Friedricha, mówię cicho: „Friki”, a on odwraca się powoli i powoli zaczyna mnie poznawać, jestem dla niego jak topielec, który ze zmienioną twarzą wypływa z głębin na powierzchnię. Friedrich zaczyna mnie poznawać, przygląda mi się żałośnie, bada wzrokiem moją zmienioną twarz, zmęczone usta, puste spojrzenie. W milczeniu ścisną moją rękę, patrzymy na siebie długo, uśmiechamy się i nagle widzę Friedricha na plaży w Forte dei Marmi. Słońce sływa na piasek jak rzeka miodu, pinie dokoła domu ociekają światłem złocistym i ciepłym jak miód. Obaj jednocześnie podnosimy wzrok i patrzymy przez okno na biały blask liści, wód, nieba. Biedny Friki, myślę. Friedrich stoi przy oknie nieruchomo, prawie nie oddycha, w milczeniu patrzy na bezkresne lasy Laponii, na zielonosrebrzystą perspektywę rzek, jezior i lesistych tunturit pod białym, zimnym niebem. Lekko dotykam ramienia Friedricha - może odczuwa to dotknięcie jak pieszczotę? Friedrich zwraca ku mnie żółtą, pomarszczoną twarz, w której błyszczą upokorzone, beznadziejne oczy. I nagle rozpoznaję to jego spojrzenie.

Poznaję jego spojrzenie i wstrząsa mną dreszcz. I on także ma spojrzenie zwierzęcia, myślę ze zgrozą, tajemnicze spojrzenie zwierzęcia. Oko rena, myślę, żalosne oko rena. Chciałbym mu powiedzieć: „Nie, Friki, ty nie!”, ale Friedrich patrzy na mnie w milczeniu i to jest tak, jakby patrzył na mnie pokornym, beznadziejnym wzrokiem.

Inni oficerowie, koledzy Friedricha, to także młodzi ludzie po dwadzieścia, dwadzieścia pięć, trzydzieści lat, ale wszyscy mają żółte, pomarszczone twarze naznaczone piętnem starości, rozpadu, śmierci. Wszyscy mają beznadziejne spojrzenia renów. To zwierzęta - myślę pełen grozy - to leśne zwierzęta. Wszyscy mają w twarzach i oczach łagodny smutek leśnych zwierząt, melancholijne szaleństwo zwierząt, ich tajemniczą niewinność, ich straszliwą litość. Owo chrześcijańskie miłosierdzie właściwe wszystkim zwierzętom. Zwierzęta są jak Chrystus - myślę i wargi mi drżą, i drżą

mi ręce. Patrzę na Friedricha i jego kolegów, wszyscy mają takie same zwiędłe, pomarszczone twarze, nagie czoła, bezzębny uśmiech, to samo spojrzenie rena. Nawet okrucieństwo, niemieckie okrucieństwo zostało z tych twarzy starte. Mają Chrystusowe spojrzenie zwierząt. Nagle przypomniało mi się coś, co nieraz słyszałem, odkąd przybyłem do Laponii; coś, o czym mówi się po cichu, jak o tajemnicy (i jest to rzeczywiście tajemnicza sprawa), coś, o czym mówić nie wolno, a jednak wszyscy mówią, coś o tych młodych niemieckich żołnierzach, tych Alpenjäger Dietla, którzy wieszają się na gałęziach drzew leśnych albo przesiadują całymi dniami na brzegu jeziora, zapatrzeni w horyzont, a w końcu strzelają sobie w skroń, albo ogarnięci dziwnym szaleństwem, niby szalem miłosnym, błąkają się po lasach na kształt dzikich zwierząt i rzucają się w nieruchomą wodę leśnych jezior, albo kładą na kobiercu mchów, pod sosnami szumiącymi na wietrze, i czekają na śmierć, umierają powoli, łagodnie, w abstrakcyjnej zimnej samotności lasu.

„Nie, Friki, ty nie” - chciałem mu powiedzieć. Ale on właśnie pyta: - Widziałeś mojego brata w Rzymie?

- Owszem, widziałem go przed wyjazdem - odpowiadam - któregoś wieczoru w barze hotelu Excelsior. - A przecież wiem, mówiąc to, że Hugo nie żyje, wiem, że księżę Hugo Windischgraetz, oficer lotnictwa włoskiego, został strącony w płomieniach nad Aleksandrią. Mimo to mówię: „Tak, widziałem go w barze hotelu Excelsior. Był z Maritą Guglielmi.” „Jakże się miewa?” - pyta Friedrich. „Doskonale, dopytywał się o ciebie, przesyła ci pozdrowienia” - mówię, choć wiem, że Hugo nie żyje. „Nie dał ci listu dla mnie?” - pyta Friedrich. „Widziałem go tylko chwilę, w przeddzień wyjazdu, nie było czasu na pisanie listu, prosił tylko, żebym cię pozdrowił” - mówię, choć wiem, że Hugo nie żyje. „Hugo to dzielny chłopak” - mówi Friedrich. „Dzielny i miły - odpowiadam - wszyscy go lubią, przesyła ci pozdrowienia” - mówię, choć wiem, że Hugo nie żyje. Friedrich patrzy na mnie. „Czasem, kiedy obudzę się w nocy, myślę, że Hugo nie żyje” - mówi patrząc na mnie wzrokiem leśnego zwierzęcia, wzrokiem rena, tym tajemniczym wzrokiem leśnego zwierzęcia, jakim spoglądają oczy umarłych. „Dlaczego myślisz, że twój brat nie żyje? Widziałem go w barze hotelu Excelsior przed wyjazdem z Rzymu” - mówię, choć wiem, że Hugo nie żyje. „A cóż to złego: umrzeć - mówi Friedrich - to nic złego, to nie jest zabronione. Czy myślisz, że to zabronione, umrzeć?” Mówię nagle, a głos mi drży: „Och, Friki, Hugo nie żyje. Widziałem go w barze hotelu Excelsior w przeddzień wyjazdu z Rzymu. Był już umarły. Prosił, żeby cię pozdrowić. Nie mógł napisać listu, bo był umarły.”

Friedrich patrzy na mnie wzrokiem rena, tym pokornym, beznadziejnym spojrzeniem leśnego zwierzęcia, jakie mają oczy umarłych, uśmiecha się i mówi: „Od dawna wiem, że Hugo nie żyje. Wiedziałem to jeszcze na długo przedtem, zanim umarł. To cudowna rzecz nie żyć.”

Nalewa kieliszek, biorę go od niego, ręka mi drży. „Nuha” - mówi Friedrich.

- Nuha - odpowiadam.

- Chciałbym wrócić jeszcze do Italii, choćby na kilka dni - mówi Friedrich po długiej chwili milczenia. - Chciałbym wrócić do Rzymu. To takie młodzieńcze miasto! - A potem dodaje: - A Paola? Co robi? Dawno ją widziałeś?

- Spotkałem ją na golfie któregoś ranka przed wyjazdem z Rzymu. Piękna jest. Bardzo lubię Paolę, Friki.

- Ja także. A hrabina Ciano co porabia?

- Cóż ma porabiać? To samo, co wszystkie inne.

- Chcesz może powiedzieć...

- Och, nic, Friki.

Patrzy na mnie z uśmiechem.

- A Luisa co robi? I Alberta?

- Cóż, Friki - mówię - odstawiają kurwy. To teraz bardzo modne w Italii. Wszyscy to robią. Papież, król, Mussolini, nasi ukochani książęta i kardynałowie, i generałowie, wszyscy dziś odstawiają kurwy w Italii.

- Zawsze tak było - mówi Friedrich.

- Zawsze tak było i zawsze będzie. Ja także to robiłem przez wiele lat, jak wszyscy inni. Potem obrzydło mi to życie, zbuntowałem się, wylądowałem w mamrze. Ale to także pewien sposób odstawiania kurwy. Robić bohatera, walczyć o wolność, to u nas w Italii także pewnego rodzaju odstawianie kurwy. Nawet mówienie, że to wszystko kłamstwo i zniewaga wobec tych, którzy oddali życie za wolność - i to także jest odstawianiem kurwy. Nie ma ucieczki, Friki.

- Zawsze tak było w Italii - mówi Friedrich - to wciąż ta sama ojczyzna łopoczących sztandarów w głębi tego samego białego brzucha:

In fondo al tuo ventre bianco  
la mia patria mi chiama  
con tutte le bandiere al vento.

- Czyż to nie ty napisałeś ten wiersz?

- Tak, to mój wiersz. Napisałem go na Lipari.

- Okropnie smutny wiersz. Pod tytułem „Ex-voto”, jeśli się nie mylę. Poezja rozpaczy. Czuje się, że to wiersz napisany w więzieniu.

Spojrzał na mnie, uniósł kieliszek i rzekł:

- Nuha.

- Nuha - odpowiedziałem.

Milczeliśmy długo. Friedrich uśmiechał się patrząc swoim beznadziejnym, żalonym wzrokiem leśnego zwierzęcia. W głębi sali rozlegały się dzikie ryki i wrzaski Odwróciwszy się zobaczyłem generała Dietla, gubernatora Kaarlo Hillilä i hrabiego de Foxę stojących pośrodku grupy niemieckich oficerów. Raz po raz rozbrzmiewał nagły, ostry głos Dietla, a w ślad za nim ogłuszający wybuch wrzasków i śmiechu. Nie docierał do mnie sens tego, co Dietl mówi, zdawało mi się, że powtarza bardzo głośno wciąż ten sam wyraz, traurig, co znaczy: smutny. Friedrich rozejrzał się dokoła i rzekł: „To okropne. Dniem i nocą nieustająca orgia. A tymczasem ilość samobójstw wśród oficerów i żołnierzy rośnie w sposób zastraszający. Sam Himmler przyjechał tutaj, żeby jakoś położyć kres tej epidemii. Każe pewnie aresztować nieboszczyków. Każe ich pogrzebać ze skrępowanymi rękami.

Myśli, że terrorem zapobiegnie samobójstwom: - wczoraj kazał rozstrzelać trzech strzelców alpejskich za to, że usiłowali się; powiesić. Himmler nie wie, jaka to cudowna rzecz umrzeć.”

Popatrzył na mnie swymi oczyma rena, pełnym tajemnic spojrzeniem leśnego zwierzęcia, spojrzeniem oczu umarłych. „Wielu strzela sobie w skroń. Wielu topi się w rzekach i jeziorach, i to właśnie najmłodszy spośród nas. Inni błąkają się po lasach, nieprzytomni.”

- Trrrrauuurriig! - rozległ się ostry krzyk generała Dietla, naśladujący straszliwy gwizd Stukasa, a generał lotnictwa Mensch ryczał: „Bum!”, co miało wyobrażać huk eksplozji. Wszyscy wtórowali im wrzaskiem, gwizdem, klaskaniem w ręce, tupaniem, odtwarzając walenie się murów i podmuchy wzbijające wysoko w górę odłamki pocisków. „Trrrrauuurriig!” - ryczał Dietl. „Bum!” - dodawał Mensch. I znowu chóralny zwierzęcy ryk. Scena ta miała w sobie coś dzikiego i groteskowego, barbarzyńskiego i dziecinnego zarazem. Generał Mensch był mężczyzną około pięćdziesiątki, małym, chudym, o żółtej, pomarszczonej twarzy, bezzębnych ustach, przeredzonych szpakowatych włosach i złośliwych oczkach wciśniętych w siatkę drobnych zmarszczek. Rycząc: „Bum!” wpijał w de Foxę wzrok nabrzmiały nienawiścią i pogardą.

- Halt! - wrzasnął nagle podnosząc rękę. I zwracając się do de Foxy spytał niegrzecznym tonem:

- Jak się mówi traurig po hiszpańsku?

- Triste, o ile mi się zdaje - odparł de Foxá.

- Spróbujemy teraz triste - rzekł Mensch.

- Trriiisstee - zawył generał Dietl.

- Bum! - dodał Mensch. Potem podniósł rękę. - Nie. Z triste nie wychodzi... Hiszpański to nie jest bojowy język

- Hiszpański jest językiem chrześcijańskim - powiedział de Foxá.. - Jest mową Chrystusa.

- Aha, Chrystus. Cristo. Spróbujemy Cristo - zdecydował Mensch.

- Crrriisstoo! - zawył generał Dietl.

- Bum - zakończył Mensch. Uniósł dłoń mówiąc: - Nie, Cristo też nie wychodzi.

W tej chwili do generała Dietla podszedł oficer i powiedział mu coś po cichu. Dietl obrócił się ku nam i rzekł mocnym głosem: „Panowie, Himmler, powracający z Petsamo, oczekuje nas w dowództwie. Idziemy oddać Himmlerowi nasz pokłon niemieckich żołnierzy.”

Przemknęliśmy samochodami z wielką szybkością przez puste ulice Rovaniemi, zanurzone w białym niebie, przeciętym nisko nad ziemią różową blizną horyzontu. Była to może dziesiąta wieczór, może szósta rano. Białe słońce kołysało się nad dachami, domy miały barwę przydymionego szkła, rzeka lśniła posępnie pomiędzy drzewami.

Wkrótce znaleźliśmy się w wiosce wojskowych baraków zbudowanej na skraju srebrzystego brzoźowego lasu, tuż za miastem. Tam właśnie mieściła się główna kwatera dowództwa frontu północnego. Jakiś oficer zbliżył się do Dietla mówiąc z uśmiechem:

- Himmler jest w saunie dowództwa. Chodźmy go obejrzyć nagiego.

Wybuch śmiechu powitał jego słowa. Dietl ruszył prawie biegiem do chaty z bali sosnowych, stojącej nie opodal w lesie. Pchnął drzwi i weszliśmy do środka.

Wnętrze sauny, fińskiej łaźni, zajmuje ogromne palenisko i kocioł, z którego pryska woda na gorące kamienie, ułożone nad wonnym płomieniem polan brzoźowych, wzniesając obłoki pary. Na ławkach ustawionych jak schody, coraz wyżej, pod ścianą sauny, siedziało albo leżało około dziesięciu nagich ludzi. Białych, zwiotczałych, miękkich, bezbronnych ludzi. Byli tak bardzo nadzy, jakby nie mieli na sobie nawet skóry. Ciało ich przypominały miąższ skorupiaków: blade, różowawe, wydawały kwaskowaty odór. Miały szerokie, tłuste torsy o obwisłych biustach. Surowe, twarde, niemieckie twarze stanowiły rażący kontrast z tymi białymi, zwiotczymi ciałami; wydawało się niemal, że to maski. Ci nadzy ludzie siedzieli i leżeli na ławkach niby znużone trupy. Od czasu do czasu unosili powoli z wysiłkiem rękę, żeby obetrzeć pot spływający z białych ciał, upstrzonych gdzieś gdzie piegami, jak lśniąca łuską. Istne znużone trupy.

Niemcy nadzy są zadziwiająco bezbronni. Odarci z wszelkich tajemnic. Nie budzą już lęku. Sekret ich siły nie tkwi w ich skórze, kościach i krwi, ale w ich mundurach. Ich właściwą skórą jest mundur. Gdyby ludy Europy wiedziały, jaka wiotka, bezbronna i martwa nagość kryje się pod feldgrau niemieckiego munduru, wojsko niemieckie nie budziłoby strachu nawet w najstarszym, najbardziej bezbronnym narodzie. Każde dziecko odważyłoby się stawić czoło całemu batalionowi. Wystarczy zobaczyć ich nagich, żeby zrozumieć tajemny sens ich życia narodowego, ich dziejów. Mieliśmy ich przed sobą jak nieśmiałe, wstydlive trupy. Generał Dietl poderwał ramię i krzyknął mocnym głosem: „Heil Hitler!”

- Heil Hitler! - odpowiedzieli nadzy ludzie z trudem unosząc ramię uzbrojone w miotełkę z brzoźowych gałązek. Były to miotełki do chłostania, które stanowi najcharakterystyczniejszy moment uświęconego rytuału sauny. Ale i ten gest wzniesionych rąk z miotełkami był miękki i bezbronny.

Wśród golasów siedzących na dolnej ławce był jeden, który wydał mi się znajomy. Pot spływał mu po twarzy o wydatnych kościach policzkowych, krótkowzroczne oczy, pozbawione okularów, połyskiwały białawo i miękko jak oczy ryby. Czoło trzymał wysoko, w pozycji znamionującej pychę i zuchwałość; raz po raz odrzucał głowę do tyłu, a przy tym nagłym i gwałtownym ruchu z wgłębienia oczu, z nozdrzy i uszu wypływały mu strumyki potu, jak gdyby jego głowa była pełna wody. Ręce złożone miał na kolanach potulnym gestem skarconego uczniaka. Spomiędzy rąk wзираł miękki, wypukły, różowy brzuch o mocno wystającym pępku, który na tym bladuróżowym tle wyglądał jak pączuszek różany - dziecięcy pęczuszek pośrodku starczego brzucha.

Jak żyję, nie widziałem brzucha aż tak nagiego i tak różowego; brzucha tak miękkiego, że miało się ochotę nacisnąć go dla próby widelcem. Grube krople potu spływały wzdłuż torsu i tego miękkiego brzucha zbierając się pod nim jak rosa na krzaku. Niżej zwisało coś niby dwa drobne orzeszki w papierowej torebce; on jednak wydawał się dumny z tych dwóch orzeszków, niczym Herkules ze swojej męskości. Ten człowiek zdawał się roztopiać na naszych oczach w wodzie, tak bardzo się pocił. Wręcz zaczynałem się obawiać, że za chwilę zostanie z niego tylko skórzana powłoka, pusta i wiotka, gdyż nawet kości wyglądały jakoś miękko i galaretowato. Ten człowiek nasuwał myśl o sorbecie wstawionym do piecyka: jeszcze chwila, a zostanie po nim tylko kałuża potu na podłodze.

Kiedy Dietl podniósł rękę mówiąc: „Heil Hitler!”, człowiek ten wstał i wtedy go poznałem. To był ten z windy, to był Himmler. Stał przed nami (stopy miał płaskie, wielki palec wywinięty do góry), krótkie ręce zwisały mu wzdłuż boków. Z końców palców ciurkiem spływał pot. Strumyczek potu spływał także z kudłatego podbrzusza, upodabniając Himmlera do brukselskiego Manneken Pissa. Na obwisłym biuście wyrastały dwa płuwe wianuszki włosów niby dwie aureole, pot tryskał z koniuszków piersi jak mleko.

Oparł się o ścianę, bojąc się upaść na śliskiej, mokrej podłodze. W ruchu tym ukazał okrągłe wystające pośladki, na których widniał na kształt tatuażu odcisnięty ślad słoików drewnianych ławki. Gdy udało mu się odzyskać równowagę, odwrócił się, podniósł ramię i otworzył usta, ale pot spływający po twarzy natychmiast mu je wypełnił, uniemożliwiając wypowiedzenie Heil Hitler. Pozostałe golasy, biorąc ten jego gest za hasło do rozpoczęcia chłosty, uniosły w górę miotełki, poszturchując się porozumiewawczo, i zaczęły zgodnym rytmem trzepać barki, grzbiet i pośladki Himmlera, z coraz to wzmagającą się energią.

Brzozowe gałązki pozostawiały na miękkim ciele ślady liści, z początku białe, potem czerwieniejące i znikające po chwili. Rysunek brzozowych liści to pojawiał się, to znikał na skórze Himmlera. Nadzy ludzie wznosili i opuszczali różgi z wściekłą zajadłością. Oddech ze świstem wydobywał się spomiędzy ich obrzmiałych warg. Himmler w pierwszej chwili starał się osłaniać, zakrywał twarz rękami i śmiał się. Ale był to śmiech wymuszony, zdradzający wściekłość i strach. Potem, kiedy różgi zaczęły kąsać mu boki, zaczął się obracać to w jedną, to w drugą stronę, zasłaniając brzuch łokciami, wykręcając się na piętach, wciągając szyję w ramiona; śmiał się przy tym histerycznie, jakby był raczej łaskotany niż chłostany. Na koniec Himmler dojrzał za naszymi plecami otwarte drzwi i torując sobie drogę wyciągniętymi rękami rzucił się w nie, wciąż ścigany przez tamtych, którzy nie przestawali go chłostać. Za drzwiami pomknął pędem ku rzece i zanurzył się w wodę.

- Panowie - rzekł Dietl - na razie, póki Himmler nie wróci z kąpieli, zapraszam was do siebie na kieliszek.

Wyszliśmy z lasu, minęli łąkę i prowadzeni przez Dietla weszliśmy do jego drewnianej chaty. Wydało mi się, że przekraczam próg schludnego domku w bawarskich górach. Na kominie trzaskały wesoło płonące gałęzie jodłowe, ciepłe powietrze przesycone było miłym zapachem żywicy. Zabraliśmy się na nowo do picia, wykrzykując chórem Nuha!, za każdym razem, kiedy Dietl albo Mensch dawali hasło wznosząc kieliszek. W pewnej chwili, podczas gdy wszyscy ująwszy swoje puukko albo alpenjägerskie sztylety otaczali kołem Menscha i de Foxę, odtwarzających ostatnie momenty corridy (Mensch był bykiem, de Foxá matadorem), generał Dietl skinął na Friedricha i na mnie, żebyśmy z nim wyszli do drugiej izby, gdzie mieściło się jego „studio”. W kącie pod ścianą stało polowe łóżko, podłogę pokrywały skóry polarnych wilków, na łóżku zamiast kołdry leżało wspaniałe futro białego niedźwiedzia. Na ścianach wisiło mnóstwo przypiętych pineskami fotografii szczytów górskich - Torri del Vaiiolet, Marmolada, Tofane, widoki Tyrolu, Bawarii i Cadore. Na stole przy oknie stała w skórzanej ramce fotografia kobiety w otoczeniu trzech małych dziewczynek i chłopca. Wyraz jej twarzy był miły, znamionował czystość i prostotę. Z sąsiedniej izby dolatywał ostry krzykliwy głos generała Menscha, wtórowały mu wybuchy śmiechu, dzikie wrzaski, tupanie i klaskanie. Głos Menscha wprawiał w drżenie szyby okienne i cynowe czarki stojące na kominku.

- Pozwólmę się bawić chłopakom - mówi Dietl wyciągając się na polowym łóżku. Patrzy w okno; on także ma pokorne, beznadziejne spojrzenie rena, tajemnicze zwierzęce spojrzenie, jakie mają oczy

umarłych. Białe słońce ukośnie oświetla drzewa, baraki Alpenjägerów, ciągnące się szeregiem na skraju lasu, drewniane domki oficerów. Od strony rzeki dolatują głosy i śmiech kąpiących się. W gałęziach sosny krzyczy jakiś ptak. Dietl zamknął oczy, śpi. Friedrich, siedzący w prymitywnym fotelu okrytym wilczą skórą, także zamknął oczy, śpi z jedną ręką opuszczoną wzdłuż boku, drugą zaciśniętą na piersi - rękę ma dziecięcą, drobną i białą. To cudowna rzecz nie żyć. Daleki szum motoru rzuca cień na srebrzystą zieleń brzoźowego lasu. W wysokim przejrzystym niebie samolot brzęczy jak pszczoła. Orgia w sąsiednim pokoju trwa dalej, słychać dzikie wycia, trzask rozbitego szkła, przekrzykujące się ochryple głosy, śmiech żywiołowy, dziecinny. Pochylam się nad Dietlem, zdobywcą Narviku; to jeden z bohaterów niemieckiej wojny, bohater niemieckiego narodu. On także jest Zygfydem, Zygfydem i kotem zarazem; bohater i kapparoth, ofiara, kaputt. To cudowna rzecz nie żyć.

Słyszę zza ściany ostry głos Menscha, poważny de Foxy, zgiełek kłótni. Staję w progu. Mensch stoi przed de Foxá, blade i spocony. Obaj trzymają w ręku kieliszki, otaczający ich oficerowie również ściskają kieliszki w rękach.

Generał Mensch mówi:

- Pijemy na cześć narodów walczących o wolność Europy. Pijemy na cześć Niemiec, Italii, Finlandii, Rumunii, Węgier...

- ...Chorwacji, Bułgarii, Słowacji... - poddają inni.

- ...Chorwacji, Bułgarii, Słowacji... - powtarza Mensch.

- ...Japonii...

- ... Japonii.. - powtarza Mensch.

- ...Hiszpanii... - mówi hrabia de Foxá, minister pełnomocny Hiszpanii w Finlandii

- Nie, Hiszpanii nie! - krzyczy Mensch.

De Foxá opuszcza powoli rękę z kieliszkiem. Czoło ma blade, uperłone potem.

- ...Hiszpanii.. - powtarza z naciskiem.

- Nein, nein, Spanien nicht! - krzyczy Mensch.

- Hiszpańska Błękitna Dywizja - mówi de Foxá - walczy na froncie pod Leningradem u boku niemieckich żołnierzy.

- Nein, Spanien nicht!

Wszyscy patrzą na de Foxę, który stoi blade, stanowczy naprzeciw generała Menscha, patrząc na niego gniewnie i dumnie.

- Jeśli pan nie wypije na cześć Hiszpanii - mówi de Foxá - krzyknę merde na Niemcy.

- Nein! - wrzeszczy Mensch. - Spanien nicht!



- Merde pour l'Allemagne! - krzyczy de Foxá wznosząc kieliszek, odwraca się i patrzy na mnie z błyskiem tryumfu w oczach.

- Brawo, de Foxá - mówię mu - wygrateś zakład.

- Vive l'Espagne, merde pour l'Allemagne!

- Ja, ja! - wrzeszczy Mensch wznosząc kieliszek. - Merde pour l'Allemagne!

- Merde pour l'Allemagne! - powtarza chór wznosząc kieliszki.

Wszyscy się ściskają, ktoś wali się na ziemię, generał Mensch czołga się na brzuchu, usiłując pochwycić butelkę, która toczy się powoli po deskach podłogi.

## XVII. Zygfryd i łosoś

Fotele kryte ludzką skórą? - pytał Kurt Franz z niedowierzaniem w głosie.

- Tak, to były fotele kryte ludzką skórą - powtórzyłem.

Wszyscy zaczęli się śmiać. Georg Beandasch zauważył:

- Muszą być bardzo przytulne.

- To bardzo miękka, gładka skóra - powiedziałem - niemal przezroczysta.

- W Paryżu - rzekł Victor Maurer - widziałem książki oprawione w ludzką skórę, ale foteli takich nigdy nie widziałem.

- Te fotele znajdują się we Włoszech - objaśniłem. - W zamku hrabiów Conversano, w Apulii. Jeden z hrabiów Conversano, w połowie siedemnastego wieku, kazał zabijać i obdzierać ze skóry swoich wrogów - księży, szlachtę, buntowników, rozbójników - aby pokrywać ich skórą fotele w wielkim salonie swojego zamku. Jeden ma nawet oparcie ze skóry ściągniętej z biustu i brzucha zakonnicy. Można jeszcze dojrzeć zarys piersi z koniuszkami wypolerowanymi i starymi wskutek długiego używania.

- Używania? - powtórzył Georg Beandasch.

- Niech pan pomyśli o tych wielu setkach osób, które siadały na tym fotelu na przestrzeni trzech stuleci - powiedziałem - wydaje mi się, że to wystarczy, żeby zużyć nawet biust zakonnicy.

- Ten hrabia Conversano - rzekł Victor Maurer - musiał być potworem.

- Skórą wszystkich Żydów, których wymordowaliście w ciągu tej wojny - odparłem - ileż setek tysięcy foteli dałoby się pokryć?

- Milionów - sprostował Georg Beandasch.

- Skóra z Żydów jest do niczego - zauważył Kurt Franz.

- Pewnie, skóra z Niemców jest o wiele lepsza. Można by z niej robić wspaniałe obicie na fotele.

- Nic nie dorówna skórze firmy Hermes - rzekł po francusku Victor Maurer, którego generał Dietl nazywał paryżaninem. Victor Maurer, kuzyn Hansa Molliera, attaché prasowego ambasady niemieckiej w Rzymie, pochodził z Monachium, ale długie lata spędził w Paryżu, a teraz wchodził w skład Komendy Placu pod zwierzchnictwem kapitana Rupperta. Dla Victora Maurera Paryżem był bar u Ritza, a Francją - jego przyjaciel Pierre Cot.

- Po wojnie - rzekł Kurt Franz - skóra z Niemców będzie za bezcen.

Georg Beandasoh wybuchnął śmiechem. Leżał na trawie, na twarzy miał siatkową maskę chroniącą przed komarami. Żuł liść brzozy i raz po raz unosił maskę, żeby splunąć. Śmiejąc się zapytał: „Po wojnie? Po której wojnie?”

Siedzieliśmy nad brzegiem Juutuanjoki, w pobliżu jeziora. Rzeka z głośnym szumem przedzierała się przez ogromne głązy. Nad wioską Inari wznosiły się niebieskie dymki, lapońscy pasterze gotowali zupę z reniego mleka w miedzianych kociołkach zawieszonych nad ogniskiem. Słońce kotłowało się nad horyzontem, jakby poruszał je wiatr. Las był nagrany, zielono-niebieski, przepływały przezeń podmuchy wiatru, cicho szepcząc w trawach i liściach. Stado renów pasło się na drugim brzegu rzeki. Jezioro połyskiwało srebrem wśród drzew, pokryte różowymi i zielonymi żyłkami, jak piękna, antyczna miśnieńska porcelana. Tak, to były właśnie różowe i zielone tony, jakie miewa stara porcelana z Meissen, delikatna zieleń i ciepła różowość, gdzieniegdzie zgęszczona w maleńką grudkę lśniącej jasnej czerwieni. Zaczynało padać, nieustająca letnia mżawka krain polarnych. Cały las rozbrzmiewał cichym, ale wszechobecnym szepczeniem. Nagle na porcelanową różowość i zieleń jeziora padł promień słońca, w powietrzu rozległo się cichutkie dzwonienie, łagodny i bolesny dźwięk pękającej porcelany.

- Dla nas wojna jest skończona - odezwał się Kurt Franz.

Wojna była od nas daleko. Byliśmy poza zasięgiem wojny, na jakimś odległym kontynencie, w beczasowej przestrzeni, poza ludzkością. Od miesiąca z górą wędrowałem skroś lasów Laponii, przez tundrę wzdłuż Lizy, przez kamienistą pustynię fiordu Petsamo, nad Oceanem Lodowatym, pośród czerwonych lasów sosnowych, białych lasów brzozy nad brzegami jeziora Inari, przez tunturit okręgu Ivalo; od przeszło miesiąca żyłem wśród tej dziwacznej rzeszy młodych strzelców alpejskich, Bawarczyków i Tyrolczyków, bezzębnych, łysych, o żółtych i pomarszczonych twarzach, o pokornym, beznadziejnym spojrzeniu leśnego zwierzęcia. I zastanawiałem się, co mogło ich tak do głębi odmienić. Byli to przecież wciąż jeszcze Niemcy, ci sami Niemcy, których spotykałem pod Belgradem, Kijowem, Smoleńskiem, Leningradem, mieli te same ochryple głosy, te same uparte czoła, ciężkie, wielkie ręce. Ale było w nich coś niezwykłego, coś czystego i niewinnego, czego nigdy dotychczas nie dostrzegłem u żadnego Niemca. Może było to jakieś zwierzęce okrucieństwo, niewinne okrucieństwo zwierząt i dzieci. Mówili o wojnie jak o czymś dawno minionym, z tajemną pogardą, z urazą z powodu gwałtów, głodu, zniszczeń i rzezi. Ich okrucieństwo było już tylko okrucieństwem przyrody, jak gdyby samotne życie w tych bezkresnych lasach, oddalenie od cywilizacji, nuda wiecznej nocy zimowej, długich miesięcy spędzanych w ciemnościach, od czasu do czasu rozjaśnianych tylko pożarem zorzy polarnej, męka nie kończącego się dnia letniego, słońca wiszącego dniem i nocą nad widnokreśm - jak gdyby wszystko to kazało im odrzucić okrucieństwo właściwe człowiekowi. Osiągnęli zrezygnowaną pokorę zwierząt leśnych, ich tajemne poczucie

śmierci. Oczy ich stały się podobne do oczu renów, ciemne, lśniące, głębokie; mieli pełne tajemnic spojrzenie zwierzęcia, jakie mają oczy umarłych.

(Którejś nocy, na krótko przedtem, chodziłem po lesie. Nie mogłem spać. Minęła już północ, białe niebo, niezwykle przejrzyste, wyglądało jak z bibułki. Nie było ani cienia chmurki, tak mi się przynajmniej zdawało w pierwszej chwili: niebo było pogodne i przejrzyste jak bezkresna pusta przestrzeń. A jednak niewidzialna mżawka padała z tego pogodnego nieba, przenikała mnie do szpiku kości, dobywała z liści drzew, z gęstwiny krzaków, z jasnego kobierca mchów jakiś śpiewny, cichutki szept. Zapaściłem się w las i uszedłem chyba z milę, kiedy ochrypty niemiecki głos kazał mi się zatrzymać. Zbliżył się do mnie patrol Alpenjäger o twarzach ukrytych za siatkowymi maskami przeciw komorom; jeden z wielu patroli specjalnie wyćwiczonych w tropieniu partyzantki w lasach polarnych; nieustannie przetrząsały one lasy i tunturit okręgów Ivalo i Inari, poszukując norweskich i rosyjskich partyzantów. Usiedliśmy pod osłoną skał przy ogniu z chrustu, paląc i gawędząc pod drobnym deszczem pachnącym żywicą. Powiedzieli mi, że natrafili na trop wilczego stada. Bliskość tego stada odkryli przed kilku dniami, nim jeszcze zauważyli ślady; poznali to po niepokoju, jaki ogarnął stada renów. Wszyscy ci żołnierze byli góralami z Tyrolu i Bawarii. Z głębi lasu słychać było raz po raz to trzaskanie gałązek, to głos jakiegoś ptaka.

Kiedyśmy tak rozmawiali przyciszonymi głosami, tak jak się najczęściej rozmawia w tym klimacie, gdzie głos ludziki brzmi jakoś obco, fałszywie, samowolnie, jakby w oderwaniu od człowieka - głos pełen desperacji, nabrzmiały tajemnym niepokojem, nie mogącym znaleźć dla siebie wyrazu innego niż własny język, własne echo - zauważyliśmy przemykającą wśród drzew, o jakie sto kroków od nas, gromadkę zwierząt podobnych do psów, o krótkiej sierści barwy przyrdzewiałego żelaza. „Wilki” - powiedzieli żołnierze. Przechodziły zupełnie blisko, błyskając ku nam czerwonymi, lśniącymi ślepiami. Widać było, że wcale się nie boją, o nic nas nie podejrzewają. W tej ich ufności było coś nie tylko pokojowego, ale wręcz roztargnionego, jakaś wyniosła, posępna obojętność. Wilki biegły bezszelestnie, chyżo i lekkie, swoim długim, miękkim chodem. Nie miały w sobie nic drapieżnego; raczej szlachetną nieśmiałość, rodzaj dumnej, nieświadomie okrutnej łagodności. Jeden z żołnierzy podniósł karabin, ale któryś z jego kolegów położył rękę na lufie i opuścił ją w dół. Gest ten wyrażał wyrzeczenie, rezygnację z właściwego człowiekowi okrucieństwa. Jak gdyby w tej nieludzkiej samotności nawet człowiek nie mógł wyrazić swojej ludzkości inaczej niż przyswajając sobie posępną i tępą dzikość zwierzęcia.)

- Od kilku dni - powiedział Georg Beandasch - generał von Heunert wręcz wychodzi z siebie. Nie udaje mu się złapać łososia. Cała strategia niemieckich generałów jest bezsilna wobec łososi.

- Niemcy - rzekł Kurt Franz - są złymi rybakami.

- Ryby nie lubią Niemców - zauważył sentencjonalnie Victor Maurer po francusku.

Porucznik Georg Beandasch, adiutant generała kawalerii von Heunerta, był pierwszym Niemcem, na którego się natknąłem po przybyciu do Inari. W cywilu Georg Beandasch sprawował funkcje sędziego w którymś z sądów berlińskich. Był trzydziestoletnim, wysokim, barczystym mężczyzną o silnie zarysowanej szczęce. Chodził lekko przygarbiony, patrząc na ludzi jakoś z ukosa. „Sposób patrzenia - mówił sam - niezbyt odpowiedni dla sędziego.” Często spluwał na ziemię z wyrazem głębokiej

pogardy na ciemnej twarzy. Jego cera miała barwę wyprawionej skóry. Właśnie ten kolor wywołał pewnego dnia rozmowę na temat foteli hrabiego Conversano, krytych ludzką skórą. Nawyk spluwania na ziemię nie był, zdaniem samego Beandascha, odpowiedni dla adiutanta niemieckiego generała kawalerii: „ale mam swoje powody, żeby to robić”. Czasem odnosiło się wrażenie, że pluje na wszystkich niemieckich generałów. Chociaż w języku był powściągliwy, nie wydawało mi się, żeby zbyt wysoko cenił Hitlera razem z wszystkimi jego generałami. W przypadku generała von Heunerta i lapońskich łososi zdecydowanie stał po stronie łososi. Mimo wszystko jednak, jak wszyscy Niemcy, czy są sędziami, czy nie, był posłuszny generałom. Cała bieda wszystkich łososi Europy na tym właśnie polega: że jeśli nawet Niemcy są po ich stronie, to przecież nie przestają być posłuszni swoim generałom.

Zaraz po przybyciu do Inari wyruszyłem na obchód wsi w poszukiwaniu łóżka. Byłem śmiertelnie zmęczony i tak śpiący, że ledwo trzymałem się na nogach. Przebyłem sześćset kilometrów, z krańca na kraniec Laponii, zanim dotarłem do Inari, i teraz nie mogłem się doczekać chwili, kiedy wyciągnę się na łóżku. Ale w Inari łóżek jest mało. Wioska liczy sobie nie więcej niż cztery czy pięć drewnianych budynków, skupionych dokoła czegoś w rodzaju wiejskiego bazaru, „Sekatavara Kauppa”, którego właściciel, Fin, pan Juho Nykänen, powitał mnie serdecznym uśmiechem i zaprezentował swój cały asortyment najatrakcyjniejszych towarów - celuloidowe grzebienie, puukko z rękojeścią z kości rena, pastylki sacharyny, rękawice z psiej skóry i smarowidło przeciwko komarom.

- Łóżko? Łóżko do spania? - zakłopotał się Juho Nykänen.

- Do spania, oczywiście.

- I przychodzi pan do mnie? Ja nie sprzedaję łóżek. Kiedyś miałem w sklepie łóżko polowe, ale sprzedałem je trzy lata temu dyrektorowi „Osak Pankki” z Rovaniemi.

- Nie mógłby roi pan wskazać kogoś, kto zgodziłby się wypożyczyć mi swoje łóżko choć na parę godzin?

- Wypożyczyć panu łóżko? Ma pan chyba na myśli kogoś, kto ustąpiłby panu swojej kolejki? Hm, to niełatwa sprawa. Niemcy pozajmowali nasze łóżka, śpimy na zmianę w tych niewielu, które nam pozostały. Mógłby pan spróbować u pani Irajai Palmunen Himanka. Możliwe, że ma jakieś łóżko w swoim hotelu albo potrafi, nakłonić któregoś z niemieckich oficerów, żeby panu ustąpił swego na parę godzin. W razie czego, czekając na swoją kolejkę, mógłby pan pójść na ryby. Mogę panu niedrogo dostarczyć wszystkiego, co potrzebne do połowu łososa.

- Dużo jest łososi w tej rzece?

- Było bardzo dużo, zanim Niemcy rozpoczęli budowę mostu na Juutuanjoki. Cieśle robią strasznie dużo hałasu swoimi piłami, młotami i siekierami, a łososie nie lubią hałasu. W Ivalo Niemcy też budują most i łososie zupełnie wyniosły się z Ivalojoki. Ale to jeszcze nie wszystko, Niemcy chodzą na połów z granatami. To istna rzeź. Niszczą nie tylko łososie, ale i wszystkie inne ryby. Czy oni myślą, że mogą traktować łososie tak jak Żydów? Nigdy na to nie pozwolimy. Niedawno powiedziałem generałowi von Heunertowi: jeżeli Niemcy zamiast wojować z Rosjanami zechcą nadal wojować z łososiami, będziemy bronili łososi.

- O wiele jest łatwiej - powiedziałem - prowadzić wojnę z łososiami niż z Rosjanami.

- Pan się myli - rzekł Juho Nykänen - łososie są bardzo odważne i niełatwo je pokonać. Moim zdaniem Niemcy popełnili wielki błąd, kiedy zaczęli wojować z łososiami. Przyjdzie jeszcze taki dzień, kiedy Niemcy poczują strach przed łososiami. Tak się to skończy. Tamta wojna też się tak skończyła.

- Ale tymczasem łososie opuszczają wasze rzeki?

- Na pewno nie ze strachu - rzekł Juho Nykänen z odrobiną urazy w głosie. - Łososie nie boją się Niemców. Pogardzają nimi. Niemcy to ludzie nielojalni, zwłaszcza jeśli chodzi o rybołówstwo. Nie mają żadnego pojęcia o fair play. Masakrują łososie ręcznymi granatami, rozumie pan? Zdaje im się, że rybołówstwo to nie sport, tylko jakaś odmiana Blitzkriegu. Łosoś to najszlachetniejsze stworzenie na świecie. Wolałby raczej śmierć niż uchybienie zasadom honoru. Z dżentelmenem walczy aż do końca, jak na dżentelmena przystało, bohaterstwo stawia czoło śmierci; ale nie zniży się do walki z nielojalnym przeciwnikiem. Woli wygnanie od hańby mierzenia się z przeciwnikiem niegodnym siebie. Niemcy są wściekli, że nie znajdują już łososi w naszych rzekach. A wie pan, dokąd emigrują łososie?

- Do Norwegii?

- Ale, myśli pan, że Norwegom lepiej się dzieje niż łososiom? W Norwegii także siedzą Niemcy. Emigrują za Wyspę Rybaków, w stronę Archangielska i Murmańska.

- O, do Rosji?

- A tak, do Rosji - rzekł Juho Nykänen. Jego blada fińska twarz o wystających kościach policzkowych pokryła się nagle mnóstwem drobniutkich zmarszczek, niby gliniana maska spękana od słońca. Po tym poznałem, że się uśmiecha. - Wędrują do Rosji - powtórzył. - Miejmy nadzieję, że nie wrócą tu z czerwonymi głowami.

- Jest pan pewien, że w ogóle wrócą?

- Wrócą. I to prędzej, niż się wydaje - powiedział Juho Nykänen. I dodał zniżając głos: - Może mi pan wierzyć: Niemcy przegrają wojnę.

- O! - wykrzyknąłem. - Powiada pan, że Niemcy przegrają wojnę?

- Wojnę z łososiami, oczywiście - wyjaśnił. - Ludzie tutejsi, Lapończycy i Finowie, trzymają wszyscy, rzecz jasna, a łososiami. Niedawno znaleziono nad rzeką kilku zabitych żołnierzy niemieckich. Chyba tylko łososie mogły ich wykończyć, nie sądzi pan?

- Możliwe - powiedziałem. - Iz wielką radością, drogi panie Juho Nykänen, powitam zwycięstwo łososi. Ich sprawa jest sprawą ludzkości i cywilizacji. Ale na razie chciałbym znaleźć łóżko do spania.

- Bardzo pan zmęczony?

- Ledwo żywy ze zmęczenia i senności.

- Radzę panu udać się do pani Irjai Palmunen Himanka.

- Daleko to stąd?

- Nie więcej niż mila. Możliwe, że będzie się pan musiał zdecydować na spanie razem z niemieckim oficerem.

- W jednym łóżku?

- Niemcy lubią sypiać w cudzych łóżkach. Niech mu pan powie, że to pańskie łóżko, a użyczy panu może trochę miejsca.

- Dziękuję, panie Juho Nykänen, kiitoksia pallion.

- Hyvää päivää.

- Hyvää päivää.

Pani Irjaa Palmunen Himanka przyjęła mnie uprzejmie. Była to kobieta niewiele po trzydziestce, o znużonej, smutnej twarzy. Powiedziała mi, że poprosi porucznika Georga Beandascha, adiutanta generała von Heunerta, żeby ustąpił mi jedno ze swoich łóżek.

- Na ilu łóżkach sypia ten pan? - zapytałem.

- W jego pokoju są dwa łóżka - wyjaśniła pani Irjaa Palmunen Himanka. - Mam nadzieję, że zgodzi się ustąpić panu jedno. Ale pan wie, z Niemcami...

- Gwiżdżę na Niemców. Spać mi się chce.

- Ja również na nich gwiżdżę - zapewniła pani Irjaa Palmunen Himanka - ale do pewnego stopnia. Niemcy...

- Niemców - powiedziałem - nigdy nie należy prosić o uprzejmość. Jeśli ktoś prosi Niemca o przysługę, może być z góry pewien, że spotka go odmowa. Cała wyższość Herrenvolku polega na mówieniu „nie”. Niemców nie należy ani prosić, ani pytać. Proszę mnie to zostawić, pani Irjao Palmunen Himanka, ja jestem także ze szkoły łososi.

Przygasłe oczy pani Irjai Palmunen Himanka nagle rozbłyły.

- O! - powiedziała - Włosi to szlachetny naród. Pan jest pierwszym Włochem, jakiego spotkałam w życiu; nie wiedziałam, że Włosi także bronią łososi przed Niemcami. A przecież jesteście z Niemcami w sojuszu. Włosi są szlachetnym narodem.

- Włosi są także z gatunku łososi - powiedziałem. - Wszystkie ludy Europy są teraz łososiami.

- Cóż się z nami stanie - westchnęła pani Irjaa Palmunen Himanka - jeżeli Niemcy wytępią wszystkie łososie z naszych rzek albo zmuszą je do wywędrowania? W czasach pokoju my wszyscy żyjemy z miłośników rybołówstwa. Przyjeżdżają do Laponii na sezon letni z Anglii, z Kanady, z Ameryki Północnej. Ach, ta wojna...

- Proszę mi wierzyć, pani Irjao Palmunen Himanka, ta wojna skończy się tak samo, jak tamta: łososie wypędzą Niemców.

- Dałby to Bóg! - wykrzyknęła pani Irjaa Palmunen Himanka.

Byliśmy już na pierwszym piętrze. Hotel w Inari przypomina alpejskie schronisko: drewniany budynek dwupiętrowy połączony z niewielką oberżą, gdzie pasterze i rybacy lapońscy zbierają się w niedzielę, po nabożeństwie, aby pogawędzić o renach, o wódce i o łososiach, zanim ruszą w drogę powrotną do swoich szałasów i namiotów zagubionych w głębi bezkresnych podbiegunowych lasów. Pani Irjaa Palmunen Himanka podeszła do jednych drzwi i zapukała delikatnie.

- Herein! - odezwał się z wnętrza ochryply głos.

- Lepiej będzie, jeżeli wejdę sam - powiedziałem. - Niech pani zda to na mnie, wszystko pójdzie na pewno doskonale.

Pchnąłem drzwi i wszedłem. W małym pokoiku wykładanym brzozowym drzewem stały dwa łóżka. Na tym bliżej okna leżał Georg Beandasch z twarzą przykrytą siatkową maską. Nie powiedziałem nawet „dobry wieczór” i rzuciłem na wolne łóżko mój plecak i płaszcz nieprzemakalny. Georg Beandasch uniósł się na łokciu, obejrzał mnie od stóp do głów, tak właśnie jak sędzia ogląda przestępcę, uśmiechnął się i zaczął kląć przez zęby, wciąż się łagodnie i uprzejmie uśmiechając. Był śmiertelnie zmęczony, cały dzień spędził na nogach w lodowatym nurcie Juutuanjoki, towarzysząc generałowi von Heunertowi, i chciał pospać jeszcze parę godzin.

- Dobranoc - mruczę.

- We dwóch w pokoju źle się śpi-- mówi Georg Beandasch.

- Jeszcze gorzej śpi się we trzech - odpowiadam wyciągając się na łóżku.

- Ciekaw jestem, która teraz może być godzina - mówi Georg Beandasch.

- Dziesiąta.

- Dziesiąta rano czy dziesiąta wieczór?

- Dziesiąta wieczór.

- Nie chciałby pan pospacerować po lesie parę godzin? - próbuje Georg Beandasch. - Niech mi pan da pospać spokojnie jeszcze choć ze dwie godziny.

- Mnie też się chce spać. Na spacer pójdę jutro rano.

- Wieczorem czy orano, tutaj to na jedno wychodzi. W Laponii słońce jest także w nocy.

- Wolę słońce w dzień.

- Czy i pan przyjechał tu na te przeklęte łososie? - pyta Georg Beandasch po chwili milczenia.

- Łososie? Są jeszcze w tej rzece?

- Jest tylko jeden i nie daje się złapać, bestia przeklęta.

- Jeden tylko?

- Jeden jedyny. Ale to ogromne bydlę, niebywale chytre i odważne. Generał von Heunert zażądał posiłków z Rovaniemi. Nie wyjedzie z Inari, dopóki go nie złowi.

- Posiłków?

- Generał - mówi Georg Beandasch - to zawsze generał, nawet wtedy, kiedy poluje na łososia. Od dziesięciu dni mokniemy w wodzie aż po brzuchy. Dziś w nocy już-już mieliśmy go schwytać. Chcę powiedzieć, że dzisiejszej nocy mało brakowało, a byłby się wpakował między nasze nogi. Podpłynął bliźutko, ale nie wziął przynęty. Generał jest wściekły. Mówi, że łosoś sobie z nas drwi.

- Drwić sobie z was!

- Drwić sobie z niemieckiego generała! - mówi Georg Beandasch. - Ale jutro nareszcie przybędą posiłki, których generał zażądał z Rovaniem.

- Batalion strzelców alpejskich?

- Nie, zwykły kapitan strzelców alpejskich, kapitan Karl Springenschmid, specjalista od pstrągów alpejskich. Springenschmid jest z Salzburga. Nie czytał pan jego książki „Tyrol nad Oceanem Atlantyckim”? Tyrolczyk jest zawsze Tyrolczykiem, nawet na wybrzeżu Oceanu Lodowatego Północnego; jeżeli jest specjalistą od pstrągów, potrafi chyba złowić też łososia, nie sądzi pan?

- Pstrąg to nie łosoś - powiadam z uśmiechem.

- Któż wie? Kapitan Springenschmid mówi „tak”, a generał von Heunert mówi „nie”. Okaze się, kito ma rację.

- To niegodne niemieckiego generała żądać posiłków przeciwko jednemu łososiowi.

- Generał - mówi Georg Beandasch - jest zawsze generałem, nawet jeśli ma do czynienia z jednym tylko łososiem. W każdym razie kapitan Springenschmid będzie się musiał ograniczyć do udzielenia jakichś praktycznych rad. Generał chce tego dokonać osobiście. Dobranoc.

- Dobranoc.

Georg Beandasch opada na wznak i zamyka oczy. Ale zaraz otwiera je znowu, siada na łóżku, pyta mnie o imię, nazwisko, imię ojca, datę i miejsce urodzenia, narodowość, wyznanie i rasę, zupełnie jakby przesłuchiwał oskarżonego. Następnie wyciąga spod poduszki butelkę wódki i napełnia dwa kieliszki.

- Prosit.

- Prosit.

Kładzie się znowu na wznak i z uśmiechem zasypia. Słońce świeci mu prosto w twarz, cała chmura komarów krąży w pokoju. Zapadam w sen.

Spałem już może kilka godzin, kiedy do moich uszu zaczął docierać daleki dźwięk kastanietów. Beandasch spał głęboko, z twarzą osłoniętą siatkową maską przeciw komarom; wyglądał jak antyczny sieciarz konający na piasku cyrkowej areny. Łagodny, miły dźwięk kastanietów zbudził mnie nagle. A przy tym szelest trawy i świst przecinających powietrze gałęzi. Tak, to był na pewno klekot kastanietów. Długa, nie kończąca się procesja musiała przeciągać pod oknem. Korowód hiszpańskich tancerek, nocna procesja tancerek z Sewilli udająca się do sanktuarium Matki Boskiej, Virgen de la



Macarena. Trzaskają w kastaniety, z prawym ramieniem wdzięcznie wygiętym nad głową, z lewą ręką wspartą na biodrze.

Dźwięk kastanietów przybierał na sile, był coraz wyraźniejszy, coraz bliższy. (Brakowało tylko, do wtóru, owych zapachów, które zawsze towarzyszą klekotaniu kastanietów: zapachu wędnących kwiatów, naleśników i kadzidła.) Setki, wiele setek kastanietów. Nie kończąca się procesja andaluzyjskich tancerek, jak gdyby zamknięta w migotliwym futerale zimnego blasku nocnego słońca. Nie towarzyszyły jej okrzyki tłumów ani wystrzał z moździerzy, ani tryumfalne dźwięki orkiestry. Tylko to suche, coraz bliższe klaskanie kastanietów.

Zerwałem się z łóżka, zbudziłem mojego towarzysza; Georg Beandasch uniósł się na łokciach, natężył słuch, spojrział na mnie z ironicznym uśmieszkiem i wyjaśnił w właściwy sobie jasny, precyzyjny sposób:

- To są reny. Dwa paznokcie zawieszane za kopytami tylnych nóg w biegu uderzają o siebie, dając ten efekt kastanietów. Pan także - dodał po chwili - wziął reny za hiszpańskie tancerki? Pierwszego wieczora generał von Heunert także tak myślał. Musiałem sprowadzić mu rena do pokoju o drugiej w nocy.

Splunął na podłogę i zasnął nie przestając się uśmiechać.

Wyjrzałem oknem. Stado kilkuset sztuk renów galopowało (brzegiem lasu w kierunku rzeki. Była to jakby zjawa krainy śródziemnomorskiej w hiperborejskich lasach, zjawa ciepłej ziemi Południa. Zjawa Andaluzji wygranej słońcem, ociekającej tłustym sokiem oliwek. Wąchałem zimne, jałowe powietrze czując w nim, wbrew oczywistości, woń ludzkiego potu.

Nocne słońce padało z ukosa na małe wysepki rozsiane na środku jeziora, zabarwiając je krwawą czerwienią. Daleko, w wiosce Inari, żałośnie wył pies. Niebo całe było okryte rybią łuską, migoczącą w oślepiającym, zimnym świetle. Wracając w kierunku jeziora z Kurtem Franzem, schodziliśmy w dół po lesistym zboczu wzgórza. Pośród stu wysepek rozsypanych na powierzchni jeziora widniała święta wysepka Lapończyków, Ukonsaari, najświętniejsze sanktuarium pogańskie w całym okręgu Inari. Tam to, na tę wysepkę stożkowatego kształtu, którą nocne słońce zabarwia czerwono niby stożek wulkanu, dawni Lapończycy zjeżdżali się wiosną i jesienią, żeby złożyć swoim demonom ofiarę z renów i psów. Dziś jeszcze Ukonsaari budzi w Lapończykach zbożny lęk, zawijają do brzegu wysepki tylko w jakichś okolicznościach, gnani podświadomym wspomnieniem, a może i nostalgią, odwiecznych pogańskich obrzędów.

Usiedliśmy pod drzewem i odpoczywaliśmy zapatrzeni w ogromną, srebrzystą tafłę jeziora w zimnym świetle nocnego słońca. Wojna była od nas daleko, nie czułem już dokoła siebie żałosnej woni człowieka - spoconego, sponiewieranego, zgłodniałego czy martwego człowieka, woni, która zatruwała powietrze w krajach udręczonej Europy. Tutaj czułem tylko zapach żywicy, zimny zapach arktycznej przyrody, zapach drzew, wody, ziemi i leśnego zwierza. Kurt Franz kurzył swoją krótką norweską fajeczkę kupioną w „Sekatavara Kauppa” pana Juho Nykänena. Obserwowałem go kącikiem oka i dyskretnie wąchałem. Był człowiekiem jak inni, jak ja, a przecież pachniał jak leśny zwierz. Był to zmieszany zapach wiewiórki, lisa, rena. Zapach wilka. Tak, to był zapach wilka w lecie, kiedy głód nie czyni go okrutnym. Zapach wilka w lecie, kiedy to świeża trawa, ciepły wiatr, wody

wolne od lodu, szemrzące po lasach tysiącem strumyczków w drodze do pogodnego jeziora, roztopiają jego okrucieństwo, jego dzikość, gaszą jego pragnienie krwi. Zapach wilka sytego, odpoczywającego w błogim spokoju. Po raz pierwszy w ciągu trzech lat wojny czułem się pogodnie w obecności Niemca. Byliśmy daleko od wojny, poza jej zasięgiem, poza ludzkością, poza czasem. Wojna była od nas daleko. Czułem zapach wilka w lecie, Niemca po skończonej wojnie, kiedy nie taknie już krwi.

Kiedyśmy zeszli ze wzgórza i wynurzyli się z lasu w pobliżu wsi Inari, zobaczyłem miejsce ogrodzone wysoką palisadą z białych pni brzoźowych.

- To Golgota renów - powiedział Kurt Franz. - Jesienny rytuał uboju renów to coś w rodzaju lapońskiej Wielkanocy, przypomina ofiarę Baranka. Ren jest Chrystusem Lapończyków.

Weszliśmy do środka obszernej zagrody. W zimnym, ostrym świetle ukazuje się moim oczom przedziwny, niezwykły las: wiele tysięcy renach rogów, gdzieśgdzie tworzących fantastyczną gęstwinę, to znów bardziej rozrzuconych albo wręcz samotnych jak pojedyncze krzaki kości. Lekki nalot pleśni zielonej, żółtej i purpurowej okrywa rogi najstarsze. Wiele jest też młodych, delikatnych, nie pokrytych jeszcze twardą zrogowaciałą skorupą.

Jedne są szerokie i płaskie, o regularnych odgałęzieniach, inne mają kształt noży, sterczą z ziemi na podobieństwo stalowych kling. W jednym kącie zagrody piętrzy się ogromny stos z wielu tysięcy renich czaszek podobnych z kształtu do achajskich hełmów o trójkątnych otworach ocznych w twardej kości czołowej, białej i gładkiej. Wszystko to przypomina cmentarzysko wojowników poległych na polu bitwy. Zwierzęcy wawóz Rancevaux. Nie ma tu jednak żadnych śladów walki. Nic, tylko spokój, wzniosły, uroczysty spokój. Podmuch wiatru przelatuje nad łąką, muska żdźbła trawy, które chwieją się lekko pośród nieruchomych kościanych drzew tego niezwykłego lasu.

Jesienią stada renów wiedzone instynktem, jakimś tajemnym wołaniem, przebiegają olbrzymie przestrzenie dążąc ku tym swoim leśnym Golgotom, gdzie czekają na nie lapońscy pasterze przykucnięci na piętach, odrzuciwszy na karki „kapelusze czterech wiatrów”, każdy z krótkim lśniącym puukko zaciśniętym w drobnej dłoni. (Zdumiewające, jakie małe i delikatne ręce mają Lapończycy. Najmniejsze, najdelikatniejsze ręce na świecie. Cudowne narzędzie, precyzyjnie zrobione z najsilniejszej stali. Smukłe palce, cierpliwe i dokładne jak szczypczyki zegarmistrza z Chaiux-de-Fonds albo szlifierza diamentów z Amsterdamu.) Reny uległy i łagodnie poddają swoją arterię szyjną śmiertelności ostrzu puukko. Umierają bez jęku, z patetycznym, desperackim spokojem. „Jak Chrystus” - mówi Kurt Franz. Trawa wewnątrz ogrodzenia jest bujna, pojona obficie krwią. Ale listeczki niektórych krzaków wyglądają jak spalone jakimś potężnym ogniem - może to ta płomienna krew tak je zabarwia na czerwono, tak je pali.

- Nie, to nie może być krew - mówi Kurt Franz - krew nie pali.

- Widziałem, jak od jednej kropli krwi płonęły całe miasta.- odpowiadam.

- Krew budzi we mnie odrazę. Jest czymś brudnym Brudzi wszystko, czego dotknie. Wymioty i krew to dwie rzeczy najbardziej mi wstrętne.

Przesunął ręką po czole pokrytym różowawymi plamami świerzbu. W bezzębnych dziąsłach zaciskał cybuszek swojej fajki, raz po raz wyjmował ją z ust, schylał się i spluwał z wściekłością na ziemię.

Szliśmy przez wieś; dwie kobiety, stare Laponki siedzące w progu chaty, patrzyły na nas spod przymkniętych powiek, z wolna obracając ku nam żółte, pomarszczone twarze. Siedziały przykucnięte na piętach, z krótkimi gipsowymi fajeczkami w ustach i rękami skrzyżowanymi na podołku. Mżył drobny deszcz; jakiś duży ptak polatywał nisko nad koronami sosen wydając monotony, ochrypły głos.

Przed hotelem generał von Heunert gotował się do wyruszenia na połów. Na nogach miał lapońskie buty z reniej skóry, sięgające do pól uda, spowity był cały w siatkę przeciwko komarom, ręce tkwiły po łokcie w rękawicach z psiej skóry. Stojąc w tym stroju przed hotelem czekał, aż lapoński służący skończy pakować worki z jedzeniem. Generał von Heunert był poza tym w pełnym rynsztunku bojowym: na głowie stalowy hełm, potężny mauser u pasa. Oparty na długim wędzisku jak staroniemiecki lancknecht na swojej lancy, od czasu do czasu rzucał jakieś słówko stojącemu obok kapitanowi strzelców alpejskich, barczystemu człowieczkowi o szpakowatych włosach i wesołej rumianej twarzy tyrolskiego górala. Za plecami generała, w należytej odległości, stał wyprężony na baczność Georg Beandasch, również w odpowiednich butach i rękawicach, uzbrojony i szczerze owinięty w siatkę ochronną, opadającą mu aż do stóp. Powitał mnie szybkim skinieniem głowy, a z ruchu warg domyśliłem się, że szepcze sobie bezgłośnie jakieś wdzięczne berlińskie przekleństwa.

- Tym razem - zwrócił się do mnie generał von Heunert - mam już zwycięstwo w ręku.

- Niezbyt się panu szczęściło dotychczas - powiedziałem.

- Tak i ja uważam, szczęście mi nie dopisało - rzekł generał von Heunert. - Ale kapitan Springenschmid jest innego zdania. Powiada, że to moja własna wina: łososie są kapryśne i uparte, a ja nie dosyć się liczę z ich usposobieniem. To wielki błąd. Na szczęście kapitan Springenschmid poinstruował mnie odnośnie humorów pstrągów i teraz...

- Pstrągów? - wtrąciłem pytająco.

- Pstrągów. Dlaczego nie? - rzekł generał. - Kapitan Springenschmid, specjalista od połowu pstrągów, sławny na cały Tyrol, twierdzi, że tyrolskie pstrągi mają takie same humory jak lapońskie łososie. Nieprawdaż, kapitanie Springenschmid?

- Jawohl! - potwierdził kapitan Springenschmid z ukłonem. I zwracając się do mnie dodał po włosku, tym miękkiem akcentem, jaki mają Tyrolczycy, kiedy mówią po włosku: - Pstrągom nie należy nigdy okazywać, że się człowiekowi spieszy. Trzeba mieć cierpliwość. Cierpliwość mnicha. Z chwilą kiedy pstrąg zrozumie, że wędkarz ma dość czasu i cierpliwości, staje się nerwowy, podnieca się i łatwo popełnia głupstwa. Pstrągi...

- Tak, pstrągi - powiedziałem - ale łososie?

Łososie są takie same - rzekł kapitan Springenschmid z uśmiechem. - Pstrąg nie jest cierpliwym stworzeniem; męczy go czekanie i wychodzi na spotkanie niebezpieczeństwa. Jeżeli chwyci przynętę, jest zgubiony. Powoli, delikatnie wędkarz przyciąga go do siebie. To już dziecinna zabawa. Pstrągi...

- Tak, pstrągi - powtórzyłem - ale łososie?

- Łososie - oświadczył kapitan Springenschmid - to po prostu większe pstrągi. Na krótko przed wojną, w Landeck, w Tyrolu...

- Zdaje się - rzekł generał von Heunert - że mój łośoś jest najwspanialszym okazem łośosia, jakiego kiedykolwiek widziano w tutejszych rzekach. Ogromna bestia niezwyklej odwagi. Dość powiedzieć, że któregoś dnia mało brakowało, a byłby mnie uderzył pyskiem w kolana.

- To bezczelny łośoś - powiedziałem. - Zasłużył na karę.

- Przekłęte bydłę - rzekł generał - jedyny łośoś, jaki pozostał w Juutuanjoki. Prawdopodobnie wbił sobie w głowę, że uda mu się wypędzić mnie z rzeki siłą i pozostać jedynym jej panem. Zobaczmy, kto jest bardziej uparty, łośoś czy Niemiec - i zaczął się śmiać, szeroko otwierając usta, aż rozkołysały się fałdy obszernej moskitiery.

- Może drażni go pański mundur, panie generale - podsunąłem. - Powinien by pan ubrać się po cywilnemu. To nie jest fair play udać się na połów łośosia w generalskim mundurze.

- Was? Was sagen Sie, bitte? - zapytał generał nagle zachmurzony.

- Temu pańskiemu łośosiowi - wyjaśniłem - brak widocznie poczucia humoru. Może kapitan Springenschmid umiałby powiedzieć, jak należy postępować z łośosiem pozbawionym poczucia humoru.

- Z pstrągami - rzekł kapitan - potrzeba chytrłości. Pan generał powinien udawać, że wszedł do rzeki z zupełnie innego powodu, niż sobie pstrąg wyobraża. Pstrągi trzeba /brać podstępem.

- Tym razem nie umknie mi - oświadczył generał stanowczo.

- I nauczy pan łośosie szacunku dla niemieckich generałów - zakończyłem ze śmiechem.

- Ja, ja! - wykrzyknął generał. Ale zaraz nachmurzył się i spojrzął na mnie podejrzliwie.

W tej chwili w drzwiach hotelu ukazała się pani Irjaa Palmunen Himanka, a za nią Pekka z tacą, na której stała butelka wódki i kieliszki. Podeszła z uśmiechem do generała, napełniła kieliszki i podała najpierw generałowi, a potem każdemu z nas kieliszek wódki.

- Prosit - rzekł generał von Heunert wznosząc kieliszek.

- Prosit - powtórzyliśmy chórem.

- Für Gott und Vaterland - powiedziałem.

- Heil Hitler - odrzekł generał.

- Heil Hitler - powtórzyła chórem reszta.

Nadeszło tymczasem dziesięciu alpenjägerów owiniętych w siatki od komarów i uzbrojonych w pistolety maszynowe. Był to patrol mający eskortować generała aż do rzeki, a następnie obstać oba brzegi, by chronić generała w czasie połowu na wypadek jakiejś niespodzianki ze strony rosyjskich czy norweskich partyzantów.

- Idziemy - rzekł generał.

Ruszyliśmy w milczeniu, eskortowani z przodu i z tyłu przez żołnierzy. Niedostrzegalny deszczyk szemrał w liściach dokoła nas. Z wierzchołka drzewa odezwał się jakiś ptak, stado renów przemknęło w galopie, z dźwiękiem kastanietów, pomiędzy pniami sosen. W zimnym świetle nocnego słońca las wyglądał jak ze srebra. Szliśmy długo brzegiem rzeki, brodząc po kolana w mokrej od deszczu trawie. Georg Beandasch spoglądał na mnie ukradkiem, z miną zbitego psa. Raz po raz generał von Heunert odwracał się patrząc w milczeniu na Beandascha i Springenschmida. „Jawohl!” - odpowiadali obaj jednocześnie na jego nieme pytanie, podnosząc prawą dłoń do krawędzi stalowych hełmów. Nareszcie, po jakiej godzinie marszu, doszliśmy do bystrzyn.

Juutuanjoki w tym miejscu rozlewa się w szerokie łóżysko usiane złomami ciemnego granitu, wystającymi ze spienionego, gwałtownego, ale niezbyt głębokiego nurtu. Pekka i inni Lapończycy, niosący przybory wędkarskie i worki z prowiantem, zatrzymali się pod osłoną skalnej ściany. Część żołnierzy eskorty rozstawiła się wzdłuż brzegu, pozostali przeszli w bród na drugi brzeg i objęli tam wartę, obróceniu do rzeki plecami. Generał obejrzał uważnie swoją wędkę, wypróbował działanie przyrządu do skracania i rozpuszczania żyłki, po czym zwracając się do Beandascha i Springenschmida rzucił: „Idziemy” - i wszedł w wodę, a za nim dwaj oficerowie. Ja zostałem na brzegu i usiadłem pod drzewem obok Kurta Franza i Victora Maurera.

Szum rzeki był głośny, pełny, śpiewny, to łamał się w krzyku, to przycichał w głęboki, poważny ton. Stojąc pośrodku nurtu, zanurzony aż po brzuch w lodowatą wodę, generał trzymał wędzisko, jakby to był karabin, i rozglądał się dokoła, pewnie po to, żeby się wydawało, że znajduje się w tym miejscu i o tej porze, pośrodku rzeki, w zupełnie innym celu, niż to sobie łośoś wyobraża. Beandasch i Springenschmid stali u jego boku, nieco l tyłu, w postawie wyrażającej pełnię wojskowego szacunku. Pekka i pozostali Lapończycy siedzieli kołem, paląc fajki i przyglądając się generałowi w milczeniu. Ptaki darty się w gałęziach sosen.

Minęło około dwóch godzin, kiedy nagle łośoś zaatakował generała von Heunerta. Długa wędka szarpnęła, wygięła się w łuk, zadrgała, naprężyła się, generał zachwiał się na nogach, zrobił krok w przód, jeden, potem drugi, zakołysał się w kolanach, na koniec oparł się dzielnie niespodziewanemu atakowi. Walka rozpoczęła się. My wszyscy na brzegu - Lapończycy, żołnierze z eskorty, Kurt Franz, Victor Maurer i ja - obserwowaliśmy scenę z zapartym tchem. Generał ruszył nagle przed siebie długimi, ciężkimi krokami i posuwał się z prądem, mocno stawiając nogi, wspierając się prawą nogą to o jeden, to o drugi złom granitu, ustępując po trochu, z rozmyślną powolnością. (Taktyka nie była nowa nawet dla niemieckiego generała, gdyż połów łośosi tego wymaga, żeby ustępować terenu posuwając się naprzód.) Co chwila zatrzymywał się, umacniał swoje z trudem zdobyte pozycje - należałoby powiedzieć utracone, posługując się językiem używanym przy połowie łośosi - przeciwstawiał się z uporem nieustannym, wściekłym zrywam przeciwnika, aż wreszcie pomalutku, ostrożnie manewrując stalową korbą, zaczął nawijać żyłkę na szpulkę, ciągnąc ku sobie walecznego łośosia. Ten też, ze swej strony, ustępował po trochu, z rozmyślną powolnością, to wynurzał z wody srebrzystoróżowy lśniący grzbiet, wzbijając silnymi uderzeniami ogona słupy spienionej wody, to sunął po powierzchni długim pyskiem, ukazując rozchylane wargi i wypukłe, nieruchomo patrzące oczy. A skoro tylko znalazł oparcie z dwóch kamieni, pomiędzy które mógł się zaklinować, następowało nagłe, mocne szarpnięcie, łośoś ciągnął przeciwnika w swoją stronę, w dół rzeki, wzdłuż dźwięcznej jak stal żyły nurtu. Tym ofensywnym próbom łośosia generał przeciwstawił swój twardy upór niemiecki, swoją pruską pychę, swoją miłość własną i poczucie, że w grę wchodzi nie tylko jego prestiż osobisty, ale i honor jego munduru. Wyteżał głos w krótkim, ochrypłym okrzyku:

„Achtung!”, odwracał głowę i wykrzykiwał do Beandascha i Springenschmida jakieś słowa, zagłuszone szumem rzeki, chwilami ostrym, chwilami poważnym i uroczystym. Ale jakąż pomocą mógł służyć w takich chwilach swojemu generałowi biedny Georg Beandasch, jak miał go podeprzeć w walce z takim łososiem? Cóż mógł poradzić biedny Springenschmid wobec takiego pstrąga? Za każdym dalszym krokiem generała Georg Beandasch i kapitan Springenschmid mogli jedynie postąpić także krok naprzód. I tak, krok za krokiem, generał i jego dwaj oficerowie przebyli spory kawał rzecznej nurtu, holowani przez silnego i dzielnego łososia.

Już ze trzy godziny trwała ze zmiennym szczęściem ta walka, kiedy zacząłem dostrzegać ironiczne uśmiešky na żółtych, pomarszczonych twarzach Pekki i pozostałych Lapończyków, siedzących w zbitej gromadce z gipsowymi fajeczkami w zębach. Spojrzałem na generała. Był tam wciąż, na środku rzeki, w pełnym bojowym rynsztunku, w stalowym hełmie na głowie, z wielkim mauserem u pasa, spowity w fałdy moskitiery. Szerokie czerwone lampasy jego generalskich spodni lśniły w martwym świetle nocnego słońca. Wydawało się, że brak mu sił, aby opierać się dłużej gwałtownym atakom przeciwnika. Coś się w nim rodziło nowego - czułem to, odgadywałem z niecierpliwych gestów, z wyrazu wściekłości na twarzy, z tonu, jakim krzyczał raz po raz: „Achtung!”, tonu, w którym brzmiała zraniona pycha, niepokój, strach. Generał był zirytowany i przerażony. Bał się, jak on będzie w tym wszystkim wyglądał. Walczył z łososiem już trzy godziny; nie przystoi niemieckiemu generałowi przez tak długi czas dać się trzymać w szachu jednej jedynej rybie. Zaczynał się obawiać, że nie wyjdzie z tej walki zwycięsko. Gdybyż przynajmniej był sam: ale działo się to w naszych oczach, pod ironicznymi spojrzeciami Lapończyków, w oczach żołnierzy z eskorty rozstawionych po obu brzegach rzeki. A poza tym był już precedens Rosji. Trzeba było z tym skończyć. Cierpiała tu jego godność, godność niemieckiego generała, wszystkich niemieckich generałów, całej niemieckiej armii. No i był jeszcze ten precedens Rosji.

Generał von Heunert odwrócił się raptem w stronę Beandascha i krzyknął ochryplym głosem:

- Genug! Erschießt ihn! Dość tego! Zastrzelić go!

- Jawohl! - odpowiedział Beandasch i ruszył w dół rzeki powolnymi, ciężkimi krokami. A kiedy doszedł do łososia, który rzucał się w spienionej wodzie, ciągnąc za sobą generała, stanął, wyciągnął pistolet z kabury, pochylił się nad walecznym stworzeniem i z bliska dwukrotnie strzelił mu w głowę.

## Część szósta

### Muchy

## XVIII. Golf handicaps

O, nie, Bogu dzięki! - wykrzyknął Sir Erie Drummond, pierwszy Lord Perth, ambasador J.K.M. Króla Anglii przy Kwirynale. Był to jesienny dzień w roku 1935.

Słońce przedarło się przez różową, zielono obrzeżaną chmurę, złocisty promień zatańczył na stole, aż zadźwięczały kryształły i porcelana. Rozległa równina Agro Romano roztaczała przed naszymi oczyma

głębokie perspektywy żółtawej trawy, brunatnej ziemi i zielonych drzew z jaśniejącymi samotnie w październikowym słońcu marmurowymi grobowcami i czerwonymi łukami akweduktów. Grób Cecylii Metelli płonął żywym ogniem jesieni, pinie i cyprysy wzdłuż Via Appia kołysały się w powiewach wiatru pachnącego tymiankiem i wawrzynem.

Śniadanie dobiegało końca, słońce załamywało się w kryształach kieliszków, delikatny aromat porto unosił się w powietrzu o barwie miodu, ciepłym i słodkim. Dokoła stołu pół tuzina rzymskich księżnych amerykańskiego lub angielskiego pochodzenia uśmiechało się do Bobby, córki Lorda Perth, niedawno poślubionej młodemu hrabiemu Sandy Manassei. Bobby opowiadała właśnie, jak to Beppe, ślepy na jedno oko dozorca kabin kąpielowych w Forte dei Marmi, w dniu, kiedy flota brytyjska - w momencie najsilniejszego naprężenia dyplomatycznego między Anglią i Italią w związku z kwestią etiopską - wpłynęła w szyku bojowym na Morze Śródziemne, powiedział jej: „Anglia jest jak Mussolini: zawsze ma rację, szczególnie wtedy, kiedy jej nie ma.”

- Czy pan rzeczywiście uważa, że Anglia ma zawsze rację? - zwróciła się do Lorda Perth księżna Dora Ruspoli.

- O, nie, Bogu dzięki! - wykrzyknął Lord Perth czerwieniąc się.

- Ciekawa jestem - odezwała się księżna Jane di San Faustino - czy prawdziwa jest historyjka o caddy'm i Home Fleet.

Kilka dni po pojawieniu się floty brytyjskiej na Morzu Śródziemnym Lord Perth grał w golfa. Zdarzyło się, że półka wskoczyła w kałużę błotnistej wody. „Przynies mi piłkę” - powiedział Lord Perth do chłopca. „Czemu pan nie pośle po nią waszej floty?” - odparł mały rzymski caddy. Anegdotka przypuszczalnie była zmyślona, niemniej ubawił się nią serdecznie cały Rzym.

- What a lovely story! - wykrzyknął Lord Perth.

Słońce świeciło prosto w twarz Lorda Perth ujawniając złośliwie w karnacji jego czoła, delikatnie różowej, w zarysie ust, w przejrzystym błękitnie oczu to coś dziecięcego i kobiecego, co ma w sobie każdy „dobrze urodzony” Anglik: ową zadziwiającą nieśmiałość, tę barwę niewinności, tę młodzieńczą wstydlivość, która z upływem lat i wzrostem odpowiedzialności i zaszczytów nie więdnie i nie przygasa, lecz, przeciwnie, rozkwita w późnym wieku przejawiając się w dziwnej zdolności rumienienia się przy byle okazji i nawet bez powodu, zdolności, która u Anglików kojarzy się z siwizną. Dzień był złocisty i ciepły, pogodny dzień jesienny; grobowce przy Via Appia, rozłożyste pinie, zielona i żółta równina Agro, ów krajobraz smętny i uroczysty, tworzyły dokoła różowego oblicza Lorda Perth ramę znakomicie harmonizującą z jego jasnym czołem, błękitnymi oczyma, siwymi włosami i nieśmiałym, lekko melancholijnym uśmiechem.

- Britannia may rule the waves, but she cannot waive the rules<sup>43</sup> - powiedziałem z uśmiechem.

Wszyscy dokoła roześmiali się, a Dora Ruapoli powiedziała w swój gwałtowny, szorstki sposób, machając prawą ręką i wysuwając w stronę Lorda Perth śniadą twarz:

- To wielka siła narodu nie móc omijać praw tradycji, isn't it?

---

<sup>43</sup> Brytania może rządzić falami, ale nie może omijać praw.

- To rule the waves, to waive the rules... piękna gra słów, ale ja nie cierpię gry słów - rzekła Jane di San Faustino.
  - Hammen Wafer jest bardzo dumny z tego swego joke - powiedziałem.
  - Hammen Wafer to typowy gossip writer, kronikarz plotek, prawda? - zagadnęła Dora Ruspoli.
  - Coś w tym rodzaju - powiedziałem.
  - Czytał pan „New York” Cecila Beatona? - zapytał William Philips, ambasador Stanów Zjednoczonych, siedzący obok Cory Antinori.
  - Cecil to bardzo sympatyczny chłopak - rzekła córka Williama Philipsa, Beatrice albo Bi, jak ją nazywali jej przyjaciele.
  - A jego książka urocza - dodała Cora Antinori.
  - Szkoda - odezwała się Jane di San Faustino - że Włochy nie posiadają pisarza w rodzaju Cecila Beatona. Pisarze włoscy są prowincjonalni i nudni. Brak im sense of humour.
  - To nie jest wyłącznie ich wina - powiedziałem. - Italia jest prowincją, a Rzym stolicą prowincji. Czy może sobie pani wyobrazić książkę o Rzymie napisaną przez Cecila Beatona?
  - Czemu nie? - wtrąciła się Dorothy di Frasso. - Pod względem plotek Rzym nie ma czego zazdrościć Nowemu Jorkowi. Rzym cierpi nie na brak plotek, ale na brak takiego gossip writer jak Cecil Beaton. Dość pomyśleć o wszystkich plotkach na temat papieża i Watykanu. Co do mnie, to nigdy nie wywołałam tylu plotek w Nowym Jorku, ile ich wywołuję stale w Rzymie. A cóż dopiero pani, my dear!
  - Na mój temat nikt nigdy nie robił plotek - rzekła Dora Ruspoli rzucając Dorocie spojrzenie pełne obrażonej godności.
  - Traktuje się nas po prostu jak wesołe dziewczynki, comme des poules - rzekła pogodnie Jane di San Faustino - a to nas bądź co bądź odmładza.
- Wszyscy zaczęli się śmiać, a Cora Antinori wyraziła przypuszczenie, że życie na prowincji nie jest jedyną przyczyną sprawiającą, iż pisarze włoscy są nudni. „Na prowincji także mogą być zabawni pisarze.”
- W gruncie rzeczy Nowy Jork jest też prowincjonalnym miastem.
  - Quelle idée! - wykrzyknęła Jane patrząc na Dorę pogardliwie.
  - Częściowo zależy to także od rodzaju języka - zauważył Lord Perth.
  - Język ma ogromne znaczenie - powiedziałem - nie tylko dla pisarzy, ale dla całych narodów i państw. Wojny są, w pewnym sensie, błędami składni?
  - Albo po prostu błędami wymowy - dorzucił William Philips.



- Rzeczywiście, nie są to już czasy, kiedy słowo „Italia” i słowo „Anglia” pisało się odmiennie, ale wymawiało jednakowo.

- Możliwe - rzekł Lord Perth - że chodzi tu po prostu o kwestię wymowy; zadaję sobie to pytanie po każdej rozmowie z Mussolinim.

(Wyobraziłem sobie rozmowę Lorda Perth z Mussolinim w ogromnej sali Palazzo Venezia.

- Niech wejdzie ambasador Anglii - mówi Mussolini do Navarry, swojego głównego odźwiernego.

Drzwi otwierają się, posłuszne dyskretnemu skinieniu Navarry, Lord Perth ukazuje się w progu i kroczy powoli po lśniącej marmurowej posadzce w kierunku masywnego orzechowego stołu, ustawionego przed monumentalnym szesnastowiecznym kominkiem. Mussolini czeka stojąc, oparty o stół albo o kominek, czeka uśmiechnięty, a po chwili rusza na jego spotkanie: i oto już obaj stoją naprzeciw siebie, Mussolini, jakby skupiony wewnątrz, a jednocześnie naprężony w nieustającym wysiłku zachowania dostojności i uprzejmości zarazem, kołtase olbrzymią głową, wzdętą, białą, okrągłą, tłustą, łysą, której stercząca za uchem, na potylicy, narośl przydaje okropnego ciężaru. Lord Perth wyprostowany, uśmiechnięty, ostrożny i nieśmiały, z obłoczkami lekkiego dziecięcego rumieńca na czole. Mussolini wierzy w siebie, jeśli w ogóle w cośkolwiek wierzy; nie wierzy tylko w to, by nie dało się pogodzić logiki ze szczęściem, woli z przeznaczeniem. Jego głos jest ciepły, poważny, a jednak delikatny. Głos, w którym wyczuwa się dziwne, głębokie akcenty jak gdyby kobiece, coś chorobliwie kobiecego. Lord Perth nie wierzy w siebie. Oh, no, thank God! Wierzy natomiast w siłę, prestiż i wiecznotrwałość floty brytyjskiej i Banku Angielskiego, w sense of humour floty i fair play Banku Angielskiego. Wierzy w ścisły związek zachodzący między boiskami sportowymi Eton i polem bitwy pod Waterloo. Mussolini stoi przed nim, zupełnie sam: wie, że nie reprezentuje nic i nikogo. Reprezentuje wyłącznie siebie. A znów Lord Perth jest wyłącznie reprezentantem Jego Królewskiej Mości.

Mussolini mówi: „How do you do?” takim tonem, jakby mówił: „Chcę wiedzieć, jak się pan miewa”. Lord Perth mówi: „How do you do?”, jakby mówił: „Nie chcę wiedzieć, jak się pan miewa”. Mussolini mówi akcentem chłopca z Rumunii. Akcent Lorda Perth to akcent naukowca z Oxfordu, mającego dalekich krewnych w Szkocji, akcent Magdalen College, Hotelu pod Mitrą i Perthshire. Jego twarz jest uśmiechnięta, ale niewzruszona, jego wargi poruszają się lekko, zaledwie muskając słowa, jego spojrzenie jest głębokie i tajemnicze, jak gdyby patrzył z zamkniętymi oczyma. Twarz Mussoliniego jest biała i nalana, ukształtowana w maskę sztucznej pogody i wymuszonej uprzejmości, jego grube wargi zdają się wysysać słowa, jego oczy są szeroko rozwarte i okrągłe, jego wzrok nieruchomy i niespokojny zarazem. Wzrok człowieka, który wie, co jest pokerem, a co nim nie jest. A spojrzenie Lorda Perth jest spojrzeniem człowieka, który wie, co jest krykietem, a co nie jest krykietem.

Mussolini mówi: „I want” - „ja chcę”. Lord Perth: „I should like” - „pragnąłbym”. Mussolini mówi: „I don't want” - „ja nie chcę”. Lord Perth: „We can't” - „nie możemy”. Mussolini mówi: „I think” - „myślę”. Lord Perth: „I suppose”, „may I suggest”, „may I propose”, „may I believe” - „przypuszczam”, „czy wolno mi sugerować”, „czy wolno mi zaproponować”, „chciałbym wierzyć”. Mussolini mówi: „nieodwołalnie”. Lord Perth: „rather”, „maybe”, „perhaps”, „almost”, „probably” - „raczej”, „możliwe”, „nieomal”, „prawdopodobnie”. Mussolini mówi: „moja opinia”, Lord Perth: „opinia publiczna”. Mussolini: „rewolucja faszystowska”, Lord Perth: „Italia”. Mussolini: „król”, Lord Perth: „Jego Królewska Mość”. Mussolini mówi: „ja”, Lord Perth: „Imperium Brytyjskie”.

- Nawet Eden - powiedziała Dorothy di Frasso - miał pewne trudności w porozumieniu się z Mussolinim. Wygląda na to, że nie wymawiali tych samych słów w jednakowy sposób.

Dora Ruspoli zaczęła opowiadać zabawne incydenty, które podczas niedawnego pobytu Edena w Rzymie wzbudziły niezdrówie zaciekawienie w wyższym towarzystwie rzymskim. Natychmiast po śniadaniu, jakie wydał na jego cześć Lord Perth w ambasadzie brytyjskiej, Anthony Eden wyszedł z ambasady samotnie, pieszo. Była trzecia po południu. O szóstej jeszcze go nie było. Lord Perth zaczynał już się niepokoić. Na krótko przed zamknięciem Muzeów Watykańskich młody sekretarz ambasady francuskiej, który dopiero niedawno przybył do Palazzo Farnese wprost z Quai d'Orsay i spłacał w Rzymie, śladami Chateaubrianda i Stendhala, swoją daninę nowicjusza, błędząc po schodach i korytarzach muzeum spostrzegł siedzącego na pokrywie etruskiego sarkofagu, pomiędzy łopatką jakiegoś Herkulesa a smukłym, białym udem jakiejś Diany, młodego blondyna o delikatnym wąsiku, pogrążonego w lekturze małej książeczki oprawionej w ciemną skórę: były to, tak mu się przynajmniej zdawało, „Ody” Horacego. Młody sekretarz ambasady, porównawszy w myśli twarz samotnego czytelnika Horacego z fotografiami widniejącymi tego dnia na pierwszych stronach dzienników, poznał Anthony Edena, który w dyskretnym półmroku muzeum odpoczywał przy „Odach” od nudnej piły obiadów i przyjęć oficjalnych, rozmów i rokowań politycznych, a może także od owej niepokonanej nudy, jaka ogarnia każdego Anglika z wyższych sfer, kiedy zaczyna myśleć o sobie samym.

Odkrycie to, którym młody sekretarz ambasady francuskiej podzielił się naiwnie ze swymi kolegami i z trzema czy czterema rzymskimi księżętami spotkanymi w Klubie Myśliwskim czy w barze hotelu Excelsior, żywo poruszyło rzymskie „towarzystwo”, tak apatyczne z natury, z tradycji i przez próżność. Tegoż wieczora, na obiedzie u Isabelle Colonna, nie mówiło się o niczym innym. Isabelle była zachwycona. Ten drobny fakt biograficzny, zupełnie błahy, wydał jej się czymś niezmiernie wzniosłym. Eden i Horacy! Isabelle nie umiała sobie przypomnieć ani jednej linijki z Horacego, ale wyczuła natychmiast, że jest coś wspólnego między Edenem a starym, kochanym, czarującym facińskim poetą. Zła była na siebie, że nie odgadła już od dawna bez niczyjej pomocy, co mianowicie łączy Horacego z Edenem.

Na drugi dzień, poczynając od dziesiątej rano, cała śmietanka rzymska spotkała się, niby przypadkiem, w Muzeach Watykańskich, a każdy trzymał pod pachą albo ścisnął zazdrośnie w rękach egzemplarz Horacego. Ale Eden się nie pojawił i koło południa wszyscy rozeszli się z uczuciem głębokiego zawodu. W muzeum było gorąco i Isabelle Colonna przystanęła przy oknie razem z Dorą Ruspoli, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza i przeczekać, aż tous ces gens-là sobie pójdą. Kiedy zostały same, Isabelle odezwała się:

- Ma chère, miech pani popatrzy na ten posąg. Czy nie przypomina Edena? To z pewnością Apollo. Och, on jest podobny do Apollina, he's a wonderful young Apollo!

Dora zbliżyła się do posągu i przyjrzała mu się uważnie poprzez różowawą mgiełkę swojej krótkowzroczności.

- Ależ to nie jest Apollo, ma chère, proszę się przyjrzeć z bliska.

Był to posąg kobiecy, może Diana, może Wenus.

- Płeć jest w pewnych wypadkach bez znaczenia. Czy nie uważa pani, że mimo wszystko ta postać jest do niego podobna?

W przeciągu paru godzin Horacy stał się modny. Na stolikach Golf Clubu w Acquasanta, na bawełnianych serwetach w biało-czerwonej szkockiej kratce, obok torebki od Hermesa, paczki Cameli czy Gold Flake'ów, piłek golfowych marki Dunhill - nie brakowało nigdy Horacego à la Schiaparelli, czyli egzemplarza „Ód” w jedwabnej chusteczce czy pokrowcu, tak bowiem w ostatnim zeszycie „Vogue” Schiaparelli radził ochraniać książki przed szkodliwym działaniem rozgrzanego piasku plaż morskich czy wilgotnego pyłu terenów golfowych. Któregoś dnia znaleziono zapomniany na stoliku, kto wio, czy nie rozmyślnie, bardzo stary wenecki tomik „Ód” Horacego w cudownej szesnastowiecznej oprawie wyłóczanej złotem. Na okładce jaśniał (choć złoto zbladło trochę w ciągu wieków) herb Colonnów. Brak było wprawdzie herbu Sursocków, ale i tak wszyscy bez trudu odgadli, że to ulubiona „książka do poduszki” Isabelle.

Następnego ranka Eden udał się do Castel Fusano i za ledwie wiadomości o tym obiegła Rzym, istny korowód luksusowych maszyn pojawił się na szosie do Ostii. Ale Eden, po krótkiej kąpieli morskiej i słonecznej, opuścił już Castel Fusano co najmniej przed godziną. I wszyscy wrócili do Rzymu rozczarowani i zirytowani jedni na drugich. Wieczorem w domu Dorothy di Frasso nowa „pogoń za skarbem” była niemal wyłącznym tematem konwersacji i Dorothy nie oszczędziła w niej nikogo, z wyjątkiem Isabelle: Isabelle, jak twierdziła Dorothy, odkryła, że jeden z jej przodków, Sursocków, który spędził długie lata w Konstantynopolu za czasów Edwarda VII i w Londynie za panowania Abdul Hamida, przełożył „Ody” Horacego na język syryjski. Istniała więc jakaś więź między rodem Sursock, Horacym i, rzecz jasna, Edenem. Ta nieoczekiwana parantela z Anthonym Edenem napawała Isabelle zrozumiałą dumą. A potem Eden odjechał do Londynu zupełnie nagle i w klubie golfowym w Aequasanta wszyscy spoglądali na siebie podejrzliwie, jak zazdrośni kochankowie, i żałośnie, jak kochankowie rozczarowani. Isabelle, której ktoś po powrocie z Forte dei Marmi powtórzył niewinną złośliwośćkę Jane (była to aluzja do rytualnych uczt, jakie na Wschodzie urządza się po pogrzebie), w ostatniej chwili odwołała proszony obiad. A Dora pomknęła czym prędzej do Forte dei Marmi, żeby uraczyć Jane obfitym żniwem ploteczek z tego pasjonującego tygodnia.

- Ej, ty także, moja droga! - powiedziała jej Jane di San Faustino. - Widziałam z daleka twoją minę tego dnia. Powiedziałam sobie od razu: „Ça y est. Ją też chwyciło!”

- Cóż to za niezwykle miasto, ten Rzym - rzekł Lord Perth. - Wszystko staje się materiałem do stworzenia legendy, nawet zwykła światowa ploteczka. Otóż i Sir Anthony Eden wszedł do legendy. Wystarczył mu tydzień pobytu w Wiecznym Mieście, aby wkroczyć w wieczność.

- Tak, ale wyszedł z niej równie szybko, spryciarz! - odparła Jane.

Był to złoty wiek Golf Clubu, zaszczytne i szczęśliwe dni Acquasanty. Potem przyszła wojna i angielskie pole golfowe, course, stało się rodzajem hiszpańskiego deptaka, paseo, gdzie młode rzymskie damy defilowały przed oczyma Galeazza Ciano i jego dworu, kotysząc niedbale kijkami trzymanymi w drobnych białych rączkach. Gwiazda Galeazza, zrodzona z czerwonych dymów wojny, szybko wzniosła się wysoko nad widnokregiem i zdawało się, że dla Golf Clubu powróci wiek złoty, że nastaną nowe dni chwalebne i szczęśliwe; tyle tylko, że nazwiska, maniery, spojrzenia i stroje miały

teraz w sobie coś nazbyt nowego, barwy zbyt żywe, żeby nie budzić podejrzeń, czasem całkowicie niesłusznych, jakie budzą zazwyczaj ludzie zbyt nowi i zbyt nowe rzeczy w tym świecie zbyt starym, któremu autentyczności nie przydawała nigdy nowość ani młodość. Już sama nadmierna szybkość kariery Galeazza i jego dworu stanowiła wyraźną oznakę illegitymizmu, oznakę wręcz nieomylną.

Odjechali Anglicy, odjechali Francuzi, wielu innych obcych dyplomatów gotowało się do opuszczenia Rzymu. Dyplomaci niemieccy zajęli miejsce angielskich i francuskich. W stosunkach towarzyskich nastąpił wyraźny upadek; podejrzliwość, jakieś nieokreślone skrępowanie zastąpiły dawny swobodny wdzięk, pogodną ufność. Księżna Anne Marie von Bismarck, której jasna szwedzka twarz zdawała się wyhaftowana na błękitnym jedwabiu nieba na tle pinii, cyprysów i grobowców Via Appia, a także inne młode kobiety z ambasady niemieckiej miały uśmiech pełen nieśmiałego wdzięku, tym bardziej nieśmiałego, że czuły się obce w tym Rzymie, w którym każda inna cudzoziemka czuje się od razu rzymianką; ale jakiś żal unosił się w powietrzu, subtelny, łagodny żal.

Młodzińczy dwór Galeazza Ciano był raczej łatwy i szczodry: dwór próżnego i kapryśnego władcy, na który dostać się było można dzięki łasce kobiet i zostać stamtąd wypędzonym popadłszy niespodzianie w niełaskę władcy: targowisko uśmiechów, honorów, urzędów i prebend. Królową tego dworu była, jak być powinno, kobieta. Ale nie żadna spośród faworyt Galeazza, młoda i piękna, lecz taka, której faworytem był Galeazzo i której dominującą rolę rzymskie towarzystwo od dawna akceptowało, nie bez silnych początkowych oporów; zresztą ten rodzaj władztwa przypadał jej z tytułu nazwiska, rangi społecznej, bogactwa, a także płynął z przyrodzonej skłonności do intryg. Do tego dochodził jeszcze jakiś swoisty zmysł historyczny i świadomość społeczna, na wskroś klasowa, która przytłumiała w niej i tak dość słaby i niepewny zmysł polityczny.

Wspomagana, być może, swoją nie kwestionowaną już teraz pozycją pierwszej damy Rzymu, a może też dezorientacją, w jaką popadły wyższe sfery rzymskie pod wpływem nieładu wojennego i niepewności jutra, może wreszcie tymi miazmatami pogańskiej beznadziejności, jakie wślizgują się w zwapniałe żyły starych arystokracji katolickich w obliczu nadciągającej burzy, jeżeli nie korupcją zasad moralnych i obyczajów, która zazwyczaj poprzedza głęboko sięgające rewolucje - księżna Isabelle Colonna w krótkim czasie zdołała uczynić z pałacu na Piazza Santi Apostoli twierdzą owych zasad illegitymizmu, które na arenie politycznej i towarzyskiej reprezentował hrabia Galeazzo Ciano i jego dwór. Niespodzianką było to jedynie dla tych, którym nie znane są polityczne dzieje wielkich rodów rzymskich na przestrzeni ostatnich trzydziestu czy pięćdziesięciu lat i którzy, nie wtajemniczeni w „publiczne sekrety” rzymskiej śmietanki, nie wiedzieli, jaka jest naprawdę osobista pozycja Isabelle w rzymskim świecie.

To, że Isabelle przez szereg lat pełniła rolę niezłomnej westalki, strażniczki surowych zasad legitymizmu, nie zmienia faktu, iż „ta mała Sursock” (jak powszechnie zwano Isabelle w pierwszym okresie jej małżeństwa, kiedy przybyła do Rzymu z Kairu i Konstantynopola ze swoją siostrą Mathildą, żoną Alberta Theodolego) przez wiele osób uważana była za parweniuszkę, za intruza i że w doryckim porządku domu Golonnów reprezentowała porządek koryncki. Znalazłszy się później w obliczu owej Italii nielegitymistycznej, którą Mussolini i jego „rewolucja” wydzwignęli na zaszczytne wyżyny, Isabelle na przeciąg kilku lat, aż do zawarcia konkordatu, przyjęła postawę uprzejmej rezerwy, przyglądając się, rzec można, biegowi wypadków przez okno. Ułożyła swoje stosunki z „rewolucją” na zasadzie tego, co widziała z okien Palazzo Colonna, a uczyniła to z zachowaniem skrupulatnej etykiety i protokolarnych rygorów, stosowanych w słynnych kontraktach najmu z nieszczęsną Mrs Kennedy,

która przez długi czas zajmowała jako lokatorka apartament w Palazzo Colonna. W dniu, kiedy Isabelle otworzyła podwoje swego domu Italowi Balbo, „legitymistyczny” Rzym bynajmniej nie był zaskoczony, nie można też powiedzieć, aby nowość ta wywołała jakikolwiek skandal. Możliwe jednak, że nikt nie przejrzał do głębi istotnych przyczyn tej zmiany w postawie Isabelle oraz obecności Itala Balbo w salonach pałacu przy Piazza Santi Apostoli

Wojna stała się nie tylko dla Isabelle i dla rzymskiego towarzystwa, ale dla całego narodu włoskiego tym, co Hiszpanie określają terminem zaczerpniętym z walk byków, el momento de verdad - chwilą prawdy. Jest to moment, kiedy człowiek sam jeden ze szpadą w ręku staje naprzeciw byka. W takich to chwilach objawia się prawda o człowieku i o zwierzęciu stojących naprzeciw siebie. W takiej chwili zarówno z człowieka, jak i ze zwierzęcia opada wszelka próżność. Człowiek w tym ostatecznym momencie jest samotny i nagi w obliczu bestii, równie samotnej i nagiej. Na początku wojny, w owej „chwili prawdy”, Isabelle także poczuła się samotna i naga: to sprawiło, że otworzyła dostojne podwoje Palazzo Colonna przed Galeazzem Ciano i jego dworem, okazując przez to, że dokonała ostatecznego wyboru między zasadą legitymizmu a zasadą illegitymizmu i czyniąc z pałacu przy Piazza Santi Apostoli to, czym był pałac arcybiskupi w Paryżu za czasów kardynała de Retza, a z siebie samej - w pewnym sensie kardynała de Retza; w tej rezydencji, gdzie teraz zbierało się wszystko dwuznaczne, wszystko podrabiane, co ostatnio wypłynęło na powierzchnię w nowym Rzymie i nowej Italii, Isabelle rządziła jak królowa, nie rezygnując ze swojej dawnej, uprzejmej, usidlającej skłonności do tyranii. I Galeazzo figurował tam raczej jako narzędzie owej tyranii niż jako sam tyran.

Teraz już nie białe róże i nie czerwone zimowe poziomki - królewskie nowalijki, które aż do wojny nadchodziły codziennie samolotem z Libii w darze od Itala Balbo - były ozdobą stołu Isabelle (Italo Balbo już nie żył, nie żyły też może i zimowe poziomki z Libii), ale uśmiechnięte twarze, różane policzki i poziomkowe usta młodych kobiet, które Isabelle podsuwała, jako królewskie nowalijki, nienasyconej próżności Galeazza

W czasach krótkotrwałego panowania Itala Balbo les beaux esprits Rzymu, którzy się nie zmienili od czasów Stendhala, porównywali stół Isabelle do pola startowego „wzlotów” towarzyskich i politycznych, najwyższych i najbardziej ryzykownych. Stamtąd Balbo wyruszył na swoją przeprawę przez Atlantyk, stamtąd wystartował do swego ostatniego lotu. Obecnie stół Isabelle, odkąd królował przy nim Galeazzo Ciano, stał się czymś w rodzaju Ołtarza Ojczyzny: brak było jedynie pod nim szczątków nieznanego żołnierza. (Choć kto wie, może pewnego pięknego dnia znalazłyby się owe nieznanne zwłoki?) Młoda kobieta, która wzbudziła podziw Galeazza choćby w najbardziej przelotnym zetknięciu, ważny cudzoziemiec, ambitny galant czy dandy z Palazzo Chigi, spragniony awansu lub nominacji na atrakcyjną zagraniczną placówkę - każdy musiał dopełnić powinności, o którą zresztą usilnie na ogół zabiegano, złożenia Isabelle i Galeazzowi daniny w postaci biesiadnego wieńca z róż. Szczęśliwi wybrańcy przekraczali próg Palazzo Colonna z minami wtajemniczonych, a jednocześnie jawnych współników, niby uczestnicy spisku, ale spisku powszechnie znanego. Zaproszenie do domu przy Piazza Santi Apostoli nie miało już teraz żadnej autentycznej wartości towarzyskiej. Możliwe, że stanowiło walor polityczny. Ale co się tyczy i waloru politycznego owego zaproszenia, to wielu się na nim zawiodło.

Pierwsza, a może w ogóle tylko ona jedna, Isabelle zrozumiała - i to jeszcze zanim otworzyła podwoje Palazzo Colonna przed hrabią Galeazzem Ciano - że ten młody i uroczy minister spraw zagranicznych, szczęśliwy zięć Mussoliniego, w polityce i w życiu narodu wcale się nie liczy. Czemuż wobec tego

Isabelle zatknęła na szczycie Palazzo Colonna chorągiew Galeazza Ciano? Ci, nawet dość liczni, którzy naiwnie ją potępiali, że roztacza opiekę nad Galeazzem jedynie przez światową ambicję (trudno wyobrazić sobie śmieszniejszy zarzut) albo z namiętności do intryg, zapominali widocznie, że „pierwsza dama Rzymu” nie miała zgoła potrzeby podciągania swojej pozycji w świecie ani - tym mniej - jej bronięcia, i że w sojuszu i Galeazzem miała wszystko do stracenia, nic natomiast do zyskania. Wiadomo skądinąd, jakie były losy sojuszów zawieranych przez hrabiego Ciano. Trzeba tu oddać sprawiedliwość geniuszowi towarzyskiemu Isabelle i jej polityce społecznej: nikt, nie wyłączając Mussoliniego, nie mógłby panować w Rzymie na przekór Isabelle. W dziedzinie zdobywania władzy Isabelle nie potrzebowała się uczyć niczego i od nikogo: dokonała swojego „marszu na Rzym” wyruszywszy ze znacznie większej odległości, prawie dwadzieścia lat przed Mussolinim. I trzeba przyznać, że udało jej się to znacznie lepiej.

Przyczyny tego opętania Isabelle przez Galeazza są znacznie głębsze i bardziej skomplikowane. W społeczeństwie podupadającym, bliskim ostatecznej ruiny, w narodzie, w którym zasady legitymizmu historycznego, politycznego i społecznego nie posiadały już żadnego autorytetu, w tej Italii, której klasy ściśle związane z losami konserwatywnego społecznego utraciły wszelki prestiż, w kraju, który, jak to Isabelle wyczuła niezawodnym instynktem Sursocków, miał stać się wielkim lewantyńskim krajem Zachodu (pod względem obyczajów politycznych Rzym, znacznie bardziej niż Neapol, zasługiwał na definicję Lorda Roseberry: „jedynym na świecie wschodnie miasto nie posiadające dzielnic europejskiej”), w takiej właśnie Italii tylko zwycięstwo zasad illegitymizmu mogło zapewnić przetrwanie straszliwego kryzysu społecznego, jaki zapowiadała i przygotowywała wojna, czyli zrealizować ostateczny bezpośredni cel klas konserwatywnych w okresach ciężkich kryzysów społecznych: ocalić to, co jest do ocalenia możliwe. ,

Ponieważ wysuwali pod adresem Isabelle naiwny zarzut, że zdradziła sprawę legitymizmu. W języku śmietanki znaczy to, że przełożyła hrabiego Galeazza Ciano nad księcia Piemontu, który w oczach klas konserwatywnych personifikował zasadę legitymizmu, czyli ładu i zachowawczości, i wydawał się jedynym człowiekiem zdolnym zapewnić przewyciężenie kryzysu w ramach konstytucji. Jeżeli istnieje w Europie książę krwi naprawdę pełen zalet, to jest nim Humbert Sabaudzki. Jego wdzięk, uroda, dobroć, pogodna prostota, to właśnie te zalety, jakie naród włoski pragnie widzieć w swoich władcach. Ale brak mu było pewnych zalet koniecznych do spełnienia zadań, jakie nań nakładała jego klasa. Pod względem inteligencji książę Piemontu miał jej w sam raz tyle, ile - zdaniem innych - było mu potrzeba. A co się tyczy poczucia osobistego honoru, byłoby zniewagą powiedzieć, że go nie posiadał. Owszem, posiadał je: ale nie takie, jakie w chwili niebezpieczeństwa chcieliby widzieć w swoim władcy konserwatyści. W języku zatrwożonych konserwatystów termin „poczucie honoru” w odniesieniu do księcia krwi oznacza ów szczególny rodzaj honoru, który troszczy się o ocalenie nie tylko zasady monarchistycznej, nie tylko instytucji państwowych, nie tylko interesów dynastycznych, ale i tego, co stoi za ową zasadą, owymi instytucjami czy interesami - czyli ładu społecznego. Z drugiej strony, w otoczeniu księcia Piemontu nie było nikogo, kto przedstawiałby gwarancję, że rozumie, co termin „poczucie honoru” oznacza dla konserwatystów w dobie ciężkiego i groźnego kryzysu społecznego.

Co się tyczy księżnej Piemontu, w której wielu pokładało ogromne nadzieje, nie była ona kobietą, z którą Isabelle mogłaby dojść do porozumienia. W momentach groźnego kryzysu społecznego, kiedy w niebezpieczeństwie jest wszystko, nie zaś tylko rodzina królewska i jej dynastyczne interesy, ktoś taki, jak księżna Isabelle Colonna, z domu Sursock, nie może brać pod uwagę innego porozumienia

z księżną Piemontu niż na zasadzie całkowitej równości. Isabelle mówiła o niej „ta Flamandka” i epitet ten, w drwiących ustach Isabelle, wywoływał obraz jednej z owych filles plantureuses flamandzkiego malarstwa, rudowłosej, o bujnych biodrach i leniwych, łakomych ustach, Isabelle uważała, że pewne wypowiedzi księżnej Piemontu, jej dziwne i raczej nierozważne kontakty z ludźmi przeciwnymi monarchii czy wręcz z komunistami pozwalają sądzić, że księżna Piemontu chętniej słucha rad ze strony mężczyzn, nawet przeciwników, niż zwierzeń kobiet, nawet przyjaciółek. Nie ma przyjaciółek i mieć ich nie chce: taki wniosek wyciągała stąd Isabelle, ubolewając nad tym stanem rzeczy - nie ze względu na siebie, oczywiście, ale na cette pauvre Flamande.

Rzecz jasna, że między księciem Piemontu a hrabią Galeazzem Ciano wybór Isabelle musiał paść na tego drugiego. Ale wśród wielu względów, które skłoniły Isabelle do tego wyboru, jeden był wielką pomyłką. Nie ulegało wątpliwości, że z punktu widzenia politycznego i historycznego Ciano jest najautentyczniejszym reprezentantem zasad illegitymizmu, czyli tego, co klasy konserwatywne określały jako „oswojoną rewolucję” (rewolucja „oswojona” jest zawsze użyteczniejsza dla celów zachowawczych od reakcji „dzikiej”, czy po prostu bezmyślnej i nieudolnej).

Ale Isabelle popełniła fatalny błąd kierując się w wyborze dość rozpowszechnionym przekonaniem, jakoby Ciano był Anty-Mussolinim i personifikował nie tylko w rzeczywistości, ale i w świadomości włoskiego ludu jedną linię polityczną, mogącą „ocalić to, co jest do ocalenia możliwe”, czyli politykę przyjaźni z Anglią i Ameryką; jednym słowem, że Ciano jest, jeżeli nie tym „nowym człowiekiem”, którego wszyscy szukali i oczekiwali (trzydziestoletni Galeazzo był zbyt młody, żeby móc go uznać za „nowego człowieka” w kraju, gdzie ludzie zaczynają być „nowi” dopiero po przekroczeniu siedemdziesiątki), to jest przynajmniej człowiekiem jutra, tym, którego narzucała powaga i niepewność sytuacji. Później dopiero okazało się, jak dalece poważny był ten błąd i jak brzemienny w skutki. I kiedyś jeszcze miało się okazać, że Isabelle była tylko narzędziem w ręku Opatrzności (tej samej Opatrzności, z którą utrzymywała za pośrednictwem Watykanu tak dobre stosunki), narzędziem do przyspieszenia agonii skazanego na zagładę społeczeństwa i do nadania tej agonii pewnego oblicza, pewnego stylu.

Złudzenie, że hrabia Galeazzo Ciano jest Anty-Mussolinim, człowiekiem, na którego Londyn i Waszyngton patrzą z ufnością, podzielało z Isabelle wielu. Sam Galeazzo w swej próżności i optymizmie był w głębi duszy przekonany, iż opinia publiczna Anglii i Ameryki darzy go sympatią i że w planach politycznych Londynu i Waszyngtonu bierze się go pod uwagę jako jedyne w Italii człowieka zdolnego zgromadzić (po nieuniknionej klęsce wojennej) całość dziedzictwa po Mussolinim oraz dokonać - bez nieodwracalnych szkód, zbędnego rozlewu krwi i nadmiernych przewrotów społecznych - przejścia od reżimu mussolińskiego do nowego ładu, wzorowanego na liberalnym ustroju anglosaskim. Krótko mówiąc - za jedyne człowieka, zdolnego dać Londynowi i Waszyngtonowi gwarancję ładu, a zwłaszcza konieczną ciągłość ustroju społecznego, którą Mussolini do głębi zakłócił, a wojna mogła zburzyć aż do fundamentów.

Jakże mogłaby nieszczęsna Isabelle nie popaść w to wielkie złudzenie? Dla niej, Lewatyńki, a nawet Egipcjanki z urodzenia, kult Anglii stanowił niejako część jej własnej natury, jej wychowania, jej przyzwyczajzeń, jej interesów moralnych i materialnych. Była wręcz predysponowana do szukania lub wyobrażania sobie u innych tego, co silnie i głęboko czuła w sobie i pragnęła widzieć dokoła siebie. Z drugiej strony, odkryła w hrabim Ciano, w jego naturze, charakterze, sposobie bycia i posunięciach światowych, tak łatwych do pomylenia z posunięciami politycznymi, wiele rzeczy, które obudziły

w niej ufność, wlały w serce wielkie nadzieje i stworzyły pewnego rodzaju pokrewieństwo duchowe między nią a hrabią Ciano; a były to właśnie te zdegenerowane, lewentyńskie, rzecz można, cechy włoskiego charakteru, które nigdy się tak dalece nie ujawniły jak wówczas, kiedy kryzys zmierzał, wraz z wojną, do nieuniknionej klęski. Galeazzo posiadał te cechy w znacznym stopniu, wypukłone jeszcze i zaostrome, był tego świadom, a nawet rad z tego; wynikało to bądź stąd, że nie był z pochodzenia Toskańczykiem, lecz greculo (urodził się w Livorno, ale jego przodkowie przywędrowali z Formii, koło Gaety, gdzie byli prostymi rybakami, właścicielami niewielu nędznych łodzi; a w Livorno, jak w żadnym innym mieście włoskim, Wschód przejawia się w swych jaskrawych barwach, w całej prawdzie i bezpośredniości), bądź też zły wpływ wywarła na niego bajeczna wręcz kariera; dość, że jego sposób pojmowania bogactwa, władzy, sławy i miłości bardzo zbliżony był do światopoglądu tureckiego paszy. Nic dziwnego, że Isabelle instynktem wyczuła w nim bratnią duszę.

W krótkim czasie Isabelle stała się wyrocznią w życiu politycznym Rzymu, oczywiście w tym czysto światowym sensie, jaki słowo polityka” przybrało w rozumieniu śmietanki. Dla niedoświadczonych oczu, dostrzegających tylko zewnętrzne aspekty uśmiechniętej arogancji, mogła nawet wydawać się szczęśliwa. Ale, jak to zwykle się dzieje w społeczeństwie zdemoralizowanym i w okresach zepsucia i klęski, to jej zadowolenie przekształcało się po trochu w moralną obojętność, w ponury cynizm, którego wiernym odbiciem był niewielki dwór zasiadający u stołu Isabelle w pałacu przy Piazza Santi Apostoli.

Widywało się dokoła tego stołu wszystko, co Rzym miał do zaoferowania najlepszemu i najgorszemu pod względem nazwisk, manier, reputacji i obyczajów. Zaproszenie do Palazzo Colonna stanowiło teraz upragniony cel, łatwy zresztą do osiągnięcia, nie tylko dla młodych dam z rzymskiej śmietanki (próg ten zaczynały ostatnio przekraczać lekceważone dotychczas Wenery z północy, Lombardki i Wenecjanki, które zjechały, by stawić czoło szczęśliwym rzymskim rywalkom, i niejednej z nich udało się zmieszać w swym łonie nową, ciemną krew Cianów ze starą i znakomitą krwią T., C. czy D.), ale i dla małych aktoreczek z Cinecittà, ku którym ostatnio hrabia Ciano zdawał się coraz bardziej skłaniać, może dlatego, że odczuwał istic Proustowskie znużenie „stroną Guermentes”, a może przez złudną potrzebę szczerości.

Z dniem każdym rosła liczba „wdów po Galeazzo”, jak nazywano te naiwne faworyty, które popadły w niełaskę u hrabiego Ciano, łatwo zapalnego, ale jeszcze łatwiej ulegającego znużeniu, talk w miłości jak i we wszystkim innym, przychodziły wylewać na łonie Isabelle łzy, zwierzenia i gorycz zazdrości. Tak zwany „dzień wdów” przypadał trzy razy tygodniowo. W dni te, w ściśle ograniczonej porze, od trzeciej do piątej, Isabelle przyjmowała „wdowy”. Witaa je z otwartymi ramionami roześmiana, jakby chciała im pogratulować szczęśliwego ocalenia czy jakiegoś niespodzianego uśmiechu losu. Zdawała się odczuwać jakąś niezwykłą radość, jakąś szczególną przyjemność, niemal fizyczną, jakąś niezdrawą - niech mi wolno będzie użyć tego słowa - rozkosz, kiedy jej śmiech, ostry nieco, i jej słowa nabrzmiały niepowstrzymaną radością mieszały się ze łzami i lamentem biednych „wdów”. Te zaś, ze swej strony, odczuwały nie tyle szczerzy ból, nie tyle prawdziwe i głębokie cierpienie miłosne, ile zniewagę, upokorzenie, wściekłość. Były to chwile, w których zły duch Isabelle, jej geniusz intryg i złudzeń, osiągał szlachetne wyżyny czystej sztuki, swobodnej i bezinteresownej gry, niemoralności nieomal niewinnej; śmiała się, żartowała, użalała się, płakała, ale wszystko to z oczyma skrzyżnymi radością, jak gdyby z też tych biedaczek, z ich gniewu i upokorzenia czerpała jakąś tajemną pomstę. W tej



sztuce, w tej igrze Isabelle materiał superabat opus<sup>44</sup>. Wielki sekret Isabelle, od tylu lat na próżno podglądany i tropiony ze złośliwą ciekawością przez cały Rzym, byłby na pewno się ujawnił w tych momentach jakimś niedyskretnym oczom, gdyby te patetyczne sceny tryumfu Isabelle i pogwałcenia „wdów” dopuszczały w ogóle obecność czyichkolwiek oczu. Ale i ta odrobina, jaką można było niekiedy uchwycić podczas zwierzeń którejś z „wdów”, zdumionej i zmieszanej niezrozumiałą uciechą Isabelle, rzucała odkrywczym światłem, ponure i patetyczne, na skomplikowaną i tajemniczą naturę nieszczęśliwej Isabelle.

Z każdym też dniem bardziej zaciskał się dokoła Galeazza i jego eleganckiego i służalczego dworu krąg obojętności albo nienawiści - obecny pejzaż moralny udręczonej Italii. Może Isabelle także czuła chwilami, że i dokoła niej zacieśnia się ten posępny horyzont. Ale umiała zamykać oczy na to, czego nie chciała widzieć, zaślepiona swoją chimeryczną nadzieją, pochłonięta snuciem swojej wielkodusznej intrygi, która miała dopomóc Italii tak, by kraj ten przewyciężył okrutną a nieuchronną próbę klęski i znalazł schronienie w ramionach Anglii, jak Andromeda w ramionach Perseusza. Dokoła niej wszystko po trochu waliło się w gruzy, hrabia Ciano zmiennymi odruchami swej próżności z każdym dniem silniej podkreślał swoje oddalenie od realnego życia włoskiego, utwierdzając ją jeszcze w tym, co od dawna już wiedziała, co wcześniej niż ktokolwiek, a może w ogóle tylko ona jedna, rozumiała: że Galeazzo nic a nic w życiu kraju nie waży, że jego walory są czysto formalne, dekoracyjne, że ma on znaczenie pretekstu jedynie. Ale wszystko to, zamiast sączyć w duszę Isabelle gorzki i nieufność, zamiast zdjąć łuski z jej oczu i uświadomić fatalny błąd, umacniało w niej tylko wzniosłe, wielkoduszne złudzenia i przysparzało nowych powodów do dumy. Galeazzo był człowiekiem jutra. Cóż więc, że nie był człowiekiem dnia dzisiejszego? Teraz już tylko ona jedna, Isabelle, wierzyła w niego. Ten młodzieniec ukochany przez bogów, młodzieniec, którego szczodrzy i zawistni bogowie obsypali cudownymi darami, miał stać się kiedyś zbawcą ojczyzny, miał w ramionach przenieść Italię przez płomień i złożyć bezpiecznie na łonie wielkodusznej Anglii. Isabelle wkładała w swoją misję nieznużony zapach Flory MacDonald.

Nic nie mogło wydrzeć jej złudzeń. Dzięki zręcznej i niezmordowanej propagandzie uprawianej przez Isabelle w Watykanie, dokąd schronił się na początku wojny i nadal przebywał Osborne, minister pełnomocny Wielkiej Brytanii przy Stolicy Apostolskiej, Londyn i Waszyngton były dokładnie informowane, jak wielką miłością i szacunkiem otacza hrabiego Ciano cały naród włoski. Isabelle wierzyła, że Galeazzo jest jedynym w Italii człowiekiem, na którego mogą liczyć angielscy i amerykańscy politycy; człowiekiem, którego Londyn i Waszyngton miały pod ręką, rezerwując go na dzień zdawania rachunków, ten niedaleki już dzień, który Anglicy nazywają *the morning after the night before*<sup>45</sup>. Nawet ostrożność wpływowych i oddanych przyjaciół, jakich miała wielu w Watykanie, ich uporczywe wątpliwości, ich zachęty do umiarkowania i pokory, ich zaciśnięte wargi i potrząsanie głową, nawet lodowata rezerwa angielskiego posła Osborne'a nie były w stanie odebrać Isabelle złudzeń. Gdyby jej ktoś powiedział: „Galeazzo jest nazbyt ukochany przez bogów, żeby mogła istnieć dla niego nadzieja ocalenia”; gdyby jej ukazał los, jaki zachowują zawistni bogowie dla tych najbardziej ukochanych, i powiedział: „Przeznaczeniem Galeazza jest posłużyć Mussoliniemu za ofiarne jagnię na bliską już, nieuniknioną Paschę, i tylko w tym celu Mussolini go tuczy” - z pewnością cały Palazzo Colonna rozbrzmiałby głośnym, ostrym śmiechem Isabelle. „Mais, mon cher, quelle idée!” Tak, Isabelle również bogowie nazbyt ukochali.

---

<sup>44</sup> Dzieło przewyższało materiał.

<sup>45</sup> Ranek po nocy, która go poprzedziła.

W ostatnich czasach, kiedy wojna zaczęła ukazywać swoje prawdziwe oblicze, swoją tajemniczą twarz, między Isabelle a Galeazzem zaczęło się wytwarzać jakieś smutne współnictwo, prowadzące ich oboje nieświadomie, krok za krokiem, do coraz jawniejszej obojętności moralnej, do owego fatalizmu, jaki rodzi się z długotrwałego nawyku łudzenia samych siebie i wzajemnego oszukiwania się. Stosunkami ich rządziło teraz to samo prawo, co obiadami i przyjęciami w Palazzo Colonna: nie Proustowskie prawo z Faubourg Saint-Germain ani nowsze - z Mayfair, ani to najnowsze - z Park Avenue, ale łatwe i szczodre prawo wytwornych dzielnic Aten, Kairu, Konstantynopola. Było to prawo pobłażliwe, zbudowane na kaprysie i nudzie, zwalniające od wszelkich moralnych skrupułów. Na tym zdemoralizowanym dworze, którego Isabelle była usłużną królową, Galeazzo odgrywał rolę paszy: był tłusty, różowy, uśmiechnięty i despotyczny, już tylko bamboszy i turbana brakowało mu do całkowitej harmonii z orientalnym klimatem Palazzo Colonna.

Po długim oddaleniu, po roku z górą spędzonym na francie rosyjskim, na Ukrainie, w Polsce i Finlandii, znalazłem się znowu pewnego ranka w Golf Clubie w Acquasancie. Usiadłem w kącie tarasu i z jakimś dziwnym uczuciem niepewności i niepokoju przyglądałem się sylwetkom graczy, które powoli i jakby z wahaniem poruszały się na tle dalekiej krawędzi wzgórz, spływających lekko na spotkanie czerwonych arkad akweduktów, pinii i cyprysów wieńczących grobowce Horacjuszów i Kuriacjuszów. Był to ranek listopadowy roku 1942, słońce przygrzewało, wilgotny wiatr niósł od morza zapach alg i ziół. Niewidoczny samolot mrucał w błękitach, ten jego pomruk spływał z wysokiego nieba na kształt dźwięczącego pyłku.

Wróciłem do kraju przed kilku dniami dopiero, po długiej rekonwalescencji w jednej z klinik w Helsinkach; przebyłem tam ciężką operację, po której byłem zupełnie wyczuty z sił. Chodziłem opierając się na lasce, blady i wycieńczony. Gracze zaczęli wracać grupkami w stronę klubu, piękności i Palazzo Colonna, dandysi z Excelsioru i ironiczna, chłodna ekipa młodych urzędników z Palazzo Chigi - wszyscy defilowali przede mną, pozdrawiając z uśmiechem, niektórzy zaskoczeni, że mnie tam widzą; nie wiedzieli, że wróciłem, sądzili, że jestem jeszcze w Finlandii. Zatrzymywali się na chwilę widząc, jaki jestem blady i zmizerowany, żeby spytać, jak się czuję i czy w Finlandii było bardzo zimno, i czy zostaną jakiś czas, czy też wracam zaraz na front fiński. Kieliszek martini dygotał mi w rękę, czułem się okropnie słaby, mówiłem „tak”, mówiłem „nie”, i patrzyłem na nich śmiejąc się w duchu. Wreszcie nadeszła Paola i usiedliśmy na uboczu, pod oknem.

- Nic się nie zmieniło w Italii, prawda? - zapytała Paola.

- Och, wszystko się zmieniło - odparłem - trudno wprost uwierzyć, jak bardzo wszystko się zmieniło.

- Dziwne, wcale tego nie dostrzegam.

Patrzyła w stronę drzwi i nagle wykrzyknęła:

- Otóż i Galeazzo! Czy uważasz, że i on też się zmienił?

- Galeazzo także się zmienił - odpowiedziałem. - Wszyscy się zmienili. Wszyscy czekają z trwogą na wielki Kapparoth, Kaputt, na wielkiego Kota.

- Co takiego? - wykrzyknęła Paola, szeroko otwierając oczy.

Galeazzo wszedł. Na krótką chwilę zatrzymał się w progu, zacierając ręce, śmiał się zaciśniętymi wargami, unosił podbródek, kłaniał się wytrzeszczając oczy i uśmiechając się szeroko i kordialnie, ale nie otwierając zaciśniętych ust, wodził przeciągłym spojrzeniem po kobietach, rzucał krótko wzrokiem na mężczyzn. Potem przeszedł przez salę wyprostowany, z wciągniętym brzuchem, usiłując nie okazywać, że się roztył, wciąż zacierając ręce i zwracając twarz to w jedną, to w drugą stronę. Wreszcie usiadł przy stoliku w rogu, gdzie natychmiast przyłączyli się do niego Cyprienne del Drago, Blasco d'Ayeta i Marcello del Drago. Głosy, które w chwili pojawienia się Ciana w progu zniżyły się do dyskretnego szeptu, raptem znów się podniosły, rozmowy od stolika do stolika brzmiały tak, jakby ludzie ci stali na przeciwległych brzegach szumiącej rzeki. Wszyscy nawoływali się po imieniu z końca w koniec sali i spoglądali przy tym na Galeazza, chcąc się upewnić, że ich zauważył i usłyszał; bo w gruncie rzeczy do niego tylko kierowane były te głośne nawoływania, te radosne okrzyki, te uśmiechy i pomykające przez salę spojrzenia. Raz po raz Galeazzo podnosił głowę, na chwilę włączał się w ogólną rozmowę, mówił coś głośno, wpatrując się w tę czy w ową młodą kobietę (jego spojrzenie nie zatrzymywało się nigdy na mężczyznach, tak jakby na sali były wyłącznie kobiety), uśmiechał się, mrugał szelmowsko oczyma, dawał ledwo dostrzegalne znaki unosząc wysoko brew albo wydymając usta o mięsistych, wydatnych wargach, z kokieterią, na którą kobiety odpowiadały przesadnie głośnym śmiechem, pochylając się nad stolikiem i przekrzywiając głowę, żeby lepiej słyszeć, jednocześnie zerkając jedna na drugą czujnie i zazdrośnie.

Przy stoliku w pobliżu naszego siedziały Lavinia, Gianna, Georgette i Anne Marie von Bismarck w towarzystwie księcia Ottona von Bismarcka i dwóch młodych urzędników z Palazzo Chigi.

- Wszyscy mają takie zadowolone miny dzisiejszego ranka - powiedziała zwracając się do mnie Anne Marie von Bismarck. - Jest może jakaś niezwykła nowość?

- A cóż nowego mogłoby się dzieć w Rzymie? - odpowiedziałem.

- Nowością w Rzymie ja jestem - odezwał się Filippo Anfuso podchodząc do stolika von Bismarcków. Filippo Anfuso przyjechał tego ranka z Budapesztu, gdzie na krótko przedtem zastąpił ministra pełnomocnego Giuseppe Talamo.

- O, Filippo! - wykrzyknęła Anne Marie.

- Filippo! Filippo! -- zabrzmiały głosy od dalszych stolików.

Anfuso zwracał się z uśmiechem to tu, to tam, kłaniał się z właściwą sobie niepewną miną, poruszał głową, jakby miał czyrak na karku i, jak zwykle, nie wiedział, co zrobić z rękami: to opierał je na biodrach, to wsuwał do kieszeni, to zwieszał bezwładnie. Wyglądał, jakby był z drewna, świeżo polakierowany, czerń jego zbyt lśniących włosów wydawała się przesadna, nawet u ministra pełnomocnego. Śmiał się, oczy mu błyszcząły, te przepiękne, tajemnicze oczy, i mrugał przy tym rzęsami leniwie i sentymentalnie. Jego słabą stroną były kolana niemal stykające się z sobą. Był w pełni świadom tego defektu i cierpiał nad nim w milczeniu,

- Filippo! Filippo! - nawoływano dokoła.

Zauważyłem, że Galeazzo umilkł nagle, w połowie zdania, podniósł wzrok, zobaczył Anfusa i twarz mu spochmurniała. Był o Filippa zazdrosny. Zdziwiło mnie, że jeszcze może być zazdrosny o niego. U

Ciana również kolana stanowiły słaby punkt; tak samo wyginały się ku środkowi. Te stykające się kolana były jedyną wspólną cechą Galeazza i Filippa.

- Amerykanie wylądowali w Algierii - oznajmił Anfuso siadając przy stoliku von Bismarcków, między Anne Marie a Lavinia. - Oto przyczyna, dlaczego wszyscy są dziś tacy radośni.

- Cicho, Filippo, niech pan nie będzie złośliwy - zgromiła go Anne Marie.

- Gwoli sprawiedliwości muszę przyznać, że tak samo uradowani byli w dniu, kiedy Rommel dotarł do El Alamein - rzekł Anfuso.

Cztery miesiące przedtem, w czerwcu, kiedy wojska włoskie i niemieckie pod dowództwem Rommla pędem dobiegły do El Alamein i zdawało się, że lada chwila wkroczą do Aleksandrii i Kairu, Mussolini czym prędzej udał się samolotem na front egipski, w mundurze marszałka Imperium, wioząc w swoich bagażach słynną „szpadę Islamu”, którą Italo Balbo, gubernator Libii, wręczył mu uroczyście przed kilku laty. Do świty swojej Mussolini zaliczył w owym czasie między innymi przyszłego gubernatora Egiptu, którego zamierzał osadzić z wielką pompą w Kairze. Gubernatorem Egiptu mianowany został zawczasu Serafino Mazzolini, były poseł Italii w Kairze. Serafino wyruszył na front pod El Alamein - również samolotem i w wielkim pośpiechu z całą armią sekretarzy, maszynistek, tłumaczy, znawców problemów arabskich oraz z imponującym sztabem, w którym liczni amanci, mężowie, bracia i kuzyni faworyt Ciana kłócili się i podgryzali nawzajem, napętniając pustynię libijską odgłosem swoich zawistnych i pyszałkowatych sprzeczek; oprócz nich było tam też paru pięknych, dumnych i melancholijnych faworytów Eddy, którzy popadli w niełaskę. Wojna w Libii, jak twierdził Anfuso, nie przyniosła szczęścia ani haremovym faworytom Eddy, ani Galeazza. Ilekroć Anglicy, w zmiennych kolejach bitwy na pustyni, postąpili krok naprzód, któraś z tych dostojnych osobistości sama wpadała im w ręce. Tymczasem, w miarę jak nowiny i frontu pod El Alamein docierały do Rzymu, .Mussolini coraz niecierpliwiej wyczekiwał momentu, kiedy będzie mógł dokonać tryumfalnego wjazdu do Aleksandrii i Kairu, Rommel zaś coraz bardziej wściekał się na Mussoliniego - do tego stopnia, że odmówił spotkania się z nim. „Co on tu robi - zżymał się Rommel - kto nam go tu przysłał? Mussolini, zirytowany czekaniem, chodził tam i z powrotem przed oczyma nieszczęsnego gubernatora Egiptu, który stał błądliwy i milczący. A tymczasem w Rzymie piekły jeszcze i jątrzyły się rany, które nominacja Serafina Mazzoliniego na stanowisko gubernatora Egiptu zadała próżności i ambicjom dworaków z Palazzo Chigi i Palazzo Colonna. .Problemem dnia był, dla wielu z nich, nie podbój Egiptu, lecz to, by przeszkodzić Serafinowi w zawładnięciu Kairem I wszyscy liczyli w tym na Anglików. Sam Ciano, choć z innych powodów, także nie był z ostatnich wypadków zadowolony i ostentacyjnie okazywał pełne ironii niedowierzenie. „Ach tak, do Kairu!” - mówił dając do zrozumienia, że Mussolini nigdy się tam nie dostanie. Gorycz Galeazza w owych dniach zwycięstwa pod El Alamein łagodził jedynie, zdaniem Anfusa, fakt, że Mussoliniego nie ma przynajmniej w Rzymie, że choć na krótki czas „przestał się tutaj pętać”.

- Stosunki między Cianem a Mussolinim - zauważyłem - nie wydają się zbyt dobre i dzisiaj, sądząc z tego, co słyszałem w Sztokholmie.

- Myślę, że życzy swemu teściowi jakieś maleńkiej porażki - powiedział Anfuso po francusku, naśladowując marsylski akcent.

- Chyba nie będzie pan twierdził, że dla nich wojna to tylko sprawa rodzinna - zaproponowała Anne Marie.
- Hélas! - westchnął Filippo wznosząc swe piękne oczy do sufitu.
- Cyprienne wygląda dziś na znudzoną - odezwała się Georgette.
- Cyprienne ma zbyt wiele polotu, żeby mogła uważać Galeazza za interesującego towarzysza - rzekł Anfuso.
- W gruncie rzeczy to prawda, na dłuższą metę Galeazzo jest nudny - przyznała Anne Marie.
- A ja, przeciwnie, uważam, że jest bardzo dowcipny i bardzo zabawny - rzekł książę Otto von Bismarck.
- Niewątpliwie dużo zabawniejszy od von Ribbentropa - powiedział Filippo. - Czy wiecie państwo, co mówi o nim Ribbentrop?
- Wiemy, oczywiście - rzekł Otto von Bismarck z niepokojem w głosie.
- Nie, nie wiemy - zaprzeczyła Anne Marie. - Niechże pan powie, Filippo.
- Von Ribbentrop mówi, że Galeazzo byłby wspaniałym ministrem spraw zagranicznych, gdyby się nie zajmował polityką zagraniczną.
- Jak na ministra spraw zagranicznych - powiedziałem - przyznać trzeba, że się nią bardzo mało zajmuje. Gorzej, że zajmuje się zanadto polityką wewnętrzną.
- Święta prawda - przytaknął Anfuso - nic innego nie robi od rana do wieczora. Jego przedpokój stał się filią Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i kierownictwa partii faszystowskiej.
- Mianowanie byle prefekta czy sekretarza federalnego bardziej mu leży na sercu niż wybór ambasadora - powiedział jeden z dwóch młodych urzędników z Palazzo Chigi.
- Jedną z jego kreatur był Muti - dodał drugi
- A teraz śmiertelnie się nienawidzą - rzekł Anfuso. - Myślę, że pożarli się w związku z mianowaniem hrabiego Magistratiego ministrem pełnomocnym w Sofii
- A cóż miał z tym Muti wspólnego? - zdziwił się von Bismarck.
- Ciano robił politykę wewnętrzną, a Muti zagraniczną - wyjaśnił Filippo.
- Dziwny człowiek z tego Galeazza - powiedziałem - wydaje mu się, że jest bardzo popularny w Ameryce i w Anglii
- To jeszcze nic - rzekł Anfuso. - Ale pomyśleć tylko, że czuje się równie popularny we Włoszech!
- Skoro mu to sprawia przyjemność - uśmiechnął się von Bismarck.
- Ja tam bardzo go lubię - rzekła Anne Marie.

- Ale czy to zmieni bieg wojny? - odezwał się z dziwną miną Anfuso czerwieniąc się.

Anne Marie popatrzyła na Anfusa z uśmiechem.

- Pan także bardzo go lubi, nieprawdaż, Filippo?

- Bardzo, oczywiście; ale na cóż się to zda? Gdybym był jego matką, drżałbym o niego.

- Czemuż więc pan o niego nie drży, skoro go pan lubi? - spytała Anne Marie.

- Nie mam na to czasu. Jestem zbyt zajęty drżeniem o samego siebie.

- Co się dzieje z wami wszystkimi? - wykrzyknęła Lavinia. - Czy to wojna tak wam działa na nerwy?

- Wojna? - zdziwił się Anfuso. - Jaka wojna? Ludzie gwizdzą na wojnę. Nie widziała pani tych plakatów, które Mussolini kazał porozwieszać we wszystkich sklepach, na wszystkich murach

Były to duże trójkolorowe plakaty, a na nich wielkimi literami wypisane tylko dwa słowa: „Prowadzimy wojnę”.

- Dobrze robi przypominając o tym - dodał Anfuso - bo nikt już o wojnie nie pamięta.

- Stan ducha ludu włoskiego w czasie tej wojny jest rzeczywiście bardzo ciekawy - rzekł książę Otto von Bismarck.

- Zastanawiam się - mówił Anfuso - na kogo Mussolini spróbuje zrzucić odpowiedzialność, jeśli sprawy wojny przybiorą zły obrót.

- Na naród wioski, oczywiście - powiedziałem

- Nie, Mussolini nie obciąża nigdy odpowiedzialnością zbyt wielu głów. Bardziej mu dogadza jedna poszczególna głowa. Są takie, które wydają się stworzone do tego rodzaju roli. Zrzuciłby odpowiedzialność na Galeazza. Na cóż innego mógłby mu się Galeazzo przydać? Mussolini tylko po to go trzyma. Spójrzcie państwo na jego głowę. Czy nie wydaje się odpowiednia?

Wszyscy popatrzyliśmy na hrabiego Ciano. Głowę miał okrągłą, wydawała się jakaś rozdęta, nienormalnie duża.

- Trochę za duża na jego wiek - zauważył Anfuso.

- Pan jest niemożliwy, Filippo - rzekła Anne Marie.

- Zdawało mi się, że jesteś przyjacielem Galeazza - zwróciłem się do Anfusa.

- Galeazzo nie potrzebuje przyjaciół, nie chce ich. Nie miałby co z nimi zrobić. Pogardza swoimi przyjaciółmi i traktuje ich jak niewolników - rzekł Filippo i dodał ze śmiechem: - Wystarcza mu przyjaźń Mussoliniego.

- Mussolini bardzo go lubi, prawda? - zapytała Georgette.

- O, tak, ogromnie! - wykrzyknął Anfuso. - W lutym czterdziestego pierwszego, podczas nieszczęsnej kampanii w Grecji, Galeazzo wezwał mnie do Bari, żeby omówić pewne sprawy ministerstwa. Był to

moment bardzo dla Ciana trudny. Pełnił w owym czasie służbę jako pułkownik w eskadrze bombowców, w Palese koło Bari. Był mocno na Mussoliniego zirytowany. Mówił o nim „uparty łeb”. Właśnie wtedy odbywała się konferencja w Borsighera, gdzie Mussolini spotkał się z Franco i Serranem Suñerem. W ostatniej chwili, kiedy Galeazzo stał już z walizką w rękę, gotów do drogi, kazano mu zostać w domu. „Mussolini mnie nienawidzi” - powiedział mi. Tego samego wieczoru Edda zatelefonowała do niego z wiadomością, że ich pierworodny syn, Fabrizio, ciężko zachorował. Galeazzo bardzo się tą wiadomością przejął. „Nienawidzi mnie - mówił z płaczem - nie ma na to rady, nienawidzi mnie”. A potem dodał: „Ten człowiek zawsze mi przynosił nieszczęście”.

- Przyniósł nieszczęście? - zaśmiała się Lavinia. - Ach, mój Boże, jacyż zabobonni są mężczyźni!

- Jeśli się nie mylę, Galeazzo był o krok od podania się do dymisji - rzekła Gianna.

- Galeazzo nigdy nie odejdzie z własnej woli - odparł Anfuso - zanadto kocha władzę. Sypia ze swoim ministerialnym fotelem jak z kochanką. Trzęsie się ze strachu, że może być lada chwila odstawiony.

- Wówczas, w Bari - wtrąciłem - Galeazzo miał specjalny powód, żeby się bać. Właśnie wtedy, podczas spotkania na Brennerze, Hitler doręczył Mussoliniemu memoriał Himmlera pogrążający Galeazza.

- Gzy nie był to raczej memoriał pogrążający Isabelle Colonnę? - rzekła Anne Marie.

- Skąd wiesz o tym? - zapytał z nutą niepokoju w głosie Otto von Bismarck.

- Cały Rzym rozprawiał o tym przez miesiąc - odparła Anne Marie.

- Dla Galeazza był to bardzo ciężki moment - mówił Anfuso. - Nawet najbliżsi przyjaciele odwracali się do niego plecami. Blasco d'Ayeta powiedział mi przy tej okazji, że gdyby mu przyszło wybierać między Galeazzem a Isabelle, stanąłby po stronie Isabelle. „A między Hitlerem a Isabelle?” - zapytałem go w odpowiedzi. Oczywiście nie wchodziła tu w grę żadna potrzeba wyboru między hrabią Galeazzem Ciano a księżną Isabelle Colonną; ale takie jest powszechne mniemanie. Pewnego ranka Galeazzo poprosił, żebym przyszedł do niego, do domu. Pora była raczej niezwykła, koło ósmej. Zastałem go w kąpielni. Wyszedł z wanny i wycierając się powiedział: „To von Ribbentrop wbił mi nóż w plecy. Za Himmlerem stoi von Ribbentrop. Podobno w tym memoriale domaga się mojej głowy. Jeżeli Mussolini podaruje moją głowę Ribbentropowi, dowiedzie, że jest tym, za kogo wszyscy go mamy: podłym tchórzem. - A potem dodał przyciskając obie ręce do gołego brzucha: - Muszę trochę schudnąć”. Osuszywszy się zrzucił płaszcz kąpielowy, stanął nago przed lustrem i zaczął nacierać włosy kępką ziele, które sprowadzał sobie z Szanghaju; jakieś chińskie ziele, którego tam używają jako brylantyny. „Całe szczęście - powiedział - że nie jestem ministrem spraw zagranicznych Republiki Chińskiej. - A potem dodał: - Znasz Chiny tak jak i ja. To rozkoszny kraj, ale pomyśl, co by mnie tam czekało, gdybym popadł w niełaszkę.” I zaczął mi opisywać pewną chińską torturę, której był świadkiem na ulicy w Pekinie. Skazańcowi przywiązany do słupa zdejmuje się nożykiem po trochu, po kawałku, całe mięso, pozostawiając nerwy i układ krwionośny. Człowiek zmienia się w ten sposób w coś w rodzaju rusztowania z kości, nerwów i żył, przez które przenikają promienie słońca i przelatują muchy. Męczennik może tak jeszcze żyć przez kilka dni. Galeazzo rozwiódł się z sadystyczną przyjemnością nad najokropniejszymi szczegółami i śmiał się przy tym wesoło. Widziałem, że silił się na okrucieństwo, a jednocześnie czułem jego strach i bezsilną nienawiść. „W Italii - powiedział - nie inaczej się dzieje. Mussolini wymyślił torturę jeszcze od tej chińskiej okrutniejszą: kopniaka w siedzenie. - Mówiąc to dotknął ręką pośladka. - I to nie tyle sam kopniak jest

bolesny - mówił dalej - ile czekanie na niego, to nieustanne, rozpaczliwe czekanie, każdego dnia, w każdej godzinie i minucie." Odpowiedziałem żartobliwie, że on i ja byliśmy przynajmniej przewidujący, obaj mamy na szczęście tłuste siedzenia. Galeazzo nachmurzył się i klepiąc się w odnośne miejsce zapytał, czy rzeczywiście uważam, że ma tłuste siedzenie? Był najwyraźniej bardzo zatroskany tym odkryciem. Potem powiedział mi w trakcie ubierania: „Mussolini nie podaruje nikomu mojej głowy. Boi się. Wie doskonale, że wszyscy Włosi są po mojej stronie. Włosi wiedzą, że jestem jedynym w całym kraju człowiekiem, który ma dość odwagi, żeby stawić czoło Mussoliniemu”. Łudził się, ale nie moją rzeczą było odbierać mu złudzenia, więc milczałem. A on był od tej pory szczerze przekonany, że przeciwstawia się Mussoliniemu. W rzeczywistości od rana do nocy trzęsę się ze strachu przed tym oczekiwanym kopniakiem w siedzenie. Wobec Mussoliniego Galeazzo jest taki, jak wszyscy inni, jak my wszyscy: zastraszone niewolnik. Mówi na wszystko „tak” z istic lwią odwagą. A za jego plecami nie boi się już niczego. Gdyby Mussolini miał usta z tyłu, Galeazzo bez wahania kładłby mu głowę w paszczę, jak robią pogromcy dzikich zwierząt. Czasami mówi o wojnie, Mussolinim i Hitlerze szalenie zabawne rzeczy. Nie można mu odmówić dowcipu i inteligencji. Niektóre jego wypowiedzi w sprawach polityki są doprawdy sądami człowieka, który zna swój fach, a i cudze także. Kiedyś spytałem go, co myśli o ostatecznym wyniku wojny.

- I cóż panu odpowiedział? - zapytał księżę von Bismarck z ironicznym uśmiechem.

- Że nie można jeszcze przewidzieć, które narody wygrają wojnę, wiadomo, które już ją przegrały.

- I które to narody już przegrały wojnę?

- Polski i włoski.

- Kto przegra, to nie jest takie znów ciekawe - rzekła Anne Marie. - Ale chciałabym wiedzieć, kto wygra.

- Niech pani nie będzie niedyskretna - powiedział Anfuso. - To tajemnica państwowa. Nieprawdaż, że to tajemnica państwowa? - dodał zwracając się do von Bismarcka.

- Naturalnie - rzekł księżę Otto von Bismarck.

- Galeazzo bywa czasem w swoich wypowiedziach zdumiewająco nieostrożny - mówił dalej Filippo Anfuso. - Gdyby ściany mego gabinetu w Palazzo Chigi albo stół Isabelle mogły mówić, Mussolini i Hitler nasłuchaliby się pięknych rzeczy.

- Tak, tak, powinien być ostrożniejszy; stół Isabelle jest stołem mówiącym - powiedziała Georgette.

- Wciąż jeszcze ta stara historia! - rzekł von Bismarck.

Kiedy w początkach roku 1941 Hitler wręczył Mussoliniemu, podczas spotkania na Brennerze, memoriał Himmlera dotyczący Galeazza, nowina ta wzbudziła w rzymskim świecie najpierw zdumienie, potem lęk, a wreszcie jawne i złośliwe zadowolenie. Ale przy stole Isabelle śmiano się z memoriału jak z kiepskiego dowcipu nielojalnych, a co najmniej niedyskretnych lokajów. „Hitler, quel goujat!” - mówiła Isabelle. Memoriał w istocie mierzył nie tyle w hrabiego Ciano, ile w księżnę Isabelle Colonnę, którą Himmler nazywał „piątą kolumną”. Dzień po dniu, słowo po słowie, skrupulatnie i szczegółowo, przytoczone tam były rozmowy prowadzone przy stole w Palazzo Colonna; i to nie tylko słowa Galeazza, Eddy, Isabelle i tych spośród gości, którym nazwisko, ranga



społeczna, sytuacja polityczna czy stanowisko państwowe przydawały autorytetu, nie tylko wypowiedzi Ciana i cudzoziemskich dyplomatów, bywających w Palazzo Colonna, o wojnie i błędach politycznych Hitlera i Mussoliniego, ale nawet światowe ploteczki, kobiece złośliwości i niewinne słowa mniej ważnych gości, jak Marcello del Drago czy Mario Pansa. Celne powiedzonka Eddy o tym czy owym, o Hitlerze, von Ribbentropie czy von Mackensenie; anegdotki z jej częstych podróży do Budapesztu, Berlina i Wiednia; niedyskrecje Ciana na temat Mussoliniego czy Franco, Horthy'ego czy Pavelicia, Pétaina czy Antonescu; ostre sądy Isabelle o wulgarnych amatorach Mussoliniego i jej gorzkie przewidywania co do wyniku wojny, przemieszane z wdzięcznymi ploteczkami florenckimi Sandry Spalletti i skandalicznymi anegdotkami którejs z młodych aktoreczek niemieckich czy włoskich z Cinecittà na temat amatorów Goebbelsa i Pavoliniego - wszystko znalazło się w tym wyczerpującym raporcie. Spora część poświęcona była życiu erotycznemu Galeazza, jego niestałości, scenom zazdrości między jego faworytami, zepsuciu, jakim przeżarty był jego mały dwór. Ale tym, co ocaliło hrabiego Ciano przed gniewem Mussoliniego, była część memoriału Himmlera poświęcona Eddzie. Raport byłby dla Galeazza zgubny, gdyby nie zawierał ani słowa o Eddzie, jej miłostkach, jej „niebezpiecznych związkach”, jej przyjaciółkach, skandalach z Cortina d'Ampezzo i Capri. Oskarżenia pod adresem córki zmusiły Mussoliniego do obrony zięcia. Ale memoriał Himmlera posiał ziarno podejrzeń na dworze Galeazza i Isabelle. Kto dostarczył Himmlerowi materiału do tego raportu? Służba z Palazzo Colonna? Maître d'hôtel Isabelle? Ktoś z zaufanych przyjaciół Isabelle i Galeazza? Wymieniano takie czy inne nazwiska, podejrzewano pewną młodą osobę zranioną w swej miłości własnej świeżym tryumfem rywalki. Wszystkie „wdowy” zostały poddane ostrożnej obserwacji, dyskretnym przesłuchaniom i badaniom. „En tout cas, ce n'est ni vous ni moi” - oświadczyła Isabelle hrabiemu Ciano. „Moi, sûrement pas” - odparł Galeazzo. „Quelle histoire!” - zakończyła rzecz Isabelle wznosząc oczy ku freskom Poussina na suficie. Jediną konsekwencją memoriału Himmlera było chwilowe usunięcie hrabiego Ciano z Rzymu: Galeazzo wyjechał do Bari, przydzielony do eskadry bombowców stacjonującej na lotnisku w Palese i przez czas pewien w salonach Palazzo Colonna i nawet w Palazzo Chigi mówiło się o nim jedynie zniżonym głosem albo z ostantacyjną obojętnością (tylko Isabelle, mimo że do głębi zraniona owym moi, sûrement pas, w głębi duszy pozostała Galeazzowi wierna: w jej wieku kobiecie nie wolno się mylić), nie jak o człowieku, który już popadł w niełaskę, ale jak o takim, który może popaść w niełaskę w każdej chwili. Mówiąc językiem sportowym: the ball wasn't now at his foot - nie miał w danej chwili piłki u stóp.

- Założę się - rzekła Anne Marie uśmiechając się wdzięcznie do Filippa Anfuso - że w raporcie Himmlera o panu nie było ani słowa.

- Była za to cała strona o mojej żonie - roześmiał się Anfuso - a to wystarczy.

- Cała strona o Marii? Ach, biedna Maria, jakież honor! - wykrzyknęła Georgette bez cienia złośliwości.

- A o mnie? Czy była też może cała strona o mnie? - zapytała ze śmiechem Anne Marie.

- Pani pytanie - powiedziałem - przypomina mi pytanie, które zadał mi kiedyś generał von Schobert. Byliśmy na Ukrainie, w pierwszych miesiącach kampanii rosyjskiej. Generał von Schobert zaprosił mnie na kolację do dowództwa Armii, było nas przy stole około dziesięciu oficerów. W pewnej chwili von Schobert zapytał mnie, co myślę o sytuacji wojsk niemieckich w Rosji. „Wydaje mi się - powiedziałem trawestując włoskie przysłowie - że wojska niemieckie w Rosji to nie tyle pulcino nella stoppa, kurczę w konopiach, ile pulcino nella steppa, kurczak w stepie.”

- Ach, mój Boże! - wykrzyknęła Anne Marie.

- Bardzo zabawne - uśmiechnął się von Bismarck.

- Czy jesteś pewien - zapytał Filippo Anuso - że generał von Schobert rozumiał twoją grę słów?

- Spodziewałem się, że zrozumie. Generał von Schobert przebywał sporo w Italii i mówił trochę po włosku. Ale kiedy tłumacz, porucznik Schiller, Tyrolczyk z Meranu, który optował na rzecz Niemiec, przetłumaczył moją odpowiedź, usiłując wyjaśnić sens tego przysłowia, generał von Schobert spytał mnie z wyrzutem, głosem jednocześnie zdziwionym i surowym, dlaczego we Włoszech wychowuje się kurczęta w konopiach. „Ależ nie, nie hoduje się ich wcale w konopiach - odparłem. - To jest takie ludowe określenie trudnej sytuacji przez porównanie z biednym kurczakiem, który dostał się przypadkiem w konopie, miota się, szarpie i nie może się oswobodzić.” „U nas, w Bawarii - powiada na to generał von Schobert - kurczęta trzyma się na trocinach albo na sieczce.” „No i u nas, we Włoszech, tak samo” - odpowiedziałem. „W takim razie po cóż pan tu mówi o konopiach?” Zaczynałem już pocić się z wysiłku i prosiłem po cichu tłumacza, żeby mi, na miłość boską, pomógł jakoś się z tego wyplątać. Schiller uśmiechał się i patrzył na mnie spod oka z taką miną, jakby mówił: „Wlałeś w kabałę, a teraz ja mam cię z tego wyciągać!” „Skoro tak - powiedział generał - to nie rozumiem, co mają z tym wspólnego konopie. Wprawdzie chodzi tu o przysłowie ale przecież przysłowia i wszelkie ludowe porzekadła mają zawsze jakiś związek z rzeczywistością. Znaczy to, że wbrew pańskim zaprzeczeniom muszą istnieć w Italii takie regiony, gdzie chowa się kurczęta w konopiach. A to jest system nieracjonalny i nawet okrutny”. - Mówiąc to, nie spuszczał ze mnie surowego spojrzenia, przez które zaczynało przebijać coś na kształt podejrzania i wzgardy. Miałem ochotę powiedzieć mu: „Tak jest, panie generale, nie śmiałem tego mówić, ale prawdą jest, że w Italii wychowuje się kurczęta w konopiach, nie tylko w jakichś poszczególnych regionach, ale wszędzie: w Piemoncie, Lombardii, Toskanii, Umbrii, Kalabrii i na Sycylii, wszędzie, w calutkiej Italii; i to nie tylko kurczęta, ale i dzieci, wszyscy Włosi są wychowani w konopiach. Nigdy pan tego nie zauważył, że wszyscy Włosi są wychowani w konopiach?” Kto wie, może by mnie zrozumiał, może by mi uwierzył, ale nigdy nie pojąłby, ile prawdy tkwiło w moich słowach. Ale ja tylko skręcałem się wewnętrznie i wciąż powtarzałem, że nie, że to nieprawda, że w żadnej prowincji włoskiej nie hoduje się kurcząt w konopiach, to tylko takie przysłowie, takie ludowe porzekadło, ein Volkssprichwort. Nagle major Hanberger, który od dłuższej chwili patrzył mi w oczy spojrzeniem jak szare szkło, przemówił zimno: „Niech pan zatem wyjaśni, co tu ma do rzeczy step. Mniejsza o konopie, sprawę konopi wyjaśnił pan znakomicie. Ale step? Co tu ma do rzeczy step? Was hat die Steppe mit den Kücken zu tun?” Spojrzałem na tłumacza, chciałem go prosić o pomoc, błagać go wzrokiem, żeby mnie, na miłość boską, wyplątał z tej nowej, jeszcze groźniejszej pułapki, ale zobaczyłem z przerażeniem, że Schiller także się poci, czoło ma mokre od potu i pobladła twarz. Złąkłem się, potoczyłem wzrokiem dokoła, wszyscy wpatrywali się we mnie surowo, poczułem, że jestem zgubiony, i zacząłem powtarzać w kółko, że to tylko takie przysłowie, takie ludowe porzekadło, zwykła gra słów. „Dobrze - rzekł major Hanberger - ale ja nie rozumiem, co ma wspólnego step z kurczętami.” Wtedy miałem dość i odpowiedziałem zirytowanym głosem, że wojska niemieckie w Rosji są w sytuacji kurczaka w stepie, ni mniej, ni więcej tylko kurczaka w stepie.

„Dobrze - rzekł na to major Hanberger - ale ja nie rozumiem, co w tym dziwnego: kurczak w stepie. W każdej wsi ukraińskiej jest dużo kur, a więc i dużo kurcząt, i myślę, że nic w tym nie ma dziwnego: kurczęta jak wszystkie inne.” „Te kurczęta są nie takie jak wszystkie inne.” „Nie - odparłem - nie takie

jak wszystkie inne.” „Te kurczęta są nie takie jak wszystkie inne?” - powtórzył major Hanberger wpatrując się we mnie zdumionym wzrokiem. „W Niemczech - zabrał głos generał von Schobert - hodowla drobiu osiągnęła poziom naukowy, niewspółmiernie wyższy od hodowli radzieckiej. Jest więc bardzo prawdopodobne, że tutejsze stepowe kurczęta są znacznie gorszej jakości aniżeli kurczęta niemieckie”. Pułkownik Stark narysował na kartce papieru wzorowy model kurnika wypracowany w Prusach Wschodnich. Major Hanberger przytoczył szereg danych statystycznych i tak, po trochu, rozmowa przeszła w uczoną dysputę na temat prawidłowej hodowli drobiu i wszyscy pozostali oficerowie wzięli w niej żywy udział. Ja jeden milczałem ocierając pat, który służył mi obficie z czoła. Chwilami tylko generał von Schobert, pułkownik Stark albo major Hanberger przerywali uczone wywody, żeby wlepić wzrok we innie i powiedzieć, że jednak nadal nie rozumieją, co mogą mieć wspólnego niemieccy żołnierze z kurczętami, a pozostali oficerowie spoglądali na mnie z głębokim politowaniem. Aż wreszcie generał podniósł się i powiedział: „Schluss!”. Wszyscy wstaliśmy od stołu, wyszliśmy i rozproszyli się po uliczkach wsi. Po zielonkawym niebie wędrował okrągły żółty księżyc; tłumacz, porucznik Schiller, powiedział mi dobranoc i dodał: „Mam nadzieję, że już się pan nauczył nie dowcipkować wobec Niemców.” „Ach, so!” - odpowiedziałem i poszedłem spać zgnębiony. Nie mogłem zasnąć, pogodna noc rozbrzmiewała ćwierkaniem miliona świerszczów, a mnie się zdawało, że to piszczą miliony kurcząt w bezkresnym stepie. Zasnąłem, kiedy piał już koguty.

- Cudowne! - wykrzyknęła Anne Marie klaszcząc w ręce. Wszyscy się śmiali, tylko księżę Otto von Bismarck patrzył na mnie jakoś dziwnie.

- Pan opowiada te historyjki z niebywałym talentem - powiedział - ale mnie się te pańskie kurczęta nie podobają.

- A ja się nimi zachwyam! - zawołała Anne Marie.

- Panu mogę wyznać prawdę - powiedziałem zwracając się do Ottona von Bismarcka. - W Italii rzeczywiście chowa się kurczęta w konopiach. Ale to są rzeczy, których nie wolno mówić. Nie zapominajmy, że jest wojna.

W tej chwili podszedł do stolika von Bismarcków Marcello del Drago.

- Wojna? - powiedział. - Mówicie jeszcze o wojnie? Nie możecie rozmawiać o czym innym? Wojna wyszła z mody.

- O, tak, jest już bardzo démodée - wtrąciła Georgette. - Tego roku już się jej nie nosi.

- Galeazzo prosił, żeby cię spytać - zwrócił się Marcello do Anfusa - czy możesz wpaść na chwilę do ministerstwa, jeszcze dziś?

- Czemuż by nie? - odparł Anfuso z nutką ironicznej niechęci. - Za to przecież płacą.

- Koło piątej, dobrze?

- Wolałbym o szóstej.

- A więc o szóstej - rzekł Marcello del Drago. I wskazując wzrokiem młodą kobietę siedzącą nie opodal stolika von Bismarcków, zapytał, co to za jedna.

- Jak to? Pan nie zna Brigitte? - zdziwiła się Anne Marie - to moja bliska przyjaciółka. Ładna jest, prawda?

- Prześliczna - rzekł Marcello del Drago. Wracając do stolika Galeazza odwrócił się dwa razy, żeby spojrzeć na Brigitte.

Wiele osób zaczęło wychodzić z sali, kierując się ku terenom golfowym. My zostaliśmy jeszcze i po chwili zobaczyliśmy, jak Mario Pansa prowadzi Galeazza do stolika Brigitte. Anne Marie rzuciła uwagę, że Galeazzo tyje. „Podczas tamtej wojny - rzekł Anfuso - wszyscy chudli. A podczas obecnej wszyscy tyją. Świat doprawdy fiknął koziołka. Któż potrafi coś z tego zrozumieć?” Von Bismarck odpowiedział na to (nie jestem pewien, czy w jego słowach nie było ironii), że tusza jest oznaką zdrowia moralnego. „Europa - dodał - pewna jest zwycięstwa.” Powiedziałem mu, że lud jest chudy, wystarczy przejechać przez Europę, żeby zobaczyć, jak bardzo chudy jest wszędzie lud. A mimo to, dodałem, jest pewien, że zwycięży.

- Jaki lud? - zapytał von Bismarck.

- Wszystkie ludy - odpowiedziałem. - Niemiecki także, oczywiście.

- „Oczywiście”, mówi pan - powtórzył ironicznym tonem von Bismarck.

- Najchudsi są robotnicy - powiedziałem - niemieccy także, oczywiście. A jednak, spośród wszystkich, robotnicy są najbardziej pewni zwycięstwa.

- Tak pan sądzi? - zapytał von Bismarck z akcentem zdumienia.

Hrabia Ciano stojąc przed Brigitte mówił do niej głośno, jak to miał w zwyczaju, śmiejąc się i obracając głowę to w jedną, to w drugą stronę. Brigitte siedziała oparta łokciami o stolik, z twarzą ujętą w dłonie, przyglądając mu się wzniesionymi w górę pięknymi oczyma, w których migotały isierki niewinnej złośliwości. Po chwili wstała i wyszła razem z Galeazzem do ogrodu, gdzie zaczęli się przechadzać dokoła pływalni. Ona gawędziła leniwie, on, z miną pełną galanterii, mówił głośno, rozglądając się dokoła na swój zarozumiały sposób. Wszyscy obserwowali tę scenę mrugając do siebie porozumiewawczo.

- Ça y est! - wykrzyknęła Anne Marie.

- Brigitte jest doprawdy urocza - rzekł von Bismarck.

- Galeazzo jest bardzo kochany przez kobiety - dodała Georgette.

- Nie ma kobiety, która by kiedyś nie miała jakiejś historii z Galeazzem - powiedział Anfuso.

- Znam jedną - odezwała się Anne Marie - która zdołała mu się oprzeć.

- Owszem, ale jej tu nie ma - rzekł Anfuso, nagle zachmurzony.

- Qu'en savez-vous? - rzuciła zaczepnie Anne Marie.

W tej chwili weszła Brigitte i zbliżyła się do Anne Marie. Była wesoła, śmiała się swoim trochę gardłowym śmiechem.

- Niech pani uważa, Brigitte - ostrzegł Anfuso. - Hrabia Ciano wygrywa wszystkie swoje wojny.

- O, wiem o tym - odparła Brigitte - już mnie ostrzegano. Ja, przeciwnie, przegrywam wszystkie swoje wojny. Jestem nimi zmęczona i Galeazzo nie interesuje mnie.

- Doprawdy? - zapytała niedowierzająco Anne Marie.

Wyszliśmy także do ogrodu i skierowali się ku pierwszemu tee.

Jesienne słońce pachniało miodem i przekwitającymi kwiatami.

Gracze to ukazywali się, to znikali na falistym terenie jak pływacy na wzburzonym morzu. W słońcu migwały niekiedy kije golfowe, clubs, gracze wznosili złączone ręce ku niebu, przez krótką chwilę trwali w tej modlitewnej pozie, po czym clubs drgały, zataczały szeroki łuk w zielonkaworóżowym powietrzu, znikały i znów się wznosiły; wyglądało to jak balet na ogromnej scenie, wiatr dobywał z traw cichutką muzykę. Głosy odbijały się, skakały po łące tak samo jak zielone, żółte, czerwone i niebieskie piłeczki, oddalenie nadawało im elastyczność, miękki, delikatny ton. Gromadka młodych kobiet siedziała na trawie śmiejąc się i żartując. Wszystkie zwracały twarze w kierunku Galeazza, który przechadzał się nie opodal z Blasco d'Ayetą dokonując przeglądu tej armii młodości i urody, złośliwej, ale i zachęcającej zarazem. Istny bukiet najpiękniejszych twarzy i najznakomitszych nazwisk Rzymu, a wśród nich jeszcze bardziej roześmiane, o jeszcze bardziej różowej karnacji, żywszych oczach, czerwieńszych ustach, swobodniejszym i bardziej bezpośrednim sposobie bycia, młodzieńcze piękności z Florencji, Wenecji, Lombardii. Ubrane były w czerwone, błękitne, delikatne, szare czy cieliste sukienki. Jedna z radosną dumą wysoko nosiła głowę w krótkich lokach, o czole efebów i czystym zarysie ust, inna miała włosy splecione na karku, jeszcze inna - szesane do góry nad skronią, wszystkie ukazywały roześmiane twarze zaróżowione od słońca i wiatru. Marita przypominała Alcybiadesa, Paola - Fornarinę, Lavinia - Amorrhorskę, Bianca - Dianę, Patricia - Selvaggię, Manuela - Fiammettę, Giorgina - Beatrice, Enrica - Laurę. Było w tych czołach, tych oczach, tych ustach coś z renesansowych kurtyzan, a jednocześnie coś niewinnego, co lśniło w tych białoróżowych twarzach, wilgotnych oczach, na które cień rzęs kładł zastonę zmysłowej wstydlivosti.

Przeciągły dreszcz wiatru przemykał przez rozgrzane powietrze, wspaniałe słońce złościło pnie pinii i ruiny grobowców przy Via Appia, cegły, kamienie, szczątki antycznych marmurów rozrzucone w cierniowych zaroślach na skraju łąki. Siedzący dokoła pływalni młodzi anglomani z Palazzo Chigi rozmawiali po angielsku trochę zbyt głośno, dolatywały do nas poszczególne słowa pachnące capstanem czy craven mixture. Po fairway lekko wyłoczonej już przez płomień jesieni przechadzały się tam i z powrotem stare księżne rzymskie, „z domu Smith, Brown lub Samuel”, majestatyczne douairière'y podpierające się laskami ze srebrną gałką, vieilles beautés z czasów d'Annunzia; kroczyły powoli, miały oczy ciemno podkrążone, dłonie bardzo białe, o długich, zwężających się palcach. Jakieś młode stworzenie z rozpuszczonymi włosami goniło z głośnym krzykiem jasnowłosego młodzieńca w pumpach. Była to scena żywa, ale już odrobinę wyblakła i zużyta po brzegach, jak stara kolorowa rycina.

W pewnej chwili Galeazzo zauważył mnie, porzucił Blasco d'Ayetę, podszedł do mnie i położył mi rękę na ramieniu. Nie rozmawiałem z nim przeszło rok i doprawdy nie wiedziałem, co by mu powiedzieć. „Kiedy wrócisz? - zapytał z lekkim wyrzutem w głosie - czemuś mnie nie odwiedził?” Mówił jakoś po prostu, poufnie, z rzadką u niego swobodą. Odpowiedziałem, że w Finlandii byłem poważnie chory

i jeszcze czuję się bardzo słaby. „Zmęczony jestem” - dodałem po chwili. „Zmęczony? Chcesz może powiedzieć: zniechęcony?” - zapytał. „Tak, zde gustowany wszystkim” - odpartem. Popatrzył na mnie w milczeniu, a potem powiedział: „Zobaczysz, wkrótce wszystko pójdzie lepiej”.

- Lepiej? Italia to umarły kraj. Cóż można zrobić z umarłym? Pozostaje tylko go pogrzebać.

- Nigdy nie wiadomo - powiedział.

- Może masz rację - zgodziłem się. - Nigdy nie wiadomo.

Znałem go od lat chłopięcych, bronił mnie zawsze przed wszystkimi, choć nigdy go o to nie prosiłem. Bronił mnie i w roku 1933, kiedy skazali mnie na pięć lat, i później także, za każdym razem, kiedy mnie aresztowano, w 1938, 1939 i 1941 roku; bronił mnie wobec Mussoliniego, Starace, Mutiego, Bocchiniego, Senise, Farinacciego, i za to wszystko miałem do niego głęboką, serdeczną wdzięczność, stojącą ponad i poza wszelkimi względami politycznymi. Było mi go żal, byłbym chciał mu przyjść z pomocą. Któż wie, czy kiedyś moja pomoc nie mogłaby mu się być przydać? Ale teraz cóż tu było do zrobienia? Chyba tylko pogrzebać go. O to przynajmniej mogłem być spokojny: że go pogrzebią. Przy tylu przyjaciółach, ilu ich miał, można było liczyć, że jeśli nie co innego, to przynajmniej to dla niego uczynią: że go pogrzebią.

- Strzeż się starego - powiedziałem.

- Wiem, nienawidzi mnie. Wszystkich nienawidzi. Czasem zadaję sobie pytanie, czy on nie jest wariatem. Czy myślisz, że dałoby się jeszcze coś zrobić?

- Teraz już nic się nie da zrobić. Za późno. Powinieneś być coś zrobić w roku czterdziestym, żeby nie dopuścić do wciągnięcia Włoch w tę haniebną wojnę.

- W czterdziestym? - powtórzył i roześmiał się nieprzyjemnie. A po chwili dodał: - Wtedy jeszcze wojna mogła obrócić się na dobre.

Milczałem. Wyczuł widocznie w tym milczeniu coś bolesnego i wrogiego i rzekł: - To nie moja wina. On chciał tej wojny. Cóż ja mogłem zrobić?

- Odejść.

- Odejść? I co potem?

- Potem? Nic.

- Nic by nie pomogło - powiedział.

- Nic by nie pomogło. Ale powinieneś być odejść.

- Odejść, odejść. Ilekroć mówimy o tych rzeczach, powtarzasz mi to samo. Odejść. I co dalej?

Galeazzo odwrócił się porywczo i ruszył szybkim krokiem w stronę klubu. Widziałem, jak w progu zatrzymał się na moment, a potem wszedł do wnętrza.

Jakiś czas jeszcze przechadzałem się po łące, potem i ja wszedłem do klubu. Galeazzo siedział w barze między Cyprienne i Brigitte, a dokoła niego Anne Marie, Paola, Georgette, Filippo Anfuso, Marcello

del Drago, Bonarelli, Blasco d'Ayeta i jakaś nie znana mi młodziutka dziewczyna. Galeazzo opowiadał, jak w swoim czasie zakomunikował wypowiedzenie wojny ambasadorom Francji i Anglii.

Kiedy ambasador Francji, François-Poncet, wszedł do gabinetu w Palazzo Chigi, hrabia Ciano przywitał się z nim serdecznie i nie zwlekając powiedział: „Z pewnością rozumie pan, panie ambasadorze, z jakiego powodu poprosiłem pana o rozmowę”.

- Nie jestem na ogół bardzo bystry - odparł François-Poncet - ale tym razem rzeczywiście rozumiem.

Wówczas hrabia Ciano, stojąc za biurkiem, odczytał mu oficjalną formułę wypowiedzenia wojny; „Au nom de Sa Majesté le Roi d'Italie, Empereur d'Ethiopie etc...”

François-Poncet zmieszał się i powiedział:

- A zatem wojna.

- Tak.

Hrabia Ciano był w mundurze pułkownika lotnictwa. Ambasador Francji zapytał:

- A pan co będzie robił? Będzie pan rzucał bomby na Paryż

- Sądzę, że tak. Jestem oficerem i spełnię mój obowiązek.

- Ach, niech pan się przynajmniej postara nie dać się zabić - powiedział François-Poncet. - Nie warto.

Potem ambasador jak gdyby trochę się wzruszył i powiedział parę słów, do których powtarzania Galeazzo nie czuł się uprawniony. Następnie hrabia Ciano i François-Poncet rozstali się uściskawszy sobie ręce.

- Co też takiego powiedział ambasador Francji? Bardzo jestem ciekawa - rzekła Anne Marie.

- Coś nader interesującego - powiedział Galeazzo. - Ale nie mogę powtórzyć.

- Założę się, że jakąś impertynencję - roześmiała się Marita. - Dlatego nie chcesz powtórzyć.

Roześmieliśmy się wszyscy, a Galeazzo najgłośniej.

- Miałby rację, gdyby to zrobił - rzekł po chwili - ale naprawdę nie powiedział nic obraźliwego. Był bardzo wzruszony.

Dalej Galeazzo opowiedział, jak przyjął wypowiedzenie wojny ambasador Anglii. Sir Percy Lorraine wszedł i natychmiast zapytał z jakiego powodu został zaproszony. Hrabia Ciano odczytał mu oficjalną formułę wypowiedzenia wojny. „Au nom de Sa Majesté le Roi d'Italie, Empereur d'Ethiopie etc.”

Sir Percy Lorraine wysłuchał z uwagą, jakby obawiał się stracić choć jedną sylabę, po czym zapytał zimno:

- Czy to jest przepisowa formuła wypowiedzenia wojny?

Hrabia Ciano nie zdołał powstrzymać odruchu zaskoczenia:

„Tak, to jest przepisowa formuła”.

--O! - wykrzyknął Sir Percy Lorraine i dodał: - Czy mogę poprosić o ołówek?

- Oczywiście, proszę - i hrabia Ciano podał ambasadorowi ołówek i arkusz papieru z nadrukiem Ministerstwa Spraw Zagranicznych.

Ambasador odciął starannie nagłówek nożem do papieru, zagiąwszy uprzednio arkusik, sprawdził, czy ołówek dobrze zatemperowany i zwrócił się do hrabiego Ciano:

- Czy zechciałby pan łaskawie podyktować mi to, co pan przeczytał?

- Bardzo chętnie - rzekł hrabia Ciano głęboko zdumiony. I odczytał powoli, słowo po słowie, deklarację wypowiedzenia wojny. Kiedy skończył dyktować, Sir Percy Lorraine, który pisał cały tekst z niewzruszoną twarzą, złożył starannie papier, wstał, uściśnął dłoń hrabiego Ciano i skierował się ku drzwiom. W progu zawahał się na chwilę i nie odwracając się wyszedł.

- O czymś pan w tej relacji zapomniał - odezwała się Anne Marie von Bismarck lekko szwedzkim akcentem.

Galeazzo spojrzał na nią zaskoczony, trochę zmieszany. - Nic nie zapomniałem - powiedział.

- Ależ tak, zapomniałeś - rzekł Filippo Anfuso.

- Zapomniałeś dodać - powiedziałem - że Sir Percy Lorraine odwrócił się jeszcze od drzwi, mówiąc: „Zdaje wam się, że wojna będzie łatwa i bardzo krótka. Mylicie się. Wojna będzie bardzo długa i bardzo ciężka. Do widzenia”.

- Ach, pan także o tym wiedział? - rzekła Anne Marie.

- Skąd to wiesz? - zapytał Galeazzo wyraźnie poirytowany.

- Opowiadał mi hrabia de Foxá, minister pełnomocny Hiszpanii w Helsinkach. Ale tę historyjkę znają wszyscy. To sekret w stylu włoskim.

- Po raz pierwszy słyszałam o tym w Sztokholmie - powiedziała Anne Marie - w Sztokholmie wszyscy znali tę rozmowę.

Galeazzo uśmiechał się, nie wiem, czy bardziej był zirytowany, czy zmieszany. Wszyscy przyglądali mu się ze śmiechem.

- Take it easy, Galeazzo, nie przejmuj się - wykrzyknęła Marita. Wszystkie panie śmiały się i pokpiwały z niego dobrotliwie, sam Galeazzo zmuszał się do śmiechu, ale brzmiało to fałszywie, zdawało się, że coś w nim pękło.

- Rację miał François-Poncet - powiedziała Patricia. - Nie warto.

- O, na pewno nie warto umierać - dodała Georgette.

- Nikt nie chce umierać - rzekła Patricia.



Galeazzo siedział nachmurzony, zły i zmieszany. Towarzystwo wzięło teraz na języki niektórych współpracowników hrabiego Ciano; kobiety pokpiwały z pana V., który po powrocie z placówki w Ameryce Południowej rozbił swe namioty w Golf Clubie, w nadziei, że jeśli wciąż będzie się nasuwał Galeazzowi na oczy, to nie zostanie zapomniany i pominięty. „Nie przestaje grać w golfa nawet w przedpokojach Palazzo Chigi” - mówiła Cyprienne. Patricia wspomniała Alfieriego i wszystkie panie zgodnie uznały, że Italia powinna być szczęśliwa, mając takiego ambasadora jak Dino Alfieri. „Taki piękny!” - mówiły. W owym czasie krążyła po całym kraju plotka, która później okazała się wyszana z palca, jakoby jakiś niemiecki oficer lotnictwa, przytłapawszy Alfieriego ze swoją żoną, uderzył go dwa razy w twarz szpicrutą. „Mój Boże! - westchnęła Patricia - czy go aby nie oszpecił?” Anne Marie zapytała Galeazza, czy to prawda, że - jak wszyscy myślą - posłał Alfieriego na ambasadora do Berlina, dlatego iż był o niego zazdrosny. Wszyscy się śmiali, Galeazzo również, ale widać było, że jest zły. „Ja zazdrosny? - powiedział. - To są plotki Goebbelsa, on sam jest o Alfieriego zazdrosny i chciałby, żeby go odwołał.” „O, Galeazzo, zostaw go tam, gdzie jest - prosiła Marita - w Berlinie tak dobrze się prezentuje!” I znowu wszyscy wybuchnęli śmiechem. Z kolei wzięto w obroty Filippa Anfuso i jego węgierskie amory. „W Budapeszcie - twierdził Anfuso - kobiety szaleją tylko za blondynami.” Na to Georgette spytała Galeazza, czy nie zechciałby posłać do Budapesztu blondyna? „Blondyna? Jakich my to mamy blondynów do dyspozycji?” - i Galeazzo zaczął liczyć na palcach blondynów-dyplomatów. „Renato Prunas” - poddała któraś z pań. „Guglielmo Rulli” - dodała inna. Ale Galeazzo, który nie znosił Rulliego i nie opuszczał żadnej okazji, żeby go tępić, zmarszczył czoło: „Nie, Rulli nie”. „Ja jestem blondynem” - odezwał się Blasco d'Ayeta. „Ależ tak, Blasco, Blasco! Poślij do Budapesztu Blasco!” - zaczęły wołać jedna przez drugą. „No cóż, czemu nie” - rzekł Galeazzo. Ale Anfuso, któremu nie w smak były te żarty, gdyż dobrze wiedział, w jaki sposób odbywają się w Palazzo Chigi nominacje i dobór kandydatów na placówki, spojrzał na Blasco d'Ayeta z drwiącym uśmiechem, mówiąc zaczepnie: „No tak, ty zawsze jesteś gotów wyciągnąć spode mnie stołek”. Była to aluzja do faktu, że Blasco przyszedł na jego miejsce jako szef gabinetu hrabiego Ciano. Tymczasem wszystkie panie zaczęły jedna przez drugą wnosić do Galeazza pretensje: dlaczego Alberto nie został do tej pory mianowany radcą, dlaczego Buby nie wszedł w skład gabinetu, dlaczego Ghigi przeniesiony do Aten, skoro w Bukareszcie cieszył się takim powodzeniem, i kiedy Galeazzo zdecyduje się nareszcie mianować Cesarina ministrem pełnomocnym w Kopenhadze na miejsce „tego Sapuppo, który już od tak dawna tam siedzi, a wcale nie wiadomo, co on w tej Danii robi” - jak stwierdziła Patricia.

- Opowiem wam - powiedział Galeazzo - w jaki sposób minister pełnomocny Sapuppo dowiedział się o inwazji niemieckiej na Danię. Sapuppo wciąż przysięgał się i zaklinał, że Niemcy nigdy nie będą tak głupi, żeby wkroczyć do Danii. A znów Virgilio Lilli twierdził coś wręcz przeciwnego. Minister Sapuppo przekonywał go: „Ależ, nigdy w świecie, drogi Lilli, cóż Niemcy mieliby do roboty w Danii?” A Lilli na to: „A na cóż panu wiedzieć, co Niemcy będą robili w Danii? Ważne jest tylko wiedzieć, czy przyjdą, czy nie przyjdą”. „Nie przyjdą” - upierał się Sapuppo. „Przyjdą” - odpowiadał Lilli. „Ależ, mój drogi Lilli - Sapuppo na to - chce pan wiedzieć więcej ode mnie?” Otóż Virgillio Lilli mieszkał w hotelu Britannia. Każdego ranka, punktualnie o ósmej, stary siwowłosy kelner z różową twarzą, okoloną długimi staroświeckimi faworytami, w niebieskiej liberii ze złotymi guzikami, przynosił do pokoju tacę z herbatą i stawiał ją na stoliku przy łóżku z ukłonem i zawsze tymi samymi słowami: „Oto pańska herbata, jak zawsze”. Od dwudziestu dni ta scena powtarzała się bez najmniejszej zmiany, punktualnie co do minuty. Pewnego ranka stary kelner wszedł jak co dzień punktualnie o ósmej i tym samym tonem powiedział stawiając tacę: „Oto pańska herbata, jak zawsze. Niemcy przyszli”. Virgillio

Lilli zerwał się z łóżka i zatelefonował do ministra Sapuppo oznajmiając mu, że w ciągu nocy Niemcy weszli do Kopenhagi.

Historia o Sapuppo i Lillim wszystkim się bardzo podobała i Galeazzo, śmiejąc się razem z innymi, zdawał się już nie pamiętać o swojej irytacji i mieszanin. Rozmowa przeszła znowu na wojnę i Marita westchnęła: „Co za nuda!”. Jej przyjaciółki wnosiły znowu pretensje, dlaczego w „Quirinetta” nie wyświetla się już filmów amerykańskich i dlaczego w całym Rzymie niepodobna dostać ani kropli whisky, ani paczuski amerykańskich czy angielskich papierosów. Patricia oświadczyła, że w tej wojnie jedyne, co pozostaje mężczyznom, to bić się, jeżeli mają ochotę i czas do stracenia („Ochotę to byśmy mieli - powiedział na to Marcello del Drago - ale czasu brak”), a kobietom - czekać na Anglików i Amerykanów i ich zwycięskie pułki Cameli, Lucky Strike'ów i Gold Flake'ów. „A whale of a lot of Camels, całe mnóstwo Cameli” - powiedziała Marita nowojorskim slangiem. I wszyscy zaczęli mówić po angielsku tym nieopisanym akcentem, na pół drogi między Oxfordem a „Harper's Bazaar”.

Nagle przez otwarte okno wleciała mucha, potem druga i jeszcze dziesięć, jeszcze dwadzieścia, sto, tysiąc - za chwilę w barze kłębiła się nieprzeliczona chmara much. To była godzina much.- Dzień w dzień, o jakiejś godzinie zmieniającej się zależnie od pory roku, następuje brzęcząca inwazja much na tereny golfowe Acquasanty. Gracze wymachują kijkami, wywijając nimi dokoła głowy, opędzając się od natrętnej chmury czarnych skrzydełek, zasłaniają rękami twarze, stare księżne rzymskie „z domu Smith, Brown i Samuel”, urozyste douairière'y, piękności z czasów d'Annunzia, spacerujące po fairway, uciekają w popłochu, machając rękami i laskami ze srebrną gałką.

- Muchy! - krzyknęła Marita zrywając się na nogi. Wszyscy zaczęli się śmiać, a ona powiedziała: - Może to śmieszne, ale ja się boję much.

- Marita ma rację - rzekł Filippo Anfuso. - Muchy przynoszą nieszczęście.

Nowy wybuch śmiechu powitał jego słowa, Georgette zauważyła, że co roku jakaś nowa plaga spada na Rzym: raz to jest inwazja szczurów, kiedy indziej pajaków, w innym znów roku są to chrabąszcze. „A odkąd zaczęła się wojna, przyszły muchy.”

- Golf w Acquasancie słynie ze swoich much - powiedział Blasco d'Ayeta. - W Montorfano i w Ugolino wszyscy się z nas śmieją.

- Nie ma z czego się śmiać - obruszyła się Marita. - Jeżeli wojna potrwa jeszcze jakiś czas, wszystkich nas muchy zjedzą.

I właśnie na taki koniec zasługujemy - rzekł Galeazzo wstając. Ujął pod ramię Cyprienne i ruszył ku drzwiom, a za nim cała reszta.

Przechodząc popatrzył na mnie i, jakby sobie nagle coś przypomniał, puścił ramię Cyprienne, położył mi rękę na ramieniu i szedł dalej obok mnie, nieznacznie mnie popychając. Wyszliśmy do ogrodu i przez chwilę przechadzaliśmy się w milczeniu. Nagle Galeazzo powiedział, tak jakby wypowiadał na głos dręczącą go myśl:

- Pamiętasz, co mi kiedyś powiedziałeś o Eddzie? Byłem na ciebie wściekły, nie dałem ci dokończyć. Ale miałaś rację. Moim prawdziwym wrogiem jest Edda. Sama sobie z tego nie zdaje sprawy, to nie jej wina, nie wiem zresztą, wolę się nad tym nie zastanawiać, ale czuję, że Edda stanowi dla mnie

niebezpieczeństwo i że powinienem jej się strzec jak wroga. Jeżeli kiedyś Edda ode mnie odejdzie, jeżeli w jej życiu będzie coś innego, coś poważnego, będę zgubiony. Ty wiesz, że jej ojciec ją uwielbia, nie zrobiłby nic przeciwko mnie, gdyby wiedział, że zada jej ból. Ale tylko czeka na sprzyjający moment. Wszystko zależy od Eddy. Wiele razy próbowałem dać jej do zrozumienia, jakie niebezpieczne są dla mnie pewne jej posunięcia. Może nie ma nic złego w tym, co ona robi; nie wiem i nie chcę wiedzieć. Ale z Eddą nie można się dogadać. To dziwna, twarda kobieta. Nigdy nie wiadomo, czego się po niej spodziewać. Czasem się jej boję.

Mówił urywanie, swoim gardłowym, trochę bezbarwnym głosem, opędzając się od much jednostajnym gestem tłustej białej dłoni. Muchy brzęczały dokoła nas natrętnie i wściekle, od czasu do czasu dolatywał od dalekiego tee miękki głos uderzenia drivera o piłkę.

- Nie wiem, kto puszcza w obieg te idiotyczne plotki o Eddzie, o jej zamiarach unieważnienia naszego małżeństwa po to, żeby wyjść nie wiem za kogo. Ach, te muchy! - wykrzyknął niecierpliwie. A po chwili dodał: - Wszystko plotki. Edda nigdy czegoś podobnego nie robi. Ale tymczasem jej ojciec nadstawia już uszu. Zobaczysz, że nie posiedzę już długo w ministerstwie. Tylko że, wiesz, co ja myślę? Ze zawsze pozostanę Galeazzem Ciano, nawet jeżeli przestanę być ministrem. Moja pozycja moralna i polityczna może na tym tylko zyskać, jeśli Mussolini mnie przepędzi. Wiesz, jacy są Włosi: zapomną o moich błędach i winach, będą we mnie widzieli tylko ofiarę.

- Ofiarę?

- Myślisz, że naród włoski nie wie, kto jest odpowiedzialny za wszystko? Że nie umie odróżnić mnie od Mussoliniego? Nie wie, że przeciwstawiłem się wojnie, że zrobiłem wszystko...

- Naród włoski - powiedziałem - nic nie wie, nie chce wiedzieć i w nic już nie wierzy. Powinniście byli, ty i inni, zrobić coś w roku czterdziestym, żeby zapobiec tej wojnie. Coś zrobić, coś zaryzykować; to był właściwy moment, żeby drogo sprzedać swoją skórę. Teraz wasza skóra nic już nie jest warta. Ale wam zanadto podobają się władza, oto jest prawda. I Włosi o tym wiedzą.

- Myślisz, że gdybym teraz odszedł...

- Teraz już za późno. Utoniecie wszyscy razem z nim.

- Więc co powinienem zrobić? - krzyknął niemal. - Czego się ode mnie żąda? Mam pozwolić, żeby mnie wyrzucili jak brudną szmatę, kiedy on zechce? Żebym utonął razem z nim? Ja nie chcę umrzeć.

- Umrzeć? Nie warto - powtórzyłem za ambasadorem Francji, François-Poncetem.

- Właśnie. Nie warto - powiedział Galeazzo. - A zresztą, dlaczego umierać? Włosi to dobrzy ludzie, nie chcą niczyjej śmierci.

- Mylisz się - odpartem. - Włosi nie są już ci, co dawniej, z przyjemnością patrzeliby na waszą śmierć, twoją i jego. Twoją, jego i wszystkich innych.

- I cóż by pomogła nasza śmierć? - powiedział.

- Nic. Nic by nie pomogła.

Galeazzo milczał. Był blady, czoło miał zroszone potem. W tej chwili na łące ukazała się młoda dziewczyna idąca na spotkanie gromadki graczy, którzy wracali do klubu wymachując kijkami.

- Jaka śliczna dziewczyna - rzekł Galeazzo.. - Miałbyś ochotę, co? - i lekko szturchnął mnie łokciem w bok.

## XIX. Krew

Natychmiast po wyjściu z rzymskiego więzienia Regina Coeli udałem się na dworzec i wsiałem do pociągu idącego do Neapolu. Był 7 sierpnia 1943. Uciekałem od wojny i jej dróg, ód tyfusu i głodu, uciekałem od więzienia, od smrodliwej celi bez powietrza i światła, od brudnego siennika, ohydnej zupy, pluskiew, wszy, kibla pełnego odchodów. Chciałem jechać do domu, na Capri, do mego samotnego domu na krawędzi stromej ściany nad morzem.

Dochodziłem nareszcie do kresu długiej, okrutnej, cztery lata trwającej wędrówki poprzez Europę, wojnę, krew, głód, spalone wsie, zburzone miasta. Byłem zmęczony, odarty ze złudzeń, pogiębiony. Więzienie i jeszcze raz więzienie, nic tylko więzienie w tej Italii. Więzienie, gromady zakutyh w kajdany ludzi oto czym jest Italia. Razem ze mną z Regina Coeli wyszli Mario Alicata i Cesarini Sforza, po długich miesiącach więzienia wrócili prosto do domu; ja poszedłem na dworzec i wsiałem do pociągu do Neapolu. Ja także chciałem do domu. Pociąg był przepełniony uchodźcami - starcy, kobiety, dzieci, oficerowie, żołnierze, księża, policjanci; dachy obsiedli żołnierze, uzbrojeni i bez broni, jedni byli w podartych, brudnych, żalonych mundurach, inni półnaczy, niechlujni i weseli, uciekali, gdzie oczy poniosą, nie wiedzieli dokąd, śpiewali i śmieli się, jakby gnani i podnieceni czymś wielkim, cudownym i przerażającym zarazem.

Wszyscy uciekali od wojny, głodu, zarazy, ruin, trwogi, śmierci - i wszyscy zdążali ku wojnie, głodowi, zarazie, ruinom, trwodze, śmierci. Uciekali od wojny, Niemców, nalotów, nędzy i trwogi - i jechali do Neapolu, gdzie czekała na nich wojna, Niemcy, naloty, nędza i trwoga; schrony pełne śmierci i ekskrementów, zatłoczone zgłodniałymi, wyczerpanymi, ogłupiałymi ludźmi. Wszyscy uciekali od rozpacz, od nędznej i cudownej beznadziejności przegranej wojny, dążąc ku nadziei końca głodu, końca trwogi, końca wojny, ku nędznej i cudownej nadziei przegranej wojny. Wszyscy uciekali przed Italią i dążyli naprzeciw Italii.

Było straszliwie gorąco. Nie miałam dotąd okazji umyć się. Byłem jeszcze przesiąknięty słodkawą, tłustą wonią pluskiew, brodaty, rozczochrany, z połamanymi paznokciami, tak jak wyszedłem z mojej celi numer 462 w czwartym skrzydle Regina Coeli. W przedziale było nas może dwadzieścia, może trzydzieści, może czterdzieści osób, któż to wie? Przyciśnięci jedni do drugich, spiętrzeni jedni na drugich, mieliśmy usta obrzmiałe z pragnienia, twarze purpurowe, wszyscy staliśmy na czubkach palców, z szyjami wyciągniętymi ku górze, z otwartymi ustami, żeby móc oddychać: wyglądaliśmy jak wisielcy, którymi wstrząsy pociągu kołysały ponuro. Od czasu do czasu słyhać było z wysokiego nieba dźwięk: „tok, tok, tok”, pociąg zatrzymywał się raptownie, wszyscy wysypywali się z wagonów, kryli się w rowach i dziurach wygrzebanych wzdłuż kolejowego nasypu, spoglądając w górę, dopóki „tok, tok, tok” nie ucichło. Na każdej stacji nasz pociąg napotykał długie konwoje niemieckie, bądź stojące, bądź w ruchu, naładowane żołnierzami i bronią. Niemcy przyglądali nam się swoimi szarymi

okrutnymi oczyma. Jakież zmęczenie było w tych oczach, jaka pogarda i nienawiść. „Dokąd oni jadą?” - mówili moi towarzysze podróży. A ktoś obok mnie zapytał, czy wracam z frontu. „Z jakiego tam frontu? - odezwał się jakiś żołnierz - nie ma już frontu. Nie ma już wojny. Ani niezawodnego zwycięstwa. Ani viva il Duce. Nic już nie ma. Jaki tam front!” Powiedziałem, że wracam z Regina Coeli. Żołnierz popatrzył na mnie podejrzliwie. „Co to takiego, Regina Coeli? Klasztor?” „To więzienie” - odpowiedziałem. „Jakie tam więzienie - rzekł żołnierz - teraz nie ma już więzienia. Nie ma gliny, nie ma strażników, nie ma więzienia. Nic nie ma. Nie ma już więzienia w Italii. Koniec z więzieniem, koniec z Italią. Nic nie ma.”

Wszyscy śmiali się patrząc na żołnierza. Był to ordynarny, zły, bolesny, rozpaczliwy śmiech. Śmiali mu się prosto w twarz, ja także się śmiałem. „Nie ma już więzień w Italii - mówili - nie ma więzień; cha, cha, cha!” Śmiali się wszyscy w przedziale, w korytarzu, w innych przedziałach, innych korytarzach, innych wagonach, cały pociąg się śmiał, od głowy do ogona, podskakując i zataczając się na szynach. I tak, śmiejąc się idiotycznie, pociąg zagwizdał, zwolnił i stanął przed olbrzymim stosem gruzu i skrwawionych łachmanów: był to Neapol.

Poprzez czarną, migotliwą chmurę much słońce biło w dachy i asfalt ulic, podmuchy gorąca unosiły się nad stosami gruzów dokoła pustych wypalonych domów, suchy tuman podobny do burzy piaskowej wzbijał się spod nóg nielicznych przechodniów. Ale potem, po trochu, zaczynało się słyszeć dochodzący z zaułków i podwórz szmer, przytłumiony gwar głosów, oddalony zgiełk. I jeśli się zapuściło wzrok w sekretną głąb bassi, suterenu, i w wąskie, wysokie szczeliny między jednym a drugim palazzo, na ulicach starego Neapolu można było dostrzec mrowie ludzkie, chodzące, stojące, gestykujące, gdzieś przycupnięte na ziemi dokoła wątlących ogieńków roznieconych między dwoma kamieniami, z oczyma wlepionymi w starą bańkę po nafcie, w której gotuje się woda, w rondel, patelnię czy dzbanek do kawy; albo śpiących byle jak, gdzie popadło, mężczyźni, kobiety, dzieci, stłoczonych na materacach, siennikach, najprzeróżniejszych legowiskach porozkładanych przed drzwiami, na podwórzach, w ruinach, w cieniu grozących runięciem murów albo u wylotu jaskiń wyżłobionych w czarnym wilgotnym tufie, które w Neapolu otwierają tu i ówdzie paszcze, zdające się sięgać aż do trzewi ziemi. W głębi bassi widać było ludzi - stojących, siedzących albo leżących na wysokich, dziwacznych łóżkach drewnianych i blaszanych ozdobionych pejzażami, wizerunkami świętych i Madonny; mnóstwo ludzi siedziało przycupniętych na progach, w milczeniu, z żałosnymi minami właściwymi neapolitańczykom, kiedy nie wiedzą już, co robić, i tylko czekają. Z początku miasto wydało mi się nie opuszczone wprawdzie, ale ciche. Widziałem ludzi biegnących, ludzi gestykujących, widziałem nawet ruch warg, a nie słyszałem żadnego dźwięku, żadnego hałasu, żadnego głosu. Ale po trochu przesycone pyłem powietrze zaczęło się wypełniać jakimś stłumionym, zmieszanim gwarem, który narastał, nabierał kształtu i treści, aż nagle wybuchnął głośnym szumem, ciągłym i intensywnym jak szum przybierającej rzeki.

Szedłem w stronę portu szeroką, prostą, bardzo długą ulicą, oszołomiony, ogłuszony tym niepojętym szumem, w oślepiających tumanach pyłu, które bryza morska wzniesła nad ruinami zburzonych domów. Słońce biło swoim wielkim złotym młotem w tarasy i fasady domów, nad którymi uwijały się rozbrzęczone roje czarnych much. Kiedy uniosłem oczy, zobaczyłem pootwierane szeroko okna i balkony; wychylone z nich kobiety czesały rozpuszczone włosy, patrząc w błękitne niebo jak w lustro. Śpiewne głosy spływały z wysoka, podchwytywane przez tysiące innych głosów, podawane z ust do ust, z okna do okna, z ulicy na ulicę, jak to robią żonglerzy ze swoimi kolorowymi kuleczkami. Gromady dzieci uganiały tu i tam, boso, w łachmanach, w strzępach koszul, a mniejsze zupełnie nago.

Biegali z krzykiem, spocone, podniecone, a wszystko jak we śnie albo jakby pochłonięte były jakąś awanturniczą zabawą. Ale gdy im się przyjrzałem uważnie, stwierdziłem, że wszystkie są zajęte praktycznymi sprawami - jedno niosło koszyk rzeżuchy, inne przygarść drzewnych węgielków, puszkę z jakąś nędzną zupą, naręcza drewek, a niektóre, niby mrówki niosące pracowicie żdźbło słomy, taszczyły wspólnymi siłami to przepaloną belkę, to jakiś zdezelowany mebel, beczkę czy jakieś narzędzia wygrzebane z ruin. Zewsząd, spod stosów gruzu, dobywał się trupi odór, a nad nimi unosiły się brzęcząc leniwie tłuste muchy, o złocistych skrzydełkach. Wreszcie doszedłem do miejsca, skąd widać było morze.

Widok morza wstrząsnął mną tak, że zapłakałem. Nic, ani rzeka, ani równina, ani góry, drzewo ani nawet obłok nie kojarzą się tak mocno z pojęciem wolności, jak morze. Nawet wolność sama nie daje takiego poczucia wolności, jak właśnie morze. Człowiek zamknięty w więzieniu potrafi przez długie godziny, przez całe dni, miesiące i lata wpatrywać się w ściany swojej celi, wiecznie te same ściany, gładkie i białe. Widzi na tych ścianach morze, ale nie potrafi go sobie wyobrazić jako niebieskie, widzi je białe, gładkie, nagie, bez fal, bez burz, smutne morze oświetlone białawym światłem wpadającym przez kraty okna. To jest jego morze, to jest jego wolność: białe, gładkie, nagie morze, żałosna, zimna wolność.

Ale to, które teraz się przede mną roztaczało, to było morze ciepłe, delikatne neapolitańskie morze, wolne i błękitne, zmarszczone drobnymi falami, przemykającymi z lekkim szmerem pod pieszczotą wiatru, pachnącego solą i rozmarynem. To morze, które miałem przed oczyma, było błękitne, bezkresne, wolne, marszczące się w podmuchach wiatru, nie było to już zimne, białe, gładkie i nagie morze więzienne, ale prawdziwe morze, ciepłe, błękitne i głębokie. To było morze, to była wolność, a ja płakałem patrząc na nie z daleka, z wysokości ulicy, która przeciąwszy wielki plac schodzi ku wybrzeżu. Nie miałem odwagi przybliżyć się do niego ani nawet wyciągnąć ręki, bałem się, że ucieknie, skryje się za horyzontem, kiedy tylko wyciągnę ku niemu moją okropną rękę, wytłuszczoną, z połamanymi paznokciami.

Stałem tak na środku ulicy patrząc na morze i płacząc i wcale nie słyszałem brzęczenia pszczół, które rozlegało się daleko i wysoko w błękicie nieba. Nie widziałem ludzi uciekających w pośpiechu, żeby się ukryć w jaskiniach wyżłobionych w zboczu góry. Ocknąłem się dopiero, kiedy zbliżył się do mnie jakiś chłopiec i dotknął mego ramienia mówiąc łagodnie: „Signò, stanno venenno (nadchodzą, panie)”. W tej samej chwili spostrzegłem, że otacza mnie tłum, że wszyscy ci ludzie krzycząc biegną szeroką, schodzącą w dół ulicą, u której wylotu lśniło morze. Nie mogłem w pierwszej chwili rozpoznać, gdzie jestem, dopiero widok kolumnady kościoła uprzytomnił mi, że to Via Santa Lucia. Tłum ciągnął ku jakiejś dużej bramie, a za nią znikał w paszczy którejś z wielu ukrytych jaskiń. Zacząłem iść razem z tymi ludźmi i już miałem wraz z nimi zapuścić się w mroczne wnętrza ziemi, kiedy podniosłem oczy i skamieniałem z przerażenia.

Milczący tłum ludzi schodził ku mnie z uliczek i schodów, które od Via Santa Lucia wiodą w górę ku Pizzofalcone i Monte di Dio. Niesamowity tłum lemurów i potworów żyjących w głębi jaskiń, w podwórkach i bassi tej dzielnicy, w głębi stu nędznych uliczek tworzących labirynt Pallonetto. Zbliżali się w zwartych grupach, niby wojsko idące do szturm na groźną twierdzę. Szli powoli, w milczeniu, poprzez pustą ciszę poprzedzającą huk pierwszych wybuchów, poprzez pełną grozy samotność, jaką stwarza dokoła nich już sam uświęcony charakter ich okropnych kalectw. Słły gromady chromych, pokręcanych, kulawych, garbatych, bezrękich i beznogich, wszystkich tych

nieszczęśliwych, których w Turynie chroni się przed ludzkim wzrokiem w miłosiernym odosobnieniu Cottolengo. Wojna wydobyła ich na światło dzienne z klasztornej klauzury domów, gdzie litość i święta groza, zabobon ludu i wstydlivość rodziny trzymały ich przez całe życie w ukryciu, skazując na ciemność i milczenie. „Monstra” szły powoli, pomagając sobie nawzajem, półnagie, okryte łachmanami, z twarzami wykrzywionymi grymasem, wcale nie strachu, ale nienawiści i pychy. Może sprawiało to oślepiające światło, a może i trwoga przed mającą się lada chwila rozpętać nawałnicą ognia i żelaza, ale wyraz tych twarzy wydał mi się szatański, wykrzywiła je dość i nienawisć do wszystkiego, co żyje. W oczach płonących gorączką, bądź też mokrych od łez, lśniło dziwnie nierealne światło. Okropny chichot skręcał zapienione usta. To była jedyna wspólna im wszystkim cecha, znak bezsilnej wściekłości: pienista ślina, którą ociekały ich usta.

Szły kobiety, okryte niechlujnymi łachmanami, kudłate, o obwisłych, zwiędłych piersiach, widocznych przez strzępy koszuli; wśród nich jedna, cała porośnięta szpeceniastym włosiem, trzymała się kurczowo ręki młodego mężczyzny koło trzydziestki - może męża, może brata - oczy miała wytrzeszczone i nieruchome, nogi skartłowaciałe, skręcone, jakby spalone jakimś wewnętrznym ogniem; szła z odsłoniętym torsem, jedna pierś była mała, sucha, przeżarta do głębi jakąś chorobą, może rakiem, czarna, jakby zwęglona; druga zwisała wiotko, ohydnie rozciągnięta, sięgająca brzucha. Szły szkielety w łachmanach, o czaszkach obciągniętych żółtą skórą, mocno napiętą na kościach, o zębach odsłoniętych w makabrycznym uśmiechu. I zgrzybiali starcy, łysi i bezzębni, których twarze podobne były do psich pysków. I młode dziewczęta o monstualnie wielkich, rozdętych głowach na zdrobniałych, chudych korpusach. I staruchy olbrzymie, tłuste, napęczniałe, o ogromnych brzuchach i maleńkich, suchych, ptasich główkach, na których sterczały włosy twarde i najeżone jak pióra. I kalekie dzieci o małych twarzyczkach, z których jedno czołgały się na brzuchach, inne kuśtykały podpierając się czym popadło zamiast kuli, jeszcze inne kulily się na prymitywnych wózkach popychanych przez towarzyszy. Były to wszystko „monstra”, których uliczki Neapolu strzegą wstydlivo w swoich sekretnych zakamarkach; „monstra”, przedmiot religijnego kultu, pośrednicy w arkanach owej magii, która jest potajemną religią neapolitańskiego ludu. Po raz pierwszy w toku ich uświęconej egzystencji wydobyła ich na światło dzienne wojna. Ich milcząca wędrówka do jaskiń drążących zboczne góry była niby procesja podziemnych bóstw, które jakiś kataklizm wyrzucił na powierzchnię, a teraz oto wracają pograć się na nowo we wnętrzościach ziemi.

Nagle wśród nich dostrzegłem boga. Tajemnego boga otoczonego czcią „monstrów”, króla tego „dziedzińca cudów” - cour des miracles. Kroczył powoli, otoczony i podtrzymywany przez rzeszę okropnych karłów. Stworzenie to - zwierzę czy człowiek, nie wiadomo, trudno to było odgadnąć pod kapą, która je okrywała od głowy do stóp - wydawało się chude i drobnego wzrostu. Na głowę zarzucone miało, jakby dla osłony przed wzrokiem profanów, jedwabną kapę, taką, jaka przystraja w Neapolu każde, najuboższe nawet łóżko. Żółta, obszerna, opadała obfitymi fałdami na ramiona i wzdłuż boków, sięgała stóp, wlokła się po ziemi, powiewając w podmuchach morskiego wiatru. Spośród karłów otaczających swego króla jedne podtrzymywały go, bo mając oczy zasłonięte kapą nie mógł iść bez pomocy, inne torowały mu drogę, odpychając na baki z przytłumianym pomrukiem, podobnym do psiego warczenia, rzeszę chromych, kulawych i ślepych, wlokących się mozolnie w tumanach pyłu, jeszcze inne żwawo oczyszczały rękami ziemię, odrzucając kamienie, cegły i okruchy gruzu, żeby się władca nie potknął. Niektórzy wreszcie, idąc tuż obok niego, przytrzymywali kapę, żeby się nie zsunęła albo żeby nie odchylił jej nagły podmuch wiatru ukazując oczom profanów odrażający sekret. Ale i tak w pewnej chwili kapka rozchyliła się u dołu i ujrzałem chudą bezkształtną

nogę, która wydawała mi się - do tej pory czuję dreszcz na to wspomnienie - włochatą nogą zwierzęcą:

Kroczył powoli, ręce pod kapą trzymał wyciągnięte w przód, jak to czynią ślepi; wydawało się, że kalana uginają mu się pod jakimś tajemniczym balastem dźwiganym na głowie. Pod kapą, tam, gdzie była lub powinna być głowa, mieściło się coś ogromnego, bezkształtnego, coś, co chwiało się powolnym ruchem, przechylając się to na jedno, to na drugie ramię. Ale najbardziej wstrząsające wrażenie robiło to, że potwór zdawał się wcale nie troszczyć o to, czy ów ciężar nie spadnie, nie robił żadnych gestów, pomagających zazwyczaj utrzymać w równowadze wielki i ciężki ładunek niesiony na głowie. Pomyślałem z dreszczem grozy, że ten okropny potwór, to tajemnicze bóstwo Neapolu, to może kobieta lub mężczyzna ze zwierzęcą głową - cielecą, kozią czy psią, ale najprędzej cielecą, sądząc po jej rozmiarach. Albo że ma diwie głowy, i to wydało mi się najbardziej prawdopodobne, wskazywały na to dziwne ruchy odbywające się w ukryciu żółtej kapy, jakby znajdowały się tam dwie głowy i każda poruszała się niezależnie od drugiej.

Uliczkę, którą szedł, zalegały gruzy i nieczystości, prawie wszystkie domy były uszkodzone, wiele zupełnie zawalonych. W tej scenerii zniszczenia i śmierci bóstwo kroczyło jak przez pustynię. Uszło ze swojej tajemnej świątyni i teraz gotowało się zstąpić we wnętrzości ziemi, do podziemnego królestwa Neapolu. Nie wiem, czy krzyknąłem, czy cofnąłem się przejęty grozą: bóstwo szło wprost na mnie w otoczeniu swego dworu karłów, chwiejąc pod żółtą kapą swymi potwornymi głowami. Z ostupienia wyrwały mnie gardłowe wrzaski karłów, rozlepiające się tuż przy mnie. Odwróciłem się szukając drogi, by uciec, i zobaczyłem, że jestem u samego wylotu jaskini, do której w śmiertelnym milczeniu, przerywanym tylko czasami płaczem dziecka czy pojedynczym okrzykiem kobiecym, ciągnęły święte tłumy monstrów, a wśród nich ich straszliwy bóg. Ciągnęły mozolnie wlokąc nogi w kurzu i gruzach, z ramionami skrzyżowanymi na piersiach, szponiastymi dłońmi wysuniętymi przed siebie, z wyszczerzonymi zębami, gotowe drapać, gryźć, szarpać na strzępy cudze ciała, by utorować sobie w tłumie drogę do smrodliwej ciemności jaskini. To milczenie nabrzmiałe było wściekłością i groźbą.

Popychany przez tłum monstrów znalazłem się wewnątrz jaskini. Była to grotta ciemna i głęboka, jeden z tych podziemnych tuneli, którymi szły kiedyś akwedukty Andegaweńczyków i które tworzą pod miastem ogromny, niezbadany labirynt. Gdzieś tam wpada trochę światła przez studzienki, których wylot znajduje się na ulicy. O tych studzienkach wspomina już Boccaccio w noweli o Andreuccio z Perugii. W tym ciemnym labiryncie, w tysiącu jaskiń wyżłobionych w tufie, znalazły schronienie przed bombami całe chmary nędzarzy i gnieździły się tam od trzech lat w odrażającej wspólnocie, tarzając się we własnych ekskrementach, śpiąc na barłogach przywleczonych tu ze zrujnowanych domów, handlując, odprowadzając wesela i pogrzeby, prowadząc dalej swoje zajęcia, swoje sprawy, swoje ciemne afery. Uszedłszy zaledwie kilka kroków w tym podziemnym mieście odwróciłem się i przez wylot jaskini zobaczyłem morze, które drgało; nad portem unosiły się gęste tumany kurzu i dymu. Huk wybuchających bomb dochodził znacznie stłumiony do tego królestwa Plutona, tylko ściany jaskini drżały i cienkie strużki pyłu sypały się za każdym wybuchem z pęknięć na sklepieniu i ścianach. Wewnątrz panował ogłuszający zgiełk, nie był to zgoła płacz i zgrzytanie zębów, tylko krzyki, śpiewy, nawoływania i odpowiedzi rzucane z krańca na kraniec tej ciżby. Poznałem odwieczny, radosny głos Neapolu, jego prawdziwy głos. Wydało mi się, że znalazłem się na targowisku albo na placu, gdzie świętują tłumy, rozegzaltowane rytmem pieśni ku czci Madonny z Piedigrotty czy liturgicznymi pieniami jakiejś procesji To był Neapol, prawdziwy, żywy Neapol, który



przetrwiał trzy lata (bombardowań, głodu i epidemii, Neapol ludowy, tej ludności z nędznych uliczek, z bassi, z lepianek, z dzielnic bez światła, bez słońca, bez chleba. Lampy elektryczne wiszące pod sklepieniem jaskini oświetlały tysiące twarzy tej obdartej rzeszy będącej w nieustannym ruchu; stwarzało to złudzenie placu miejskiego nocą, w jednej z proletariackich dzielnic Neapolu, w której z wielkich, słynnych, hałaśliwych świąt ludowych.

Nigdy lud ten nie wydał mi się tak bliski zawsze dotychczas czułem się w Neapolu niemal cudzoziemcem, a neapolitańskie tłumy były w moim pojęciu zbyt odmienne, dalekie, obce. Teraz byłem brudny, spocony i okryty kurzem jak oni, miałem podarty mundur, długą brodę, ręce i twarz wysmotruchane, przed kilku zaledwie godzinami wyszedłem z więzienia i na koniec odnajdywałem w tym tłumie trochę ludzkiego ciepła, ludzkich uczuć, ludzkiej solidarności, nędzę podobną do mojej, cierpienie tej samej moralnej natury, co moje, ale większe, głębsze, może prawdziwsze, dawniejsze od mojego. Cierpienie uświęcone przez swoją odwieczność, swoją fatalność i tajemniczość; w zestawieniu z nim moje cierpienie było tylko ludzkie, było nowe, nie sięgało korzeniami głęboko w przeszłość. Ich cierpienie nie było beznadziejne, rozjaśniała je ogromna, cudowna nadzieja, wobec której moja nędzna, mała desperacja była małodusznyim uczuciem, którego było mi wstyd.

Pod ścianami jaskini płonęły ogniska, w miejscach, gdzie w tufie wyżłobione były zagłębienia, rodzaj surowych wnęk czy nisz, albo tam, gdzie boczne odnogi andegaweńskiego akweduktu odchodzą od głównego nurtu podziemnej rzeki przenikając głęboko do wnętrza góry. Nad płomieniem ognisk bulgotała w kociołkach zupa. Pomyślałem sobie, że oto są te kuchnie ludowe, które Mussolini zabronił w Neapolu prowadzić, a które lud, pozostawiony na łasce losu po ucieczce panów, organizował własnymi prymitywnymi środkami, z własnej inicjatywy, aby pomagać sobie wzajemnie i nie umierać z głodu. Z kociołków unosi się zapach zupy z ziemniaków i bobu, słychać dobrze znane nawoływanie: „Doie lire! Doie lire 'na ministra'e verdura, doie lire! Doie lire! Za dwa liry zupa jarzynowa, za dwa liry!” Ponad morzem głów unoszą się setki rąk trzymających gliniane talerze, miski, blaszane puszki, wszelkie możliwe naczynia bielą się i błyszczą w świetle elektrycznych lamp, w czerwonym blasku ognisk rozlega się smakowite mlaskanie, szczęki pracują głośno i energicznie, słychać brzęk naczyń i ubogich blaszanych i cynowych łyżek; aż nagle krzyk sprzedawcy wody czy smażonych ryb załamuje się w krtani. Wszyscy nasłuchują, zapada przerażająca cisza, mącona tylko świszczącym oddechem ludzkiego tłumu. Huk bomby rozlega się w podziemiu pomnażany echem, niesie się od grotty do grotty, do samej ciemnej głębi wnętrza góry. Milczenie to jest milczeniem zbożnym, nie wypływa z lęku, tylko z litości i wzruszenia. „Biedacy!” - wykrzykuje ktoś obok mnie, myśląc o trafionych bombą domach, o ludziach żywcem pogrzebanych pod gruzami, w piwnicach, w marnych schronach dzielnicy portowej. Po chwili z głębi jaskini zaczyna się dobywać śpiew, kobiety intonują chórem modlitwy za umarłych, dziwaczne postacie księży obdartych, brodatych, niewiarygodnie brudnych, w sutannach ubielonych wapiennym pyłem, wyłaniają się z mroku i łączą swoje głosy z chórem kobiet, raz po raz przerywając śpiew, żeby pobłogosławić tłum i udzielić wszystkim rozgrzeszenia w swojej barbarzyńskiej łacinie przeplatanej słowami w neapolitańskim dialekcie. Tłum wywołuje imiona swoich zmarłych, imiona swoich bliskich będących w niebezpieczeństwie, krewnych mieszkających w okolicach portu, najzacieklej bombardowanych, albo tych, co są daleko na morzu, na wojnie. Wszyscy krzyczą: „Micheee! Rafiliii! Carmiliii! Concitiii! Mariiii! Gennariiii Pascaaaa! Peppiii! Maculatiii!” - i wyciągają do księży ręce mocno zaciskając pięść, jakby trzymali w niej jakąś relikwię po drogim zmarłym - kosmyk włosów, skrawek skóry czy tkaniny, kawałek kości. Słychać przeciągłe, niepowstrzymane szloch, przez parę minut cały ogromny tłum płacze, rzuca się na kolana, wznosi ramiona ku niebu, błaga Madonnę del Carmine, świętego

Januarego, świętą Łucję, a tymczasem huk bomb przybliża się, wstrząsa ziemią, huczy w wydrążeniach góry, dociera gorącym oddechem do głębi smrodliwych czarnych jaskiń. A potem nagle, zaledwie ucichnie huk bomb, zaczynają rozbrzmiewać śpiewne nawoływania sprzedawców smażonych ryb, pulpetów ziemniaczanych, wody: „Świeża woda! Świeża woda!”, zagłuszając lamenty kobiet i posępne psalmy księży. Słychać brzęk soldów wrzucanych do puszek jałmużniczych, którymi potrząsają snujący się w tłumie chudzi i brudni mnisi i zmizerowane siostrzyczki zakonne. Tu i ówdzie wybucha krzykliwy śmiech, dźwięczy piosenka, wesoły głos wykrzykuje jakieś kobiecie imię i odbija się echem od ścian jaskini. Odwieczny zgiełk Neapolu, odwieczny jego głos bierze górę, rozbrzmiewa potężnie jak szum morza.

Jakąś kobietę chwyciły nagle bóle porodowe, krzyczy, błaga, jęczy, chwilami wyje jak pies nocą. Dziesięć, sto położnych- ochotniczek, kobiet o wełnistych włosach, z oczyma błyszczącymi uciechą, toruje sobie drogę poprzez ciżbę, cisną się dokoła rodzącej, która raptem wydaje swój najgłośniejszy, ostateczny krzyk. Kумы zaczynają się klócić o noworodka, ale jedna, bardziej chybka od innych i bardziej zdecydowana, starucha o zmierzwionych włosach, tłusta i bezkształtna, wydziera go z rąk rywalek, klepie go, obmacuje, unosi wysoko nad głowy, żeby go uchronić przed ścisaniem, ociera go potą własnej sukni, pluje mu na buzię, żeby ją umyć, oblizuje go, a oto już zbliża się ksiądz, żeby go ochrzcić. „Trochę wody!” - woła. Natychmiast podają mu butelki, dzbanuszki, miseczki z wodą. „Niech się nazywa Benedetto!” „Nie, Gennaro! Gennaro! Gennaro!” - krzyczy tłum. Krzyki, imiona, wszystko tonie w ogłuszającym zgiełku, w którym pieśni, śmiechy, przeciągłe, śpiewne nawoływania sprzedawców wody i smażonych ryb, różnych wędrownych kramarzy, są jak poszczególne motywy jednej wspólnej pieśni, jednego wspólnego życia, splatając się z rżeniem koni, które dorożkarze wprowadzili także do bezpiecznego schronienia jaskini. Gigantyczne podziemie naprawdę przypomina plac miejski w noc święta Piedigrotty, kiedy radosny zgiełk zaczyna powoli przycichać i tłumy powracające z Fuorigrotty wysypują się z wozów i dorożek i zatrzymują się jeszcze chwilę na placu, żeby odetchnąć świeżym powietrzem przed pójściem do łóżka, wypić jeszcze jedną ostatnią lemoniadę, zjeść ostatni obwarzanek; wszyscy życzą sobie dobrej nocy, wymieniają głośne pozdrowienia - kумы i kumowie, krewni, przyjaciele.

Już chmara dzieciaków u wylotu jaskini głośno oznajmiała, że niebezpieczeństwo minęło, już z ust do ust krążyły wiadomości o zburzonych domach, o zabitych, rannych i pogrzebanych pod gruzami, już tłum ruszał ku wyjściu, kiedy z wysokości czegoś w rodzaju zamczyska, skonstruowanego w głębokiej niszy ze sprzętów domowych i narzędzi, niby z balkonu nagle rozwartego, wyrżał mężczyzna o twarzy obrośniętej gęstą czarną brodą i uniósłszy w górę ramiona, podany naprzód całą swą majestatyczną postacią, zaczął krzyczeć potężnym, srogim głosem:

- Ih, bone femmene, ih, figli'e bona femmene, ih che bordello, jatevenne! Jatevenne! Jatevenne!  
Wynosić się stąd, wynosić!

Wymachiwał rękami, jakby opędzał się od intruzów, którzy obiegli jego zamek, a ziewał przy tym szeroko i przecierał oczy, dając do poznania, że nie tylko wyrwany został z łóżka, z głębokiego snu, ale że w ogóle ten tłum obcych ludzi przeszkadza mu, zagraża jakimś jego przywilejom, bezprawnie nachodzi to podziemne państwo, którego on ustanowił się władcą i królem.

Podniosłem oczy; tak silne było złudzenie, że znajduję się gdzieś w okolicy Rua Catalana, Dogana del Sale czy Speziera Vecchia, w dzielnicy portowej; podniosłem oczy ku czarnemu skalnemu niebu, szukając wzrokiem Wezuwiusza rozsiadłego na widnokręgu, z gipsową fajeczką w zębach, w szalu

różowego dymu dokoła szyi, niby stary wysłużony marynarz wyglądający oknem na morze. Po trochu tłum, śmiejąc się, gawędząc, nawołując głośno z daleka jak przy wychodzeniu z cyrku, zaczął wypływać na zewnątrz z ciemnej gardzieli jaskini; i każdy, zrobiwszy parę pierwszych kroków w pełnym świetle dnia, przystawał, podnosił oczy w górę i przez chwilę wpatrywał się niespokojnie w gęsty tuman pyłu i dymu okrywający całe miasto.

Niebo było ciemnobłękitne, morze - świetliście zielone. Szedłem wmieszany w tłum ludzki, kierując się w górę ku Toledo, i rozglądałem się dokoła w nadziei, że dostrzegę gdzieś znajomą twarz, że ktoś mnie przygarnie na tę noc, póki nie przyptynie z Capri mały stateczek parowy, którym mógłbym pojechać do domu. Statek ten odbił od mola Santa Lucia przed dwoma dniami i trudno było przewidzieć, ile dni przyjdzie mi czekać na możliwość powrotu na Capri. Pod zachód słońca upał stawał się wilgotny i oziężały, czułem się tak, jakbym wędrował otulony wełnianym szalem. Po obu stronach ulicy raz po raz ukazywały się ogromne stosy gruzu, które tutaj, pod tym delikatnym niebem z błękitnego jedwabiu, wyglądały jeszcze okrutniej, jeszcze bardziej ponuro niż ruiny Warszawy, Belgradu, Kijowa, Hamburga czy Berlina, leżące pod niebem twardym i czarnym albo zimnym i białym. Uczucie samotności ścisnęło mi serce i rozglądałem się dokoła, nie tracąc nadziei, że w końcu ujrzę przecież jakąś przyjazną twarz wśród tego tłumu obdartych nędzarzy, z oczyma zbielełymi z głodu, bezsenności i trwogi, w którym jaśniało jednak cudowne światło godności i odwagi.

Gromady dzieci zagnieździły się już w ruinach zburzonych domów i przy pomocy nędznych sprzętów, materaców, wyplatanych słomą krzesel, garnków, skorup wszelkiego rodzaju wygrzebanych spod gruzów, popalonych belek i poskręcane żelastwa urządzały sobie domki w norach wykopanych w górach gruzu i odpadków i w prymitywnych szałasach skonstruowanych z resztek murów. Dziewczynki krzątały się dokoła swoich „pieców kuchennych” przygotowując w blaszanych puszkach kolację dla chłopców; najmłodszy bawili się, zupełnie nadzy, wszelakim śmieciem i odpadkami, z zachwytem oglądając swoje skarby: szklane kulki, kolorowe kamyki, kawałki stłuczonego lusterka; starsi chłopcy od świtu do nocy wałęsali się w poszukiwaniu czegoś do zjedzenia albo jakiejś roboty, jak odnośnienie walizek i tobołków na drugi koniec miasta, pomaganie uchodźcom w taszczeniu ocalonego dobytku na dworzec albo do portu. Chłopcy ci należeli już także do wielkiej rodziny „bezprizornych”, dzieci opuszczonych, które widywałem w Kijowie, Moskwie, Leningradzie czy Niżnym Nowogrodzie w latach po wojnie domowej i w okresie wielkiego głodu w Rosji. Możliwe, że pod tymi górami gruzu, w których wykopali sobie jamy i pobudowali swoje nędzne szałasiki z blachy i popalonych desek, ktoś jeszcze oddychał - ktoś z nieprzeliczonej rzeszy żywcem pogrzebanych, na których trzy lata bombardowań, zniszczeń i rzezi położyły fundamenty nowego Neapolu - jeszcze bardziej obdartego, wygłodzonego, wykrwawionego, ale szlachetniejszego, czystszej i prawdziwszego niż ten dawny. Ze zburzonego miasta uciekli wszyscy bogaci i możni; pozostała tylko olbrzymia armia ludzi w łachmanach, o oczach pełnych odwiecznej, niespożytej nadziei; armia „bezprizornych” o twardych ustach i nagich czołach, na których osamotnienie głodu wyrzyło jakieś okrutne, tajemnicze słowa. Kroczyłem po warstwie zbitych szyb i gruzu - ostatnich pozostałościach po gigantycznej katastrofie - i czułem, że ta sama odwieczna nadzieja rodzi się we mnie.

Raz po raz stawałem jak wryty, słysząc strwożony krzyk: „Mo'vene! Mo'vene! Wali się!”. Gromada psów i dzieci cofała się zadarłszy głowy do góry albo uciekała w popłochu, niektórzy przysiadali skuleni, patrząc zafascynowanym wzrokiem na jakąś ścianę domu, która do tej chwili utrzymywała się jakby cudem w równowadze, a teraz nagle waliła się z łoskotem, wznosząc olbrzymi tuman kurzu. Natychmiast po tym łoskocie rozlegał się chór radosnych wrzasków i już dzieci i psy nadbiegały

z powrotem, wdzierają się między ruiny, z zapalem biorąc się do naprawiania szkód, które zwalony mur wyrządził w ich szałasach i jaskiniach. W miarę jak przybliżałem się do Mercato, zburzonych domów było coraz więcej, niektóre płonęły jeszcze, gromadki obdartych mężczyzn i kobiet usiłowały gasić pożary na różne mało skuteczne sposoby, to zasypując płomienie gruzem, to chlustając podawanymi z rąk do rąk wiadrami morskiej wody, którą ostatnie ogniwa tego ludzkiego łańcucha czerpały w porcie, to wywlekając z płomieni materiały palne, jak belki, wszelakie drewno, sprzęty i narzędzia gospodarskie. W wielu punktach miasta panował gorączkowy ruch, wzajemna pomoc w przenoszeniu ocalałych sprzętów ze zburzonych domów do jaskiń wyżłobionych w tufie; wózki przekupniów warzyw jeździły tu i ówdzie odwiedzając miejsca, w których ludność skupiła się nieco gęściej w poszukiwaniu schronienia. A ponad cały ten zgiełk wybijał się czysty, niewzruszony, śpiewny ton nawoływania nosiwodów: „Świeża woda! Świeża woda!”. Po ulicach śródmieścia chodziły patrole policyjne i na plakatach z podobizną Mussoliniego i napisem „Viva il Duce” naklejali plakaty z królem i Badogliem, z napisem „Viva il Re, Viva Badoglio”. Inne znów ekipy wypisywały na murach, pędzlami maczanymi w kubelkach z czarną farbą: „Viva Napoli fedele! Viva Napoli monarchica! Niech żyje Neapol wierny, niech żyje Neapol monarchiczny!”. Do tego ograniczała się pomoc, jakiej nowy rząd, nie różniąc się w tym od dawnego, udzielał umęczonemu miastu. Długie kolumny wozów ciągnęły przez Via Chiaia i Piazza dei Martiri wywożąc w stronę morza gruz z tych ulic, którymi szły niemieckie transporty. Gruz zrzucano pomiędzy skałki przybrzeżne wzdłuż Via Caracciolo, w pobliżu wieży ciśnień. A ponieważ z gruzem przemieszane były ręce, głowy, rozmaite części ludzkiego ciała, już w stanie rozkładu, z wozów buchał okropny fetor i ludzie aż bledli, znalazłszy się na ich drodze. Gdzieniedzie na wozach siedzieli, zmizerowani wskutek bezsenności; ciężkiej pracy, lęku i odrazy, okolicznościowi grabarze; przeważnie byli to woźnicy z (pobliskich podwezuwiańskich wsi, którzy co rano przywozili na tych samych wozach jarzyny i owoce na targowiska uboższych dzielnic miasta.

Wszyscy pomagali sobie wzajemnie; widziałem ludzi o mizernych, wychudłych twarzach, ludzi krążących wśród ruin z butelkami i dzbanuszkami wody, z garnuszkami pełnymi zupy, aby pokrzepić tą chudą strawą i odrobiną wody tych najbiedniejszych, starców i chorych, leżących wśród gruzów w cieniu murów, na pół rozwalonych. Ulice usiane były ciężarówkami, samochodami, tramwajami porzuconymi na zniszczonych torach, wozami zaprzężonymi w martwe, leżące u dyszla konie. Chmary much brzęczały w zakurzone powietrze. Milczący tłum zgromadzony na placu przy San Carlo, jakby zbudzony nagle z głębokiego snu, z wyrazem lęku i zdumienia, z oczyma oślepienymi jak gdyby zimną, siną błyskawicą, wystawał nieruchomo przed pozamykanymi sklepami, których żaluzje podziurawione były odłamkami pocisków. Od czasu do czasu na plac wjeżdżały wózki ciągnięte przez chude osiołki; załadowane były nędznymi sprzętami domowymi, a za nimi dreptali, powłócząc nogami w kurzu, ludzie o przerażającym wręcz wyglądem. Ludzie ci co chwila zadzierałi w górę twarze, trwożnie śledząc niebo i wykrzykując bez chwili wytchnienia: „Mo' vèveno, mo' vèveno! 'e bi!' 'e bi!' 'e bi!' Uoco” co znaczy: „Oto one, oto są! Widzisz je, widzisz je, tam wysoko!”. Na to monotonne nawoływanie ekstatyczny tłum wznosił oczy ku górze, okrzyk „Mo'vèveno, 'e bi!' 'e bi!'” szedł do jednej grupy do drugiej, z ulicy w ulicę, ale nikt się nie ruszał, nikt nie dawał hasła do ucieczki, jak gdyby to nawoływanie dobrze już znane, niebezpieczeństwo nieustanne, do którego z dawna się przywykło, nie budziło już lęku albo jakby ogrom znużenia odbierał ludziom siłę i chęć ucieczki w bezpieczniejsze miejsce. Dopiero z chwilą, kiedy pod wysokim niebem dawało się słyszeć dalekie pszczele brzęczenie, tłumy znikły jak pod wpływem czarów, wpełzały w głąb jaskiń. Na opustoszałych ulicach zostawał tylko gdzieniedzie jakiś starzec, dziecko czy kobieta ogłupiała

z głodu, dopóki ktoś, wychynawszy z jakiejś jamy pośród ruin, nie ujął ich za ramię i nie pociągnął za sobą w ukrycie.

Nad domami w ruinie i garstką tych, które jakby cudem pozostały nie tknięte, zaczynał się tryumf czegoś - w pierwszej chwili nie umiałem zdać sobie sprawy, czego mianowicie: pogody, tej najpiękniejszej i najokrutniejszej w świecie pogody neapolitańskiego nieba. Niebo to zresztą, przez kontrast z oślepiającą bielą ruin w pełnym słońcu, okrytych nalotem wapiennego pyłu, z ostrymi konturami tych białych murów, wydawało się niemal czarne: miało ciemnoszafirową barwę gwiazdzistej a bezksiężycowej nocy. Chwilami wyglądało jak zrobione z jakiegoś twardego materiału, jakby z czarnego kamienia. Miasto rozciągało się dokoła posępne i żałosne ze swoimi białymi ruinami i wygasłymi stosami, pod tym gęstym, czarnym, okrutnym i cudownym błękitem.

Książęta krwi, szlachta, bogacze, burżuazja i wszelkiego rodzaju potentaci uciekli z Neapolu. W mieście została jedynie biedota, nieprzeliczona rzesza biedoty, olbrzymi, niezbadany, tajemniczy „kontynent neapolitański”. Noc spędziłem w domu mego przyjaciela, w Calascione, w starym domu sterczącym wysoko nad dachami Chiatamone i Riviera di Chiaia, a rankiem patrząc z krawędzi Pizzofalcone dojrzałem mały stateczek z Capri stojący przy moło Santa Lucia. Serce podskoczyło mi w piersi i popędziłem na łeb na szyję w dół do portu.

Ale zaledwie znalazłem się za Monte di Dio i zapuściłem się w labirynt dzielnicy Pallonetto, dokoła mnie zaczęło rozbrzmiewać jakieś słowo, wypowiedane przyciszonym tajemniczym szeptem. Słowo to spływało z okien i balkonów, wydobywało się z czarnych jaskiń, z nędznych bassi, z głębi podwórek i zaułków. Z początku wydało mi się to słowo nowe, nigdy nie słyszane, a może zapomniane, zagrzebane od Bóg wie jak dawna na dnię mojej świadomości. Nie rozumiałem jego sensu, nie mogłem uchwycić pełnego brzmienia. Dla mnie, powracającego z czteroletniej wędrówki poprzez wojnę, rzezie i głód, popalone wsie i zburzone miasta, niezrozumiałe to słowo brzmiało jak wyraz w nieznanym języku.

Aż nagle usłyszałem je czyste, przejrzyste jak wymyty kawałek szkła, wylatujące z głębi jakiejś sutereny. Przystanąłem w drzwiach i zajrzałem do środka. Było to ciasne, ubogie pomieszczenie, w całości niemal wypełnione szerokim żelaznym łóżem i komodą. Na komodzie pod szklanym kloszem woskowa Święta Rodzina. W kącie na rozpalonym piecyku dymił garnek. Przy piecyku pochylona staruszka trzymała w obu rękach rąbek spódnicy takim gestem, jakby machała nią na węgielki w piecyku, by rozniecić płomień. Ale jak gdyby zastygła w tym geście, stała nieruchomo, twarzą zwrócona ku wejściu, nasłuchując. Uniesiona spódnica ukazywała żółte, żylaste łydki i ostre, obciążone błyszczące skórą kolana. Na czerwonej jedwabnej kapie łóżka spał kot, a w kołyszce koło komody - niemowlę. Dwie młode kobiety klęczały na ziemi ze złożonymi rękami, z czołami uniesionymi ku górze ekstatycznym modlitewnym gestem. Zgrzybiały starzec siedział wciśnięty między łóżko a mur, otulony zielonym szalem w żółte i czerwone kwiaty. Miał bladą twarz, zaciśnięte usta, nieruchome, szeroko rozwarte oczy, prawą rękę zwieszoną wzdłuż bolcu, z palcami wytkniętymi na kształt rogów, rytualnym gestem odczyniania uroków. Przypominał te półleżące postacie, jakie się widuje na sarkofagach etruskich. Wpatrywał się we mnie. Nagle wargi jego poruszyły się i z bezzębnych ust wydobyło się czysto i wyraźnie brzmiące słowo: „O sangue!” słowo „krew”.

Cofnąłem się zaskoczony i przerażony. Słowo to budziło we mnie wstręt. W ciągu czterech lat straszliwe, okrutne, odrażające słowo niemieckie Blut, Blut, Blut biło wciąż o moje ucho, kapało jak woda z rury, Blut, Blut, Blut. I teraz już także słowo włoskie, sangue, przejmowało mnie lękiem i odrazą, przyprawiało o mdłości. Ale było w głosie starca, w jego akcencie, coś, co mi się wydało wręcz cudowne. W jego ustach słowo miało brzmienie przedziwnie łagodne: 'o sangue. Słowo odwieczne, a zarazem nowe. Wydało mi się, że pierwszy raz je słyszę, a przecież brzmiało w moich uszach swojsko i łagodnie. Słowo to jednak najwidoczniej staruszkę i te dwie młode kobiety przerażało, bo nagle zerwały się z kolan i wołając: „'O sangue! 'O sangue!” rzuciły się do drzwi i niepewnie przeszły parę kroków po uliczce nie przestając wołać: „'O sangue!”, szarpiąc się przy tym za włosy i rozdzierając sobie twarze paznokciami. A potem nagle pobiegły za tłumem ludzi, którzy szli w stronę kościoła Świętej Marii Egipcjanki zawodząc chórem: „'O sangue! 'O sangue!”.

Ruszyłem także za tym rozkrzyczanym tłumem i przez most Chiaia doszliśmy do hiszpańskiego kościoła Santa Teresella: wszystkimi uliczkami, które ze zbocza góry spływają niby strumyki w dół ku Toledo, ciągnęło mrowie ludzi, a wszystkie twarze wyrażały niepokój, rozpacz i bezbrzeżną miłość. Z wysokości uliczek widać było inne, dalsze tłumy idące ku Toledo od dołu, ze zmieszonym gwarem, w którym dawało się rozróżnić jedno jedyne, przez wszystkich powtarzane słowo: „'O sangue! 'O sangue!”.

Po raz pierwszy na przestrzeni czterech lat wojny, po raz pierwszy w mojej ponurej wędrówce przez rzezie, głód i zburzone miasta, usłyszałem słowo „krew”, wymawiane ze zbożną czcią. We wszystkich krajach Europy, w Serbii, Chorwacji, Rumunii, Polsce, Rosji, Finlandii słowo to nabrzmiało było nienawiścią, strachem, pogardą, grozą, sadystycznym zadowoleniem, zmysłową uciechą i zawsze przejmowało mnie grozą i niesmakiem. Słowo „krew” stało mi się bardziej wstrętne niż krew sama. Dotknięcie krwi, maczanie rąk w tej nieszczęsnej krwi, którą nasiąkła ziemia całej Europy, mniej budziło we mnie odrazy niż sam dźwięk tego słowa. I oto teraz w Neapolu, właśnie w Neapolu, najnieszczęśliwszym, najbardziej ogłodzonym, sponiewieranym, storturowanym mieście Europy, usłyszałem słowo sangue - krew - wymawiane z religijną czcią, z najgłębszym pietyzmem, wołane czystym, dziecięco niewinnym głosem, jakim lud neapolitański wymawia słowa „mama”, „dzieciątko”, „niebo”, „Madonna”, „chleb”, „Jezus”; z tym samym akcentem niewinności, czystości, miłej dziecięcej naiwności. Z bezzębnych ust o spękanych wargach okrzyk „'O sangue!” wznosił się jak inwokacja, jak modlitwa, jak najświętsze imię. Długie wieki głodu, niewoli, barbarzyństwa przebranego w dostojne szaty, ukoronowanego i namaszczonego, wieki nędzy, złości, zepsucia i hańby nie zdołały u tego nędznego a szlachetnego ludu wykorzystać zbożnej czci, jaką otacza on krew. Krzyczący, płaczący, potrząsający wzniesionymi ramionami tłum dążył w stronę katedry. Wykrzykiwał swoją inwokację do krwi ze zdumiewającą furią, opłakiwał krew utraconą, krew na próżno przelaną, ziemię we krwi skąpaną, skrwawione strzępy ludzkie, cenną krew człowieczą zmieszaną z pyłem dróg, grudki zakrzepłej krwi na murach więzień. W płonących gorączką oczach ludzi, w białych kościstych czołach zroszonych potem, w rękach, wzniesionych ku niebu i wstrząsanych głębokim drżeniem, widniała litość i zbożna trwoga: „'O sangue! 'O sangue! 'O sangue!”. Pierwszy raz po czterech latach okrutnej, bezlitosnej wojny słyszałem to słowo wymawiane ze zbożną czcią i słyszałem je właśnie z ust tego ludu zagłodzonego, zdradzonego, opuszczonego, bez chleba, bez dachu, bez grobów. Oto po czterech latach słowo to zabrzmiało znowu jak słowo boże. Na jego dźwięk - 'O sangue! - ogarnęło mnie uczucie nadziei, odpoczynku, spokoju. Nareszcie doszedłem do kresu mojej wędrówki, słowo to było rzeczywiście moją przystanią, moim ostatnim etapem, lądem, molo portowym, gdzie nareszcie mogłem dotknąć ludzkiej ziemi, ojczyzny cywilnego człowieka.

Niebo było czyste, morze zieleniło się na horyzoncie jak ogromna łąka. Miód słońca spływał po fasadach domów przystrojonych, jak flagami, odzieżą rozwieszoną do wysuszenie na przeciągniętych od balkonu do balkonu sznurach. Wzdłuż gzymsów poszczerbionych bombami, dokoła ran otwartych w murach domów, niebo haftowało delikatny błękitny obrąbek. Podmuchy mistralu przynosiły zapach morza, wesołe chlupotanie fal o skały przybrzeżne, samotny, żalony krzyk mew. Niebo spływało jak rzeka błękitu na miasto w ruinie, pełne nie pogrzebanych trupów, jedyne miasto w Europie, gdzie krew ludzka wciąż jeszcze była święta; na dobry, litościwy lud, który darzył jeszcze ludzką krew czcią, miłością i poważaniem; na lud, dla którego słowo „krew” było wciąż jeszcze wyrazem nadziei i zbawienia. Przed zamkniętymi podwojami katedry cały tłum padł na kolana, wielkim głosem wzywając drzwi, żeby się rozwarły. Krzyk „'O sangue! 'O sangue! 'O sangue!” wstrząsał murami domów, brzmiał w nim święty gniew i żarliwa troska.

Zapytałem kogoś stojącego obok mnie, co się stało. Powiedział, że po mieście rozeszła się wieść, jakoby w katedrę trafiła bomba rozwalając kryptę, w której przechowuje się dwa relikwiarze z cudowną krwią świętego Januarego. Wiadomość okazała się plotką, ale zdążyła lotem błyskawicy oblecieć całe miasto, przeniknęła do najdalszych zaułków, najgłębszych jaskiń. Można by sądzić, że do tej chwili, przez całe cztery lata wojny, nie została przelana ani kropla krwi; miliony poległych rozsiane były po wszystkich ziemiach Europy, a tutaj, zdawało się, nie wsiąkła w ziemię ani kropla krwi. Bo oto na wieść, że dwa bezcenne relikwiarze zostały rozbite, że ta odrobina zakrzepłej krwi przepadła, wydało się ludziom, że cały świat zatonał we krwi, że żyły całej ludzkości zostały poprzecinane, żeby napoić nienasyconą ziemię. Ale nagle na stopniach katedry ukazał się ksiądz, podniósł ręce, aby uciszyć tłum, i oznajmił, że bezcenna krew nie doznała szwanku. „'O sangue! 'O sangue! 'O sangue!” Klęczący tłum płakał, nie zaprzestając inwokacji do świętej krwi, ale twarze były uśmiechnięte, łzy radości spływały po wychudłych policzkach, wzniosła nadzieja wstępowała w serca, jakby odtąd już ani kropla krwi nie miała nigdy paść na spragnioną ziemię.

Idąc do portu zapuściłem się w uliczki na tyłach Piazza Francese, zavalone stosami gruzu. Fetor nie pogrzebanych trupów zatruwał tu powietrze. Czarne roje much krążyły z ponurym bzykaniem pośród murów. Z portu wznosiła się gęsta chmura dymu. Dręczyło mnie okropne pragnienie, wargi miałem obrzmiałe, czarne od much. Wszystkie fontanny wyschły, ani kropli wody nie było w całym mieście. Skręciłem przy Dwóch Lwach i zawróciłem w kierunku Mercadante. Na bruku leżało nieżywe dziecko, wydawało się, że śpi. Aureola much otaczała jego czoło poorane głębokimi zmarszczkami. Skręciłem w Via Medina. W głębi ulicy, za pomnikiem Mercadante, płonął dom. Chmary dzieci bawiły się w gonitwę, wydając ostre okrzyki. Na odgłos moich kroków zrywały się roje much, siadały mi na twarzy ubrudzonej potem i kurzem, wciskały się w zagłębienie oczu. Okropny smród bił od stosów gruzu, mieszając się z ostrym, nieco kwaśnym zapachem morza. W głębi Via Medina zobaczyłem otwarty mały bar, zacząłem biec; bez tchu stanąłem na progu.

Marmurowa lada, zasypana odłamkami szkła, była pusta. Przy żelaznym stoliku siedział tłusty, nalany mężczyzna ubrany w bawełnianą trykotową koszulkę z krótkimi rękawami. Włochata, obwisła pierś przeświecała przez trykot, mokry od potu i lepiący się do ciała. Człowiek wachlował się złożoną we dwoje gazetą i raz po raz ocierał czoło brudną chustką. Rój much wirował w powietrzu. Tysiące innych obsiadły sufit, ściany, potłuczone lustra. Na ścianie za ladą wisały portrety króla, królowej, księcia i księżnej Piemontu - wszystkie aż czarne od much.

- Mógłby mi pan dać szklankę wody? - powiedziałem.

Przyglądał mi się nie przestając się wachlować. „Szklankę wody?” - powtórzył zamiast odpowiedzi.

- Mam okropne pragnienie, nie mogę już wytrzymać.

- Ma pan pragnienie i chciałby pan szklankę wody?

- No tak - powiedziałem. - Szklankę wody. Piekielnie chce mi się pić.

- Ha! Szklankę wody! - wykrzyknął podnosząc brew. - Nie wie pan, że to bezcenny skarb? Ani kropli wody nie ma w całym Neapolu. Najpierw powymieramy z głodu, potem z pragnienia, a jeżeli jeszcze pozostanie trochę żywych, umrą ze strachu. Szklankę wody!

- Dobrze - oświadczyłem siadając przy sąsiednim stoliku - zaczekam na koniec wojny i wtedy się napiję.

- Grunt to cierpliwość - powiedział. - Ja, widzi pan, nie ruszyłem się z Neapolu. Już trzy lata nic, tylko czekam końca wojny. Jak lecą bomby, zamykam po prostu oczy. Nie ruszę się stąd, choćby nawet rozwalili nade mną dom. Grunt to cierpliwość. Okaże się, kto cierpliwszy: wojna czy Neapol. Naprawdę chce pan szklankę wody? Pod ladą znajdzie pan butelkę, powinno w niej jeszcze być trochę wody. A tam są szklanki.

- Dziękuję.

Pod ladą znalazłem rzeczywiście butelkę z resztką wody. Na półce stały rzędem szczątki jakich dwudziestu szklanek. Ani jednej całej. Napiłem się prosto z butelki, drugą ręką spędzając muchy z twarzy.

- Przeklęte muszyska - powiedziałem.

- A tak, tak - potwierdził wachlując się. - Przeklęte muszyska!

- Czemu nie wytoczycie wojny muchom także i tu, w Neapolu? U nas, na Północy, w Mediolanie, Turynie, Florencji, nawet w Rzymie, zarządy miejskie zorganizowały walkę z muchami. Ani jednej muchy nie ma w naszych miastach.

- W Mediolanie nie ma ani jednej muchy?

- Ani jednej. Wytępiłiśmy wszystkie. Akcja higieniczna: unika się przez to infekcji, chorób.

- No, my tu, w Neapolu, także walczyliśmy z muchami. Wypowiedzieliśmy prawdziwą wojnę muchom. Już trzy lata, jakeśmy ją wytoczyli.

- Więc jakże to się dzieje, że jest wciąż takie mnóstwo much w Neapolu?

- No, cóż, proszę pana: muchy wygrały wojnę!





Przełożyła Barbara Sieroszevska

Czytelnik Warszawa 1983

Tytuł oryginału włoskiego Kaputt

Okładkę projektował Jan Młodożeniec

Copyright Vallecchi Editore, Firenze, 1964

© Copyright for the Polish edition by Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik”, Warszawa 1983

ISBN 83-07-00946-4

„Czytelnik”. Warszawa 1983. Wyдание II. Nakład 30 320 egz. Ark. wyd. 25, ark. druk. 29 Papier offset mat. kl. V, 71 g, 86X122. Oddano do składania 6 IX 1982 r. Podpisano do druku 8 II 1983 r. Druk ukończono w kwietniu 1983 r.

Zakłady Graficzne w Katowicach Zakład nr 5 w Bytomiu. Zam. 9270/1100/82 Z-103 Zam. wyd. 520 Printed in Poland

